

The background of the cover is a photograph of a stone bust of a woman's head, likely a classical or neoclassical sculpture. The bust is positioned in the lower half of the frame. A black, articulated robotic arm is positioned to the left of the bust, with its hand resting near the woman's forehead. A dense network of black cables and wires is visible at the top of the image, some of which are bundled together and others are loose, creating a complex web of lines against a light, slightly hazy background. The overall aesthetic is a blend of ancient art and modern technology.

ADA PALMER

DO BŁYSKAWICY
PODOBNE

UCZTA WYOBRAŹNI

ADA PALMER

DO BŁYSKAWICY PODOBNE

CZEŚĆ I CYKLU

TERRA IGNOTA

Przełożył Michał Jakuszewski

Wydawnictwo MAG
Warszawa 2019

Tytuł oryginału:

Too Like the Lighting

Copyright © 2016 by Ada Palmer

Copyright for the Polish translation

© 2019 by Wydawnictwo MAG

Redakcja:

Joanna Figlewska

Korekta:

Urszula Okrzeja

Projekt graficzny serii oraz opracowanie graficzne okładki:

Piotr Chyliński

Ilustracja na okładce:

Dark Crayon

Projekt typograficzny, skład i łamanie:

Tomek Laisar Fruń

ISBN 978-83-66409-88-0

Wydanie II

Wydawca:

Wydawnictwo MAG

ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa

tel./fax 228 134 743

www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor:

Dressler Dublin sp. z o. o.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

tel. 22 733 2519

www.dressler.com.pl

Skład wersji elektronicznej:

pan@drewnianyrower.com

Spis treści

Karta tytułowa
Karta redakcyjna
Dedykacja

*

Motto

Rozdział pierwszy Prośba do czytelnika
Rozdział drugi Chłopiec i jego bóg
Rozdział trzeci Najważniejsi ludzie na świecie
Rozdział czwarty Uważane za dawno wymarłe
Rozdział piąty Dom Arystotelesa
Rozdział szósty Nie od razu Rzym zbudowano...
Rozdział siódmy Canis domini
Rozdział ósmy Honorowe miejsce
Rozdział dziewiąty Wspomnienie wszystkich zmarłych
Rozdział dziesiąty Słońce czeka na rywala
Rozdział jedenasty Wchodzi Sniper
Rozdział dwunasty Ani Ziemia, ani atom, ale...
Rozdział trzynasty Być może gwiazdy
Rozdział czternasty Interludium. Wywiad z emerytowanym
dziennikarzem Czarnej Sakury, Tsuneo Sugiyamą, przekazany przez
Martina Guildbreakera
Rozdział piętnasty Jeśli mnie złapią
Rozdział szesnasty Nie zdołacie tego odwlekać bez końca, Mycroftie
Rozdział siedemnasty Lokaj Tocqueville'a
Rozdział osiemnasty Dziesiąty dyrektor
Rozdział dziewiętnasty Muchy do miodu
Rozdział dwudziesty Potwór w domu
Rozdział dwudziesty pierwszy To, co cesarskie
Rozdział dwudziesty drugi Mycroft to Mycroft
Rozdział dwudziesty trzeci Pontifex maxima
Rozdział dwudziesty czwarty Czasami nawet ja czuję się bardzo
samotny
Rozdział dwudziesty piąty U Madame

Rozdział dwudziesty szósty Madame d’Arouet
Rozdział dwudziesty siódmy Interludium, w którym Martin
Guildbreaker rozważa kwestię doktora Cato Weeksbootha
Rozdział dwudziesty ósmy Nieprzyjaciół
Rozdział dwudziesty dziewiąty Julio, znalazłem Boga!
Rozdział trzydziesty Deo erexit Sade
Rozdział trzydziesty pierwszy Dominujący drapieżnik
Rozdział trzydziesty drugi Że jest ich dwóch
Rozdział trzydziesty trzeci Ostatnie interludium Martina
Guildbreakera: „Utopianie nie są brudni, jak my wszyscy”

Od autorki i podziękowania

*Tę książkę dedykuję pierwszej istocie ludzkiej,
która wpadła na to, by wydrążyć kłodę i zrobić czółno,
oraz jej następcom.*

**DO BŁYSKAWICY PODOBNE
RELACJA Z WYDARZEŃ roku 2454
Spisana przez MYCROFTA CANNERA
na prośbę PEWNYCH OSÓB**

Opublikowana za pozwoleniem:
Siedmiopasiekowego Komitetu Stabilności w Romanovie
Pięciopasiekowego Komitetu ds. Niebezpiecznej Literatury
Ordo Quiritum Imperatorisque Masonicorum
Kuzynowskiej Komisji na rzecz
Humanitarnego Traktowania Usługowców
Dyrektoriatu Naczelnego Mitsubishi
Jego Królewskiej Mości Isabel Carlosa II, króla Hiszpanii
A także za zgodą wszystkich ŻYJĄCYCH OSÓB,
WOLNYCH I NIEWOLNYCH,
KTÓRE PRZEDSTAWIONO W TEKŚCIE

Qui veritatem desideret, ipse hoc legat. Nihil obstat

Polecam – Anonim

sprawdzone przez czteropasiekowy komitet ds. religii w literaturze
pod kątem braku prozelityzmu raté d par la commission européenne
des medias dangereux

Ratingi Gordiańskiej Komisji Oceny Zagrożeń:

S3 – Otwarte, lecz niezbyt długie sceny seksu; wzmianki o gwałcie; seks z użyciem przemocy; stosunki seksualne realnych, żyjących osób.

P5 – Otwarte i długie sceny świadomego użycia przemocy; opisowe, lecz niezbyt długie sceny ekstremalnej przemocy; pochwała przemocy; historyczne incydenty powiązane z traumą o zasięgu globalnym; zbrodnie z użyciem przemocy popełnione przez realne, żyjące osoby.

R4 – Otwarte i długie dyskusje na tematy religijne, bez prób nawracania; religijne przekonania realnych, żyjących osób.

O3 – Opinie mogące być obraźliwe dla określonych grup i urażać

wrażliwość wielu; tematy mogące powodować obrażę lub stres u licznych osób.

Kubusiu, mój przyjacielu, jesteś filozofem, boleję nad tym w twoim interesie.

Diderot, *Kubuś fatalista i jego pan*
(przełożył Tadeusz Boy-Żeleński)

Rozdział pierwszy

Prośba do czytelnika

Z pewnością będziesz mnie krytykował, Czytelniku, za to, że posługuję się stylem odległym o sześćset lat, ale przecież przybyłeś do mnie po wyjaśnienie wydarzeń owych dni transformacji, które uczyniły Twój świat takim, jakim jest, a ponieważ właśnie nagłe odrodzenie zainteresowania filozofią osiemnastego wieku, pełną optymizmu i ambicji, stało się początkiem niedawnej rewolucji, owe wydarzenia można opisywać tylko w języku oświecenia, sentymentalnym i skłonny do osądów. Musisz mi wybaczyć moje „on” i „ona”, moje „ty”, którym się do Ciebie zwracam, brak współczesnych słów i nowomodnego obiektywizmu. Z początku będzie to trudne, ale bez względu na to, czy jesteś moim współczesnym, nadal zdumionym nadejściem nowego porządku, czy też historykiem patrzącym na moje dwudzieste piąte stulecie tak, jak ja patrzę na osiemnaste, przekonasz się, że władasz językiem przeszłości lepiej, niż Ci się zdawało. Podobnie jak my wszyscy.

Kiedyś zadawałem sobie pytanie, dlaczego w dawnych czasach autorzy tak często padali na kolana przed audytorium, przepraszaali, błagali o przysługi, wychwalali czytelnika niczym cesarza, tłumaczyli się ze swych błędów i niedoskonałości. Ledwie jednak zdążyłem rozpocząć pracę, natychmiast sam poczułem potrzebę podobnej uniżoności. Jeśli mam dochować wierności stylowi, który sobie wybrałem, powinienem na samym początku książki opisać siebie, swoje kwalifikacje i środowisko, w którym żyję, a także wyjaśnić Ci, jakim zrzędzeniem opatrzości odpowiedzi na Twoje pytania wpadły mi w ręce. Błagam Cię, dobry Czytelniku, mój władco i tyranie, przyznaj mi przywilej pominięcia tych spraw milczeniem. Ci, którzy znają nazwisko Mycroft Canner, mogą spokojnie odłożyć tę książkę. Tych, którzy go nie znają, błagam, zaufajcie mi na kilkadziesiąt stron, zanim opowieść da Wam wystarczające powody, by mnie znienawidzić.

Rozdział drugi

Chłopiec i jego bóg

Zaczynamy od poranku dnia dwudziestego trzeciego marca roku dwa tysiące czterysta pięćdziesiątego czwartego. Carlyle Foster wstał owego dnia pełen sił, albowiem dwudziesty trzeci marca to dzień świętego Turybiusza. W tym właśnie dniu ludzie w dawnych czasach oddawali cześć swemu Stwórcy i czynią to po dziś dzień. Nie miał jeszcze trzydziestu lat i w jego żyłach płynęła europejska krew, na tyle czysta, że był niemalże blondynem. Długie włosy opadały mu na ramiona. Był wychudzony, jakby życie dostarczało mu zbyt wielu zajęć, by miał czas na karmienie własnego ciała. Nosił wygodne buty oraz luźną, lecz praktyczną szatę Kuzynów, dzisiejszego ranka szarozieloną. Jednakże jedynym elementem stroju, któremu poświęcał większą uwagę, była długa chusta senseisty z poszarzałej ze starości wełny. Był przekonany, że należała ona kiedyś do wielkiego reformatora Konklawe Senseistów, Fishera G. Guraia. To było jedno z wielu kłamstw, jakie Carlyle powtarzał sobie codziennie.

Kierując się instrukcjami parafianina, nakazał autolotowi wylądować nie na wysokiej, przypominającej most zwodzony grobli prowadzącej do głównych drzwi baszobudynku, lecz przy ciasnych schodach technicznych znajdujących się obok. Prowadziły one do wąskiego, stworzonego ludzką ręką kanionu oddzielającego ten rząd baszobudynków od sąsiedniego – czegoś w rodzaju głębokiej suchej fosy. Jej dno porastały polne kwiaty i ciężka od nasion trawa, zmierzwiona przez liczne ptaki poszukujące w niej pożywienia. W cieniu mostu kryły się drzwi należące do Thisbe, tak mało ważne, że nie miały nawet dzwonka.

Zapukał.

– Kto idzie?! – zawołała ze środka.

– Carlyle Foster.

– Kto?

– Carlyle Foster. Jestem waszym nowym senseistą. Umówiliśmy się na

spotkanie.

– Och, prawda... – Jej słowa z trudem przebijały się przez drzwi. – Wysłałam wiadomość, żeby odwołać spotkanie. Mieliśmy tu problem z bezpieczeństwem...

– Nie otrzymałam żadnej wiadomości.

– To nie jest odpowiednia chwila!

Carlyle uśmiechał się jak matka, której dziecko kryje się za jej kolanami pierwszego dnia w przedszkolu.

– Dobrze znałam waszego poprzedniego senseistę. Wszystkim nam bardzo przykro z powodu tego, co je spotkało.

– Tak. To wielka tragedia... Psst! Moglibyście przez chwilę stać nieruchomo?

– Dobrze się czujecie?

– Tak! Tak.

Być może senseista usłyszał zza drzwi inne głosy, ciche, lecz gwałtowne, a być może nie słyszał nic, ale wyczuł kłamstwo w jej głosie.

– Potrzebujecie pomocy? – zapytał.

Rozległy się kolejne głosy, mężczyzn, ciche jak szepty, lecz niecierpliwe jak krzyki.

– Wskazujący! Nie odchodź! Nie odchodź! Oddychaj!

– Za późno, Majorze!

– On nie żyje.

Drzwi nie wystarczały, by stłumić żałobę, łkanie małego dziecka, ostre jak włócznia. Carlyle zerwał się do czynu. Nie był już senseistą, ale istotą ludzką, gotową śpieszyć z pomocą potrzebującym. Walił w drzwi dłońmi nieprzywykłymi do zaciskania się w pięści i szarpał za klamkę, choć wiedział, że zamek nie ustąpi przed jego niewprawną siłą. Ci, którzy nie wierzą w opatrność, mogą winić znajdującego się w pokoju psa, który w swej ekscytacji zapewne zbliżył się do drzwi i je aktywował.

Wiem, co zobaczył Carlyle, kiedy się otworzyły. Najpierw Thisbe, bosą i we wczorajszym ubraniu, kreślącą coś szaleńczo na karcie papieru leżącej na pośpiesznie oczyszczonym blacie stołu. Resztki jej pracy oraz śniadania walające się na podłodze. Jedenastu mężczyzn stojących na stole, poturbowanych i silnych, o grubych kościach i twardych obliczach. Wszyscy wyglądali, jakby zrodzili się w bardziej surowych czasach, i mieli po pięć centymetrów wzrostu. Byli odziani

w mundury barwy zielonej albo pustynnego brązu, nie eleganckie, jak w dawnej Europie, lecz praktyczne, jak w czasach wojen światowych, brudne i znoszone. Trzej krwawili, a na blacie zbierały się plamy jaskrawoczerwonego płynu. Wyglądało to przerażająco, jak rany oswojonej myszki, każda przelana kropla znaczyła tyle, co utrata połowy litra krwi dla któregoś z nas. Jeden ucierpiał bardziej.

Czy widziałeś kiedyś śmierć, Czytelniku? Kiedy nadchodzi powoli, jak w przypadku utraty krwi, jest nie tyle momentem, ile okresem niejednoznaczności. Słyszysz jeden oddech i czekasz w niepewności na następny. Czy to był ostatni? Jeszcze jeden? Jeszcze dwa? Śmiertelne drżenie? Mija trochę czasu, nim policzki staną się bezwładne, a smród rozluźnionych kiszek wydostanie się z ubrania. Nie możesz być pewien, że śmierć rzeczywiście przyszła, nim chwila jej odwiedzin stanie się przeszłością. Ale nie w tym przypadku. Żołnierz wydał ostatnie tchnienie na oczach Carlyle'a, a wraz z nim miękkość i barwy, czerwień krwi i brzoskwiniowy odcień skóry, wszystko to obróciło się w zielen, gdy maleńki trupek zmienił się w plastikowego żołnierzyka wyposażonego w podstawkę. Nasz protagonista skulił się za stołem, łkając i krzycząc.

To nie imię Bridgera sprowadziło Cię do mnie. Podobnie jak nawet najbiegły mówca we wczesnych latach osiemnastego wieku nie zdołałby przekonać wykształconego audytorium, że młody pisarz nazwiskiem Wolter zaćmi wszystkie królewskie dynastie Europy, ja również nie przekonam Cię, Czytelniku, że ten chłopak, nie głowy państw, które z czasem Ci przedstawię, lecz właśnie Bridger, ten trzynastolatek oplatający ręce wokół kolan pod stołem Thisbe, stworzył przyszłość, w której żyjesz.

– Gotowe! – Thisbe zwinęła rysunek w tubę i podała go chłopcu. Zastanawiam się, czy mogłaby się zawahać, gdyby wiedziała, że patrzy na nią intruz? – Bridgerze, już czas. Bridgerze?

Wyobraź sobie teraz nowy głos w tym domu pogrążonym w kryzysie, rozkazujący bez bojaźni, głos dziadka, a nawet więcej, głos weterana. Carlyle nigdy przedtem nie słyszał podobnego głosu, był bowiem dzieckiem pokoju i dobrobytu. Nie słyszał go on, nie słyszeli jego rodzice ani rodzice jego rodziców. Pokój na świecie panował już od trzech stuleci.

– Działaj, synu, nim żal uniemożliwi ci pomaganie innym.

Bridger wyciągnął rękę spod stołu i dotknął papieru palcami dziecka,

za krótkimi i zbyt szerokimi, jak u figury z gliny, niedopracowanej jeszcze przez rzeźbiarza. W jednej chwili, bez żadnego dźwięku, światła czy melodramatycznych obłoczków dymu, papierowa tuba przeobraziła się w butelkę, gryzmoły w etykietę, a fioletowa kredka w zawarty wewnątrz płyn. Thisbe wyciągnęła korek, który zaledwie przed chwilą był szrafowaniem na papierze, i wylała płyn na rannych żołnierzyków. Ich rany złuszczyły się niczym stara farba. Byli czyści i uzdrowieni.

I ty, Mycrofcie Canner? – zapytasz, oburzony Czytelniku. *I ty popierasz tę bujdę powtarzaną już przez zbyt wiele ust? Choć marny z ciebie przewodnik, miałem nadzieję, że przedstawisz mi fakty, nie brednie.* Jak Twój sługa może na to odpowiedzieć, mój dobry Panie? Nie przekonam Cię – choć widziałeś cud niemal na własne oczy – nie mam najmniejszych szans Cię przekonać, że moce Bridgera były realne. Nie będę więc próbował. Domagasz się prawdy, a ja mogę Ci dać tylko taką prawdę, w jaką sam wierzę. Nie musisz czuć się zobowiązany sam w nią uwierzyć, i gdy nasza podróż dobiegnie końca, możesz zlekceważyć swego niedoskonałego przewodnika i Bridgera razem z nim. Dopóki jednak pozostaję Twoim przewodnikiem, okaż mi, proszę, pobłażanie, jak okazałbyś je dziecku, które nie zaśnie, dopóki nie zapewnisz, że wierzysz w potwory ukryte pod jego łóżkiem. Możesz to nazwać szaleństwem. Łatwo mnie uznać za szaleńca.

Dla Carlyle’a luksus niedowierzania nie był jednak możliwy. Widział transformację na własne oczy, równie realną, jak strona, którą masz przed oczami, niewiarygodną i niezaprzeczalną. Wyobraź sobie kapłanów faraona w chwili, gdy wąż Mojżesza pożarł ich węża, bóg niewolników pokonał zwierzogłowych panów śmierci i zmartwychwstania, którzy uczynili Egipt największym imperium w dziejach świata. Miny tych kapłanów w chwili kapitulacji ich panteonu mogłyby się równać z tą, która pojawiła się wówczas na twarzy senseisty. Chciałbym wiedzieć, co wyrwało się z jego ust w owej chwili – słowo, modlitwa, jęk – ale ci, którzy byli obecni – Major, Thisbe i Bridger – nie mogli mi tego powiedzieć, ponieważ zagłuszyli reakcję Carlyle’a swym natychmiastowym krzykiem:

– Mycrofcie!

Potrzebowałem tylko kilku sekund, by wbiec po schodach, i jeszcze mniej czasu, żeby obezwładnić senseistę. Przycisnąłem go do podłogi i zacisnąłem palce na jego tchawicy, uniemożliwiając mu oddychanie

i mówienie.

– Co się stało? – wydyszałem.

Najszybciej odpowiedziała Thisbe.

– To nasze nowe senseista. Byliśmy umówieni, ale Bridger... drzwi się otworzyły i zobaczyło! Wszystko. Mycroftie, ono widziało wszystko. – Uniosła rękę do lokalizatora przy uchu. Sygnał pochodził od jej brata Ockhama, który przebywał na górze. – ¡Nie! ¡Nie schodźcie na dół! – warknęła do mikrofonu po hiszpańsku. – ¿Słucham? Wszystko jest w porządku. Po prostu rozlałam na dywan trochę paskudnych perfum, nie chcecie tu przychodzić, nie, to nie ma nic wspólnego z... naprawdę nic mi nie stało...

Podczas gdy Thisbe wypowiadała swe kłamstwa, pochyliłem się nisko nad jeńcem, by poczuć smak pierwszego oddechu, gdy zwolnię ucisk na gardle.

– Nie zrobię wam krzywdy. Za chwilę wasz lokalizator zapyta, czy wszystko z wami w porządku. Jeśli potwierdzicie, odpowiem na wasze pytania, ale jeśli wezwiecie pomoc, zniknę bez śladu razem z dzieckiem i żołnierzami, zostawiając tylko Thisbe. Nigdy nas nie znajdziecie.

– Nie zwracajcie sobie głowy, Mycroftie. – Thisbe ruszyła w stronę szafki. – Mam jeszcze trochę tych pigułek wymazujących wspomnienia. Pamiętacie? Tych niebieskich.

– Nie! – sprzeciwiłem się, czując, że mój jeńiec zadrżał z tego samego powodu. – Thisbe, to senseista.

Przyjrzała się wystrzępionej chuście opadającej na ramiona Carlyle'a.

– Nie bierzmy sobie teraz tego na głowę. Ockham mówi, że na górze jest multiprawnik. Mason.

– Senseiści żyją dla metafizyki, Thisbe. Tym właśnie są. Jak byście się czuli, gdyby ktoś wymazał z waszej pamięci najważniejsze wydarzenie w waszym życiu?

Mój ton nie przypadł jej do gustu. Nie naraziłbym się na jej gniew dla kogoś mniej ważnego niż senseista. Zastanawiam się, jaką etymologię przypisujesz temu słowu, Czytelniku. Czy senseista to forma pochodna od nieistniejącego łacińskiego czasownika *senseo*? Czy może ktoś, kto swymi słowami nadaje rzeczom sens? A może ten termin pochodzi od japońskiego *sensei*, tytułu nadawanego nauczycielom, lekarzom i mędrcom? Próbowałem zbadać tę sprawę, ale Mertice McKay, która stworzyła to słowo, nie pozostawiła żadnych notatek dla potomności.

Nie miała na to czasu. Pracowała w latach czterdziestych dwudziestego drugiego wieku, w atmosferze wielkiego pośpiechu, gdy gniew całego społeczeństwa wywołany wojną Kościołów doprowadził do zamknięcia świątyn i zakazu religijnych zgromadzeń oraz nawracania, a w jej opinii groził nawet delegalizacją samego słowa Bożego. Te prawa nadal obowiązują, Czytelniku. Podobnie jak w dawnych czasach w niektórych miejscach trzy niespokrewnione ze sobą kobiety żyjące pod tym samym dachem prawo uważało za burdel, trzy osoby przebywające w tym samym pokoju i dyskutujące o religii uznano za kościelne zgromadzenie, za które groziły surowe kary, i to nie tylko w prawach tej czy tamtej Pasięki, lecz nawet w samym Kodeksie Romanowańskim. Jakże straszliwą ciszę przewidywała McKay. Ciszę, w której człowiek boi się zapytać ukochanego, czy on również liczy na życie przyszłe, a rodzice obawiają się odpowiadać dzieciom pytającym, kto stworzył świat. Z jaką desperacją wykrzyknęła do ludzi mogących powstrzymać owe zmiany: „Ludzkość nie może żyć bez tych pytań! Stwórzmy nową profesję! Zajęcie nie kaznodziei, lecz nauczyciela, który będzie wysłuchiwał pytań swych parafian i zapoznawał ich z odpowiedziami wszystkich wiar i sekt w historii. Chrześcijan i pogan, muzułmanów i ateistów, bez różnicy. Mając za przewodnika ten nowy rodzaj eksperta, każdy będzie mógł się zapoznać z owocami wszystkich teologii i antyteologii, by stworzyć z nich własny system, poddawać go próbom, udoskonalać, a wreszcie opierać się na nim przez wszystkie lata swego długiego życia. Dawni przeciwnicy chrześcijańskiej reformacji obawiali się, że protestanci stworzą tyle rodzajów chrześcijaństwa, ilu jest chrześcijan, niech ten nowy rodzaj specjalisty pozwoli nam powołać do życia tyle religii, ilu jest ludzi!”. Tak brzmiał jej krzyk. Wybacz jej, Czytelniku, że w swym ferworze zapomniała wyjaśnić nam szczegóły pochodzenia stworzonej przez siebie nazwy.

– Mycroft ma rację. – Głos weterana nas ocalił. Leżący na podłodze Carlyle zapewne widział tylko małą głowę i tułów wychylające się nad krawędzią stołu, jak u zwiadowcy spoglądającego w przepaść. – Mówiłem, że już czas, by Bridger poznał więcej ludzi. Poza tym, Thisbe, czy ktokolwiek na całej Ziemi potrzebuje senseisty bardziej od nas?

Poparły go okrzyki pozostałych żołnierzyków stojących na blacie.

– Major ma rację!

– Najwyższy czas, żebyśmy znaleźli sobie cholernego kapłana!

– Najwyższy czas!

Pochyliłem się nad jeńcem.

– Odwołajcie wezwanie pomocy albo zrobimy tak, jak chce Thisbe.

Policja nalega, bym dodał ostrzeżenie, przypominające Ci, Czytelniku, byś nigdy nie robił tego, co zrobił Carlyle. Gdy twój douszny lokalizator wykryje nagłe przyspieszenie akcji serca albo wzrost poziomu adrenaliny, automatycznie wysyła sygnał wzywający pomocy, chyba że potwierdzisz, iż wszystko jest w porządku. Dzięki temu, jeśli spotka Cię jakieś niebezpieczeństwo albo atak, pomoc nadejdzie, nawet jeśli nie jesteś w stanie się poruszać. W zeszłym roku doszło do stu osiemnastu zabójstw oraz prawie tysiąca napaści seksualnych, które stały się możliwe dlatego, że ofiary z jakiegoś powodu dały się przekonać do odwołania wezwania o pomoc. Carlyle dokonał słusznego wyboru, odwołując alarm, ponieważ Bóg znaczył dla niego więcej niż życie albo cnota, a poza tym nie zamierzałem wyrzucić mu realnej krzywdy. W Twoim przypadku zapewne będzie inaczej.

– Zrobione – wypowiedział bezgłośnie.

Puściłem go i odsunąłem się. Trzymałem ręce tak, żeby mógł je widzieć. Rozluźniłem mięśnie, a spojrzenie wlepiłem w podłogę na znak uległości. Nie odważyłem się unieść wzroku, by poszukać insygniów ukrytych pod szatą Kuzyna i chustą senseisty. W tej chwili, gdy mógł znowu wezwać policję, liczyło się tylko to, by go przekonać, że nie jestem zagrożeniem.

– Jak się nazywacie, kapłanie?! – zawołał Major z blatu. Jego głosik brzmiał ciepło, jak u dziadka przemawiającego do wnuka.

– Carlyle Foster.

– To dobre nazwisko – stwierdził żołnierz. – Mnie zwą Majorem. Moi towarzysze to Celujący, Wypatrywacz, Pełzacz, Medyk, Stojący Żółty, Stojący Zielony, Przykucnięty, Nieuzbrojony i Bezpodstawkowy. Tam leży zabity szeregowy Wskazujący.

Skinął głową, wskazując za siebie, tam, gdzie plastikowa zabawka leżała sztywno na boku.

Carlyle był zanadto zdrowy na umyśle, by nie wytrzeszczyć oczu ze zdumienia.

– Plastik.

– Tak. Jesteśmy plastikowymi żołnierzami. Bridger znalazł nas

w śmietniku i dał nam życie, ale starliśmy się dziś z kotem, a przy naszych rozmiarach taki zwierzak jest dla nas jak lew nemejski. Wskazujący walczył jak bohater, ale bohaterowie giną.

Dziwięciu pozostałych żołnierzów zebrało się wokół Majora na krawędzi blatu. Wszyscy poza mającym paranoidalne skłonności Przykucniętym zdjęli już ciężkie hełmy, ale nadal mieli na sobie polowe mundury o licznych kieszeniach, zbyt misternych, by mogła je uszyć ludzka ręka. Na plecach nosili karabiny cienkie jak wykałaczki.

Carlyle'a na moment ogarnęło zwątpienie.

– Czy to coś w rodzaju u-bestii? SI?

– Czyż to nie byłaby ulga? – Major zaśmiał się z własnych słów. – Nie, mocy Bridgera nie da się tak łatwo wytłumaczyć. Jedno dotknięcie czyni zabawki realnymi. Widzieliście to przed chwilą na przykładzie buteleczki z eliksirem uzdrawiającym, którą narysowała Thisbe.

– Elixirem uzdrawiającym? – powtórzył senseista.

– Mycroftie! – zawołał Major. – Podajcie Carlyle'owi pusty pojemnik. Niech się przekona, że jest realny.

Zrobiłem to. Palce senseisty drżały, jakby się spodziewał, że szkło może się rozprysnąć pod jego dotykiem. Tak się nie stało.

– To działa na wszystkie podobizny – kontynuował Major – Posągi, lalki, zwierzęta origami. Jeśli chcecie to sprawdzić, mamy papier. Możecie zrobić żabę. Ale nie żurawia. Żaby mogą być wielkości naturalnej, ale żurawie nie powinny być wysokie na palec. To zbyt okrutne i kończy się źle.

Carlyle zajrzał pod stół, gdzie krzesło na wpół zasłaniało skuloną postać owiniętą w dziecięcą szatę, ongiś niebiesko-białą, a teraz niebieską i porządnie poszarzałą.

– Wy jesteście Bridger?

Podciągnięte pod brodę kolana powędrowały jeszcze wyżej.

– A wy jesteście Kuzyn Carlyle Foster?

Thisbe podeszła bliżej. Jej głos i postawa nagle nabrały władczego charakteru. Uwolniła morze czarnych włosów od spowijającego je ręcznika, chroniącego przed zamoczeniem pod prysznicem. Włożyła też buty, wysokie humanistyczne buty z mocno naciągniętej skóry, ozdobione namalowanym brush penem pejzażem, z tych z krętymi rzekami i skrytymi we mgle górami, w których oko bardzo łatwo się gubi. Każdy Humanista przeobraża się, staje się silniejszy i bardziej dumny, gdy tylko włoży buty, dzięki którym każdy członek ich Pasięki

może odcisnąć swój ślad w pyle historii. Jeśli jednak inni Humanieści zmieniają się wówczas z kotów w królewskie tygrysy, Thisbe staje się czymś bardziej ekstremalnym, jakimś pierwotnym drapieżcą, po którym w dzisiejszych czasach pozostało jedynie wspomnienie zapisane w szpiku naszych kości. Wlepiała spojrzenie w intruza, a wszystko w jej postawie wyrażało moc: rozprostowała ramiona, a smagłą szyję trzymała prosto, zapominając o upokorzeniu, jakim była noszona od wczoraj koszula. Jestem przekonany, że w głębiach rodowodu Saneerów kryje się odrobina metyskiej krwi, ale poza tym Thisbe to czyste Indie. Jej wielkie oczy były dodatkowo powiększone przez długie czarne rzęsy, dzięki czemu nie tyle przeszła, ile objęła swym ostrym spojrzeniem nieszczęsną ofiarę, powtarzając nazwisko senseisty. Jednakże tym razem to ja byłem celem tego spojrzenia, do mnie wycedziła przesadnie powoli:

– Kuzyn Carlyle Foster?

Skinąłem głową – tak leciutko, jak tylko mogłem, potwierdzając, że wrzuciłem już to nazwisko w wyszukiwarke i wyświetlacz danych na moich soczewkach pokazał mi akta policji, dane o zatrudnieniu oraz historię członkostwa w Pasiece Kuzynów. Moje upoważnienia przebijały się przez bariery jak nóż sekcyjny przez ciało. Po paru minutach wiedziałem o senseiście więcej niż on sam o sobie. Gdybyś Ty strzegł Bridgera, Czytelniku, byłbyś tak samo czujny.

– Przepraszam. – Carlyle również wiercił się nerwowo pod spojrzeniem Thisbe. – Nie chciałem tu wtargnąć bez pozwolenia. Po prostu wyglądało na to...

– Przekonajcie mnie, że powinnam wam zaufać. Uwierzyć, że nikomu nie wspomnicie ani słowem o najpotężniejszej i najbardziej niebezpiecznej mocy na świecie.

– Niebezpiecznej?

– Mogłam napisać na tej buteleczce „śmiercionośna superepidemia”.

Błede policzki Carlyle’a pobladły jeszcze bardziej.

– Powinniście, ponieważ... mogę... pomóc wam... w sprawie... kontekstu? Porównań, scenariuszy i różnych „izmów”, które pozwolą wam nazwać to, co się wydarzyło!

Przerywał co chwila, co przekonało mnie skuteczniej niż jego argumenty. W tych przerwach borykał się z nakazem milczenia, narzucanym przez prawa zabraniające prozelityzmu oraz śluby Konklawe zakazujące mu zdradzania własnych przekonań, wskutek

czego nie mógł nazwać tego spotkania przypadkiem, zrzędzeniem losu, dziełem opatrności ani kaprysem odbijających się od siebie atomów. Ale Carlyle był dobrym senseistą. Nie popełniał takich błędów nawet w skrajnych sytuacjach.

– Nazwy, scenariusze – odparła zimno Thisbe. – A potem sugestie? Że Bridger powinno stworzyć to albo tamto? Złoto? Diamenty? A następnie przedstawienie go jednemu przyjacielowi, później drugiemu, a wreszcie bogatym i potężnym?

Carlyle zmarszczył czoło. Jego młoda skóra ułożyła się w delikatne zmarszczki.

– Pieniądze? W jakim celu... To jest nieporównanie ważniejsze niż bogactwo. To jest teologia!

Zauważyłem, że twarz Thisbe zmieniła wyraz, przechodząc od srogości maskującej gniew do takiej, która skrywa śmiech.

– Możecie mi zaufać – ciągnął Carlyle. – Konklawe z wielką starannością wybrało senseistę dla waszego baszu. To oczywiste, z uwagi na jego szczególną rolę. Gdybym chciało nadużyć swej pozycji, wystarczy mi klucz do drzwi baszu Saneer-Weeksbooth, by spowodować ogólnoswiatową katastrofę.

– To prawda.

Wątpię, by Carlyle uważał aluzję do pracy Thisbe za komplement, niemniej kobieta uśmiechnęła się i dotknęła ściany, by poczuć wibrację systemu komputerowego ukrytą w głębi. Strzegli go członkowie jej baszu, ich baszrodzice, badziadkowie i tak dalej, aż do czasu, gdy przed niemal czterema stuleciami Gulshan i Orion Saneer oraz Tungsten Weeksbooth uczynili ten dom w Cielo de Pájaros filarem naszego świata.

Carlyle zaczął się rozpędzać.

– Jestem tu dlatego, że Konklawe wie, iż nigdy nie nadużyłbym swojej pozycji. Nigdy.

Thisbe uniosła podbródek, by nadać swemu spojrzeniu bardziej władczy charakter.

– Zachowacie to w absolutnej tajemnicy. Wszystko, co tu widzieliście. Sam fakt istnienia Bridgera.

– Tak. Oczywiście.

– Przysięgnijcie – wtrąciłem. Thisbe nie wpadłaby na to, by o to poprosić.

– Przysięgam.

– Na coś? – zapytałem.

– Tak, na coś. – Carlyle rozciągnął policzki w ciepłym uśmiechu, zapewne wyrażającym dumę z siły jego wiary w coś, w co wierzył. – Mogę wam pomóc. Mam potrzebne wykształcenie. Nie boję się słowa „nadprzyrodzone”. Nie boję się zbadać tej sprawy, bez zmuszania kogokolwiek do czegokolwiek, ale jedynie za pomocą hipotez, eksperymentów myślowych, słuchania i mówienia.

– Czy boicie się słowa „cud”? – zapytałem.

– Nie. – Patrzył teraz na mnie, a ja odwróciłem głowę, by ukryć fakt, że brakuje mi kawałka prawego ucha. Mógłby skojarzyć to z imieniem „Mycroft” i uświadomić sobie, kim jestem. – W gruncie rzeczy zalicza się ono do moich ulubionych.

Uniosłem wreszcie wzrok i przyjrzałem się Kuzynowi. Z zadowoleniem przekonałem się, że pod jego szatą oznaczającą Pasiekę i chustą symbolizującą powołanie kryje się niewiele insygniów. Nosił czerwonobrazową bransoletę czytelnika kryminałów, skarpetki w zielone pasy, świadczące, że jest miłośnikiem herbaty, a na jednym bucie zacisk rowerzysty, ale nic politycznego. Nie miał znaków grupy narodowej ani nawet kampusowej obrączki. Uśmiechnął się na znak aprobaty, a stojący na błacie Major skinieniem głowy wyraził swoją. Thisbe nadal unieruchamiała nas spojrzeniem swych ciemnych oczu, zabraniającym przerywać jej wewnętrzną debatę. Gdy wreszcie się uśmiechnęła, atmosfera w całym pokoju złagodniała razem z jej miną. Gorąca jak impuls z broni energetycznej groźba przemocy zniknęła w chwili, gdy rozluźniła mięśnie, niczym dym rozwiany przez uzdrawiający wietrzyk.

Thisbe uklękła przy stole.

– Bridgerze? – zapytała, przywołując swój najłagodniejszy ton. – Czy moglibyście wyjść i poznać senseistę Carlyle’a Fostera?

Ukryty pod stołem chłopiec zakołysał się w kolebce własnych kolan. Bezgłośnie łkanie rwało mu oddech.

– Wskazujący nie żyje.

Przeprosiłem w myślach Wskazującego, chłopaka i żołnierzy, że pozwoliłem na to, by kryzys wywołany pojawieniem się intruza zakłócił ich żałobę. Nadal starając się przechylać głowę tak, by ukryć uszkodzone ucho przed Carlyle’em, wczołgałem się pod stół i uściskałem Bridgera, by przekazać mu tyle ciepła, ile tylko mogłem. Pogłaskałem go po włosach, które przybrały ostatnio barwę

złotobłond, tracąc jaśniejszy, prawie biały odcień dzieciństwa. Trudno było uwierzyć, że skończył już trzydzieści lat.

– Wiecie, kto to jest senseista, prawda? – zapytałem. – Pamiętacie, co wam powiedziałam?

– Senseista to... – Łkanie przerywało jego odpowiedź niczym czkawka. – Ktoś, kto... kocha wszechświat tak... tak bardzo, że... poświęca całe życie... na rozmowy o... wszystkich rozmaitych sposobach... na jakie mógłby być urządzony.

Uśmiechnąłem się, słysząc własną definicję powtórzoną dziecięcym głosem.

– Senseiści pomagają ludziom zastanawiać się nad tym, skąd wziął się świat, czy istnieje jakiś plan i czy ktoś tym wszystkim kieruje, czy raczej wszystkim rządzi chaos, a także o tym, co dzieje się z ludźmi po śmierci. Carlyle jest senseistą. Może wam pomóc myśleć o tych sprawach. Zwłaszcza o śmierci.

Otoczony moimi ramionami Bridger zdobył się na to, by unieść wzrok i spojrzeć w twarz nieznanemu.

– Czy wolno mi przywołać Wskazującego z powrotem? Czy to będzie w porządku? Mogłoby zrobić eliksir, który przywróci mu życie, ale nie wiem, dokąd poszło, kiedy umarło. Może to jakieś dobre miejsce i nie powinno się go stamtąd zabierać, ale może jest złe. Albo nigdzie nie poszło, a po prostu zniknęło. Wiecie to?

Carlyle rozciągnął usta w perfekcyjnym, spokojnym, szczerym uśmiechu. Podziwiałem to, jak szybko wrócił do siebie. Niespełna dwie minuty temu zaciskałem mu tchawicę, a teraz był jedyną spokojną osobą w pokoju. Prawdziwy senseista.

– Nie wiem – odpowiedział. – Nie na pewno. Ludzie wysuwali mnóstwo rozmaitych sugestii i wiele możliwości wspierają dobre argumenty. Możemy o nich porozmawiać, jeśli chcecie. Czy myślicie, że Wskazujący dokądś poszło?

Mój Panie, czy wierzysz, że sam przypadek, bez wsparcia opatrności, zesłałby temu dziecku w owym momencie tak odpowiedniego przewodnika?

– Nie sądzę, żeby Wskazujący po prostu zniknęło. – Bridger wytarł nos w rękaw, a swój rękaw w mój. – To by było niesprawiedliwe.

Wprawny uśmiech Carlyle'a niczego nie zdradzał.

– Bardzo wielu ludzi zgadza się z tą opinią.

– Nie byłoby też sprawiedliwe, gdyby poszło w jakieś złe miejsce.

– To zdanie również podziela wielu ludzi. Wskazujący mogło pójść do wielu dobrych miejsc. Niektórzy powiedzieliby, że odrodziło się jako ktoś inny. Inni, że znowu stało się jednością z wszechświatem, tak samo jak przed urodzeniem. Jeszcze inni, że odeszło w zaświaty.

Bridger wcisnął palce w moje ramię.

– Jak Hades albo niebo. Można tam spotkać wszystkich ludzi, których znało się za życia, na przykład mamę albo tatę.

– Tak, niektórzy myślą, że to właśnie może się wydarzyć po śmierci.

– Ale Wskazujący nigdy nie miało mamy ani taty, bo to ja ich stworzyłam. Pamiętało ich, tak samo jak kraj, w którego armii służyło, i wojnę, w której walczyło, ale nic z tego nigdy się nie wydarzyło, bo to wszystko było wymyślone. Czy wymyśleni umarli mogą odchodzić w zaświaty?

Pięć lat nauki i cztery lata praktyki nie wystarczyły, by Carlyle mógł znaleźć odpowiedzi na to pytanie. Zagłębiłem się dokładniej w jego akta, wykraczając poza świadectwa nagród, pochwały od parafian, życiorysy współbaszowców. To był bezpieczny, szerzej nieznany basz, sami Kuzyni, w większości nauczyciele plus masażysta, dwóch malarzy murali i oboista. Znalazłem nawet zapiski z sierocińca. Spodziewałem się zobaczyć nazwisko „Foster”, a z pewnością nie oczekiwałem słów „utajniony genotyp”.

Być może w Twoich czasach, dobry Czytelniku, ludzki gatunek jest lepszy. Wystarczająco dobry, by nie potrzebować tak złowrogiego narzędzia. Powszechny katalog DNA, nasze najpewniejsze zabezpieczenie przed zbrodnią albo chorobami, położył kres anonimowości podrzutków. Rodzice zostawili swe podpisy w każdej komórce ich ciała. Sądy w pierwszej chwili uznały to za triumfalne potwierdzenie praw porzuconych. Trzeba było dopiero skandalu Cooperów i potrójnego samobójstwa Chaucer-Kingów, żeby prawo przyznało, iż jeden podrzutek na tysiąc nosi w swych genach zapis przeszłości zbyt trudnej, by można było z nią żyć. Dlatego stworzono nieliczną rasę „utajnionych genotypów”. Wbrew plotkom nie chodzi tu o geny tak odrażające, że nie można ich ujawniać publicznie, lecz po prostu o zakaz sądowy zabraniający dziecku dostępu do genetycznego dziedzictwa, dla jego własnego dobra. Prawo daje sądom, nie rodzicom, możliwość decyzji o tym, które przypadki zasługują na status utajnionych genotypów, aczkolwiek rodzice mogą prosić (albo przekupywać) sądy, jeśli uznają to za konieczne. Gwałt na ogół nie jest

wystarczającym powodem. Zapewne przychodzi Ci na myśl kazirodczy gwałt, Czytelniku, i czasami rzeczywiście tak jest, ale z reguły opowieść jest dłuższa i dziwniejsza. Gdyby królowa Troi, Hekuba, która wydała na świat niewiarygodną liczbę pięćdziesięciorga dzieci, urodziła pięćdziesiąte pierwsze nie w wieżach Ilionu, lecz w namiotach dla niewolnic po upadku miasta, gdzie trojańskie kobiety obejmowały kolana nowych panów rękami nadal białymi od popiołów ich mężów, gdyby w takiej godzinie mściwy los uznał, że hańba królowej nie jest jeszcze absolutna, i pozwolił, by gwałt zasiał ostatnie nasienie w macicy, która dała życie tak wielu, po to tylko, by wszystkich spotkała śmierć, i w dodatku wybrał nie nasienie herosa – Menelaosa, Ajaksa albo jakiegoś innego króla, lecz wydał jej ciało na pastwę żądz krzywonożnego Tersytesa, najbrzydszego i najnędnieszego ze wszystkich mężczyzn, którzy przybyli pod Troję, spłodzony w ten sposób syn byłby utajnionym genotypem. Uśmiechnąłem się, myśląc o imieniu „Carlyle”. Sądziłem dotąd, że sierociniec wykazał się brakiem oryginalności, wybierając imię, które stało się najpopularniejsze na Ziemi, odkąd skreśliłem Mycrofta z listy. Musisz jednak przyznać, Czytelniku, że utajnionemu genotypowi, któremu odmówiono wszelkiej przeszłości (nawet historii rodziców, która mogłaby mu przynajmniej dać dziedzictwo zwane zemstą), należy się przynajmniej imię bohatera.

– Jakiś problem?

Thisbe przykucnęła koło mnie i wyszeptała to pytanie, zapewne zauważywszy, że wzdrygnąłem się na hasło „utajniony genotyp”.

– Niewykluczone – odpowiedziałem równie cicho. – Lepiej zabierzcie stąd Bridgera. – Poglaskałem chłopca po włosach. – Chcecie iść do domu, Bridger? – zaproponowałem. – Nie musicie teraz rozmawiać z Carlyle’em. Możecie wrócić do siebie, żeby Mama Lalka upiekła wam ciastka, a dopiero później zdecydować, czy wskrzesicie Wskazującego.

– Ale...

Uścisnąłem jego ramię.

– Wskazujący i tak już nie żyje. W tej chwili nic tego nie zmieni. Możecie zdecydować w dowolnej chwili.

– A co, jeśli jest w jakimś złym miejscu? Takim jak piekło?

Chwyciłem ramię chłopca jeszcze mocniej. Ścisnęło mnie w gardle i nie byłem w stanie mu odpowiedzieć.

Major poradził z tym sobie lepiej ode mnie.

– Wskazujący był żołnierzem, Bridgerze. Był gotowy na śmierć, czymkolwiek może ona być.

W chłopcu pękła mała tama odwagi. Wybuchnął płaczem, częściowo tłumionym przez jego próby bycia silnym.

– Chodźcie.

Uniosłem Bridgera przed sobą. Moje ręce zapomniały, że nie jest już tak łatwo go podnieść.

– Czy... nie po... winniśmy... poro... zmawiać z sense... istą?

Jego odwaga sprawiła, że moje oczy również zaszyły wilgocią.

– Może nas odwiedzić kiedy indziej – zasugerowałem. – Jutro czy kiedy tylko zechcecie. Prawda, Carlyle?

– Tak.

Rzadko zdarzało mi się słyszeć w tym słowie więcej pasji.

Bojaźliwy jak pisklę Bridger wyszedł spod stołu. Towarzyszył mu Boo, jaskrawoniebieski pies długi prawie na metr. Skomlał teraz z niespokojnym współczuciem, zupełnie jak prawdziwe psy. Nawet po bliskich oględzinach można by go wziąć za u-bestię bądź zaawansowanego technologicznie robota jakiegoś innego rodzaju albo za genetycznie zmodyfikowanego towarzysza, jako że Bridger usunął wszelkie ślady po szwach. To właśnie Boo zdradził przede mną dziesięć lat temu istnienie chłopaka, choć nigdy nie uświadomiłbym sobie, czym naprawdę jest, gdyby los nie umieścił go na mojej drodze dokładnie w chwili, gdy cud Bridgera utracił moc i żywe stworzenie zmieniło się na moich oczach w zwykłą pluszową zabawkę.

Bridger pochylił się, wspierając bark o blat stołu.

– Wszyscy na... – Znowu targnęło nim łkanie. – Wszyscy na pokład.

Szeptał chóralne słowa pocieszenia, maleńcy żołnierze wdrapali się na szatę chłopca, jakby wchodzili do siatki bagażowej, i usiedli na niej jak marynarze na rejach.

– A co z ciałem? – zapytał chłopiec.

– Ja się nim zajmę – zaproponowała Thisbe. – A wy zjedzcie coś i odpocznijcie. Na pewno Mama Lalka czeka już z porządnym obiadem.

Bridger potarł powieki, rozsmarowując słone łzy po poczerwieniałych policzkach.

– Dobra.

Chciałem wyjść spod stołu w ślad za chłopakiem, ale Thisbe podeszła bliżej, więząc mnie tam solidnymi kratami swych nóg. Bridger ruszył

przed siebie, ale zatrzymał się, zauważywszy, że nie idę za nim.

– Mycroft nie idzie? – zapytał.

Thisbe świetnie sobie radzi z uśmiechami, które nie wyglądają na wymuszone.

– Zaraz do was przyjdzie, kochanie, ale musi jeszcze chwilę tu zostać, żeby mi pomóc. W porządku?

– W porządku – powtórzył Bridger. Jego mina sugerowała, że jest niezadowolony, ale był dzielnym chłopcem i starał się nie okazywać tego po sobie.

– Chwileczkę! – zawołał Major, gdy Bridger otworzył drzwi. – Carlyle Foster.

Bojaźń sparaliżowała senseistę, gdy Bridger zatrzymał się obok niego, pozwalając mu po raz pierwszy ujrzeć z bliska niewiarygodnie perfekcyjne podobizny ludzi, którzy byli nie wyżsi niż długość palca.

– Słucham?

– Parę słów ostrzeżenia. Jesteśmy mali, ale nadal pozostajemy żołnierzami. Prawdziwymi żołnierzami. Zadawanie śmierci nie jest nam obce. – Przerwał na moment, by jego słowa mogły nabrać należytej wagi. – Będziemy mieli was na oku. Jeśli nas zdradzicie, jeśli choć spróbowacie to zrobić, jeśli staniecie się zagrożeniem dla Bridgera, zabijemy was. Nie będzie drugiej szansy. Nie narazimy tej mocy na jakiegokolwiek niebezpieczeństwo. Po prostu was zabijemy. Jasne?

– Złożyłem przysięgę. Nie złamię jej.

Znajdowałem się po przeciwnej stronie pokoju i nie widziałem wyrazu twarzy Majora. Nie miałem pojęcia, czy uśmiechnął się, słysząc pasję i szczerą w głosie senseisty, czy też zmarszczył brwi, widząc jego twarz, tak pełną radosnego niedowierzania w realność tej groźby.

– W takim razie będziecie tu jutro mile widziani, Carlyle Foster. Potrzebujemy kapłana albo senseisty, czy jakim tam mianem właściwie się posługujecie. Chłopak najbardziej, ale reszta moich ludzi również. Brakowało nam tego. Będziemy wdzięczni, jeśli przyjdziecie.

Carlyle milczał zafascynowany. Major rzucił na niego czar. W jego głosie brzmiało wielkie doświadczenie, a twarz była zanadto porwana bruzdami troski w porównaniu tym, co widzi się w naszej łagodnej epoce. Myślę, że nawet gdyby żołnierz był normalnego wzrostu, senseista wyczułby, że znalazł się wśród nas obcy.

– Do zobaczenia, Majorze. Do zobaczenia, Bridgerze. Do zobaczenia, żołnierze. – Thisbe zakończyła przeciągającą się chwilę, celowo posługując się przenikliwym, śpiewnym tonem, który skłonił chłopaka do odejścia. Uśmiech utrzymywał się na jej twarzy tylko do chwili, gdy drzwi się za nim zamknęły. – Przejdźmy do ważnych spraw. – Spojrzała na Carlyle’a. Nadal stała w tym samym miejscu, więżąc mnie pod stołem. – Major powiedziało, że was zabije, jeśli spieprzycie sprawę, więc lepiej słuchajcie uważnie. Zasada numer jeden: nie wolno wam powiedzieć nikomu o Bridgerze. Absolutnie nikomu. Ani współbaszowcom, ani szefowi, ani policji, ani kochankom...

– Ani mentorowi z Konklawe Senseistów – dodałem.

– Tak jest – zgodziła się. – I waszemu senseiście też nie. Absolutnie nikomu.

– Rozumiem – odpowiedział.

– Tak sądzicie? Dochowanie tajemnicy jest trudniejsze, niżby się zdawało.

Thisbe usiadła na blacie tak, że jej ozdobione malowanymi pejzażami buty dyndały mi tuż przed twarzą.

Carlyle spojrzał w jej ciemne, otchłanne oczy i nie odwrócił wzroku.

– Jestem senseistą. Dotrzymuję słowa i nie zdradzam niczyich tajemnic. Ani teraz, ani nigdy.

– Zasada numer dwa. Nie wolno wam brać próbek rzeczy stworzonych przez Bridgera, by poddawać je testom. Wszyscy jesteśmy za tym, by zbadać je naukowo, ale mamy dostęp do laboratoriów i znamy zaufanych ludzi, którzy dotrzymują tajemnic. Jeśli chcecie wykonać jakieś badanie, możecie je zasugerować. Zawsze chętnie słuchamy nowych pomysłów, ale badania przeprowadzamy sami.

Skinął głową.

– To ma sens. Cieszę się, że wykonujecie takie próby.

– Zasada numer trzy – ciągnęła Thisbe. – Nie będziecie przynosić Bridgerowi nowych zabawek, obrazków, książek ani niczego w tym rodzaju, nie pokazawszy ich najpierw nam.

Uniósł brwi.

– Czy mogę zapytać, dlaczego?

– Przywiązanie – wyjaśniła. – Bridger wie, że nie może wypełnić całego świata żywymi zabawkami, ale czasami się denerwuje, kiedy przywiązuje się do jakiejś postaci, której nie powinien obdarzyć

życiem.

Skinął głową.

Thisbe zrobiła to samo.

Czy niepokoi Cię, Czytelniku, że w każdym zdaniu przypominam Ci o płci ich obojga, pisząc „ona” i „on”? Czy wyobrażasz sobie, jak padają sobie nadzy w ramiona, wypełniając nawet tę prostą scenę lubieżną zmysłowością? Językoznawcy powiedzą Ci, że starożytni byli mniej wrażliwi na nacechowany płciowo język niż my, że reagujemy na niego, ponieważ jest czymś rzadkim, ale w dawnych wiekach słyszało się rozróżniające płeć formy w każdym zdaniu, aż stało się to czymś zwyczajnym, podobnie jak widok kostki nie wydaje się już czymś zmysłowym, gdy spódnice stają się krótkie. Nie wierzę w to. Osobiście uważam, że rodzaje gramatyczne wydawały się naszym przodkom tak samo erotyczne jak nam, ale po prostu zostawiali miejsce dla seksu we wszystkich myślach i gestach, podczas gdy w naszej pruderyjnej erze ukrywamy się za neutralnymi płciowo formami, udając, że nie przyjmujemy założenia, iż dwie osoby, które spojrzały sobie w oczy, mogły już popełnić cudzołóstwo w myślach, jeśli nawet nie w ciele. Sprzeciwisz się, mówiąc: „Mój umysł nie jest tak brudny jak twój, Mycroftie. Moje wątpliwości biorą się stąd, że to dziwne, iż używasz rodzajów gramatycznych, opisując wydarzenia z połowy dwudziestego piątego wieku, gdzie nie ma dla nich miejsca”. Gdybyż tylko była to prawda, drogi Czytelniku. Gdybyż w moich czasach słowa „on” i „ona” oraz ich elektryzująca moc były czymś całkowicie nieznanym! Niestety, od tych właśnie słów zaczęła się transformacja, którą rozkazano mi opisać, i dlatego muszę się nimi posługiwać. Przykro mi, Czytelniku. Nie mogę ofiarować Ci wina bez zawartej w nim trucizny, jaką jest alkohol.

Carlyle się uśmiechnął.

– To dobre zasady, rozsądne środki ostrożności.

Myślę, że te słowa miały wyrażać uznanie, ale poirytowana Thisbe wierzgnęła nogą pod stołem, omal nie uderzając mnie obcasem w nos. Pewnie, że były rozsądne. Była Thisbe Saneer z baszu Saneer-Weeksbooth, któremu od chwili jego narodzin zlecono opiekę nad jednym z najpotężniejszych fundamentów naszej cywilizacji. Kim był ten mały Kuzyn, by miał prawo chwalić bądź ganić podjęte przez nią kroki?

– W takim razie przestrzegajcie ich.

– Tak zrobię. – Carlyle oblizwał wargi. Tysiąc pytań walczyło w jego umyśle o prawo pierwszeństwa. – Skąd się wzięło Bridger?

Głęboko zaczerpnęła tchu.

– Nie wiemy tego. Kiedy ożywiło żołnierzyków, było małym chłopcem. Nie mamy pojęcia, co wydarzyło się przedtem. Od tej pory opiekujemy się nim w tajemnicy. Nie zdradzimy przed światem jego istnienia, dopóki nie stanie się wystarczająco dojrzałe, by zrozumieć implikacje swych mocy oraz zdecydować, czy i komu jest gotowe je zademonstrować.

– Cały ten czas mieszka w waszym baszu?

– W kwietnym rowie za domem – poprawiła go. – Są tam kryjówki.

– Czy reszta baszu o tym wie?

– Nie.

– Cato – odezwałem się.

– To prawda. – Thisbe roześmiała się, być może z siebie, a być może z myśli, że wśród jej współbaszowców jest ktoś tak nieszkodliwy, iż mogła o nim zapomnieć. – Cato poniekąd wie.

– Cato Weeksbooth? – Zauważyłem błysk w soczewkach Carlyle’a, który przywołał plik z informacjami. – Jeszcze się z nim nie umówiłem, ale wysłałem wiadomość z prośbą o wyznaczenie terminu.

Thisbe zmarszczyła brwi.

– Cato nie wie o mocach Bridgera ani o żołnierzykach. A nawet o tym, że chłopiec mieszka w naszym rowie. Ale przyprowadzamy go do klubu naukowego dla dzieci prowadzonego przez Cato, więc wie, że jesteśmy z Mycroftem jego mentorami. Ale na tym koniec.

– Mycroft...

Carlyle wreszcie przyjrzał mi się z uwagą. Klęczałem pod stołem, starając się wyglądać tak niegroźnie, jak to tylko możliwe w przypadku człowieka, który przed chwilą z brutalną szybkością powalił senseistę na podłogę. Czy powinienem teraz siebie opisać? Co zobaczył Carlyle? Nie rzucam się zbyt w oczy. Byłbym mniej więcej tego samego wzrostu co Thisbe, gdybym nie nauczył się garbić, karnację mam dość ciemną, a moje równie ciemne włosy zawsze wydają się za długie. Wynędzniała twarz sprawia, że niektórzy obawiają się, że za mało jem. Dłonie z czasem mi stwardniały od fizycznej pracy, a mundur usługowca – beżowy w szare cętki – zwisa na mnie tak luźno, że mogę w nim spać. Gdybyś mnie spotkał na ulicy, nie zwróciłbyś na mnie najmniejszej uwagi. Nawet mając przed

oczami stare zdjęcia, nie poznałbyś mnie, gdyby nie charakterystyczne ucho. Na szczęście to mundur przyciągnął uwagę Carlyle'a. Zauważyłem, że senseista odsunął się ode mnie na pół kroku z pogardą, jaką wolni ludzie okazują skazanym.

Kiedy ludzie widzą mundur usługowca, zbrodnią, która przychodzi im na myśl, najczęściej jest zabójstwo dla zysku – czyn, którego skazany nie ma potrzeby powtarzać, odkąd prawo zabroniło mu posiadania czegokolwiek. Obdarzeni większą wyobraźnią mogą podejrzewać wielki korporacyjny przekręt, pozbawienie życia w akcie zemsty za jakiś zły uczynek pozostający poza zasięgiem prawa bądź też zbrodnię w afekcie, jak zabójstwo kochanka przyłapanego w objęciach rywala w triumfalnej, lecz krótkiej chwili szaleństwa. W początkach szesnastego wieku święty sir Tomasz More opisał humanitarny, choć fikcyjny system sprawiedliwości znany rzekomo w Persji. Skazańców nie zakuwano tam w łańcuchy w jakimś mrocznym, wypełnionym zarazą lochu, lecz czyniono ich niewolnikami państwa. Pozbawiano ich domu oraz dobytku, a następnie kazano wędrować i spełniać rozkazy każdego obywatela potrzebującego pracownika. Wszyscy wiedzieli, kim są ci skazańcy, nikt więc nie dawał im żywności ani schronienia, chyba że w zamian za pracę. Nie mając nic do stracenia ani do zyskania, aż po kres swoich dni służyli społeczeństwu, wypełnieni pozbawionym ambicji spokojem. Czy nasi przodkowie w dwudziestym drugim wieku stworzyli Program Usługowców, oferując przestępcom uznanym za wystarczająco niegroźnych, życie wśród wolnych ludzi, dożywotnią służbę społeczeństwu zamiast więzienia, inspirowani wymyślonym siedemset lat wcześniej systemem, którego nigdy dotąd nie wprowadzono w życie, byli postępowi czy raczej reakcyjni? Odpowiedz mi na to pytanie, Czytelniku.

– Czy pomagacie w wychowywaniu Bridgera? – zapytał Carlyle.

– Mycroft odkryło go przypadkowo, tak samo jak wy – odpowiedziała Thisbe. – Przyznaję, że trochę oszukuję, wpisując „sprzątanie” zamiast „opieka nad dzieckiem” w jego kartę godzinową, ale to nie narusza ducha prawa.

Wstrzymałem na moment oddech, gdy senseista trzymał w dłoni moją kruchą przyszłość. Jednakże Carlyle jest miły z natury i uśmiechnął się nawet do mnie.

– Miło mi was poznać, Mycrofcie. Z pewnością sąd przydzielił wam

senseistę?

– To prawda.

– I ta osoba nie wie o Bridgerze?

– Zgadza się.

– A wy, Thisbe? Mieliście kiedyś senseistę, które wiedziało?

– Nie.

– To znaczy, że żadne z was nie miało okazji porozmawiać z senseistą o implikacjach tej sprawy?

– Pewnie macie rację – przyznała po chwili namysłu.

– A chcielibyście? Mamy umówione spotkanie, jeśli jesteście gotowi.

Wlepiła w niego spojrzenie.

– A wy jesteście?

– Zawsze. – Spodobało mi się „zawsze” Carlyle’a, wypowiedziane stanowczym tonem, jakby przypomnienie o jego prawdziwym powołaniu przywołało w nim przypływ energii. – Mycroftie, gdybyście chcieli umówić się ze mną na sesję, z pewnością zdołałoby mi załatwić pozwolenie.

– Zastanowię się nam tym – odpowiedziałem, wyczołgując się wreszcie na wolność między nogą stołu a nogami Thisbe.

Zmarszczyła brwi.

– Mycroftie, nie musicie nas opuszczać tylko dlatego, że...

– Czekam na mnie praca.

To była prawda. Już od pewnego czasu brzęczało mi w uchu wezwanie z Dyrektoriatu Naczelnego Mitsubishi. Zwlekałem, ponieważ Bridger miał pierwszeństwo, ale teraz zdobyłem dodatkowy powód, by odwiedzić Tōgenkyō. Moje wyszukiwanie wniknęło głęboko. Nie było zbyt wiele utajnionych genotypów urodzonych w roku 2426. Rodzice mogący spłodzić dzieci z oczami o tym odcieniu błękitu i włosami z taką dokładnie nutą złota również nie byli szczególnie liczni, podobnie jak szpitale, których akta nie otworzyłyby się przed kodami dostępu, jakie miałem przywilej sobie pożyczyć. Wszystko to doprowadziło mnie do Tōgenkyō.

Thisbe wie, że nigdy nie odpowiadam na pytania dotyczące mojej pracy.

– Czy zobaczę was wieczorem?

Pochyliła się ku mnie i dotknęła moich pleców. Jej dłoń i palce przesunęły się powoli po konturach mojego ciała. Z twarzy Carlyle’a wyczytałem, że natychmiast wyobraził mnie sobie nagiego w jej

objęciach. To właśnie była największa przysługa, jaką mi wyświadczala. Nie musiała nawet kłamać. Wprawna kobiecość wyrażająca się w jej leniwych pozach, przekonałaby wszystkich, nawet baszrodzone, z którym dorastała, że za moimi ciągłymi wizytami nie kryje się nic więcej niż zwyczajny zakazany romans. Carlyle widział już Bridgera, więc nie musieliśmy go oszukiwać, ale ktoś, kto myśli, że poznał już czyjąś brudną tajemnicę, z reguły nie będzie drażył głębiej.

Odpowiedziałem na ten gest, z równą wprawą głaszcząc Thisbe po policzku.

– Mam taką nadzieję.

Pochyliła się nad moim uchem, licząc na to, że dzięki naszej grze pozorów wyda się to naturalne.

– Czy ten Kuzyn to dla nas groźba? – wyszeptała.

– Dowiemy się za kilka godzin – odpowiedziałem równie cicho. – Tymczasem wykorzystajcie sesję, żeby je poznać, poddać próbie.

Rozciągnęła usta w ciepłym, szerokim uśmiechu.

Wychodząc, byłem pełen obaw. Nie bałem się Carlyle'a i nie obawiałem się też o jego bezpieczeństwo. Przyczyną mojego strachu była myśl, że w Tōgenkyō mogę się dowiedzieć, kto go przysłał. Był bardzo zdolny i świetnie odpowiadał naszym potrzebom, ale nie potrafiłem uwierzyć, że ze wszystkich senseistów na Ziemi przypadkowo przypadł nam akurat ten utajniony genotyp. Zabiorę Cię ze sobą do Tōgenkyō, Czytelniku, ale jeszcze nie w tej chwili. Najpierw muszę Ci pokazać, co działo się na piętrze tego baszobudynku, zanim krzyk Thisbe przywołał mnie na dół. Bo jeśli nie chcesz uwierzyć w Bridgera, będziesz zmuszony przyznać, że na górze zaczęła się połowa tego, co przeobraziło nasz świat.

Rozdział trzeci

Najważniejsi ludzie na świecie

Rankiem tego samego dnia, dwudziestego trzeciego marca, przed tym samym baszobudynkiem wylądował inny autolot. W takie poranki Cielo de Pájaros lśni niczym lodowiec, biały blask słońca odbija się w długich szeregach szklanych dachów opadających ku Pacyfikowi w potężnych stopniach, jak w czyścicu Dantego. Miasto nazwano na cześć ptaków. Jest ich tu ponoć ponad milion, dzikich, ale otoczonych staranną opieką. Wykluwają się i żerują w kwietnych rowach oddzielających tarasy. Ich stada nieustannie wyłaniają się z rowów i z powrotem kryją się w ich głębiach na podobieństwo fal na wzburzonym morzu. Cielo de Pájaros jest jednym z najwcześniejszych Miast Widokowych Krepolsky'ego. Często krytykuje się je za homogeniczność – tylko szeregi domów, bez śródmieścia czy dzielnicy handlowej – ale nigdy nie brakowało chętnych, by w nich zamieszkać. Krytycy utrzymują, że ludzie zgadzają się na życie bez śródmieścia w zamian za wspaniałą panoramę oceanu na chilijskim wybrzeżu, albo nawet że mieszkańcami kieruje głównie pasiekowa duma i Humanisci ekscytują się myślą, iż potężne komputery baszu Saneer-Weeksbooth pracują pod ich stopami. Ale nie tylko Humanisci tu mieszkają. W mieście można spotkać Kuzynów, Mitsubishian, a nawet niewielkie skupiska Gordian. Myślę, że Cielo de Pájaros odniosło sukces, ponieważ jest pierwszym miastem zaprojektowanym dla tych, którzy nie lubią miejskich centrów i pragną spędzać wieczory na wyglądaniu przez okno i podziwianiu mew oraz mrocznych fal uderzających o brzeg. Jaki byłby pożytek z miejskiego ruchu dla baszów preferujących święty spokój?

Martin Guildbreaker wysiadł z autolotu, przeszedł po błyszczącym mostku nad kwietnym rowem i zadzwonił do drzwi wejściowych. Co zobaczyli ci, którzy byli w środku, kiedy się zbliżał? Dwurzędowy masoński garnitur, jasnoszary i wyprasowany z czasochłonną perfekcją, jaką widuje się jedynie u tych, którzy dbają o wygląd po to,

by spodobać się innym – kamerdyner pracodawcy, panna młoda ukochanemu albo Martin cesarzowi. Ciemniejsza opaska na ramieniu, koloru imperialnej szarości, ozdobiona cyrklem i węgielnicą, świadczyła, że jest *Familiaris Regni*, osobą bliską masońskiemu tronowi, i otrzymał dostęp do kuluarów władzy w zamian za całkowite podporządkowanie się woli cezara zgodnie z prawem i kontraktem. Martin nie nosi grupowych insygniów, nawet reprezentujących hobby, nic poza jednym białym rękawem symbolizującym permanentne uczestnictwo w najbardziej masońskim ze wszystkich rytuałów, *Annus Dialogorum*. Włosy ma czarne, a skórę o zdrowym, brązowym odcieniu kojarzącym się z Persją. Nie będę Cię jednak zanudzał szczegółami dotyczącymi genealogii rodu, w którym od dziesięciu pokoleń nie nosi się narodowych insygniów. Guildbreakerowie są wierni jedynie Imperium. Na tym progu nikt nie mógłby być mniej mile widzianym gościem niż jeden z nich.

– Szukam członka Ockhama Saneera! – zawołał Martin przez domofon.

Strażnik domu został wewnątrz i na spotkanie intruza wyszły jedynie słowa.

– Czy zbliża się koniec świata?

– Nie.

– W takim razie odejdźcie. Muszę czuwać nad życiem ośmiuset milionów ludzi.

– To niemożliwe. – Ton Masona wyrażał przeprosiny, nawet jeśli jego słowa ich nie sugerowały. – Nakazano mi zbadać sprawę wczorajszego wtargnięcia do waszego domu. – Komputer Martina rozbłysnął, wyświetlając jego upoważnienie. – Mam nakaz.

– Wezwałam naszą policję, nie multiprawnika.

– Wiem, że to humanistyczny nasz, i szanuję suwerenność waszej Pasieki, ale jako nieruchomości o ogólnoświatowym znaczeniu podlegacie jurysdykcji Romanovy. Przydzielono mi to zadanie.

– Wydaje się wam, że ponieważ wasz basz chroni dupę *Sanctum Sanctorum*, możecie sobie tak po prostu tu wejść i udoskonalać nasze zabezpieczenia?

Nie sądzę, by Martin kiedykolwiek przedtem słyszał, by znieważono pozycję najbardziej zaufanych strażników całej Pasieki Masonów, jaką cieszył się jego basz. Zdołał się jednak nie wzdrygnąć.

– Jesteście członkiem Ockham Saneer?

– Tak – potwierdził Ockham z dumą tak wielką, jakby mógł wybierać wśród wszystkich możliwych losów w dziejach ludzkości i wybrał właśnie ten.

Martin skinął głową z należyty szacunkiem.

– Nie chodzi tylko o wtargnięcie. Próbowano was wrobić w kradzież rzeczy o znacznej wartości. Wczoraj późnym wieczorem numer waszego identyfikatora zarejestrowano na miejscu zbrodni w Tokio, a dziś rano na waszym rachunku bankowym pojawiło się pięć milionów euro. Wiem, że to absurd sugerować, że ktoś z waszego baszu dopuścił się kradzieży dla zysku, ale potrzebuję waszej współpracy, żeby ustalić, dlaczego ktoś próbuje zasugerować coś równie nieprawdopodobnego. Nie może być przypadkiem, że jednocześnie doszło do wtargnięcia u was.

Drzwi wreszcie ustąpiły i ukazał się ciemnoskóry mężczyzna indyjskiego pochodzenia. Przypominał swą siostrę Thisbe, a jego atletyczna budowa wykraczała poza przeciętną. Jego koszulę i spodnie, ongiś jednobarwne, pokrywał teraz labirynt zygzaków – czarne spirale, krzyżujące się linie, hipnotyzujące zakrętaszy. Mimo to nosił je tak nonszalancko, jakby tkanina nigdy nie zetknęła się z tuszem. Liczyły się dla niego wyłącznie buty Humanisty – lśniące stalowe druty wzmacniające szarą, jasną jak lód skórę, prawdziwą skórę osłaniającą ongiś boki jelenia, którego Ockham upolował osobiście. Podobnie jak Martin, nie nosił żadnych symboli hobby ani grup narodowych. Jego tożsamość wyrażały jedynie pasiekowe buty, wsparte potężną arogancją człowieka, który strzeże czegoś tak ważnego, że prawo pozwala mu zabijać w tego obronie. Starożytne cywilizacje, na Wschodzie i Zachodzie, znały szczególny rodzaj władzy, jaka daje pozwolenie na zabijanie. Dlatego właśnie miecz i różgi stały się symbolem panowania właściciela ziemskiego nad chłopem, mężczyzny nad kobietą, sędziego nad podsądnym. Stulecia pokoju, którymi mogliśmy się cieszyć, udoskonaliły niegroźne dla życia narzędzie przemocy tak bardzo, że nawet policjanci pełnią swą służbę bez sprzeciwów, mimo że nie wolno im zabijać. Nie jesteśmy jednak głupi. Tym, którzy strzegą całej wspólnoty, strażnikom Laboratorium Wirusowego Olenek, *Sanctum Sanctorum*, a także Ockhamowi przyznaliśmy prawo użycia „wszelkich dostępnych środków” celem ratowania milionów istnień – czy będzie to nóż, drąg, czy nawet najprostsze śmiercionośne narzędzie, jakim jest pięść.

Nawet jeśli owi strażnicy nigdy nie korzystają z tego najrzadszego ze wszystkich praw, każdym gestem i spojrzeniem wyrażają starożytną moc oraz godność rycerstwa.

– Jestem Ockham Saneer. Co rzekomo ukradłam?

Martin skinął z szacunkiem głową.

– Nieopublikowaną listę Siedmiu i Dziesięciu *Czarnej Sakury*.

Wyraz pogardy na twarzy Ockhama pogłębił się jeszcze.

– Dlaczego ktoś miałby zapłacić pięć milionów za głupi artykuł, który i tak ukaże się za dwa dni?

– Mogłoby wam podać długą listę powodów. Nie wiem jednak, kto zapłaciłby pięć milionów, żeby was wrobić. Odwiedziliście wczoraj biuro *Czarnej Sakury*? Czy kiedykolwiek mieliście z nimi kontakt?

Ockham nadal blokował drzwi, nieustępliwy jak rzeźba stojąca w niszy.

– Gdyby interesowały mnie gazety, wybrałoby raczej *Olimpijczyka* albo *El Pais*.

– Brak kartki zauważono o godzinie dziewiętnastej czasu tokijskiego. To znaczy o szóstej rano waszego. Czy to możliwe, że niedługo przedtem wyłączyliście lokalizator?

– Kartki?

– Tak. Listę sporządzono ręcznie na papierze. *Czarna Sakura* jest bardzo staroświecka pod tym względem.

Twarz Ockhama nabrała jeszcze twardszego wyrazu.

– Na tym właśnie polegało wtargnięcie. Intruz zostawił w domu kartkę papieru pokrytą japońskim pismem.

Martin przełknął ślinę.

– Czy mogę ją zobaczyć? Mam uprawnienia.

Pozwolił, by nakaz wyświetlił się na moment na soczewkach Ockhama.

Humanista odsunął się, opornie niczym mastif.

– Nie dotykajcie niczego bez pozwolenia.

– Oczywiście.

Mason przeszedł przez próg, stąpając na palcach z szacunkiem, który zwykle rezerwował dla swej stolicy.

W holu nie było prawie nic poza sięgającym Martinowi do kostek robotem ochroniarskim, który pokazał się gościowi, by przypomnieć mu o swych niezliczonych, niewidocznych współbraciach. Członkowie baszu jako lojalni Humanisci starali się udekorować ściany

pamiętkami swych triumfów, ale ponieważ większość z nich zajmowała się niemal wyłącznie pracą, a jedyna sławna osoba wśród nich ukrywała miejsce zamieszkania w tajemnicy, garstka dyplomów oraz obrazów – nagrody zdobyte przez Thisbe, okładka książki Cato – niknęły na tle ścian niczym niedokończony mural. Czy w oczach młodego Guildbreakera widzimy wzgardę? Samozadowolenie wywołane tym, jak kiepsko prezentują się Saneer-Weeksboothowie, których nazwisko konkuruje z jego nazwiskiem w triumfalnych annałach systemu baszowego? Zadałem sobie trud, by sprawdzić, które z nich jest starsze. W każdym pokoleniu mnóstwo baszów się rozwiązuje i powstaje równie wiele nowych. Dlatego każdy, który przetrwał trzy generacje, zdobywa opinię starożytnego. Moje poszukiwania odkryły coś, co muszę nazwać zaszczytnym remisem. Regan Makoto Cullen zerwała ze swym wielkim nauczycielem, Adolfem Richterem Brilllem, czwartego listopada roku 2191. Łatwo jest użyć słowa „zerwała”, ale znacznie trudniej jest to zrobić, spojrzeć w oczy człowiekowi, który przez dwadzieścia pięć lat był twoim patronem, nauczycielem i przybranym ojcem, człowiekowi uważanemu przez cały świat za największy umysł stulecia, człowiekowi, który sporządził mapę umysłu tak szczegółową, że nikomu przedtem nawet się o tym nie śniło, który zrewolucjonizował edukację, językoznawstwo i wymiar sprawiedliwości, spojrzeć mu w oczy i powiedzieć: „Myli się pan. Myli się pan tak głęboko, że obróćę przeciwko panu cały świat. To nie umysły, nie te rzadko spotykane psychiki, których mapy pan tworzy, są głównym motorem postępu. To są grupy. Badałam życie tych samych wynalazców, autorów i przywódców, co pan, i przekonałam się, że do pojawiania się tego typu osób, który to efekt tak usilnie stara się pan skopiować, najczęściej dochodzi wtedy, gdy ludzie zrywają więzy rodzinne, by zamieszkać w kolektywnym gospodarstwie domowym, złożonym z od czterech do dwudziestu osób, by wspólnie wychowywać dzieci i wymieniać się myślami, tworząc azyl wypełniony dyskusją i zabawami. Nie trzeba rewolucjonizować przedszkoli. Musimy zrewolucjonizować rodzinę”.

Cullen nie ośmieliłaby się rzucić wyzwania wielkiemu systemowi Brilla, przedstawiając tę heretycką koncepcję baszu (to skrót japońskiego słowa i-basho, które oznacza „ognisko domowe”, ale jest mocniejsze), gdyby nie sporządziła przedtem starannych notatek.

W tych notatkach (przechowywanych obecnie jako relikwie w Instytucie Brilla) można znaleźć opisy testowych baszów założonych przez nią w latach siedemdziesiątych dwudziestego drugiego wieku. Są wśród nich zarówno Weeksboothowie, jak i Guildbreakerowie.

– Czy to dźwięk komputerów? – zapytał bliskim szeptu głosem Martin, nie śmiąc dotykać ścian, drżących tak, jakby gdzieś w oddali przebiegało stado spanikowanego bydła.

– Generatorów – odpowiedział Ockham. – Możemy napędzać system przez całe dwa tygodnie, nawet jeśli podstawowy i drugi generator przestaną działać. Procesory kryją się głębiej.

Zaprowadził Martina do centralnego pomieszczenia baszobudynku, wysokiego i szerokiego salonu otoczonego szarymi kanapami. Jego przezroczysta tylna ściana wychodziła na położone niżej tarasy miasta, opadające ku błękitnemu, burzliwemu Pacyfikowi. Wnikające do środka promienie zachodzącego słońca rzucały blask na sławną ozdobę pokoju – umieszczoną w jego centrum grubą, owalną, ostro zakończoną sylwetkę *Mukty*. Z pewnością uczyłeś się o niej w szkole i zapamiętałeś ją razem z *Niną*, *Pintą* i *Apollo 11*. Nie znasz jej jednak tak, jak znają ją ci, którzy odwiedzili baszobudynek Saneer-Weeksboothów. Nie widziałeś jej cienia padającego na dywan, nie odkurzałeś jej powierzchni pokrytej dziobami pozostawionymi przez pył uderzający z siłą pocisków osiagających prędkość 9640 kilometrów na godzinę.

– Czy to oryginał? – niemalże wyszeptał Martin przepojonym czią głosem.

– Oczywiście. – Ockham pogłaskał *Muktę*, ostrożnie, jak starego psa, zbyt już słabego, by skakać na pana i tarzać się z nim po podłodze. – Serce naszego rodzinnego przedsięwzięcia. Nie opuszczała baszu od prawie czterystu lat.

Martin spojrział na widoczne za przezroczystą ścianą niebo, na którym dzisiejsze autoloty, niezliczone dzieci *Mukty*, mknęły z niemożliwą do dostrzeżenia szybkością, dopóki nie zwolniły przed lądowaniem. Unosząc się nad miastem, wyglądały jak jaja składane przez puszyste chmury.

– A co z komputerami? Jak głęboko intruz musiałoby wtargnąć, żeby do nich dotrzeć?

– Głęboko – zapewnił Ockham. – Wiele pięter, wiele poziomów.

Na piętrze rozległy się kroki innego członka baszu. Obaj rozmówcy unieśli wzrok.

– A jak można się dostać do interfejsu? – dopytywał się Martin.

– W sąsiednim pokoju są siatki interfejsowe. – Ockham wskazał głową w lewo. – Ale przeznaczone dla kartezjańskich skonfigurowanych. Nikt, kto nie szkolił się od urodzenia, nie uzyska od nich reakcji.

Mason: O wasze bezpieczeństwo dbają głównie automaty?

Humanista: Mogłoby tu być pięćdziesięciu strażników, a za pięć minut trzystu, ale ludzie to niespełna cztery procent moich zabezpieczeń.

Mason: Uważacie, że nie ma niebezpieczeństwa, że intruz może wrócić i spowodować masową katastrofę?

Humanista: Masowa katastrofa jest niemożliwa.

Mason: Jesteście tego pewni?

Przeszkadza Ci ten typowy dla dramatów zapis, Czytelniku? W osiemnastym wieku stosowano go powszechnie, opis często przechodził w czysty dialog. Dla oświeceniowych czytelników wszystkie opowieści były sztukami, czy raczej fragmentami tej samej sztuki, napisanej przez odległego, boskiego Dramaturga.

Humanista: Masowa katastrofa nam nie grozi. System sprowadzi wszystkie autoloty na ziemię, gdy tylko wykryje jakąkolwiek ingerencję. Co więcej, one potrafią lądować samodzielnie, nawet jeśli system padnie całkowicie. Problemem jest zatrzymanie całego transportu na Ziemi na czas potrzebny do sprawdzenia systemu. To może potrwać wiele minut, a nawet godzin. Cenzor powiedziało mi, że całkowite zatrzymanie ruchu kosztowałoby gospodarkę miliard euro na minutę, nie wspominając już o milionach ludzi, którzy znajdą się daleko od domu, o odcięciu dopływu zapasów, zatrzymaniu karetek pogotowia i policji. To byłaby katastrofa, o której mówiliście.

Mason: A w najlepszym razie najbardziej niszczycielski dowcip stulecia.

Humanista: Utopianie?

Przyznaj, Czytelniku, ta nazwa również przyszła Ci na myśl, przywołana przez stereotyp, podobnie jak wzmianka o tajnych uściskach dłoni każe nam myśleć o Masonach, a wspomnienie o wojnie o kapłanach.

Martin zmarszczył brwi.

– Niekoniecznie oni, choć z pewnością są zdolni do podobnych zagrań.

Humanista: Mają oddzielny system. Tylko oni.

Mason: Myślicie, że skorzystaliby na tym, gdyby wyłączyli was z akcji i pozwolili innym Pasiekom korzystać ze swoich autolotów?

Humanista: Nie zrobiliby tego.

Mason: Nie udostępniliby swoich pojazdów?

– Nie są w stanie uruchomić tak wielu jednocześnie. Nie mają takich rezerw jak my. Nie podołaliby temu.

Na sygnał Ockhama dom przywołał drugi ze swych najślawniejszych obiektów – obraz obracającej się powoli wokół osi Ziemi, oplecionej lśniącymi złotymi niciami wyobrażającymi trasy autolotów. Setki milionów nitek krzyżowały się ze sobą, tworząc gęstą płataninę całkowicie przesłaniającą kontynenty, tak że różne regiony globu różniły się od siebie tylko rodzajem utkania. Oceany były gładkimi powierzchniami niemal całkowicie równoległych tras, przywodzącymi na myśl świeżo uczesane włosy, natomiast wielkie miasta stroszyły się krzyżującymi się ze sobą trajektoriami. Wyglądało to tak, jakby Ziemia krwawiła światłem. Pozycja każdego autolotu była węzłem na nici, poruszającym się powoli naprzód z upływem sekund. Całość mieniła się niby pył powstały ze skruszonego szkła. Rzecz jasna, ten obraz nie służy żadnemu praktycznemu celowi. To tylko zabawka dla olśnienia gości. Niemniej humanistyczny basz potrzebuje czegoś, co zastąpiłoby ubogą ścianę z nagrodami.

Humanista: Złote nici to mój system. Utopiańskie autoloty są niebieskie, a te, który należą do Romanovańskiego Systemu Nagłych Interwencji, czerwone. Potraficie je zauważyć?

Martin przyjrzał się uważnie punktowi, w którym Kair rozjarzył się nagle nowymi startami po zakończeniu meczu bejsbolowego.

– Ani śladu.

– W rzeczy samej. Utrzymuję jednocześnie w powietrzu około osiemset milionów pasażerów. Gdyby wszyscy musieli rywalizować o trzydzieści milionów utopiańskich autolotów, przyniosłoby to więcej szkód niż zysków. Nikt nie skorzysta na awarii systemu.

Na schodach na górze znowu rozległy się kroki.

– ¡Ockham! – zawołał ktoś po hiszpańsku. – ¿Moglibyście tu przyjść i pomóc przesunąć łóżko Eureka? Wpadło za nie mango. A przynajmniej jego większa część. ¿Moglibyście przynieść gąbkę?

– ¡Jestem zajęte! – odkrzyknął Ockham. – ¡Niech to zrobią Kat albo Robin!

– ¡Kat!

Stukot butów Ockhama zagłuszył głos.

– Nie dosłyszałem, jak się nazywacie, Masonie.

– Martin Guildbreaker. – Otworzył oczy, uświadamiając sobie swój błąd. – To znaczy Mycroft. Naprawdę nazywam się Mycroft Guildbreaker, choć wszyscy mówią na mnie Martin. Ale nie jestem członkiem żadnego kultu ani niczego w tym rodzaju. To tylko zwykły przydomek.

Ockham skinął głową.

– W dzisiejszych czasach nie jest łatwo żyć z imieniem Mycroft.

Nie potrafił się powstrzymać przed zerknięciem w kąt, gdzie siedziałem na stołku zajęty robotem szorującym, którego funkcja samoczyszcząca nie była w stanie sobie poradzić z połączeniem kleju z włosami lalki.

– Właściwie to imię „Martin” jest gorsze, ale...

Słowa ucichły.

Martin podążył wzrokiem za spojrzeniem Ockhama i zobaczył mój mundur, ucho oraz twarz. Zamarł w bezruchu. Ockham również. Obaj wstrzymywali oddech w przeciągającej się sytuacji patowej, przyglądając się z uwagą sobie nawzajem. Przez ich umysły przepływały pytania: „Czy on wie? Skąd wie? Czy wie, że ja wiem? Co mam mu powiedzieć, jeśli zapyta, skąd wiem?”.

Spróbowałem ułatwić im zadanie, wyrwać ich ruchem z osłupienia, choć nie śmiałem odezwać się pierwszy. Wstałem i przywitałem Martina płytkim, niezgrabnym ukłonem, po czym uniosłem odruchowo rękę, by zdjąć kapelusz, choć przecież leżał na półce obok mnie. Ockham zauważył ten gest i na jego twarzy po raz pierwszy tego dnia pojawiło się coś, co można było nazwać uśmiechem.

– Czyżbyśmy karmili tego samego włóczykija?

Martin parsknął śmiechem, cichym i uprzejmie krótkim, ale wystarczającym, by spowijająca go aura sztywności nieco osłabła.

– Na to wygląda. Dzień dobry, Mycrofcie.

Powtórzyłem płytki ukłon.

– Dzień dobry, *neposie*.

Ockham zmarszczył brwi, usłyszawszy ten tytuł, krępujące przypomnienie faktu, że Masona łączą bliskie więzi z jego cesarzem.

– Oczywiście Mycroft również jest *familiarisem*. – Wskazał głową na opaskę na ramieniu Martina. – Czy w ten sposób się poznaliście?

– I tak, i nie. – Martin nie miał obowiązku mówić prawdy. – Często korzystam z jego usług.

– W jakich sprawach?

– Głównie językowych. O bepasiekowych tłumaczy nie jest łatwo, a gdy chodzi o kłopotliwą sprawę, taką jak wasza, mogą nam być potrzebne dokumenty w każdym z pasiekowych języków. A może nawet we wszystkich.

Wierciłem się nerwowo, trzymając robota w rękach. Wzrok wlepiałem w stopy Ockhama.

– *Nepos* Martin traktuje łacinę równie skrupulatnie, jak wy hiszpański – zacząłem. – I... zdobyłem też pewną wiedzę na temat multipasiekowego prawa karnego.

Z ust Ockhama wyrwało się graniczące ze śmiechem prychnięcie.

– To prawda. Czy zamierzacie korzystać z usług Mycrofta również w mojej sprawie? Absurdalne śledztwo i absurdalny detektyw.

– Z chęcią, jeśli nie macie nic przeciwko temu – odparł z uśmiechem Mason.

– Jeśli powierzam jakiejś osobie brudną bieliznę, zaakceptuję też irytujące zakłócenia z jej strony.

Martin popatrzył na niego ze zdziwieniem.

– Zlecacie Mycroftowi Cannerowi robienie prania?

Ockham znieruchomiał na chwilę. Przypuszczam, że zastanawiał się, czy powiedzenie prawdy (a przynajmniej tego, co uważał za prawdę), ułatwi mu, czy raczej utrudni pozbycie się Masona.

– Mycroft to kochanek Thisbe, a ja i Thisbe to biologiczne rodzone. Wymyślają różne dziwne zajęcia, żeby mieć preteksty.

Wskazał głową na robota, którego trzymałem w rękach.

Zasymulowałem odpowiednie zażenowanie.

W soczewkach Martina rozbłysły nowe pliki.

Ockham skinął głową.

– Wiem, że istnieje wiele sposobów, na które to może się okazać niezdrowe, ale obserwuję psychoprofile swoich współbaszowców równie uważnie jak wszystko, co dotyczy bezpieczeństwa. Usługowiec nie ma nic do zyskania przez wykorzystanie któregoś z nas, w przeciwieństwie do większości osób, z którymi moglibyśmy się spotykać.

– Czysta prawda – zgodził się Martin. – Mycroft jest najbardziej godnym zaufania ze wszystkich ludzi i nie stanowi zagrożenia dla nikogo. Cieszę się, że znalazło inny basz, który to rozumie.

Ockham uniósł brwi.

– Wyobraziłam sobie, jak Mycroft pożera resztki w kuchni Guildbreakerów.

– W takich spekulacjach nie ma cienia prawdy – odpowiedział Martin, krępująco pedantycznym tonem, jaki niekiedy słyszy się w jego głosie. To ma więcej sensu, jeśli sobie przypomnieć, że myśli po łacinie.

Obaj przyjrzeni mi się z uwagą. Od tej surrealistycznej sytuacji rozboleła mnie głowa. Dwie przeciwległe strony Ziemi zetknęły się nagle ze sobą, zupełnie jak w jakimś śnie, w którym twój od dawna nieżyjący przyjaciel i współczesny celebryta stoją obok siebie. Ale to nie był sen.

– Czy mogę coś dodać, członkowie? – Zaczekałem, aż skiną głowami. – *Neposie* Martinie, myślę, że pomogłoby wam, gdybyście powiedzieli członkowi Ockhamowi, że nie pracujecie dla Masonów. To znaczy, kiedy zajmujecie się tą robotą, służycie Romanowie, prawda? To nie cesarz was przysłało.

– Zgadza się – potwierdził Martin. – W gruncie rzeczy jestem przekonane, że cesarz nie wie o tej misji. To osobista przysługa dla prezydenta Ganymede’a.

Twarz Ockhama rozpromieniła się natychmiast.

– Przysłało was prezydent?

– I tak, i nie – odpowiedział zawsze prawdomówny Martin. – Wasze prezydent nie zdaje sobie sprawy, że wyświadczam mu tę akurat przysługę w tej szczególnej chwili, ale zna mnie bardzo dobrze i nieraz korzystało z moich usług w podobnych sytuacjach. Ja i moja ekipa nie jesteśmy policyjnymi śledczymi. Romanova wysłała nas, gdy w grę wchodzi dylematy prawa multicentrycznego, miejsce jest ważne i zagrażające konfliktami, jak basz senatora albo Konklawe Senseistów, kiedy sytuacja wymaga uwzględnienia wrażliwości wszystkich siedmiu Pasiak, ale prywatność tych, które są bezpośrednio zamieszane w sprawę, musi być zachowana, albo śledztwo może spowodować więcej komplikacji niż początkowy problem. Znajdujemy odpowiedzi, starając się irytować jak najmniej ludzi. Gdy wasze nazwisko pojawiło się w historii lokalizatora *Czarnej*

Sakury, komisarz generalny Papadelias natychmiast wysłało do mnie nakaz, żeby się upewnić, że do waszych drzwi nie zadzwoni ktoś, komu prezydent ufa mniej.

Gdy Mason skończył mówić, Ockham nie przyjrzał się jego twarzy, lecz mojej. Skinąłem głową na znak entuzjastycznego potwierdzenia. Osobliwa mina Humanisty dodała mi śmiałości.

– Czy... czy moja skromna opinia będzie mile widziana? – Zaczekałem, aż wyrazi pozwolenie skinieniem głowy. – Członku Ockham, skoro już uruchomiono maszynę prawa, zapewne nie znajdziecie nikogo bardziej dyskretnego niż *nepos* Martin. Widziałom już, jak prowadzi śledztwo. Potrafi ogarnąć kłopotliwe sytuacje, takie jak ta, i zagląda tylko pod te kamienie, pod które trzeba zajrzeć. Z pewnością już to zauważyliście. Ma nakaz i nie musi okazywać wam zrozumienia. Martinowi można zaufać. Jest dobrą osobą, naprawdę dobrą. Jeśli ktokolwiek, kogo przysłała Romanova, zasługuje na zaufanie, to z pewnością Martin. Czy mogę pokazać mu tę kartkę?

Ockham milczał przez chwilę. Wszyscy usłyszeliśmy dobiegający z góry zgrzyt towarzyszący nieudanej próbie przesunięcia łóżka.

– Proszę bardzo. Tędy. – Wskazał na boczne drzwi. – Doceniam waszą uprzejmość, Masonie, ale poczułobym się pewniej, gdybym mogło osobiście porozmawiać ze swym prezydentem.

Ruszyłem przodem, prowadząc ich z sali *Mukty* do cieplejszego pomieszczenia. Czekały tam na nas praktyczne krzesła, brudne naczynia i niedokończona gra w madżonga. Odkąd opuściliśmy wolną od gryzmołów strefę frontowych pokojów, wszystkie poduszki i oparcia drewnianych krzesel, a nawet jedną ze ścian pokrywały spiralne i zygzakowate linie podobne do tych na ubraniu Ockhama. Wyglądało to tak, jakby porosty zaczęły kolonizować skalistą wyspę, tworząc warstwę gleby. Myślę, że Martin zauważył Eurekę Weeksbooth – spało i widać było tylko stopę wystającą spod skołtunionej pościeli w rogu – ale nie skomentował tego ani słowem. Cały czas posuwał się za Ockhamem.

– Ten basz ma dziewięciu członków, tak? – zapytał. – Wy, wasze współmałżonek Lesley, Thisbe Saneer, Cato i Eureka Weeksbooth, Sidney Koons, Kat i Robin Typer oraz Ojiro Sniper.

– Dziewięciu i pół, jeśli liczyć Mycrofta.

Martin się uśmiechnął.

– Ktoś was często odwiedza?

– Nasi regularni strażnicy i personel techniczny, a także wciąż się zmieniający kochankowie, których sprowadzają tu Kat i Robin. Czasami Thisbe również. Wyślę wam listę najnowszych nazwisk.

Dotarliśmy do kluczowego miejsca.

– To tutaj, *neposie*. Nietknięta, zgodnie z poleceniem.

Pokazałem Martinowi kosz na śmieci ustawiony pod gablotą w kącie. Kartka pokryta znakami kanji sterczała niczym flaga między ręką staromodnego manekina oraz ponad połową plastikowego konika.

Martin okrążył powoli kosz, by jego lokalizator mógł zapisać obrazy pod wszystkimi możliwymi kątami. Następnie wyjął kieszonkowy skaner, by odnaleźć odciski palców i ślady DNA.

– Czy to domowy kosz na śmieci?

– Wywozi się je do kopalni – wyjaśnił Ockham. – Pod miastem znajduje się dziesięć milionów ton odpadków, głównie plastikowych i aluminiowych. Nic z tego nie jest starsze niż początek tysiąclecia. Znaczną część opróżniono, żeby zrobić miejsce dla komputerów, ale miasto nadal eksploatuje resztę i każde baszogospodarstwo ma prawo wynająć bota wyszukującego odpadki wskazanego rodzaju. Thisbe lubi antyczne zabawki.

Martin pochylił się nad kartką.

– To z pewnością odpowiedni rodzaj papieru.

Ockham przyjrzał się zmiętej kartce, jakby miał przed sobą pająka, którego chętnie by rozgniół, gdyby nie bał się jadu.

– Naprawdę piszą artykuły piórem na prawdziwym papierze? To musi trwać wieki.

– O ile dobrze to rozumiem, członkowie – odezwałem się – robią tak tylko w przypadku notatek do najważniejszego artykułu tygodnia.

Poczułem się cieplej w towarzystwie ludzi, którzy znali mnie na tyle dobrze, że mogłem się z nimi dzielić swą pasją do prasy.

– Ale po co?

– To tradycja związana z tytułem *Czarnej Sakury* – wyjaśniłem. – Legendy mówią, że drzewa wiśniowe zakwitają na różowo, bo ich korzenie piją krew umarłych. A ponieważ każdy prawdziwy dziennikarz do cna przesiąknął farbą drukarską, zawartość jego żył zabarwi kwiaty sakury na czarno.

Ockham skinął głową z aprobatą.

Ale Martin tego nie zrobił. Zauważyłem, że jego spojrzenie oderwało się od cudzoziemskich znaków nad papierze, wędrując ku mnie.

Martin nie jest wyznawcą Machiavellego. Gdy niewłaściwy uczynek przynosi dobre rezultaty, nawet tak mało znaczący, jak złamanie tabu zakazującego tłumaczenia z innego pasiekowego języka, zacina się jak rodzic niechący powiedzieć dziecku, że jego ulubiona zabawka się zgubiła. Nie chodzi o to, że nie chce sobie pobrudzić rąk, ani nawet nie o to, że uchybienie zasadom zniechęca go do działania. Myślę, że po prostu nie chce przyznać, iż na świecie istnieją odcienie szarości.

Ockhamowi szarość nie przeszkadza.

– Zaróbcie na dzisiejszą kolację, Mycroft. Co tu jest napisane?

Martin pogodził się z wymogami praktyczności. Przyjrzał się treści dokumentu i podsunął mi japoński tekst pod oczy.

– Nie przekładajcie wszystkiego, tylko tyle, żeby potwierdzić, że to rzeczywiście lista Siedmiu i Dziesięciu. – Zawahał się. – I podajcie mi trzy ostatnie nazwiska. Motyw może ukrywać się w nich.

Ockham przechylił głowę.

– Myślałam, że wielkie pieniądze zarabia się na zakładach o pierwsze siedem pozycji.

– Większość pieniędzy, tak jest, ale trzy nieprzewidywalne nazwiska na dole listy, numer osiem, dziewięć i dziesięć, to osoby, których popularność wzrośnie gwałtownie. Można w nie zainwestować, załatwić z góry wywiady albo kontrakty. Pięć milionów to nic w porównaniu z potencjalnymi zyskami.

– To prawda. Cardie dostaje mnóstwo połączeń, gdy tylko znajdzie się na liście.

Martin zmarszczył brwi.

– Cardie?

– Sniper – wyjaśnił Ockham. – Ojio Cardigan Sniper.

Nie wiem, czy kiedykolwiek przedtem słyszałem, by Martin chichotał, ale wszyscy to robią, gdy usłyszą, że legendarny Sniper nosi w domu imię „Cardigan”.

– Przeczytajcie to, Mycroftcie.

Nie potrafię wyzbyć się umiejętności opanowanych w młodych latach. Mogę co najwyżej je zaniedbać, jak bokser, który kończy karierę i zawiesza rękawice na haku. Nie jestem jednak w stanie wymazać ze swego umysłu słów zapisanych w znakach języków, których nie mam prawa znać. Jeśli Cię to pocieszy, Czytelniku, przyznaję, że czuję się winny, gdy niechący podsłucham Masonów, Humanistów albo Mitsubishian rozmawiających w swych prywatnych

językach. Mogę przynajmniej odpokutować za to, wykorzystując swe umiejętności w sytuacjach, gdy tłumaczenie przyniesie korzyść wszystkim.

– To jest lista Siedmiu i Dziesięciu – potwierdziłem. – Tylko same nazwiska, bez komentarzy. Siedem pierwszych pozycji wygląda typowo. Trzy ostatnie to... – przerwałem na chwilę, walcząc z mniej znajomymi transliteracjami – ...Darcy Sok, hiszpański książę koronny Leonor oraz wicecenzor Jung Su-Hyeon Ancelet-Kosala.

– Książę koronny Leonor? – powtórzył Ockham. – Nie król? Niektórzy będą poirytowani.

Martin nadal pochylał się nad kartą.

– Coś w nią zawinięto, ale w środku nic nie ma.

Jego skaner pracował, wyświetlając na naszych ekranach kartkę włókno po włóknie, ale nim zdążyłem zauważyć początki kształtu, który mógł się na niej odcisnąć, z mojego dousznego mikrofonu popłynął krzyk trzech głosów. Jednocześnie. W tej samej chwili ich echa dobiegły z pomieszczenia na dole.

– Mycrofcie!

Znałem te głosy. Popędziłbym natychmiast na ich wezwanie, nawet na polu bitwy.

Muszę Ci coś wyznać, Czytelniku. W chwili kryzysu wywołanego przez spotkanie Carlyle'a z Bridgerem zupełnie zapomniałem o Martinie i nie pamiętałem o tym, by się z nim skontaktować, zanim znalazłem się w autolocie mknącym nad rozległym Pacyfikiem w stronę Tōgenkyō. Wyłącznie fałszywy romans z Thisbe uratował mnie przed pytaniami, na które nie potrafiłbym odpowiedzieć. Martin nadal był w domu, przeszukując pokój w poszukiwaniu każdego włoska czy skrawka skóry, który pomógłby mu zidentyfikować intruza. Nic jednak nie znalazł. Po przeprosinach poprosiłem Martina o nowe rozkazy. Nie zacząłem się jeszcze bać, nie na górze, nie wtedy, gdy znalazłem podejrzaną skradziony dokument, nie wtedy, gdy zjawił się Martin. Jednakże teraz wydany przez niego rozkaz sprawił, że dwa fakty o niejasnym znaczeniu połączyły się w jedną groźbę, odległą i bezkształtną, ale niewątpliwą – jak w chwili, gdy pośród odgłosów skąpanego w blasku świtu miasta i hałasów dobiegających z zaułka dwa odrębne dźwięki łączą się nagle w charakterystyczny odgłos gotowego do strzału pistoletu, ale echo nie mówi nam, czy nieprzyjaciel kryje się po lewej, czy po prawej, wysoko czy nisko.

Wiemy tylko, że jest w pobliżu.

– Lećcie do Tōgenkyō – powiedział mi.

Rozdział czwarty

Uważane za dawno wymarłe

Alegoria o trójce zwierząt początkowo dotyczyła wiedzy, nie bogactwa. Ojciec założyciel naszej epoki, przewodniczący Pasieki Gordian Thomas Carlyle ukradł ją sir Francisowi Baconowi, ojcu założycielowi innej epoki, który żył pięć wieków wcześniej. W wersji stworzonej przez Bacona około roku 1620 mrówka nie była jeszcze korporacją, ograbiającą ludzi i krainę, by gromadzić bogactwa w swym skarbcu, lecz encyklopedystą, który układa wiedzę w bezużyteczne stosy, nie tworząc z niej niczego nowego. Pająk nie był geograficznym państwem, więżącym bogactwo i bezradnych obywateli w sieci utkanych przez siebie granic, ale dogmatykiem, który tworzy skomplikowane filozoficzne konstrukcje z zawartości swego umysłu, nie zwracając uwagi na empiryczną rzeczywistość. Idealem Bacona, jego uczonym, była pszczoła, zbierająca owoce natury i przetwarzająca je dzięki swym wrodzonym talentom, by stworzyć coś dobrego i użytecznego dla świata. Nasz Thomas Carlyle, genialny złodziej, w roku 2130 przywłaszczył sobie tę alegorię, powołując do życia Pasiekę, naszą nowoczesną unię, której członków łączy ze sobą nie przypadkowe pochodzenie, lecz wspólna kultura i filozofia, a nade wszystko wolny wybór. Eksperci mogą się uskarżać, że Pasieki nie były dziełem Carlyle'a, lecz owocem postępu technicznego, a ich pojawienie się było nieuniknione od chwili, gdy w roku 2073 *Mukta* okrążyła kulę ziemską w cztery i dwie dziesiąte godziny, dzięki czemu cały świat znalazł się w zasięgu wszystkich. To było podzwonne dla starego pająka, geograficznego państwa. Jest w tym trochę prawdy, ponieważ nie potrzeba charyzmatycznego przywódcy, by ktoś, kto mieszka na Maui, pracuje w Birmie, a obiad je w Syracuse, uświadomił sobie, że to absurd, by był wierność miejscu, w którym opuścił łono matki. Jednakże istnieją też prawdy serca i dlatego nasza Epoka Pasiek nie ściągnie z głowy Thomasa Carlyle'a korony założyciela. Nie chcę też go zniesławiać, nazywając

złodziejem. „Pasięka” to ukradziona nazwa, wywodząca się z ukradzionej alegorii, ale samą trójkę zwierząt Carlyle ukradł Baconowi, Bacon Petrarce, Petrarca Senece, ten zaś być może jakiemuś jeszcze dawniejszemu autorowi, którego imię zaginęło w pomroce dziejów. Nie ma nic wstydlwego w wykorzystaniu tak bogatego dziedzictwa, podobnie jak w świadomości, że inni królowie przed tobą dzierżyli miecz, który wyciągnąłeś z kamienia.

Noc dopadła mnie po drodze z chilijskiego wybrzeża do Indonezji, czy może raczej to ja ją dogoniłem. W ciągu dwóch godzin pokonałem tak znaczną część obwodu planety, że niemalże doścignąłem następny dzień. Światła Tōgenkyō sięgały daleko na pograżony w mroku ocean. Iskierki łodzi skupiały się przy liniach odbitej w wodzie jasności, pokrywając swą kaligrafią taflę w promieniu kilometra od wyspy. Na brzegu kwitnie tu siedem perfekcyjnych kwiatów lotosu, wypełnionych czystym, ciepłym światłem niczym szczęśliwe duchy. Ów blask muska grunt u ich korzeni. Dopiero gdy autolot kieruje się w dół, by wylądować, oko orientuje się, każdy płatek jest w rzeczywistości drapaczem chmur gorejącym neonowym ogniem handlu, a migotanie u korzeni to tętniące życiem ulice metropolii. Stolica Pasięki Mitsubishi to podwójny kompromis. Pierwszy zawarto między dwoma estetycznymi ideałami Azji Wschodniej, wieżowcami ze stali i szkła oraz spokojem natury; drugi zaś między trzema głównymi grupami narodowymi Pasięki, jako że wzajemna nieufność powodowała, iż Chiny, Japonia i Korea nie chciały się zgodzić, by stolica znalazła się na terenie któregoś z rywali. Dlatego zgodzono się, że serce Pasięki będzie biło w neutralnej Indonezji.

Wezwanie pozwoliło mojemu autolotowi wylądować na położonym najdalej na wschód płatku wysuniętego najdalej na zachód kwiatu, w którym członkowie Naczelnego Dyrektoriatu Mitsubishi mogą się cieszyć najpiękniejszymi widokami na miasto i morze. Mój niepozorny mundur usługowca wyglądał tu jeszcze mniej imponująco niż gdziekolwiek indziej. Marzec robił się coraz cieplejszy i Mitsubishianie nabierali wiosennych kolorów. Wrażliwe na upływ czasu barwniki w tkaninach ich garniturów, *haori*, *cheogori* albo *sherwani*, zmieniały kolory. Ciemne odcienie zimy przechodziły w jaskrawe błękity i żółcie, a spod prostych prążków wyglądały wzory liści i kwiatów, niczym powoje wysuwające się zza treliazy. Być może Ty, Czytelniku, również poczułeś kiedyś ów elektryzujący dotyk powtórnych narodzin, który

Mitsubishianie przynoszą ze sobą do wszystkich zakątków Ziemi. Nawet na wyspach, na których nie ma pór roku, czy w Cielo de Pájaros, gdzie marzec zawsze oznacza koniec lata, wszyscy żyjemy oczekiwaniem na chwilę, gdy na wschodzie zakwitną wiśnie. Czemu by nie? Azjatycki cykl roślin i pór roku jest być może najstarszą poetycką tradycją na świecie. Nie można go w pełni przetłumaczyć na inne języki, ale moda jest sprytna i potrafi przewyciężyć nawet takie przeszkody. W Chinach, Korei i Japonii nadeszła wiosna i w związku z tym mamy wiosnę na całym świecie.

– Nie do Sali Dyrektorskiej, Mycrofcie. Tędy.

Podążyłem za cicho stąpającym urzędnikiem. Poczułem dreszczyk strachu na karku, gdy minęliśmy sale spotkań i laboratorium komputerowe, w którym niekiedy kazano mi pracować, by wejść do baszowego mieszkania ulokowanego nad wszystkimi pomieszczeniami jak sterownia nad fabryką.

– Dyrektorze, przybył usługowiec, którego wezwaliście.

– Niech wejdzie.

Zdjąłem kapelusz, który nosiłem w obawie przed rozpoznaniem, nawet na korytarzu.

[Kiedy wysyłamy wezwanie, oczekujemy pośpiechu.]

Nim drzwi zdążyły się za mną zamknąć, naczelny dyrektor Hotaka Andō Mitsubishi zasypał mnie serią ostro brzmiących japońskich słów. Spróbowałem ukłonić się mu uprzejmie, ale w rezultacie tylko skuliłem się trwoźnie.

[Przepraszam, dyrektorze naczelny. Powinno być bardziej się postarać, żeby wyrwać się wcześniej] odpowiedziałem również po japońsku i ukłoniłem się raz jeszcze. Ośmieliłem się jednak unieść nieco wzrok i policzyć otaczające mnie pary nóg. W pokoju było ich pięć, ale cztery z nich spowijała znajoma ciemnozielona barwa straży Mitsubishi. To znaczyło, że w praktyce rozmawiam z dyrektorem naczelnym w cztery oczy.

[Czarna Sakura. Wiecie, co się stało?]

[Częściowo, dyrektorze naczelny. Przydzielono mnie do tej sprawy.]

Wyprostowałem się i potwierdziłem swe obawy. Strażnicy Dyrektoriatu Mitsubishi nosili zwykle stroje typowe dla swych grup narodowych – Chińczycy zapięte z przodu splecionymi węzełkami, Koreańczycy związane na piersi jak *cheogori*, Indusi długie i zapięte na guziki jak *sherwani*, a czasami również zachodnie marynarki albo

stroje w japońskim stylu, przewiązane pasem niczym kimono. Dzisiaj nie widziało się tu takiej różnorodności. Tylko japońskie garnitury i japońskie twarze. Znałem niektóre z nich. To były dzieci kierowników zawdzięczających wysokie pozycje w Pasiece patronatowi Andō. Ludzie z wewnętrznego kręgu wtajemniczonych, wezwani na spotkanie szczególnego rodzaju – takie, po którym mogą zostać siniaki i nikt nie zapyta, dlaczego. Pośrodku stał dyrektor naczelny, Hotaka Andō Mitsubishi, jeśli użyć tradycyjnego angielskiego szyku słów, każącego stawiać nazwisko na końcu. Dzisiaj miał na sobie ciemnogrnatowy garnitur ozdobiony prostym wzorem przedstawiającym wiosenne trzciny, dobrze skrojony, ale nie lepszy od noszonych przez jego strażników. Nie zawsze tak się prezentował. W naszej łagodnej epoce nikt poza Majorem nie może się pochwalić rysami stwardniałymi od walki, ale twarz dyrektora naczelnego Andō przynajmniej stwardniała od konfliktów. Dziesięciolecia zabiegów o złamanie monopolu chińskiej frakcji na pozycję szefa Pasieki przydały jej atrakcyjnej surowości. Nawet nasze spowalniające starzenie leki, które pozwoliły mu zachować siły trzydziestolatka, choć zbliża się już do sześćdziesiątki, nie powstrzymały siwizny, którą lata stresu pokryły jego skronie.

Zwracał się do mnie po japońsku, ale na twój użytek, mój dobry Panie, przetłumaczę jego słowa na język, który zrozumiesz.

[Złodziej wykorzystało Urządzenie Cannera.]

Mój lokalizator zapiszczał niespokojnie, wyczuwając przyśpieszenie tętna.

[Nie mam go!] zawołałem. [Nie mam pojęcia, co się z nim stało! Nic nie wiem! Minęło trzynaście lat! Nie utrzymuję kontaktu z osobami, w których ręce mogło wpaść!] Zapewnienia wypływały z moich ust czysto odruchowo. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że kulę się trwożnie i unoszę ręce, osłaniając głowę przed ciosami, mimo że żaden ze strażników nie ruszył się z miejsca. [Uwierzcie mi, proszę! Nic o tym nie wiem!]

Dyrektor Andō przeszył mnie spojrzeniem. Wyczytałem z jego twarzy, że obciążające mnie dowody są coraz liczniejsze, gotowe ustawić się w szereg bojowy. Fakt, że byłem w domu, odciski moich palców na papierze...

[Gdzie je ukryliście?] zapytał.

[Nie... nie...]

[Gdzie ukryliście urządzenie?]

[Może były dwa?]

Sam słyszałem głupią desperację w swym głosie.

[Nie było dwóch. Było tylko jedno. Komu je daliście?]

[Nikommu, dyrektorze naczelny! Nikomu! To nie mogło być Urządzenie Cannera!] Tego już było za wiele nawet dla mnie, w tym samym stopniu, co dla dyrektora. [Ono mogłoby zamienić sygnały lokalizatorów i spowodować, że inna osoba zarejestrowałaby się jako Ockham Saneer, ale to nie wystarczyłoby, żeby się przedostać przez resztę ochrony. Nie wiem, jakie systemy obronne ma *Czarna Sakura*, ale przez te w baszu Saneer-Weeksbooth nie zdołałoby przeniknąć nic, co znam, a już z pewnością nie Urządzenie Cannera. Ono służy tylko do oszukiwania systemu lokalizatorów, do zamiany dwóch sygnałów. Nie potrafi nic innego. To nie mogło być...]

[Martin wam również to przesłało.]

Dyrektor naczelny przywołał przez moje soczewki obraz wykonanego przez Martina skanu kartki, którą znalazłem w koszu na śmieci. Przedtem ledwie na niego spojrzałem. Podczas lotu doścignęło mnie mnóstwo różnych wiadomości. Rekonstrukcja była wyjątkowo staranna. Odtworzono wszystkie włókna kartki, Rzeczywiście coś w nią zawinięto, jak powiedział Martin. W następnej chwili dyrektor przedstawił mi obraz tego czegoś – łatwą do rozpoznania, gładką, opływową jak ryba sylwetkę osławionego urządzenia, które rozhisteryzowana opinia publiczna niesłusznie połączyła z moim nazwiskiem.

[Jesteście ostatnią osobą, która je miała] oskarżył mnie Andō. [Wiecie, w czyje ręce trafiło.]

[Nie wiem! To było wiele lat temu! Może sprzedano je już komuś innemu.]

[Sprzedano? Sprzedaliście je komuś?]

[Nie! To znaczy tak. W pewnym sensie... Zostawiłem je...]

W moim umyśle zaczęły się formować wiarygodnie brzmiące kłamstwa. Gdy jednak zacząłem wypowiadać jedno z nich, zauważyłem, że twarz dyrektora Andō nagle przybrała surowszy wyraz. Nie było wiarygodne. Żadne z nich takie nie było. A najmniej wiarygodna była moja niewinność, choć przecież byłem niewinny. [Naprawdę nie mam pojęcia, co się stało. Uwierzcie mi, proszę. Aresztowali mnie. Nie pamiętam, co wydarzyło się później. Policja mówiła, że futerał był

pusty, kiedy go znaleźli. Każdy mógł zabrać urządzenie. Nieuczciwi gliniarze, jakaś organizacja przestępcza, dzieciaki, które przypadkiem natknęły się na moją kryjówkę, absolutnie każdy!]

[Z pewnością nie byliście aż tak nieostrożni?]

[Byłam dzieckiem!]

Andō przeszył mnie groźnym spojrzeniem.

Naprawdę czułem się słabo i nie było mi trudno paść przed nim na kolana.

[Błagam, uwierzcie mi, dyrektorze naczelny. Nie mam pojęcia, co się wydarzyło. Wiecie, że nie potrafię dowieść swej niewinności, ale ufaliście mi przez długi czas i nie zdradziłem waszego zaufania. Nigdy bym tego nie zrobiło. Nawet dziś rano mogłem powiedzieć Masonowi prawdę o Liście Siedmiu i Dziesięciu, ale tego nie zrobiłem.]

Jego spojrzenie zmieniło wyraz.

[Jaką prawdę?]

[Że nie napisało jej Tsuneo Sugiyama.] Zauważyłem, że dyrektor naczelny wzdrygnął się nagle, i uczepliłem się nowego tematu jak liny ratunkowej. [Tę listę zawsze pisze Sugiyama, ale ono uważa, że piórem powinno się władać jak mieczem, zwłaszcza w najbardziej upublicznianym artykule roku. Sugiyama z pewnością nie wyprodukowałoby czegoś tak mało kontrowersyjnego, a wymieniając pierwszą siódemkę, uwzględniłoby nazwisko waszego rodzonego baszu i nazwałoby was Hotaka Mitsubishi.]

Hotaka Andō Mitsubishi syknął pod nosem, a lokalizator wreszcie przestał się niepokoić moim pulsem.

[Napisało ją Masami Mitsubishi. Mam rację, dyrektorze?] zapytałem i czekałem na odpowiedź. [Nadal odbywa staż u Sugiyamy, zgadza się?]

Dyrektor naczelny łypnął na mnie ze złością, po czym odwrócił się na pięcie. W tyle pokoju stał parawan ozdobiony kaligraficzną sceną przedstawiającą żaby i złote rybki bawiące się razem w wodospadzie. Zasłona dzieliła zewnętrzne pomieszczenie od wewnętrznego.

Kiedy się otworzyła, poczułem dreszcz nowego rodzaju. Nie potrafię określić, kiedy zrodziła się tradycja nakazująca królowym i wodzom wojennym otaczać się oswojonymi drapieżnikami – psami, lwami, węzami spoczywającymi na jedwabnych poduszkach – gotowymi zaatakować wskazaną ofiarę na rozkaz swego pana. Dyrektor naczelny Andō wybrał groźniejsze drapieżniki – adoptowane dzieci,

w sumie dziesięcioro, ambitne i sprytne jak lisy. Wszystkie właśnie ukończyły szkołę i były gotowe wywalczyć dla siebie miejsce pod słońcem. W wewnętrznym pokoju było ich sześcioro, leżących na podłodze jak koty. Kiedy drzwi się otworzyły, wlepiły we mnie wzrok, zupełnie jak te stworzenia, gdy obserwują poruszającą się zabawkę, której jeszcze nie zdecydowały się ścigać. Wszystkie pochodziły z tego samego baszu – baszrodzone, którym nie pozostał nikt ze starszego pokolenia i rozproszono je po baszach adopcyjnych, zanim bezdzielny basz Andō-Mitsubishi zaakceptował wszystkie. Przechodziły ze stadium nastolatków do dwudziestoparolatków, trzy najstarsze zdały już egzamin dorosłej kompetencji, dający prawa samodzielnej osoby. Jedno wzięło buty Humanistów, drugie wzięło garnitur Mitsubishian, trzecie zaś przepasało się szarfą Bezpasiakowców. Jednakże pozostałe nie dokonały jeszcze wyboru i miały tylko szarfy niesamodzielnych, włożone na miękkie piżamy i workowate swetry wydziergane osobiście przez przybraną matkę.

Wśród leżących na podłodze baszrodzonych nie było dziś Masami Mitsubishi. Inna postać podniosła się, by do nas dołączyć. Zatrzymała się jeszcze na chwilę, by starannie odłożyć gałązkę kwitnącej śliwy, z której zamierzała zerwać kwiaty. To była Danaë Marie-Anne de la Trémoille Mitsubishi, *princesse de la Trémoille et de Talmond*, siostra prezydenta Humanistów Ganymede'a, diuka de Thouars, oraz żona dyrektora naczelnego Hotaki Andō Mitsubishiego. Tutaj, w stolicy męża, ubierała się w kimono – nie uniseksowe, jakie widuje się na mitsubishijskich ulicach, lecz antyczne kobiece kimono z ptakami i kwiatami przedstawionymi w złotych, brzoskwiniowych i błękitnych barwach. W tkaninę włożono tyle pracy, co w gobelin, a obi okalające jej sztywną talię mieni się niczym układanka z jedwabiu. Podeszła do nas drobiącymi kroczkami, oznaczającymi w japońskich obyczajach kobiecość. Jej blade dłonie spoczywały na tkaninie jak para gołębi. Jej strój i zachowanie były tak perfekcyjnie anachroniczne, że mogłaby pozować do antycznego drzeworytu. Z tym obrazem kontrastowały jednak włosy, błyszczące w swej klatce ze spinek buntowniczą złotą barwą europejskiej pszenicy. Nie nazwę księżniczki Danaë najpiękniejszą kobietą na świecie, ponieważ ten tytuł z pewnością należy się jakiejś nikomu nieznannej osobie, żyjącej w błogiej niewiedzy o drzwiach sławy, które mogłyby przed nią otworzyć błogosławieństwa anatomii. Wiem jednak, kto zwyciężyłby

w ogólnoświatowym głosowaniu na twarz mającą największe szanse wyprawienia w morze tysiąca okrętów.

[Jakże szczęśliwie się składa, że mamy detektywa, który jest tak spostrzegawczy i dyskretny.] Danaë mówi po japońsku wytwornie i z pięknym akcentem, ale zbyt starannie. Ta przesadna dbałość o szczegóły jest typowa dla tych, którzy nauczyli się języka w wieku dorosłym i nie potrafią o tym zapomnieć mimo upływu dziesięcioleci. [Mycroft z pewnością obroni nasze Masami.]

Te słowa zwróciły moją uwagę na aspekt, który do tej pory jej umykał. Biedna, niepełnoletnia stażystka, dopiero ostrzająca z zapalem swe pióro, wywołała burzę pytań, którą polityczne intrygi mogą zmienić w huragan tak potężny, że zniszczy cały jej basz. Wyraz szeroko otwartych oczu jej obecnych w sali rodzonych nagle zaczął mi przypominać strach.

[Myślicie, że to akcja skierowana przeciwko dyrektorowi naczelnemu, *princesse*?] zapytałem.

[Nie mam pojęcia.] Danaë podeszła do męża. Nie gań mnie, Czytelniku, za to, że posługuję się nacechowanym płciowo słowem „mąż”, gdy stanęła tak blisko niego, szukając ochrony, i wlepiła w niego błagalne spojrzenie błękitnych oczu wypełnionych strachem matki. Neutralne słowo „partner”, używane w naszych czasach, brzmiałoby fałszywie, gdy każdym gestem i dotknięciem celowo wyrażała przekaz „jestem żoną”. [Masami tak bardzo się podekscytowało pracą nad tym artykułem. To była jego wymarzona robota. Nie chcę uwierzyć, że ktoś chciałby to zniszczyć tylko po to, żeby nam zaszkodzić.]

[Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by zapewnić Masami bezpieczeństwo, *princesse*.]

Wypowiedziałem te słowa niemal bez zastanowienia, pragnąc wymazać smutek z jej idealnej twarzy.

Princesse Danaë nagrodziła mnie ciepłym uśmiechem. Luźny, złoty kosmyk opadł na jej policzek. Uspokoilem się nieco i przeszedłem do pozycji kucznej.

[Biedne Masami jest całkowicie niewinne, ale obawiam się, że opinia publiczna może być innego zdania, kiedy pozna prawdę.]

[Jaką prawdę?] zapytałem.

Odgarnęła z westchnieniem niesforny kosmyk. W mojej piersi wezbrały sprzeczne namiętności. Pragnąłem zerwać się do czynu

i stanąć niczym rycerz w białej zbroi między nią a źródłem jej żalu, a jednocześnie znieruchomieć niby portret, by móc aż po kres czasu cieszyć się widokiem jej twarzy. Powinienem dodać, Czytelniku, że nie czuję zbyt wielkiego pożądanego do Danaë. Rzecz raczej w tym, że opanowała sztukę póz i gestów w takim stopniu, że potrafi wzbudzić podobne uczucia w niemal każdej ofierze, a kiedy wzdycha w ten sposób w sali narad, w której spotyka się Dziewięciu Dyrektorów, może w jednej chwili zdobyć sto tysięcy głosów.

[Jak rozumiem, Sugiyama zrezygnowała z pisania listy dopiero przed kilkoma dniami i poleciła Masami ją dokończyć, ale redakcja chciała mieć sławne nazwisko. Dlatego zamierzała opublikować listę Masami pod nazwiskiem jego nauczyciela. Masami to tylko młode stażysta. Nie mogło się sprzeciwić.]

[Oczywiście] zgodziłem się natychmiast. [Nie obawiajcie się, *princesse*. Nie wątpię, że zdołamy zapewnić Masami bezpieczeństwo. Zrobię wszystko, co w mojej mocy. Martin również. Martin lepiej niż ktokolwiek rozumie, że nie wolno pozwolić, by prasa i opinia publiczna prześladowały dzieci przywódców Pasiek. Zapewniam, że nie pozwolimy, by na niewinną ofiarę padło światło reflektorów.]

[Dziękuję, Mycroftcie.] Znowu opromienił mnie jej uśmiech, ciepły jak blask słońca. Wyciągnęła nawet alabastrowe palce i pogłaskała mnie po włosach, jak głaszcze się wiernego psa. [Co zrobiliście z Urządzeniem Cannera?]

Ty, Czytelniku, jesteś odległy, a ja spoglądam na tę scenę z dystansu tygodni, ale obaj widzimy sylwetkę Andō majaczącą za jego żoną. Dyrektor naczelny przygląda się z wykalkulowanym milczeniem, jak jego perfekcyjne narzędzie wydobywa potrzebne mu informacje. Jednakże Mycroft, który przed nią klęczy, nie dostrzega niczego poza tymi oczami, lśniącymi jak błękitne diamenty, które tną ostro przy każdym błysku.

[Nigdy... nigdy nie miałem tego urządzenia, *princesse*.]

Przechyliła głowę jak ptak.

[Nie mieliście go?]

[Nie miałem. Nigdy nawet nie widziałem go na oczy. To było tylko opakowanie kupione od jakichś przemytników broni. Dowiedziałam się o urządzeniu z mediów, kiedy ukradziono je z laboratorium. Wszyscy wtedy o nim usłyszeli. To miała być tylko sztuczka, coś, co powstrzyma władze przed głębszą analizą.]

Wszystko to wypłynęło ze mnie po latach starannie zachowywanego milczenia, przywołane przez tę kuszącą twarz. Mówiąc szczerze, i tak już byłem blisko kapitulacji, prawdę przywołał do koniuszka mojego języka strach, że oskarżenie o kradzież może mnie kosztować utratę warunkowego zwolnienia. Jeśli jednak groźby Andō były jak pałka, Danaë zastosowała skalpel, którym precyzyjnie nacięła tętnicę, by wypłynęła z niej krew.

Uśmiechnęła się – jakże słodką nagrodą był dla mnie ten uśmiech! – i zachichotała jak prowokujące dziecko.

[Czemu od razu tak nie powiedzieliście, głuptasie?]

[Nie... nie chciałem, żeby pomyślano, że mogłoby... znowu...]

Jej uśmiech zmienił się z prowokującego w wyrozumiały.

[Ale moglibyście znowu to zrobić, prawda? Oszukać system lokalizatorów w taki sam sposób jak poprzednio?]

[Tak, *princesse*. Błagam, nie mów nikomu! Znowu by mnie zamknęli, wiem, że by to zrobili. Ale gdybym im powiedziało, odebraliby mi tę możliwość, a ja nie chcę jej stracić. Mogę jej potrzebować, na wypadek gdybym kiedyś musiało pomóc... komuś...]

Szczęście się do mnie uśmiechnęło. Danaë natychmiast uznała, że mówiąc o „kimś”, miałam na myśli jej basz.

[Oczywiście] Znowu pogłaskała mnie po włosach. [Słusznie postąpiliście, ukrywając tę umiejętność. Z pewnością jest bardzo użyteczna.]

[Dziękuję, *princesse*.]

Danaë ponownie zwróciła się ku mężowi, pozwalając mi popatrzeć na kapelusz, który trzymałem w rękach. Ów widok dał początek jednemu z tych łańcuchów skojarzeń, które w jednej chwili prowadzą człowieka przez pięć kolejnych ogniw ku zrozumieniu, a w moim przypadku przerażeniu. Co przed momentem uczyniłem? Jak mogłem w jednej chwili zdradzić tak wiele? Groźba, jaką były urządzenie i możliwość oskarżenia o kradzież, wydawała się przed chwilą porażająca, ale przecież nie popełniłem tego czynu i Martin by mi uwierzył. Nie byłem niewinny w tym sensie, że oszukiwałem system lokalizatorów, gdy chodziło o Bridgera albo gdy miałem jakiś inny ważny powód. Ale od tej chwili Danaë będzie mogła mnie szantażować tą wiedzą i Andō również. Przekląłem w myślach własną głupotę, choć teraz, spoglądając wstecz, wybaczam sobie. Nie sposób było się jej oprzeć. Pamiętaj, Czytelniku, że choć używam

archaicznych słów, nie pochodzę z barbarzyńskich czasów, w których mężczyźni i kobiety pysznili się swoją płcią niczym koguty, ogłaszając pragnienie uprawiania seksu każdym garniturem i każdą spódnicą. W latach młodości widywałem podkreślające płęć ubiory na scenie, na zdjęciach i obrazach, ale ujrzeć je w prawdziwym życiu to coś zupełnie innego. Jej płytkie oddechy wywołane ciasnością gorsetu, jej krągłe, francuskie piersi, w każdej chwili gotowe się wylać z japońskiego jedwabiu. W owej chwili gdy Andō obejmował ją w tali, wyobrażałem sobie, jak mąż zdziera z niej kimono, by odsłonić miód wilgotnej waginy. Teraz rozumiesz, Czytelniku, dlaczego, by opowiedzieć tę historię, muszę się posługiwać słowami „on” i „ona”. Danaë to stworzenie uważane za dawno wymarłe. Ożywają w niej starożytne trucizny udoskonalane przez setki pokoleń kultury, w której obowiązywały wzorce związane z płcią. Ci, którzy ją otaczają – zarówno moja słaba osoba, jak i wytrzeszczający oczy strażnicy – nie nabyli odporności przeciwko tej infekcji, uważali bowiem, że nasza kultura dawno już ją przewyciężyła. Filmy i książki historyczne zaznajomiły nas z nią w stopniu wystarczającym, byśmy potrafili rozpoznać te starożytne sygnały, dając nam słabość bez możliwości oporu. Nie jesteśmy teraz w stanie oduczyć się tego, podobnie jak nie można zapomnieć umiejętności czytania i pisania, by stawić czoło nieprzyjaznemu światu.

Andō wziął się już w garść i podszedł bliżej. Jego cień padł na mnie.

[Spiszecie wszystko, co wiecie o przemytnikach, od których kupiliście opakowanie. Trzynaście lat to długi okres, ale nie wykracza poza możliwości rekonstrukcji.]

[Tak jest, dyrektorze naczelny.]

[Uważam, że jesteście za to osobiście odpowiedzialni. Gdybyście od razu wyznali, że urządzenie nadal pozostaje w rękach niebezpiecznych osobników, postarałbym się je odnaleźć. Oczekuję szybkiej odpowiedzi, jeśli chcecie, żebym ukryło wasz błąd... przed komisarzem generalnym.]

Cena, jaką będę musiał zapłacić, ujawniła się bardzo szybko.

[Rozumiem, dyrektorze naczelny. Biorę odpowiedzialność na siebie. Czy mam przekazać zdobyte informacje wam, czy Martinowi?]

Zastanawiał się nad tym przez chwilę.

[Czy Ci przemytnicy należeli do jakiejś grupy narodowej?]

[Do japońskiej, dyrektorze naczelny. Podejrzewam, że ci, którzy

ukradli urządzenie, również byli Japończykami.] Zawahałem się, ale w tej chwili lepiej było mówić szczerze. [Podobnie jak jego twórcy.]

Jego twarz pociemniała, lecz jednocześnie się uspokoiła.

[W takim razie najpierw dostarczcie raport nam. Ufam Martinowi, ale wewnątrz mojej grupy narodowej więcej drzwi otworzy się przede mną niż przed Masonem.]

[Tak jest, dyrektorze naczelny.]

Popatrzył na mnie z góry.

[Kto waszym zdaniem skonstruował Urządzenie Cannera?]

[Proszę, nie nazywajcie go tak.]

[Kto skonstruował Urządzenie Cannera?] zapytał ostrzej.

Nie odrywałem wzroku od podłogi.

[Wiem, że nie jesteście winni, dyrektorze naczelny.]

[Nie o to pytałem.]

Ścisnąłem w dłoniach kapelusz.

[Jestem przekonany, że projekt rozpoczęto na polecenie poprzedniego przewodniczącego japońskiego bloku wyborczego, ale wina waszego poprzednika nie czyni was winnym.]

[W oczach Chin uczyni] warknął. [A także Indii i Korei. I innych Pasiak. Już samo oskarżenie wystarczy, by zniszczyć nadzieje naszego bloku narodowego, a bez silnej Japonii Pasiaka wróci do ciągłych utarczek między Szanghajem a Pekinem, i to nie tylko do następnych wyborów do rady nadzorczej, ale na całe pokolenie.]

[Myślicie, że zaplanował to jeden z chińskich bloków?]

[Żeby przerazić cały świat możliwościami naszego urządzenia.]

Zastanowiłem się nad jego słowami. Musiałem przyznać, że to możliwe. Złodziej mógł celowo zawinąć urządzenie w skradziony dokument, żebyśmy wiedzieli, że je ma. Pod wpływem paniki samolubnie pomyślałem, że jego celem byłem ja, a nie potężniejsze siły, które stworzyły Urządzenie Gygesa – tak je nazywam w myślach, przez analogię z zapewniającym niewidzialność pierścieniem z opowieści Platona, który nawet najcnotliwszych skłania do popełniania przestępstw.

[Ukryjcie to, Mycrofcie] rozkazał Andō. [Macie dostęp do ucha Martina, a także komisarza generalnego. Ukryjcie to, zanim Chińczycy zdobędą dominację nad Pasiaką na następne pięćdziesiąt lat.]

[Zrobię, co tylko w moich siłach, dyrektorze naczelny.]

[I trzymajcie Tai-kuna jak najdalej od członków baszu Saneer-

Weeksbooth.]

Być może nie znasz tego mitsubishiańskiego przydomka, Czytelniku. Andō ma na myśli szefa ekipy Martina, J.E.D.D. Masona. Ponieważ niepokój dyrektora naczelnego płynie ze zbyt wielu źródeł, by można tu było wyliczyć wszystkie, powiem po prostu, że Andō ufa J.E.D.D. Masonowi jak własnemu synowi, ale i tak obawia się bliskich więzi łączących go z cesarzem Martina.

[Zrobię, co tylko w mojej mocy, dyrektorze naczelnny, ale pamiętajcie, że ja tylko służę i nie mam prawa podejmować decyzji.]

[Wiemy, że zawsze ze wszystkich sił staracie się nam pomóc, Mycroftcie] wtrąciła Danaë.

Nie potrafię określić, w jaki sposób to zrobiła, jako że jej słowa nie wyrażały żadnej groźby, ale coś w jej tonie i uśmiechu przypominało mi o zwolnieniu warunkowym i o tym, że mogła mi je odebrać zaledwie dwoma słowami wypowiedzianymi do komisarza generalnego. „Tylko opakowanie”.

Zadrzałem. Andō sprawiał wrażenie zadowolonego z mojego strachu.

[W takim razie bierzcie się do roboty.]

[Dziękuję, dyrektorze naczelnny.]

Wstałem z wysiłkiem i ukloniłem się. Gdy jednak oboje się odwrócili, uświadomiłem sobie, że przegrałem. Założono mi nową smycz zwaną szantażem. Nie mogłem pozwolić, by zdobyli tak wielką władzę nade mną, i co za tym idzie, nad tymi, którzy na mnie polegali. Jedyną szansę stwarzał mi język francuski.

«Czy wiecie, kto jeszcze odwiedził dziś ich baszobudynek, księżniczko? Oprócz Martina?»

Oboje się odwrócili. *Princesse* uspokoiła się wyraźnie, słysząc melodię ojczystego języka. Odpowiedziała mi powolnym strumieniem francuskich sylab, wypływających z jej ust niczym pocałunki.

«Zatem był ktoś jeszcze?»

Nie potrafiłem odgadnąć, czy rzeczywiście tego nie wie, czy tylko udaje.

«Pewnie senseista.» Obejrzałem się, by się upewnić, że Michi Mitsubishi – jedyne z ich adoptowanych dzieci stażujące w Europie i w związku z tym zapewne znające francuski – jest nieobecne. Mogłem bezpiecznie kontynuować. «Adoptowane dziecko. Ciemnoblond włosy. Niebieskie oczy.» Przyjrzałem się uważnie twarzy Danaë, ale iluzja wiecznej młodości będąca maską ukrywającą wiek

matrony, zasłania również linie spowodowane strachem. «Utajniony genotyp» dodałem. «Ma dwadzieścia osiem lat.»

Znieruchomiała tak całkowicie, że przez chwilę odnosiłem wrażenie, iż stoi przede mną posąg z kremowobiałego marmuru. Poczulem, że ręce drżą mi z pragnienia podtrzymania jej, gdyby zaczęła upadać.

«Cóż za cudowny świat» wyszeptała nie tyle do mnie, ile raczej do tegoż świata. Zatrzepotała rzęsami, powstrzymując łzę.

«Nie wiedzieliście? Musiałom zapytać. Wybaczcie, księżniczko.»

Podeszła do mnie, oddalając się od męża, który zmarszczył brwi, ale odsunął się, szanując prawo żony do własnego języka i oddzielnej sfery.

«Nigdy go nie znałam.»

Uniosła alabastrowe dłonie do piersi, jakby tuliła niemowlę, które znowu stało się realne w pamięci jej palców.

Ponownie zerknąłem na wewnętrzny pokój. Liczne adoptowane dzieci Danaë gapiły się na nas, leżąc na podłodze. Hiroaki Mitsubishi o tajskich rysach twarzy, Jun ze swą europejską bladością i piegami, Ran z bliskowschodnimi akcentami przywodzącymi na myśl Martina. Żadne z dzieci nie przypominało jednak matki. Nikt się nie zdziwił, gdy Andō, dumny ze swej czystej japońskiej krwi, i Danaë, równie dumna z francuskiego pochodzenia, postanowili adoptować dzieci, zamiast mieszać swą krew. Niemniej sama myśl o tym, że trzymała własne dziecko w ramionach przez jeden dzień i nigdy więcej go nie zobaczyła, przyprawiła mnie o ból.

«Ale z pewnością pytaliście, gdzie oddano wasze dziecko na wychowanie?» zapytałem. «I do jakiej Pasieki się przyłączyło?»

Znowu poruszyła wilgotnymi od łez rzęsami.

«Nie. Nigdy. Uznano, że tak będzie najlepiej.»

«Kto zabrał dziecko? Jego Miłość wasz brat? Wasz czcigodny mąż?»

Unikałem francuskich słów znaczących „dyrektor naczelny”, ponieważ nawet Andō mógłby je rozpoznać.

«Oddano go lekarzom.» Na jej twarzy pojawił się cień uśmiechu łagodzący smutek. «Nie płakał. Był bardzo dzielny.»

«Nic mu nie powiedziałam. Jestem pewne, że o niczym nie wie.»

Tylko w ten sposób mogłem dać jej pocieszenie.

«Dziękuję.»

Jej podziękowanie wzbudziło moją sympatię i dodało mi śmiałości.

«Trudno mi uwierzyć, że to przypadek zdecydował, że ze wszystkich

senseistów na świecie akurat ten trafił do baszu Saneer-Weeksbooth. Czy przychodzi wam na myśl ktoś, kto mógłby wytropić waszego potomka? Kto miałby motyw, by wyciągnąć tę sprawę po tak wielu latach? Wciągnąć go w całą tę aferę z kradzieżą i urzędzeniem?»

Rozchyłała usta trzy razy, za każdym kształtując inny wyraz, ale tylko ten trzeci wypowiedziała na głos.

«Czy jest szczęśliwy?»

Opuściłem wzrok. To było właściwe pytanie, jedyne, które zadałby ktoś o kochającym sercu. Gdyby wychowano ją w inny sposób, być może trudno byłoby mi na nie odpowiedzieć.

«Patriarcha napisał, że półgłówek zawsze jest szczęśliwszy od filozofa, ale filozof nie zamieniłby swej wiedzy na ignorancję, nawet gdyby uczyniło go to najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Odniosłem wrażenie, że wasz syn jest w połowie filozofem, ale nadal pozostaje w połowie szczęśliwe.»

Wiesz, o kogo mi chodziło, Czytelniku? Czy może Wasza epoka zapomniała o przeszłości i nie nazywa już *le Patriarche* tym przydomkiem, na który w pełni zasłużył. Czy nie pamiętacie już o pierwszym piórze, które okazało się silniejsze od miecza? O zapaleńcu, który na całą Ziemię zaniósł płomień Rozumu, toczył bój z nietolerancją, prześladowaniami religijnymi i torturami. Który zmusił królów do klęknienia przed prawami człowieka i ponownie uczynił dowcip elementem filozofii? Czyż Arystotelesa nie zwiemy nadal Filozofem? Szekspira Bardem? Brilla Kognitywistą? W takim razie jak mogliście zapomnieć o Patriarsze? Być może się sprzeciwisz, mówiąc: „Niesprawiedliwie mnie oskarżasz, Mycrofcie. Historia nie pochłonęła tego wielkiego człowieka. Raczej on pochłonął historię. Nie wiem, kto utworzył pierwszy rząd albo zbudował pierwsze koło. Rządy i koła są tak powszechne, że nie muszą tego wiedzieć. Podobnie moja, lepsza era nie uczy mnie, kto pierwszy walczył za te dobre herezje, które wymieniasz, wszystkie bowiem stały się teraz prawdami, a wiek ślepoty, który w nie wątpił, popadł w niepamięć”. Być może masz rację, Czytelniku, i zapominając o Patriarsze, przynieśliście mu zaszczyt, a nie okryliście go hańbą. W dzisiejszych czasach wątpimy w Arystotelesa, Szekspira rozumiemy tylko dzięki przypisom i wiercimy dziury w teoriach Brilla, lecz Patriarcha, którego nauk przestrzega cała Ziemia, nawet sobie nie wyobrażając, że sprawy mogłyby wyglądać inaczej, rzeczywiście połknął nas

w całości. Ale nie połączył Danaë, wychowanej na sposób jego czasów, w których jej Patriarcha rzeczywiście potrzebował obrony. Mówię o Wolterze, Czytelniku. To właśnie on był Patriarchą osiemnastego wieku, epoki, która zrodziła Twoją.

Dama wykształcona tak dobrze jak Danaë zna dzieła Patriarchy na pamięć.

«To dobra odpowiedź, Mycroftcie.» Pozostałości bólu serca nadały jej francuszczyźnie smętne brzmienie. «Dziękuję. Wiem, że go obronicie, jeśli rzeczywiście wciągnięto go w to wszystko jakąś okrutną manipulacją.»

Zamierzałem odpowiedzieć szantażem na szantaż, ale w ostatecznym rozrachunku poczułem litość – zarówno wobec Danaë, jak i młodego Carlyle’a. W moim umyśle kłębiły się plany mające ich chronić – szlachetną damę przed wrogami Mitsubishi i Japonii, a senseistę przed surowym Majorem, przed Thisbe, a także przed nim samym, przed błędami, jakie może popełnić w pierwszych szalonych godzinach po spotkaniu z Bridgerem. Ta myśl mnie pocieszyła. Dziwne, niebezpośrednie działanie opatrzości, która pozbawiła utajniony genotyp baszu, przeszłości i rodziny, tylko po to, by dać mu skarb, który dla każdego senseisty byłby tysiącrotnie cenniejszy – cud.

«Właściwie, księżniczko, myślę, że zdobył wiele wiedzy i równie wiele szczęścia, przynajmniej w tych sprawach, które się liczą.»

Gdyby jakiś śmiały malarz uwiecznił jej uśmiech na płótnie, jego obraz przez stulecia przyciągałby tłumy.

«Dziękuję.» Potem przeszła na japoński, żeby wszyscy ją zrozumieli: [Dziękuję, Mycroftcie. Musimy też podziękować mojemu drogiemu bratu za to, że wyznaczył was i Martina do rozwiązania tej sprawy. Wszyscy czujemy się bezpieczniej w waszych rękach.]

Dyrektor Andō skinął głową, nakazując mi odejść. *Princesse* Danaë wreszcie przyznała mi nagrodę usługowca, lunchbox przewiązany sznurkiem i zbyt ciężki, by mógł zawierać cokolwiek innego niż sushi. Moi liczni panowie nie zawsze pamiętają, że muszą mnie karmić, bo ich datki, na które zarabiamy ciężką pracą, są jedynym pokarmem dozwolonym dla niewolnych. Jednakże Danaë – ten potwór z dawno minionych czasów – zawsze pamięta o regułach traktowania służby.

Rozdział piąty

Dom Arystotelesa

Niekiedy zadaję sobie pytanie, w jakim innym okresie historii chciałbym zostać niewolnikiem, gdyby dano mi szansę wyboru. Mógłbym służyć w domu Arystotelesa, kiedy uczył Aleksandra. Mógłbym odbierać poród Cezara. Jako skazaniec mógłbym własnym potem dodać kolejny kilometr do wielkich linii kolejowych przecinających kontynenty albo własną linię do pierwszej Windy Orbitalnej. Mógłbym się trudzić na rejach Santa Marii, gdy przegnała smoki z końca świata i zszyła kulę ziemską w całość. A jeśli uznamy za niewolników również uczniów cechowych, mógłbym być zecerem składającym poczerńiałymi palcami *Principia* Newtona, litera po literze, albo sekretarzem przynoszącym kawę kręgowi Brilla, gdy mistrz nie przestawał gadać do wczesnego rana, a milcząca Cullen siedziała w kącie, marząc już o swych baszach. W każdej z tych sytuacji zapewne przeklinałbym wielkie dzieła, z którymi się stykałem, oraz wielkich ludzi, których zwałem mistrzami. Świadomość ich wielkości nie zmniejszyłaby moich cierpień i znoju ani o jotę. Z jakiegoś powodu jednak koi mnie myśl, że na każdy tysiąc moich cierpiących poprzedników jeden budował coś, co jego dusza nazwałaby wielkim, gdyby tylko mogła na to spojrzeć z zewnątrz czasu. Nie wymazuje to straszliwych okrucieństw popełnionych przez ludzkość, ale te, które są wyłącznie winą losu, umniejsza moim zdaniem choć trochę. A dla mnie „trochę” wystarczy.

Szorowałem właśnie podłogę w sypialni Thisbe, usuwając ślady rozlanych perfum, gdy Carlyle Foster wrócił do baszobudynku Saneer-Weeksbothów na swój nieśmiały sposób. Obserwowałem go przez system bezpieczeństwa. Thisbe dała mi dostęp do niego, na wypadek gdyby coś mogło zagrozić Bridgerowi. Ponownie ruszył ku małym drzwiom należącym do Thisbe, ale otworzyło się przed nim główne wejście, zapraszając go do sieni, a potem do przedpokoju, pustego i mrocznego.

<widze was, zolta, slona kulko swiatla, wejdzie.> Te słowa pojawiły się na soczewkach Carlyle'a jako tekst, ale zapisano je również w domowej historii, co umożliwiło mi odtworzenie całej sceny. <wejdzie, powiedziałom, wejdzie, wejdzie, wejdzie.>

Senseista przeszedł na palcach przez próg i zajrzał do spartańsko urządzonej sali zaszczytów.

– Halo?

<dłaczego wrociliscie, mycroft mowilo, ze wrocicie, ale przeciez wy nie wracacie, to zupełnie nietypowe, czy czegos zapomnieliscie?>

– Mycroft mówiło, że wróczę?

Carlyle posuwał się przez puste pomieszczenie, niespokojny jak kot w nowym mieszkaniu.

<powiedzialo, by wam przekazac, ze jest na dole, ale nie wspomnialo, dlaczego wrocicie. czy cos tu zostawiliscie? nie zapominacie swoich rzeczy zbyt czesto. ostatni zapis, jaki mam, opatrzono data 09.02.51.>

Carlyle odetchnął głośno, gdy dotarł do centralnego pokoju, gdzie na honorowym miejscu wisiała *Mukta*, wyglądająca tak samo jak w podręcznikach. A może to widok dwóch osób leżących na podłodze wyrwał westchnienie z jego ust. Obie miały na sobie znoszone szlafroki, nałożone na pokrywające całe ciało kombinezony z przezroczystej, przewodzącej prąd błonki, ciasne jak druga skóra. Na wygolonych głowach miały cienkie, dopasowane do nich kształtem hełmy, a plastikowe paski zaciągnięte na oczy nie pozwalały światłu realnego świata zakłócać blasku komputera. Błonki na ich kończynach były pokryte licznymi krążkami wrażeń dotykowych. Na mniej wrażliwych powierzchniach barków i muskularnych ud znajdowały się one dalej od siebie, ale dobrze unerwioną skórę dłoni i twarzy, gdzie nawet milimetr różnicy jest wyczuwalny, pokrywały gęsto jak nasiona truskawek. Jedna z osób chrapała cicho, ale druga pomachała do niego ręką.

<czesc.>

Senseista się uśmiechnął.

– Cześć. Z pewnością jesteście członkiem Eureka Weeksbooth?

<zgadza sie>

Być może Carlyle zauważył dyskretne ruchy ciała Eureka towarzyszące pisaniu wiadomości. Albo tylko wydawało mu się, że je widzi.

– A to jest członek Sidney Koons?

Wskazał na śpiącą postać, nim sobie przypomniał, że Eureka nie widzi.

<zebraliście informacje o nas.>

– To konieczne, jeśli mam zostać waszym senseistą. Pierwsze spotkanie mamy wyznaczone na przyszły czwartek, jeśli dobrze sobie przypominam.

<aha, na 15:00. usiadzcie na minutkę. mam pare pytan.>

Eureka machnęło ręką, wskazując w przybliżeniu na ustawioną po lewej stronie pomieszczenia kanapę. Mówiąc o nim, będę używał rodzaju nijakiego, ponieważ stworzenie, dla którego ciało jest tylko niedoskonałym interfejsem umysłu, a narząd płciowy kolejnym dogodnym miejscem, w którym umieszcza się liczne czujniki, nie ma w sobie nic kobiecego. Nawet jeśli szata Eureka opadnie, odsłaniając spiralę włosów łonowych, Carlyle nie poczuje niczego poza skrępowaniem.

<dłaczego wrociliście? mam tu wasz ślad systemowy i wiem, jak często wracacie do parafian tego samego dnia. to się w praktyce nie zdarza.>

– Mój ślad systemowy?

Senseista podrapał się w głowę. Jego blond włosy, choć zbyt długie i zaniedbane, lśniły w wypełniającym pokój blasku.

<historie korzystania z autolotów. wszyscy mają regularności. nie tylko wysyłam autoloty na wezwanie. muszę się nauczyć oceniać prawdopodobieństwo ich wezwania, by móc planować trasy. dlaczego wrociliście tego samego dnia? to bardzo dla was nietypowe, bardzo ekscytujące! czasami obserwuje radykalne odchylenia od wzorca, ale nigdy nie miałem okazji zapytać o przyczyny.>

Zauważyłem, że Carlyle wzdrygnął się pod spojrzeniem kamer. Po raz pierwszy poddano próbie jego umiejętności dochowania tajemnicy.

– Otrzymujecie dane z mojego lokalizatora?

<tylko czesc. te, które mają związek z przewidywaną chwilą zamowienia autolotu. mój system nie odbiera przekazów wideo i audio, a tylko wasza lokalizację, kto się z wami skomunikował, ludzie z pracy czy z domu, wszystko, czego potrzeba systemowi, by wiedział, gdzie prawdopodobnie będziecie chcieli się udać później. nigdy nie wracacie do domów parafian tego samego dnia. dlaczego to zrobiliście?>

– Chciałem jeszcze porozmawiać z Thisbe albo z tym usługowcem

imieniem Mycroft. Najwyraźniej on zjawia się tu dość często? – Głos Carlyle'a nabrał lekko przenikliwych tonów kogoś, kto obawia się, że nie brzmi zbyt wiarygodnie. – Wasz basz jest bardzo ważny. To wyjątkowa sytuacja. Wszyscy macie tego samego senseistę. Jeśli spotka go coś złego, będziecie musieli poradzić sobie z żałobą, mimo że przed chwilą straciliście jedyną osobę, która mogła wam w tym pomóc. Muszę się postarać, byście przyzwyczaili się do mnie jak najszybciej. Czasami potrzeba do tego powtórnych sesji.

<aha, na tym polega problem z tym samym senseista dla wszystkich. czy juz siedzicie?>

Carlyle jeszcze nie usiadł. Pobladł, przyłapawszy się na tym, że gapi się na Eureka – na usta, na blady brzeg poduszki smakowej wypełniającej je niczym knebel, ledwie widoczny między bezwładnymi, uciszonymi wargami.

– Przepraszam. – Spoczął na sofie. – W tej szczególnej sytuacji basz, który ma tylko jednego senseistę, faktycznie może przeżywać trudności. Niemniej stanowczo wam to zalecam. Możemy dokonać znacznie więcej, jeśli pracujemy w kontekście całego baszu. Postąpiliście bardzo rozsądnie, zgłaszając taką prośbę. To świadczy, że dbacie o siebie równie starannie, jak o system.

Eureka zadrżało nerwowo. Nie sposób było odgadnąć, czy była to reakcja na słowa Carlyle'a, czy po prostu w jakimś odległym mieście zaczęła się pora obiadowa.

<ockham ma łatwiej. nie musi przepuszczać tych wszystkich ludzi przez systemy bezpieczeństwa. nie rozumiem, dlaczego wybrano akurat was. prosiliśmy o humaniste, a ja podkreśliłem, że to powinien być senseista, który pracował już z kartezjanskimi skonfigurowanymi.>

– Przy wyborze kogoś dla waszego baszu w grę wchodzi wiele czynników. Każde z was ma szczególne potrzeby. Wiem, że muszę się bardzo wiele nauczyć, ale bardzo mnie ekscytuje ta perspektywa.

<mowilom tez, ze nie moze byc kuzynem. to nie powinno byc trudne. nie moze byc brillista ani kuzynem.>

Carlyle bawił się powłóczystą szarozieloną szatą Kuzyna. Czuł się skrępowany, patrząc na twarz kogoś, kto nie mógł odwzajemnić spojrzenia.

– W mojej Pasiece szkolenie skonfigurowanych jest nielegalne, ale to jeszcze nie znaczy, że praca z wami jest dla mnie trudną perspektywą.

<ale w zasadzie jesteście przeciwni szkoleniu skonfigurowanych? to znaczy osobiscie? mam prawo to wiedziec, to nie jest pytanie o religie. ma charakter polityczny. nie mozece sie zaslaniac neutralnoscia senseisty.>

– To uczciwe pytanie – zgodził się radośnie Carlyle. – Ale nie mam wyrobionej opinii na ten temat.

<nie wykrecajcie sie. lesley & ockham tez maja prawo wiedziec. ich pierwszego potomka wysle sie na szkolenie, tak samo jak mnie. maja prawo wiedziec, czy ich senseista myśli „maltretowanie dzieci”, gdy tylko porusza ten temat, a ja mam prawo prosic o senseiste, ktory nie uwaza, ze jestem okrutnym eksperymentem przeprowadzonym na zywym czlowieku.>

(W tej właśnie chwili otrzymałem wiadomość od brata Eureka, Cato Weeksbootha, który prosił mnie, żebym wyprowadził senseistę z salonu).

Carlyle rozciągnął usta w powolnym, cierpliwym uśmiechu kogoś, kto próbuje z wdziękiem połknąć coś nieprzyjemnego.

– Pozwólcie, że wyrażę się ściślej. Mam zdanie, ale nieustalone. W pełni zdaję sobie sprawę, że nie mam pojęcia, co to znaczy być skonfigurowanym. Instykt mówi mi, że to okropne od początku życia cały czas być podłączonym do komputera, nigdy nie bawić się z innymi dziećmi i nie widzieć prawdziwego słońca. Wiem jednak też, że krąży bardzo wiele propagandy dotyczącej skonfigurowanych, i nie mam pojęcia, czy te wszystkie stereotypy mają w sobie coś z prawdy. Pragnę was poznać, by samodzielnie podjąć decyzję. Miałom okazję spotkać skonfigurowanych innego rodzaju, przyspieszonego i rachunkowego. Powiedzieli, że czują się bardzo szczęśliwi. Szanuję ich opinię bardziej niż własną, ponieważ wiem, że nic nie wiem.

<albo to zadowalający brak uprzedzeń, albo nie jesteście ze mna szczerzy, bo nie chcecie stracic tej roboty.>

Trudno było określić, co wyrażała w owej chwili twarz Kuzyna. Być może smutek.

– Mogłoby dostać inny przydział, ale jestem dumne z zaufania, jakim mnie obdarzono, przydzielając mi tak ważny basz. Dlatego ucieszyłoby się, gdybyście dali mi szansę.

<naprawde wierzycie, ze mozece ze mna pracowac bez uprzedzen?>

– Myślę, że tak, jeśli mi pomożecie. Moglibyście oświecić mnie w wielu sprawach zakłamanych przez propagandę.

<na przykład?>

– Czy naprawdę dorastaliście wewnątrz komputera, izolowani od baszrodzonych? Czy to tylko propaganda?

<nie zylom w izolacji, zawsze wiedzialom, kim sa cato & cardie & ockham & thisbe & bliznieta. caly czas wysylalismy do siebie wiadomosci. moje mieso bylo w seulu, ale to nie znaczy, ze nie bylismy prawdziwymi baszrodzonymi.>

Twarz Carlyle'a spochmurniała na moment w wyrazie melancholii. Mogę się tylko domyślać, jakie myśli o deprywacji sączyły się przez jego umysł: dzieciństwo w trybie tekstowym, bez dzikich harców na plaży, nocy nieodpowiedzialnie poświęcanych na budowę fortec z łóżek w sypialni, bez uścisków zmieniających się z miesiąca na miesiąc, ponieważ baszrodzone dorastały w różnym tempie. Być może myślał o swym kuzynowskim adopcyjnym baszu, pełnym kolorów, zabaw, tak radosnym, że nawet żal po utraconych rodzicach nie mógł się utrzymywać zbyt długo. Jej dzieciństwo z pewnością wydawało mu się koszmarem. Jeśli zaś chodzi o to, co podczas tej długiej przerwy myślała Eureka, nie potrafię tego odgadnąć, podobnie jak nie umiem sobie wyobrazić snów skonfigurowanych, na które składają się wszystkie zmysły, albo przejąć ich niezwykle ważnych zadań.

– Czy mogę wam zadać kolejne...

<mniej uprzejmosci, wiecej pytan.>

Carlyle się uśmiechnął.

– Przypuszczam, że to, że nigdy nie widzieliście słońca, to również propaganda?

<to akurat prawda. no coz, szkolenie roznych rodzajow skonfigurowanych wyglada zupełnie inaczej, ale w przypadku kartezyjskich to prawda. pierwszy raz je zobaczylom, kiedy mialom 17 lat. bylo mniejsze, niz sie spodziewalam, i plonelo jasniej. teraz moge ogladac zachod slonca, jesli tylko zechce. ale nie chce. to nudne i monosensoryczne. nim zaczniecie sie czepiac, powiem, ze moze w dzieciństwie nie widzialom zachodu slonca, ale wy nigdy nie widzieliście szesciowymiarowej homoskedastycznej fali wylaniajacej sie z morza danych. i nigdy jej nie zobaczycie, bo zbyt wiele polaczen nerwowych marnujecie na informacje o swedzeniu kolan.>

Carlyle przesunął palcami po kolanie.

– Czy możecie mi opowiedzieć, jak to jest? Mówiliście, że obserwowaliście mój autolot. Czy w tej chwili obserwujecie inny?

<w tej chwili? obecnie obserwuje wszystkie autoloty, które były w powietrzu w ciągu ostatnich dziesięciu godzin... odtwarzam ich trajektorie z dwudziestokrotnym przyspieszeniem, postrzegam każdy z nich osobno, potrafię podać prędkość, cel lotu i wiek każdego z nich. mogłoby nawet wam powiedzieć, w których trzeba wyregulować klimatyzację.>

– Słyszałem, że to jak ławica ryb? – zapytał senseista.

<to słowa rachunkowego skonfigurowanego. zupełnie inny rodzaj szkolenia, skupiający się na wzroku, nie na wszystkich zmysłach. zoptymalizowano je z myślą o szybkim wykonywaniu obliczeń na wielką skalę, nie o pracy przez długi czas. potrafię to ciągnąć całymi godzinami, do pięciu dni, jeśli biorę środki przeciwsenne. wykorzystuję wszystko. Obecnie śledzę dziewięć zmiennych wzrokiem, dziesięć słuchem, pięć naprawdę skomplikowanych smakiem i węchem, sześć zmysłem temperatury, a osiemnastą za pomocą nerwów, które wasze ciało wykorzystywałoby do odczuwania bólu. ale w moim przypadku wszystkie całkowicie przestawiono. z tymi torturami to całkowita bzdura. to nie są tortury, po prostu rozwinęłam te nerwy w inny sposób, tak samo jak dzieci, które wcześniej uczą się muzyki albo języków. to po prostu inna metoda kultywacji wzrostu mózgu.>

Senseista skrzywił się, usłyszawszy słowo „kultywacja”. Być może przypominał sobie osławiony antykonfiguracyjny plakat Ongaro, na którym sekator przycinał ostatnie zbuntowane odrosty mocno przystrzyżonego różanego krzewu nałożonego na mózg.

– Zatem jak to dla was wygląda? Nie jak ryby?

<nie jak ryby. to w ogóle nie „wygląda”. opisywanie tego w kategoriach samego wzroku byłoby jak opowiadanie o smaku pumpernika komus, kto czuje tylko kwasny smak. brak wam odpowiednich zmysłów. jesteście słona, żółta kulka światła, ale jeśli zrobicie selektywne zbliżenie, zmienicie się w słony wielokąt o zmieniającej się stopniowo strukturze, och, jeden wasz wierzchołek kluje, nie, dwa, ale w sumie macie pięć wierzchołków, więc nie klujecie aż tak bardzo.>

(W tym momencie Cato Weeksbooth przysłał mi drugą, bardziej rozgorączkowaną i chaotyczną wiadomość, jednocześnie rozkazującą mi, bym zabrał przerażającego senseistę z pokoju, i błagającą bym to zrobił. Ruszyłem w górę po schodach).

Carlyle uwolnił kosmyk włosów, który zahaczył o kołnierz.

– Czy skonfigurowani to jedyny sposób na kierowanie autolotami?

<nie zycze sobie we własnym domu takich edukacjonistycznych bzdur, kuzynie. Nie jestem ptakiem z przyciętymi skrzydłami. To wy jesteście ptakiem uwiezonym w jaju.>

Mam nadzieję, dobry Czytelniku, że słowo „edukacjonizm” popadło już w Twoich czasach w zapomnienie, że fanatycy ucichli, a rany zadane przez przemoc wreszcie się zagoiły. W czasie, gdy to piszę, od zamieszek antykonfiguracyjnych, które wstrząsnęły naszym młodym Sojuszem, minęły dwa stulecia, więc rany pokryły się już strupami, ale niektórzy, jak Eureka, nadal rozdrapywali je do żywego.

– Błagam! – odpowiedział Carlyle. – Nie jestem edukacjonistą i nie chciałem, żeby to pytanie zabrzmiało agresywnie. Daję słowo. Po prostu chcę się tego dowiedzieć. Nie istnieją pytania, których ktoś kiedyś nie zadał w gniewie.

<to prawda. nie, to nie jest jedyny sposób. system powstał w roku 2170, a kartezjanscy skonfigurowani pojawili sie dopiero 40 lat pozniej. zanim przejelismy te funkcje, co roku rozbijało się 100 autolotow, a nie 9, jak obecnie. predkosc tez byla mniejsza, nie mogli latac bezpiecznie wiecej niż 9000 km/h, a obecnie przekraczamy 10000.>

Carlyle skinął głową.

– Z pewnością jesteście bardzo dumni z tego, że zapewniliście bezpieczeństwo tak wielu ludziom.

<bede dumne, kiedy przekroczymy 11000. Wtedy przecietna osoba na ziemi spedzalaby w autolocie 90 godzin rocznie mniej. To byloby jakies osiagniecie.>

Senseista się uśmiechnął. Przynajmniej to pragnienie przekraczało barierę z plastiku i zmysłów.

<zatem dlaczego wrociliscie?>

Mamy szczęście, że Eureka nie zauważyło szoku, który pojawił się na twarzy Carlyle’a.

<kłamaliscie. powiedzieliscie, ze powtarzajace się wizyty to normalna sytuacja. nie jest normalna. gdyby taka byla, prawdopodobienstwo waszego powrotu nie byloby nizsze niż 1%>

Zawahał się.

– Nie jest normalna. To bardzo nietypowa sytuacja.

<czy chodzi o thisbe? milosc od pierwszego wejrzenia?>

– Słucham?

<nie miałoby wam tego za złe. thisbe jest świetne.>

Wyraz twarzy mógłby powiedzieć Carlyle’owi, czy Eureka żartuje, ale homo sapiens, którego świat od chwili narodzin składał się wyłącznie z surowych danych unoszących się w pustce, nie może się nauczyć ekspresji uczuć jak „normalne” dziecko.

Carlyle zerwał się na nogi.

– Wykluczone! Thisbe to mój parafianin!

<zatem jesteście jednym z „tych” senseistów.>

– Jeśli macie na myśli takich, którzy poważnie traktują przysięgę, z całą pewnością jestem!

Gdy okrążyłem podest i wszedłem do salonu, przywitał mnie widok stojącego Carlyle’a. Jego szata kołysała się jak targana gwałtownym wiatrem. Gdy tylko senseista mnie zobaczył, natychmiast wziął się w garść, ale żadne ze skonfigurowanych, widzących tylko autoloty, nie mogłoby mnie zauważyć, dopóki się nie odezwałem.

– Wybaczcie, że przerywam, członku Eureka, ale wasze zachowanie jest dość okrutne.

Nie zamierzałem nadać swym słowom podwójnego znaczenia, ale poniekąd odnosiły się zarówno do tego, jak Eureka traktowało Carlyle’a, jak i do jego prowokacji wobec Cato.

<jesli moje baszrodzone jest takim dzieciakiem, że nie pojdzie do łazienki, bo w pokoju jest ktos obcy, potrzebuje czegos, co je wzmocni!>

– Baszrodzone? – powtórzył Carlyle, marszcząc brwi ze zdziwienia.

Uśmiechnąłem się przepaszająco.

– To z pewnością nie wasza wina, kuzynie Foster. W tamtym pokoju jest Cato Weeksbooth. – Wskazałem ręką. – Już od kilku minut wysyła Eurece wiadomości. Rozpaczliwie potrzebuje pójść do łazienki, ale ma fobię na punkcie senseistów.

Carlyle spojrział we wskazanym przeze mnie kierunku. Być może był wystarczająco szybki, by zauważyć czarne włosy i białe ubranie, nim drzwi się zatrzasnęły.

– Przepraszam! – zawołał senseista. – Nie wiedziałam!

Potrząsnąłem głową.

– To nie wasza wina. Nie mogliście o tym wiedzieć. – Podeszedłem do drzwi, by mój cichy głos dotarł do Cato. – Właśnie przemawiam senseiście do rozumu, doktorze Weeksbooth. Nie musicie się obawiać.

Dopilnuję, żeby wyszedł dolnymi schodami, i zawiadomię was, jak już sobie pójdzie.

Nie będę powtarzał serii podszytych szlochami podziękowań i przekleństw, jakie wymamrotał w odpowiedzi Cato. Właściwie to nawet nie były prawdziwe przekleństwa, a tylko brzmiące podobnie do nich zawołania, jakimi posiłkują się niekiedy dzieci, gdy brak im odwagi, by wypowiedzieć prawdziwe zakazane słowo. Lepiej, żebyś nie spotykał się z nim w tym miejscu, dobry Czytelniku. Cato Weeksbooth to wspaniałe, choć kruche stworzenie. Pokażę Ci go, gdy będzie bardziej sobą. Dzisiaj poznałeś Eurekę.

Zwróciłem się w stronę Carlyle'a i wskazałem na schody.

– Pójdziemy na dół?

Senseista wpatrywał się z w Eurekę, marszcząc blade czoło w wyrazie łączącym poczucie winy z oskarżeniem.

– Czemu nic nie powiedzieliście? Zszedłoby mu z drogi.

<nie ułatwiam cato neurotycznych zachowań. one mu szkoda.>

Carlyle otworzył usta, chcąc się sprzeciwić, ale powstrzymał się w porę. Uśmiechnął się. To nie był wymuszony uśmiech, a raczej taki, który pojawia się na twarzy, gdy próbujemy odegnać mroczniejsze uczucia.

– Jestem tu intruzem. To wasz interes. Mam nadzieję, że z czasem poznam was wszystkich lepiej. Chyba że nadal chcecie prosić o nowego senseistę, który nie będzie Kuzynem.

Eureką targnął nagły tik.

<czy wasza opinia jest teraz bardziej zdecydowana?>

– Na temat skonfigurowanych? Nie mogłoby zmienić zdania po dwóch minutach rozmowy z wami.

<większość ludzi ma już wyrobioną opinię, nim zaczyna ze mną rozmawiać. jeśli ockham się zgodzi, możecie zostać.>

– Czuję się zaszczycone. Dziękuję.

Carlyle zaczekał chwilę, ale Eureka nie uśmiechnęło się drwiąco.

– Pójdziemy już? – zapytałem, kierując się ku schodom.

– Tak, dziękuję. – Senseista zwrócił się ku drzwiom Cato. – Już sobie idę, doktorze. Przepraszam.

Dotarł niemal do schodów, nim zamarł w bezruchu, otrzymawszy kolejną wiadomość.

<nadal nie powiedzieliście mi, dlaczego wróciliście.>

To samo pytanie zadane po raz trzeci. Za bezpieczeństwo baszu

odpowiada Ockham, ale Eureka również jest czujnym strażnikiem, tym skuteczniejszym, że potrafi nadać przesłuchaniu pozory nieszkodliwego wścibstwa. Wstrzymałem nagle oddech. Nie chodziło tylko o niebezpieczeństwo wiążące się z pytaniem, lecz również o twarz Carlyle'a, która nagle przybrała wyraz spokojnej, anielskiej błogości, pięknej i przyciągającej uwagę. Wyglądała jak dzieło sztuki – marmurowa gładkość policzków, dziecinna delikatność brwi, złoty błysk zwisających luźno włosów. W tej chwili przypominał własną matkę.

– To sprawa dla senseisty – odparł lekkim, słodko brzmiącym głosem.
– Nie sądzę, bym potrafiło odpowiedzieć, nawet gdybym próbowało. Brak wam odpowiedniej wiedzy i doświadczenia. W końcu ja też szkoliłem umysł do czegoś.

<jestescie wokerem.>

Trudno mi opisać, jak nadzwyczajną pochwałą było to słowo dla Eureka. Dlaczego zawsze zdrabniamy słowa, które są nam drogie? „Baszro” zamiast „baszowego rodzica”, „baszrodzone” zamiast „baszowych rodzonych” w dawnych czasach „mama” zamiast „matki”, „księżniczka” zamiast „księżnej”, „papież” zamiast „papy”. A teraz rzucony od niechcienia „woker” zamiast archaicznego już „wokatora”. W roku 2266, gdy tydzień pracy wreszcie skrócono do dwudziestu godzin, ludzie tłumnie porzucili nieliczne zawody wymagające poświęcenia dłuższego czasu. Pierwszy Anonim, Aurel Gallet, pośpieszył wtedy z obroną tego, co nazwał „wokacją”. Jego traktat nadal jest obowiązkową lekturą na kursach wstępnych przed przyjęciem do trzech Pasiek. Dlaczego powołanie ma być czymś biernym? – zapytał. Dlaczego mielibyśmy je po prostu otrzymywać, bez udziału woli? Z pewnością to czynny proces? Odnajduję swą wokację, chwytam ją, zachwykam się ścieżką, która się przede mną otworzyła, i czynię ją swoją. To ja ją wzywam, a nie ona mnie. Ukute przez niego słowo „wokator” (ten, który woła) powstało po to, by nam przypomnieć, że człowiek o silnym powołaniu nie jest bezsilną ofiarą zmuszoną do ciężkiej harówki, lecz szczęściarzem, dla którego praca jest zarazem przyjemnością, i cieszy się, że może jej poświęcać trzydzieści, czterdzieści, a nawet pięćdziesiąt godzin tygodniowo. Z pewnością warto wypowiedzieć jedną sylabę więcej dla uczczenia słowa tak potężnego, że przebija barierę dzielącą Kuzynów od skonfigurowanych, by chwycić ich za serca z równą siłą.

Carlyle odpowiedział na ten komplement prawdziwym, ciepłym uśmiechem.

– Wy też.

Zaprowadziłem go do pustego pokoju Thisbe. Zamykając za nami drzwi, poczułem szczególną ulgę, jakbym odgradzał się od żaru upalnego sierpnia.

– Skąd wiedzieliście, że wrócę? – zapytał.

– Jesteście osobą zdrową na umyśle, członku Foster. Jak moglibyście nie wrócić po tym, co zobaczyliście?

Roześmiał się, ale krótko.

– To wydarzyło się naprawdę, tak? Nie uroiłem sobie tego?

– Naprawdę – potwierdziłem.

Jego twarz uspokoiła się, jak od dotknięcia rosy.

– Powtarzałem sobie, że rzeczywiście to widziałem. Nie mogłem myśleć o niczym innym. No wiecie, wierzę własnej pamięci i przypominam to sobie dokładnie, ale im bardziej się nad tym zastanawiałem, tym mocniej byłem przekonane, że to nie mogło się wydarzyć.

– Minęły miesiące, nim przestałem mieć wątpliwości. Siadajcie, proszę, członku Foster.

Wskazałem na zajmującą połowę szerokości pokoju, obitą aksamitem kanapę wodną należącą do Thisbe, ale Carlyle wybrał mój mały składany stołek, na którym mógł przycupnąć pełen energii, gotowy w każdej chwili zerwać się na równe nogi.

– Nie potrzebujemy formalności – oznajmił. – Wystarczy „Carlyle”.

– Carlyle – powtórzyłem. – Z góry przepraszam za chwile, gdy się zapomnę. Uprzejme formy weszły mi w nawyk.

– Nie ma sprawy. – Uśmiechnął się. – Czy wolicie, żeby mówić do was „Mycroft”?

– Tak, jeśli zechcecie. – Uklęknąłem i wziąłem w ręce zmywak oraz odkurzacz. – To wydarzyło się naprawdę. Zapewne często będziecie o to pytać. Nie powinniście wysyłać do mnie wiadomości. Mój lokalizator jest monitorowany. Zakładam, że macie już numer Thisbe. Skorzystajcie z niego, jeśli poczujecie potrzebę potwierdzenia.

Skinął głową.

– Czy macie... Miałem nadzieję znowu ujrzeć jakiś dowód. Żołnierzyków albo coś w tym rodzaju.

– Oczywiście. Przyniosłem dla was to.

Wstałem i wręczyłem mu papierową książeczkę, tak maleńką, że nawet po otworzeniu nie pokrywała całej powierzchni paznokcia jego małego palca. Bez względu na to, jak wielkie zbliżenie zrobiły nasze soczewki, dostrzegały coraz więcej szczegółów: literki mniejsze niż ukłucia szpilki, powierzchnie papieru, pozaginane rogi i ulubione fragmenty pokryte plamami od jedzenia. Wykonanie podobnego obiektu nie wykracza poza możliwości nauki, lecz z pewnością nie potrafiłaby tego dokonać żadna technologia, do której ja i Thisbe realnie moglibyśmy mieć dostęp.

Carlyle przez chwilę przyglądał się maleńkiemu dowodowi.

– Czy... czy to byłoby zbyt wiele, gdybym chciało to sobie zatrzymać? Jako pamiątkę.

– Nic nie może opuścić tego baszu. Żaden fizyczny dowód. Jeszcze nie. Dopiero gdy Bridger zdecyduje, że jest gotowe.

– Rozumiem. – Poglaskał grzbiet maleńkiej książeczki. – To ważna sprawa.

– Tak.

Umilkł na chwilę.

– Właściwie to najważniejsza. Najważniejsza ze wszystkich.

Nie mogłem mu udzielić żadnej odpowiedzi, która w jakimś stopniu nie naruszałaby granic jego przysięgi.

– Zadrapię się stronami – zasugerowałem. – Na paznokciu kciuka. Są tak cienkie, że ładunki elektryczne zlepiają je w skupiska, ale jeśli uda się wam oddzielić wystarczająco cienkie skupisko, będziecie mogli zrobić sobie wyraźne zadrapanie, które utrzyma się długo, zanim paznokieć odrośnie. Nie można tego nazwać dowodem, ale taka pamiątka upewniała mnie, że to wszystko prawda. To pomaga.

Oderwał ode mnie spojrzenie, przenosząc je na maleńki obiekt leżący na jego dłoni.

– Tak. Tak, to dobry pomysł. Dziękuję. Tak właśnie zrobię.

Przyglądałem się z uśmiechem, jak próbuje oddzielić odpowiednio cienkie skupisko. Śmiałem się lekko w duchu. To sprawiało mu stosunkowo mało trudności, bo miał do dyspozycji moje dziesięcioletnie doświadczenie. Cieszyłem się, że mogę mu ułatwić zadanie. Gdy zasady mojego świata zmieniły się gwałtownie w jednej chwili, miałem przed sobą maleńkie, groźnie uniesione bagnety i gadanie trzylatka.

Carlyle skończył i wyprostował się, uśmiechając się do swego

drogocennego dowodu.

– Co robicie? – zapytał, spoglądając na mój chemiczny zmywak.

– Niszczę dowody. Na górze doszło do włamania. Policja nie może znaleźć śladów obecności Bridgera. – Uśmiechnąłem się, by mniej wyglądać na przestępcę. – Thisbe poszła na randkę, a chłopiec śpi, ale mogę wam odpowiedzieć na wszystkie pytania, jakie zechcecie mi zadać. Jeśli jesteście podobni do mnie, przez najbliższy miesiąc będziecie mieli sto nowych pytań każdego dnia.

Jego uśmiezek zrobił się nieco zażenowany.

– Rzeczywiście mam mnóstwo pytań. Jakie... jakie są ograniczenia jego mocy? Co właściwie potrafi zrobić?

Zaczął od najważniejszego.

– Nie mam pojęcia, czy moc Bridgera w ogóle ma jakieś ograniczenia, a jeśli tak, to jakie. Mogę tylko opisać wam, co widziałem. Potrafi ożywiać podobizny. Wszelkie podobizny, które wydadzą mu się realne. Glinianą figurkę, lalkę, rysunek. Niewykluczone, że to wszystko, ale może też być zdolne do tysiąca innych rzeczy. Bridger to nieśmiałe dziecko, rozumie, co to zabawa, i lubi zabawki, ale do tej pory nie zademonstrowało nic innego.

Skinął głową.

– A kiedy ożywia te obiekty, czy stają się tym, co wyobraża sobie Bridger, czy raczej tym, co widziało w nich twórca? No wiecie, czasami dziecko może się bawić figurką przedstawiającą jakąś postać z filmu, ale nie zna tej postaci i wymyśla kogoś innego.

Skinąłem głową.

– Coś pośredniego. Kiedyś znalazło model balonu na gorące powietrze i poparzyło się ogniem płonącym pod nim. Wiedziało, co to jest balon, lecz nie miało pojęcia o jego działaniu, ale kiedy uczyniło go realnym, i tak miał prawdziwy ogień. A żołnierze mają broń i inny ekwipunek, w którym jest pełno działających, ruchomych części, których Bridger nie potrafiłoby nazwać ani rozpoznać. Żołnierze mówią współczesnym językiem angielskim, jak spodziewałoby się dziecko, ale nie mają współczesnego światopoglądu. Ich wizja świata wywodzi się sprzed setek lat, z czasów, gdy wyprodukowano te zabawki. Mówią o ludziach jako mężczyznach i kobietach, publicznie używają słów o religijnym znaczeniu i pamiętają mroczniejsze czasy.

– Czy... – Carlyle zmarszczył brwi. – Trudno sformułować to pytanie, ale czy pamiętają prawdziwe wydarzenia? Prawdziwych ludzi?

Zabawka przedstawiająca księcia z baśni nie ma odpowiednika w rzeczywistości, ale żołnierzyki wyobrażają realnych żołnierzy, którzy żyli w dawnych czasach. Czy Bridger stworzyło wymyślonych ludzi, czy odtworzyło prawdziwych, którzy żyli i umarli?

– Nawet gdyby żyli kiedyś naprawdę, nie mamy jak tego sprawdzić. Nie noszą prawdziwych, ludzkich nazwisk, tylko dziecinne imiona, które nadało im Bridger. Wskazujący, Przykucnięty, Wypatrywacz. Ale kiedyś stworzyło prawdziwą osobę.

Senseista otworzył szeroko oczy.

– Naprawdę?

– To była fotografia ze starej książki. Osoba o miłym wyglądzie, z którą chciało się pobawić. Emma Platz. Tak się nazywało. Bridger jej nie wymyśliło. W przypadku dwuwymiarowych obrazów to wygląda tak, jakbyśmy rozmawiali z nimi przez szybę. Człowiek po drugiej stronie widzi nas i słyszy, ale nie możemy do niego dotrzeć.

Carlyle pochylił się ku mnie tak energicznie, że omal nie przewrócił małego stołka.

– Czy w tym obrazie jest cały świat? Czy mogą się zjawiać inni ludzie? Czy płynie czas?

Zmarszczyłem brwi.

– Zrobiliśmy to tylko raz. Z eksperymentami z tworzeniem życia nie można się posunąć zbyt daleko, żeby nie przekroczyć granic okrucieństwa. Wiecie, że dzieci okropnie rozpaczają, kiedy ich ulubione zwierzątko umrze z ich winy. Z Emmą było znacznie gorzej.

– Co się stało?

Skrzywiłem się boleśnie na to wspomnienie.

– Emma nie mogło bez końca siedzieć na krześle na portrecie. Musiało jeść, pić i pójść do łazienki. Wyszło poza granicę zdjęcia i nigdy nie wróciło. Nie wiemy dlaczego. Być może przestało istnieć po opuszczeniu fotografii, ale mówiło, że ze swego krzesła widzi wszystkie inne pokoje i miejsca w domu. Rozważaliśmy możliwość ożywienia innego zdjęcia, ale to zbyt stresujące dla Bridgera. Kiedy dorośnie i będzie gotowe, możemy spróbować czegoś więcej.

Skinął głową.

– Co pamiętało Emma? Swoje prawdziwe życie czy wyimaginowane?

– Nie byłem w stanie tego zweryfikować. Pamiętało całe życie aż do chwili śmierci, ale trudno było znaleźć jakiegokolwiek informacje na jego temat. To było bardzo stare zdjęcie, z czasów, gdy po ludziach,

którzy nie byli sławni, pozostawało niewiele zapisków, zwłaszcza po kobietach. Znalazłam dokumenty wskazujące na parę różnych osób, które mogły być tą, z którą rozmawialiśmy, ale nic konkretnego.

– Macie jeszcze to zdjęcie?

– Oczywiście, ale cud się zużył. Światło dnia w pokoju już się nie zmienia.

– Cuda się zużywają?

– Tak. Wspo... – Przerwałam. – Carlyle, dla nieożywionych obiektów efekt jest permanentny, ale życie to najwyraźniej cud szczególnego rodzaju, który nie utrzymuje się tak długo. Bridger musi odtwarzać żołnierzy i Boo mniej więcej co miesiąc.

– Życie to cud szczególnego rodzaju – powtórzył półszepem, jak modlitwę.

Skinąłem głową.

– Dlatego Bridger nie może po prostu wskrzeszać umarłych.

Carlyle znieruchomiał.

– Tak. Tak. – Przerwał na chwilę. Ja i Ty, Czytelniku, nie potrafimy czytać w myślach, ale obaj potrafimy sobie wyobrazić wciąż się rozrastający strumień możliwości, który wypełnił w owej chwili jego umysł. – Czy Emma Platz... nie, to by w niczym nie pomogło.

– Czy Emma Platz co?

Zauważyłem, że jego usta drżą.

– Czy Emma Platz pamiętało życie pozagrobowe?

Poczułem, że to pytanie przeszywa dreszczem również moje serce. Pytanie senseisty.

– Nie, ale Wskazujący może je pamiętać, kiedy Bridger go jutro ożywi. Błada skóra Carlyle’a pobladła jeszcze bardziej.

– Zatem już zdecydowaliście? Że go przywołacie z powrotem?

– Jeszcze nie, ale jeśli Bridger tego nie zrobi, smutek i poczucie winy już nigdy go nie opuszczą. Gdybyście potrafili wskrzesić przyjaciela, to czy moglibyście opierać się tej pokusie przez całe życie?

– Nie. Nie mogłoby. Nikt by nie mógł.

Nie wyprowadziłem go z błędu. Czekałem na dalsze pytania, ale minęły cztery oddechy, a Carlyle nadal zastanawiał się nad życiem pozagrobowym. Bawił się nerwowo włosami i gapił się na mnie mętym wzrokiem, kiedy łąziłem na czworakach po pokoju. Ja również go obserwowałem – delikatny zarys małego podbródka, intensywny, niemal nienaturalny błękit oczu. Wielu powiedziałoby, że

rzeczywiście jest nienaturalny, jako że doskonałość jego matki ukształtowano, cecha po cesze, z najwspanialszych chromosomów, jakie miał do zaoferowania jej francuski rodowód, ale Arystoteles – Filozof – przypomina nam, że człowiek jest zwierzęciem, częścią natury, podobnie jak owoce i winorośl. Dlatego zbyt niebieskie oczy Danaë i jej zanadto wystudiowane gesty, a nawet jej lotosowy wieżowiec ze szkła i stali są tak samo naturalne jak upierzenie pawia albo tamy bobrów.

– Dlaczego dano wam ten przydział? – odezwałem się wreszcie.

Carlyle nie przestawał się gapić. Jego spojrzenie raczej przenikało mnie na wskroś niż skupiało się na mnie.

– Oto jest pytanie...

Nic nie mogłoby wzbudzić we mnie większej sympatii do Kuzyna. Sądził, że chodziło mi o sens metafizyczny, że chciałem zapytać, jakie fatum, czyja ręka, jaki wścibski duch albo nieubłagany Zegarmistrz sprawił, że jego droga przecięła się z drogą Bridgera. Myślał wyłącznie o tym. Nawet po pytaniach zadanych przez Eurekę nie przyszło mu do głowy, że jego pojawienie się u nas wzbudziło moją podejrzliwość, że czułem, że coś tu śmierdzi. Młodemu, niedoświadczonemu Kuzynowi dano dostęp do najbardziej skrytego baszu Humanistów. Jeśli istniał jakiś motyw, jeśli stał za tym jakiś wróg Humanistów albo Andō i Danaë ukrywający się w mroku, ten słodki, szczerzy senseistyczny woker nic o tym nie wiedział.

– Kiedy zaczęliście wątpić, czy to wydarzyło się naprawdę – zacząłem cicho – czy chodziło o to, że myśleliście, że to niemożliwe? Czy raczej o to, że to było coś, czego zawsze pragnęliście, i obawialiście się, że oszukujecie samych siebie, bo chcecie uwierzyć?

Coś w tym pytaniu sprawiło, że ukrył się za zasłoną włosów.

– Nigdy nie pragnąłem ożywić zabawek.

– Cud. Tak właśnie pomyśleliście. Wiem o tym. Powiedzieliście, że nie boicie się słowa „cud”.

– Wiecie, że nie mogę mówić na ten temat zbyt wiele.

– Możecie. To nie jest sesja, członku... Carlyle. Nie jesteście moim senseistą. Mam senseistę wyznaczonego przez sąd.

– Jeśli to nie jest sesja, nasza rozmowa ociera się o granice prawa.

Wstałem. Pewnych rzeczy nie powinno się mówić na kolanach.

– Musimy złamać to prawo. – Spojrzałem mu prosto w oczy i nie odwróciłem wzroku. – Musimy. W imię nauki, rozumu i całej

ludzkości. Coś się wydarzyło. Coś realnego, magicznego, metafizycznego. Musimy o tym rozmawiać, zbadać to. Musimy zdecydować, co robić dalej. To może być najważniejsze wydarzenie w całych dziejach. A może coś takiego wydarzało się już sto tysięcy razy, ale z jakiegoś głębszego powodu historia ukryła wszystkie te przypadki. Tu nie chodzi o to, że możemy zagrozić pokojowi na świecie, szerząc wierzenia jakiegoś kultu, lecz o odkrycie głębszej, możliwej do udowodnienia prawdy o rzeczywistości, w której żyje ludzkość, i z czasem podzielenie się tą prawdą z innymi.

Chciałbym powiedzieć, że Carlyle przerwał na moment, by odnaleźć w sobie siłę, ale wszystkie jego ruchy świadczyły o słabości. Skulił się, ukrył pod luźną tkaniną kuzynowskiej szaty jak dziecko chowające się pod kołdrą. Myślę jednak, że tak właśnie przejawiała się jego łagodna siła.

– Mogłoby powiedzieć, że wiele kultów byłoby tego samego zdania. Ale macie rację. Potencjał jest zbyt wielki. Jeśli zrozumiemy tę moc, jej zastosowanie będzie bardzo szerokie. Ale nie możemy zbadać jej, jak należy, bez rozważenia teologicznych implikacji. – Zaczerpnął głęboko tchu. – A skoro już o tym mowa, zadawałam sobie pytanie, czy mamy prawo czekać z pokazaniem Bridgera komukolwiek, aż będzie dorosłe? Co, jeśli do tego czasu coś mu się stanie? Jeśli przewróci się i złamie sobie kark? Utracimy cały ten potencjał. A nawet gdyby nie doszło do najgorszego, jego moc mogłaby przez te lata zrobić wiele dobrego. Nie mówię koniecznie o wskrzeszaniu umarłych. To miałyby wiele innych implikacji, które musimy uwzględnić. Ale są też drobniejsze sprawy. Bridger mogłoby odkryć lekarstwo na stereokożę.

– Zrobiliśmy to.

– Słucham?

– Półtora roku temu powiedziałam Bridgerowi, żeby zrobiło lekarstwo. Wysłałam je anonimowo do Pele Chemical. Testy trwają.

– Co... słucham...

– Pamiętacie, jak trzy lata temu odkryli lekarstwo na zespół żylny Waldfogla? To też było Bridger.

Przełknął ślinę.

– Ale mogłoby zrobić znacznie więcej niż tylko odkryć lekarstwo na jedną chorobę. Na przykład ten eliksir uzdrawiający. Dzięki niemu rany znikają w jednej chwili.

– A gdyby coś takiego pojawiło się w niewyjaśniony sposób na progu jakiegoś laboratorium, wszyscy konni i wszyscy dworzanie nie spoczęliby, dopóki nie ustaliliby źródła. Próbowaliśmy go zbadać, ale eliksir przeobraził sam mikroskop. Jego działanie wykracza poza granice współczesnej nauki, a przynajmniej poza granice możliwości sprzętu, jaki byliśmy w stanie zdobyć bez pozostawiania śladu w dokumentach. Możemy mieć nadzieję, że pewnego dnia nauka wyjaśni ten efekt, a nawet zdoła go zduplikować, ale to nie będzie możliwe bez dostępu do źródła eliksiru. A żeby to stało się możliwe, Bridger musi być gotowe na to, że skupią się na nim nadzieje i zazdrość całego świata. A nim to się stanie, musi się nauczyć rozmawiać z nieznanymi.

Carlyle skinął głową, ale nadal nieco się kulił.

– Ale każdego dnia...

Nie ustąpiłem.

– Tego typu moralne kalkulacje doprowadzą was do szaleństwa. Ludzie, którzy umrą dzisiaj albo jutro, bo nie otrzymają eliksiru Bridgera, nie obciążają waszego sumienia bardziej niż ci, którzy umarli wczoraj albo tysiąc lat temu. W sprawie Bridgera robimy wszystko, co w naszej mocy. Stoimy już na progu przejścia od dziecinnych kroczków do prawdziwych kroków dorosłego. Wy jesteście pierwszym takim krokiem. Jeśli dobrze się spiszecie, wkrótce może nadejść drugi. Nikt nie mógłby prosić o więcej.

Uśmiechnął się.

– Tak. Macie rację. Potrafię sobie z tym poradzić. Wiem, że to...

Przerwało mu głośnie burczenie w żołądku.

Ryknąłem głośnym śmiechem.

– Zapomnieliście dzisiaj o jedzeniu, prawda?

– Pewnie macie rację.

– Na stole jest lunchbox z posiłkiem. Dobrym i świeżym. Poczęstujcie się – zaproponowałem.

– Dziękuję. – Wziął pojemnik i zaczął rozwiązywać ozdobny węzełek, ale nagle coś sobie uświadomił. – Chwileczkę, to jest... nie mogę przyjąć jedzenia od usługowca. Zasłużyliście na nie. To ja powinienem was karmić.

Z trudem powstrzymałem chichot.

– Bridger może zrobić filet mignon z kartonu. Głód mi nie zagrozi.

Odwzajemnił mój uśmiech.

– Dziękuję.

– Nie ma sprawy – wymamrotałem, przypominając sobie, czyje delikatne palce przygotowały obiad, który na spólkę z losem włożyłem w dłonie utajnionego genotypu. – Możecie to uznać za zadośćuczynienie za wcześniejszą napaść. Dziękuję, że na mnie nie donieśliście.

Senseista uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Daliście mi znacznie więcej. Załatwiliście tę sprawę z wielkim wyczuciem. Odpowiedzieliście na mnóstwo pytań i naciskaliście na mnie, gdy było to konieczne. Macie rację, mówiąc, że musimy porozmawiać o tym, co to wszystko, naszym zdaniem, znaczy, i w tym celu musimy używać słów takich jak „cud”, „metafizyka” czy „los”, obok takich jak „magia” albo „zjawisko”. Ale nie zmuszaliście mnie dotąd do ich wypowiedzenia.

Ponownie uklęknałem i wróciłem do pracy.

– Łatwo można zauważyć, że to wy jesteście wycieńczeni.

– To prawda. – Zachichotał pod nosem. – Byliście senseistą?

To był niespodziewany cios. Carlyle w pewnym stopniu przyswoił sobie sztukę uderzania w najbardziej czuły punkt, jakiej uczy obecne Konklawe, ale w jego przypadku z reguły łagodzi to wrodzona dobrotliwość. Zdaję sobie sprawę, Czytelniku, że powinienem przeprosić za mój dezorientujący język, bo jeśli rodzaj męski i żeński w moich ustach znaczą cokolwiek, z pewnością tego słodkiego, łagodnego Kuzyna w jego powłóczyściej szacie powinno się uważać za kobietę. Niestety, w tym przypadku zewnętrzna władza nakazała mi przyznać Carlyle’owi rodzaj męski, by przypomnieć Ci, że ten z dawna zaginiony dziedzic jest księciem, a nie księżniczką. Ten fakt ma znaczenie w oczach niektórych osób. A także w oczach prawa. Będę się jednak starał ze wszystkich sił przypominać Ci jak najczęściej, że w szerokiej piersi Carlyle’a bije matczyne serce. Obiecuję też, Czytelniku, że wszystkich pozostałych Kuzynów będę konsekwentnie opisywał jako kobiety.

– Nie – zaprzeczyłem. – Nigdy nie byłem senseistą ani nikim w tym rodzaju. Byłem za młode, gdy popełniłem swe zbrodnie.

W jego wyrozumiałym spojrzeniu, w zbyt przenikliwych niebieskich oczach pojawił się błysk litości. Był gotowy wybaczyć każdemu okazującemu skruchę skazańcowi, bez względu na to, jak straszliwe mogły być jego nieznane przewiny.

– A czy chcielibyście nim zostać. Co w waszym sposobie mówienia to sugeruje.

– Nie wiem. Nigdy nie wybiegałam myślą tak daleko naprzód. Ale gdybym było senseistą i to byłaby nasza sesja, chyba powiedziałabym w tej chwili, że usłyszeliście już wystarczająco wiele nowych, zdumiewających informacji na jeden dzień i powinniście teraz wrócić do domu, żeby odpocząć i przetrwać to wszystko. Cały wszechświat i Bridger jutro będą tu nadal. Ja również.

– Byłoby z was dobre senseista – stwierdził Carlyle. W jego ustach to mógł być największy możliwy komplement.

TU KOŃCZY SIĘ PIERWSZY DZIEŃ TEJ OPOWIEŚCI

Rozdział szósty

Nie od razu Rzym zbudowano...

...ale wzniesiono go tylko w jeden rok, jak mówi nowe przysłowie. Romanowę, morze połyskliwego marmuru i błyszczącego brązu, stworzono od podstaw zaledwie w trzysta dni, by stała się stolicą naszego nowego świata Pasiek. W roku 2198 cesarzowi Agrippie MASONOWI zlecono zadanie wyboru planu nowej stolicy Sojuszu. Wśród licznych projektów wspaniałych szachownic ulic i luksusowych Miast Widokowych pojawiła się nieoficjalna propozycja oznaczona numerem 40 1/2. Nie zawierała ona niczego poza tanim turystycznym plakatem przedstawiającym starożytny Rzym. Podrzucił ją młody, zuchwały sekretarz znany jako Mycroft Ragbinder (albo Frustinexor, żeby zapisać masońskie nazwisko po łacinie, jak powinno się to robić). Ten mądrała zasugerował nawet nowoczesne nazwy, jakie jego zdaniem powinno się przypisać starożytnym budynkom – Kuria Julijska stała się Senatem Sojuszu, Bazylika Julia Najwyższym Sądem Multiprawnym, a Dom Westalek przerodził się w Konklawe Senseistów. Agrippa MASON dostrzegł geniusz tego planu, ogłaszającego całemu światu, że choć wojna spustoszyła wszystkie kontynenty, nowa epoka pszczoł upora się z ponowną budową stolicy nad stolicami, której legenda stała się wzorem dla wszystkich późniejszych metropolii, równie łatwo, jak rozbijałaby namiot. Nie była to przy tym prosta odbudowa Rzymu, takiego, jakim był przed wojną Kościołów, choć Agrippa przedsięwziął również i to. To była wielkość stworzona *ex nihilo*, wzniesiona na pustkowiach, w mało znanej części Ziemi. Marmurowe miasto wyglądające tak samo jak w czasach, gdy władało pierwszym Imperium, które nie potrzebowało żadnej innej nazwy poza samym słowem „Imperium”. Tego samego wieczoru, gdy Sojusz zaakceptował plan MASONA, cesarz napisał do swego najstarszego baszrodzonego, że podejrzewał, iż jeśli wychowa młodego Mycrofta Frustinexora tak, by mógł w pełni zrealizować swój potencjał, to – podobnie jak stało się to z Filipem i Aleksandrem – jego

imię przetrwa w historii jedynie w opowieściach o jego następcy. (*Nomen meum sempiternum, si hunc juvenem ad totam potentiam tollo, permanebit, sed, sicut Phillipi Macedonis tantum in biographis eius qui post me regnabit – Epistolae Agrippae MASONIS IV, iii.*)

Rankiem dwudziestego czwartego siąpiła mżawka. W towarzystwie innych usługowców sprzątałem pozostałości po awarii kanału w Marsylii – te, których nie były w stanie usunąć roboty. To była idealna praca dla nas – taka, której nikt nie chce wykonywać, zwłaszcza w Dzień Zerwania Więzów, i dzięki której wolni ludzie cieszą się, że istniejemy, bo w przeciwnym razie musieliby zająć się nią sami. My również wolimy podobne zadania, bo pod nieobecność tych, którzy stoją wyżej od nas, możemy cieszyć się towarzystwem równych sobie. Czujesz się zaskoczony, że między usługowcami istnieje koleżeństwo? A nawet duma? My również jesteśmy grupą swojego rodzaju. W głębi serc uważamy się za wspólnotę, podobnie jak rybacy, Grecy albo narciarze. Łączą nas wspólne idee, wspólne doświadczenia, w noclegowniach wymieniamy się opowieściami, ludową muzyką, plotkami o dobrych i złych patronach, podobnie jak włóczędzy i żebracy w minionych czasach, choć nie powinieneś sobie wyobrażać, że istnieje jakiś król żebraków albo mają oni miasta ukryte w miejskich kanałach.

Wtem z autolotu wyskoczył jakiś człowiek. Złapał mnie za kołnierz i potrząsnął mną tak gwałtownie, że mój kapelusz wpadł mi w błoto.

– Ile razy, Mycrofcie?! – krzyknął mi prosto w twarz. – Wzywam was już od dwóch godzin! Nie wolno wam marnować swych talentów w ten sposób!

– Hej! – Jedna z moich nowych towarzyszek (nie wolno mi wymieniać ich nazwisk) przepchnęła się ku nam, unosząc pięści w mojej obronie.

Inna, która знаła mnie lepiej, uniosła rękę, by ją powstrzymać.

– Nie wtrącaj się.

– Ale...

– Cenzor jest w prawie, nie wtrącaj się.

– Cenzor?

Być może podzielasz zdumienie i szok mej nowej towarzyszki, w chwili gdy rozpoznaje pod szarym płaszczem przeciwdeszczowym porfirowy, krwawoczerwony mundur romanowańskiego cenzora. Jeśli Sojusz ma twarz, jest nią cenzor Vivien Ancelet. W tej chwili poczuł się zawstydzony, że przyłapano go na zachowaniu, które łatwo można

błędnie zinterpretować, ale i tak wywierał onieśmielające wrażenie, nie dzięki silnej budowie, lecz potężnemu intelektowi. Na deszczu jego ciemny mundur przybrał niemal czarną barwę zakrzepłej krwi, dodatkowo podkreślającą złotą lamówkę oraz olimpijskie paski na butach, przypomnienie, że w młodości zdobył medale w matematyce i w debatowaniu. W rodzonym baszu cenzora, jego samogłoskach i jego „r” wyczuwa się ślady Francji, natomiast w twarzy, dredach i ciemnej skórze odbija się Afryka. Nie nosi jednak żadnych grupowych insygniów poza spinkami klubów matematycznych i zagadkowych. Całą swą dumę zainwestował w szarfę Bezpasiekowego Szaroprawowca okalającą jego biodra oraz w purpurowy mundur na ramionach. Urząd cenzora jest w naszej epoce paradoksem, podobnie jak w starożytnym Rzymie. Nie sprawuje władzy ustawodawczej ani wykonawczej, nie jest dowódcą ani sędzią, lecz na swój sposób jest potężniejszy niż każdy z nich. Odpowiada za statystyki, jego zadaniem jest śledzenie zmian liczby członków oraz bogactwa Pasiek. Na tej podstawie decyduje o zwiększaniu bądź zmniejszaniu liczby senatorów reprezentujących każdą z nich. W jego rękach spoczywa równowaga władzy nad planetą. Ponieważ to on powołuje i odwołuje ustawodawców, możemy go zwać dziadkiem praw. To najważniejsze dożywotnie stanowisko w Sojuszu i w związku z tym jest jedynym w całej Romanovie urzędnikiem, z którego media mogą zrobić księcia.

– Jest powód, dla którego nadal pozostajecie przy życiu, Mycrofcie, i tym powodem nie jest wynoszenie gówna. Wsiadajcie do autolotu.

– Tak jest, cenzorze. Ale...

– Natychmiast. – Złapał mnie za włosy. Widziałem gniewne twarze, świadczące, że niektórzy usługowcy widzą w tym maltretowanie, w rzeczywistości jednak była to czuła brutalność, jak wtedy, gdy lwica przenosi młode w delikatnych, ostrych jak brzytwy zębach. – Mamy pięć godzin na sprawdzenie skutków całej listy Siedmiu i Dziesięciu. Ludzkość potrzebuje tego znacznie bardziej niż metra kwadratowego powierzchni, którą mógłby oczyścić ktokolwiek.

Ta prawda mnie zaboląła.

– Tak, cenzorze. Przepraszam.

Strażnicy otoczyli nas kordonem. Vivien skinął na jednego z nich, nakazując mu podnieść mój kapelusz. Pozostali – muskularni ludzie obleczeni w jaskrawy błękit Sojuszu – odepchnęli na boki moich

ubłoconych towarzyszy, podczas gdy małe latające roboty rejestrowały ich twarze, na których malowały się zdumienie i troska.

Ale na jednej z nich nadal widziało się gniew.

– Nawet jeśli jesteście cenzorem, to jeszcze nie znaczy, że możecie...

– W porządku. – Po raz kolejny usługowiec, który widział już przedtem podobne sceny, powstrzymał moją śmiałą towarzyszkę delikatnym dotykiem. – Cenzor wie, co robi. Mycroft ma... trochę uszkodzoną głowę i czasami trzeba odrobiny stanowczości, by... przywrócić mu kontakt z chwilą obecną. Ale to Mycrofta trzeba przekonać do zmiany zdania, a nie cenzora.

Vivien – z uwagi na długą znajomość pozwala, bym mówił do niego po imieniu – uśmiechnął się, widząc, że ma wsparcie kogoś, kto również rozumie, jak trudno jest się ze mną uporać. Nie zrozum mnie źle, Czytelniku. Wszystko, co jest w tej scenie nie w porządku, rzeczywiście jest moją winą. Użycie siły, maltretowanie, a nawet odbieranie wolności budzą wstręt w naszym dobrym cenzorze, który zawsze ma przy sobie wielkiego przeciwnika przemocy, naszego Patriarchę Woltera – jako popiersie w prywatnym gabinecie, a jako wzór do naśladowania w sercu. Jeśli dostrzegasz tu przemoc, nie pochodzi ona od Viviena. Raczej ja zarażam wszystkich, którzy mnie otaczają, cieniem własnej przemocy.

– Przepraszam. – Pozwoliłem, by zaprowadził mnie do autolotu, uśmiechając się uspokajająco do towarzyszy. – Nic mi nie będzie. Spotkamy się później. Nie zapomnijcie wysłuchać mów!

– Oni ich wysłuchają, ale nam może się nie udać i to będzie wasza wina. – Vivien przekazał mnie strażnikowi, który pomógł mi zdjąć usmarowany błotem fartuch. – Zmarnowaliście nie tylko mój czas. Musiałem was szukać. Pytałem różnych ludzi, przerywając nie wiem ile zebrań.

Skrzywiłem się boleśnie.

– Przepraszam, że musieliście poświęcić cenny czas, by mnie odnaleźć.

Stałem na pierwszym stopniu wejścia do autolotu i pozwoliłem, by jego spłukiwarki usunęły paskudztwo z moich butów.

– Słyszeliście, co się stało?

– Ukradziono listę Siedmiu i Dziesięciu *Czarnej Sakury*, a potem ją odnaleziono.

– W rzeczy samej. – Poddał się całemu autolotowemu cyklowi

oczyszczania dwa razy z rzędu, by usunąć z mankietów ostatnie ślady brudu. – A teraz lista Siedmiu najpopularniejszych znalazła się w centrum uwagi całej planety i wszystkie nasze kalkulacje szlag trafił. – Zwrócił się ku konsoli systemu. – Romanova. Urząd cenzora.

Gdy tylko autolot przyśpieszył, zaczęliśmy obliczenia. Gdy leci się jednym z dzieci *Mukty*, podróż z Marsylii do Romanovy jest tak krótka, że wehikuł nawet nie zdąży rozwinąć pełnej prędkości. Vivien przestawił ekrany na tryb okna, żebyśmy mogli się nacieszyć pięknymi widokami stolicy. Nadal jest w niej zakochany, mimo że pełni urząd już od szesnastu lat. Nad ulicami powiewały kolorowe chorągwie dzisiejszego święta. Choć były pełne życia, wydawały się tu niemal czymś niewłaściwym, jak farba zalegająca w szczelinach starego posągu, który kiedyś był barwny, lecz szlachetniej wygląda w nagiej bieli. Wszędzie widziało się radosne złoto-niebieskie barwy flag Sojuszu, ale Dzień Zerwania Więzów budził również pasiekową dumę i nad sztucznymi wzgórzami naszego nowego Rzymu widziało się girlandy i proporce w barwach zamieszkującej je ludności – nad Kwirynałem czerwień, zieleń i biel Mitsubishi, nad Celiusem czerwień, czerń i złoto Gordian, w dolinach europejski błękit i złoto mieszające się z kuzynowską bielą i lazurem, na Eskwilinie dominowały masońska szarość i purpura, natomiast na brzegach Tibernovu jaskrawa olimpijska tęcza czyniła dzielnicę Humanistów jeszcze barwniejszą niż zwykle. W taki dzień naprawdę widać, że ludność Romanovy jest najbardziej pasiekowo zróżnicowana na całej Ziemi, bardziej nawet niż w Sydney czy Hajdarabadzie, ponieważ tutaj proporcje członków siedmiu Pasiek ustalają nie tylko prawa miejskie, lecz również prawa Sojuszu. Po śmierci przewodniczącego Carlyle'a nie sposób już było dłużej odkładać wyboru stolicy świata. Komitet stanął przed trzema problemami – projekt architektoniczny; podział terenów budowlanych, które wkrótce miały się stać najatrakcyjniejsze na całej Ziemi; a wreszcie: kto za to wszystko zapłaci. Gdyby podzielono wydatki równo, uderzyłoby to w uboższe Pasieki, zwłaszcza Kuzynów i Olimpijczyków, udzielających wówczas schronienia większości biednych nadal żyjących na świecie. Natomiast podział według stopnia zamożności oznaczałby, że największe wydatki poniesie maleńka, lecz bogata w patenty Utopia, która miałaby później prawo zażądać lwiej części gruntów pożądaných przez wszystkich. Komitet zmitrężył dziesięć lat, nim wreszcie Masoni

zgłosili swą propozycję: sami pokryjemy wszystkie koszty budowy, a grunty podzielimy między wszystkie Pasieki zależnie od liczby ich ludności. W zamian prosimy tylko o to, byście pozwolili nam wybrać projekt. Wszyscy ucieszyli się z zakończenia sytuacji patowej i za marne kilkaset miliardów euro Pasieka mitów i imperiów uczyniła stolicą świata kopię Rzymu. Czy jakikolwiek rząd w historii mądrzej zainwestował w propagandę?

Autolot zaczął odtwarzać rytualne pozdrowienie:

– Sześciopasiekowy System Transportu wita w Romanowie. Od gości wymaga się przestrzegania minimum Szarego Prawa Bezpasiekowego, a także specjalnych romanowańskich zarządzeń dotyczących noszenia ukrytej broni, zgromadzeń publicznych oraz graffiti. Żeby otrzymać listę lokalnych przepisów nieznanymi w waszym zwyczajowym kodeksie prawnym, naciśnijcie „prawo”.

Większość ludzi zna tę formułę na pamięć i śmiertelnie się nią znudziła, ale twarz cenzora rozpromieniła się, jakby przywitała go matka.

– Nareszcie!

Na schodach urzędu cenzora spotkało nas jego badziecko, uczeń i główny zastępca, Jung Su-Hyeon Ancelet-Kosala, bo taką właśnie kolejność jego imion i nazwisk preferuje większość. Jego krótki czarny warkoczyk rozsypał się częściowo, a szaro-purpurowy mundur był pomięty po nocy spędzonej za biurkiem. Obecność ucznia w tym miejscu wydała mi się surrealistyczna, gdy sobie przypomniałem, że widziałem jego nazwisko na liście Siedmiu i Dziesięciu. Co prawda, wicecenzor często pojawiał się w kularach władzy w towarzystwie przełożonego, ale wizja Su-Hyeona jako dominującego nad światem tytana wydawała się równie osobliwa jak obraz żurawia śnieżnego toczącego bój z orłami. Wicecenzor jest naprawdę maleńki, w stopniu możliwym tylko dla azjatyckich kobiet. To tak, jakby dzieciństwo nie chciało odejść, i dlatego nadal pozostał tak drobny, że mógłby kołysać się na wietrze jak trawa albo stłuc się jak porcelana. W gruncie rzeczy jego krucha budowa sprawia, że trudno mi się trzymać rodzaju męskiego. Co więcej, pod obcisłym mundurem kryje się wystarczająco wiele ciała, by potwierdzić, że Su-Hyeon ma kobiece biodra i piersi, ale rodzaj męski będzie dla Ciebie łatwiejszy, Czytelniku, ponieważ w ten sposób zachowa się zgodność między uczniem a mistrzem. Su-Hyeon uśmiechnął się do Viviena, ale mnie przywitał srogim marsem na

czole.

Następny mars widniał na drugiej witającej nas twarzy, należącej do najbardziej obiecującej z nowych analityków cenzora, Toshi Mitsubishi. To kolejne z adoptowanych dzieci dyrektora naczelnego Andō i *princesse* Danaë. Na jej pochodzenie składają się w równym stopniu Afryka i Europa. Można to zobaczyć w ciepłym brązowym odcieniu jej umiarkowanie ciemnej skóry i wełnistych włosach, skręconych w tysiąc maleńkich splotów przypominających języki płomienia, ale nad jej składnią, pozą i płytkim, odruchowym ukłonem, jakim nas przywitała, dominuje Japonia. Toshi nosi też bransoletę japońskiej grupy narodowej. Miesiąc przed opisywanymi wydarzeniami zaszczyciono mnie kawałkiem tortu, gdy Toshi świętowała zdanie egzaminu dorosłej kompetencji. Czuję się wtedy dość zadowolony z siebie, że trafnie odgadłem, iż pomimo szlachetnego nazwiska Mitsubishi Toshi zamieni szarfę niesamodzielnego na noszoną przez Bezpasielowych Szaroprawowców. Mogłaby pracować dla cenzora nawet jako członek Pasieki Mitsubishi, ale dla tego urzędu szara szarfa stanowi coś w rodzaju munduru, nawet jeśli jest to raczej przesąd niż zasada, jakby publiczni urzędnicy mogli w jakiś sposób uczynić liczby kłamstwem, gdyby zobowiązali się do posłuszeństwa innemu prawu.

– Gdzie, do licha, podziewało się Mycroft? – spytała natychmiast Toshi.

– Siedziało w kanale.

Przeprosiłem Su-Hyeona z bolesnym grymasem, a Toshi z ukłonem.

– Co udało się wam zrobić od czasu naszej ostatniej rozmowy?

Vivien popędził w górę po schodach, wyjmując lokalizator z ucha w chwili, gdy przekroczył odlane z brązu drzwi i wszedł do sanktuarium.

– Właściwie bardzo dużo. Przed chwilą przyszła najnowsza lista.

Su-Hyeon podążył za cenzorem do przedpokoju i rzucił swój lokalizator strażnikom.

– Znakomicie. W autolocie również dokonaliśmy pewnych postępów.

Znieruchomiałem, gdy cenzor dezaktywował i unieruchomił mój lokalizator, podczas gdy jego strażnicy sprawdzali pozwolenia z policją. Uwolniwszy się od lokalizatorów i nawet od eskorty robotów towarzyszących cenzorowi, przeszliśmy razem przez wewnętrzne drzwi, pozwalając, by sanktuarium zamknęło się z nami w środku. Być

może, Czytelniku, nigdy nie byłś odcięty od sieci przez dłuższy czas, poza pewnymi etapami długiej podróży na Księżyc. W dzisiejszych czasach niewiele jest miejsc o zabezpieczeniach tak silnych, że nie pozwalają na użycie lokalizatorów. Nieznajome, zimne wrażenie pustki w uchu sprawia, że wewnętrzna komora wydaje się bardziej niezwykła niż inne pomieszczenia rządowe, podobnie jak zasypana świątynia, do której trzeba się ześlizgiwać wydrążonym przez archeologów tunelem, jest znacznie bardziej złowrogim wspomnieniem przeszłości niż ruiny stojące w promieniach słońca. Wielkie znaczenie danych gromadzonych przez cenzora usprawiedliwia ten rytuał, lecz pozostaje on rytuałem, nie bardziej i nie mniej koniecznym niż kąpiel wymagana przed wejściem do poprzednika tego budynku w prawdziwym Rzymie, wzniesionego w miejscu kremacji boskiego Juliusza.

– Czy mamy już artykuł wstępny Brillistów? – zapytał Vivien, opadając na swą ulubioną sofę, ustawioną pośrodku ośmiokątnego pokoju otoczonego ściennymi ekranami.

Toshi potrząsnęła głową.

– Tylko listę. Rozmawiałam z samym kierownikiem i z redaktorem naczelnym też. Obiecali, że ukaże się przed upływem dwóch godzin.

– Jak ją zobaczę, to uwierzę. Wyświetlcie pełną tabelę.

Ściany go posłuchały. Masz ochotę na małą grę, Czytelniku? Najpierw przeczytasz listę Siedmiu i Dziesięciu, a potem ja odczytam Twoje myśli i powiem Ci, w jakiej kolejności ją przeczytałeś, na co zwróciłeś uwagę, a co zlekceważyłeś. Myślisz, że nie zdołam tego zrobić? Cenzor nie korzystałby z moich usług, gdybym nie miał pewnych talentów proroczych. Sprawdź mnie. Czytaj swobodnie, omijając, co zechcesz, nie zmuszaj się do wpatrywania się w każde nazwisko, by móc potem powiedzieć: „Nie doceniłeś mnie, Mycrofcie. Jestem wolny od uprzedzeń i niczego nie pomijam”. To nienaturalne analizować wszystko z taką samą uwagą, Czytelniku. Ludzie czytają każdą linijkę kontraktu tylko po to, by móc się tym potem przechwalać. Czytaj, co zechcesz. Nawet sam cenzor tak postępuje.

<i>Romanov</i>	<i>Audite Nova</i>	<i>Anonim</i>	<i>Forum Rosetta</i>	<i>Olimpijczyk</i>
Cornel MASON	Imperator	Cesarz Cornel	Cesarz Cornel	Anonim
			Przewodniczący	

Bryar Kosala	Anonymus	Anonim	KosalaPrzewodniczący Kosala	MASON
Anonim	Procurator Kosala	Bryar Kosala	Prezydent Ganymede	Prezydent Ganymede
Casimir Perry	Dictator Mitsubishi	G. de la Trémoille	Anonim	Bryar Kosala
Ganymede	Dux Ganymedes	Felix Faust	Dyrektor naczelny Mitsubishi	Hotaka AndōHotaka Andō
Hotaka Mitsubishi	Praefector Peregrinus	Hotaka Mitsubishi	Rektor Faust	Felix Faust
Felix Faust	Magister Faustus	Casimir Perry	Premier Perry	Casimir Perry
<i>Vivien Ancelet</i>	<i>Censor Ancellus</i>	<i>Castel Natekari</i>	<i>Mówca Jin Im-Jin</i>	<i>Sniper</i>
<i>Hugo Sputnik</i>	<i>Senator Carlemagnus Confraternidomitor</i>	<i>Król Hiszpanii Isabel Carlos II</i>	<i>Trybun J.E.D.D. Mason</i>	<i>Ursel Haberdasher</i>
<i>Bazyli Seiler-Cook</i>	<i>~In Memoriam~</i>	<i>Southern Time Inc.</i>	<i>Senator Guildbreaker</i>	<i>Sawyer Dongala</i>

<i>Le Monde</i>	<i>Czarna Sakura</i>	<i>El Pais</i>	<i>Instytut Brilla</i>	<i>Shanghai Daily</i>
L'Anonyme	Cornel MASON	Cesarz Cornel	Cornel MASON	MASON: Masoni
Empereur Cornel	Hotaka Mitsubish	Anonim	Anonim	Anonim
Ganymede de la Trémoille	Anonim	Ganymede de la Trémoille	Hotaka Andō Mitsubishi	Perry: Europejczycy
Hotaka Mitsubishi	Ganymede	Bryar Kosala	Ganymede	Andō: Mitsubishi
Casimir Perry	Casimir Perry	Hotaka Mitsubishi	Bryar Kosala	Ganymede: Humanisci
Bryar Kosala	Felix Faust	Casimir Perry	Felix Faust	Kosala: Kuzyni

Felix Faust	Bryar Kosala	Felix Faust	Casimir Perry	Faust: Gordianie
<i>Lune Cassirer</i>	<i>Darcy Sok</i>	<i>Król Hiszpanii Isabel Carlos II</i>	<i>J.E.D.D. Mason</i>	<i>Rongcorp & spółki córki</i>
<i>Le Roi Isabel Carlos II</i>	<i>Hiszpański książę koronny Leonor</i>	<i>Charlemagne Guildbreaker</i>	<i>Julia Doria-Pamphili</i>	<i>Xiao Hei Wang (tzn. J.E.D.D. Mason)</i>
<i>Ektor Papadelias</i>	<i>Jung-Su Hyeon Ancelet-Kosala</i>	<i>Orland Vives</i>	<i>Sniper</i>	<i>Ting Ting Foster</i>

Skończyłeś już? W takim razie ja zacznę. Jeśli, Czytelniku, żyjesz w czasach bliskich moim, najpierw sprawdziłeś na każdej z list własną Pasiekę i uśmiechnąłeś się, jeśli się przekonałeś, że wasze wpływy rosną, albo się skrzywiłeś wściekły na obce gazety, które was lekceważą. Następnie przeczytałeś pełną listę gazety swojej Pasieki, a po niej zapoznałeś się z ponadpasiekowymi rankingami Romanova i Anonima (bez względu na to, czy zgadzasz się z Anonimem, czy nie, musisz wiedzieć, co sądzi najbardziej opiniotwórczy głos w światowej polityce). Następnie zapoznałeś się z listą *Czarnej Sakury*, ponieważ dawne sukcesy zapewniły jej tytuł „bohatera” wszystkich gazet. Pozostałe listy przejrzałeś pobieżnie, zwracając uwagę na najbardziej rzucające się w oczy zmiany: kto postawił przewodniczącego Kuzynów Kosalę wyżej od Anonima albo umieścił rektora Brillistów, Felixa Fausta, w pierwszej siódemce. A jeśli sam nie jesteś Brillistą, dopiero pod koniec i z niechęcią, być może nawet po tym, jak zacząłeś czytać ten akapit, przestudiowałeś listę Gordian, ponieważ nie potrafisz przyznać sam przed sobą, że ufasz opiniom obcego bardziej niż zdaniu czołowego komentatora własnej Pasieki, ale z drugiej strony nie możesz udawać, że nie wierzysz, że think tank Instytutu Brilla jest wyrocznią lepszą nawet ode mnie.

A co, jeśli nie jestem Twoim współczesnym, Mycrofcie? – zapytasz. Jeśli należę do potomności i spoglądam na ciebie z czasów o stulecia późniejszych od transformacji, którą opisujesz? W takim przypadku, Czytelniku, polegasz na ostatniej z list. Pozostałe przejrzałeś pobieżnie, zatrzymując spojrzenie na celebrytach, takich jak cesarz czy Hotaka Andō Mitsubishi, których już poznałeś dzięki mojej opowieści. Reszta

była dla Ciebie tylko niewyraźną plamą, aż dotarłeś do końcowej listy, albowiem *Shanghai Daily* jest jedyną gazetą na tyle uprzejmą, że umieszcza nazwy Pasiiek obok nazwisk ich przywódców. Jeśli moje Pasieki są dla Ciebie czymś równie archaicznym, jak dla mnie feudalizm, nie musisz się obawiać, że nie zrozumiesz wielu elementów mojej historii, ponieważ nie znasz biegle wszystkich nazwisk i tytułów z mojej minionej epoki. Pociesz się myślą, że wszystkie te próby wymienienia dziesięciu najbardziej wpływowych ludzi na świecie są błędne, a sam widzisz lepiej, wolny od krótkowzroczności typowej dla współczesnych. Znasz już jedno imię, które powinno być wymienione na wszystkich tych listach, ale nie mogło się na nich znaleźć: Bridger.

– Nie podoba mi się to, co widzę, jeśli chodzi o Mitsubishi. – Su-Hyeon usiadł obok cenzora na jednej z miękkich, obitych futrem kanap ustawionych pośrodku komnaty. – Nigdy dotąd się nie zdarzyło, by jakaś Pasiaka spadła na wszystkich pozostałych listach o jeden punkt, ale przesunęła się w górę na tej, którą publikuje jej czołowy dziennik. Sprawiają wrażenie zapatrzonych w siebie. Umieścili własną Pasiękę bardzo wysoko, mimo że wszyscy pozostali zgadzają się, że jej pozycja spadła. A teraz ta kradzież przyciągnie uwagę wszystkich do *Czarnej Sakury* i ten efekt nasili się jeszcze.

Vivien przytaknął. Jego cienkie dredy, opadające do wysokości ramion, muskały oparcie kanapy. Na wpół sztywne osłaniają jego głowę na podobieństwo wierzbowych gałęzi.

– Anonim umieścił w tym roku Andō niżej niż Felixa Fausta, a na żadnej liście poza *Sakurą* w końcowej trójce nie ma żadnego nazwiska z Pasieki Mitsubishi.

Su-Hyeon zmarszczył brwi.

– To żenujące. Zawstydzi Sam Neung w oczach wszystkich. – Su-Hyeon posługuje się koreańską nazwą Mitsubishi. – Spadli na listach o jedną pozycję, ale to będzie tak, jakby opuścili się o trzy.

Nic nie przebija pokerowej twarzy Viviena Anceleta.

– Toshi, co sądzicie na ten temat?

Milczała przez chwilę, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Myślę, że nie będzie aż tak źle, zwłaszcza że dzięki kradzieży *Czarna Sakura* wyda się ważniejsza. Opinia publiczna uzna, że to tylko spadek o jedną pozycję.

Cenzor pogłaskał złotą obszywkę na purpurowym rękawie, jak stary

mędrzec mógłby głąskać brodę.

– A co wy o tym sądzicie, Mycrofcie?

Zatrzymałem się na chwilę, by zdjąć kurtkę od munduru, zanim smród kanałów stanie się zbyt silny.

– Myślę, że nikt nie lubi premiera Perry’ego – zacząłem. – Sądzę, że opinia publiczna wie, że Europa zajmowałaby wyższą pozycję na listach, gdyby miała popularniejszego przywódcę. Wpływy Pasieki są większe niż wpływy jej premiera. *Czarna Sakura* umieściła w dolnej trójce swej listy księcia koronnego Leonor zamiast króla Isabel Carlosa, żeby przypomnieć ludziom, że nadchodzi następne pokolenie. Przypuszczam, że wszyscy uznają, iż Europa stoi jedną albo dwie pozycje wyżej niż Perry. To znaczy, że Masoni, Kuzyni i Europejczycy na większości list znajdują się wyżej niż Mitsubishi. Na niektórych nawet Humanieści. W tym roku Mitsubishi okaże się zdecydowanie najsłabszą z wielkiej piątki Pasiek.

– Być może... – Cenzor zaczerpnął głęboko tchu, trzymając nas przez chwilę w napięciu. – No wiecie, każde z waszej trójki potrafiłoby w wieku dziesięciu lat udawać Tsuneo Sugiyamę skuteczniej niż osoba, której Hagiwara zlecił napisanie tej listy.

– Udawać? – Su-Hyeon otworzył szeroko oczy. – Kto to jest Hagiwara?

– Redaktor naczelny *Czarnej Sakury*. – Vivien Ancelet zna każdego dziennikarza godnego tej nazwy. – Jeszcze wczoraj nie nazwałabym go idiotą. Podejrzewam, że nie chciało rozczarować czytelników i zmusiło jakiegoś niczego niepodjrzewającego stażystę do napisania tej listy, ale jeśli ktoś chce sfałszować artykuł gwiazdy dziennikarstwa, najpierw powinien ostrzec tę gwiazdę, by nie zdradzała w swoim klubie, że bierze sobie tydzień wolnego.

Toshi Mitsubishi umilkła i znieruchomiała. Wlepiała we mnie spojrzenie, a ja z kolei gapiłem się na nią. Oboje nie byliśmy pewni, czego drugie dowiedziało się od jej baszrodziców w Tōgenkyō. Nie znałem Toshi zbyt dobrze. Zaznajomiłem się z jej inteligencją i talentem, ale nie miałem pojęcia o osobowości. Nie wiedziałem, czy jest blisko z Masami. Gdybym miał lokalizator, mógłbym się połączyć z dyrektorem naczelnym Andō i poprosić go o pozwolenie na szczerą rozmowę. Jednakże Toshi zrobiono z twardego materiału. Odezwała się pierwsza.

– To musi wyjść na jaw. Listę napisało Masami. To moje baszrodzone. Cenzor wydał z siebie cichy, przeciągły syk, jak przekłuty balon.

– Badziecko dyrektora generalnego... to wywoła prawdziwą burzę. – Ponownie zaczerpnął głęboko tchu. – Chcę zobaczyć liczby. Su-Hyeon, policzcie, co się stanie, jeśli Mitsubishi spadnie na dno wielkiej piątki. Mycroftie, sprawdźcie precedensy, przekonajcie się, czy kiedykolwiek doszło do tak wielkiego kryzysu zaufania. Chodzi mi szczególnie o rok 2380 i następne, tuż po fuzji Greenpeace z Mitsubishi.

Su-Hyeon wytrzeszczył oczy.

– Myślicie, że dojdzie do fuzji Pasiek?

– Nie, ale niektóre z tych liczb wydają mi się znajome. Instynkt mi podpowiada, że właśnie tam je widziałam. Sam sprawdzę starsze zapisy, może zdołam się przekonać, co właściwie pamiętam. Toshi... – Zamilkł w pół słowa, zauważywszy jej twarz i drżącą dolną wargę. – Przepraszam. Wasi bliscy ucierpią z tego powodu i nic się na to nie poradzi. Ale przynajmniej wykryliśmy sprawę, nim wyszła na jaw. Potrzebujecie chwili odpoczynku?

Zwróciła się ku ekranom.

– Nie. Sprawdzę dane z Mitsubishi, żeby się przekonać, po której stronie opowie się Wenzhou, jeśli bloki pekiński i szanghajski jednocześnie spróbują zdobyć dla siebie fotel dyrektora naczelnego.

Vivien wyciągnął rękę, jakby walczył z pokusą uściskania Toshi. Nie byli jednak ze sobą aż tak blisko.

– Nie sądzę, by upadek waszego baszra był nieunikniony.

Toshi otrząsnęła się. Sprężyste sploty jej włosów zatańczyły jak kołyszące się na wietrze trawy.

– Nie będziemy wiedzieć na pewno, dopóki tego nie sprawdzimy.

Usiedliśmy każde pod inną ścianą i kazaliśmy liczbom zatańczyć. To żmudna praca, nawet jeśli korzysta się z pomocy komputerów. Ekstrapolacja skutków kryzysu zaufania wymagała podejmowania setek decyzji. Braliśmy pod uwagę nie tylko oczywiste czynniki, jak trendy inwestycyjne albo statystyki wyboru Pasiek przez młodzież, lecz również mniej oczywiste sprawy, jak stosunek spożycia ryżu do spożycia pszenicy, wartość eksportu do Wielkiego Rezerwatu Afrykańskiego, ceny wynajmu mieszkań. Na gospodarke świata składa się milion nici, a my szukaliśmy zapętleń. Przewodniczący Carlyle nie bez powodu nazwał swą korporację Gordianami. Nie miał to być, jak wielu sądzi dzisiaj, symbol nierozwiązanej jeszcze tajemnicy, jaką był mózg. Carlyle'a obchodził miecz przecinający ten węzeł i tego miecza używał przeciwko ekonomicznym supłom swych klientów. Gdy

prorocy zwani przez ludzi ekonomistami przewidywali rewolucję albo krach w jakimś słabym punkcie globu, gdzie któryś z jego subskrybentów poczynił inwestycje, Gordianie lecieli tam w dzieciach *Mukty* i ewakuowali wszystko – fabryki, towary, pracowników oraz ich rodziny. W jeden dzień kapitał we wszystkich jego postaciach przenoszono w bezpieczne miejsce, jak zdrowy owoc z umierającego drzewa. W miarę jak drżenia wojny Kościołów się nasilały, Gordianie ewakuowali zamożnych obywateli wszystkich państw, pozwalając, by biedacy i rządy nawzajem podrzynali sobie gardła. Jednakże *Mukta* była wówczas skutecznym mieczem wyłącznie dzięki temu, że owe węzły miały charakter geograficzny. W naszym świecie wszystkie mocarstwa są globalne i wszystkie supły również się zglobalizowały. Z tego powodu, choć Thomas Carlyle mógł ukształtować nowy świat, przycinając gąszcz państw narodowych jak ogrodnik przycinający topiary, nasz współczesny cenzor, mając do dyspozycji te same dane, śmieje się z tych, którzy umieszczają go na swoich listach Siedmiu i Dziesięciu. Vivien Ancelet, księgowy świata, twórca senatorów, ale niewolnik liczb, bezradny jak astronom obserwujący kule bilardowe wszechświata w ich predeterminowanym tańcu zderzeń.

– Sprawdźcie to raz jeszcze – rozkazał, gdy tylko przedstawiliśmy mu rezultaty. – Su-Hyeon, nie docenicie różnic między różnymi rodzajami Bezpasiakowców. Białoprawowcy równie często zawierają sojusze z Kuzynami, jak z Szaroprawowcami. Uwzględnijcie to. Toshi, nie docenicie promitsubishiańskich sentymentów w indyjskich grupach etnicznych wśród Humanistów i Gordian. Mycroft, przestańcie udawać, że Europa musi sobie radzić bez rządu. Casimir Perry może być niepopularne wśród Greków i Hiszpanów, ale ma mnóstwo zwolenników: Polaków, Gruzinów, Filipińczyków, Południowych Afrykańczyków. Popiera go cała masa grup etnicznych Unii Europejskiej. Pogódźcie się z tym.

Su-Hyeon czy ja potrzebujemy dwunastu minut, by dokonać wszystkich obliczeń jeden raz. Toshi, której ciemne palce operują arkuszami obliczeniowymi równie sprawnie jak strunami harfy, potrafi się z tym uporać w osiem. Cenzor zażądał poprawek dwadzieścia jeden razy, nim wreszcie Su-Hyeon miał dość.

– Tym razem uwzględniłam wzrost liczby podróży Humanistów na Księżyc! Komórki HH26 i HN56. Jesteście ślepi?

Vivien pozostał nieustępliwy.

– To nie uwzględnia możliwości trzykrotnych wizyt. Sprawdźcie to jeszcze raz.

– Trzykrotne wizyty mieszczą się w granicach błędu. Przy pięciu ostatnich powtórzeniach otrzymywałam takie same wyniki. Jeśli się wam nie podobają, dajcie mi inne dane wyjściowe.

Toshi stanęła w jego obronie.

– Zgadzam się. Wszyscy otrzymujemy takie same rezultaty, bez względu na to, czego próbujemy. W ciągu dwóch lat liczba ludności Mitsubishi spadnie o 0,62 procenta, obszar posiadanych przez Pasiekę gruntów wzrośnie o 0,88 procenta, a dochody spadną o 0,62 procenta.

Nie obawiaj się, Czytelniku. Nie podaję tych liczb dlatego, że spodziewam się, iż je zapamiętasz albo zrozumiesz ich znaczenie. Po prostu chcę zdemistyfikować jaskinię tajemnic, jaką jest biuro cenzora. To nie jest jakaś tajemnicza świątynia, w której zapadają niezrozumiałe werdykty determinujące ludzkie losy. To po prostu najlepiej chronione biuro rachunkowe na świecie.

– Sprawdźcie to raz jeszcze.

– To nie ma sensu. W tym roku Mitsubishi straci kolejnego senatora, a Masoni zyskają dwóch. Nie da się tego uniknąć.

– Dzisiaj jest święto! Nie chcecie siedzieć tu zbyt długo, tak samo jak my – poparł ją Su-Hyeon.

Głos cenzora przybrał twardy jak granit ton, jakiego z reguły używa tylko przy ogłaszaniu pozbawienia mandatu senatora.

– Sprawdźcie to raz jeszcze, biorąc pod uwagę możliwość, że dyrektor naczelny Andō zostanie publicznie oskarżony o manipulowanie listą Siedmiu i Dziesięciu z pobudek osobistych.

Lepiej było nie kazać mu czekać.

– Sprawdziłam już te liczby.

Wyświetliłam swój arkusz, ciesząc się, że przynajmniej pomogę dwójce towarzyszy nacieszyć się wolnym popołudniem.

Su-Hyeon zagwizdał cicho.

– To nie może być prawda. – Toshi gapiła się na ekran. – Spadek liczby ludności Mitsubishi o 1,51 procenta, wzrost powierzchni posiadanych przez nie gruntów o 1,51 procenta i spadek dochodów o 2,12 procenta. To zbyt ekstremalne. Nie od razu Rzym zbudowano, Mycroftie, i jego upadek też nie nadejdzie w jeden dzień.

– Wszystko się zgadza.

Przewinąłem obraz, pokazując jej szczegóły.

– To niemożliwe! Tak wielu Szaroprawowców miałyby zostać Masonami? – Oczywiście zatańczyły, gdy liczyła w pamięci trzy razy szybciej, niż ja potrafiłbym to zrobić. – Sześć... osiem... osiem... wzrost...

– Pokażcie mi ostateczne wyniki, Mycrofcie – rozkazał cenzor. – Do czego to zmierza?

Powtarzam Ci raz jeszcze, Czytelniku, nie przejmuj się tymi liczbami. Nawet nie czytaj tabel, chyba że jesteś historykiem ekonomii próbującym odtworzyć te niebezpieczne czasy. Pomyśl lepiej o Vivienne Ancelecie, który studiował dane jak lekarz wsłuchujący się w oddech dziecka albo wpatrujący w obraz USG i dostrzegający bliską katastrofę tam, gdzie inni widzą tylko niewyraźne plamy. Zaciska pięści, ścięgnię na jego nadgarstkach się uwydatniają. Jeśli nie potrafisz uwierzyć, że liczby mogą tak silnie wpłynąć na człowieka, wyobraź sobie jedną z historycznych analogii: jesteś nauczycielem, który zauważył coś osobliwego w tym młodzieńcu imieniem Kaligula; jesteś tubylcem dostrzegającym na horyzoncie drugi biały żagiel podążający za pierwszym; jesteś psem czującym drżenia tsunami, które za chwilę opadnie na Kretę i zniszczy Minojczyków, ale wiesz, że nikt Cię nie posłucha, nawet jeśli zaczniesz szczekać

PASIEKA	LICZBA LUDNOŚCI	WŁASNOŚĆ GRUNTÓW		DOCHODY	
	obecnie za rok	obecnie	;za rok	obecnie	za rok
Masoni	31% 33%	10%	9%	19%	21%
Kuzyni	19% 19%	06%	5%	12%	12%
Mitsubishi	13% 12%	65%	67%	13%	12%
Europejczycy	12% 11%	4%	4%	10%	10%
HumanisciHumanisci	11% 11%	4%	4%	10%	10%
Gordianie	8% 8%	4%	4%	6%	6%
	4%				

Utopianie	4%	5%	5%	28%	29%
Bezpasekowi	2% 1%	0%	0%	1%	0%

Zaburczało mi w żołądku. To nie był cichy odgłos, lecz prawdziwy ryk, godny poranka spędzonego przy machaniu łopata.

– Vivienie, czyżbyście znowu zapomnieli nakarmić Mycrofta? – Spojrzała na mnie z zasepioną miną zwykle rezerwowaną dla zwierząt domowych. – Kiedy ostatnio jedliście, Mycrofcie?

– Wczoraj – odpowiedziałem, wpatrując się w podłogę.

– Nieładnie. Musicie coś powiedzieć, kiedy zapomnimy was nakarmić!

Cenzor rozciągnął usta w wymuszonym uśmiechu.

– Toshi, Su-Hyeon, może tak przynieśliście obiad dla naszej czwórki?

– Możemy wysłać po...

– Rozruszajcie trochę nogi. – Ucisnął ramię Su-Hyeona w ciepłym geście baszra. – Pójdźcie do Chiwe’a albo do Trois Piqû res, nacieszcie się trochę dniem. Przy okazji możecie sprawdzić, czy na zewnątrz nie ma dla nas jakichś wiadomości. Pod waszą nieobecność sprawdzimy z Mycroftem kilka wariantów. Jeśli szybko się z tym uporamy, może uda się nam stąd wyjść za godzinę albo dwie.

Nie byli w stanie odmówić wykonania rozkazu o tak kuszących implikacjach.

Cenzor zaczekał, aż drzwi się za nimi zamkną, ponownie upodabniając pomieszczenie do hermetycznej butelki.

– Gdzie się nauczyliście symulować burczenie w żołądku?

– Od innych usługowców, panie. To użyteczna sztuczka.

Ponieważ zostaliśmy sami, antyczny tytuł z łatwością wymknął się z moich ust.

Cenzor jest tolerancyjny wobec moich złych nawyków.

«Gdzieś już widziałom te liczby.»

Poderwałem się nagle, usłyszawszy język francuski. Wypełniły mnie złość i agresja.

«Tak, widzieliście.»

«Ludność 33 procent Masoni, 67 procent inne Pasiaki; posiadanie ziemi 67 procent Mitsubishi, 33 procent inne Pasiaki; dochody 29 procent Utopianie, 71 procent inne Pasiaki. 33-67; 67-33, 29-71.

Widziałem już przedtem te liczby.»

«Tak.»

«Dwa razy w gruncie rzeczy. Znajdowały się w waszym liście sprzed trzynastu lat, nabazgrane na marginesie bez żadnego wyjaśnienia. Dokładnie te same liczby.»

«Napisałem ten list szesnaście lat temu. Wy zobaczyliście go trzy lata później.»

Podniósł głos, zły, że go poprawilem.

«To była ostatnia wiadomość, jaką zostawiło nam Kohaku Mardi. Napisało te cyfry własną krwią. Nie nazwisko zabójcy, nie pożegnanie z baszem albo ze mną. Tylko 33-67; 67-33; 29-71.»

Wstał i zwrócił się w moją stronę. Jego dłonie nagle wydały mi się ogromne.

«Próbowaliście je zamazać.»

Poczułem, że drzę.

«Nie miałem nic wspólnego z kradzieżą w Czarnej Sakurze.»

«Policjanci myśleli, że to hasło zabezpieczające, ale nie udało im się odkryć do czego.»

«Niewykluczone. Nie mam pojęcia, co Kohaku zrobiło...»

Zatrzymał się bardzo blisko mnie.

«Co znaczą te liczby, Mycrofcie?»

«To zbieg okoliczności. Daję słowo, pojawiły się teraz czystym przypadkiem. Przysięgam na Apoll...»

«Nie wypowiadajcie tego imienia!»

Ponownie złapał mnie za kołnierz. Jego oczy lśniły wilgocią od czegoś bardziej bolesnego niż gniew. Żałowałem, że prawo nie pozwala mu mnie uderzyć, Czytelniku. Nie chodzi o to, że jestem masochistą. Powinien to zrobić, moralnie nie można by go potępić, ale hamują go inne czynniki: skandal, krytyka, społeczne potępienie, kodeksy. Gdyby prawo mu na to pozwalało, Czytelniku, mógłbym z dumą napisać, że się przed tym powstrzymał, nie ze strachu, lecz dlatego, że jest człowiekiem pokoju i brzydzi się przemocą, nawet gdy jest tak głęboko usprawiedliwiona. Gdyby prawo pozwalało mu mnie uderzyć, powstrzymałby się przed tym wszystkim z nieprzymuszonego, szlachetnego wyboru.

«Rozkazuję wam, żebyście mi to powiedzieli, Mycrofcie. Nie jako cenzor, ale we własnym imieniu. Możecie powiedzieć mi teraz albo powiedzieć wszystkim u Madame.»

Ta groźba pozwoliła mi skapitulować bez wyrzutów sumienia.

«To punkt bez powrotu, panie. Kohaku i Aeneas obliczyli, że te właśnie wartości wyznaczają punkt bez powrotu. Zgodnie z ich przewidywaniami, jeśli liczebność Masonów osiągnie trzydzieści trzy procent ludności świata, nic ich nie powstrzyma przed osiągnięciem monopolu. Przed upływem dwudziestu lat przekroczą pięćdziesiąt procent. Mitsubishi zorientuje się, co się dzieje, i zacznie walczyć, podnosząc opłaty za dzierżawę, a jeśli zdołają zgromadzić sześćdziesiąt siedem procent wszystkich gruntów, doprowadzą do załamania gospodarki, próbując powstrzymać Masonów. Ale Utopianie nie płacą zbyt wysokich czynszów, bo mają własną ziemię, więc tylko oni nie poniosą żadnych strat. A jeśli ich dochody przekroczą dwadzieścia dziewięć procent globalnych, wzrosną gwałtownie z początkiem recesji i cała nadwyżka wpadnie im prosto w ręce. To by oznaczało...»

«Najgorszą recesję od dwustu lat» zakończył za mnie.

«Tak. W rzeczy samej. Ale to były tylko obliczenia Kohaku. Nie sądzę, by były zgodne z prawdą. Kohaku nie rozumiało globalnej dynamiki politycznej zbyt dobrze. Wiecie, że nie rozumiało. Ja również wówczas nic o tym nie wiedziałem. Związki między Pasiekami są znacznie silniejsze, niż mogło mu się wydawać. Pomyślcie, jak wiele się zmieniło. Kohaku nie miało o tym wszystkim pojęcia. Nie mogło przewidzieć, że jedno z powinowatych dyrektora naczelnego Andō zostanie prezydentem Humanistów, nie wiedziało, że cesarz i Utopia będą ze sobą tak blisko, o tym, co połączy was z Bryar, o KBIZ, o królu Hiszpanii, o Perrym, o Madame. J.E.D.D. Mason było jeszcze dzieckiem! Pamiętajcie, że Kohaku przewidywało powrót edukacjonizmu. To również okazało się błędem. Jego matematyka była genialna, ale posługiwało się błędną mapą.»

Być może, odległy Czytelniku, grzęzniesz w bagnie nieznanych nazwisk i szczegółów naszej zapomnianej polityki. Drobiazgi nie mają większego znaczenia. Liczą się tylko te ukryte więzy. Możesz je sobie wyobrażać jako druty ukryte pod chustką iluzjonisty, dzięki którym wydaje się, że królik nadal kryje się pod nią, choć w rzeczywistości już przeniesiono go ukradkiem w inne miejsce. Kohaku myślał, że królik nadal tam jest. W tych dawnych dniach ja również tak sądziłem.

«Chcecie powiedzieć, że mamy szansę na powstrzymanie eskalacji.»

«Możecie skorzystać z uprawnień wyjątkowych. One pozwoliłyby

wam nie dopuścić do najgorszego, ale być może obejdziemy się bez nich. Na świecie utworzyły się więzi, które pomogą utrzymać go w całości. Pasieki zbliżyły się do siebie bardziej, niż sądziło Kohaku. To nas uratuje.»

Cenzor odsunął się ode mnie. Na jego twarzy nadal walczyły ze sobą sprzeczne namiętności: strach, gniew, żal. Ten ostatni mógł być najsilniejszy, zauważyłem bowiem, że jego spojrzenie wędruje ku wytartemu miejscu na kanapie, w którym nie było Su-Hyeona... nie, w którym przede wszystkim nie było kogoś innego, kogoś ważniejszego. Kohaku Mardiego, drogiego, pełnego zapału, zdolnego Kohaku Mardiego, który dorównywał Toshi szybkością, a Su-Hyeonowi entuzjazmem. Byłby tu z nami, w purpurze, analizując matematyczne regularności ukryte pod tkaniną życia, gdyby tylko Tkacz był łaskawszy.

«Kto jeszcze wie o tych liczbach?»

«Nie znam nikogo żywego, kto by wiedział.»

«Zatem to nie ma związku z kradzieżą, ktokolwiek za nią stoi. Nie mogli wiedzieć o tych przewidywaniach.»

«Nie mogli.» Odetchnąłem z ulgą, wypowiadając te słowa. «Myślę, że to był po prostu jakiś wróg dyrektora naczelnego Andō.»

«Międzygrupowe konflikty w Mitsubishi mogą doprowadzić cały świat do katastrofy.» Vivien skrzywił się nagle i wzruszył ramionami. «W porównaniu z tym Europa mogłaby niemal uchodzić za funkcjonalną.»

Westchnęliśmy jednocześnie. On jako Francuz, a ja jako Grek. Żaden z nas nie był członkiem Europejskiej Pasieki, a formalnie rzecz biorąc, nie należeliśmy nawet do naszych grup narodowych, sądzę jednak, że dystans, jaki zachowywaliśmy wobec nich, jeszcze silniej uświadamiał nam, że nadal nas obchodzą dawne konflikty wywołane przez skłócony Parlament Europejski, a także te przyszłe, które nadejdą nieuchronnie jak kolejne przyływy i nie-Europejczykom będą się wydawały równie absurdalne, jak nam spory między frakcjami w Chinach.

Vivien rozprostował ramiona i potrząsnął głową. Ciężar zapamiętanej żałoby spadł mu z barków. Dredy wróciły na miejsce.

«Dopóki nie znajdziemy dowodów, że niebezpieczeństwo minęło, będziemy traktować przewidywania Kohaku z absolutną powagą. Obaj. Sporządzimy dziś listę możliwych środków zaradczych

i wprowadzimy w życie tyle z nich, ile tylko zdołamy. Wszystko, co może się okazać skuteczne.» Zmusił mnie do spojrzenia mu w oczy. «Wiem, że zawsze macie na głowie wiele zadań, ale ponieważ ta sprawa dotyczy dosłownie wszystkich mieszkańców planety, spodziewam się, że uznacie ją za priorytetową.»

«Rozumiem, panie. Zrobię tak, uwierzcie mi. Boję się tak samo jak wy. Czy zamierzacie wykorzystać w tej sprawie uprawnienia urzędu cenzora, czy nasze prywatne środki?»

«I jedno, i drugie. Wszystko, co okaże się konieczne.»

Skinąłem głową.

«A co powiecie Su-Hyeonowi i Toshi? Są granice tego, do ilu nadzwyczajnych środków możemy się uciec, nim zaczną się zastanawiać, czego się tak boimy.»

Znowu westchnął przeciągle, jakby uchodziło z niego powietrze. Zawsze tak robił, kiedy się zastanawiał.

«Toshi nie wspomnimy ani słowem o liczbach Kohaku. Z chęcią zgodzi się na nadzwyczajne środki, by pomóc Andō.»

«Nie ufacie jeszcze Toshi?»

Ściągnął brwi.

«Wierzę, że dochowa tajemnicy pod groźbą śmierci albo na torturach, ale nie pod naciskiem Danaë.»

Mam nadzieję, że udało mi się ukryć bolesny grymas.

«Natomiast Su-Hyeon usłyszy wszystko ode mnie w domu dziś wieczorem. To budzi lęk, gdy musimy zastąpić kogoś, kto nie żyje, ale jeśli mam tego zażądać, powinno dowiedzieć się o tym z moich ust.»

Wróciliśmy do pracy. Atmosfera w zamkniętym hermetycznie sanktuarium wyraźnie się ociepliła. Mieliśmy plan. Może niezupełnie, ale pocieszała nas myśl, że zamierzamy stworzyć plan, który pozwoli nam stawić czoło labiryntowi ciemności. Czuliśmy się przygotowani, bo zdobyliśmy kłębek sznurka. Nie chodziło o mapę ani światło, które pozwoliłoby nam zobaczyć kryjącego się w mroku potwora. Nie była to nawet zbroja, ale to wystarczyło, byśmy poczuli, że możemy wykonać zadanie. Kohaku Mardi był prorokiem, jak każdy dobry statystyk, ale nie był Kasandrą. Wyteżaliśmy słuch, ja i niezrównany mistrz w rozwiązywaniu zagadek, oparci o siebie plecami, podczas gdy z obliczeń, na które patrzyliśmy, wypływały kolejne ostrzeżenia. Mieliśmy kłębek sznurka.

Wkrótce mieli wrócić nasi towarzysze z bagietkami i wiadomościami,

ale zanim o nich opowiem, musimy na chwilę opuścić Romanovę, bo podczas gdy kryłeś się ze mną w odciętej od świata komnacie cenzora, do azylu Thisbe wtargnął potwór, docierając pod same drzwi Bridgera. Dlatego wrócimy na moment do Cielo de Pájaros, gdzie ujrzysz kolejny z ukrytych w tkaninie drutów, które nie pozwoliły opłakiwanemu przez wszystkich Kohaku Mardiemu uświadomić sobie, że królik dawno już zniknął.

Rozdział siódmy

Canis domini

– Sześciopasiekowy System Transportu wita w Cielo de Pájaros. Od gości przebywających w tej strefie wymaga się przestrzegania minimum Prawa Humanistycznego. Ponieważ nasze zapisy sugerują, że jest ono zdecydowanie bardziej restrykcyjne niż wasz zwyczajowy kodeks prawny, zaleca się, byście przejrzyli listę przepisów niewystępujących w waszym kodeksie, naciskając „prawo”.

Dominic Seneschal opuścił autolot, jakby zeskakiwał z konia, który nie był go godny. Zamiast zadzwonić, walnął wprawną pięścią w drzwi frontowe. Jak ci, którzy przebywają wewnątrz, zinterpretują to monstrum? Nie nosi garnituru Masonów ani Mitsubishian. Nie ma na sobie płaszcz Utopian, luźnej szaty Kuzynów ani swetra Brillistów. Jego buty nie są specjalnie zaprojektowane, jak noszone przez Humanistów. To zwykłe czarne buty z cholewami, jakie można zobaczyć u manekina w muzeum, plastikowego stangreta czekającego na wykonaną z tego samego materiału królową. Jego ubranie jest europejskie, ale w zbyt wielkim stopniu, by mogło być symbolem Pasieki – nie parę szczegółów zapożyczonych z dawnej mody, jak fular czy dwurzędowa marynarka w połączeniu ze współczesnym ubiorem, ale kompletny kostium z epoki – obcisłe rajtuzy oraz bryczesy podkreślające udo i łydkę, trikorn, jedwabna kamizelka pokryta ręcznymi haftami, które pochłonęły liczne godziny ludzkiej pracy, płaszcz z przodu krótki, by odsłonić krzywizny bioder oraz miednicy, ale z tyłu wyposażony w sięgającą kolan spódnicę, fałdzistą i wystarczająco długą, by opadała efektownie na zad wierzchowca, gdyby Dominic rzeczywiście przybył tu konno. Cały strój jest czarny, ma nawet czarne hafty na czarnych mankietach i kamizelce, zamazujące się i ledwie dostrzegalne. Ciemnobrązowy kucyk, zapleciony zbyt perfekcyjnie, wygląda jak peruka przewiązana zgrabnie z tyłu czarną wstążką. Nieznajomy wyglądałby zupełnie naturalnie w Wersalu albo wśród Jakobinów knujących rewolucję

w jakiejś piwnicy, nic jednak nie zakotwicza go w naszym społeczeństwie poza lokalizatorem w uchu i czarną szarfą Bezpasekowego, która szeleści zmysłowo na jego biodrach, wysyłając ostrzeżenie równie jasno jak etykieta na buteleczce z trucizną: Czarnoprawowiec.

Mycrofcie, czy jesteś pewien, że prawidłowo stosujesz własną formułę? Opisujesz jedwabie i hafty, loki i wstążki, a wreszcie fałdy spódnicy, a mimo to przypisujesz mu rodzaj męski? Znam nazwisko Dominic Seneschal i wiem, że pod tą obcisłą kamizelką kryją się piersi, a uda i miednica, odsłonięte przez wysokie rozcięcie płaszczka, z pewnością należą do kobiety. Skoro już musisz ulegać temu fetyszowi na punkcie rodzaju gramatycznego, powinienesz przynajmniej rozpoznawać rodzaj żeński, gdy ogłasza się go tak jednoznacznie.

Niewinny Czytelniku, cieszy mnie Twoja dezorientacja, albowiem to z pewnością zapowiedź zdrowszych dni, jeśli brak Ci umiejętności czytania sygnałów segregacji, które ludzkość tak usilnie stara się zostawić za sobą. W niektórych stuleciach te ciasne buty z cholewami, plisowana spódnica i kucyk mogłyby w istocie uchodzić za znak kobiecości, ostrzegałem Cię jednak, że to wiek osiemnasty wymusił na nas transformację i teraz ten właśnie okres stanął przed Tobą w całej okazałości. Widziałeś już *princesse* Danaë, która wdziała kostium z japońskiej epoki Edo i zachowywała się stosownie do tego – skromna, kokieteryjna, krucha i biegle umiejąca skłaniać silną płęć do umierania dla niej? Czy nie potrafisz rozpoznać samca z tego gatunku? Aczkolwiek w tym przypadku pochodzi on z Francji, nie z Japonii. Być może stwierdzisz, że szlachetnie urodzony „mężczyzna” z owej oświeconej ery, ze swymi lokami i jedwabiami, swą poezją i tańcami, jest całkowicie zniewieściały. Będziesz miał rację, jeśli zastosujemy standardy Gotów albo innych barbarzyńców dumnych z tego, kim są. Czy jednak byłbyś skłonny stosować żeńskie formy w przypadku wszystkich tego rodzaju dżentelmenów? Patriarchy? Jerzego Waszyngtona? Rousseau? De Sade’a? Czy mamy zwać boskiego markiza kobietą? Nie, Panie. Żeby zrozumieć to, co się wydarzy, musisz w pełni zaakceptować prawdę, że według standardów epoki, która ukształtowała go od dzieciństwa, kobieta nazwiskiem Dominic Seneschal jest najśmielszym i najbardziej męskim ze wszystkich mężczyzn.

Niestety, pukanie zamiast dzwonienia było sygnałem, którym

posługiwały się dzieci z muzeum nauki, gdy przychodziły odwiedzić Cato Weeksbootha. Cato otworzył ochoczo drzwi i ujrzał przed sobą tego niewytłumaczalnego potwora z innej epoki, który spoglądał na niego z ogniem w oczach, jego biodra otaczała złowieszcza szarfa Czarnoprawowca, a czarna chusta senseisty opadała mu na ramiona niczym zrzucona skóra węża. Biedny Cato – który nie mógł znieść nawet bliskości Kuzyna Fostera, najłagodniejszego z senseistów – rzucił się z krzykiem do ucieczki.

– Cato, co się stało, do licha? – dobiegł ze schodów kobiecy głos, któremu towarzyszył tupot szybko posuwających się w dół stóp. – Znowu wywołałeś pożar?

Nie odpowiedział jej. Zatrzasnął za sobą drzwi laboratorium i przekręcił z łoskotem klucz w zamku.

«Quel instinct superbe!» wyszeptał po francusku Dominic.

– Słucham?

Przyznaję, że część dialogów w tym rozdziale jest wymyślona, Czytelniku. Nie byłem świadkiem tej sceny i zdano mi z niej tylko niekompletną relację, znam jednak jej uczestników wystarczająco dobrze, by móc zagrać ich role.

– Wasze baszrodzone jest spostrzegawcze, choć tchórzliwe. – Dominic się uśmiechnął, ale na jego gładkiej twarzy każdy uśmiech wygląda zimno. – Wejdę do środka, tak?

Osobą, która przechwyciła intruza w wejściu, była Lesley.

– Kim właściwie jesteście?

Zdjął trikorn i ukłonił się nisko.

– Jestem Dominic Seneschal. J.E.D.D. Mason polecił mi zbadać sprawę wtargnięcia. Czy Martin Guildbreaker nie ostrzegł was, że z pewnością zjawię się po nim?

Lesley zmarszczyła brwi zaniepokojona, choć z pewnością każdy by się zaniepokoił, gdyby w jego domu zaraz po „Martinie” pojawił się „Dominic”.

– Zawiadomiono mnie, że ktoś przybędzie. – Sprawdziła jego uprawnienia za pomocą lokalizatora. Systemy bezpieczeństwa je zatwierdziły. Roboty ustąpiły potulnie przed kodami romanowańskiego trybunału. – Ale wolałbym wiedzieć, kiedy się tego spodziewać.

– Ciekawe, kto tego zaniedbał. – Czarnoprawowiec znowu się uśmiechnął. – Nie ma powodu się przejmować. Możecie wrócić do

pracy. Najpierw powęszę po domu. Członków baszu mogę przesłuchać później. – Dominic mówi z akcentem, zapewne silniejszym niż wszystko, co słyszałeś do tej pory. Nie chodzi o to, że brzmienie typowe dla grupy narodowej zniekształca jego samogłoski. Krótkie „i”, początkowe „h” i spółgłoska „th” sprawiają mu autentyczne kłopoty. Ktoś, kto nie nauczył się angielskiego w dzieciństwie, może nie uwolnić się od takich trudności przez całe życie. – Oczywiście poznaję sławną Lesley Juniper Sniper Saneer.

Dominic znał Lesley tak samo jak my wszyscy, dzięki relacji nadanej przed siedemnastoma laty, gdy była jedenastoletnim aniołeczkiem o puciołowatej buzi, oczach lśniących od łez i różowych policzkach. W jej buzi przewagę miały chińskie cechy, ale domieszka afrykańskiej krwi była wystarczająco duża, by czarne włosy otaczały jej głowę nimbem kręconych loków. Na ekranie Lesley stoi przed szeregiem dorosłych osób o poważnych twarzach. Po prawej ma Ockhama, równie pewnego siebie w wieku trzynastu lat, jak teraz, gdy ma trzydziestkę, po lewej zaś stoi nieuchwytny Ojiro Cardigan Sniper, o twarzy na wpół zasłoniętej przez szatę z kapturem. Nie znajdziesz go na żadnym innym zdjęciu baszu, choćbyś szukał najuważniej. Razem oznajmili prasie, że piątka pozostałych członków maleńkiego baszu Lesley – trójka baszrów i dwa baszrodzone – zginęła jednocześnie, gdy dwa niezależne autoloty, którymi lecieli, zderzyły się ze sobą. Prawdopodobieństwo takiego wypadku wynosi mniej więcej jeden do czternastu bilionów. Jako najstarsze z dzieci Saneer-Weeksboothów, Ockham i Ojiro zgłosili się na ochotnika, by zawiadomić sierotę, a potem cała trójka, z niezmaconą odpornością spotykaną tylko u dzieci, stworzyła plan. Lesley zostanie adoptowana przez basz odpowiedzialny za tragedię i razem z nowymi baszrodzonymi poświęci się pracom nad udoskonalaniem systemu, w którym błędy zdarzają się bardzo rzadko, lecz są aż tak tragiczne w skutkach.

– Może to i najbardziej bezpieczny system podróży w historii – oznajmiła na ekranie z dziecinnym brakiem elokwencji – ale wszystko, co dobre, można udoskonalić, jeśli ktoś się postara.

Jeśli zobaczy się tę supertrójkę razem, łatwo można zauważyć, że natychmiast połączyła ich więź. To pozwala zrozumieć, dlaczego, kiedy starsi Saneer-Weeksboothowie ujrzeni tę scenę, natychmiast zrozumieli, że gdy dzieci dorosną, Lesley zdecyduje, którego z dwóch książąt weźmie sobie za małżonka, i w ten sposób zakończy stan

równowagi między nimi, wybierając nową głowę domu. Lesley, z domu Juniper, przez adopcję Sniper, a przez małżeństwo Saneer po dziś dzień pozostaje wiernym odbiciem swej ówczesnej osobowości. Jest w równym stopniu bystra, puciołowata i energiczna, a jej strój pokrywają niezliczone zakrętas, wypływające z niej niczym bełkot z ust człowieka opętanego.

– Tak, jestem Lesley Saneer. – Rozstawiła szeroko nogi, by zablokować przejście. Jej niewzruszoną agresywność dodatkowo podkreślały ciężkie humanistyczne buciory oraz ekranizująca tkanina, na którą mogła codziennie ściągać nowy zakrętas. – Musicie...

– *Mon plaisir*, madame Saneer. Tędy, jak sądzę. – Zaczepnęła tchu, jak przyłapana na kradzieży, gdy Czarnoprawowiec uniósł jej dłoń i ucałował ją. Następnie objął ją w talii, niby partner w tańcu, przeskoczył obok niej wprawnym susem i potruchtał korytarzem przed siebie. – Martin mnie ostrzegał, ale jego skany nie oddają w pełni napięcia wypełniającego pokój ani tego buczenia. To ekscytujące.

– Chwileczkę! – Popędziła za nim. – Muszę osobiście sprawdzić wasze pozwolenie.

Rozprostował ramiona, wygrzewając się we wpadających pod kątem przez okno promieniach słońca.

– Możecie się połączyć z Ich Miłością prezydentem Ganymede'em. On wszystko potwierdzi osobiście.

Lesley zeznaje, że Dominic mówił tak szybko i z tak silnym akcentem, iż minęła chwila, zanim się zorientowała, że gość używa form męskich i żeńskich.

– Znacie prezydenta?

– Bardzo blisko. Czy macie wrogów?

Zmarszczyła brwi, usłyszawszy to pytanie.

– Jesteście senseistą czy multiprawnikiem?

– I jednym, i drugim – oznajmił z satysfakcją. – Służę J.E.D.D. Masonowi. – To nazwisko wypowiedział z jeszcze większym zadowoleniem, choć dla wygody Lesley skrócił je do „Jed Mason”. Bardzo wielu tak robi. – Nie macie? Później zapytam o to jeszcze raz. Czy w domu jest jakieś miejsce, którego nie chcę przeszukać w pierwszej kolejności, żeby nie utrudniać wam życia?

Ponownie stanęła przed nim. Jej poza wyrażała nieustępliwość.

– Wolniej, Czarnoprawowcu. Tutaj ja dowodzę.

– Dowodzicie tymi, dzięki którym krew świata prawidłowo krąży w żyłach. Rozumiem to.

W geście przypominającym niemal ukłon wskazał głową na *Muktę*. Mina Lesley złagodniała nieco.

– W rzeczy samej.

– A ja utrzymuję pokój między bogami. Sądzę, że oboje jesteśmy głównodowodzącymi.

W tej chwili Lesley poważnie rozważyła możliwość skorzystania z przysługującego jej prawa kopnięcia uciążliwego Czarnoprawowca w brzuch (bo jaj nie miał). Właściwie trudno się jej dziwić. Szarfa na biodrach intruza mówiła, że wyrzeka się on wszelkiej prawnej ochrony – czy to zapewnianej przez prawa Pasiek, czy neutralnego Szarego Prawa Romanovy – i jest gotowy stawić czoło światu, broniony jedynie przez własną siłę oraz zakazy, jakie mogą na innych nakładać wybrane przez nich prawa. Mitsubishianom czy praworządnym Kuzynom nie wolno wdawać się w bijatyki, ale Prawo Humanistów toleruje tych, którzy czasami chcą rozstrzygać spory za pomocą pięści. Zastanawiała się już nad wyborem celu, gdy jej spojrzenie przyciągnęła pojedynekowa szpada, niemal całkowicie ukryta w fałdach stroju Czarnoprawowca.

Dominic uśmiechnął się, ujrawszy, że jej spojrzenie zatrzymało się na broni. Pogłaskał czarną rękojeść.

– Kiedy złapię winnego, możecie złożyć petycję o to, by osądzono go zgodnie z Prawem Humanistów, ale *Czarna Sakura* rekomendowała już romanowański sąd. Na waszym miejscu bym się zgodził, bo wymierzane przez niego kary z reguły są znacznie bardziej bolesne od waszych. Czy mam zacząć od dołu?

Lesley otrząsnęła się, próbując ogarnąć surrealistyczną sytuację.

– Utrzymujecie pokój między bogami? Nie rozumiem.

Dominic uśmiechnął się szerzej. W głębi jego gardła zrodził się cichy dźwięk przypominający niemal mruczenie kota.

– Chodzi o to, że gdy listy Siedmiu i Dziesięciu zostaną opublikowane, na czołowych siedmiu pozycjach żadnej z nich nie znajdzie się ani jedna osoba, której domu i biura nie odwiedzam. Wasz prezydent Ganymede wzywa mnie bardzo szybko, gdy pojawia się jakiś kryzys, który trzeba zażegnać. Wszyscy pozostali przywódcy Pasiek postępują tak samo. Właśnie dzięki mnie te niepokojące problemy się rozwiązuje. Zawsze się rozwiązuje. Ten problem również rozwiązę.

Martin to mój współpracownik w tych sprawach, ale postępuje zbyt delikatnie, tłumacząc ludziom, czym właściwie się zajmujemy. Utrzymujemy pokój między bogami rządzącymi tymi z was, którzy postanowili mieć rządy. – Ponownie złapał ją jak partnerkę w tańcu, pogłaskał po krzyżu i wykorzystał jej ciężar, by obrócić się wkoło, po czym popędził ku schodom gibki jak koń na pokazie. – Zacznę na dole, tak? Żeby nie wchodzić wam w drogę.

Lesley pognała za nim.

– Chwileczkę. Muszę dokładnie wiedzieć, co będziecie robić, krok po kroku.

Zatrzymał się na górnym pomoście.

– Dywan na tym stopniu jest rozdarty. Powinniście to naprawić. Ktoś może się potknąć i spaść.

– Co będziecie robić? Zapisywać obrazy? Skanować? Przeglądać pliki?

– Węszyc. Już wam mówiłem. Chcę poczuć zapach i smak wszystkiego. Macie wrogów?

– Nie – odpowiedziała natychmiast Lesley, po czym umilkła na chwilę. – Już mnie o to pytaliście. Kogo macie na myśli?

– Kogoś, kto chciałby zakłócić wasze życie z osobistych powodów, a nie z bardziej oczywistych motywów finansowych bądź politycznych. Porzucony kochanek? Rodzina ofiary wypadku, która obciąża was winą? Może jakiś konkurent w działalności hobbistycznej albo w sporcie? Ktoś, kogo sławny Sniper ciągle pokonuje?

Te rozsądne pytania uspokoiły Lesley.

– Nikt taki nie przychodzi mi do głowy. W ostatnich latach nikt szczególnie nie rozpaczał z powodu wypadków.

Podbiegł z powrotem do niej, sprawdził koniuszkami palców wylot przewodu wentylacyjnego i tym samym ruchem przycisnął ją do ściany.

– Nie ma żadnych dawnych rywali? Skrzywdzonych kochanków?

Lesley wytrzeszczała oczy. Ich chińskie kontury nasiliły jeszcze ten efekt. Coś jednak powstrzymało ją przed odepchnięciem go.

– Nie ma.

Dominic pochylił się jeszcze bardziej, głaszcząc kratę nad jej głową.

– Wasz małżonek ma obsesję na punkcie pracy. – Uśmiechnął się, czując smak jej oddechu i pozwalając, by ona poczuła smak jego. – Mieliście kochanków?

Policzki Lesley zarumieniły się. Czytelniku, czy w Twoim systemie moralnym to grzech, jeśli osoba pozostająca w związku małżeńskim podziwia ciało nieznanego? Czy ma mniejsze prawo doceniać piękno jędrnych pośladków albo wprawne ruchy ręki? A jeśli uważasz, że to grzech, to czy mam rację, zakładając, że ta scena – męski Dominic przyciskający do ściany drobną Lesley, piersi dotykające piersi – wydaje Ci się bardziej ekscytująca, ponieważ przedstawia owoc zakazany? Przyznaj się, Czytelniku. Coś w Tobie pragnie zobaczyć naruszenie norm. *Pokaż mi to, Mycrofcie! Zerwij ten antyczny kostium i odsłoń ukryte pod spodem ciało. Pokaż mi, czy ten kobietomężczyzna nosi dildo, a jeśli tak, niech zrobi z niego użytek! Niech ta kobieta, Lesley, od dzieciństwa skazana na to, by być nagrodą dla zwycięzcy w konflikcie między Ockhamem a Ojiro, zemści się na nich obu, przygotowując rogi triumfatorowi. Niech zrobią to pod ścianą albo na górze, na oczach Mukty! A dla kontrastu dodaj też Eurekę i Sidneya. Niech leżą bezwładnie w tle oślepieni nieustanną komputerową masturbacją.* To właśnie zaprzętało Twoje myśli, nieprawdaż, Czytelniku? Na spółkę z moim zwyczajem dzielenia ludzi na mężczyzn i kobiety, którym już Cię zaraziłem. Nie czuj się jednak winny. Lesley myślała o tym samym. Spowodował to Dominic, który jednym gestem przywołał więcej pornograficznego żaru niż ja tysiącem słów. Dlatego że ćwicz, Czytelniku, podobnie jak *princesse Danaë*.

Mycrofcie, nie mam czasu na te twoje wtręty, twoje spekulacje, twojego Patriarchę, twojego Hobbesa. Moje fantazje to nie twój interes. Powiedz mi prawdę. Co zrobili?

Lesley wcisnęła plecy w ścianę, zyskując kilka centymetrów umożliwiającej oddychanie przestrzeni.

– Szczerze mówiąc, nie mam żadnych.

Oczy Dominica wyrażały niedowierzenie.

– To jest otwarty basz, tak? Ile waszych niemających małżonków baszrodzonych spotyka się z kimś spoza baszu? Jacyś rozgniewani byli kochankowie?

Lesley poczuła się skrępowana faktem, że bardzo rozsądne pragnienie kopnięcia Czarnoprawowca w jaja opuściło ją bezpowrotnie.

– Cato się tym nie interesuje, ale Thisbe ma trochę wściekłych byłych. Bliźniaki też mogą ich mieć. Trudno wyśledzić, co one kombinują, ale zawsze są co najmniej dwie osoby, z którymi któreś z nich się spotyka.

Na ogół więcej.

– Rozumiem. – Dominic przesunął się, lekko muskając bok jej uda pochwą na wpuł ukrytej broni. – Czy w baszu Saneer-Weeksbooth są jakieś konflikty? – zapytał. – Czy wszyscy są zadowoleni z podziału zadań, przydziału zmian i z tego, kto z kim śpi?

– Wszyscy są zadowoleni. Ja i Ockham monitorujemy to bardzo starannie.

Uśmiechnął się szerzej i pochylił nad nią, by nacieszyć się wonią jej szamponu.

– Cała dziewiątka współpracuje ze sobą zgodnie jak małe aniołki?

Być może ktoś tak silny jak Lesley zdołał powstrzymać drzenie.

– Baszowcy czasami się kłócą. To zdrowy objaw. Powiedziałam, że starannie to monitorujemy.

Odsunął się na kilkanaście centymetrów, by sprawdzić, czy jej ciało podąży za nim.

– Wy i monsieur Sidney Koons jesteście wyjątkami, ale siedmioro pozostałych urodziło się w tym baszu, tak? Siedmioro dzieci i żadne nigdy nie pragnęło stworzyć nowego baszu z przyjaciółmi z kampusu, jak normalni dwudziestoparolatkarze? To doprawdy niezwykle.

Jej ciało rzeczywiście podążyło za jego ciałem, choć być może chodziło jej tylko o to, by odsunąć się od ściany.

– Lubimy swoją pracę.

– A kto jest najsłabszym ogniwem waszego baszu? – Jego palce musnęły miękką skórę na wewnętrznej powierzchni jej przedramienia. – Gdybym był przestępcą, kogo radziłabyś mi porwać i poddać torturom? Kto załamałby się najszybciej?

Jego skóra zetknęła się z jej skórą. Tego już było zbyt wiele. Czar prysnął. Lesley skrzywiła się i odepchnęła go.

– Czy nie mówiliście, że chcecie rozejrzeć się po domu, a potem zadać nam pytania?

– To prawda, madame. Wybaczcie mi, proszę. – Oddalił się od niej natychmiast, śmigając w dół szybko jak wałka. – Zacznę tutaj, w porządku? – Otworzył drzwi pokoju, nim Lesley zdążyła mu odpowiedzieć. – Ktoś tu jest, madame. Wiedziałaś o tym? To nie jest członek waszego baszu.

– Słucham?

Dominic złapał za rękojeść szpady, zasłaniając drzwi ciałem.

– Wytłumaczcie się.

– Czekam na Thisbe – dobiegł z dołu nieśmiały głos. – Jestem senseistą.

To był Carlyle, Czytelniku, na szczęście to był Carlyle, wracający z kolejnym zestawem pytań, ale to równie dobrze mogło być dziecko.

– Zgadza się! – zawołała Lesley. – Zapomniałam, że wróciło.

– Senseistą? – powtórzył Dominic.

– Tak. W czym mogę wam pomóc?

Carlyle podszedł bliżej. Jego blada twarz promieniowała energią, albowiem owego dnia był u szczytu swych sił. Dwudziesty czwarty marca w minionych wiekach był świętem nordyckiego boga Hajmdala. Ludzie oddawali wówczas cześć swemu Stwórcy i czynią to po dziś dzień.

Dominic przyjrzał się ciału Carlyle'a jak rzeźnik omiatający spojrzeniem sylwetkę świni.

– Jesteście senseistą?

– Wy również, jak widzę. – Carlyle skinął głową w stronę chusty na ramionach tamtego. – Czy jesteście specjalistą od skonfigurowanych? Eureka Weeksbooth miało nadzieję, że przyślą jej kogoś takiego.

Dominic wlepił spojrzenie w Carlyle'a, zauważając rysy jego twarzy oraz intensywny błękit oczu.

– Jak się nazywacie, Kuzynie?

To ostatnie słowo wymówił jak francuski rzeczownik rodzaju żeńskiego. Cousine.

– Carlyle Foster.

– Carlyle Foster?

– Tak. Czy coś się nie zgadza?

– Ile macie lat?

Carlyle – podobnie jak Dominic i Lesley – przeżywa okres przedłużonej medycznie młodości, uniemożliwiający odróżnienie osiemnastolatka od trzydziestośmiolatka.

– Dwadzieścia osiem. Dlaczego o to pytacie?

– I... jesteście senseistą?

– Tak. – Utajniony genotyp schował palce w fałdach szaty ozdobionej dziś białymi, abstrakcyjnymi słoniami na niebieskim tle. – Czy coś się stało?

Śmiech Dominica to skomplikowany dźwięk. Zaczyna się ciszą, spojrzeniem, które trwa kilka sekund, nim wreszcie nadchodzi pierwszy oddech przypominający czkawkę, potem znowu cisza i drugi

dźwięk, a po kolejnym staccato westchnień następujących coraz szybciej jedno po drugim. Wreszcie głos i gorzki uśmiech łączą się ze sobą i Dominic odrzuca głowę do tyłu, wydając z siebie spragniony, bliski orgazmu odgłos. Carlyle drżał, gdy opisywał mi to wrażenie. Powiedział, że tak właśnie mógłby się śmiać Jan Kalwin, gdy był świadkiem jakiegoś okrutnego czynu i mógł z zadowoleniem utwierdzić się w przekonaniu, że świat rzeczywiście jest tak podły, jak opisuje go w swoich kazaniach. Opowiadał, że próbował zapytać Dominica, co go tak rozbawiło, ale groza tego śmiechu zabiła słowa, nim zdołały wypłynąć z ust. Na koniec Czarnoprawowiec odpowiedział mu tylko miłosiernym rozkazem.

– Zmiatajcie stąd!

– Słucham?

– Wynoście się z tego pokoju. Przeszkadzacie mi w śledztwie, Carlyle Foster. – Ponownie się roześmiał, jakby po powtórzeniu nazwiska odkrył w nim jeszcze jedno ukryte znaczenie. – Zmiatajcie, nim zmienię zdanie. Możecie poczekać na swoją Thisbe na górze.

Pośpiesznie wyprowadzono go na schody. Omal nie wpadł na Lesley, gdy Dominic zamknął za sobą drzwi. O ile mi wiadomo, nawet Martin nigdy nie widział, jak jego współpracownik przeszukuje pokój. Dominic zawsze chce pracować sam. Jak to robi? Czy posługuje się tylko wzrokiem i dotykiem? Jakimś ukrytym urządzeniem? Być może pomaga mu węch, szalone poświęcenie dla pracy skłania jego umysł do wzmocnienia zmysłu, który wydaje się najodpowiedniejszy dla stworzenia takiego jak on. Czy wyobrażasz sobie, Czytelniku, jak opada na kolana z chrzęstem skórzanych butów i zaczyna obwąchiwać dywan centymetr po centymetrze? Lubi, gdy ludzie zwracają się do niego przydomkiem Canis Domini, Pies Pana. To stara gra słów oparta na nazwie zakonu Dominikanów, mnichów, którzy tropili prawdę i herezję w imię niebios oraz swego wielkiego założyciela. Bez względu na to, jaką metodę stosuje Dominic, nic nie umyka jego uwagi.

Ani jeden włos, ani jedna plama czy odcisk dłoni pięciocentymetrowego żołnierzyka na markerze, który zapomniałem wytrzeć.

– Co to za człowiek? – zapytał Carlyle, gdy już znaleźli się na zewnątrz. Nie przestawał się gapić na drzwi.

– Dominic... Dominic coś tam. – Lesley nadal była zdyszana, ale

zdołała się uśmiechnąć do Carlyle'a. Połączyło ich zdumienie. – Czy wy również uważacie, że to najdziwniejsza osoba, jaką w życiu spotkaliście?

– Jestem poniekąd specjalistą i spotkałem w życiu wielu dziwnych ludzi, ale ono z pewnością mieści się w czołowej dziesiątce.

Zachichotała i wyciągnęła do niego rękę.

– Jeszcze się nie spotkaliśmy. Jestem Lesley Saneer.

Odwzajemnił jej uśmiech.

– Miło mi was poznać, członku Saneer.

– Proszę, mówcie mi Lesley.

– Lesley – powtórzył Carlyle. – Chyba... chyba słyszałem o czarnoprawowym senseiście imieniem Dominic. Takie imię trudno zapomnieć.

– I co o nim słyszeliście?

– Niezbyt wiele. Najwyraźniej Konklawe ma o nim dobrą opinię.

Wytrzeszczyła oczy.

– Dlaczego?

– Mogłoby zapytać.

– Zróbcie to, proszę.

Zaczął pisać wiadomość celem wysłania przez lokalizator.

Lesley również wysłała krótkie zapytania do Ockhama, Martina, dwóch kapitanów ochrony oraz do biura swego prezydenta, by się upewnić, że to niewiarygodne monstrum rzeczywiście przysłała Romanova. Wszyscy odpowiedzieli, że to prawda.

– Nie wiem, czy innym Czarnoprawowcom takie zachowanie wydałoby się normalne, ale osobiście nie chciałoby, żeby ktoś taki był moim senseistą.

– Podejrzewam, że to specjalista od agresywnego stylu. Niektórzy senseiści praktykują go celowo. Można się z nimi umówić na jedną sesję, jeśli ktoś naprawdę chce, by jego przekonaniom rzucono wyzwanie. Potem można przedyskutować ujawnione problemy ze swym regularnym senseistą. Legenda otaczająca Czarnoprawowców z pewnością pomogłaby zwiększyć poczucie zagrożenia.

Lesley zmarszczyła brwi. Miała okazję bliżej się zapoznać z „agresywnym stylem” Dominica.

Carlyle zademonstrował swój najbardziej energiczny uśmiech.

– Jeśli już mowa o powrocie do regularnego senseisty, to czy chcielibyście porozmawiać o tym, czy we wszechświecie istnieje jakieś

bóstwo albo boska siła?

Lesley parsknęła śmiechem, ciepłym, zdrowym i uzdrawiającym dla nich obojga.

– Jasne, czemu by nie. I tak mieliśmy wkrótce umówić się na sesję. Możemy załatwić tę sprawę teraz. To dobry sposób na zabicie czasu, gdy będziemy czekali, aż to monstrum sobie pójdzie. – Nogi poniosły ją w stronę kuchni. – Chodźmy poczęstować się figami. Któreś z bliźniaków dopadła figowa mania, kiedy w zeszłym miesiącu programowali drzewo, i teraz mamy ich znacznie więcej, niż możemy zjeść.

Uzbrojeni w kuchenne ciepło i metafizykę miło spędzili godzinę, wymazując chłód pozostały po spotkaniu z Dominikiem. Mówią, że już go więcej nie widzieli. Inni mieszkańcy domu również nie. Może przeszukał tylko pokój Thisbe, a może przeszedł przez cały budynek, cicho jak dzuma. Tak czy inaczej, zniknął, nie zadając już więcej pytań.

Rozdział ósmy

Honorowe miejsce

Martin: Mycroftcie, dziękuję, że odpowiedzieliście. Podobno mieliście urządzenie, które pozwoliło wam zakłócić działanie lokalizatorów. Dzięki niemu mogliście udać się w jedno miejsce, sprawiając jednocześnie wrażenie, że przebywacie gdzie indziej.

Ja: Wiem, o co wam chodzi, *neposie*. O Urządzenie Gygesa, zwane przez wielu Urządzeniem Cannera.

Rozmawialiśmy po łacinie, Czytelniku, czy raczej w jej wykastrowanym wnuku, masońskiej neolacinie, pozbawionej nieregularnych form, ale wystarczająco zbliżonej do imperialnej protoplastki, by kojarzyć się ze wspaniałymi stolicami i starożytnymi marmurami. Zawsze mam kwaśną minę, gdy muszę dla Ciebie tłumaczyć na angielski języki Pasięk albo grup narodowych, ale w przypadku Martina jest to wyjątkowo trudne, bo on myśli w obu językach zupełnie inaczej i sam się krzywi, gdy widzi własne słowa wypowiedziane w imperialnym języku, przetłumaczone na wulgarne narzecze. Będę je tłumaczył, Czytelniku, by ułatwić Ci zrozumienie, ale błagałem o pozwolenie pozostawienia łacińskich form tam, gdzie ich odpowiedniki mają drastycznie inne konotacje. Na przykład słowo *nepos*, ten honorowy tytuł mówiący, że Martin jest jednocześnie uczniem, sługą, bliskim znajomym i protegowanym swego cesarza. Gdybym oddał je na twój użytek jako „bratanek”, byłoby to w jednej części tłumaczeniem, a w trzech częściach kłamstwem.

Martin: Sądzę, że zapewne to właśnie urządzenie wykorzystano podczas kradzieży w Czarnej Sakurze.

Ja: Widziałam skan zwiniętej kartki, który zrobiliście.

Martin: Co możecie mi powiedzieć o tym urządzeniu? Czy mogłoby przebić się przez systemy obronne baszu Saneer-Weeksbooth?

Ja: Pytacie w w imieniu Romanovy i prawa? Czy prywatnie?

Nastąpiła chwila przerwy, świadcząca, że Martin rozumie znaczenie tego pytania.

– Prywatnie.

Ja: Nigdy nie miałom go w rękach, *neposie*. Tylko opakowanie. Po prostu udawałam, że je mam, żeby zmylić policję. Proszę, zachowajcie tę informację dla siebie. Inspektor generalny o tym nie wie, ale wczoraj *princesse* Danaë wyciągnęło ze mnie tę informację na oczach dyrektora naczelnego Andō. Próbowałam się opierać, przysięgam! Z pewnością wykorzystają to przeciwko mnie. Jeśli Papadelias się dowie, zaraz się do mnie dobierze. To mogłoby pozbawić mnie zwolnienia warunkowego! A nawet gorzej! Nie wiem, co mam zrobić! Przepraszam. Powinno być natychmiast zwrócić się z tym do was.

Martin: Spokojnie, Mycroftcie, spokojnie. Dyrektor naczelnny to wasz przyjaciel. Nie chce, żeby was zamknęli, podobnie jak ja.

Ja: Ale *princesse*...

Martin: Danaë również tego nie chce. Uspokójcie się. Jeśli pragniecie, porozmawiam z nimi na ten temat.

Ja: Naprawdę?

Ta obietnica zmyła ze mnie niepokój niczym upragniony letni deszcz.

Martin: Zrobię to. Ale w tej chwili chcę, żebyście się skupili i powiedzieli mi wszystko, co wiecie o tym Urzędzeniu Gygesa. Wiecie, kto obecnie je ma? Albo kto je zbudował? Informacje z oryginalnego źródła oskarżają przestępczość zorganizowaną, ale przeczytałam raport przysłany do Romanovy przez Mitsubishijską Policję i przekonałam się, że... nie jest wolny od przemilczeń.

Pocieszyła mnie sprytnie sformułowana obelga, jaką było to niedopowiedzenie po łacinie (niestety, moje tłumaczenie nie zdołało jej oddać). Uśmiechnąłem się.

– W swoim czasie próbowałam zbadać tę sprawę. Jestem przekonane, że wbrew temu, co twierdzi raport, nigdy nie istniało żadne tajne laboratorium yakuzy. Sądzę, że urządzenie zbudowano w tajemnicy, ale całą sprawę sfinansował ktoś należący do japońskiej grupy narodowej Mitsubishi. Następnie ukradł je jakiś zdrajca będący członkiem tej samej grupy. Ale nie mam dowodów. Co więcej, *neposie*, nawet jeśli dyrektor naczelnny i *princesse* w tej chwili zachowują się przyjaźnie, to szybko się zmieni, jeśli zaczniemy badać tę sprawę. Jeśli to przywództwo bloku japońskiego zainicjowało prace nad stworzeniem urządzenia pozwalającego oszukać system lokalizatorów, Andō nie będzie chciało, żeby ta wiedza trafiła do kogokolwiek innego. A szczególnie do cezara.

Martin: Mówicie, że to były jakieś elementy frakcyjne w Mitsubishi? Nie Andō osobiście?

Ja: Nie Andō, *neposie*. Tego jestem pewne. Zapewne jego poprzednik. Ale wiecie, jakie jest Mitsubishi. To nie osłabi żądań, żeby obecne kierownictwo „wzięło na siebie odpowiedzialność” w najbardziej złowrogim z możliwych sensów. Całe kłębowisko żmij tylko czeka, aż Andō potknie się na linii.

Martin: Udawaliście, że macie urządzenie. Czy wiecie o nim wystarczająco wiele, by ze stuprocentową pewnością określić, czy rzeczywiście wykorzystano je podczas tej kradzieży, czy raczej to było oszustwo, podobnie jak w waszym przypadku?

Ja: Nie, *neposie*. Nie mam pojęcia, jak naprawdę działało urządzenie. Wiem tylko, że wpływało na działanie lokalizatorów, zamieniając ich sygnały, co utrudniało tropienie ludzi.

Martin: Rozumiem.

Ja: Dyrektor naczelny Andō rozkazał mi wytropić złodziei sprzed trzynastu lat za pośrednictwem kontaktów, przez które kupiłem opakowanie.

Martin: Tak, to dobry pomysł. Poinformujcie mnie, jeśli coś znajdziecie. Ale nie dzisiaj. Dzisiaj jest Dzień Zerwania Więzów. Odpocznijcie chwilę i wróćcie do pracy jutro.

Ja: Tak... tak jest, *neposie*. Dziękuję. Wam również życzę wesołego święta.

Zakończyłem rozmowę i odwróciłem się z uśmiechem do Su-Hyeona i Toshi, którzy czekali razem ze mną na schodach tuż pod główną bramą urzędu cenzora, równie głusi na moją łacinę, jak ja na pieśń delfinów.

Su-Hyeon zagwizdał niecierpliwie.

Mycrofcie, ile wiadomości do odebrania wam zostało?

– Tylko jedna.

Ostatnia była tekstowa, po francusku: «Mycrofcie, słyszałam, że pewien bezmyślny osobnik odciągnął was dziś od pracy przy naprawianiu skutków awarii w Marsylii, nim zdążyliście otrzymać śniadanie. Francja jest wam winna posiłek. Przyjdźcie dziś wieczorem na moje przyjęcie – La Trémoille.»

Rozkaz prezydenta Humanistów zgadzał się z wydanym przez Martina, postanowiłem więc, że go posłucham.

– Przepraszam, że to trwało tak długo – odezwałem się. – Wracamy

do pracy?

– Nie. – Cenzor przechwycił nas, gdy próbowaliśmy wejść z powrotem na jego schody. Wyglądał zupełnie inaczej niż przed godziną. Odkąd zapanował nad danymi, stał się zrelaksowany i energiczny, jak muzyk trzymający instrument w ręce. – Nie zdołamy uzyskać lepszych liczb, dopóki nie dowiemy się więcej o tym, w jaki sposób *Czarna Sakura* zamierza zdradzić tożsamość autora listy.

Toshi skrzywiła się boleśnie.

Su-Hyeon zmarszczył brwi.

– Po prostu chcecie zdążyć na przemówienia, prawda?

Cenzor poklepał swego zastępcę po plecach.

– Tak samo jak wy. Toshi, idziecie z nami?

Zawahała się, przechylając głowę tak, że ciemne loki, rozświetlone blaskiem słońca niczym aureola, uniemożliwiły odczytanie wyrazu jej twarzy.

– Wróć do Tōgenkyō, jeśli nie macie nic przeciwko temu. Moje baszrodzone zawsze grają w koszykówkę przed przyjęciem. Chciałbym dzisiaj tam być, dla Masami.

Cenzor uśmiechnął się bardzo ciepło.

– Oczywiście. Przekażcie mu moje życzenia. Powiedzcie, żeby nie przejmowało się zbytnio. Przedstawienie całej sprawy w odpowiednim świetle nie powinno być trudne. Odbędę kilka prywatnych rozmów.

– Dziękuję.

Vivien skinął głową, potwierdzając obietnicę. Potem zbiegł po schodach jak dziecko po zakończeniu szkoły. Su-Hyeon i strażnicy cenzora pobiegli za nim z równie wielką energią.

– Chodźcie z nami, Mycrofcie!

Czy Ty również do nas dołączysz, Czytelniku? Możesz się sprzeciwić, twierdząc, że wiesz, jak wyglądają obchody święta, ale czy rzeczywiście słuchałeś kiedyś przemówień na żywo? Czy raczej, jak wielu, wolisz odpoczynek na plaży i kolację z rodziną niż wykłady historyczne? Thomas Carlyle i inni nasi luminarze są jak stare świece, które nadal mogą rzucać nowe światło, jeśli zadamy sobie trud, żeby je zapalić. Dobrze by też było zobaczyć światła naszego wieku po raz ostatni, nim zanikną jak gwiazdy w blasku słońca dawniejszej epoki, które wszędzie na nowo.

Ruszyliśmy razem Via Sacra, mijając Rostkę i gmach Senatu, choć raz

opustoszały, po czym okrążyliśmy Wzgórze Kapitołińskie, zmierzając ku zatłoczonej ulicy dzielącej Forum od Panteonu. Każdy sklep obwieszony był flagami, jakby Atena pokryła miasto swymi tkaninami. Wszystkie grupy, od Irlandczyków aż po Związek Kynologiczny dodały do tego morza własne kolory. W gęstym tłumie widziało się wózki sprzedawców ulicznych oferujących jaskrawe balony, słodycze, kiełbaski albo papierowe lampiony. Nawet posągi ubrały się świątecznie. Wandale obwiesili je girlandami i pościelą, wepchnęli im w dłonie kwiaty i puste butelki po alkoholu. Tego typu profanacja byłaby przestępstwem w starożytnym Rzymie, gdzie posągi przedstawiały bogów, ale ludzcy bohaterowie Romanovy mają poczucie humoru. Wszyscy ludzie, których spotykaliśmy, uśmiechali się do cenzora i składali mu życzenia. Niektórzy byli tak pijani, że zbliżali się do granic nieuprzejmości, ale nic nie mogło zmącić jego radosnego nastroju, nawet nastolatki, które oblały go wodą z jego własnej fontanny.

– Hej, Ancelet. Szczęśliwego Dnia Zerwania Więzów!

Panteon jest masywny jak góra, lecz wydaje się też przestronny i widny w porównaniu z wąskimi ulicami Romanovy. To tak, jakbyśmy po długim czołganiu się przez wąską jaskinię dotarli do wielkiej komory, która wydaje się nam wtedy większa niż otwarta przestrzeń. Przez otwór pośrodku kopuły wpadają jasne promienie słońca. Wiatr i deszcz również, ponieważ żadnemu z żywiołów nie odmawia się wstępu do tego uniwersalnego azylu. Starożytni Rzymianie zbudowali swój Panteon dla wszystkich bogów, ale nawet w czasach geograficznych państw bardziej doczesne namiętności zaczęły go wypełniać grobowcami założycieli, zbawców, artystów, a w jego paryskiej kopii nawet naszego Patriarchy, Woltera. Nasza wersja w Romanovie również ma wielu lokatorów, ale daleko jej do zapełnienia. Nasi kapłani, Mertice McKay i Fisher G. Gurai; nasi książęta, Antonius MASON, Mycroft MASON, dwóch królów Hiszpanii, Pierwszy Anonim, Trzeci; nasi geniusze, Adolf Richter Brill i Regan Makoto Cullen; Terra, Księżycowe Dziecko, rzecz jasna; artyści, humanitaryści, celebryci; i pierwszy przewodniczący Gordian, Thomas Carlyle. Jego grób zawsze zdobi najwięcej kwiatów.

Nie ma wśród nich Apolla Mojave. Nie powinieneś odrzucić go w głosowaniu, Czytelniku. Wiem, że nie potrafiłeś zrozumieć, dlaczego cesarz i inni pragnęli pogrzebu bohatera dla tego młodego Utopianina,

o którym nie słyszałeś do chwili jego śmierci, ale powinieneś być im zaufać. Naprawdę powinieneś. Wiesz, co Ci dali Utopianie, ale przyznałeś im tylko jeden grób w świątyni, w której wszystkie pozostałe Pasieki zaszczycono co najmniej czterema miejscami, Twój przywódca mówił szczerze, gdy oznajmili, że był najlepszym z nas. Powinien tam leżeć, niewdzięczny Czytelniku. Należało przyznać mu przynajmniej Olimp, skoro nie mógł dołączyć do swych pobratymców wśród gwiazd.

Kiedy przybyliśmy, aktor, który miał dziś zagrać rolę przewodniczącego Carlyle'a, stał już na mównicy między grobowcami, ubrany w charakterystyczny zielony garnitur ze staroświeckim, zwężającym się na końcu krawatem. Terry Lugli zrobił karierę, grając największego bohatera naszego świata w sztukach i filmach. Raz nawet zagrał jego dziewiętnastowiecznego imiennika i krewnego sprzed stuleci, historyka Thomasa Carlyle'a. Historyk Carlyle twierdził, że za cały dziejowy postęp odpowiadają wielcy ludzie, których natura w jakiś sposób umieszcza wśród nas. Czegóż by nie oddał, by móc zajrzeć w przyszłość i użyć swego wielkiego potomka jako przykładu.

– Mycroftcie, zdążyliście!

– Mówiłem, że na pewno przyjdzie.

– Tylko zgadywaliście. Nie mogliście tego wiedzieć.

To byli moi towarzysze niedoli, usługowcy. Ze wszystkich stron otoczyło mnie morze uśmiechów oraz beżowych mundurów w szare cętki. Skolonizowali cztery ławki w lewym tylnym rogu, obok popiołów oraz popiersia Sofii Kovács, która, zainspirowana przez świętego sir Tomasza More'a, stworzyła służbę usługowców, pozwalającą tym, którzy są winni, ale niegroźni, uniknąć siedzenia w więzieniu razem z szaleńcami i ludźmi złej woli.

– Mycroftcie, chcecie karmelowy batonik? Dostaliśmy ich trochę od miłego Kuzyna.

– Zajęliśmy też dla was miejsce.

– Tutaj.

Rzeczywiście zajęli, w samym środku swojej grupy. Wyczuwałem ślady sprzeczki o to, kto usiądzie obok mnie. Być może nie wyobrażasz sobie życia, w którym nie mógłbyś w każdej chwili wezwać autolotu, i jesteś więźniem obszaru znajdującego się w zasięgu nóg, chyba że jakiś dobroczyńca wezwie Cię gdzie indziej. Podobny dobroczyńca jest też potrzebny, by kupić Ci dostęp do filmu, sztuki albo przyjęcia, pięć

euro za wdrapanie się na wieżę widokową, jedno euro za przejażdżkę na diabelskim młynie. Niemniej współczująca opinia publiczna nie pozostawiła nas bez niczego. Uważam za jeden ze swych nielicznych niekwestionowanie dobrych uczynków fakt, że wystąpiłem z petycją, by dodać mowy wygłaszane w Dzień Zerwania Więzów do krótkiej listy rozrywek dostępnych dla każdego usługowca na koszt dobrych Kuzynów.

– Nie korzystajcie z lokalizatora podczas przemówień, Mycrofcie – ostrzegł mnie cenzor. Jego smagła twarz miała wyraz ciepły i surowy zarazem. – Chcę, byście odpoczęli. Potrzebujecie tego.

– Tak jest, cenzorze.

Otaczający mnie ludzie wlepili w niego spojrzenia. Ancelet bardzo się starał wyglądać niegroźnie. Zgarbił się nieco, by jego wzrost nie rzucał się w oczy. Niemniej krwawopurpurowy mundur cenzora nadal tworzy i obala Pasieki. Istniał tylko jeden niezawodny sposób na poprawę nastroju.

– Ilu z was chce dostać lody, gdy już będzie po wszystkim?

W górę uniosły się cztery ręce, potem jedenaście, a wreszcie wszystkie.

– Załatwione.

– Pośpiesz się, Vivien. – Su-Hyeon pociągnął go za ramię. – Zaczyna się.

Cenzor i jego zastępca popędzili do zarezerwowanych dla nich miejsc na przodzie, akurat na czas, by uniknąć szyderczego uśmiešku Terry’ego Luglego, który czekał na mównicy, aż najwyższy rangą urzędnik w Romanovie usadzi swój tyłek na krześle.

Ci, którzy wygłaszają wstępy do przemówień, zawsze proszą słuchaczy, by sobie wyobrazili, że jest rok 2131 i czują się przerażeni ciągle rosnącą liczbą ofiar kolejnych ataków, w jeszcze większym stopniu przeraża ich groźba odwetu wygłoszona przez supermocarstwo, największy zaś strach budzą w nich środki używane przez to supermocarstwo celem zwiększenia stanu armii przerzedzonych przez długotrwały dobrobyt. Wiedzą, że przewodniczący Carlyle spędził ostatnie trzydzieści godzin zamknięty z dyrektorem Programu Kuzynów, Sofią Kovács i przewodniczącym Olimpijczyków, Jean-Pierre’em Utarutu. To przywódcy trzech wielkich muktowych grup transportowych, zdolnych ewakuować swych członków z kontynentu na kontynent, by umożliwić im uniknięcie

poboru, z równą łatwością, jak transportują ich na zawody sportowe. Tych troje zwołało teraz konferencję prasową. Zaprosili też na mównicę bohatera Europy, króla Hiszpanii Juana Valentina. Nikt nie ma pojęcia, na czym polega ich plan, wszyscy jednak wiedzą, że to on określi kształt nowej wojny światowej. Stoi za nimi jedna trzecia ludności świata, i to ta najbogatsza. Wprowadzający prosi słuchaczy, by wyobrazili sobie ten strach, niepokój towarzyszący życiu w świecie, któremu w każdej chwili może położyć kres bomba, a także wątłą nadzieję, związaną z człowiekiem, który zaczyna mówić:

– „Ilekroć wskutek biegu wypadków koniecznym się staje dla jakiegoś narodu, by zerwał więzy polityczne łączące go z innym narodem i zajął wśród potęg ziemskich oddzielne i równorzędne stanowisko, do którego upoważniają go prawa natury, to właściwy respekt wymaga, aby naród ten podał powody, które zmusiły go do oderwania się”. Te słowa są dziś tak samo prawdziwe jak trzysta pięćdziesiąt lat temu, gdy grupa idealistów postanowiła założyć państwo nowego rodzaju, bardziej wolne niż wszystko, co istniało przedtem. Państwo, które założyli, stało się wielkie i utrzymało tę wielkość aż do czasów, do których sięgamy pamięcią. Ale teraz ją utraciło. Żaden kraj, choćby najpotężniejszy, nie zasługuje na nazwę wielkiego, jeśli narzuca tyranie swym obywatelom. A nawet gorzej, ludziom, których uważa za swych obywateli, nie dlatego, że cieszyli się owocami jego gleby bądź korzystali z jego ochrony, lecz wyłącznie z tego powodu, że ich dziadkowie przypadkowo urodzili się na obszarze barwnej plamy na mapie, którą uważa za swoją własność. Tym wolnym ludziom, którzy nigdy nie spędzili nawet jednego popołudnia pod jej niebem, dumna Ameryka rozkazuje dziś oddać jej owoce swej pracy. A w jakim celu? Po to, by sfinansować wojnę, nie, nie wojnę, lecz kampanię zniszczenia, konflikt nie między ludami, lecz członkami rządów, toczony w imię dwóch bogów, czy raczej dwóch interpretacji Boga, w których nie wierzy większość tych, którzy muszą dzisiaj za nią płacić. Co gorsza, to tak zwane państwo ośmiela się nie tylko prosić, lecz zmuszać owych wolnych ludzi do wysłania swych dzieci, by walczyły i ginęły za grupę ludzi, których nie uważają za swoich przywódców, przeciwko nieprzyjacielowi, który nie jest ich wrogiem, a wszystko to dla skrawka gruntu, który nigdy nie był dla nich ojczyzną. Przyjaciele, Ameryka, która wydała takie rozkazy, nie jest już obrońcą wolności, jakim chcieli ją uczynić jej założyciele. Nie

zasługuje na waszą lojalność.

Muszę na chwilę przerwać, Czytelniku, by zapytać, czy zauważyłeś, że Carlyle coś pominął? Nie wspomniał o Bogu Natury. W wersji skreślonej piórem Jeffersona to prawa natury i jej Bóg dają narodowi prawo do oddzielnego i równorzędnego stanowiska wśród potęg ziemskich, a nie tylko same prawa natury. Przewodniczący Carlyle nie był ateistą. Widzisz tu początek ciszy. Gdy spadają pierwsze bomby rzucone w wojnie Kościołów, ci, którzy uważają się za neutralnych, zaczynają się obawiać wspomnienia o Bogu.

– Co to jest „naród” – kontynuuje aktor. Jego głos odbija się echem od kopuły. – To grupa ludzi połączonych wspólną więzią. Nie więzią krwi i geografii, lecz przyjaźni i zaufania. Co to jest „państwo”? To system rządów utworzony przez naród po to, by bronić wspólnoty za pomocą obowiązujących wszystkich praw, by obywatele mogli się cieszyć życiem, wolnością, szczęściem i sprawiedliwością. Wszystkimi tymi prawami, które kochamy. Amerykanie, Ameryka nie jest już waszym państwem. Są nim przyjaciele, którzy żyją i pracują razem z wami, w Afryce, Europie, Azji, Australii, w obu Amerykach i we wszystkich zakątkach Ziemi. Waszymi rodakami są ci, którzy chodzili z wami do szkoły, którzy kibicowali tym samym drużynom, dorastali z wami, dzielili się z wami osobistymi sekretami przez Internet, a dzisiaj podzielą się z wami chlebem w waszym domu, na którymkolwiek kontynencie się on znajduje. Waszym państwem jest organizacja, którą wybraliście, by broniła waszej rodziny i własności, w chorobie i zdrowiu, gdy będziecie wędrowali po całym świecie, by znaleźć dla siebie idealny dom. Przyjaciele, stoję tu dzisiaj w towarzystwie przywódców tych organizacji, by powiedzieć wam, że znowu nadszedł czas, by stworzyć nowy rodzaj ludów, bardziej wolny od tych, które istniały przedtem. Przemawiamy dziś w imieniu Kuzynów, Olimpijczyków i Gordian, trzech grup posiadających środki umożliwiające ludziom i rodzinom życie we współczesnym świecie bez państwa, bez obywatelstwa, bez zobowiązań wobec żadnych grup, do których nie przyłączyły się dobrowolnie. Od więcej niż pokolenia pełniliśmy dla was funkcję nie tylko biur podróży, lecz również banków, prawników, szpitali i szkół. Jesteśmy gotowi przejąć również funkcję państw. Wzywam wszystkich Amerykanów, którzy nie popierają tej wojny, do zrzeczenia się amerykańskiego obywatelstwa i zaufania którejs z naszych organizacji. Możecie wybierać swobodnie.

Pozwólcie, byśmy zapewnili bezpieczeństwo waszym rodzinom w tym nowym, wolnym świecie. Wzywam obywateli wszystkich pozostałych państw świata, by szanowali naszych członków i akceptowali paszporty, podobnie jak uznajecie paszporty wydawane przez państwa mogące się pochwalić plamą na mapie w jakiejś części globu. Przyłączcie się do nas, jeśli chcecie, albo dochowajcie wierności tym geograficznym państwom, które wciąż na nią zasługują, ale tak czy inaczej uznajcie nas i, co za tym idzie, uznajcie prawo wszystkich ludzi do wyboru innego obywatelstwa, gdy państwo, w którym się urodzili, zawiedzie ich zaufanie.

Zgodnie z relacjami historyków po Carlyle'u miejsce na mównicy zajęła Sofia Kovács. Z reguły nikt nie pamięta jej przemówienia. Opisywała formalne zasady zdobycia obywatelstwa tych nowych, niegeograficznych państw, mówiła o tym, jak rozwiążą kwestie aktów własności i podatków, procesów sądowych i opieki zdrowotnej. Jest jak starsza siostra, która pakuje nam plecaki przed wycieczką do lasu i próbuje przyciągnąć naszą uwagę, wyliczając wszystko, co nam dała, ale my ją ignorujemy oczarowani zewem głuszy. Dopiero później, kiedy się orientujemy, że potrzebujemy aerozolu przeciw owadom i latarek, zauważamy, że mamy je w plecakach, razem z lunchboxem i ulubioną zabawką. Nie dziękujemy jej, ale ona patrzy, jak bawimy się bez troski dzięki jej rozsądkowi i nie prosimy o nic więcej.

Dzisiaj roli Sofii Kovács nie gra aktorka, lecz jej współczesny odpowiednik, Bryar Kosala, przewodniczący Kuzynów. Przebrała się na tę okazję w garsonkę w stylu noszonym przez kobiety na początku tysiąclecia, łącznie z obcisłą spódnicą i butami na wysokich obcasach, w których ledwie jest w stanie chodzić. Gęste, czarne włosy świadczące o indyjskim pochodzeniu związała w robiący imponujące wrażenie kok. Jednakże nawet w bezpłciowej kuzynowskiej szacie, którą nosi na co dzień, jest w każdym calu kobietą. Myślę, że poza mną na całym świecie nie ma żadnej osoby, której ambitni nienawidzą bardziej niż Bryar Kosali. Ci, którzy ubiegają się bezlitośnie o zdobycie władzy, nie potrafią jej wybaczyć tego, że wzniosła się tak wysoko i nadal pozostaje sympatyczna. Wyobraź sobie Andō walczącego o to, by stać się najważniejszą głową mitsubishiańskiej hydry, pomyśl o kampaniach wyborczych do europejskiego parlamentu, o blichtrze i wrzasku towarzyszącym wyborom wśród Humanistów. Bryar Kosala po prostu lubi pomagać ludziom i ma talent do organizacji,

a zapytana, czy chce zostać mamą całego świata, odpowiedziała „jasne”. Bo tym właśnie jest, mamą całej Ziemi, podobnie jak cesarz Masonów jest jej surowym ojcem. Jej Pasieka kieruje wszystkimi organizacjami dobroczynnymi, domami opieki oraz miłosiernym programem usługowców. Jej prawo jest najbardziej wyrozumiałe ze wszystkich, jej gazeta najbardziej sentymentalna, a gdy nadchodzi katastrofa, ona zjawia się pierwsza z opiekunami, zupą i placami zabaw. Nic dziwnego, że ta przyjazna matriarchini, z uśmiechem władająca miliardem sześciuset milionami członków drugiej pod względem liczby członków Pasieki na Ziemi, jest osobą, której pozycja na liście Siedmiu i Dziesięciu – wysoka czy niska? – budzi najwięcej kontrowersji.

Trzecie przemówienie, przewodniczącego Olimpijczyków, Jeana-Pierre’a Utarutu, wygłosił aktor, ponieważ Pasiekę Olimpijczyków dawno już połknęli Humanisci, a ich Prezydent ma w Dzień Zerwania Więzów ważniejsze zadania niż zapewnianie znudzonego audytorium, że w nowym wspaniałym świecie nadal będą istniały drużyny sportowe. Historycy uparcie zapewniają, że Utarutu wniósł wkład równie ważny, jak poprzedni mówcy. Wierzę im, ponieważ już wtedy prawie miliard subskrybentów zaufało Olimpijskiej Unii Transportu, wierząc, że zarezerwuje im miejsca, gdy będą przeskakiwali z kontynentu na kontynent podczas Igrzysk Zimowych, Mistrzostw Świata w piłce nożnej albo po prostu do pracy.

Ostatnie z przemówień, wygłoszone przez króla Hiszpanii, przeczytał, rzecz jasna, król Hiszpanii.

– Przyjaciele, to wszystko nie jest aż tak niespodziewane, jakby się zdawało. Troje moich przedmówców to nie lekkomyślni radykałowie albo rekiny biznesu upojone własną potęgą. Krok, który zamierzają postawić, jest nieunikniony. Unia Europejska już od dawna zdaje sobie sprawę, że to absurd zmuszać kogoś, kto ma ojca w jednym kraju, matkę w drugim, urodził się w trzecim, a pracuje w czwartym, do deklarowania lojalności wobec arbitralnie określonego geograficznego państwa. Już ponad sześćdziesiąt lat temu wprowadziliśmy pojęcie ruchomego obywatelstwa, by dzieci rodziców o mieszanym pochodzeniu nie były zmuszone do wyboru jednej z kilku równorzędnych ojczyzn. Nie oznaczało to końca naszych członkowskich krajów. Prawie wszyscy nadal wolą mieć ojczyznę, którą mogą kochać i do której mogą wracać. Prawna możliwość życia

bez geograficznej ojczyzny nie niszczy więzów kultury, języka i historii czyniących dany kraj naszym domem. To, co zaproponował dziś przewodniczący Carlyle, nie jest bardziej radykalne niż rozszerzenie ruchomego obywatelstwa na cały świat. Stoję dziś przed wami zarówno jako przedstawiciel Unii Europejskiej, jak i król Hiszpanii. Jako ten pierwszy mam prawo ogłosić, że od dzisiaj jesteśmy gotowi przyznać ruchome obywatelstwo każdemu, kto chce opuścić Amerykę albo inne geograficzne państwo, czy to uczestniczące w wojnie, czy nie. Nasze ruchome obywatelstwo będzie pełnym ekwiwalentem tego, co ofiarują przewodniczący Carlyle, Kovács i Utarutu ze swymi niegeograficznymi narodami. Nowi ruchomi obywatele Unii Europejskiej będą też mieli prawo wystąpić o przyznanie obywatelstwa w jednym z państw członkowskich, jeśli znajdą takie, których prawa i ideały uznają za odpowiednie. Będą też mogli pozostać obywatelami samej tylko UE, podobnie jak ci, którzy urodzili się z ruchomym obywatelstwem. Ci z was, którzy boją się swych obecnych ojczyzn, mogą nas uznać za czwartą opcję. Jesteśmy gotowi was przyjąć, podobnie jak Komitet Olimpijski, Kuzyni i Gordianie. Natomiast jako król Hiszpanii, bez żadnej dyrektywy ze strony Unii Europejskiej, pragnę wyrazić osobiste poparcie dla przewodniczącego Carlyle'a i jego idei, że obywatelstwo powinno być dobrowolne, a nie obowiązkowe. Z tego powodu niniejszym wzywam wszystkich obywateli Hiszpanii, a także wszystkich ludzi uważających hiszpańskość za ważną część swojej tożsamości, by zrezygnowali z hiszpańskiego obywatelstwa i zostali ruchomymi obywatelami UE, a po dwudziestu czterech godzinach wystąpili o ponowne przyznanie im hiszpańskiego obywatelstwa, tym razem dobrowolnego. To, co wybieramy sami, ma większe znaczenie od tego, co daje nam przypadek. Każdego obywatela, który wyrzeknie się mojego kraju, a potem powróci w jego objęcia, uznam za bardziej lojalnego, bardziej szczerego i autentyczniejszego Hiszpana niż przedtem. Poczuję się dumny jako król narodu tak odważnego, że zgodził się porzucić własny kraj, by udzielić poparcia tym, którym zagraża wojna, lecz jednocześnie wystarczająco lojalnego, żeby wrócić.

Przemówienie zabrzmiało idealnie. Obecny król, Isabel Carlos II, widział wystąpienie poprzednika tak wiele razy, że zna na pamięć nie tylko słowa, lecz również gesty i pauzy. Później w bieżącym roku Hiszpania oszaleje podczas obchodów sześćdziesiątej rocznicy urodzin

króla oraz dwudziestej rocznicy jego wstąpienia na tron, wolałem jednak, byś spotkał go po raz pierwszy tutaj, podczas tej prostszej ceremonii. Jest spokojny, nie wywołuje takiego wrażenia jak aktorzy, ale wykonuje swe obowiązki starannie i bezbłędnie. Zwyczajny człowiek starający się przestrzegać wygórowanych standardów obowiązujących królów. Jego włosy nie są do końca czarne, a łagodna twarz ma lekko azjatycki wygląd, z uwagi na chińską babcie. Piękny szary garnitur, który ma dziś na sobie, jest wierną repliką noszonego przez jego przodka w czasach początków tysiąclecia, gdy jedynymi oznakami bogactwa były droga tkanina i elegancki krój. Król może uczestniczyć w dzisiejszej ceremonii tylko z powodu niedawnego skandalu. W przeciwnym razie uczestniczyłby w Wielkiej Paradzie Europejskiej, na której honorowe miejsce z niechęcią przyznano mniej popularnemu Casimirowi Perry'emu. Ci, którzy widzieli twarz Jego Królewskiej Mości, wiedzą jednak, że czuje się szczęśliwszy tutaj, mogąc wyrecytować przemówienie przodka, zamiast powtarzać napisane przez zawodowego speechwritera frazesy stu tysiącom wyborców.

– Lody!

To żądanie wyrwało się z ust otaczających mnie usługowców, nim jeszcze wybrzmiały oklaski. Och, dyskutowali też o przemówieniach, zwłaszcza ci, którzy widzieli je po raz pierwszy i byli wzruszeni wydarzeniem, które zaszczyliło swą obecnością troje przywódców Ziemi. Jednakże osobiste refleksje o fundamentach naszego świata to prywatna sprawa i nie będę zakłócał Twoich opiniami nędznego usługowca.

– Lody! Lody! Lody!

Ich skandowanie nie miało jednak szans przywołać cenzora, który czekał, aż przewodniczący Kuzynów Bryar Kosala podejdzie do niego, chwając się na absurdalnie wysokich obcasach, i pocałuje go w policzek.

– Mówiliście, że nie dacie rady się wyrwać!

– Byłem w błędzie. – Vivien obdarzył ją wprawnym uściskiem, aczkolwiek ich barki stuknęły lekko o siebie, ponieważ obcasy uczyniły przewodniczącego Kosalę osiem centymetrów wyższym, niż byli do tego przyzwyczajeni. – To była świetna mowa. Znowu.

– Naprawdę świetna!

Jung Su-Hyeon Ancelet-Kosala również zażądał należnego mu

uścisku.

Vivien odsunął się, by móc podziwiać małżonkę i badziecko jednocześnie. Zróznicowany płciowo strój z epoki wspaniale podkreślał figurę Bryar. Obcisła garsonka uwydatniała piersi i biodra, na ogół widoczne tylko niewyraźnie pod kuzynowską szatą. Ciemnoniebieska tkanina kontrastowała z ciemnobursztynową indyjską skórą Kosali, a dodatkowy wzrost potęgował władczą urodę. Wydatny podbródek, spory nos i wysokie czoło nadawały jej twarzy rozkazujący, nieziemski wyraz. Mogłoby się niemal wydawać, że to stylizowana maska albo posąg spoglądający na nas z jakiegoś niedostępnego obcego królestwa.

– Nie znoszę przemawiać w tej sali. Nigdy nie wiem, czy ktoś próbuje mi przerywać, czy to tylko echo.

– Nikt nic nie mówił – zapewnił Vivien. – Myślę, że większość widowni naprawdę słuchała. Nie ja, oczywiście.

Bryar odepchnęła żartobliwie małżonka, po czym zobaczyła zbliżających się usługowców.

– Hej, cześć, [Nazwisko], [Nazwisko], [Nazwisko]... – Nie mogę tu podać nazwisk moich współtowarzyszy. Przewodniczący Kosala ocenzurowała je osobiście jako dyrektor Programu Usługowców. – Nie będę pytać, czy mowa się wam spodobała, bo na pewno odpowiecie, że tak, ale powiedzcie, czy moja dykcja poradziła sobie ze zdaniem „wykroczenia podatników przekraczających progi podatkowe”? Zawsze się na tym potykam.

Moi towarzysze gapili się na często oglądane w wiadomościach twarze, które nagle stały się dla nich realne.

– Nie przypominam sobie, by tak było, przewodniczący Kosala – odpowiedział zgodnie z prawdą. – Gdyby to przyciągało uwagę, na pewno bym pamiętał.

Dla Mycrofta Cannera Bryar nie miała uśmiechu.

– O co chodzi? Wszyscy gapicie się na Viviena, jakby coś miało się wydarzyć.

– Cenzor obiecało nam lody – odpowiedział najmniej nieśmiały z nich.

– Słucham? Tylko lody? Bez polewy karmelowej, bitej śmietany albo truskawek? Nie możemy do tego dopuścić.

Vivien wzniosł oczy ku niebu.

Kosala przeczesiała jego dredy długimi palcami. Nie dlatego, że były

szczególnie splątane. Po prostu nadal lubiła ich dotyk.

– Kochanie, możecie oszczędzać na romanowańskim budżecie, ale nie na naszym. Chodźcie wszyscy. Vivien postawi nam superdesery lodowe!

Radosne okrzyki usługowców zagłuszyły żartobliwe jęknięcie cenzora.

– Terry, Kitabo, wy też chodźcie! – zawołała do aktorów. – Wasza Królewska Mość, czy zechcecie do nas dołączyć?

Stojący obok mównicy król Hiszpanii uśmiechnął się do nas.

– Dziękuję, przewodniczący Kosala, ale nie. Mam inne zobowiązania. Mycrofcie – dodał, ze względu na prywatność zwracając się do mnie po hiszpańsku. – ¿Czy La Tremoille wezwało was na dzisiejsze przyjęcie?

– Tak, Wasza Królewska Mość – odpowiedziałem w tym samym języku.

– ¿I jakie wytłumaczenie przedstawiło?

– Bardzo mało przekonujące, Wasza Królewska Mość. Nie warto go powtarzać.

Król zmarszczył brwi.

– Rozmawiałem z J.E.D.D. Masonem o tym wtargnięciu do baszu Saneer-Weeksbooth. – Rzecz jasna, nie wymawiał tego „Jed Mason”, ale ponieważ tłumaczę z hiszpańskiego, zastępuję imię, którego byś nie poznał, tym, które jest Ci znane. – Uważa, że to coś więcej niż głupi żart.

– W takim razie ja również w to wierzę – odpowiedziałem. – Dziękuję, że go o to zapytaliście. Ktoś musiał to zrobić.

– To prawda. Zatem do zobaczenia, Mycrofcie.

– Do zobaczenia, Wasza Królewska Mość – odrzekłem z niedbałym ukłonem.

Przewodniczący Kosala i cenzor przyglądali się, jak król Hiszpanii zaszczyca mnie rozmową, ale nie odezwali się ani słowem. Jeśli zaś chodzi o moich towarzyszy usługowców, większość obecnych знаła mnie wystarczająco dobrze, żeby się nie dziwić, a reszta mogła mnie uznać za Hiszpana.

Pojawił się asystent, który przyniósł przewodniczącemu Kosali zwyczajne buty i zabrał te, które stanowiły element kostiumu.

– Do lodziarni! – zawołała Bryar i ruszyła naprzód przejściem między krzesłami jak Atena prowadząca swe armie.

Ochroniarze strzegli jej boków niczym cały tłum Nike. Zwykle towarzyszyło jej co najmniej czterech, ale w ten tłoczny dzień zauważyłem dziesięciu. Ucieszyłem się, że jest ich tylu, bo w końcu wokół ich podopiecznej tłoczyli się skazańcy.

Nie podążyłem za radosną grupą książąt i żebraków, zjednoczoną na moment przez magię cukru i bitej śmietany. Tylko Su-Hyeon zauważył, że zostałem z tyłu.

– Mycroftcie, nie idziecie z nami?

– Dogonię was później. Uczciliśmy dzisiaj tylko czwórkę naszych bohaterów. Zanim odejdę, powinienem oddać honory pozostałym.

Usłyszawszy to wytłumaczenie, Su-Hyeon dołączył do mnie. Odwiedziliśmy kolejno wszystkie groby pod kopułą, po raz kolejny czytając epitafia, podziwiając popiersia i kontemplując liczne kamienie węgielne położone pod budowę naszego świata. Sprawilo mi to satysfakcję, ale tylko w pewnym stopniu. Jung Su-Hyeon Ancelet-Kosala to dobra osoba, godny następcą cenzora i któregoś dnia zasłuży na miejsce na autentycznej liście Siedmiu i Dziesięciu. Ale Su-Hyeon, podobnie jak Ty, Czytelniku, nie zrozumiałby mnie, gdybym powiedział, że grobu, który najgoręcej pragnąłem odwiedzić, nie ma w Panteonie.

Rozdział dziewiąty

Wspomnienie wszystkich zmarłych

– Thisbe, kocham was!

– Idźcie stąd albo wezwę policję.

– Mamy coś niezwykłego, Thisbe! Coś wiecznego! Wiem, że wy również to czuliście tej nocy na urwiskach. Jak możecie to odrzucać?

– My nic nie mamy. Wy macie obsesję. Idźcie sobie. Jeśli jeszcze kiedyś was tu zobaczę, każę swoim baszrodzonym zmiażdżyć wam oba kolana.

– Dręczycie mnie, Thisbe!

– Sami to na siebie ściągnęliście.

– Nie mogę żyć bez was!

– W takim razie umrzyjcie!

Czarownica wpadła do środka przez frontowe drzwi baszobudynku. Jej krok był zamaszysty. Uśmiechała się, jakby usta wypełniała jej czekoladka. Czy zapomniałem wspomnieć, że Thisbe jest czarownicą? Wiem, że mi nie uwierzysz, Czytelniku, ale to prawda. Jest autentyczną czarownicą, zna tajemne zaklęcia, mogące nadać duszy wypaczony kształt, jaki sama wybierze. Czy nie zauważyłeś, że podczas pierwszego spotkania natychmiast zapragnęła ukraść pamięć Carlyle’a za pomocą swych magicznych pigulek? To typowe dla czarownic. To samo można powiedzieć o dumie z bólu porzuconych kochanków. Wydaje Ci się dziwne, że powierzyłem czarownicy opiekę nad Bridgerem? Nie przyprowadziłbym do niej zwyczajnego dziecka, ale dla niego jest idealną opiekunką. Thisbe uważa każdą tajemnicę – od haseł używanych przez jej brata aż po moje nazwisko – za kolejny rozdział w swej księdze zaklęć, a Bridger jest najpotężniejszym zaklęciem ze wszystkich.

– Cześć, Lesley! – Thisbe rozpromieniła się, zauważywszy, że na wygodnej sofie w salonie siedzi jej drogie... Właściwie trudno określić, czy Lesley powinno się zwać jej baszrodzonym, czy raczej współbaszowcem, bo w końcu jest adoptowana i nie urodziła się

w tym samym baszu. Ale z drugiej strony nie wybrano jej w dorosłym wieku, więc współbaszowcem też właściwie nie jest. Tak czy inaczej, Thisbe uśmiecha się do niej jak do członka rodziny. – Och, Carlyle, wy też tu jesteście. To świetnie. – Skinęła głową do senseisty siedzącego wśród poduszek na sofie ustawionej naprzeciwko. – Przepraszam, że kazałam wam czekać. Jestem pewna, że chcecie jak najszybciej załatwić się z sesją. W końcu mamy święto.

Lesley przesunęła się do przodu na sofie, niszcząc bazgroły pozostawione na pluszu przez jej palec wskazujący.

– Holly znowu was nachodzi?

– Nie, to nowa osoba. Poradzę sobie. – Zręczne palce Thisbe szybko wyciągnęły szpilki z jej włosów, pozwalając, by ich czarna rzeka spłynęła swobodnie, uwolniona z profesjonalnie wykonanego więzienia. – Przysłali wszystko na grilla?

– Tak, choć nie mam pojęcia, jak dziewięć osób ma zjeść tyle przez jeden dzień. Co produkują bliźniaki w generatorze mięsa? Całego bizona? – Lesley wstała i wyciągnęła rękę do Carlyle’a, by pomóc mu podnieść się z kanapy, której miękka jak puch pianka groziła uwięzieniem go w pułapce wygody. – Dziękuję za sesję. Następna w drugi czwartek po najbliższym.

– O trzeciej po południu – potwierdził.

Thisbe wzięła sobie najmniej zgniecioną figę z nadal przepełnionej miski ustawionej na bocznym stoliku.

– Chwileczkę, przed chwilą zakończyliście sesję?

– Tak – potwierdził Carlyle – ale mogę zaraz odbyć następną.

– Nie zmęczyliście się?

Senseista potrząsnął głową.

– To zdarza mi się bardzo często.

Thisbe zachichotała.

– Jest z was prawdziwy woker, co?

Carlyle uśmiechnął się.

– Zaczniemy?

Poprowadziła go na dół, do swej ciemniej sypialni. Nie pozostały w niej żadne ślady po wizycie Dominica. Thisbe nie zatrzymała się tam jednak, lecz ruszyła dalej, do kwietnego rowu.

– Prowadzicie mnie do niego? – Senseista poczuł potrzebę, by zadać to pytanie szeptem. – Do Bridgera?

– Tak.

Carlyle szedł za nią na palcach, ciesząc się pieśnią owadów oraz kołysaniem się trawy lśniącej w promieniach zachodzącego słońca. Specjaliście ten zachwyty nad Księżą Natury mógłby coś powiedzieć o przekonaniach samego Carlyle'a. Jednakże przysięga senseisty nie pozwala mu o nich mówić, a ja na razie nie rozbiore go do naga. Podsluchujac przez lokalizator Thisbe, uslyszalem ostrzegawczy gwizd wartownika. Zolnierze zauwazyli zblizajaca sie pare, ale watpie, by dziecko czasow pokoju, takie jak Carlyle, potrafilo odrznic podobny sygnal od spiewu ptakow.

– Witajcie, Carlyle i Thisbe. Dziękujemy, że odwiedziliście nas w dzień święta.

To był głos Majora, wyćwiczony i potężny, jak stare pianino, które brzmi lepiej od nowego, ponieważ jest nasze.

Thisbe zauważyła żołnierzy, którzy zebrali się na odwróconym do góry dnem plastikowym koszu. Kawałki drewna ustawione w mały czworobok służyły im jako ławki.

– Nie ma sprawy, Majorze. Przyniosłam wam dziś coś specjalnego.

– Tak jest.

– Trzy razy „hura” dla Thisbe!

– Połóżcie to tutaj.

Wyjęła z kieszeni małe pudełeczko i je otworzyła. Oczom zebranych ukazał się miniaturowy bankiet z wielobarwnej gliny: sery, salami, bagietki, jabłka i gruszki wielkości ziarenek grochu, maleńki pieczony ptak z brązowymi i zielonymi plamkami nadzienia namalowanymi na bokach. Mleko, butelki wina z maleńkimi, szczegółowymi etykietami, talerze z ciastkami i croissantami, a nawet trzywarstwowy tort weselny wysoki na dwa centymetry.

– Tyle żarcia!

– Jesteś boginią obfitości, Thisbe!

Rozpromieniła się, słysząc ich podziękowania, i ustawiła maleńki posiłek na koszu. Większość dań nie zgadzała się skalą z żołnierzami. Jabłka wyglądały w ich ramionach jak piłki do siatkówki, a butelki wina sięgały mężczyznom powyżej kolan, przez co mieli problem z ustawieniem ich pionowo.

Porucznik Celujący uśmiechnął się do Carlyle'a.

– Zwykle jemy zwyczajne pokarmy. Odkrawanie kawałków olbrzymiej truskawki albo zjadanie domu z pierników od środka rzeczywiście jest tak zabawne, jak pewnie wam się zdaje, ale czasami

chcemy podzielić się chlebem jak zwyczajni ludzie.

Senseista pochylił się nad koszem. Oczy błyszczały mu z zachwytu.

– Potrafię to zrozumieć. Gdzie Bridger?

– Patrzy na pisklęta w gnieździe.

Major wskazał na pobliskie zarośla. Chłopak przykucnął w nich na wpół przesłonięty przez chaszczę.

Jak alpinista, który, wspinając się na jakiś spowity w chmurach szczyt, robi się tak zmęczony, że zapomina o otaczającym go świecie i czuje tylko ból i ciężar, ból i ciężar, i nie jest świadomy niczego poza własnymi mięśniami, mgłą oraz skałą, aż nagle silny podmuch rozprasza chmury, odsłaniając bezkresny błękitny firmament i potężne szczyty turni sterczące z mgły. Wtedy alpinista wciąga gwałtownie powietrze, widząc panujące nad nieboskłonem straszliwe, życiodajne słońce. Tak właśnie westchnął senseista na widok Bridgera. I nic w tym dziwnego. Wszyscy powinniśmy tak westchnąć.

– Czy... – wyszeptał, odzyskawszy zdolność oddychania – podjęło już decyzję? Czy przywrócić do życia tego, który umarł?

– Chce najpierw porozmawiać z wami.

Jasne brwi Carlyle'a ściągnęły się, wyrażając zdumienie odwagą i cierpliwością chłopca.

– Najpierw mam jedno pytanie dla was.

– Tylko jedno? – zażartował Major.

– Jedno przede wszystkim. Możecie mi powiedzieć, czy to dla Bridgera pierwsze spotkanie ze śmiercią? Pierwszy raz, gdy któraś z jego ożywionych zabawek umarła? Pomijając osobę ze zdjęcia. O niej słyszałam.

Westchnienie weterana zawsze jest ciężkie.

– Nie pierwsze, ale przedtem był za mały, żeby to zrozumieć. W pudełku z żołnierzami byli ludzie walczący po obu stronach. Kiedy nas ożywił, nie wiedzieliśmy, co się dzieje. Padło kilka ofiar, nim zdołaliśmy zauważyć gigantycznego trzylatka na niebie nad nami i ogłosić zawieszenie broni. Bridger wiedział wtedy za mało o świecie, żeby rozumieć, co to zmartwychwstanie, a nam nie udało się zachować zwłok.

– Walczyliście ze sobą?

– Zieloni z Żółtymi. – Major wskazał głową na Stojącego Ż, nadal odzianego w pustynny beż wrogiej armii. – Historia widziała już bardziej bezsensowne wojny.

Carlyle zmarszczył czoło w wyrazie współczucia.

– Wszyscy pamiętamy naszą wojnę – ciągnął Major. – Gniew towarzyszący walce, miasta, rodziny, które nigdy nie istniały. Moi ludzie również pragną z wami porozmawiać, ale czekali już długo i mogą poczekać jeszcze chwilę. Najważniejszy jest chłopiec. – Odwrócił się w stronę zarośli. – Bridger! Chodźcie tu. Już czas.

Chłopiec wstał i podszedł bliżej. Ubranie pokrywały mu kawałki roślin oraz nasiona. Czy nie opisałem go porządnie już przedtem? Ubranie miał prawie tak samo luźne, jak noszone przez Kuzynów – prosta, dziecięca szata z tkaniny, w szerokie, niebieskie pasy, wystarczająco na niego za duża, by mógł chować ręce w wystrzępionych rękawach, a do tego workowate spodnie. Kiedyś były koloru khaki, ale pobrudziła je trawa i powstał cętkowany chaos, z jakim nie mógłby się równać żaden fabryczny kamuflaż. Twarz miał doskonałą jak u anioła. Nie przemawia przeze mnie tylko miłość pseudorodzica. Nawet niedbały ubiór nie mógł zamaskować jego kształtnych kończyn, szczupłych i pełnych życia. Wyglądał jak Kupidyn, gdy przedstawia się go w ramionach Psyche, jako młodzieńca o delikatnej budowie, a nie jako pulchne niemowlę. Skórę miał jasną, ale nie przesadnie, jak mydło z otrębami, a włosy nie czysto blond, lecz raczej jasnobrązowe z blond dotykiem, jak na antycznym brązie, z którego pozłota nie starła się jeszcze do końca. Jeśli Bridger miał rodziców, musieli być europejskiego pochodzenia, ale wyglądał raczej jak wytwór wyobraźni malarza niż jak syn jakiegokolwiek matki.

– Ma lokalizator – zauważył Carlyle, gdy chłopiec się zbliżył. Senseista wskazał na urządzenie w jego uchu.

– Tak – potwierdziła Thisbe. – Musi wyglądać jak zwyczajny dzieciak, na wypadek gdyby go zauważono. Ale urządzenie nie jest podłączone do sieci. Sami je zrobiliśmy. – Uśmiechnęła się łagodnie do dziecka, które, podchodząc, szurało nogami, jakby jedna chciała schować się za drugą. – Chodźcie do nas, kochanie – zachęcała go czarownica. – Przyniosłam coś dla was.

Mycrofcie, wiem, że ten epitet „czarownica” ma wywołać mój niepokój, ale osiągnąłeś ten cel aż nazbyt skutecznie. Niektóre archaizmy są subtelne, ale inne po prostu wulgarne. Proszę, daj sobie spokój z tą zniewagą wobec Thisbe i tych dobrych ludzi, którzy w przeszłości naprawdę tak o sobie mówili.

Wedle rozkazu, dobry Czytelniku. Wedle rozkazu.

Bridger wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Czy to precel?

– Nie ma to jak zepsuć niespodziankę.

Thisbe wyjęła rzeczoną „niespodziankę” z opakowania, w którym przybyła ona z Rezerwatu Mennonitów w Pensylwanii.

– Z cukrem cynamonowym?

– Może i tak. Lepiej spróbujcie.

Podbiegł bliżej i złapał smakołyk, po czym schował się za Thisbe, spoglądając nieufnie na senseistę, jak kot na nowy podnózek w salonie.

Carlyle pochylił się, by spojrzeć chłopcu w oczy.

– Cześć, Bridger. Dziękuję, że zgodziliście się znowu ze mną spotkać.

Bridger złamał precel i zmarszczył nos cherubinka, czując gorącą woń.

– Mieliśmy porozmawiać o tym, czy powinnom przywrócić życie Wskazującemu.

Carlyle przykucnął.

– Tak.

– Thisbe mówi, że z senseistą powinno się rozmawiać w cztery oczy, ale ja chcę, żeby Major nas słuchało, dla bezpieczeństwa.

– W porządku, jeśli tego właśnie pragniecie.

– I Thisbe też. A Mycroft będzie nas słuchało przez lokalizator.

– Jak sobie życzycie. Wiele osób czuje się niepewnie za pierwszym razem.

– I porucznik Celujący też. I Pełzacz, Nieuzbrojony, Medyk, Bezpodstawkowy, Stojący Ż. i Stojący Z. Ale nie Wypatrywacz. Wypatrywacz stoi na straży. I nie Przykucnięty. On został z Mamą Lalką.

Carlyle zachichotał.

– Niezłe audytorium.

– Czy to sprzeczne z zasadami?

– Nie, jeśli dzięki temu poczujecie się bezpiecznie. Ale tylko wy i ja będziemy rozmawiać. Reszta może jedynie słuchać, żeby was uspokoić. Może być?

Ty również do nas dołączysz, Czytelniku. Być może poczujesz się jak podglądacz, przysłuchując się tej najintymniejszej z rozmów, którą tylko najbardziej skandalizujące filmy ważą się przedstawiać. Wiem,

że się boisz, że jeśli się zgodzisz i znajdziesz kogoś, kto podziela twoje przekonania, postawisz pierwszy krok na drodze do założenia Kościoła i do nietolerancji oraz przemocy, jaka nieuchronnie się z tym wiąże. Niemniej musisz nam towarzyszyć. To będzie bardzo delikatna sesja. Carlyle poprowadzi dziecko wieloma ścieżkami sceptycyzmu, nie do odpowiedzi, ale do pytań. Z czasem pokażę ci gorsze rzeczy, albowiem nie zrozumiesz tej opowieści, jeśli nie odważysz się czytać o Bogu kogoś innego.

– Przykucnięty mówi, że będziecie gadać od rzeczy i oznajmicie, że wszyscy jesteście potępieni, a potem Kuzyni zabiorą mnie i zamkną Mycrofta, Thisbe postawią przed sądem, zrobią sekcję Boo, a żołnierzy zamkną na zawsze w złym laboratorium. A później poddadzą mnie torturom i każą mi stworzyć coś okropnego, co zniszczy cały świat.

Nie potrafię określić, czy swobodne uśmiechy Carlyle'a to sztuczka, której nauczył się w Konklawe, czy z natury jest aż tak dobroduszny.

– Nic takiego się nie wydarzy.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Mycroft i Thisbe podejmują wszelkie możliwe środki ostrożności, a ja w żadnym wypadku nie powiem o tobie żadnym złym ludziom. Daję słowo.

Chłopiec zmarszczył jasne brwi, zastanawiając się nad obietnicą nieznanego.

– Bridgerze, czy mogę was prosić o szybki cud?

To był Nieuzbrojony. Jego głos załamywał się, jak u niedorostka, któremu nie powinno się jeszcze pozwolić nosić munduru.

– Jasne!

Dziecko wyciągnęło rękę i dotknęło najbliższego z plastikowych posiłków. Bez żadnych dźwięków czy innych efektów żywność nabrała połysku realności – jak wtedy, gdy oczy umierającego tracą blask, ale w drugą stronę. Zaczęła się ucztą, której towarzyszyły radosne pomruki.

Bridger usiadł na trawie, zwracając się twarzą ku senseiście. Ręce schował w obszernych rękawach.

– Zastanawiałem się nad tym, jak mam wskrzesić Wskazującego, jeśli postanowię to zrobić – zaczął. – Mogłoby zrobić maszynę Frankensteina i przesunąć dźwignię, by prąd przywrócił mu życie. Wtedy to by była nauka, a nie magia, więc nie złamałbym naukowych zasad. Ale wtedy mogłoby powrócić jako monstrualne

zombie. Albo mogłoby zrobić coś, co przywraca życie za pomocą magii, jak Święty Graal, róg jednorożca czy krew syrenki albo feniksa, ale takie rzeczy mogłyby mieć skutki uboczne, i to nie tylko dla Wskazującego.

Carlyle zastanawiał się przez chwilę. Uznałem to za dobry znak. Starał się cierpliwie przetrwać słowa chłopca, nim udzieli mu odpowiedzi.

– Zatem ostatecznie postanowiliście przywrócić mu życie?

Dziecko zasepiło się wpatrzone w precel.

– Chcę to zrobić, ale mam wrażenie, że nie powinnom. Że to niedozwolone.

– To bardzo naturalne wrażenie – zapewnił senseista. – Nie wiecie, co to będzie oznaczało, jeśli go wskrzesicie. Nie wiecie, na czym polegają życie i śmierć, czy istnieją jakieś niewidzialne zasady, które możecie złamać. Nie ma osoby, której by to nie zaniepokoiło. Ja też się niepokoję.

Bridger ugryzł kawałek precla.

– Wy też?

– Aha. Muszę wykonać jak najlepszą robotę, żeby pomóc wam zdecydować. Wy również musicie się dobrze spisać, podejmując decyzję. Dlatego się niepokoiimy.

– To ma sens. – Bridger zrobił butem rowek w ziemi. – Czy śmierć ma jakieś zasady?

Thisbe odsunęła się na bok, wymieniając spojrzenia z Majorem. Wyglądali jak rodzice przyglądający się dziecku jego pierwszego dnia w przedszkolu.

– Niektórzy uważają, że ma, ale inni sądzą, że nie ma.

Mars na czole dziecka wyrażał dezaprobatę. I nie chodziło o precel, sądząc po tym, jak chciwie go pochłaniało.

– A jeśli takie zasady istnieją, to czy są jak karma?

Senseista pokiwał głową, usłyszawszy to słowo.

– Tak, karma to dobry przykład zasady, w którą wierzy część ludzi. I reinkarnacja. Wiecie, co to jest?

– To wtedy, gdy żyje się wiele razy.

Carlyle skinął głową, uważnie obserwując ruchy oczu chłopca oraz nerwowe drżenie jego stóp, charakterystyczne cechy wyznaczające granicę między dyskusją a niepokojem.

– Jest bardzo wiele wyobrażeń na temat tego, jak mogą funkcjonować

karma i reinkarnacja – ciągnął. – Jeśli one rzeczywiście istnieją, mogą mieć pewne reguły i, przywracając życie Wskazującemu, moglibyście je w jakiś sposób naruszyć. Naszym światem również mogą władać jakieś zasady, na które moglibyście w ten sposób wpłynąć. Możliwości jest bardzo wiele.

– Zasady naszego świata?

– Tak. Niektórzy uważają, że naszym światem również rządzą metafizyczne prawa, podobne do tych, które według wielu władają życiem przyszłym. Na przykład, czy wiecie, co to jest opatrność?

– To znaczy, że wszystko, co się wydarza, ma swój powód.

– Tak. A ściślej mówiąc, wszystko, co się wydarza, jest dobre. Istnieje bardzo wiele różnych systemów filozoficznych przewidujących istnienie jakiegoś rodzaju opatrności.

– Czyli, że opatrność to zasady dla tego świata, tak samo jak niebo i Hades to reguły dla przyszłego?

– To możliwe – potwierdził Carlyle łagodnym tonem. – Pamiętajcie, że to tylko przekonania niektórych osób. Sami musicie zdecydować, co wy sądzą na ten temat. I nie ma powodu się śpieszyć, możecie poświęcić wiele czasu na rozmowy i rozmyślanie. Jeśli opatrność istnieje i wszystko, co się dzieje, jest dobre, to mogłoby oznaczać, że Wskazujący zginął z dobrego powodu, a co za tym idzie, jego śmierć była dobra i źle byłoby go wskrzeszać. Ale jest też możliwe, że opatrność dała wam te wszystkie moce między innymi dlatego, że Wskazujący miał zginąć, i chce, byście przywrócili mu życie. W takim przypadku to byłoby dobre.

Chłopiec zmarszczył brwi.

– To jest odwrócone tyłem do przodu.

– Tak, dobrze to ujęliście. Jeśli wierzy się w opatrność, trudno jest odgadnąć, jak powinno się postąpić. Nawet wśród tych, którzy w nią wierzą, a to jest tylko część ludzi, istnieje wiele różnych opinii na temat tego, jak mogłaby funkcjonować. A opatrność to tylko jedna z wielu możliwych zasad, jakie niektórzy przypisują naszemu światu. Niewykluczone też, że nie ma żadnych praw i wszystkim rządzi chaos.

– Pochylił się ku chłopcu. – Przy tak wielu możliwościach ważne są cierpliwość i czas na przemyślenie sprawy.

Bridger: Myślałam, że może nie powinnam wskrzeszać Wskazującego, jeśli istnieje życie przyszłe, ale jeśli go nie ma, wtedy naprawdę powinnam to zrobić.

Carlyle: Być może. Ale to nie musi być prosta alternatywa. Na przykład niektórzy uważają, że życie pozagrobowe istnieje, ale lepiej jest żyć w naszym świecie.

Bridger: Złe życie pozagrobowe. Jak piekło.

Carlyle: Piekło to znany przykład, ale są też inne. Niektórzy wierzą w życie przyszłe, które nie jest pełne męczarni, ale i tak gorsze od naszego życia. A jeszcze inni w ogóle nie wierzą w życie przyszłe, ale i tak wierzą w karmę albo opatrność, w zasady kierujące naszym życiem i w to, że nie powinno się ingerować w ich działanie.

Chłopiec ściągnął brwi.

– To znaczy, że powinnom wskrzesić Wskazującego, jeśli przyszłe życie jest złe albo nie ma zasad, ale nie powinnom tego robić, jeśli przyszłe życie jest dobre albo zasady istnieją. Ale skąd mam wiedzieć, czy one istnieją?

– Niewykluczone, że można się o tym upewnić, ale tak czy inaczej, na ogół potrzebujemy wiele czasu, by zdecydować, czy wierzymy w zasady, czy nie. Ale... – dodał, zauważając, że chłopiec wierci się coraz bardziej, co świadczyło o niepokoju – ...są też tacy, którzy nie wierzą w zasady ani w życie przyszłe, ale i tak uważają, że śmierć nie jest zła.

Zniknął ostatni kawałek precla. Bridger wpuścił na kolana uczuciową masę niebieskiego futra, jaką był Boo.

– Jak śmierć może nie być zła, jeśli nie ma życia przyszłego? To by znaczyło, że jeśli ktoś umarł, to go nie ma. To niedobrze.

Carlyle przeciągnął się, chcąc uspokoić chłopca mową ciała, nawet jeśli nie mógł tego zrobić słowami.

– Słyszeliście kiedyś o epikurejczykach? To interesujący przykład.

Bridger pociągnął nosem.

– Przykucnięty nazywa Pełzacza „epikurejczykiem”, bo Pełzacz bardzo lubi jeść.

Carlyle: To jedno ze znaczeń, jakie nadaje się temu słowu. Ale to także szkoła filozoficzna wywodząca się ze starożytnej Grecji.

Bridger: Czy to nie epikurejczycy wymyślili basze?

Carlyle: W pewnym sensie tak. – Uśmiechnął się, podkreślając swą pochwałę. – Basze wymyślili neoepikurejczycy. Oni żyli wiele stuleci po oryginalnych epikurejczykach. Mieli takie same opinie na wiele tematów, ale mieszała je też z innymi ideami. Kiedy ta sama filozofia powraca pod nową postacią w późniejszym okresie dziejów, dodajemy

do jej nazwy przyrostek „neo”, kiedy mówimy o nowej wersji, żeby pamiętać, że ona się różni od oryginału.

Bridger: Tak jak neoplatonizm nastąpił po platonizmie?

Carlyle: A niech to! Naprawdę wicie bardzo dużo.

To wywołało lekki uśmieszek na twarzy chłopca.

– Mycroft lubi rozmawiać o filozofii.

Carlyle: To wasz dobry przyjaciel, prawda?

Bridger: Lubię Mycrofta.

Carlyle: Wiem, że ono też was lubi. Czy to Mycroft opowiedziało wam o epikurejczykach?

Bridger: Mówiło, że epikurejczycy uważają, że liczy się to, żeby być szczęśliwym.

Carlyle: To prawda. Ta filozofia wywodzi się sprzed dwudziestu ośmiu stuleci. Epikur uważał, że życie przyszłe nie istnieje i w związku z tym najważniejsze jest osiągnięcie szczęścia w życiu doczesnym. Ale epikurejczycy nie lubili szybkich przyjemności, takich jak jedzenie, alkohol i romanse, bo jeśli człowiek się upije, czuje się potem fatalnie, a gdy romans się kończy, z reguły jest tak samo. Dlatego skupiali się na takim szczęściu, które może trwać długo, jak przyjaźń, piękny ogród albo myślenie o filozofii.

Bridger: Ale nie precle?

Carlyle: Precle są dobre, ale nie uczynią całego życia szczęśliwym. Tylko kilka minut potrzebnych, żeby je zjeść. To dobro doraźne, a nie trwałe. A jeśli ktoś zje za dużo precli, rozchoruje się i będzie mniej szczęśliwy.

Bridger: Chcę to sprawdzić naukowo! – Uśmiechnął się. – Czy możemy to sprawdzić na najbliższym spotkaniu klubu? Ile precli trzeba zjeść, żeby się pochorować? – Spojrzał na Thisbe, prosząc o pozwolenie. – Czy doktor Weeksbooth mogłoby nam pomóc?

Zachichotała złowieszczo.

– Nie sędzę. Doktor Weeksbooth nie chciałoby przeprowadzić doświadczenia, które zaszkodziłoby wszystkim. Ale może opowie wam o przewodzie pokarmowym, żebyście mogli sami obliczyć, ile precli się w nim zmieści.

– I wtedy mogłoby zjeść o jeden mniej!

Carlyle uśmiechnął się, widząc, że ta żartobliwa dygresja zmniejszyła niepokój chłopca.

– Ten klub naukowy brzmi ciekawie.

– Bo jest ciekawy! W zeszłym tygodniu nauczyliśmy się o syfonach kanalizacyjnych. Zrobiliśmy taki, który nie potrzebuje rury!

– To imponujące. – Spojrzał chłopcu prosto w oczy. – Chyba uczycie się bardzo dużo od doktora Weeksbootha?

– Jasne!

– A czy chcecie się nauczyć czegoś ode mnie? Na przykład: czym neoepikureizm różni się od epikureizmu?

Dyskusja o śmierci nie była już aż tak przerażająca, gdy przedstawiono ją jako szkolną lekcję.

– Pewnie, że tak.

– Neoepikureizm to filozofia ekonomiczna, która zrodziła się zaledwie trzysta lat temu. To znaczy, że jest młodsza od epikureizmu o...

Chłopiec nucił bezdźwięcznie pod nosem, próbując podać prawidłową odpowiedź.

– Nie pamiętam, ile lat miał ten stary.

– Dwa tysiące osiemset.

– To znaczy, że ten nowy jest dwa i pół tysiąca lat młodszy.

– Zgadza się!

– To było łatwe.

Chłopiec spojrział na Thisbe, która skinęła głową z aprobatą.

– Neoepikureizm mówi, że bez względu na to, czy życie pozagrobowe istnieje, czy nie, ludzie są zdrowsi, bardziej produktywni i żyją dłużej, jeśli są szczęśliwi, zatem rząd, a w naszym przypadku Pasięka, powinien skłaniać ich do życia w sposób przynoszący im szczęście. Basze, pozwalające nam mieszkać z grupą przyjaciół, z którymi bawimy się na co dzień, są jedną z instytucji, jakie wypromowali w tym właśnie celu. Pierwszym epikurejczykom pomysł baszu zapewne by się spodobał i ich idee pomogły go spopularyzować, ale to nie oni go stworzyli. Jego autorem było Regan Makoto Cullen, opierające się na brillizmie, innej stosunkowo nowej filozofii.

Uśmiechnąłem się, obserwując to wszystko przez lokalizator Thisbe. Niektórzy traktują dzieci z góry, jakby uważali, że w małym ciele mieści się niewielka inteligencja. Inni mówią jakby obok nich, zasypując je nieznanymi im słowami, aż wreszcie zaakceptują coś, czego nie potrafią zrozumieć. Przypadek albo opatrność, co wolisz, Czytelniku, zesłał Bridgerowi senseistę, który traktował dziecko jak równe sobie inteligencją, a po prostu pobłogosławione świeżością.

Gotowe na trudne problemy, pod warunkiem, że przedstawi mu się je uczciwie.

– I epikurejczycy uważali, że dobrze jest umrzeć?

Dziecko objęło psa.

Mężczyzna: Nie, ale starożytni epikurejczycy sądzili, że śmierć nie jest zła.

Dziecko: Dlaczego?

Mężczyzna: Dlatego że byli przekonani, że śmierć to nicość, a nie ma powodu bać się nicości. Ona nikomu nie robi krzywdy. Po prostu jest nicością.

Dziecko: Ale przestaje się istnieć!

Mężczyzna: To prawda. Uważacie, że to źle?

Dziecko: Pewnie, że źle. Jeśli ktoś nie istnieje, nie może już być szczęśliwy. Nie może jeść, imprezować, mieć psa, bawić się, dostać precla! To mi się nie podoba. Nie chciałbym, żeby to spotkało Wskazującego.

Mężczyzna: Ale jeśli ktoś nie żyje, nie może też być smutny. Nie grożą mu ból, cierpienie ani samotność.

Dziecko: To nie wyrównuje straty. Lubię być sobą, lubię ogrody i przyjaciół. Myślę, że wszyscy lubią siebie i przyjaciół. Jak mogą uważać, że nie byłoby źle stracić to wszystko? Moim zdaniem epikurejczycy są głupi.

Mężczyzna: Nie sądzę, żeby byli głupi, ale uważam, że wasz sprzeciw jest bardzo rozsądny. Na pytanie, dlaczego uważali, że śmierć bez życia pozagrobowego może być dobra, istnieje wiele możliwych odpowiedzi. Jedna z nich wskazuje, że w ich czasach życie wyglądało zupełnie inaczej.

Dziecko: Nie rozumiem.

Mężczyzna: Epikurejczycy uważali, że przyjemność to nieobecność bólu. To znaczy, że człowiekowi jest przyjemnie, kiedy nic go nie boli, nie jest głodny, smutny, samotny ani nie dzieje się z nim nic złego. Taką definicję nazywamy negatywną. Definiujemy coś przez to, czym nie jest, a nie przez to, czym jest. Na przykład „czyste” znaczy, że coś nie jest zabrudzone, a „ciemne”, że nie jest jasne.

Dziecko: Ale przyjemność jest wtedy, gdy ktoś czuje się szczęśliwy albo jest mu dobrze.

Mężczyzna: To jest pozytywna definicja. Mówi, czym ona jest, a nie czym nie jest. Ale oni posłużyli się negatywną.

Dziecko: Dlaczego?

Mężczyzna: Wielu ludzi uważa, że chodzi o różnicę między tym, jak wyglądało życie w starożytnej Grecji, a jak wygląda obecnie. W dzisiejszych czasach życie jest całkiem niezłe, nie sądzicie? Rzadko się zdarza, żebyście cierpieli ból, chorowali, byli głodni albo czuli się samotni. Nie musicie się obawiać, że łupieżcy zburzą wasz dom bądź zabiją przyjaciół. – Zmarszczył brwi ze współczuciem, gdy dziecko mocniej objęło psa. – W starożytnej Grecji życie było trudniejsze. Brakowało żywności, często toczyły się wojny i było mnóstwo chorób, a nie znano jeszcze dobrej medycyny, więc lekarze nie byli zbyt pomocni. Wielu ludzi ciągle cierpiało ból i głód, bali się, że wrogowie ich podbiją i obrócą w niewolników, i wszyscy nieraz widzieli śmierć przyjaciół. Jeśli ktoś nie był głodny, spragniony ani chory, nie cierpiał bólu i nie czuł się smutny po śmierci przyjaciela, uważał się za wielkiego szczęściarza. Dlatego uważali, że przyjemność to wolność od cierpienia. Rozumiecie, dlaczego w ich świecie to mogło mieć sens?

Bridger wcisnął twarz w niebieskie futro, zasmucony myślą o tak ciężkim życiu.

– Chyba tak. Ale to bardzo smutne.

Mężczyzna: To prawda. Ale śmierć oznaczała koniec tego wszystkiego, więc w zgodzie z negatywną definicją również była przyjemnością.

Dziecko: W takim razie dlaczego wszyscy po prostu się nie zabili?

Mężczyzna: W tamtych czasach niektórzy tak robili, ale epikurejczycy mówili, że ludzie powinni się starać być możliwie najszczęśliwsi na proste sposoby, które trudno im odebrać, jak dyskusje i myślenie o filozofii. Można to robić nawet wtedy, gdy ktoś jest chory, samotny albo stracił dom z powodu wojny.

Chłopiec zacisnął zęby. Jego poważna twarz wywierała urocze wrażenie, gdy próbował naśladować mimikę strzegących go weteranów.

– Major, żołnierze i Mycroft opowiedzieli mi, jak wygląda wojna. Mówią, że to to druga najgorsza rzecz na świecie.

Mężczyzna: To interesująca definicja. A co jest najgorsze?

Dziecko: Nie mieć nic, za co warto by było walczyć.

Senseista obejrzał się na zasepionego Majora i jego ludzi. Być może myślał już o przyszłych sesjach. Bridger dał mu pierwszą próbkę tego, jak myślą weterani.

Mężczyzna: To bardzo potężna myśl.

Dziecko: Aha. Ale już nie musimy prowadzić wojen. Życie jest dobre, wystarczająco dobre, by warto było za nie walczyć, ale nie potrzebujemy już tego robić. Nie ma krajów, nie ma armii i nie ma wojen.

Carlyle skinął głową.

– Idę o zakład, że twoi żołnierze nadal mają ciężkie życie. Są maleńcy i nie mogą spotykać się z innymi ludźmi. Pamiętają też wojnę i tych, którzy na niej polegli. Nie wątpię, że życie Wskazującego było pełne nie tylko dobrych, lecz również złych rzeczy.

Dziecko: Pewnie tak.

Mężczyzna: Dlatego, zanim coś zrobicie, zastanówcie się, czy te złe rzeczy mogą być powodem, by nie zwracać mu życia.

Nuta bólu sprawiła, że głos chłopca zabrzmiał niepewnie.

– Nie wiem.

Senseista zaczerpnął głęboko tchu.

– Bridgerze, czy czujecie się teraz smutni?

Dziecko: Tak.

Kapłan: A dlaczego?

– Dlatego że Wskazujący nie żyje. – Schował twarz w futrze Boo. Pies był za mały, żeby całkowicie osłonić dorastającego chłopca, jak robił to ongiś z dzieckiem. – Wszystkim jest smutno z tego powodu, mnie, Thisbe i Majorowi, każdy człowiek się smuci, kiedy jego przyjaciel umrze, nawet Mycroft.

Ku mojemu zdumieniu oczy Carlyle'a również zaszły wilgocią z żalu za plastikowym żołnierzem, którego nie miał okazji poznać. Być może jednak był to większy żal, za niezliczonymi zmarłymi z przeszłości, których zabrał nam czas. Zmienił nieco pozycję, zapowiadając nową fazę dialogu. Naciskał już na chłopca wystarczająco mocno.

Kapłan: Jak się czuje ktoś, kto jest smutny?

Dziecko: To boli.

Carlyle pochylił się ku niemu.

– Bridgerze, Wskazujący was kochało, prawda?

Chłopiec wytarł nos w rękaw.

– Tak.

Kapłan: Wskazujący również było żołnierzem. Kochało innych żołnierzy i pracowało ciężko dla was i dla nich, wykonywało trudne

zadania i narażało życie. Było gotowe znieść wszelkie cierpienia, żeby pomóc wam i towarzyszom, tak?

W tym momencie Major uśmiechnął się z zadowoleniem, jakby zrozumiał argumenty senseisty i uświadomił sobie, do czego zmierzają.

Dziecko: Tak.

Kapłan: A czy czasem rezygnowało z czegoś, co byłoby łatwe i przyjemne, jak odpoczynek, żeby zrobić dla was coś, co było trudne i niekoniecznie przyjemne?

Dziecko: Tak, mnóstwo razy. Na przykład stało na warcie, kiedy było bardzo zimno.

Kapłan: To znaczy, że zrezygnowało dla was z przyjemności i narażło się na ból?

Dziecko: Aha.

Kapłan: W takim razie czy uważacie, że nawet jeśli śmierć jest lepsza od życia, Wskazujący byłoby gotowe żyć, żeby pomóc wam i innym żołnierzom?

Dziecko: Tak. Tak, chciałoby być z nami, żeby nam pomóc. Nawet jeśli śmierć jest dobra, i tak chciałoby wrócić. To znaczy, że mogę zwrócić mu życie, nawet jeśli śmierć nie jest zła?

Bridger wreszcie się uśmiechnął. Poczulem ciepło, gdy ja również zrozumiałem ostateczny wniosek. Nie jestem senseistą. Na miejscu Carlyle'a po prostu powiedziałbym, że śmierć jest zła i oczywiście Bridger powinien przywrócić Wskazującemu życie. Ale to sprawiłoby dziecku straszliwy ból. Nadal tego nie rozumiesz, Czytelniku? Nie widzisz moralnych konsekwencji sięgających dziesięć ruchów do przodu, które Carlyle dostrzega równie łatwo jak znaki drogowe? Gdyby Bridger przywołał Wskazującego z powrotem do świata żywych, kierując się teorią, że zawsze lepiej jest być żywym niż umarłym, to co z pozostałymi plastikowymi trupami porzuconymi gdzieś w piasku? Je również powinien ożywić. A co z Emmą Platz? Z rodzicami Lesley? Z senseistą Saneer-Weeksboothów zastąpionym przez Carlyle'a? Z nieznanym, który zmarł wczoraj w szpitalu na drugim końcu świata? Co z każdym nieznanym, z każdą śmiercią, aż po początek świata? Wkrótce w chłopcu zapłonęłoby koszmarne poczucie winy, które czasami nie pozwala mi spać po nocach. Poczuliby, że jeśli nie wskrzesi wszystkich, którzy kiedykolwiek umarli, będzie to obciążało jego sumienie. Ale dzięki Carlyle'owi, opierając się

na tym, czego chciałby sam żołnierz, Bridger mógł wskrzesić Wskazującego bez zamykania drzwi przed możliwością, że śmierć nie jest zła, i brania na siebie (na razie) ciężaru wskrzeszenia nas wszystkich. W tej chwili wysłałem do Thisbe i Majora milczący sygnał, że moim zdaniem można zaufać temu senseiście.

– Ale co, jeśli Bóg istnieje?

Tylko dziecko mogło o to zapytać tak bezpośrednio, Czytelniku.

Oszczędzę Ci następnej części. Możesz przyjąć założenie, że Carlyle siedział z Bridgerem w ogrodzie jeszcze godzinę, przedstawiając mu hipotezy nirwany, gehenny, Guinée, Mictlanu, piekła, nicości, reinkarnacji, powrotu dusz, ich łączenia się ze sobą, parowania, a wreszcie ich nieistnienia. Przedstawiał mnóstwo różnych opinii i zostawiał wiele otwartych drzwi. Wnioski, do których obaj doszli, nie należały w całości do żadnego z nich. Były wspólnymi odkryciami, których dokonali, krocząc obok siebie po zdeptanym gruncie teologii. Kiedy wróciłem wieczorem, zastałem Wskazującego wśród towarzyszy. Był żywy i zdrowy, nie pamiętał niczego z czasu, gdy nie żył, poza sennym wspomnieniem ciepła i ciemności. W głębi serca podziękowałem senseiście za uśmiechy Bridgera.

Carlyle to łagodny człowiek. Ja taki nie jestem, Czytelniku. Gdy podążysz za mną na przyjęcie wydane przez prezydenta Ganymede'a i ku kryjącym się za nim prawdom, pamiętaj, proszę, że jako Twój historyk nie mogę pozwolić, by kierowała mną wyrozumiałość, gdy będę decydował, które drzwi przed Tobą otworzę, a które zamknę.

Rozdział dziesiąty

Słońce czeka na rywala

Przedstawiam Ci przyjęcie z okazji Dnia Zerwania Więzów, wydane przez Ganymede'a Jeana-Louisa de la Trémoille, diuka de Thouars, księcia de Talmond, prezydenta Humanistów. Wersal nigdy nie miał tyle pozłoty, Paryż nie był tak modny, Hollywood nie miało tyle blichtru, a Babilonu nie otaczała taka niesława, jak miasteczka La Trimouille od czasu powrotu diuka. Francuską szlachtę oficjalnie pozbawiono przywilejów dwudziestego trzeciego czerwca w roku 1790, ale nostalgia jest potężniejsza niż wszystkie prawa. Dlatego gdy młody nieznajomy kupił mnóstwo terenów niezasługujących na miano „posiadłości”, a następnie ogłosił, że jest potomkiem diuka wracającym na ziemię przodków, miejscowi ucieszyli się z szansy zdobycia sławy i przyciągnięcia turystów. Oficjalnie dynastia diuków de la Trémoille wygasła przed kilkoma stuleciami, ale zawsze zdarzają się bękarty i zaginieni kuzyni, czekający, aż fortunne połączenie bogactwa z testami DNA pozwoli im odzyskać tytuł.

Dom rodzinny nie przetrwał, więc diuk wybudował sobie fantastyczny pałac, wzniesiony w stylu epoki, ale stanowczo zbyt bogaty. Połączane drewniane elementy były nazbyt zdobne, żyrandole za duże, komnaty za bardzo przypominały labirynty, a pola pełne rzeźb i formowanych krzewów ciągnęły się dalej, niż można sięgnąć wzrokiem. Ten ostentacyjny pałac jest tak zdumiewający, że Humanisci wybaczyli Ganymede'owi, iż wzgardził ich pasiekową stolicą, Buenos Aires, i pozostał za ziemiach, które przed jego przybyciem były domeną Europejczyków. Zdjęcia zrobione w La Trimouille są niewyraźne od nadmiaru światła, a nagrania psuje nadmiar radosnych głosów. Niemniej warto poświęcić fortunę, którą trzeba wydać, by się tu znaleźć. By dać się oślepić światu pokrytemu nieprzerwaną powłoką złota. A to zawsze kosztuje fortunę, Czytelniku, bo czas to pieniądz, a godziny poświęcone na zdobywanie wpływów potrzebnych, by uzyskać zaproszenie, oznaczają, że każdy z gości

wydał na to majątek.

Tylko Ganymede może nie roztopić się na takim tle. Jego alabastrowej skóry nie dotyka żadna nitka materiału, który nie jest jedwabiem albo czymś jeszcze kosztowniejszym, jego sylwetki nie zdobi żaden strój, którego nie włożyłby Ludwik XIV. Jego mankiety ociekają koronkami, a wokół pasa roją się hafty. Ten kostium monarchy sprawia, że Dominic wydaje się przy Ganymedzie sługą, którym jest w rzeczywistości. Diuk nie ubiera się w żadne kolory poza barwą złota i kości słoniowej, a czasami również błękitem, ale nawet nici ze szczerego złota wydają się blade na tle jego złocistej grzywy, opadającej mu na ramiona migotliwą kaskadą niczym promienie słońca. Jego oczy są bardziej niebieskie niż firmament, morze czy ametyst. Ich gorejący błękit dorównuje błękitowi diamentów i gwiazdzistych szafirów, Diamentu Hope albo Gwiazdy Azji, klejnotów, które pozostawiły za sobą w dziejach ślad z morderstw. Obleczony w takie stroje jest żywym wcieleniem epoki, w której chłop, ujrawszy podobny splendor przez okno przejeżdżającej karety, mógł dojść do wniosku, że warto zapłacić cenę znoju i bólu pleców, by tak szlachetne stworzenie mogło zaszczyścić ziemię swą obecnością. Nagi wygląda jak bóg.

«Mycrofcie, dobrze, że jesteście. Przejdźcie się ze mną. Chcę z wami porozmawiać.»

Diuk rozmawiał ze mną po francusku, mówiąc w tym języku z pełną satysfakcją swobodą kogoś, kto zmęczył się już udawaniem, że nie czuje się rozgoryczony tym, że jego Pasieka preferuje hiszpański.

«Tak jest, Wasza Miłość.»

Diuk prezydent poprowadził mnie jedną ze swych długich galerii, gdzie arcydzieła rywalizowały ze sobą o miejsce na obitych adamaszkiem ścianach. Przyjęcie dopiero się zaczynało, zaledwie kilkuset notabli rozmawiało ze sobą w kątach albo słuchało dźwięków dobiegających z wielkiej komnaty, gdzie Ting Ting Foster psuło humor Królewskiemu Belgijskiemu Kwartetowi Smyczkowemu, nieustannie przechodząc od arii do arii, wskutek czego muzycy byli zmuszeni co chwila zmieniać kurs niczym dzieci biegnące za kapryśnym latawcem.

Diuk prezydent zaczął mówić, udając, że drapie się po policzku, by zasłonić usta przed tymi, którzy potrafią czytać z ruchu warg.

«Rozmawiałem dziś z Ockhamem Saneerem. Najwyraźniej byliście w domu w chwili wtargnięcia Martina.»

«Tak, Wasza Miłość.»

«Czy Martin było skłonne do współpracy?»

«Bardzo, Wasza Miłość. Okazało wielką uprzejmość i ze wszystkich sił starało się uniknąć kłopotliwych precedensów.»

«Ale Seneschal zachowało się inaczej.»

«Dominic było w domu?»

Ze wszystkich sił starałem się mówić cicho.

Diuk zatrzymał się, by się uśmiechnąć do trójki Humanistów, którzy podeszli wystarczająco blisko, by móc podsłuchiwać, ale pod jego spojrzeniem rozpięzchli się jak spłoszone gołębie. Z pewnością pomyśleli, że prezydent okazuje wielką łaskawość, pozwalając ujrzeć na moment niebo zwykłemu usługowcowi.

Zaczął mówić znowu.

«Szczęśliwym zrządzeniem losu jedyną osobą, którą ujrzały oczy ogara, było Lesley Saneer, ale i tak nie jestem zadowolone, że ktokolwiek z moich ludzi musi się z nim stykać, a już szczególnie ci, którzy należą do baszu Saneer-Weeksbooth. Dlatego musimy rozstrzygnąć tę sprawę sami.»

«My, Wasza Miłość?»

«Dzisiejszego wieczoru pożyczam wam swe oczy i uszy. Wasz lokalizator będzie na żywo odbierał przekaz mojego. Będziecie widzieli wszystko, to samo, co ja. Musicie mi powiedzieć, czy stoi za tym Sniper.»

«Sniper.» Ta myśl, nagle oczywista, w ogóle nie przyszła mi dotąd do głowy. «To nie jest wykluczone.»

Diuk prezydent skinął głową.

«Ono jest zdolne do wszystkiego. Jeśli to po prostu wyglup jakiegoś przedsiębiorczego mafiosa, Ockham i Martin dadzą sobie radę, ale jeśli to był Sniper, muszę się o tym dowiedzieć. Pokażę wam dobre zbliżenia min, jakich nigdy nie demonstruje kamerom. Wtedy będziecie wiedzieli.»

«Przeceniacie moje możliwości, Wasza Miłość.»

Odwrócił się. Barwne poły jego fałdzistego płaszcza omal nie musnęły mi kolan.

«Wiecie, że nikt nie słucha, kiedy mówicie takie rzeczy, Mycrofcie. Możecie odpocząć w kuchni, kiedy będziecie obserwować. Wezwę was po przyjęciu, żeby wysłuchać waszego raportu. Nie musicie mieć absolutnej pewności, wystarczą mi wasze domysły. Wskażcie mi

kierunek, żebym mogło wysłać własne ogary. Resztę zrobię samo.»

«Tak jest, Wasza Miłość.»

«Aha, Mycrofcie!» zawołał jeszcze. «Jeśli ktoś zapyta, wezwałem was po to, żebyście uważali na oszustów wśród zakładających się. Nie mówcie nikomu, że szpiegowaliście dzisiaj dla mnie. Ani Anceletowi, ani królowi Hiszpanii, ani Andō, ani cesarowi. Nikomu.»

«Wasza Miłość, jeśli pewna osoba zapyta...»

«Dopilnujcie, by tak się nie stało. Musimy pogrzebać tę sprawę, Mycrofcie.» W jego oczach znowu pojawił się śmiercionośny błysk diamentów. «Nie muszę wam tłumaczyć, że jeśli oczy opinii publicznej zwrócą się na ten basz, to będzie oznaczało koniec waszego dogodnego układu z Thisbe Saneer.»

Ścisnąłem w rękach kapelusz jak nerwowe dziecko miętoszące lalkę.

«Wiem, Wasza Miłość. Zrobię wszystko, co tylko w mojej mocy.»

«Znakomicie. A teraz ruszajcie do kuchni. Sniper się nie zjawi, dopóki nie zgromadzę tu tylu notabli, że będzie miało efektowne wejście.»

Siedziałem już wygodnie na stołku przy piecach, gdy diuk prezydent odnalazł swój pierwszy cel. Wypatrzył go w Salon des Conquêtes. Zebrał się tam już spory tłum, ale gdy tylko prezydent Ganymede wszedł do środka, uniósł palec do ust, uciszając wszystkich, którzy go zauważyli. Mniej ważni goście natychmiast się domyślili, o kogo mu chodzi, i usunęli się z drogi prowadzącej do przewodniczącego Kuzynów. Bryar Kosala zdjęła już kostium, który nosiła w Panteonie, i ponownie wdziała szatę Kuzynów, choć przypominała ona nie tyle zwyczajną odmianę tego stroju, ile skupisko chust z marmurkowanej tkaniny w kilkunastu różnych odcieniach zieleni. W tej miękkiej jak jedwab zbieraninie być może nie była najelegantszą spośród zebranych tu członków elity, ale z pewnością było jej najwygodniej. Cenzor Vivien Ancelet stał za nią. Oboje zwracali się do siebie plecami. Nadal miał na sobie purpurowy mundur. Oboje starali się nie wyglądać głupio pośród przyciągających uwagę arcydzieł trafnie nazwanej galerii. Wszystkie dzieła – czy to wykute w kamieniu, namalowane farbą olejną czy gwaszem – przedstawiały tu pierwsze noce – Antoniusza z Kleopatrami, Romea z Julią, Achillesa z Patroklosem, Don Juana z licznymi ślicznotkami. Jowisz pojawiał się pod wieloma pełnymi erotyzmu postaciami – jako byk porywający Europę, łabędź zwinięty sugestywnie między udami królowej Ledy, złoty deszcz zapładniający starożytną księżniczkę Danaë zamkniętą w wieży przez

ojca. Nie były to przy tym niewinne akty. Nawet nie na wpół niewinne, jak klasyczne wyobrażenie Afrodyty, udającej, że próbuje się osłonić kawałkiem tkaniny. Wszystkie wyobrażenia były w stu procentach zmysłowe, nie przedstawiały samego stosunku seksualnego, lecz zmierzały do niego tak jednoznacznie, że trudno było myśleć o czymkolwiek innym.

Ganymede wkroczył między parę cichutko jak lew (który jest takim samym kotem jak każdy inny przedstawiciel tej rodziny). Prawą ręką pomasaował czule bark Kosali, lewą zaś pogłaskał wewnętrzną powierzchnię dłoni Viviena, jak robią kochankowie chcący ująć się za ręce. Żadna z ofiar się nie obejrzała, ale oboje się uśmiechnęli, czując delikatny dotyk jego palców. Przewodniczący Kosala wygięła plecy, a cenzor złapał palce prezydenta, delikatne jak u kobiety, i uściśnął je serdecznie. Ganymede posunął się dalej, zbliżając się do Bryar, aż ich ciała podzieliły się swoim ciepłem, a potem wyciągnął szyję, by jego oddech wniknął między dredy Viviena i połaskotał jego ucho. Dopiero wtedy przewodniczący Kosala odwróciła się, by sprawdzić, dlaczego jeden z jej ochroniarzy tak bardzo stara się powstrzymać śmiech.

– Ganymede! – niemalże krzyknęła.

Oboje z Vivieniem gapili się na stojącego między nimi diuka, który uśmiechnął się, zadowolony z siebie jak nagi Hefajstion radujący się chciwym spojrzeniem Aleksandra, przedstawiony na posągu za jego plecami. Podobieństwo było uderzające, jako że Ganymede sam pozował do tego posągu.

– Widzicie, dlatego właśnie pary powinny w tym pokoju stać obok siebie, a nie osobno – oznajmił tonem wykładowcy.

Oboje zamarli w bezruchu. Ganymede ucałował każde z nich w oba policzki, a następnie popchnął jedno ku drugiemu, jakby ustawiał lalki.

– Widzicie? Tak lepiej.

Utrzymali tę pozę tylko przez moment, nim znowu odsunęli się od siebie.

– Ganymede... – zaczęła przewodniczący Kosala. – Szukałam... szukaliśmy was.

– A ja was. Chodźcie, w Rubinowym Pasażu coś na was czeka.

Ujął Kosalę za rękę, koronki jego mankietu mieszały się z jej luźnymi jedwabiami jak liście i kwiaty glicynii.

– Coś na ścianę waszej sypialni.

W żyłach Bryar Kosali płynęła czysta indyjska krew. Jej czarne włosy nie ustępowały gęstością żadnym na całej planecie. Niemalże można by się za nimi schować.

– Myślałam, że o tym zapomnieliście.

– Najdroższa Bryar, ja nigdy o niczym nie zapominam. Chodźcie, Vivienie. – Pociągnął cenzora za pas Szaroprawowca. – Bryar nie będzie cieszyć się tym sama.

Ganymede wyszedł z salonu. Oszołomiona para podążała za nim bezwolnie.

Podłogę długiej, głównej galerii, do której weszli, pokrywał gładki, odbijający światło dywan czerwonej barwy. Buty Humanistów zostawiały na nim trwałe ślady. Każdy z nich wyglądał inaczej, robione na zamówienie podeszwy odciskały we wrażliwych włóknach godła wielu sportowców, aktorów, myślicieli i spryciarzy, którzy zdołali wyróżnić się w tłumie celebrytów i zdobyć zaproszenie do komnat Ganymede'a. Zwyczaj noszenia specjalnych humanistycznych butów powstał przed prawie dwustu laty, gdy Pasieka Olimpijczyków, żyjących dla sportu, zjednoczyła się ze Sceną Świata, żyjącą dla koncertów i światła reflektorów, by stworzyć Humanistów, których jednoczyła pasja do osiągnięć, sukcesu, nieustannego doskonalenia się i przekraczania granic ludzkich możliwości. Jestem przekonany, że nigdy nie istniał rząd równie stabilny jak rząd tej Pasieki i świat nigdy już nie zobaczy podobnego. Rzym stał się potężny pod rządami królów, a potem popadł w zastój, gdy stali się tyranami. Doprowadziło to do krwawej rewolucji, która dała początek republice. Gdy podboje republiki wykroczyły poza możliwości zarządzania senatu, potrzebna była kolejna rzeź, żeby powrócić do monarchii. Ile krwawych przewrotów przeżyła Francja? Indie? Chiny? Florencja i Ateny, które – uwięzione przez konstytucje – nie mogły przestawić się na monarchię, gdy kryzys wymagał mówienia jednym głosem? Tylko Humanisci uniknęli tego cyklu, ponieważ zaufali wyborcom, pozwalając im wybierać nie tylko rządzących, lecz również system rządów. Humanistyczne wybory nie mają listy kandydatów. Każdy może głosować, na kogo zechce, a wszyscy, którzy dostaną więcej niż jeden promil głosów, otrzymują odpowiedni do ich liczby udział we władzy. Obecnie kochany przez wszystkich Ganymede ma sześćdziesięciotrzyprocentowe poparcie i w związku tym ma sześćdziesiąt trzy procent udziału w rządach i może dodawać do listy

swych tytułów tytuł prezydenta. Pozostałe trzydzieści siedem procent dzielą między siebie jego rywale – dwadzieścia dwa procent i tytuł wiceprezydenta dla kandydata, który zajął drugie miejsce, sześć procent dla ministra sprawiedliwości, a pozostałe dziewięć dla grupy pomniejszych celebrytów, obecnie noszącej nazwę Kongresu. Pięćdziesiąt lat temu, gdy charyzma nie skupiała się w jednej gwiazdzie do tego stopnia, najpopularniejszy kandydat zdobył zaledwie sześć procent i otrzymał tytuł spikera, trzy procent przypadło wicespikerowi, a pozostałe dziewięćdziesiąt podzielił między siebie Senat, składający się z ponad pięciuset deputowanych. To była rewolucja, Czytelniku, w ciągu pięćdziesięciu lat Humanisci przeszli od republiki do dyktatury, nie przelewając ani jednej kropli krwi. Krytycy mogą to nazywać kultem charyzmy, ale sami Humanisci używają słowa „aretokracja”, władza najznakomitszych.

«*Grand frère!*»

Powitalny okrzyk Danaë poniósł się echem po korytarzach na podobieństwo fanfary. Rękawy jej kimona powiewały z szelestem jak skrzydła ptaka niełota, który macha nimi w chwili ekscytacji, zapominając na moment, że jest więźniem powierzchni. Widok, który ujrzałem w kamerze lokalizatora Ganymede'a, był oszałamiający. Gdy rzuciła mu się w ramiona, po jej jedwabnym stroju spłynęły rzeki wiosennych kwiatów, bardziej wielobarwnych niż tęcza. Danaë zasypała brata pocałunkami. Iskry przeskakujące między ich jedwabnymi strojami uczyniły obraz niemal oślepiającym. Tego typu sceny wywierają jeszcze potężniejsze wrażenie, gdy widzi się je osobiście. Bliźnięta spoglądają sobie w oczy o tej samej barwie intensywnie niebieskich klejnotów; ich palce splatają się ze sobą, tak samo porcelanowe; policzek Danaë muska grzywę Ganymede'a, równie złotą jak jej włosy. Nosi je skromnie związane z tyłu, jak wymaga jej pozycja, ale same rozmiary splotu prowokują patrzącego do wyobrażania sobie, jak wspaniały ocean słonecznego blasku spłynąłby na jej ramiona, gdyby je rozpuściła. Jej pozycja wymaga również, by nie rzucała się zbyt ostentacyjnie w ramiona mężczyzny w miejscu publicznym. Mąż szybko jej o tym przypomniał, stanowczo kładąc rękę na jej ramieniu.

– Cześć, Ganymede. Dziękuję, że znowu nas zaprosiliście.

Głos dyrektora naczelnego Hotaki Andō Mitsubishiego brzmiał posepnie, jakby przemawiał kamień. Garnitur, który dziś włożył,

wyglądał spektakularnie. Miał barwę ciemnoniebieską jak głęboka woda, a delikatne zimowe spirale właśnie przechodziły w tafłę zlanego wiosennym deszczem stawu. W błękitnej wodzie uwidaczniały się sylwetki żółwi i karpie koi, podpływających ku powierzchni, żeby żerować.

– Cała przyjemność po naszej stronie.

Diuk uciskał siostrę tak mocno, że zmiażdżył delikatny jak orchidea węzeł jej obi.

Dyrektor Andō pociągnął żonę silniej.

– Chodźcie, Danaë, pozwólcie bratu oddychać.

Płynnym ruchem tancerki zdjęła jedną rękę z pleców brata i objęła męża, zmuszając obu, by zamknęli ją między sobą w czułym uścisku. Fotografowie wpadli w szal.

– Widziałam lodowe rzeźby przy wejściu! – zawołała radośnie. – Nie potrafię uwierzyć, że wątle nóżki konia utrzymują cały jego ciężar, a do tego lady Godivę i taką masę włosów!

Ganymede wsparł głowę na ramieniu obejmującej go siostry.

– To jeszcze nic. Poczekajcie, aż zobaczycie tę, która jest z tyłu. Labirynt ogrodowy pokrywa lód. Można przejechać na łyżwach przez całą jego długość. Jest przy tym oświetlony i kolory zmieniają się przy każdym ruchu łyżwiarza. To jak ślizganie się po zorzy polarnej.

– Och, musimy urządzić wyścig! – Dała bliźniakowi i mężowi po całusie, zanim wypuściła ich z objęć. – Czyż to nie byłoby cudowne? Idę o zakład, że pokonam cały labirynt szybciej od was!

Dwaj dżentelmeni zachichotali.

– Chodźcie, zrobmy to! – Obrzuciła męża błagalnym spojrzeniem. – To byłaby świetna zabawa. Inni też mogliby wziąć udział. Ich Królewska Mość, Bryar, Vivien, cesarz i nasze drogie Felix. Czy Felix umie jeździć na łyżwach?

Ganymede odsunął się nieco i dotknął przodu obi, ściskającego brzuch Danaë ciasno niczym gorset.

– Jak zamierzacie jeździć na łyżwach w czymś takim?

– To łatwe. Zobaczą, które z was jest szybsze, uczepię się poł jego płaszcza i pozwolę, żeby pociągnęło mnie prawie do samego końca. Potem odwrócę jego uwagę i pierwsze minę linię mety!

– A jak chcecie odwrócić naszą uwagę?

Danaë uśmiechnęła się, zarzuciła mężowi ręce na szyję i pocałowała go, a jednocześnie podcięła lewą nogą Ganymede'a, pozbawiając go

równowagi. Gdy obaj nadal byli oszołomieni, odsunęła się na bok, szybko jak koliber, pozwalając, by jej brat wpadł w ramiona jej męża.

Jego Królewska Mość Isabel Carlos II wybuchnął głośnym śmiechem.

Danaë oślepiła wszystkich obecnych, nie pozwalając im zauważyć przybycia króla Hiszpanii. Na świecie jest niewielu ludzi, których Ganymede by nie nienawidził, ale dla króla zachowuje specjalny rodzaj nienawiści. Isabel Carlos II nie jest niczemu winny podobnie jak żaden inny hiszpański król, a nawet żaden Hiszpan. Źródłem tej niechęci są rodacy Ganymede'a, Francuzi. Każdy ród tak szlachetny jak ten, z którego się wywodzi, może się pochwalić królewskimi przodkami, a ze swym bogactwem, sławą i wspaniałą prezencją jest bardziej godny francuskiego tronu niż wielu dawnych pretendentów. Ale Francuzi nie chcą mieć króla. Zabili swego monarchę w tak nam drogim osiemnastym wieku, a o tych nielicznych, których mieli później, wolą nie pamiętać, jak człowiek dorosły zapomina o ubraniach noszonych w dzieciństwie. Gdyby Ganymede spróbował, mógłby przekonać ludzi, by tytułowali go „Królewską Mością”, jak teraz tytułują go „Waszą Miłością”, ale co to miałoby za znaczenie, jeśli wszyscy członkowie francuskiej grupy narodowej są bardziej wierni Marsyliance niż wspomnieniu Karola Wielkiego? Diuk wie, że nie zdoła przekonać Francuzów do przywrócenia monarchii. Myślę, że właśnie dlatego pozwala, by cały świat posługiwał się celebryckim przydomkiem „diuk Ganymede”, a nie preferowanym przez niego tytułem „książę de le Trémoille”. Z „księciem” wiąże się smród Machiavellego, przed którym wolni ludzie się wzdrygają. A nawet gdyby zdobył dla siebie Francję, zdołała ona zainfekować wirusem wolności całą Europę. Jej król byłby pozbawiony głosu w Parlamencie Europejskim, podobnie jak królowe Anglii i Belgii, czy jak cesarz Japonii w Pasiece Mitsubishi. Ale z królem Hiszpanii sprawy mają się inaczej. Francuska monarchia jest martwa od sześciuset lat, a królowie Hiszpanii walczyli w tym czasie o pokój, zawierali układy, wskrzeszali demokrację z popiołów tyranii, dzielili mównicę z Thomasem Carlyle'em i słyszeli ostatnie słowa Mycrofta MASONA. Isabel Carlos II musiałby tylko umieścić swe nazwisko na listach wyborczych wszystkich europejskich grup narodowych, od szwedzkiej aż po nowozelandzką, by znowu zostać premierem, natomiast gdyby Ganymede zapragnął władzy nad Europą, musiałby walczyć o nią zębami i pazurami, jak jakiś Casimir Perry. Nie potrafię odgadnąć, czy

prezydent Ganymede rzeczywiście uważa, że posiada prawa do korony, ale z pewnością to właśnie fakt istnienia króla Hiszpanii zmusił diuka do wyboru Humanistów, a nie Europy na swe królestwo, i La Trimouille, a nie Paryża, na swą stolicę. Tego nigdy nie wybaczy.

– Wasza Królewska Mość. – Danaë pokłoniła się sztywno, jak przystało Mitsubishianom. – Który z tych dwóch waszym zdaniem szybciej jeździ na łyżwach?

Król rozciągnął usta w skromnym uśmiechu.

– Jeśli chcecie wygrać, *princesse*, powinniście wybrać płaszcz tego, kto zbudował labirynt.

– Oczywiście! – Skierowała radosne spojrzenie na Ganymede'a. – *Grand frère*, czy przedstawicie mnie swojemu ogrodnikowi?

Szturchnął ją lekko w czoło.

– Oszustka.

Wszyscy roześmiali się głośno. Bliźnięta wymieniły kilka szybkich zdań po francusku. W gruncie rzeczy, Czytelniku, musisz sobie wyobrazić, że przez cały wieczór, za rozmowami po angielsku i flirtem, ciągle słyszało się przypominające ptasi świergot głosy tych dwojga, rozmawiających ze sobą po francusku tak szybko, że nawet król Hiszpanii nie był w stanie ich zrozumieć.

– Och, dobry wieczór, przewodniczący Bryar. Nie zauważyłem was. – Isabel Carlos II ukłonił się z szacunkiem. – Witajcie, czcigodny cenzorze. Jak się macie?

Przewodniczący Kosala, która wycofała się w tłum, unikając blichtru, podeszła teraz bliżej, ciągnąc za sobą Viviena.

– Wszystko w porządku, Wasza Królewska Mość.

Ganymede również podszedł bliżej.

– Chcieliśmy obejrzeć nowe dzieło, które ta para może zabrać ze sobą. – Obdarzył króla uśmiechem słodkim jak cukier, w którym kryje się trucizna. – Dołączycie do nas, Wasza Królewska Mość?

Gdy Jego Królewska Mość zwraca się do Ganymede'a, zawsze zauważa się chwilę wahania, jakby się zastanawiał, jaką formą się posłużyć.

– Z pewnością, La Trémoille. Idźcie przodem, proszę.

Ganymede zrobił to, przy każdym kroku odciskając na powierzchni dywanu ślad, którym był jego herb – trzy alierony wokół krokwi otoczone zdobnymi labrami.

– Mam nadzieję, że bukmacherzy nie napastowali was zbyt często, kiedy

przybyliście. Jest ich tu dziś cała masa.

– Wiem. Błagają o jakieś informacje w sprawie list, jakbyśmy mogli cokolwiek wiedzieć. – Danaë uczepliła się ramienia męża. – Dzieci musiały odpędzać ich siłą. Vivien, podejrzewam, że mieliście jeszcze większe kłopoty?

– Och, niewiarygodne! – odpowiedziała przewodniczący Kosala w imieniu męża. – Tłoczyli się wokół nas, jakby wierzyli, że mogą uzyskać listy od Viviena dzięki osmozie!

Danaë ukryła swą reakcję za rękawem.

– Mam nadzieję, że wszyscy się ulotnią, gdy ogłosi się oficjalne prognozy. *Grand frère*, powiedzcie, ile jeszcze czasu zostało?

– Dwadzieścia jeden minut. Jesteśmy na miejscu. Czyż to nie wspaniałe?

To był olejny obraz. Kupidyn i Psyche. Większość artystów przedstawia chwilę ich ostatecznego pojednania na Olimpie albo uprzedni moment zdrady, gdy ciekawość skłania dziewczynę do złamania przysięgi i próby zobaczenia tajemniczego kochanka, który przychodzi do niej wyłącznie pod osłoną mroku. Jednakże ten malarz nie pokazał triumfu ani zdrady, lecz wcześniejszą chwilę, gdy kochankowie nadal obejmowali się ufnie i nic jeszcze nie zapowiadało smutku. Psyche jest spokojna, ma zamknięte oczy, a oczy Kupidyna zasłania coś, co mogłoby być delikatną, cienką maseczką, ale w kontekście sceny z pewnością jest opaską na oczy, którą artyści niekiedy każą nosić Miłości. Obraz, z pewnością celowo, zawieszono w samym środku największej otwartej galerii willi, gdzie gromadziły się setki pragnących widzieć i być widzianymi – idealny teren łowiecki dla Snipera.

Król Hiszpanii pierwszy odzyskał zdolność mowy.

– To jakiś nowy malarz?

– Względnie nowy – przyznał diuk. – Wielka nadzieja ganimedystów, Hooper Abbey.

Dziwnie jest słyszeć, jak Ganymede mówi o ganimedystach, ale trudno byłoby określić tę szkołę inną nazwą. Trzydzieści dwa lata temu Lister Dalal, jeden z młodszych nowych estety z Kampusu Johannesburgskiego, uległ urokowi złotowłosego młodzieńca o niezrównanej urodzie, mającego wówczas zaledwie dwanaście lat. Z początku Dalal zachowywał Ganymede'a tylko dla siebie, malując kolejne portrety, które sprzedawał bardzo korzystnie. Gdy jednak inni

malarze zaczęli błagać o dostęp do tajemniczego modelu, uświadomił sobie, że rozkwitający Adonis może stać się zaczątkiem nowej szkoły, którą założy. Wykorzystał stosowaną przez jego nauczycieli retorykę sztuki dla przyjemności, ale skupił się na wyidealizowanej ludzkiej sylwetce. Wyidealizowanej sylwetce Ganymede'a. W galeriach diuka – podobnie jak w większości wielkich galerii naszej epoki – wisi może ze sto portretów próbujących uchwycić szczegóły jego dojrzewającego ciała za pomocą farby olejnej, akrylowej, gwaszu albo kredek, bądź też rzeźb oddających je w brązie lub kamieniu. Jak Ganymede mógłby nie zostać najbogatszym handlarzem sztuki na Ziemi, jeśli połowa świata sztuki już wcześniej się w nim zakochała?

– To trochę zbyt wiele – skwitował król, spoglądając z zasepioną miną na aureolę, jaką słabe światło otaczało różowe sutki Psyche, sztywne z podniecenia.

– I trochę za ciemne – dodał Andō.

Danaë – kilka jej skromniejszych portretów w kompletnym ubraniu wisiało na ścianie obok obrazów przedstawiających jej brata – łypnęła na nich obu, wydymając usta.

– To jest cudowne! Wydaje się, że można wszystkiego dotknąć! Wyczuwa się teksturę pościeli i tych skrzydeł, piór łaskoczących udo Psyche. Co o tym sądzicie, Bryar?

Przewodniczący Kosala nie miała okazji jej odpowiedzieć. W sali nagle zapadła ciemność, jakby ktoś zbił szkło. Krzyki zaskoczonych, niewinnych ludzi oznajmiły przybycie łupu Ganymede'a.

Rozdział jedenasty

Wchodzi Sniper

Fragmety światła przebijały się sporadycznie przez ciemność, jak śmiertelne konwulsje uszkodzonej lampy stroboskopowej. Przez krzyki zaskoczonych gości zbijających się w mroku w małe grupki przebiło się wycie wilka. Przywódców natychmiast otoczyły grupy ochroniarzy – Hiszpańska Gwardia Królewska, Straż Cenzora, ludzie Kuzynów i Mitsubishi oraz Gwardia Diuka Prezydenta w niebiesko-złotej liberii. Światła ich latarek rozbłysły w ciemności. Z początku odsłoniły tylko dzieła sztuki i twarze wytrzeszczających oczy ludzi. Wkrótce jednak któryś ze snopów padł na poruszającą się maszynę i ogromne sylwetki gromadzące się na podłodze sali balowej, jakby przybyła jakaś mechaniczna bestia. Krzyki strachu przeszły w niecierpliwe chichoty. Goście zbiegali się ze wszystkich galerii, przepychając się, by dotrzeć do miejsc, z których ich zdaniem powinien być najlepszy widok. Wtem plama światła reflektora obudziła bestię do życia. Cały środek sali, do tej pory wypełniony tłumem gości, przerodził się w szalone laboratorium. W zlewkach bulgotały jakieś płyny, a ogromne elektrody sypały iskrami na szeregi antycznych lamp elektronowych. W centrum tego wszystkiego, na kamiennej płycie, ułożono ciało.

– Przesuńcie przełącznik! – zawołał wyglądający zupełnie jak na obrazku garbus, który pochylał się nad maszyną odziany w brudny fartuch laboratoryjny. – Szybko, doktorze, dopóki ich uwaga jest odwrócona. Przesuńcie przełącznik i dajcie życie naszemu wspaniałemu potworowi!

Tłum wybuchnął entuzjastycznym aplauzem.

– Szybciej, doktorze Frankenstein! Jest już za późno, żeby się cofnąć!

Garbus nie musiał wymieniać nazwiska, by wszyscy wiedzieli, o jaką postać chodzi. Wypatrzyłem doktora kulącego się przy panelu sterowania. To był wspaniały przykład szalonego uczonego. Jego czarne, azjatyckie włosy były rozczochrane i pozlepiane

w odpowiedni sposób, osłonięte białym fartuchem plecy garbiły się jak przystało naukowcowi, a dłonie, pokryte nieusuwalnymi plamami tuszów i barwników, były nieludzko cienkie. Mógłby z dumą stanąć na plakacie między wilkołakiem a mumią. Nawet jego chińskie rysy przyciągały uwagę do oczu, niemal równie czarnych jak włosy, oraz do zielonego makijażu, nadającym im błyskowi bardziej szalony wyraz. Biedny Cato Weeksbooth. Skierowało się na niego spojrzenie całego świata. Jako zatwardziały odludek z pewnością był bliski ataku serca.

Pełen zapachu „Igor” spoglądał niecierpliwie na swojego Frankensteina, ale Cato gapił się tylko przed siebie, poruszając nerwowo żuchwą, jakby chciał wypowiedzieć swój tekst. Nic jednak z tego nie wyszło.

– Szybciej, doktorze. Nie wiemy, jak długo uda się powstrzymać wieśniaków przed wtargnięciem do laboratorium!

Igor miał rację. Widzowie otrząsnęli się już z szoku i zaczęli się zbliżać do dekoracji.

– Nie mogę tego zrobić...

– Musicie! Jest już za późno, żeby się cofnąć!

– Dlaczego mnie w to wciągnęliście? Dajcie mi spokój!

Potęźnie zbudowany asystent wskazał trzymanym w ręce rekwizytem – kluczem francuskim o przesadnych rozmiarach – na martwą, nakrytą całunem postać leżącą na stole między nimi.

– Musicie to zakończyć, doktorze! I zakończycie! Nie ma dla was powrotu. Złamaliście już wszystkie prawa ludzkie, królewskie i państwowe, prawa medycyny, sumienia i człowieczeństwa. Nie ma dla was przebaczenia. Nie czeka was nic poza szubienicą albo zakładem dla obłąkanych. Macie tylko jeden wybór! Przesuńcie przełącznik! Złamcie kolejne prawa, prawa natury! Gdy zapanujecie nad mocami życia i śmierci i będzie wam towarzyszyło wasze wspaniałe monstrum, zapanujecie nad swymi wrogami niby bóg! Przesuńcie przełącznik!

Sam nie jestem pewien, czy „oporny Frankenstein” był elementem scenariusza, czy tylko sztuczką mającą przewyciężyć autentyczną treść Cato. Tak czy inaczej, w jego krzyku „Nieeee!”, słyszało się mrozącą krew w żyłach pasję.

– Drużyna Szturmowa Młodych Naukowców!

Nagle pojawiła się grupa dzieci w wieku od ośmiu do piętnastu lat,

mających na głowach identyczne czapki z napisami „Chicagowskie Muzeum Nauki i Przemysłu”. Wszystkie zaatakowały Igora, uzbrojone w proce własnej roboty, balony wypełnione wodą, pistolety na gumkę i inne rodzaje pomysłowej, nieszkodliwej broni.

– Zostaw doktora, ty paskudo!

– Nie bójcie się, doktorze! Uratujemy was!

Cato osunął się na produkujące buczące dźwięki panele sterowania. Pobladł z radości, jakby prowizoryczna broń dzieci była włócznie Ateny.

– Przybyliście...

Dwie „ciężkozbrojne” dziewczynki posuwające się z tyłu grupy wyspały przez lejek sodę do butelki z octem. Eksplozja, do której doszło, całkowicie zmoczyła przeciwnika.

– Oto prawdziwa nauka, szarlatananie!

– Nieeee!

Igor zachwiał się na nogach, jakby płyn zadał mu śmiertelną ranę. W pewnym sensie niemal tak było, bo ocet zepsuł mu makijaż.

– Nie pozwolę wam nas powstrzymać!

Garbus popędził z szaleństwem w oczach przez grad gumowych pocisków, przeskoczył obok drżącego Cato i sam przesunął przełącznik.

Zapis wideo oddaje sprawiedliwość efektom specjalnym znacznie lepiej, niż ja potrafiłbym to zrobić. Maszyny zaczęły eksplodować, sypał się deszcz iskier, obrazy monstrualnych twarzy oraz szeregi równań ścigały się nawzajem przez obłoki dymu, jakby ludzka ambicja i prawa natury toczyły ze sobą bój na naszych oczach. Ścieżka dźwiękowa autorstwa Lune Cassirer przez cztery tygodnie zajmowała miejsca na szczycie listy najlepiej się sprzedających nagrań.

Ciało ukryte pod całunem szarpnęło się nagle, jakby poddano je elektrowstrząsom. Wyglądało to tak realistycznie, że niektórzy z widzów zaczęli się zastanawiać, czy nie doszło do awarii sprzętu. W następnym momencie znieruchomiało, nawet nie oddychając, co dodało chwili dramatyzmu. Muzyka robiła się coraz głośniejsza. Galerię wypełnił lekki odór przypalonego mięsa. Dopiero gdy ostatni przewód przestał syczeć, ciało poruszyło się znowu, a potem podniosło z miejsca, pozwalając, by całun opadł z niego powoli, jakby odsłaniał posąg. Makijaż zmienił nieskazitelną skórę w mozaikę dziesiątków namalowanych odcieni, od północnoeuropejskiej bladości aż po

głęboką afrykańską czerń. Wydawało się, że poszczególne kawałki zszyto ze sobą z krwawą brutalnością, co dodatkowo podkreśliło doskonałość twarzy i kończyn. Lekka, atletyczna sylwetka nimfетки o dziecinnej twarzy i smukłych, bezpłciowych kończynach promieniowała urodą, którą diuk Ganymede już tracił, jako że dziesięć lat sprawowania urzędu naznaczyło go szorstkością dorosłego. Monstrum zachwiało się na nogach, nie mogąc utrzymać równowagi niczym świeżo wykluty kurczak. Znowu osunęło się na płytę. Powieki opadły mu jak u lunatyka. Zdesperowany Igor (który wrócił już do siebie po ataku octem) przecisnął się przez skupisko oniemiałych z bojaźni dzieci i ujął w dłonie twarz potwora, spoglądając na niego ciepło.

– Witajcie wśród żywych, Sniper.

Oczy Snipera są wielkie jak u dziecka i prawie czarne po japońskiej matce, ale genialny aktor zdołał w jakiś sposób zmienić tę czerń z martwej w pełną życia, jakby to nie prąd, tylko pierwszy widok ludzkiej twarzy przebudził go na dobre.

– Dziękuję.

Tłum nie był w stanie powstrzymać aplauzu.

– Wspaniale!

– Niezwykłe! Chwytające za serce! – zachwycali się krytycy.

– Jeszcze lepsze niż w zeszłym roku!

– I znacznie mniej destrukcyjne – dodał Ganymede, wznosząc oczy ku niebu na wspomnienie szalejącego Snipera w gangsterskim garniturze w paski. Towarzyszyła mu wówczas obowiązkowa *femme fatale*. Technicy opuścili z góry przez świetlik w suficie sali balowej dwa fordyskie T i zmusili ochroniarzy diuka prezydenta do piętnastominutowego pościgu samochodowego przez galerie. Biedne dywany.

Uśmiechnięty szeroko Sniper zszedł ze stołu, trzymając się pod rękę ze swym garbatym „stwórcą”. (Przyznaję, Czytelniku, że przypisywanie Sniperowi rodzaju gramatycznego jest dość arbitralne, jako że podczas swych występów równie często nosi kobiece, jak i męskie kostiumy, a jego ekipa piarowców bardzo się stara ukryć przed opinią publiczną prawdziwą płęć swego androginicznego pracodawcy. Skoro jednak przypisałem obu głównym rywalom Snipera, Ockhamowi i Ganymede’owi, rodzaj męski, w jego przypadku postąpię tak samo, by ich silne strony wydawały się analogiczne).

Skinął głową i zapalono światła, by widzowie mogli zobaczyć noszących czarne kaptury techników, którym zawdzięczali ten spektakl, i podziękować im.

Tłum otoczył Snipera, by podziwiać pracochłonny makijaż, który upodobnił jego gołą pierś oraz plecy do prawdziwego patchworku zszytego z kawałków skóry, różniących się od siebie nie tylko barwą, lecz również teksturą i wilgotnością. Niektóre były stare, a inne młode, nawet włoski rosły na nich w innych kierunkach. Bez koszuli Sniper ma jeszcze bardziej niepokojąco androginiczny wygląd. Jego delikatna budowa i smukłe mięśnie nie pozwalają odgadnąć, czy widzimy tors naturalnego mężczyzny, czy też amazonki. To ostatnie zdarza się dość często wśród humanistycznych sportsmenek już od wczesnych lat pragnących się specjalizować w mieszanych sportach. Lekarze nie pozwalają piersiom wyrosnąć, co zapobiega różnym niedogodnościom związanym z ich posiadaniem.

– Och, Sniper, ten makijaż jest niewiarygodny!

– Będziecie sprzedawać lalki?

– Za ile?

– Chcę taką!

– A ja chcę rozmiar dziecka, sześć albo osiem lat!

Sniper zarzucił ręce na ramiona dwóch fanów.

– Oczywiście, oczywiście. Żywa Lalka Frankensteina i Seria Klasycznych Kostiumów Potwora pojawią się w sklepach już w przyszłym tygodniu, w rozmiarach lalek, sześciolatek i dorosłych.

– Seria?

Sniper ułożył prawą dłoń na kształt pistoletu w charakterystycznym dla siebie geście i „wystrzelił” do techników, którzy na ten sygnał otworzyli magazyn, odsłaniając ukryte wewnątrz lalki. Był tam model potwora Frankensteina, tak bardzo podobny do żywego, że gdyby Sniper wstrzymał oddech, nikt nie mógłby odgadnąć, który z nich jest prawdziwy, a który plastikowy. Obok siedział drugi Sniper, przebrany za wilkołaka, a dalej trzeci, w stroju Draculi, i wreszcie czwarty, mumia spowita w bandażu, kuszaco odsłaniające wiele fragmentów ciała. Poza modelami wielkości naturalnej były tam też małe lalki o wysokości dwudziestu pięciu centymetrów, również uderzająco podobne do Snipera, a także sześciolatki wielkości naturalnej, śliczny szczeniak wilkołaka o ostro zakończonych, kosmatych uszach i Dracula o kłach wystających z małych, dziecięcych ust.

Widziałeś już przedtem Żywe Lalki, ale czy ich dotykałeś? Każda kość, ścięgno i mięsień ludzkiego ciała są przedstawione całkowicie wiernie, tak że uściśnięta dłoń reaguje tak samo jak dłoń twojego przyjaciela, a dzięki pomysłowym urządzeniom utrzymuje temperaturę ciała. Żywe Lalki to zwieńczenie długotrwałych ludzkich dążeń do stworzenia syntetycznej miłości. Dziecko mające taką lalkę płacze mniej, gdy jego baszrowie spędzają wieczór poza domem, a dwudziestoparolatki mające w domu Snipera wielkości naturalnej szybciej wracają do siebie po zawodach miłosnych. Być może uważasz za chore, że dorośli mężczyźni i kobiety traktują lalki jak współbaszowców, a w przypadku realistycznych modeli Sniper-XX i Sniper-XY nawet jak kochanków. Niewykluczone nawet, że masz rację, czy jednak taką chorobę powinno się leczyć, jeśli ci, którzy padli jej ofiarą, czują się szczęśliwsi od zdrowych? Gdy laboratoria Żywej Lalki postanowiły rozpocząć masową produkcję modeli dwuletniego dziecka wicedyrektora, chodziło tylko o to, że dzieciak jest wyjątkowo śliczny i dzięki temu będzie znakomitym środkiem terapeutycznym dla samotnych dzieci i bezdzietnych par, zwłaszcza biorąc pod uwagę, że dzięki twarzy mieszańca, łączącej europejskie, azjatyckie i południowoamerykańskie cechy, po niewielkiej zmianie stroju mógłby uchodzić za dziecko niemal każdej pary. Gdy okazało się, że sprzedaż dziesięciokrotnie przekroczyła ich dotychczasowy rekord, postanowili zaoferować to samo dziecko w wieku czterech, sześciu i ośmiu lat. Wystarczyło, by jeden fan poznał oryginał na ulicy, a Sniper natychmiast został celebrytą.

Gdy nowe modele odwróciły uwagę fanów, Sniper uwolnił się od nich i podszedł do krawędzi przenośnej sceny.

– Myślałem, że to jest przyjęcie! Zatańczmy!

Jego technicy wzięli w ręce instrumenty i zagrali parodystyczny remiks najpopularniejszych piosenek miłosnych tego lata, wzbogacony wyciem wilków i jękami zombie. Ting Ting Foster, nie chcąc dać się wyprzedzić, zaśpiewało w kontrapunkcie. Potem zabrzmiał Królewski Belgijski Kwartet Smyczkowy, tworząc instrumentalny podkład bogaty jak w muzyce Haendla. Nawet u nas, w kuchni, wszyscy tańczyli.

Sniper dołączył na chwilę do tańca, chcąc rozgrzać tłum, po czym ruszył na dół, by pozować dla tłumu błagających o zdjęcia fotografów.

Na schodach podszedł do niego najmłodszy z Drużyny Szturmowej

Młodych Naukowców.

– Jesteście dobrym czy złym potworem? – zapytał.

Sniper uśmiechnął się do niego mile jak starsze baszrodzone.

– Jestem takim potworem, jakiego chce mieć mój stwórca. – Obejrzał się na Igora. Grająca go kobieta szła za nim sprężystym krokiem, nie musząc już udawać garbusa. – Jakim jestem dziś potworem?

Uśmiechnęła się. Jej peruka ociekała płynem.

– Przeważnie dobrym. To działa najlepiej.

Sniper rozciągnął usta w uśmiechu nadającym jego pozszywanej z kawałków twarzy wygląd anielski i łobuzerski zarazem i pochylił się ku Igorowi, pragnąc pocałunku.

– Błeeee!

Młody Naukowiec uciekł przed tą nieprzyjemną sceną, podchodząc do Cato Weeksbootha odprowadzanego na dół przez resztę grupy.

Cato nadal był zdyszany po tej ciężkiej próbie. O dziwo, z bliska jeszcze bardziej przypominał Frankensteina. Jego twarz rzadko oglądała słońce i nawet bez makijażu była upiornie blada, a do tego poruszał się jak ktoś przyzwyczajony do fartucha laboratoryjnego. Czy mogę już wracać do domu?

– Do domu? – Sniper poklepał drżące baszrodzone po plecach. – Zabawa dopiero się zaczyna.

– Chcemy dostać tort! – zawołał któryś z małych naukowców.

– Sniper obiecało tort!

Cato zmarszczył brwi, ale nie dzieci były tego powodem.

– Niepotrzebnie mnie tu ciągnęliście, Cardigan.

Schowwał drżące dłonie w kieszeniach fartucha.

Sniper objął go ramieniem, zachęcając fotografów do robienia zdjęć Frankensteina z jego potworem. Na moment trafiły na pierwsze miejsce listy jego najlepiej się sprzedających plakatów.

– Nie kwestionuję waszych opinii, gdy chodzi o naukę, Cato. A wy nie kwestionujcie moich, gdy chodzi o szyk. Bawcie się dobrze. Prosiliście, żebym pomogło waszym dzieciom poznać bogatych ważniaków, którzy byliby w stanie sfinansować ich projekty. Oddałem im wszystkie swoje specjalne zaproszenia i nie chciałoby, żeby się zmarnowały.

Twarz Cato pojaśniała.

– Och. Tak. Tak, dzie...

Sniper znowu poklepał go po plecach.

– Nie ma za co.

Diuk prezydent Ganymede podszedł bliżej i uśmiechnął się do Snipera, jak do marnotrawnego syna, który jednak odniósł sukces.

– Witajcie, Sniper, świetny występ.

– Dobry wieczór, członku prezydencie – odpowiedział mały potwór. – Przepraszam, że jak zwykle się spóźniłam.

Ganymede skinął uprzejmie głową.

– A czyje dziś jesteście?

Sniper wskazał na Igora.

– Pozwólcie, że dokonam prezentacji. Mycroft Isabel Senabe, w skrócie Mizzie, jedno z gwiazd naszej Niebieskiej drużyny na tegoroczne letnie.

Do olimpiady zostały już tylko sto dwadzieścia cztery dni i żaden Humanista nie musiał dodawać słowa „igrzyska” do rzeczownika „letnie”.

Diuk prezydent ucałował dłoń garbusa. Jego alabastrowy dotyk pogłębił rumieniec uwidaczniający się pod zniszczonym makijażem. Nie mógł on się jednak pogłębić aż tak bardzo, nie w chwili gdy Mizzie trzymała w objęciach Snipera. Złoty Ganymede cechuje się szczególnym rodzajem doskonałości, wspaniałym, lecz przytłaczającym. Nie może być nikim innym niż Królem Słońce. Natomiast Sniper osiągnął bardziej elastyczną perfekcję zabawki dla wszystkich. Jest bezpłciowy jak dziecko, można go przebrać za potwora, za księżniczkę, za Kuzyna, za Mitsubishianina, za grzecznego chłopca, za niegrzeczną dziewczynkę, za co kto chce. Wyobraź sobie niegroźnego kochanka z wyobraźni, jakie stwarzają w swych umysłach wszystkie nastolatki, gdy nie czują się jeszcze gotowe na pierwszy raz. Pragnąc zamienić tę fantazję w rzeczywistość, Sniper sam wymyślił dla siebie zawód. Jest pierwszą i jedyłą zawodową żywą lalką na Ziemi. Dzisiejszej nocy gra tę rolę dla Mizzie i ona wybrała potwora, ale jutro stworzy siebie na nowo, dla następnego w kolejce kochających fanów.

– Doktora Cato Weeksbootha pamiętacie. – Sniper popchnął współbaszowca naprzód. – Pozwólcie też, że przedstawię wam odważnych członków Drużyny Młodych Naukowców z Chicagowskiego Muzeum Nauki i Przemysłu. Cato kieruje pokazami urządzanymi przez dzieciaki w muzeum. To rewelacyjny program. Mam rację, Cato?

Doktor Frankenstein uściskał dłoń prezydenta, nie mogąc powstrzymać drżenia.

– Cz... cz... cześć.

– Dawno was nie widziałem, doktorze Weeksbooth. Docierają do nas nadzwyczajne wiadomości o waszej pracy nad systemem. Jedna innowacja po drugiej. To godne podziwu. Wszyscy śpimy spokojnie, wiedząc, że bronicie interesów Pasieki.

– T... tak. Dz... dziękuję, członku prezydencie.

Myślę, że ten właśnie tytuł wymamrotał Cato, ale mówił tak niewyraźnie, że to mogło być wszystko.

– Jeśli chcecie odpocząć po występie w prywatnym pomieszczeniu, zapytajcie kogoś z obsługi o Cabinet de Colombes.

– Dziękuję!

Tym razem głos uczonego zabrzmiał naprawdę silnie.

– Biedne Cato. – Sniper pogłaskał baszrodzone po włosach. – Byliście naprawdę świetni! Nikt nie mógłby lepiej zagrać tej roli. Ale wy nie czujecie się za dobrze w świetle reflektorów, tak? Bez obaw. Nigdy nie wciągnę was w prawdziwe kłopoty. Daję słowo.

Skinął dłonią, wskazując nie na Cato, lecz na Ganymede'a. Spojrzał prezydentowi prosto w oczy z rzadkim u niego wyrazem całkowitej powagi. Obserwując to w kuchni, z trudem powstrzymałem śmiech. Ganymede nie będzie potrzebował moich talentów, żeby zrozumieć ten przekaz. Gdyby Sniper pragnął skierować uwagę całego świata na Cato, Ockhama i całą resztę, zrobiłby coś znacznie bardziej ostentacyjnego niż kradzież listy Siedmiu i Dziesięciu.

– Wasza Królewska Mość. – Żywa lalka pokłoniła się królowi Hiszpanii. – Zawsze miło mi was spotkać.

Król Isabel Carlos II, który zaczął już tańczyć z dwunastoletnią księżniczką Szwecji, zatrzymał się i skinął do niego głową.

Następnie Sniper skierował swój uśmiech na pary.

– Witam, czcigodny cenzorze, przewodniczący Kosala, dyrektorze naczelny, Danaë-dono. – Gładko dorzucił ten tytuł, przyznając przed przywódcą Mitsubishi, że połowa zasługi za to wspaniałe stworzenie przypada japońskiej grupie narodowej. – I waszych szanownych ochroniarzy również, oczywiście. – Pomachał do licznych strażników osobistych, którzy oddalili się już od strzeżonych przez nich dygnitarzy, na podobieństwo pajaków wycofujących się na granice swej sieci. – Jak zwykle dziękuję wszystkim za włożone wysiłki!

– Cała przyjemność po naszej stronie, Sniper!

– A teraz niech wszyscy zaczerpną głęboko tchu. Prasa czeka! – Mały potwór zwołał dygnitarzy w jedną grupę. – Zbiorowe zdjęcie z Drużyną Młodych Naukowców i wszystkimi przywódcami. Niech wszyscy powiedzą: „Nauka!”.

– Nauka!

Cóż za wspaniały obraz. Wszystkie najwspanialsze umysły przyszłego pokolenia, uzbrojone w proce, a w tle ci, którzy władają światem.

Gdy Sniper zademonstrował już swoją niespodziankę, diuk odetchnął swobodniej.

– Czy mogę pożyczyć siostrę do jednego tańca?

Danaë skinęła z zapalem głową i dyrektor Andō przekazał ją Ganymede’owi. A przynajmniej spróbował.

– Za wolno!

Sniper poruszył się szybko jak błyskawica, wziął diuka prezydenta w ramiona i odpłynął z nim w morze tańczących jak delfin ze swą zabawką, porzucając Igora i roziskrzoną Danaë. *Princesse* i garbus wzruszyli ramionami, uśmiechnęli się i ruszyli razem na parkiet.

Właśnie na tym etapie przyjęcia zrobiono najbardziej interesujące fotografie. Jeden z unoszących się nad tańczącymi kamerobotów uchwycił moment, gdy diuk i Sniper, obiekty westchnień dwóch pokoleń, tańczyli policzek przy policzku. Na tym jednym ujęciu przedsiębiorczy fotograf zarobił jedenaście tysięcy euro tylko pierwszej nocy. Nadzwyczajne zdjęcie wykonano z bardzo wysoka i widać na nim wszystko. Tańczący patrzą sobie prosto w oczy, obleczona w białą rękawiczkę dłoń diuka spoczywa na gołych plecach Snipera. Można zobaczyć nawet humanistyczne buty tego drugiego, ozdobione brązowymi i srebrnymi paskami jego trzech olimpijskich medali i wykonane z szarej skóry tego samego nie w pełni jeszcze dorosłego jelenia. Dwaj młodzi rywale, Ockham Saneer i Ojio Cardigan Sniper, byli jedynymi przedstawicielami najmłodszego pokolenia baszu Saneer-Weeksbooth wystarczająco odważnymi, by uczestniczyć w zabójstwie zwierzęcia.

Sniper pochylił się do ucha prezydenta.

– Powiedzcie, że nie przyszło wam do głowy, że to ja odpowiadam za ten wygłup z listą Siedmiu i Dziesięciu – szepcze po hiszpańsku. Mimo że tylko kilka centymetrów dzieli jego usta od lokalizatora diuka, ledwie jestem w stanie go zrozumieć. – Wolałobyśmy sądzić, że jesteście

o mnie lepszego zdania. ¿Myślicie, że mogłoby spojrzeć w oczy Ockhamowi i pozostałym po obłączeniu, jakie urządziłyby fani pod naszym domem, gdyby w wyniku dochodzenia wyszło na jaw, gdzie mieszkam?

– Wierzę, że nie mieliście z tym nic wspólnego – zapewnił diuk. – ¿Ale w takim razie kto jest winny?

– ¿Skąd mam wiedzieć? ¿Czy nie czekamy, aż Martin Guildbreaker znajdzie odpowiedź na to pytanie?

– To jest druga połowa problemu – zauważył Ganymede tonem, który nagle stał się mroczniejszy, jak ogród, gdy słońce skryje się za chmurą.

– Myślałam, że to wy przysłaliście Masona. ¿Czy to nie jest wasza ekipa od wyciszania spraw? Wasze biuro oznajmiło, że mamy im pozwolić działać swobodnie.

Diuk pozwolił, by złota grzywa ukryła wyraz jego twarzy przed kamerobotami.

– To było nieporozumienie. Ufam Martinowi Guildbreakerowi znacznie bardziej niż Romanowie i komisarz generalny o tym wie. Dlatego z reguły wzywa ekipę Martina, gdy chodzi o delikatne sprawy. Ale nie miało pojęcia, że wasza sprawa to zupełnie inna skala delikatności.

– Rozumiem. ¿To znaczy, że ufacie temu Masonowi tylko w ograniczonym stopniu?

– W rzeczy samej. A reszta ekipy Martina stwarza jeszcze większe problemy.

– To prawda. Lesley opisało mi Dominica Seneschala. Brzmiało to dziwnie. Nie zaprosimy go już więcej do domu.

– ¿Nie żartujcie! Mycroft zaczęło się trząść, kiedy mu powiedziałam, że w domu było Dominic. I nie bez powodu. Kiedy Dominic podąży za Martinem, ich pan jest tuż za nimi.

– ¿Ich pan? – powtórzył Sniper.

– «Le Prince.» – Złoty diuk odpowiedział najpierw po francusku. – J.E.D.D. Mason. Zjawi się w waszym baszobudynku. To już nieuniknione. Ani ja, ani Andō nie możemy go powstrzymać, nie wzbudzając dodatkowych podejrzeń. Musicie zrobić, co w waszej mocy, by nie rozmawiało zbyt długo z waszymi współbaszowcami.

– Tai-kun? – Matka Snipera nauczyła go japońskiego imienia J.E.D.D. Masona. – Myślałam, że ono pracuje dla was, tak samo jak Romanova. ¿Czy nie współpracuje z waszym prokuratorem generalnym?

– Współpracuje.

– ¿Ale nie ufacie mu?

– Można ufać jakiejś osobie, ale zdawać sobie sprawę, że jest niebezpieczna. Jeśli zjawi się w domu, musicie dopilnować, żeby nie spotkało waszych najwrażliwszych współbaszowców. Cato, Thisbe ani bliźniaków. Wy i Ockham możecie to wytrzymać.

– ¿Wytrzymać? ¿Co mamy wytrzymać? Mówicie, jakby Tai-kun było masońskim oprawcą.

– W obecnej sytuacji jest równie niebezpieczne.

W oczach Snipera pojawiły się błyski prawdziwego strachu.

– Nie potrafię odgadnąć, czy to żart.

– J.E.D.D. Mason dostrzega prawdę w absolutnym sensie, niezależnym od punktu widzenia. Wszystkie prawdy we wszystkich kierunkach, każde możliwe rozwiązanie zagadki, wersję ofiary i wersję sprawcy. Nie wątpię, że szybko wykryłoby winnego, ale obecnie w waszym baszu jest mnóstwo słabych punktów, a także tajemnic. Cato Weeksbooth nie czuje się dobrze. Thisbe Saneer, bliźnięta Typer i skonfigurowani są, każde na swój sposób, podatni na manipulację, a wy macie swoje tajemnice zarówno zawodowe, jak i osobiste.

Androginiczny Sniper spojrział na swe artystycznie wystrzępione spodenki skrywające tajemnicę jego płci, którą tak starannie strzegł przed opinią publiczną.

– Książę nie potrafi odkrywać tylko niektórych prawd, a na inne nie zwracać uwagi – ciągnął diuk prezydent. – Jest pasiekowo neutralne. Dlatego Mitsubishi mu ufa, wierząc, że podejdzie bezstronnie do tego fiaska, ale z tego samego powodu nie możecie go dopuścić do kogoś tak bezbronego jak Cato Weeksbooth. Jeśli wydacie Cato w ręce J.E.D.D. Masona, równie dobrze możecie dołączyć jego profil psychologiczny. Wasz basz i nasz monopol na to, czym się zajmujecie, od stuleci były podstawą systemu Pasiek, ale inne Pasieki rzucą się na was jak szakale, gdy tylko zwęszą słabość. A w waszym łańcuchu są w tej chwili bardzo słabe ogniwa.

Sniper zerknął z zasepioną miną na Cato, który drżał tylko lekko, przedstawiając swoich uczniów prezesowi Konsorcjum Przemysłu Stoczniowego z Esperanza City.

– To prawda.

Diuk skierował spojrzenie swych błękitnych jak diamenty oczu na

oczy Snipera.

– Chcę, żebyście zachowali maksymalną ostrożność. Wyobraźcie sobie, że Dominic Seneschal to ogar, który nie zaprzestanie pogoni, dopóki nie padnie ze zmęczenia, a J.E.D.D. Mason to oko, które widzi wszystko i zawsze dzieli się z kimś zdobytymi informacjami. Tym kimś może być MASON bądź nasi sojusznicy, co mogłoby się okazać jeszcze gorsze. Mitsubishi i Europa już w tej chwili pragną przejąć kontrolę nad systemem. Czekają tylko, aż będą mogli ogłosić, że wasz basz jest za słaby, by obronić go o własnych siłach. Musieliśmy stoczyć ciężką walkę, by w tym pokoleniu zgodzili się pozostawić basz pod waszą kontrolą, mimo że kilku z was z pewnością jest słabymi ogniwami. J.E.D.D. Mason „Tai-kun”, nie może ujrzeć dowodów owej słabości, bo w przeciwnym razie Andō również o nich się dowie.

Na krótką, lecz istotną chwilę twarz Snipera utraciła dziecinny wyraz.

– Rozumiem, członku prezydencie. Wszystkie potrzebne kroki zostaną podjęte.

– To dobrze.

Na twarz złotego Ganymede'a powrócił uśmiech. Piosenka przeszła w następną. Wkrótce wierni fani Żywej Lalki zaczęli przekazywać go sobie z rąk do rąk, ci, którzy zapłacili bajeczne sumy za szansę dotknięcia autentyku. Tymczasem Ganymede i Andō przez kilka dobrych minut na zmianę cieszyli się towarzystwem Danaë. Wtem muzyka umilkła, gdy zjawiała się zdyszana przewodniczący Kosala, cenzor Ancelet, król Hiszpanii, a wreszcie podążający za nimi jak rydwan za zaprzęgiem cesarz.

Rozdział dwunasty

Ani Ziemia, ani atom, ale...

Cornel MASON robi wrażenie chodzącego symbolu. Przypomina wręcz jeden z posągów z Romanovy. Ma sześćdziesiąt trzy lata i jest potężny jak Atlas. Nie ma jednak budowy atlety, lecz raczej kogoś, kto przywykł do tego, że nigdy nie daje za wygraną. Twarz ma gładko wygoloną, skórę czystej barwy śródziemnomorskiego brązu, a czarne włosy krótko ostrzyżone w starorzymskim stylu. To przyciąga spojrzenia do lokalizatora przekazującego do jego ucha informacje z całego świata. Jego dwurzędowy masoński garnitur nie różni się krojem od noszonego przez Martina, ale ma szczególny, metalicznie szary odcień, jakiego żaden inny Mason nie odważy się nosić, a lewy rękaw od łokcia w dół zabarwiono na czarno. To subtelniejsze niż różgi liktorskie, niemniej skutecznie przypomina, że na całym świecie jest jedyną osobą, która nadal ma prawo skazać kogoś na śmierć.

Ganymede Jean-Louis de la Trémoille, diuk de Thouars, księżę de Talmond przywykł do podobnego towarzystwa.

– Witajcie, cesarze. Widzę, że postanowiliście dziś modnie się spóźnić.

Przy publicznych okazjach głos MASONA zawsze brzmi tak samo, nigdy nie staje się słabszy ani silniejszy, mniej ani bardziej znużony.

– Wiadomości na kanale 323.

Król Hiszpanii i przewodniczący Kosala pokiwali z ferworem głowami. Ganymede, Andō i Danaë natychmiast przestawili się na wymieniony kanał.

Postąpiłem tak samo. Ostry głos spikera przebijał się przez ciche rozmowy notabli.

...nasuwa się pytanie, jaką rolę w próbie zatuszowania sprawy odegrało będące prawdziwym autorem listy Masami Mitsubishi, adoptowane badziecko dyrektora naczelnego Mitsubishi, Hotaki Andō Mitsubishiego. Młodszy redaktor Nakahara mówi, że postanowili wszystko ujawnić, gdy okazało się, że podczas wtargnięcia zapewne

wykorzystano osławione Urządzenie Cannera, pozwalające manipulować sygnałami lokalizatorów, by fałszować przekazywane przez nie dane. Pełne możliwości owego urządzenia nadal pozostają nieznane. Nakahara oznajmiło: „Nie mogłem milczeć, wiedząc, że niebezpieczeństwo zagraża wszystkim na świecie. Ludzie mają prawo wiedzieć, że złodzieje i mordercy mogą ukraść ich numer identyfikacyjny i...”.

To mi wystarczyło. Widziałem za pośrednictwem Ganymede’a, że Danaë przytuliła się nagle do męża, a Andō pobladł, jakby nieukończona katedra obróciła się w gruzy na jego oczach. Cenzora znałem bardzo dobrze i niemalże widziałem kaskadę liczb przepływającą przez jego głowę. Kosalę i króla Hiszpanii również przeszył dreszcz, a lewa dłoń cesarza, stercząca z czarnego rękawa, zacisnęła się w budzącą grozę pięść.

MASON poprowadził kompanię książąt do prywatnego pokoju, a ich ochroniarze postarali się o to, by stał się on jeszcze bardziej prywatny, blokując korytarz i przestawiając wszystkie lokalizatory na bezpieczny tryb, pozwalający na przekazywanie danych wyłącznie pod numery identyfikacyjne, którym przyznano najwyższe uprawnienia dostępu. Mój numer się do nich zaliczał.

– Ilu z was wiedziało? – zaczął cesarz.

Andō spojrzał na Ganymede’a.

– Wiedziałom o włamaniu, a diuk i cenzor wiedzieli o manipulacji listą. Zgodziliśmy się, że zachowamy to w tajemnicy. Za manipulacją z pewnością stały przestępcze zamiary.

– Chcieliście ukryć to przed prasą? – Cesarz skrzywił się jak popiersie skwaszonego Posejdona. – Odkąd to jesteśmy aż tak potężni, żeby walczyć z plotką? Prawda jest jak woda w sicie. Nie wystarczy zatkać dziur dłonią i liczyć na to, że wszystko będzie dobrze.

– Nie rozumiem, co wam do tego, cesarze. – Ganymede jest zbyt uprzejmy, żeby na kogoś warknąć, ale jego głos nabrał ostrych tonów fletu. – Ta sprawa dotyczy wyłącznie Pasieki Humanistów i Mitsubishi. Chyba że uważacie, że stoi za tym ktoś z waszych członków.

Ciemne oczy Masona pociemniały jeszcze bardziej.

– A co mają do tego Humaniści?

Diuk prezydent nie wzdrygnął się.

– Padliśmy ofiarą tych samych przestępców. Jeśli szczegóły nadal nie są wam znane, muszę pochwalić Martina Guildbreakera za dyskrecję.

Spizowe oblicze cesarza złagodniało nieco.

– Powierzyliście śledztwo Martinowi?

– To ono prowadzi dochodzenie – potwierdził Andō ze szczerością w głosie. – Czarna Sakura poprosiła Romanovę o multiprawnika, a Papadelias wysłało Martina. Zgodziłam się powierzyć mu sprawę.

Cezar spojrział mu prosto w oczy.

– Martinowi? Czy mojemu synowi?

Dyrektor naczelny pozwolił, by ręce opadły mu swobodnie do ciemnych jak stawy kieszeni marynarki.

– Martinowi. Sprawa nie wydawała się aż tak ważna, by wymagała J.E.D.D. Masona.

Podobnie jak Sniper dyrektor naczelny posłużył się japońskim przydomkiem „Tai-kun”, wywodzącym się z dawnych czasów, gdy Dziecko po raz pierwszy pojawiło się w mediach, jadąc na barana na plecach Hotaki Andō Mitsubishiego i gapiąc się szaleńczo na wieczną tokijską godzinę szczytu. Ale ponieważ każdy z potężnych nadaje J.E.D.D. Masonowi inne imię, ujednocicę je na razie, żeby zmniejszyć zamieszanie.

– Urządzenie Cannera zagraża nie tylko dwóm Pasiekom.

– Zagraża wszystkim – dodała przewodniczący Kosala, podchodząc do cesarza.

– To dla nas nowość. – Ganymede przesunął palcami po złotej grzywie, odwracając uwagę wszystkich od pełnych poczucia winy spojrzeń, które wymienili Andō i Danaë. – Martin to metodyczna osoba. Jeśli do tej pory nie przekazało Papadeliasowi i wam żadnych informacji o Urzędzeniu Cannera, zapewne chodzi o to, że w przeciwieństwie do tego lekkomyślnego informatora chciało zdobyć pewność, zanim zaalarmuje cały świat.

– To znakomite rozwiązanie! – W głosie Kosali pojawił się ton nadziei.

– Nie mogliśmy znaleźć nikogo lepszego niż J.E.D.D. – Kosala nie używa indyjskiego przydomka „Jagmohan”, zadowolając się skrótem „Jed”, podobnie jak większość Kuzynów. – Możemy ogłosić, że zajęło się już sprawą i ma poparcie wszystkich siedmiu Pasiek oraz Romanovy. Nikt nie mógłby skuteczniej uspokoić opinii publicznej. – Uśmiechnęła się. – Co wy na to, Cornelu?

To dziwne, jak MASON łagodnieje, gdy zwracają się do niego po imieniu. Był kiedyś zwykłym człowiekiem, miał własne imię i nazwisko, ale już niemal nigdy ich nie słyszy. Bryar Kosala

najskuteczniej posługuje się tym zaklęciem, rzucając bez zastanowienia „Cornelem”, jak była żona, która nie zdołała wyzbyć się poufałości wywodzącej się z lat, gdy nawzajem prali swoją bieliznę. Rzecz jasna, w pewnym sensie jest jego żoną jako jedna z podstaw porządku świata, dobrotliwa, ale potężna mama opiekująca się miliardem siedmiuset milionami członków drugiej pod względem liczebności Pasieki na Ziemi. Ten zakres obowiązków ustępuje jedynie trzem miliardom stu milionom Masonów podlegającym ojcu. Jak mogliby nie wpaść w nawyk rozmawiania wyłącznie ze sobą, bez zwracania uwagi na innych? Albo spotykania się po kłótni pozostałych, by ponarzekać razem na dzisiejszą młodzież.

– Tak – oznajmił MASON. – Zgodzę się przekazać tę sprawę synowi.

Kosala spojrzała na Ganymede’a.

– Czy możemy to teraz ogłosić? Macie pokój prasowy.

Diuk zawahał się, jak sędzę sfrustrowany pośpiechem, z jakim wszystkie potęgi zgodziły się na inwazję na jego najpilniej strzeżony basz.

– Oczywiście.

Król Hiszpanii podszedł bliżej, spoglądając na czcigodnych towarzyszy z wyrazem dobrotliwego, pozbawionego ambicji autorytetu, który wszyscy poza Ganymede’em mogli zaakceptować bez oporów.

– Oświadczenie zyska większą wagę, jeśli będziecie mogli powiedzieć, że śledztwo J.E.D.D. Masonowi zleciło wszystkie siedem Pasiek, a także Romanova. – Ich Królewska Mość mówi po angielsku naprawdę pięknie. Francuskie i hiszpańskie samogłoski wzbogacają jego wymowę na podobieństwo pozłoty na skórzanej oprawie, zmieniającej zwykłą książkę w *objet d’art*. – Ile Pasiek tu mamy?

Cesarz uniósł rękę. Przewodniczący Kuzynów, prezydent Humanistów i dyrektor naczelny Mitsubishi podążyli za jego przykładem.

– Cztery – podsumował król. – A Gordianie?

– Felix przyzna Jedowi *carte blanche* w imieniu Gordian – zapewniła z uśmiechem Kosala.

MASON skinął głową. Dyrektor Andō wyszedł na zewnątrz, by połączyć się z Felixem.

– Potrzebujemy również Europy. Kto jest gotowy porozmawiać z Outsiderem?

– Z Outsiderem? – Danaë zmarszczyła nos, jakby poczuła zapach gnijącego owocu. – Z pewnością wystarczy, jeśli Jego Królewska Mość się zgodzi?

– Nie. – Cesarz zawsze szybko odrzuca niedobre pomysły. – Król obecnie reprezentuje wyłącznie Hiszpanię. Tylko nowy premier może wyrazić zgodę w imieniu Europy.

Oczy Danaë zalśniły jeszcze jaśniej z nagłego żalu.

– Bryar, musicie się zgodzić ze mną, że słowo króla wystarczy.

Widzicie, jak dzieci zwracają się do mamy, gdy ojciec wydaje się im zbyt surowy.

Przewodniczący Kosala potrząsnęła głową.

– Musimy przestrzegać zasad. Ganymede, czy Perry tu jest?

Na twarzy diuka pojawił się lekki, drwiący uśmieszek.

– Na dole. Siedzi w barze.

Kosala skinęła głową.

– Połączę się z nim.

Andō wrócił w tej samej chwili, gdy przewodniczący Kuzynów wychodziła, by odbyć swoją rozmowę.

– Felix już tu idzie. Było na wieży obserwacyjnej.

Danaë zmarszczyła brwi.

– Nie zgodziło się?

– Zgodziło się, ale i tak przyjdzie. Chce zobaczyć wasze miny na własne oczy.

Danaë i Ganymede uśmiechnęli się jednocześnie, jakby chcieli powiedzieć: „No jasne”. Nie przychodzi mi do głowy nikt inny, kto lubiłby obserwować potężnych w chwili kryzysu tak bardzo, jak przywódca Gordian, rektor Instytutu Brilla, Felix Faust. Rektor Faust ma siedemdziesiąt osiem lat, przekroczył już sześćdziesiąt pięć, punkt, który dzięki osiągnięciom medycyny stał się połową przeciętnej długości życia, i dzięki temu ma prawo pobłażliwie spoglądać na czterdziestoparoletnią młodzież. Przypuszczam, że wielki poprzednik Fausta, Kognitywista, Adolf Richter Brill, tak samo spoglądał na ludzi przed trzystu laty, jako że nauczył się odczytywać zawartość ich mózgów równie biegle, jak programista czyta kod, który dla oczu laika jest pozbawionym znaczenia bełkotem. Wierzysz w to, Czytelniku? To jedna z wielkich linii podziału naszego stulecia, oddzielająca tych, którzy bez zastrzeżeń słuchają wskazań Brilla, od tych, którzy szanują go wyłącznie jako etap, który już dawno zostawiliśmy za sobą,

podobnie jak Arystotelesa czy Freuda. Felix Faust potrafi wykonać pełen brillistyczny odczyt, umieścić nowego znajomego na każdej z ośmiu skali rozwoju, w ciągu dziewięciu minut, a często nawet szybciej. Jeśli nie jesteś brillistą, z pewnością znasz nieprzyjemne uczucie, jakie nas nawiedza, gdy naszą wewnętrzną jaźń odsłania metoda, której nie możemy w pełni zdezwuować. To tak, jakbyś wytrącił talię z rąk czytającej tarota, a ona obrzuciłaby przenikliwym spojrzeniem najpierw leżące na blacie karty, a potem ciebie. Felix Faust i inni brilliści z zapalem na co dzień oddają się swej naukowej grze taksonomii umysłu, rozpoznając 7-5-13-9-3-9-3-11 dzięki jego słownictwu, 5-3-3-11-11-4-2-10 dzięki nerwowemu wierceniu się albo napawając się bliskością rzadko widywanego 1-3-3-4-13-12-9-1, jak Ganymede napawa się siedzeniem na krześle z czasów Ludwika XV. Nie wiem, jaka rzadka konfiguracja liczb przejawia się w MASONIE, Andō, Kosali czy Ganymedzie, nie potrafiłbym też zrozumieć żadnej z nich bez lat nauki w Instytucie, ale Faust to wszystko wie i pędzi teraz jak astronom do spadłego przed chwilą meteorytu, by przeanalizować mrugnięcia oraz tiki przywódców w chwili, gdy zaczyna się ogólnoświatowa panika.

– Gordianie to będzie piąta – stwierdził król.

– Masoni, Kuzyni, Mitsubishianie, Humaniści... – Czytelniku, czy nie odnosisz wrażenia, że nawet dyrektor naczelny Andō liczy na palcach, by się upewnić, że ma kompletną siódemkę? – Europejczycy, Gordianie... zostali tylko Utopianie.

Przywódcy tych Pasięk, które mają przywódców, zmarszczyli brwi.

– Oni się nie sprzeciwią – zauważył Ganymede.

Andō potrząsnął głową.

– Wiem, że się nie sprzeciwią. Ale musimy ich zapytać. Do kogo mamy się zwrócić? To kryminalna sprawa, a ja nie mam pojęcia, jak się skontaktować z ich szefem policji, o ile w ogóle mają kogoś takiego.

– Spojrzał na żonę. Z kim z Utopian się kontaktowaliśmy w sprawie przekrętu Changów?

Danaë zmarszczyła w skupieniu złote brwi.

– Chyba z tym ze światem ryb robotów. A może to był ten z chodzącymi drzewami? *Grand frère*, kogo byś zapytał?

Ganymede wzruszył połyskliwymi ramionami.

– Nie mogę spamiętać wszystkich konstelacji.

Nie krytykuj diuka, Czytelniku. Nawet ja (mimo że się starałem) nie

potrafię się zorientować w tej zorganizowanej anarchii, która jest raczej jednostką miary niż hierarchią. Mówi się: ławica ryb, chmara owadów i konstelacja Utopian. Nie wybrali tej nazwy z powodów, które sobie wyobrażasz. Konstelacja to grupa odległych obiektów, które, widziane z naszej perspektywy, wyglądają, jakby tworzyły zwartą grupę, lecz w rzeczywistości mogą być odległe od siebie o setki lat świetlnych. Jedna gwiazda jest bliskim karłem, druga tysiąc razy bardziej odległym olbrzymem, a trzecia w ogóle nie jest gwiazdą, tylko galaktyką, która naszemu zmyłonemu przez odległość wzrokowi wydaje się pojedynczym punkcikiem. Dlatego, gdy Andō zadaje sobie pytanie, kto kieruje ich policją, odpowiedź może brzmieć „kilka indywidualnych osób”, „specjalny, oddzielny basz” albo „wielka organizacja złożona z ludzi, którzy mogą w ogóle się ze sobą nie spotykać, ponieważ wszystko załatwia się przez współpracę w wolnych chwilach”. Konstelacja Utopian to grupa, która może się nam wydawać grupą, ponieważ dopatrujemy się w ich systemie znajomych nam instytucji, tak samo jak posiłkujemy się sylwetkami zwierząt i herosów, by nadać fałszywy sens morzu gwiazd.

– Moglibyśmy zapytać któregoś z ich senatorów – zaproponował Andō. – Oni powinni wiedzieć, kim jest ich policja.

MASON potrząsnął głową.

– Mój syn z nimi porozmawia. To wystarczy.

Pozostali zgodzili się bez słowa, pragnąc jak najszybciej zapomnieć o tym problemie.

W tej samej chwili wróciła Bryar Kosala z odpowiedzią Outsidera.

– Perry mówi, że nie może podjąć takiej decyzji przez telefon. Chce usłyszeć szczegółową relację Andō, a także osobiste zapewnienia z waszych albo moich ust, Cornelu. Powiedziało, że Ganymede i Felix mogą uczestniczyć w naszej rozmowie bądź nie, jak wolą.

Diuk skrzywił się z niezadowoleniem.

– Innymi słowy, chce narobić krzyku, zanim się zgodzi.

MASON zaczerpnął tchu.

– Tylko głupcy podpisują dokumenty, których nie czytali. Przyjdę na spotkanie.

Ganymede potrząsnął jasną jak słońce grzywą.

– A ja nie. Nie chcę, żeby zaczęły krążyć plotki o potajemnym spotkaniu Wielkiej Szóstki. To tylko zwiększyłoby chaos.

Przewodniczący Kosala skinęła głową.

– Zgadza się, Jeśli Cornel i Andō spotkają się z Perrym, my możemy pójść uspokoić tłum. – Na jej pociągłej twarzy pojawił się wyraz smutku i samotności. – Vivien, jak sądzę, musi wracać do Romanovy?

Oczy cenzora nabrały już pustego wyrazu człowieka zatopionego w obliczeniach.

Diuk prezydent obdarzył oboje pełnym współczucia uśmiechem.

– Géroux! – zawołał do jednego ze swoich ludzi. – Wyprowadźcie Viviena tylnym wejściem, żeby bezpiecznie dotarło do autolotu. I znajdźcie Su-Hyeona. Powinno być w galeriach.

Natychmiast otworzyły się ukryte drzwi, oferując Vivienowi drogę ewakuacji. Ochroniarz musiał dotknąć ramienia cenzora, by odwrócić jego uwagę od liczb.

– Czy mogę też zabrać Mycrofta? – zapytał niespodziewanie.

Spizowe oblicze MASONA stwardniało w jednej chwili, przechodząc w żelazo.

– Mycroft musi mi dziś za wiele odpowiedzieć.

Gdy usłyszałem te słowa, z moich ust wyrwał się cichy pisk. To odruch, Czytelniku. Gdy widzę, jak zaciska się wystająca z czarnego rękawa pięść cezara, po plecach przebiega mi dreszcz – dotknięcie skrzydeł przelatującej obok śmierci.

Diuk wie, kiedy czegoś nie da się ukryć.

– Mycroft tu jest, ale już go więcej nie potrzebuję. Vivien może go zabrać, jeśli nikt się nie sprzeciwi.

Każdy z potężnych mógł zabrać głos, ale wszyscy spojrzeli na kamienne oblicze MASONA. Cesarz pośpiesznie wpisał wiadomość. Cesarskie słowo dotarło do kuchni, przebijając się przez wszystkie pozostałe informacje, jak wycie syreny zagłuszające miejskie hałasy: <Wyjaśnijcie.>

<Cesarze, nic nie wiem o tym przestępstwie i bardzo niewiele o Urzędzeniu Cannera. Wszystko, co wiem, powiedziałam już Martinowi.>

MASON zastanawiał się nad tym przez pewien czas, trzy oddechy, cztery, a przy każdym lekko metaliczna szarość jego cesarskiego garnituru zmieniała nieco odcień, jak cień rzucany przez góry przesuwana się z upływem dnia.

– Tak. Mycroft może dzisiaj służyć Vivienowi.

Przewodniczący Kosala – prawna opiekunka wszystkich usługowców – skinęła głową na znak zgody.

– W porządku. – Klasnęła w dłonie. – Vivien zajmie się pracą, wy spotkacie się z Perrym, a ja pójdę uspokoić ludzi.

– Dołączę do was, jeśli można – zaproponował król Hiszpanii.

– Bylibyście bardzo pomocni – odparła z uśmiechem. – Dziękuję.

Ich Królewska Mość Isabel Carlos II zaoferował Danaë swe ramię.

– Powinniście nam towarzyszyć, *princesse*. Perry wam nie ufa.

Danaë mocniej uczepliła się męzowskiego rękawa.

– Czy muszę?

MASON udzielił nieuniknionej odpowiedzi.

– Nie możecie przyjść na spotkanie, podobnie jak król Hiszpanii i cenzor. Mojego syna bezpośrednio zatrudnia sześciu przywódców Pasiek. Premier będzie oczekiwało, że w spotkaniu nie będą uczestniczyli obcy.

– Przecież to Perry jest Outsiderem. – *Princesse* wydeła usta. – Prawowitym przywódcą Europy jest Jego Królewska Mość. Wszyscy o tym wiedzą.

– Cezar ma rację, kochanie. – Andō przekazał Danaë w ręce króla, jak przenosi się noszącego kaptur sokoła z jednej rękawicy na drugą. – Zróbcie, co w waszej mocy, żeby uspokoić ludzi, podczas gdy my będziemy na spotkaniu. Nie potrzebujemy żadnych plotek.

Danaë skinęła głową, po czym przygotowała uśmiech na użytek tłumu, jak łowca przygotowuje łuk. Podobnie jak cesarzowe i królowe z dawnych czasów nie znosi być bezużyteczna, ale akceptuje wykluczenie, jeśli czekają na nią inne obowiązki. Wyobraź sobie, Czytelniku, Liwię czekającą w pałacu, podczas gdy August negocjuje traktaty w gmachu senatu. Czuła się zadowolona, ponieważ w jej urzędach również roiło się od klientów, roznoszących jej władcze dotknięcie po całym imperium od Hiszpanii aż po Syrię.

– No to ruszajmy.

Kosala zaczekała jeszcze chwilę, by uścisnąć na pożegnanie dłoń Viviena.

– Jestem tu! Jestem tu! – Rektor Instytutu Brilla Felix Faust wpadł do pokoju, dysząc i sapiąc jak stary wilk, który nie jest już wielki ani zły. Zwykle noszony przez niego gordiański sweter nie był wystarczająco wieczorowy na taką okazję, ale splot zielonej marynarki, którą go zastąpił, naśladował jego znaki, więc przechodzący brilliści mogli odczytać, że jest 2-5-5-5-11-11-10-1. Z powodu bladej, europejskiej cery i wychudzonego, bezwłosego ciała Faust zawsze wyglądał, jakby

rozkładał się za życia. Można by pomyśleć, że ukryty pod łąsą czaszką mózg jest pasożytem, wysysającym życie i wilgoć z żywiciela. – Musicie pozwolić, żebym poszło z wami – wysapał. – Widziałom, jak Perry szło w stronę Pokoju Miniatur. Kto jeszcze idzie? – Jego oczy przesuwaly się od twarzy do twarzy, wnikliwie jak mikroskopy. – Andō i MASON. To trafny wybór. Diuk i król pomogą Bryar uspokoić tłum. Dobrze. – Zacerpnął głęboko tchu i uśmiechnął się. – Czyż to nie wspaniałe zamieszanie? Niedawno połączyłam się z J.E.D.D. Masonem i wiecie, co mi powiedziało? „Wybaczcie, rektorze, dzieje się coś ważnego”. Nie słyszałam, by J.E.D.D nazwało coś ważnym, od chwili gdy obecny tu król wypadło z polityki. Czyż to nie cudowne? Bez obrazy, Wasza Królewska Mość.

Jak mam opisać miny tych wszystkich książąt w chwili, gdy usłyszeli te słowa. Wyobraźcie sobie starożytny senat słuchający wieści, że Cezar przekroczył Rubikon. Jeszcze nie wiedzą, jak wielkie zniszczenia nastąpią, ale zdają sobie sprawę, że nic już nie będzie takie samo.

– Chodźcie, chodźcie, mam wielką ochotę usłyszeć, co powiecie Perry’emu!

Faust poprowadził MASONA i Mitsubishiego ku bocznym drzwiom jak nauczyciel odliczający dzieci podczas wycieczki. Stary rektor zachowuje swobodę w kontaktach z potężnymi, ponieważ ma przywilej bycia ostatnim wśród równych i czuje się zadowolony, okupując siódmą pozycję na listach Siedmiu i Dziesięciu. Wielu mówi, że jedyną błędną decyzją Carlyle’a była jego ostatnia, gdy postanowił, że od tej pory przywódcę Gordian będzie wybierał Instytut Brilla. Instytut zawsze wybierał trafnie, ale członkowie niebędący brillistami nie czuli się dobrze pod jego władzą. Dlatego, odkąd słowa „Gordianie” i „brilliści” stały się synonimami, Pasieka zmieniła się z najliczniejszej w drugą od końca pod względem liczebności. Legenda mówi, że cesarz Konstantyn nawrócił się na łożu śmierci i przekazał chrześcijańskiemu Kościołowi Imperium Rzymskie, tym jednym uczynkiem zapewniając Kościołowi nieśmiertelność i skazując Europę na dziewiętnaście wieków wojen o Boga. Podobnie Carlyle nawrócił się na łożu śmierci na nauki Adolfa Richtera Brilla, wzmacniając, a zarazem okaleczając Gordian. Inni mogą to uważać za błąd, ale ja sędzę, że była to najmądrzejsza decyzja w życiu Carlyle’a. Gdyby nic nie powstrzymało wzrostu Gordian, do dzisiejszego dnia ich niezrównana popularność skazałaby nas na to straszliwe podzwonne

pokoju – większość.

– Reszta niech się dobrze bawi! – zawołał stary Faust do pozostałych.
– Ganymede, Sniper przygotowuje się do wystrzelenia z katapulty i przelecenia nad Wschodnim Skrzydłem. Wykorzystuje do tego silnik, który chyba jeszcze parę minut temu był częścią waszego mostu zwodzonego. Możecie mieć ochotę wyrazić opinię na ten temat.

Z ust diuka popłynął stek francuskich przekleństw, tak poetyczny, że ci, którzy go rozumieli, mogli jedynie wytrzeszczać oczy z podziwu.

Gdy reszta obecnych ruszyła z powrotem do wielkiej komnaty, rektor Faust, ludzki holownik, pociągnął za sobą cesarza i dyrektora naczelnego Mitsubishi do spokojniejszej galerii znajdującej się za bocznymi drzwiami, a potem ku salonowi, w którym czekał na nich Outsider. Tam gromadzili się tylko spokojniejsi ludzie, udający, że oglądają należącą do diuka kolekcję Popiersi Nieznanych Osób, podczas gdy tak naprawdę śledzili wiadomości na swych lokalizatorach. Trójka przywódców Pasiek mogłaby przejść przez salę niepostrzeżenie, gdyby nie maleńka, odważna przeszkoda – dziewięcioletnia, dziecięco pulchna i odziana w mundur Drużyny Młodych Naukowców – która stanęła na drodze MASONA jak Lancelot na moście.

– Jesteście cesarzem? – zapytała.

Skrzyżował ramiona. W cieniu jego czarny rękaw zniknął niemal bez śladu.

– Tak.

– Czy jesteście bogaci?

– Moje Imperium jest bogate.

– A czy moglibyśmy dostać nowy piec atomowy dla naszego klubu naukowego? Wybraliśmy taki, jaki chcemy. Kosztuje tylko dwa miliony euro i można w nim rozszczepić atom!

Cesarz westchnął, spoglądając z góry na maleńką petentkę.

– Wypiszcie wniosek o grant i wyślijcie do Xiaoliu Guildbreakerera.

Ileż stłumionego bólu było w tym westchnieniu! Jakim wielkim ciężarem było dla tych z nas, którym przypadł w udziale przygnębiający przywilej słuchania tego, jak MASON wyraża na głos swoje myśli. Nie powie tego temu pełnemu aspiracji dziecku, ale to właśnie myśli, gdy słyszy jego zapewnienie: „Można w nim rozszczepić atom!”. Nie można. Cornel MASON ma najmniej złudzeń ze wszystkich ludzi na świecie. Jakie są największe marzenia

ludzkości? Podbić świat? Rozszczepić atom? Aleksander rozszerzył swe imperium od Morza Śródziemnego aż po Indie i mówimy, że podbił świat, choć w rzeczywistości zdołał się zetknąć zaledwie z jedną czwartą jego obszaru. Jesteśmy kłamcami. Kłamiemy również wtedy, gdy mówimy, że rozszczepiliśmy atom. To słowo miało oznaczać najmniejszą drobinę materii. Po prostu nadaliśmy tę nazwę czemuś, co potrafimy rozszczepić, wiedząc, że istnieją kwarki, tensory i inne, jeszcze mniejsze elementy, których nie jesteśmy w stanie dotknąć. Dopiero one zasługują na nazwę „atomu”. Ambicja człowieka góruje nad jego cierpliwością. Kiedy się orientujemy, że nie zdołamy rozszczepić prawdziwego atomu ani podbić całej Ziemi, zmieniamy definicje, by ogłosić fałszywe zwycięstwo i uważać, że osiągnęliśmy cel. Aleksander podbił Ziemię, powtarzamy sobie. Rutherford rozszczepił atom. Nie ma potrzeby próbować tego znowu. Kłamstwa. Cornel MASON jest niekwestionowanym władcą ponad trzech miliardów dobrowolnych poddanych, lecz choć ma ich sto razy więcej niż Aleksander, wie, że nie podbił Ziemi i nigdy tego nie zrobi. Gdyby cała ludzkość była mniej skłonna oszukiwać samą siebie, być może nie wyrzeklibyśmy się swych największych marzeń. Pełen samozadowolenia Czytelniku, naszymi celami nie są już Ziemia ani atom, ale...

Rozdział trzynasty

Być może gwiazdy

Istnieje jedna rasa, w której wciąż płonie ogień ambicji. Nie mam na myśli żądzы sławy typowej dla Humanistów ani pragnienia władzy, którym cechują się Masoni. Nie chodzi mi też o Europejczyków i Mitsubishian, motywowanych palącą potrzebą udowodnienia, że ich grupy narodowe są lepsze od innych. Wszystkie te pragnienia to tylko głód albo zawiść pod innymi nazwami. Mówię o innej, pierwotnej ambicji, która kazała nam zejść z drzew, wyprawić się w pierwszych statkach na bezkresne wówczas oceany i kazała jakiejś szczególnie odważnej małpie zbliżyć się do niebiańskiego niszczyciela zwanego ogniem i uczynić go naszym. Czytelniku, nie mierzymy już w Ziemię ani w atom, ale dopóki Utopianie żyją i oddychają, nie wyrzekną się naszego ostatniego wielkiego marzenia, jakim są gwiazdy.

– Powiedziałem: na kolana, suko! Natychmiast!

– Spokojnie, przyjacielu. Zastanówcie się. Nie chcecie tego zrobić.

– Och, z pewnością chcę. W gruncie rzeczy myślę, że wszyscy zrobimy to po kolei. Co wy na to?

– ¡Si, ya vamos a coger este puto!

Zza kuchennego okna za moimi plecami dobiegł przesycony groźbą śmiech. Pijaków było pięciu albo sześciu, sądząc po głosach. Zatrzymali się pod tylną ścianą niskiego skrzydła pałacu, dokąd nie docierały światła przyjęcia Ganymede'a.

– Tak jest, wszyscy ustawimy się w kolejce. Zrobicie nam laskę albo skopujemy wam astrodupy. Wybór należy do was.

Otoczający mnie kucharze zamarli w bezruchu. Nikt nie chciał przyznać, że wie, co się dzieje na dole. Podobne sprawy w naszym oświeconym wieku należą już ponoć do przeszłości, ale nawet jeśli cywilizacja przetrwa jeszcze następne tysiąclecie, czy nawet dziesięć tysięcy, pijacy nie staną się od tego mniej głupi.

– Teraz się oddalimy – oznajmiła druga ofiara, trzeźwa, choć przerażona. – Zastanówcie się, gdzie jesteśmy i jak szybko zjawi się

ochrona, jeśli coś się wydarzy. Wy również możecie odejść spokojnie.

– ¡Chinga la policía! Jeśli spróbowacie zwać, wyrzucimy wasze identyfikatory do śmieci i zawlecemy was na nasze tereny. Nikt was tam nie znajdzie przez wiele dni. A teraz na kolana i ssij, u-suko, albo zrobię ci z dupy dwa tygodnie Mycrofta Cannera!

W tej chwili nalegasz już, bym interweniował. Zrobiłem to, ale w zamian za to musimy poświęcić śledzenie reszty wydarzeń na górze. Wiem tylko, że Perry się zgodził.

Wyskoczyłem przez otwarte okno i odbiłem się od krętej poręczy, co pozwoliło mi opaść na żwir między napastnikami a ofiarami. Wylądowałem niemal bezgłośnie, na czterech kończynach jak zwierzę, za które zapewne w pierwszej chwili mnie wzięli z uwagi na mój szary mundur w beżowe cętki.

– ¡Carajo! ¿Qué es esto? – krzyczeli pijacy. Ich panika szybko jednak wygasła.

– To tylko usługowiec.

Wyprostowałem się, nie przybierając groźnej ani bojaźliwej pozy. Po prostu byłem gotowy do skoku.

– Te dwie osoby przybyły tu na wezwanie samego cesarza. Czy mam się z nim połączyć? A może wolicie, żebym porozmawiało z komisarzem generalnym policji, Ektorem Papadeliasem?

Widziałem już agresorów. To była piątka Humanistów w kurtkach pokrytych jaskrawymi paskami marynarzy oraz naszywkami drużyn sportowych. Od wszystkich bił odór całodziennego zabawy. Patrzyliśmy na siebie bez słowa jak jelenie na polanie, próbujące samym wzrokiem przekonać się, czy warto zakłócić leśny spokój walką.

– Nie warto – skwitował ich przywódca, żylasty młodzieniec, który zapewne zasłużył na paski mistrza na swej czapce zapaśnika. – Chodźcie, musimy znaleźć miejsca przed pokazem ogni sztucznych.

Czytelniku, czy na moim miejscu podziękowałbyś bezgłośnie przypadkowi czy Bogu?

– Jesteście ranni? – zapytałem, odwracając się do stojącej za mną pary.

– Nic nam się nie stało. Dziękujemy, Mycroftcie.

W mrocznym zaułku zarysy ich długich utopiańskich płaszczy lśniły nieśmiałym blaskiem niczym duchy gotowe zniknąć, kiedy odwrócę wzrok. Przyznaj, Czytelniku, Ty również podbiegasz do okna, gdy jeden z nich przechodzi obok, i pokazujesz go palcem

zafascynowanym przyjaciołom. „Patrzcie! Utopianin!”. A może wyobrażam sobie zbyt wiele? Niewykluczone, że nigdy nie widziałeś Utopianina. Możesz nie być moim współczesnym, lecz biografem z dalekiej przyszłości, szukającym w mojej wyblakłej relacji danych o jednym z naszych wielkich ludzi. W obecnych czasach Utopian widuje się często, ale w historycznej skali z pewnością są efemerydą, jak skrzydlate mrówki, które rodzą się po to, by założyć nowe kolonie, ale nie mogą przetrwać zbyt długo między robotnikami. Jak mam opisać tych obcych z przeszłości mieszkańcy świata, który nie jest już tak barwny? Ich płaszcze były czymś więcej niż symbolami Pasieki. Były oknami do innych światów. Gryfią skórę wynaleziono z myślą o kamuflażu. Jej giętka, przypominająca tkaninę powierzchnia może wyświetlać w czasie rzeczywistym obraz tego, co znajduje się po drugiej stronie owiniętego w gryfią skórę obiektu, co czyni ten obiekt w praktyce niewidzialnym. Namiot z gryfiej skóry nie musi szpecić krajobrazu, a ubrany w nią gliniarz nie obawia się zastrzelenia przez ściganego przestępcę. Jednakże utopiańscy cudotwórcy nie zadowolili się takimi drobiazgami. Utopiańskie płaszcze są wizjami ze snów. Tworzy się je w ten sposób, że pokrywa się długi trencz gryfią skórą i poleca komputerowi przetworzyć obraz, zanim go wyświetli. Szarość zastępuje się barwą złota, cegły marmurem, ptaki rybami, co tylko przyjdzie do głowy danemu Utopianinowi. Płaszcz jednej z dwóch stojących przede mną w zaułku osób pokazywał obraz Miasta Przyszłości zbudowanego w kosmosie. Znajdujący się za nami pałac pływał w morzu gwiazd, rośliny wyposażono w zbieracze tlenu, a autoloty w żagle słoneczne nadające im wygląd latających ryb. Drugi płaszcz pokazywał pałac jako pogrążające się w bagnie ruiny. Kamienie jego murów postarzały się o tysiąc lat, a w promieniach słońca wygrzewały się osobliwe stworzenia przypominające średniowieczne wyobrażenia smoków – najdziwniejsze elementy ciała kilkunastu różnych stworzeń połączone w jednego, pokrytego futrem, łuską i piórami obcego. Ich płaszcze nie są przy tym tylko zabawą czy dekoracją, jak te noszone przez Mitsubishian, które rozkwitają i więdną, tworząc estetyczne odbicie pór roku. Utopia znaczy „nigdzie” i dlatego wszyscy Utopianie spowijają się w swe ulubione wyimaginowane krajobrazy.

– Dziękuję, że pozwoliliście im odejść w spokoju – dodałem, wskazując głową na oddalających się pijaków.

Utopianin w płaszczu przedstawiającym ruiny wzruszył ramionami.

Możesz mi nie uwierzyć, ale rozplakałem się. Anonim nazywa podobne czyny zbrodniami z głupoty. Ludzie, którzy je popełniają, upijają się gniewem, władzą albo chemicznymi stymulatorami, ale zdają sobie sprawę, że gdy odzyskają trzeźwość, większa część ich szaleństwa minie. Ja wolę je uważać za zbrodnie sfrustrowanych drapieżników, albowiem natura stworzyła najstraszliwszą ze swych małą nie tylko jako zbieracza, lecz również jako łowcę, a jeśli lew w zoo wpada w szaleństwo, jedząc wyłącznie steki wyhodowane w kadzi, każdemu z nas może grozić to samo. Często celem bywają usługowcy i to potrafię wybaczyć. Nawet jeśli ofiarami są moi młodzi przyjaciele, którzy wracają pobici do noclegowni i spędzają całą noc, drżąc w moich ramionach, potrafię to wybaczyć, bo usługowcy są winni. Jaką jednak pokutę musi odbyć ten skalany świat, by uwolnić się od instynktu nakazującego atakować Utopian, których jedyna zbrodnia polega na tym, że za dużo myślą o przyszłości?

– Słyszeliśmy, że tu jesteście, Mycrofcie. Które z Alf was wezwało?

Choć głos brzmiał odważnie, mówiąca owinęła się ciasno gwiazdzistym płaszczem. Nawet cyfrowa czerń nie ukrywała jej drżenia. Nazywa się Aldrin Bester. To piękne utopiańskie imiona wzięte z ich kanonu, jak w dawnych czasach Europejczycy brali swoje z listy świętych.

– To było diuk de la Trémoille – odpowiedziałem, pod wpływem roztargnienia zastępując publiczne nazwisko Ganymede’a oficjalnym, rzadko używanym przez kogokolwiek poza Francuzami. – Na przyjęciu jest cała szóstka przywódców Pasiek. Które z nich mam poinformować o waszym przybyciu?

– Nie przybyliśmy tu dla Alf. Przybyliśmy dla was. – Drugi Utopianin, ten w płaszczu przedstawiającym ruiny, był wyższy od Aldrin, a jego krótko ostrzyżone włosy miały kolor francuskiego brązu, a nie wschodniej czerni, jak u niej. Nosi zaszczytne miano Voltaire Seldon. Patriarcha zasługuje na uczczenie ze stu różnych powodów, ale do utopiańskiego kanonu trafił dzięki noweli Mikromegas, czyniącej go kandydatem do tytułu pierwszego autora science fiction na świecie. – Martin rozmawiało z nami w sprawie wtargnięć do *Czarnej Sakury* i Saneer-Weeksboothów. Mamy pytanie i liczę na to, że nie użyjecie wobec nas uroków, jakimi posługujecie się w rozmowach z centrykami.

– Żadnych kłamstw – zapewniłem, tłumacząc ich utopiański slang. – Nie wobec was.

Oficjalna powaga na twarzy Voltaire'a przeszła na moment w bardziej indywidualną srogość.

– Robicie dobry użytek ze swych dni, Mycrofcie?

– Staram się. Przewodniczący Kosala kazało mi napisać propozycję udoskonalenia Programu Usługowców, a cesarz poleciło prowadzić prywatne seminarium dla jego liktorów, dotyczące historii przemocy.

– Piszecie?

Opuściłem wzrok, wpatrując się we własne stopy.

– Nie miałem czasu. Ostatnio zlecają mi mnóstwo zadań, a pozwalają mi brać tabletki przeciwsenne tylko dwa razy na tydzień.

Voltaire zmarszczył brwi.

– To pospolite wykręty. Wam nie wolno się do nich uciekać.

– Wiem. Przepraszam. Postaram się robić więcej.

– Róbcie mniej – wtrąciła Aldrin. – Znam was. Wypełniacie swe godziny nanodobroczynnością i uważacie to za produktywność. Róbcie mniej, a stworzycie więcej.

– Wiem – wyznałem. – Macie rację. Postaram się bardziej.

– To dobrze.

Iluzja jej oczu miała smutny wyraz, ale nawet ja nie mogę ufać obrazowi widocznemu na z pozoru przezroczystej woalce Utopian. Soczewki, które nosi reszta z nas, bezbłędnie wyświetlają dane z lokalizatorów, w teorii nie potrzeba więc dużych woalek, jakie preferują Utopianie. Ukrywają one twarz od czoła aż po kości policzkowe, więc ich właściciele nigdy nie widzą prawdziwego słońca. Krążą uporczywe pogłoski, że Utopianie noszą te zasłony tylko po to, by nas oszukać. Dzięki powierzchni z gryfiej skóry wydają się one przejrzyste. Widzimy ich wyświetlane oczy, które lśnią wesołością i mrużą się jak prawdziwe, ale jeśli ich płaszczce potrafią zmienić dzień w noc, a ziemię w gwiazdy, woalki, których używają, z pewnością są w stanie zmienić prawdziwy wyraz ich twarzy w to, co chcą nam zademonstrować.

– Wejdziemy do budynku? – zapytałem, wskazując na drzwi za swymi plecami. – W pobliżu jest pusty magazyn.

Przepuściłem ich przodem, by móc w swym samolubstwie napawać się widokiem ich płaszczy, wypełniających korytarz przed nami swymi fantazjami. W wizji Voltaire'a pałacowe mury były pełne

szczelin, w których bytowały maleńkie jaszczurkomrówki. Ich mikrocywilizacja wznosiła z okruchów marmuru sięgające nam kolan zamki. U Aldrin podłoga zmieniła się w migotliwe pole siłowe dzielące nas od pustki. W półprzezroczystej powierzchni odbijała się sylwetka idącego za nią Voltaire'a. Miał na sobie skafander kosmiczny, a słoneczne panele złożone u jego boków przypominały lekkie niczym welony skrzydła.

Przesłuchanie rozpoczęła Aldrin.

– Martin powtórzyło nam, co mu powiedzieliście o Artefakcie Mylącym.

Odetchnąłem z ulgą na myśl, że przynajmniej jedna Pasięka nie używa nazwy „Urządzenie Cannera”.

– Nie miałem jeszcze okazji rozpocząć poszukiwań ludzi, od których kupiłom opakowanie. Cenzor potrzebowało dziś moich usług.

– Czy należeli do japońskiej grupy narodowej?

Zmarszczyłem brwi, usłyszawszy to pytanie.

– Tak sędzę. Rozmawialiśmy po japońsku, ale to były nielegalne spotkania i nikt nie nosił insygniów.

Aldrin skinęła głową.

– Zebraliśmy zapisy lokalizatorów z godzin przed i po kradzieży. Zakłęcie artefaktu pozostawiło ślady. Zaczynamy tworzyć mapę jego ruchów. Numer identyfikacyjny lokalizatora przeskakuje od ofiary do ofiary, gdy ludzie przechodzą obok siebie. Mógłby przeskoczyć z was na mnie, ze mnie na Voltaire'a, a z niego na kogoś innego. Wysyła wciąż nowe sygnały, a czasami wraca do poprzedniego nosiciela, gdy ścieżki ofiar krzyżują się ponownie. W ten sposób ślad się zapętla, co utrudnia nam zadanie. Użytkownik artefaktu może rzucać zakłęcie w odległości wielu kilometrów od celu, a potem zaczekać, aż po serii zamian otrzyma sygnał, którego pragnie. Efekt wniknął do baszobudynku Saneer-Weeksboothów na gościu Thisbe Saneer, potem zamienił kilkakrotnie sygnały wszystkich obecnych, a wreszcie sygnał Ockhama opuścił dom na Cato Weeksboothu. Wtedy rzucający zakłęcie mógł już uzyskać go bez trudu. Nadal przeczesujemy zapisy, by ustalić, ilu lokalizatorów dotknęło działanie zakłęcia. Były ich setki.

Skinąłem głową.

– A wszyscy, których dotknęło, są podejrzani. Podobnie jak wszyscy, którzy zbliżyli się do któregoś z nich, tak?

– Nawet więcej – poprawiła mnie Aldrin. – Odnaleźliśmy tę serię

dzięki sprawdzeniu Ockhama Saneera, ale rzucający przenośli również swój ślad niezależnie. Będziemy potrzebowali znacznie więcej czasu, żeby sprawdzić wszystkie tropy. Seria, którą znaleźliśmy, to tylko maska. Dopóki nie prześledzimy efektu dokładnie, nikt na Ziemi nie ma dobrego alibi. A nawet nikt na orbicie. Cielo de Pájaros leży blisko Windy Orbitalnej Esmeraldas.

Voltaire skinął głową. Woalka pokazała mi posępny wyraz jego oczu.

– Na razie musimy się oprzeć na motywach. Jakie motywy zwęszyliście, Mycrofcie?

Wzdrygnąłem się.

– Jest ich wręcz zbyt wiele.

– Powiedzieliście Martinowi, że waszym zdaniem to ukryte siły w japońskiej grupie narodowej Mitsubishi stworzyły artefakt.

– Nie... nie mam dowodów.

– Ale macie instynkt. Powiedzcie, co wam podpowiada.

Zaczerpnąłem tchu.

– Myślę... myślę, że początkowo stał za tym japoński blok w Mitsubishi. Gdy rozeszła się wieść o kradzieży i zaczęłam poszukiwania, wszystko, co znalazłam, wszyscy, którzy byli w to zamieszani, konstruktorzy i przemytnicy, bez względu na kontynent, byli Japończykami. Trudno uwierzyć, by grupa przestępcza tak bogata, że było ją stać na stworzenie równie kosztownego urządzenia, mogła być całkowicie jednorodna. Zresztą nie wydaje się prawdopodobne, by jakakolwiek kryminalna organizacja była w stanie skonstruować coś takiego. Po co wydawać pieniądze na prace rozwojowe, kiedy ma się doświadczonych zabójców potrafiących zmieniać numery identyfikacyjne lokalizatorów?

– Zatem to nie przestępcy – potwierdziła Aldrin. – Ale po co blok wewnątrz Mitsubishi miałby tworzyć taką superprotezę?

Uśmiechnąłem się, słysząc jej u-język. Słowo „superproteza” znacznie precyzyjniej niż „narzędzie” opisuje to urządzenie mające dać ludziom nadludzkie możliwości.

– Nie jestem pewne. Efekt, który opisujecie, jest stanowczo zbyt potężny jak na cel taki, jak włamanie do *Czarnej Sakury*. Do tego nie potrzeba żonglowania setkami lokalizatorów. Wystarczy solidny łom. Ten, kto to zrobił, chce, żebyśmy szukali urządzenia. Pragnie powrotu paniki i polowania na czarownice.

Poderwałem się, słysząc drapanie do drzwi, ale to był tylko czarny

jednorożec Aldrin, który podążył za nami korytarzem. Dziwnie jest używać słowa „zwyčajny”, patrząc na żwawego jak jagniątko i poruszającego się gładko jak cień jednorożca biegnącego ku swej partnerce, ale dzięki obecności wśród nas Utopian często widzimy te nadzwyczajne cuda. Jeśli komuś chce się to sprawdzić, łatwo można się dowiedzieć, które rodzaje u-bestii są robotami, a które biologicznymi konstruktami, ale większość z nas woli nie wiedzieć, jak tworzy się te fantastyczne stworzenia. W ten sposób, gdy Utopianin, który przechodzi obok, trzyma na ramieniu miniaturowego pterodaktyla albo tuż za nim truchta złotopióry gryf, możemy sobie wyobrazić, że to prawdziwy cud, jak Boo Bridgera.

Aldrin pogłaskała u-bestię na przywitanie, a potem zwróciła się w moją stronę.

– Dlaczego właściwie szukaliście Artefaktu Mylącego?

– Martin wam tego nie powiedział?

– Wiemy, jakie iluzje potrafiliście wywołać dzięki opakowaniu, ale jaki był tego cel? Wykonaliście już swoją robotę. Nie potrzebowaliście dalszych podstępów.

Kłamstwa instynktownie wypełniły mi gardło. Stłumiłem je.

– Nie chciałem, żeby metody, którymi naprawdę się posłużyłam, wyszły na jaw. Nie spodziewałam się, że jeszcze kiedyś ich użyję. Ale nie chciałem, żeby zamknięto te drzwi przed innymi. – Wstyd nie pozwalał mi unieść wzroku. Bałem się, że ujrzę dezaprobatę w ich wyświetlonych na woalce oczach. – Co więcej, nasunęła mi się myśl, że jeśli mam opakowanie, twórcy urządzenia dojdą do wniosku, że dalsze poszukiwania mogą ich połączyć z moimi zbrodniami, i w związku z tym będą mieli motywy, by przyspieszyć proces, i nikt nigdy nie zbada w pełni moich metod.

Odważyłem się zerknąć na parę Utopian. Sprawiali wrażenie, że spoglądają na siebie nawzajem przez woalki. Milczeli pogrążeni w mroku swych myśli. Woalka. Dlaczego tego słowa nie pisze się przez „v”, Czytelniku? Z pewnością obiekt tak silnie kojarzony z futuryzmem powinien zawierać jedną z futurystycznych liter, „v” albo „q”. „Voalka” wygląda naturalniej niż „woalka”, a „qvarki” lepiej od „kwarków”.

– I czy ktoś zablokował dochodzenia w sprawie waszych metod?

– Tak.

– Dyrektor Andō?

Voltaire pochylił się, dzięki czemu przez chwilę widziałem Aldrin przez filtr jego płaszcza, skrzydlatą, żabopodobną istotę, której tętnice prześwitywały przez przezroczyste ciało jak strumienie świetlików.

– T... tak. – To słowo uwięzło mi w gardle. – Ale Andō nie nakazało zbudować urządzenia. Jestem tego pewne. Odniosłem wrażenie, że było wściekłe, gdy dowiedziało się o jego istnieniu. Chciało tylko zminimalizować szkody, ukryć złe decyzje podjęte przez jego poprzedników i podwładnych. Gdybyście wręczyli teraz to urządzenie dyrektorowi naczelnemu, Andō by je zniszczyło.

Kiedy odpowiadałem, Aldrin rozkazała jednorożcowi rozłożyć podobny do skrzydeł ekran i zaczęła sprawdzać dane.

– Czy znacie pierwotne przeznaczenie Artefaktu? Czy stworzono go w jakimś określonym celu?

– Nie mam pojęcia.

Woalki wymieniły cyfrowe spojrzenia.

– A czy Andō to wie?

– Tego nie wiem. Podobnie jak tego, czy wie to ten, kto obecnie korzysta z urządzenia. Myślę, że złodziej chce obalić Andō. Bez względu na to, w jakim celu rzeczywiście zbudowano urządzenie, łatwo można sobie wyobrazić, że miało służyć do kradzieży i morderstw. Jeśli na japońską grupę narodową padnie podejrzenia o współudział w moich zbrodniach albo o to, że chcieli wykorzystać urządzenie w jakichś celach szpiegowskich, Japończycy utracą władzę w Mitsubishi co najmniej na pokolenie. A jeśli Andō i Danaë upadną, pociągną za sobą Ganymede'a.

Aldrin nie przestawała przeglądać danych na podobnym do skrzydła ekranie.

– Wiecie, dlaczego złodziej postanowił wciągnąć w tę sprawę basz Saneer-Weeksbooth?

Znieruchomiałem, ujrawszy oczami wyobraźni zbielełą z przerażenia twarz Bridgera. Nie chciałem ich okłamywać, Czytelniku, nie Utopian. Nie chciałem ich okłamywać, ale dla tego, co ukrywa się w owym domu, byłem gotowy to uczynić. Dopiero po kilku głębokich oddechach uświadomiłem sobie, że kłamstwa nie będą konieczne.

– Nie mam pojęcia. Nie przychodzi mi do głowy nic, co mogłoby łączyć ten basz z *Czarną Sakurą*, z Urządzeniem Gygesa albo z rozgrywkami politycznymi w Pasiece Mitsubishi. Wiem tylko, że

musimy bronić tego baszu bardziej niż czegokolwiek na Ziemi. Martinowi ufam. Martin nikogo nie skrzywdzi, ale opinia publiczna wie tylko o połowie tego, co się wydarzyło. Jeśli druga połowa wyjdzie na jaw i ludzie zażądają wielkiego pokazowego dochodzenia w sprawie baszu Saneer-Weeksbooth, to... naprawdę nie mógłbym przesadzić, mówiąc o skali zaburzeń, do jakich by to doprowadziło. – Przerwałem. W moim umyśle zapłonęły krwawą barwą liczby z sanktuarium cenzora: 33-67; 67-33; 29-71. Czy powinienem złamać przysięgę milczenia? Popełnić w dobrych intencjach zdradę, spowodować wyciek danych z najlepiej strzeżonego urzędu w Romanowie? A może zdołam wyrazić swe obawy, nie dopuszczając się zdrady? – Niektóre elementy tej sprawy wiążą się z przewidywaniami członków baszu Mardi.

W cyfrowych oczach nie widziałem ani ciepła, ani osądu.

– Co w tym dostrzegacie?

– Nie wiem – przyznałem. – Zakłócenie działania autolotów zaszkodzi wszystkim. Nie mogę nawet twierdzić, że Humanisci i Mitsubishi ucierpią bardziej niż inni, bo Masoni oraz Kuzyni mają więcej członków i w związku z tym częściej korzystają z systemu. Jedyń... – zakrztusiłem się – ...jedyń Pasięką, która nie poniesie strat, jesteście wy.

Oboje wlepili we mnie spojrzenia, bezgłośnie wymieniając dane za zasłoną woalek – nie wiem, czy ze sobą nawzajem, czy z odległymi członkami swej konstelacji. Tylko Utopianie byli odporni. Mieli własny system transportowy i nie obchodził ich basz pompujący krew sześciu Pasięk przez rozległe niebo Ziemi. Sześciu, nie siedmiu. Wspominałem już, Czytelniku, że Utopia nie rezygnuje z marzeń. Kiedy Utopianin umiera, z dowolnych przyczyn, nie zamyka się sprawy, dopóki nie zostanie rozwiązana. Upadek z wysokości? Przebudowują miejsce, w którym do niego doszło, by było bezpieczne. Przestępca? Nie spoczną, dopóki nie stanie się nieszkodliwy. Choroba? Będą prowadzić badania, aż znajdą lekarstwo, bez względu na czas i koszty, przez całe pokolenia, jeśli okaże się to konieczne. Wypadek autolotu? Stworzą własny system, który jest wolniejszy, mniej wydajny i bardziej czasochłonny, lecz nigdy nie kosztował życia ani jednego człowieka. Nawet w przypadku samobójstw zawsze ustalają przyczyny. Tak oto, cierpliwie, krok po kroku, rozbrajają śmierć. Rzecz jasna, ma ona mnóstwo różnych rodzajów broni i nawet jeśli zabrali jej sto

milionów, dysponuje wieloma innymi i nadal pozostają śmiertelni. Jak dotąd.

– Naprawdę myślicie, że to byliśmy my, prawda?

Swędzący dotyk łyzy na policzku po raz pierwszy uświadomił mi, że tak, rzeczywiście bałem się, że to oni, w głębi duszy, gdzie myśli nie przybierają jeszcze postaci słów. Zalała mnie fala oczyszczającej ulgi. To nie byli oni. To jakaś zmija ze znajomego gniazda zrobiła użytek z kłów. Nawet jeśli konstelacja może przybrać kształt żmii, gdy zstępuje do ich gniazda, w blasku gwiazd nie ma jadu.

Aldrin kazała swojej u-bestii zwinąć ekran.

– Rozpoczniemy obserwację systemu lokalizatorów. Gdy pojawi się kolejne zakłęcie, dowiemy się o tym niemal natychmiast i zawiadomimy Romanovę. Drugi atak będzie ostatnim.

Roześmiałem się w duchu. Wkrótce odbiorą śmierci Urządzenie Cannera. Trzydzieści lat temu postąpiłem słusznie, nawet nie próbując go kupić. Opakowanie mogło być skuteczną zmyłką przez dłuższy czas, ale gdybym użył autentycznego urządzenia, rozgniewana Utopia dopadłaby mnie już na drugi dzień. Nie tylko Utopianie stają się coraz mniej śmiertelni z każdą kolejną bronią odebraną śmierci. Nie tylko oni zachwycają się, widząc na ulicach jednorożce i manty, zaglądają przez gryfią skórę w kuszące wyimaginowane królestwa i latają wahadłowcami na wspaniały, nagi Księżyc, który z każdym dniem jest coraz mniej nagi. Wszyscy podziwiamy te cuda, Pasiekowi i Bezpasiekowi. Czytelniku, źle postąpiłeś, nie wpuszczając Apolla Mojave do Panteonu.

Rozdział czternasty

Interludium.

Wywiad z emerytowanym dziennikarzem Czarnej Sakury, Tsuneo Sugiyamą, przekazany przez Martina Guildbreakera

Mycroft Canner prosiło mnie, żebym zrelacjonowało ten wywiad, ponieważ było wówczas na przyjęciu u prezydenta Ganymede'a i nie widziało go na własne oczy. Bardzo gryzie się myślą, że gdy czytelnik otrzyma na jeden rozdział innego przewodnika, nie zechce dłużej ufać przestępcy. Dlatego prosiło mnie, bym już na początku stwierdziło jasno, że będę autorem tylko tego jednego rozdziału, a potem narracja wróci do Mycrofta.

Nalegało też, bym na początku przedstawiło siebie, swój basz i rodzinę, w zgodzie ze zwyczajami epoki, aczkolwiek muszę zauważyć, że samo złamało tę zasadę. Urodziłam się jako Mycroft Guildbreaker. Nie wiem, dlaczego Porfirogeneta, J.E.D.D. Mason, w szóstym roku swego życia zaczęło zwracać się do mnie imieniem Martin, ale jestem znane pod tym przydomkiem już od piętnastu lat. Mam trzydzieści dwa lata, urodziłam się drugiego lipca roku 2422. Basz Confraternidomitorów (po angielsku Guildbreakerów) ma dziedziczny charakter. Założono go w roku 2177 i od tego czasu zachowuje nieprzerwaną ciągłość. Moimi biologicznymi rodzicami są minister Charlemagne Guildbreaker Jr. i August Guildbreaker, obecnie romanowański pretor dla Pasieki Masonów, a poprzednio osobisty sekretarz cesarza Aeneasa Masona. (Mycroft chciało, żebym używał słowa „cesarzowa”, gdy mowa o MASONACH płci żeńskiej, ale uważam, że jego nacechowany płciowo język wprowadza zamęt, i dlatego przywróciłam tradycyjną formę „cesarz” zarówno w tym rozdziale, jak i w poprzednich wzmiankach Mycrofta o Agrippie MASONIE). Moi rodzice pochodzili od poprzednich cesarzy albo ich baszrodzonych – jedno od Tibera MASONA, a drugie od biologicznego

rodzonego Antonine'a MASONA, podczas gdy pozostała siódemka baszrów w moim rodzinnym baszu to Masoni co najmniej w trzecim pokoleniu. Zdałem egzamin dorosłej kompetencji w czternastym roku życia i natychmiast zostałem *familiarisem* cesarza. Następnie odbyłem *Annus Dialogorum* i w dzień jego ukończenia zostałem Masonem oraz towarzyszem Porfirogenety (dziecka cesarza), które miało wtedy cztery lata. Studiowałem w Augustiańskim Kolegium Prawa Multicentrycznego na Kampusie Aleksandryjskim, ukończyłem studia w wieku dwudziestu pięciu lat i jak dotąd w oczekiwanym wieku sprawowałem wszystkie urzędy wchodzące w skład *Cursus Honororum*. Nowe pokolenie mojego baszu sformalizowano, kiedy miałem dwadzieścia lat. Składa się ono z siedmiu osób, w tym czterech baszrodzonych, które odziedziczyły nazwisko Guildbreaker, i trójki ich przyjaciół z Kampusu Aleksandryjskiego. Jedno z tych ostatnich, pochodzące z chińskiego baszu mitsubishiańskiego, zostało moim małżonkiem i jest obecnie znane jako Xiaoliu Guildbreaker, *familiaris* i doradca cesarza. Jest dumne z tego, że dołączyło do baszu Guildbreakerów jako pierwsza od czterech pokoleń osoba, której baszrowie nie byli Masonami. Mamy trójkę dzieci, nazywają się Aeneas, Lissa i An, a także czworo innych badzieci, potomków naszych czterech współbaszowców, aczkolwiek muszę przyznać, że jestem dla nich raczej kimś obcym, jako że jestem wokerem, a moje obowiązki wobec młodego Porfirogenety powodują, że spędzam więcej czasu w jego baszu niż w swoim własnym. Choć spekulacje na takie tematy są zabronione, wiem, że wielu uważa mnie za potencjalnego następcę obecnego cesarza. Nie przywiązuję większej wagi do takich plotek.

Mycroft nie czuje się usatysfakcjonowane. Nalega teraz, bym dodało parę szczegółików, jakąś scenkę albo anegdotkę dla ożywienia tej listy suchych faktów. Jeśli jakieś wydarzenie rzeczywiście miało kluczowe znaczenie dla mojego życia, doszło do niego nocą, gdy zbliżałem się do czternastych urodzin. Wtedy właśnie po raz pierwszy wymieniłem dorosłe słowa z cesarzem. Czekałem na baszrów w małym ogrodzie w Pałacu Cesarskim. Wtedy nie zdawałem sobie z tego sprawy, ale to był smutny dzień dla Cornela MASONA, jako że *familiaris* Calavine Acton właśnie przyznało się do popełnienia Zdrady Amadora i cesarz zastanawiało się, czy nie skorzystać po raz pierwszy ze swej Władzy nad Życiem i Śmiercią. Dlatego też moi baszrowie zostali w pałacu długo po północy. Pamiętam małą fontannę. Była częściowo zatkana

i trochę wody tryskało w bok, na ławkę. Usiadłem na niej. Choć było mi zimno, cieszyłem się z wilgoci kamienia, która wzmacniała moją świadomość własnego ciała. Nie zauważyłem cesarza, dopóki nie odezwało się do mnie.

– O czym myśli dziecko w waszym wieku, że ma minę znacznie poważniejszą od mojej?

Pamiętam, że gdy uniosłem wzrok, MASON w pierwszej chwili było tylko ogromną, mroczną sylwetką, kolumną łączącą ciemność Ziemi z ciemnością nieba. Po chwili jednak drobniutkie kropelki sprawiły, że na jego garniturze pojawiły się błyski, jakby gwiazdy i światła stolicy mieszały się ze sobą i mnożyły w nowej przestrzeni, jaką ofiarowała im ta żywa istota.

Słowa cesarza zapamiętałem verbatim, ale nie mogę tego powiedzieć o wydukanych przeze mnie odpowiedziach. Rzekłem mu, że próbuję zdecydować, kiedy przystąpić do egzaminu dorosłej kompetencji i jak przygotować się do *Annus Dialogorum*. Nie wątpię, że owe zwyczaje przetrwają dłużej niż moje słowa, ale udzielę wyjaśnień, by zrobić przyjemność Mycroftowi. Gdy kandydat na MASONA zda egzamin i ukończy początkowe kursy masonskiego prawa i systemu rządów, przywdziewa na rok czystą biel i rozpoczyna „Rok Debat”, codziennie dyskutując z inną osobą o tym, co to znaczy być Masonem. Jeśli po trzystu sześćdziesięciu pięciu debatach nadal pragnie przyłączyć się do Imperium, nie musi już przechodzić dalszych testów.

– Jeśli macie wątpliwości, czy chcecie być Masonem, *Annus Dialogorum* je rozstrzygnie – zapewnił cesarz.

Moja odpowiedź brzmiała w przybliżeniu następująco:

– Nie o to chodzi, cesarzu. Nie mam wątpliwości, że będę Masonem. Nie mogę się doczekać, aż zacznę mówić po łacinie i nauczę się rozumieć władzę oraz posługiwać się nią, żeby wam służyć. Ale wiem, że jestem jeszcze młode. Jeśli odbędę *Annus Dialogorum* teraz, zrozumie z niego mniej, niż zrozumiałobym za kilka lat, i nauczę się w pełni, co to naprawdę znaczy być Masonem. Pragnę nim zostać już teraz, ale obawiam się, że zmarnuję *Annus*, a będę miało tylko jedno.

Następne słowa MASONA nie były skierowane do mnie, lecz do jego asystenta. Cesarz rozkazało wezwać moich baszrów, by byli świadkami mojej inwestytury jako cesarskiego *neposa*. Tej samej nocy – nie powiem „na moją cześć” – Cornel MASON stworzyło *Ordo Vitae Dialogorum*, „Zakon Życia dla Debaty”. Jego członkiem może zostać

każde z Masonów, a jego znakiem jest biały rękaw, permanentne zaproszenie do wdania się z noszącym w debatę o masońskim życiu, zachowujące ważność nie tylko przez jeden rok, ale aż po kres jego dni. Noszę go z dumą. Tej samej nocy obiecano mi też tytuł *familiarisa*, gdy tylko zdam egzamin dorosłej kompetencji, ponieważ zgodnie z Prawem Sojuszu niesamodzielny nie może zostać członkiem sił Cezara.

Od dawna już pragnęłam tych zaszczytów, a nawet się ich spodziewałam, ale każdego z nich w należytej kolejności, gdy na nie zasłużę, a nie wszystkich za jednym zamachem. Zapytałam z lekkim oszołomieniem cezara, dlaczego przyznało mi tak wiele w jednej chwili. To była moja prawdziwa inwestycja.

– Potrzebuję was. Będziecie moim instrumentem, moim dotykiem, moim głosem, moim reprezentantem w miejscach, do których obowiązki nie pozwalają mi dotrzeć, obrońcą masońskich interesów sprzeciwiającym się wpływowi pozostałych. Będziecie nauczycielem i przewodnikiem mojego syna.

Tej nocy poznałam Porfirogenetę.

* * *

Zdano już relację z pierwszego etapu mojego śledztwa w sprawie włamań do redakcji *Czarnej Sakury* i baszu Saneer-Weeksbooth. O godzinie 17:57 czasu uniwersalnego dnia 24/03/2454 zgłosiłam wniosek o pozwolenie na rozmowę z Tsuneo Sugiyamą. Wolałam spotkać się z nim osobiście, nie za pośrednictwem lokalizatorów. Zaproszono mnie do domu Sugiyamy, usytuowanego nieopodal Kanazawy w prefekturze Ishikawa regionu Chubu. Przybyłam na miejsce o 19:31 czasu uniwersalnego. Baszobudynek Sugiyamów jest dwupiętrową kamienicą, z obu stron stykającą się z podobnymi domami. Tsuneo Sugiyama ma osiemdziesiąt dziewięć lat, jest kobietą, ma sto sześćdziesiąt dwa centymetry wzrostu, ciemnobrązowe oczy, krótkie szarobiałe włosy i charakterystyczne żółte przednie zęby. Innych znaków szczególnych nie posiada. Sugiyama nosi zielony mitsubishiański garnitur o japońskim kroju. Przedstawiono na nim wiosenny wzór – powoje wspinające się po łodydze bambusa. Ma osiem grupowych odznak: na prawej ręce bransoletka japońskiej grupy narodowej i fan klubu Lune Cassirer, na marynarce znaczek Cechu Dziennikarzy i Klubu Zagadek Geograficznych, na butach

sprzączki narciarzy, na przedniej kieszeni marynarki znaczki klubu hodowców psów rasy shiba inu oraz Regionu Ishikawa, na lewym palcu serdecznym obrączkę Kampusu Nagoyańskiego, a na prawym małym palcu pierścionek Klubu Arcydzieł Literatury. Zaproponowało mi herbatę i przyjąłom poczęstunek. Formalny wywiad rozpoczęłam o godzinie 19:37 czasu uniwersalnego. Poniżej zamieszczam dosłowny zapis, przerywany moimi komentarzami:

Na początku rozmowy Sugiyama sprawiało wrażenie niezwykle zrelaksowanego, choć nie w żartobliwy lub jowialny sposób. Dopiero później zrozumiałam powody tego zachowania.

Guildbreaker: Dziękuję, że zgodziliście się ze mną porozmawiać, Mitsubishi Sugiyama. Zdajecie sobie sprawę, że rozmowa jest rejestrowana.

Sugiyama: Oczywiście, Masonie, oczywiście.

Guildbreaker: To tylko wstępny wywiad. Potem, gdy już będę miała okazję przeanalizować wasze wstępne zeznania, mogą was czekać bardziej szczegółowe sesje.

Sugiyama: Wiem, jak wygląda wywiad, młody człowieku.

Guildbreaker: A czy zdajecie sobie sprawę, że to wielopasiekowe dochodzenie? Jeśli powiecie mi o czymś, co dotyczy bezpieczeństwa innych Pasiek, będę prawnie zobowiązana poinformować pretorów oraz zainteresowaną Pasiekę, a w przypadku Bezpasiekowych Biuro Trybunów.

Sugiyama: Wiedziałam, że zjawi się zewnętrzna policja. Nie miałyby sensu, gdybyśmy sami załatwiali tę sprawę.

Guildbreaker: Nie jestem policjantem, tylko multiprawnym śledczym. Moja ekipa zajmuje się wstępnymi etapami dochodzenia, ponieważ sprawa dotyczy bezpieczeństwa wszystkich siedmiu Pasiek. Dlatego powinno się zachować maksymalną dyskrecję. Gdy już interesy wszystkich stron będą zabezpieczone, policja zatrzyma sprawcę.

Sugiyama: Wykorzystujecie Utopian, żeby wykonali za was czarną robotę, prawda? Wiem, jak to działa. Pisałam relacje ze sprawy Mycrofta Cannera.

Guildbreaker: Na początek, czy to prawda, że nie jesteście autorem listy Siedmiu i Dziesięciu skradzionej przed dwoma dniami z biura Czarnej Sakury, a następnie odzyskanej przez policję?

Sugiyama: To prawda, ale nikt poza Czarłą Sakurą nie wiedział, że nie będę jej pisała w tym roku. Listy Siedmiu i Dziesięciu są popularne

tylko wtedy, gdy piszą je znane nazwiska, a ponieważ *Czarna Sakura* jest tylko drugą pod względem znaczenia gazetą w Mitsubishi, Hagiwara-san wiedziało, że pozapasiekowe zainteresowanie spadnie, jeśli odbiorcy się dowiedzą, że to nie ja jestem autorem. To nie usprawiedliwia faktu, że próbowano przedstawić dzieło Masami-kun jako moje, ale rozumiem jego motyw.

Guildbreaker: Od jak dawno pracujecie w Czarnej Sakurze?

Sugiyama: Zaczęłam pracę u nich w roku 2382, pracowałam do 2386, potem studiowałam do 2390, wróciłam do pracy w gazecie do roku 2411, od 2411 do 2425 byłam freelancerem, następnie wzięłam dziewięć lat wolnego, żeby napisać książki, w trzydziestym czwartym wróciłam na pełny etat do *Czarnej Sakury*, a w zeszłym tygodniu przeszłam na emeryturę. Ten ostatni okres trwał w sumie dziewiętnaście lat, dziewięć miesięcy i jedenaście dni.

Sugiyama odpowiedziało na to pytanie z szybkością wskazującą, że z góry przygotowało wszystkie odpowiedzi. Lot do Chubu zajął mi czterdzieści sześć minut i najwyraźniej cały ten czas poświęciło na przygotowania. Przez wiele lat pracowało jako reporter i miało doświadczenie w przeprowadzaniu wywiadów, musiałam więc przyjąć założenie, że jeśli mnie okłamie, nie będę w stanie tego wykryć.

Guildbreaker: Przeszliście na emeryturę w zeszłym tygodniu?

Sugiyama: Nieoficjalnie. Bardzo wielu ludzi inwestuje w gazetę, licząc na to, że moje nazwisko przyciągnie nabywców. Dlatego uznaliśmy, że lepiej będzie poczekać i podać ten fakt do wiadomości pod koniec kwartału, gdy kontrakty wygasną.

Guildbreaker: Planowaliście przejście w stan spoczynku czy...

Sugiyama: Och, to było niespodziewane. Lekarze ciągle mi mówią, że mam przed sobą jeszcze pięćdziesiąt lat życia, ale po siedemdziesięciu dwóch latach pracy jako dziennikarski woker doszłam do wniosku, że pora poświęcić więcej czasu rodzinie. Znając mnie, zapewne nie zniosę zbyt długiej bezczynności, ale na razie tak wygląda plan.

Guildbreaker: Jak dawno temu to zaplanowaliście?

Sugiyama: Nie planowałam tego. To była całkowicie spontaniczna decyzja.

Guildbreaker: Jaki był powód?

Sugiyama: Mój wnuk Aki próbowało popełnić samobójstwo.

Guildbreaker: Przykro mi. Czy wiecie dlaczego?

Sugiyama: Powodem była śmierć jego kochanka. Widzicie, Aki ma już dwadzieścia jeden lat i od siedmiu lat mieszka na Kampusie, ale nie zbliżyło się do nikogo na tyle, by myśleć o założeniu baszu, poza tylko jedną osobą. To było bystre irlandzkie dziecko z Pasieki Brillistów. Nazywało się Mertice O'Beirne. Miało wspaniały głos, ale było trochę niezrównoważone. Lubiło zdjęcia w stylu gore i słuchało canner beat. Niemniej miało duży potencjał. Byli ze sobą bardzo blisko. Aki chciało, żeby przyłączyli się razem do mojego baszu i kontynuowali go, zamiast zakładać nowy. Zawsze było blisko ze mną i z moimi współbaszowcami. Ale Mertice wolało zostać dłużej na kampusie, żeby się przekonać, czy znajdą jakichś rówieśników, z którymi będą mogli założyć nowy basz.

Guildbreaker: Jak zginęło Mertice?

Sugiyama: W wypadku autolotowym.

Guildbreaker: Wypadku autolotowym?

Sugiyama: Tak, tym nad miastem Meksyk. Dziewięć dni temu. Z pewnością o nim słyszeliście?

Guildbreaker: Tak.

Nigdy nie wyciągam przedwczesnych wniosków, ale również nie ignoruję danych, gdy pojawiają się przed moimi oczami. Tak, morderstwo nasunęło mi się na myśl jako możliwa do rozważenia teoria. Nie, intuicja nie podszeptała mi żadnej złowieszczej możliwości. Nie miałam nic oprócz faktów. Sugiyama nie mogło wiedzieć, gdzie znaleziono ukradzioną listę, nie miało więc powodu dzielić moich podejrzeń.

Sugiyama: Eksperci mówią, że to była wina samego Mertice. Najwyraźniej można gdzieś zdobyć urządzenie, które zakłóca system i doprowadza do zderzeń autolotów. Nazywa się Pudełko Ekscytującego Samobójstwa. W większości Pasiek sprzedaż podobnych rzeczy jest nielegalna, ale Humanieści upierają się, że to tylko sztuka dla sztuki, bez względu na to, co z tym zrobi nabywca.

Guildbreaker: Zatem wierzycie, że to było samobójstwo?

Sugiyama: Jak już mówiłam, Mertice było niezrównoważone. Nawet próbowało już przedtem samobójstwa. W ostatniej minucie, nim autolot wyrwał się spod kontroli, połączyło się z Aki i rozmawiało z nim. Mówiło okropne, chore rzeczy o śmierci i wieczności.

Guildbreaker: Czy Mertice wspomniało, że to było samobójstwo?

Sugiyama: Możecie poprosić policję o nagrania. Nie chcę ich słuchać.

Aki próbowało później wyskoczyć przez okno. Następnego dnia w domu powtórzyło próbę, ale wreszcie się uspokoiło. Minęła mi już złość na biedne Mertice. To dziecko z pewnością potrzebowało pomocy. Ale omal nie straciłam Aki i przyszło mi na myśl, że spędzam z nim za mało czasu, podobnie jak z badziećmi i współbaszowcami. To dlatego, że zawsze byłam wokerem.

Guildbreaker: I dlatego postanowiliście przejść na emeryturę?

Sugiyama: Zgadza się. Może napiszę jeszcze jedną książkę. Ale na razie spędzę tydzień z Aki i ze współbaszowcami. Może też z paroma osobami z rodzzonego baszu Aki. Muszę się odprężyć. Podoba mi się ta perspektywa. Ale kończę z wokerstwem. Wy też jesteście wokerem, nieprawdaż, młody człowieku?

Guildbreaker: Jestem.

Sugiyama: Czy policzyliście kiedyś, jaki procent czasu spędzacie w towarzystwie ludzi, którzy są wam najbliżsi?

Guildbreaker: Mój basz składa się z samych wokerów.

Sugiyama: Ha! Zatem nie ma dla was nadziei.

Nasunęła mi się myśl, że ta zmiana tematu może być celowym unikiem. Dlatego wróciłam do rzeczy.

Guildbreaker: A co z listą Siedmiu i Dziesięciu? To wy mieliście ją napisać.

Sugiyama: Tak. Gdy to wszystko się wydarzyło, zaczynałam pisać wstępniaki. Masami zaproponowało, że zrobi to za mnie i opublikuje oryginalną listę, ale ja nie lubię półśrodków.

Guildbreaker: Masami Mitsubishi jest waszym asystentem?

Sugiyama: Tak. To zdolne dziecko, ma pamięć jak słoń i poczucie humoru ostre jak brzytwa. Rozumiem, co Andō w nim widzi. Powiedziałam jednak Masami-kun, że jeśli chce napisać listę, powinno zrobić to samo. Niech to będzie jego lista, od początku do końca. Jest młode, a czasami potrzebujemy świeżych pomysłów. Powiedziałam Hagiwara-san, że pozycja Masami-kun, które jest członkiem baszu Andō-Mitsubishi, przyciągnie duże zainteresowanie, ale czy redaktorzy kiedykolwiek słuchają, co się im mówi?

Guildbreaker: Czy Masami wiedziało, kto jest na waszej liście?

Sugiyama: Znało tylko nazwiska trzech outsiderów. Masami-kun załatwiło dla mnie wywiady z nimi. Większość personelu *Czarnej Sakury* z reguły potrafi się domyślić, kto będzie na trzech ostatnich miejscach na naszej liście, bo wiedzą, z kim ostatnio

przeprowadzałam wywiady, ale nigdy nikomu nie wyjawiam kolejności Wielkiej Siódemki.

Guildbreaker: Zapisaliście ją?

Sugiyama: Oczywiście. Mam zapisaną w skrótovej formie kopię na papierze, a w komputerze nieukończone eseje o większości z nich. Wiem, co myślicie: Masami mogło uzyskać dostęp do mojego komputera. To prawda, mogło. Podobnie jak każdy z pracowników biura. Rzecz w tym, że widziałam już listę Masami i nie ma mowy, by stworzyło coś takiego, ujrzawszy przedtem moją. No wiecie, tak samo, jak można zauważyć, że artysta studiował dzieła innego, nawet jeśli nie kopiuje ich bezpośrednio.

Guildbreaker: Macie tu oryginalną listę?

Sugiyama: Wiedziałam, że o to zapytacie. Przetłumaczyłam ją dla was.

Guildbreaker: Dziękuję, ale muszę też zobaczyć oryginalną papierową listę, by sprawdzić odciski palców i inne ślady.

Sugiyama: Oczywiście, oczywiście, ale najpierw przeczytajcie moje tłumaczenie.

Przeczytałam wtedy tę listę. Papier był tego samego rodzaju, co znaleziony przez Mycrofta, ale autor pisał po angielsku bardzo niewprawnym charakterem. Czytając, nie byłem w stanie powstrzymać drżenia rąk. Nie posiadam żadnych wykraczających poza rozum i fakty mocy pozwalających dostrzec, że to, co widzę, ma wielkie znaczenie (ani nie wierzę w istnienie takich mocy), nie wątpię jednak, że niektóre umysły, odpowiednio wyszkolone, potrafią na pierwszy rzut oka dostrzec znaczenie danego obiektu, nim jeszcze szczegóły przełożą się na artykułowane myśli. Jeśli pokaże się prezydentowi Ganymede'owi obraz, potrafi on określić epokę jego powstania, szkołę malarską oraz wartość, nim jeszcze jego świadomość ogarnie pociągnięcia pędzla, użyte barwniki oraz cechy charakterystyczne stylu, które stały się podstawą tej oceny. *Princesse Danaë Mitsubishi*, choć nie zna się na sztuce tak dobrze jak prezydent, ma tyle doświadczenia, że przynajmniej potrafi rozpoznać szkołę. Podobnie jak *princesse* nie jest najlepszym na świecie ekspertem od spraw malarstwa, ja nie jestem czołowym specjalistą od rozpoznawania zagadek kryminalnych, ale gdy tylko przeczytałem listę, uświadomiłem sobie, że mam w rękach motyw:

- #1: Cornel MASON
- #2: Anonim
- #3: Sniper
- #4: Ziven Racer
- #5: Bryar Kosala
- #6: Felix Faust
- #7: Hotaka Andō Mitsubishi
- #8: *François Quesnay*
- #9: *Julia Doria-Pamphili*
- #10: *Lorelei „Cookie” Cook*

Guildbreaker: To jest... to jest Sniper zamiast prezydenta? I Racer zamiast Perry'ego?

Sugiyama: Chciałom wywołać trochę zamieszania.

Guildbreaker: Masami Mitsubishi o tym wiedziało?

Sugiyama: Wiedziało, że przeprowadziłom wywiad z Racerem, Julią i Cookie, ale z pewnością myślało, że to będą numery osiem, dziewięć i dziesięć. W gruncie rzeczy posunęłom się do tego, że zaczęłom pisać fałszywy artykuł o Ganymedzie, żeby każdy, kto sprawdzi moje pliki, doszedł do wniosku, że moja lista będzie zwyczajna. Przecieki są rzadkie, ale się zdarzają, a nie chciałom, żeby ktoś zepsuł niespodziankę. Bukmacherzy nawet nie przyjmują zakładów o to, czy do czołowej Siódemki dostaną się outsiderzy.

Guildbreaker: Czy Sniper wiedziało?

Sugiyama: Nie. Każda gazeta przeprowadza z nim wywiad dwa razy w tygodniu, jakie więc znaczenie może mieć jeden więcej?

Guildbreaker: Racer ma sens, ale dlaczego, jeśli wolno zapytać...?

Sugiyama: Wszyscy wiedzą, że Ganymede zdobyło w ostatnich wyborach taki wynik tylko dzięki poparciu Snipera. Gdyby nie to, że Sniper zawsze publicznie odmawia przyjęcia urzędu, byłoby już wiceprezydentem albo nawet współkonsulem.

Guildbreaker: Uważacie, że Sniper jest najważniejsze ze wszystkich Humanistów, bo pozwoliło prezydentowi Ganymede'owi wygrać?

Sugiyama: Nie tylko dlatego. Ganymede i Sniper często rozmawiają ze sobą za zamkniętymi drzwiami. Sniper bardzo uważa, by nigdy niczego nie przyznać, ale nikt nie zapewnia drugiej osobie prezydentury, nie żądając za to wysokiej ceny. Po co dzielić się władzą ze współkonsulem, kiedy można zaszantażować Ganymede'a i nie

chodzić na nudne spotkania? Spotkałam Snipera już setki razy i wiem coś o sposobie myślenia tego dziecka.

Guildbreaker: A Hotaka Andō Mitsubishi jest niżej nawet od Felixa Fausta?

Sugiyama: Kiedy znajdę czas, napiszę dla was streszczenie tych nieukończonych artykułów, chyba że macie wśród swoich ludzi kogoś, kto czyta po japońsku.

Guildbreaker: Ja czytam.

Sugiyama: Oczywiście. Tai-kun.

(Wyjaśnienie: Sugiyama ma na myśli J.E.D.D. Masona. Jak rozumiem, jego japoński przydomek kojarzy się z młodą osobą, która nosi koronę bądź jest jej bliska).

Guildbreaker: Pisząc to, zdawaliście sobie sprawę, że tak niska pozycja na liście rodzimej gazety będzie poważnym ciosem dla dyrektora Mitsubishiego.

Sugiyama: Porządny kop w jaja to najlepsza zachęta. Być może o tym nie wiecie, ale obserwuję politykę swojej Pasiaki już od osiemdziesięciu lat. Sytuacja nie wygląda dobrze. Zbyt długo pozwalaliśmy, by nasza pozycja się obniżała. Siedzimy biernie i przyglądamy się, jak Masoni rosną. To niedobrze. Ale dałam kopa nie tylko własnej Pasiece. Zostało trochę energii dla Humanistów i Europejczyków. Wszystkie trzy Pasiaki tego potrzebują. I Kuzyni również. Moje nieukończone artykuły wyjaśnią wam to dokładniej. Kiedy przechodziłam na emeryturę, było mi żal, że nie zostaną opublikowane, ale trzeba kiedyś przekazać stery młodszemu pokoleniu. Masami-kun również ma na swojej liście pewne interesujące nazwiska. Zwłaszcza Darcy Sok i księżę koronny Leonor to ciekawe propozycje. Dajcie dziecku rok albo dwa, a zrobi się lepsze ode mnie. A przynajmniej równie dobre. Być może.

(Zapytałam Mycrofta, co mam sądzić o tytułach grzecznościowych, których, mówiąc po angielsku, Sugiyama czasami używa, a w innych przypadkach nie. Nie potrafiło mi pomóc).

Guildbreaker: Czy zgodzilibyście się poddać Sesji Wzmocnienia Pamięci, by dokładnie przypomnieć sobie wszystko, co wydarzyło się w redakcji *Czarnej Sakury* w tygodniu poprzedzającym kradzież?

Sugiyama: Nie lubię, jak Utopianie pompują chemikalia do mojego mózgu.

Guildbreaker: To może mieć kluczowe znaczenie.

Sugiyama: Ale i tak tego nie lubię.

Guildbreaker: W takim przypadku pozostaje mi jedynie możliwość przysłania policyjnego specjalisty od przesłuchań, co potrwa znacznie dłużej. W swoim czasie poddałem się jednemu i drugiemu. Też nie lubię prochów, ale zdecydowanie wolę SWP.

Sugiyama: Zastanowię się nad tym.

Guildbreaker: Czas ma duże znaczenie.

Sugiyama: Potrzebuję co najmniej minuty na zastanowienie.

Guildbreaker: Oczywiście. Wiecie, na czym polega SWP? Czy chcecie się czegoś dowiedzieć o skutkach ubocznych?

Sugiyama: Robiłem to już przedtem. Po prostu tego nie lubię.

Guildbreaker: Muszę was również poprosić o przypuszczenia odnośnie do tego, kto jeszcze mógł widzieć waszą listę?

Sugiyama: Jesteście pewni, że wyciekła?

Guildbreaker: Wszystko wskazuje na to, że kradzież miała na celu zapoznanie opinii publicznej z waszą listą.

Sugiyama: Ja też tak pomyślałam. Ktoś w Czarnej Sakurze zobaczył tę listę i nie mógł znieść myśli, że pozostanie tajemnicą.

Guidbreaker: Albo kogoś przekupiła jedna z Pasiek, które na tym skorzystają.

Sugiyama: W ogóle nas nie znacie, prawda? *Czarna Sakura* nie jest zwyczajną gazetą, jak *Le Monde* czy *Shanghai Daily*. Nasza redakcja składa się wyłącznie z wokerów, a nawet więcej, fanatyków z obsesją na punkcie kultury japońskiego Mitsubishi. Zdarza się, że spędzamy w redakcji cały tydzień, nie śpiąc ani przez chwilę, rzadko widzujemy się z baszami i nie znam nikogo spośród nas, komu udaje się wydać całą pensję. Naprawdę nie mamy nic oprócz pracy. Większość z nas nie wiedziałaby, na co wydać łapówkę, gdyby im ją zaproponowano, a wielu zapewne rzuciłoby się z pięściami na każdego, kto zasugerowałby celową manipulację treścią artykułu. Zawsze istnieje możliwość, że do redakcji zakradł się ktoś obcy, ale jeśli winnym jest ktoś z *Czarnej Sakury*, motywem było pragnienie zapoznania opinii publicznej z moim ostatnim wielkim dziełem, a nie pieniądze czy władza.

Guildbreaker: A co z tym młodszym redaktorem? Z tym, kto ujawnił fakt kradzieży i zastąpienia artykułu? Hikaru Nakaharą?

Sugiyama: Kierowało nim dziennikarskie sumienie, nie pieniądze. Gdybyście znali Nakahara-san, wiedzielibyście, że zapewne

zastanawiało się przez całą noc, czy wszystko ujawnić, czy raczej złożyć rezygnację. No cóż, zapewne w grę wchodziła też ambicja. Kiedy Hagiwara-san ustąpi, Nakahara-san najprawdopodobniej zajmie jego miejsce, a dzięki temu całemu zamieszaniu liczba czytelników wzrośnie gwałtownie. Jeśli groźni przestępcy uważali, że warto się do nas włamać...

Porfirogeneta: Imprimantur. (Tłumaczenie: „Niech będą wydrukowane”).

Uniosłem rękę, by uciszyć Sugiyamę, które nie usłyszało nowego głosu w moim lokalizatorze, ale zdziwiło się, widząc, że wyprostowałam się nagle. Inni zawsze mi mówią, że nie mogliby żyć z lokalizatorem nastawionym na permanentny priorytet – co oznacza, że osoba na drugim końcu połączenia może bez mojej wiedzy patrzeć i słuchać przez mój lokalizator i przemawiać do mnie znienacka. Nie ma żadnego sygnału ostrzegawczego i nie muszę też naciskać przycisku „Odbierz połączenie”. Po siedemnastu latach korzystania z przywileju polegającego na tym, że żadnej scenie nie muszę przyglądać się sam, a słowa Porfirogenety docierają do mnie bez zwłoki, nie potrafiłbym już żyć bez niego.

Guildbreaker: Quae? (Co?).

Porfirogeneta: Indices. Collectis auctoribus, petitum est ut indices perendie cum aliis pervulgare liceat. Nihil obstat. (Listy. Na prośbę współpracowników [Sugiyamy?] zgłoszono wniosek, by pojutrze udostępniono je wszystkim. Niech nic temu nie przeszkodzi).

Sugiyama: Co się dzieje?

Guildbreaker: Mam wam przekazać, że nie ma żadnych przeszkód, by Czarna Sakura opublikowała obie listy, waszą i Masami Mitsubishi, pojutrze, gdy inne gazety ogłoszą swoje.

Sugiyama: Właśnie miałem o to zapytać.

Guildbreaker: Tak, wiedziałam o tym.

Sugiyama: Czy to Tai-kun?

Guildbreaker: Tak.

Sugiyama: Tai-kun osobiście. To wielki zaszczyt dla mojej małej tajemnicy. Czy rozmawiało już o tym z dyrektorem Andō? Czy Dyrektoriat zaakceptował opublikowanie list?

Porfirogeneta po angielsku, cytowany verbatim przez Guildbreakera: Dyrektoriat nie ma prawa uciszać słów. Tylko ich autor może to zrobić. Ta kradzież mówi nam, że jakieś widmo pragnie, by waszą listę

ujrzały oczy całego świata. Nie wiemy w jakim celu. Publikując ją, służycie na ślepo owemu widmu, lecz służycie również prawdzie i łagodzicie wywołany ciekawością ból całej ludzkości. Musicie zdecydować, ale jeśli przed upływem dwóch dni uda się nam zidentyfikować owo widmo, wasza decyzja będzie mniej ślepa.

Sugiyama: Macie rację. Wezwijcie swoich Utopian, załatwmy to SWP.

Guildbreaker: Zrobicie to?

Sugiyama: Jeśli ma pomóc, to tak. Wasz Tai-kun ma rację, opinia publiczna musi się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi. Coś tu śmierdzi. Jacyś ludzie próbują wykorzystać mnie i moją gazetę. Jeśli mamy ich powstrzymać, musimy się najpierw dowiedzieć, czego chcą.

Guildbreaker: Dziękuję. Doceniamy waszą pomoc.

Sugiyama: To dobrze. Nie zgodziłbym się na SWP dla każdego.

Porfirogeneta, cytowany przez Guildbreakera: Godzicie się na nie dla prawdy i dobra. To szlachetna decyzja. Dziękuję wam.

TU KOŃCZY SIĘ DRUGI DZIEŃ TEJ OPOWIEŚCI

Rozdział piętnasty

Jeśli mnie złapią

Widzę, że Martin wprowadził do naszej opowieści słowo „morderstwo”. Technologia wyeliminowała umiarkowanie wyrafinowany typ przestępcy, który myśli, że jeśli umyje ręce i porzuci ciało daleko od domu, zbrodnia może mu ujść na sucho. W dzisiejszych czasach mordercy są albo samozwańczymi geniuszami, wierzącymi, że dzięki wymyślnym przygotowaniom uda im się przechytrzyć lokalizatory, testy DNA i całą praktykę oraz doświadczenie stróżów prawa, albo prostymi ludźmi, którzy nie mają złudzeń, że uda się im uniknąć kary. W dzisiejszych czasach trzech na pięciu zabójców natychmiast oddaje się w ręce sprawiedliwości, ponieważ działali w chwilowym gniewie bądź też w zimnym przeświadczeniu, że ich czyn jest wart tej ceny. Jeden na pięciu znajduje ucieczkę w samobójstwie. Tylko ostatni z tej piątki próbuje się ukryć. Całymi miesiącami rozmyślał i trudził się, by stworzyć doskonały plan. Nie udaje mu się. Rzecz jasna, są też zawodowcy, bo zorganizowana przestępczość zawsze będzie potrzebowała przemocy, ale oni również wiedzą, że pewnego dnia będą musieli uciec z Sojuszu i spędzić resztę życia na wolnych od lokalizatorów pustkowiach, bo inaczej ich złapią. Minęły już czasy, gdy policja zbierała dowody, przez kilka dni prowadziła przesłuchania, by na koniec odnaleźć chłopaka, byłą żonę albo rywala w interesach, którzy mieli sposobność i ją wykorzystali. Kiedyś pytałem komisarza generalnego Papadeliasa, czy woli kandydata na geniusza, który wyzywa detektywa na pojedynek umysłów, czy raczej „uczciwego” zbrodniarza, czekającego na miejscu zbrodni z rękami zbrukanymi krwią. Odpowiedział, że ten pierwszy zmusza go do większego wysiłku, ale z reguły więcej szacunku ma dla tego drugiego. Rozumiem go. Książę morderców, dodał Papadelias, Moriarty, na którego czekał, zrobiłby jedno i drugie, z filozoficznym spokojem zaakceptowałby nieunikniony koniec, ale nie zaprzestałby walki, wykorzystując całą swą siłę i spryt, by zachować wolność tak

długo, jak tylko się da. Myślę, że powinien spotkać żołnierza.

– Dzień dobry, Majorze!

– Mycroft! Wyglądacie, jakbyście padali z nóg.

Barki miałem tak zeszywniałe, że skrzywiłem się z bólu, przechodząc pod plastikową płachtą maskującą wejście do groty Bridgera. To radosna jaskinia, jej ściany wyłożono pianką w jaskrawych kolorach. Wykopały ją roboty wydobywające śmieci z kopalni pod Cielo de Pájaros. Wewnątrz gromadzą się najcenniejsze odpadki z wysypiska. Bridger ma prawo pierwszego wyboru. Kolorowe kulki, piłki, trójkołowe rowerki, samochodziki, fragmenty dziesiątków domów dla lalek tworzące razem coś w rodzaju pałacu, całe góry książeczek dla dzieci, ciężkich jak cegły. Na gniazdo składały się również bardziej higieniczne elementy dostarczone przeze mnie – koce, poduszki, ubrania, odtwarzacze filmów, cyfrowe czytniki, porządne farby i papier, a także półka z prawdziwym jedzeniem – ryż, ciasteczka w kształcie zwierzątek, boczek błyskawiczny i inne rzeczy, które chłopcu zbyt trudno byłoby zrobić z błota i trawy.

– Miałem wczoraj ciężki dzień – odpowiedziałem.

Major przeciągnął się na bujanym fotelu ustawionym na dachu różowego plastikowego zamku i wyłączył ręczny wyświetlacz wiadomości, w porównaniu z nim wielki jak billboard.

– Spaliście trochę?

Skrzywiłem się z poczuciem winy na twarzy.

– Zdrzemnąłem się chwilę, lecąc tu z Romanovy.

Major zawsze oddycha głęboko, jakby lubił smak powietrza.

– Czy mamy się spodziewać dziesięciu rodzajów kłopotów, czy tylko dwóch?

– Jest niedobrze, panie Majorze – odparłem, ciesząc się, że znalazłem się w towarzystwie, w którym mogłem użyć tego tytułu, nie przyciągając zdziwionych spojrzeń. – Jeszcze nie wiem, jak bardzo źle.

– Źle daleko czy źle tutaj?

– Jedno i drugie. Przed chwilą rozmawiałem z Lesley Saneer. Wczoraj dom odwiedziła bardzo niebezpieczna osoba. Senseista w historycznym kostiumie, znany jako Dominic Seneschal.

– Wiem. Przeszukiwało pokój Thisbe całymi godzinami.

Skinąłem głową.

– Rozsądnie będzie przyjąć założenie, że Dominic znalazło wystarczająco wiele dowodów świadczących, że w pokoju przebywali

niezarejestrowani obcy. – Usiadłem na znalezionym wśród odpadków metalowym krześle, które przyniosłem tu dla siebie. Stało między zamkiem Majora a pomalowanym na biało kartonowym pudłem, przetworzonym przez moc Bridgera w działającą lodówkę. – Starąłem się wczoraj posprzątać jak najlepiej, ale ostatnio czuliśmy się w domu zbyt swobodnie i nie przejmowaliśmy się maleńkimi dowodami, takimi jak płatki skóry. Nie jesteśmy przygotowani na to, by wymknąć się zawodowcowi.

Major skinął głową, w zrelaksowanym, lecz ciężkim geście pacjenta, który domyślił się już najgorszego, nim jeszcze lekarz dotarł do słowa „śmiertelna”.

– Mierzyliście się już z tym Dominikiem?

– Znam go dobrze, choć nie skrzyżowaliśmy jeszcze oręża. Ale Dominic rzeczywiście nosi szpadę i zabiło kilku przeciwników w pojedynkach. To nie jest przeciwnik, którego moglibyśmy pokonać. Pora przenieść się w inne miejsce.

Weteran skinął powoli głową. Jego westchnienie było ciężkie, a zarazem niespokojne.

– Czy Bridger... – Nie musiałem kończyć. Przez plastikowe drzwi do środka wpadły światło i uśmiechy.

– Mycroft!

– Ugh!

Chłopak już od dawna był za ciężki, by siadać mi na kolanach, ale nadal sobie tego nie uświadomił.

– Celujący przeczytało mi kolejny fragment Nędzników! – Gdy na mnie włąził, jego łokcie ugniatały moje żebra, a nogi nie mieściły się na krześle. Wyglądał jak krab pustelnik, który potrzebuje nowej muszli. – Myślę, że Jean Valjean i Odyseusz bardzo dobrze dogadaliby się ze sobą. Nie sądzicie? Mogliby porozmawiać o tym, jak to jest wyruszyć w bardzo długą podróż o wielu etapach i nigdy nie wiedzieć, czy jej koniec jest już blisko. Założę się, że Odyseusz potrafiłoby podpowiedzieć Valjeanowi wiele bardzo sprytnych pomysłów na to, jak się przebrać, żeby nigdy go nie złapali!

– Zapewne tak.

Zauważyłem, że Bridger potrzebuje też nowych spodni. Pod kończącymi się coraz wyżej nogawkami pojawiał się coraz dłuższy odcinek skarpetek. Miał już trzynaście lat i wkrótce zacznie rosnać naprawdę szybko. Będziemy musieli odgadnąć, jaki wzrost osiągnie,

i nauczyć go golenia się.

Dzieci rzadko zauważają, czy ich słuchamy, czy nie.

– Myślałam o tym, co opowiadaliście mi wcześniej, o tym, że greccy herosi są ulubieńcami bogów, i to dobrze, ale zarazem też źle, bo to znaczy, że zawsze przytrafiają się im okropne rzeczy związane z bogami, nigdy nie mogą odpocząć i wszyscy wokół nich ciągle giną, jak załoga Odyseusza. To samo spotyka Jeana Valjeana. To również wybraniec bogów. Dlatego założę się, że ono i Odyseusz mogliby bardzo pomóc sobie nawzajem. Odyseusz mogłoby wymyślić jakiś sprytny plan, który pozwoliłby im zarobić mnóstwo pieniędzy i nakarmić wszystkich głodnych w Paryżu!

Zaskoczył mnie. Moje myśli początkowo podążyły w zupełnie innym kierunku. Próbowałam sobie wyobrazić, jaką pomysłową barykadę mógłby skonstruować Odyseusz. Potem jednak ujrzałem oczami ducha całą rozmowę tak, jak wyobraził ją sobie Bridger. Dwóch wędrowców dzielących się chlebem i znajdujących pocieszenie w widoku drugiej pary oczu równie znużonych jak ich własne. Major gapił się na mnie złowrogo. Przypomniałem sobie obiekcje, jakie zgłaszał, gdy kopalniane roboty wyciągnęły ze śmietnika naprawdę stary papierowy egzemplarz Nędzników, jakimś sposobem nadal czytelny. Nie miałem serca zabronić Bridgerowi przeczytać książki, ale gdy opowiadałem mu historie, zawsze płakał, nawet wtedy, gdy ginął „ten zły”, a teraz widzieliśmy, jak zakładka posuwa się milimetr po milimetrze przez arcydzieło, przy którym płaczą nawet pozbawieni złudzeń dorośli. Wszyscy lubimy sobie wyobrażać szczęśliwe zakończenia takich książek, wybieramy stronę i akapit, w którym chcielibyśmy wejść do środka tekstu i przenieść niewinne ofiary w bezpieczne miejsce. Ale tylko jeden z nas naprawdę może to zrobić. Potrzeba do tego tylko kilku sklepowych manekinów, kostiumów i cudu.

– Nie mam pewności. – Musiałem się zmusić do odpowiedzi. – Nie wiem, czy Odyseusz mogłoby się przyzwyczaić do armii wyposażonych w broń palną albo do ludzi, którzy wierzą w jednego Boga, a nie w wielu. Wiecie, że ludziom bardzo trudno jest przywyknąć do życia w świecie zupełnie innym od tego, w którym się urodzili.

Pogłaskałem chłopca po włosach, nie przestając zastanawiać się nad przyszłością. Tak, będziemy musieli odgadnąć, jaki wzrost osiągnie,

i nauczyć go się golić, a także samodzielnie podejmować takie decyzje, zamiast być grzecznym chłopcem i słuchać nas, gdy powiemy mu „nie”.

Z twarzy Bridgera nie zniknął uśmiech.

– Może Achilles nie potrafiłoby się przyzwyczaić do broni palnej, ale Odyseusz z pewnością tak. To najsprytniejszy człowiek w dziejach. Jeśli umiało się obchodzić z nimfami, bogami, boginiami, duchami i cudzoziemcami, z Francuzami też by sobie poradziło.

– Zapewne tak, ale nie widzę, jak to mogłoby się skończyć dobrze. Odyseusz przez dziesięć lat nie mogło znaleźć drogi na Morzu Śródziemnym, a we Francji miałoby do czynienia z całym Atlantykiem. – Znowu pogłaskałem go po włosach. Ich blond barwa zaczynała już ciemnieć. – Wiecie, że to bardzo smutna książka, tak? *Nędznicy*. Słynie z tego.

Bridger nie nauczył się unikać spojrzeń innych. Zawsze szczerze patrzy wszystkim w oczy.

– Wiem. Porucznik Celujący opowiedziało mi już część tego, co się wydarzy. Będę przygotowane.

Czasami zapomniałem, że nie byłem jedynym pseudorodzicem Bridgera.

– Dlaczego ludziom podobają się smutne książki? – zapytał chłopiec.

– Wam się podoba ta książka – zauważyłem.

– Ale podobałaby mi się bardziej, gdyby nie była smutna. – Oparł głowę na moim barku. – Gniewam się na autorów, kiedy robią takie rzeczy postaciom.

– Niektóre książki muszą być smutne, by wyrazić myśli, jakie chcą przekazać autorzy. Victor Hugo opisuje bardzo smutne chwile prawdziwej historii. Chce, żeby czytelnik zrozumiał te wydarzenia. To, co było w nich piękne i co było straszne. Książki, nawet wymyślone opowieści, nie mogą zawsze mieć szczęśliwego zakończenia, ponieważ są odbiciem świata rzeczywistego, a ten świat nie zawsze jest szczęśliwy.

Major pokiwał głową z mądrą miną.

– Historię piszą zwycięzcy, ale książki takie jak ta wychodzą spod pióra naocznych świadków, którzy próbują odgadnąć, co powiedziałyby ofiary, gdyby przeżyły.

– I co z tego? – Chłopiec usiadł nieostrożnie, uderzając mnie łokciem w brzuch. – Nawet jeśli to wina prawdziwego życia, że zdarzają się złe

rzeczy, to jeszcze nie znaczy, że nie są złe. Czy nie wściekacie się na to, Mycroftie? Majorze? Wszystko jedno, czy to fikcja czy prawdziwe życie? Czy się nie wściekacie?

Skinąłem głową.

– O takich sprawach powinniście porozmawiać z senseistą Carlyle’em.

Major oparł się wygodnie. Jego maleńkie ręce zwisały z ramion fotela.

– Gniew nie pomaga. Ludzie piszą takie książki, bo chcą, żeby historia pamiętała, żeby żałowała tego, co się wydarzyło, i żeby takie rzeczy nigdy już się nie powtórzyły. – Jego głos był łagodny, jak u króla, który abdykował i cieszy się, że jego słowa znowu są tylko słowami, a nie rozkazami. – Większość postaci w tej opowieści była gotowa oddać życie za swoje przekonania. Można śmiało przyjąć, że gdyby miały wybór, zgodziłyby się znieść te wszystkie cierpienia, żeby ludzie w świecie rzeczywistym nie popełnili już więcej tych samych błędów.

Bridger skinął głową, nie jak ktoś, kto dał się przekonać, ale jak dziecko gotowe zaakceptować odpowiedzi starszych, nim samo będzie miało okazję sprawdzić, jak jest naprawdę.

– Czy Thisbe jest w domu?

Chłopiec wytarł nos w rękaw, udając, że tego nie robi.

– Poszło spotkać się z Carlyle’em. Senseista ma tu wrócić.

– To dobrze. Podobała się wam wasza rozmowa?

– Nie. Ale jak już się skończyła, było w porządku.

Spojrzałem na niego z zasepioną miną.

– Nie lubicie Carlyle’a?

– Lubię. – Znowu uśmiechnął się jak cherubinek. – Ale nie podobało mi się to, o czym musieliśmy rozmawiać. Tym razem wolałbym pomówić o czymś weselszym.

Spojrzałem mu prosto w oczy.

– Bridgerze, zadaniem Carlyle’a jest pomóc wam mówić o trudnych sprawach.

– Wiem. – Obrócił się na bok, wybijając mi przypadkiem powietrze z płuc. – Chyba możemy porozmawiać o trudnych sprawach. O smutnych książkach, przez które się gniewam.

Pogłaskałem go po włosach.

– Powinniście porozmawiać z senseistą o tym, co powiedzieliście mi przedtem. Że czasami gniewacie się również wtedy, gdy złe rzeczy

zdarzają się w prawdziwym życiu, tak samo jak złościacie się na autorów smutnych książek. Carlyle może wam opowiedzieć o filozofach, którzy mówili o podobnych sprawach.

– O gniewie?

– O myśleniu o świecie w taki sam sposób, jak myśli się o książce. Byli filozofowie zwani deterministami, którzy czasami mówili, że stwórca świata jest jak autor wielkiej księgi, w której wszystkie wydarzenia w historii są zapisane z góry. Uważali, że świat również ma autora.

– A czy ci deterniści...

– Determiniści – poprawiłem go.

– Czy ci determiniści też gniewali się na Boga za to, że uczynił świat smutną książką?

– Niektórzy tak, ale inni twierdzili, że Bóg miał powód, by napisać smutną książkę, tak samo jak Victor Hugo, albo że ta książka tylko wydaje się nam smutna, bo jesteśmy w jej środku, ale kiedy przeczyta się całą od początku do końca, zobaczy się szczęśliwe zakończenie. Carlyle może powiedzieć wam więcej na ten temat.

Uśmiechnął się. Dobrze było wiedzieć, że Bridger może się uśmiechać na myśl o spotkaniu z kimś, kogo ledwie znał.

– Wolę szczęśliwe zakończenia.

Raz jeszcze pogłaskałem go po włosach.

– Czy Mama Lalka jest w domu?

– Jestem tutaj. Poczęstujcie się ciastkami.

– Hura!

Chłopiec wybrał najatrakcyjniej wyglądające placki z błota z jej tacy. Przechodząc przez jego ręce do moich, zmieniły się w gorące pierniczki. Mama Lalka to żywe wcielenie czułości. Ma trzydzieści centymetrów wzrostu, różowe policzki, błyszczące szklane oczy i nigdy nieznikający z twarzy uśmiech. Jej małe paluszki wyglądają uroczo jak u niemowlęcia aż do chwili, gdy ich dotkniemy i uświadomimy sobie, że ich dziecięca grubość bierze się ze stwardnień pozostałych po dziesięcioleciu ciężkiej pracy, a fartuch jest pełen barwnych łat, które wyglądają wesoło, jeśli nie myśli się o rozdarciach i plamach kryjących się pod spodem. Parokrotnie zauważyłem, że zlewał ją pot, gdy podnosiła piezzonego kurczaka ważącego dwukrotnie więcej od niej, albo robiły się jej krwawiące pęcherze, gdy za pomocą swej miniaturowej miotły toczyła bój z realnymi pajęczynami. Nie ma ludzi, którzy nigdy się nie skarżą, ale

ona jest szalonym wcieleniem marzeń dziecka i jej możliwości daleko wykraczają poza ludzkie.

– Czy są pyszne? – zapytała, przyglądając mi się zbyt mocno błyszczącymi oczami.

– Tak!

– Zrobiłam też trochę dla Majora. Widzicie?

– Mmm!

Chłopiec, który miał już pełne usta, wziął z brzegu tacy kilka ciastek wielkości pigulek i przekazał je Majorowi.

Ten je przyjął.

– Dziękuję.

– Za chwilę przyniosę mleko do ciasteczek.

– To będzie musiało poczekać. Jesteście nam tu potrzebni.

Major wyprostował się na fotelu.

Mama Lalka uniosła ręce. Na ten sygnał Bridger uniósł ją i posadził między moją a swoją pierś. Pod spódnicą z falbankami jest ciepła, ale to niepewne ciepło noworodka, które w każdej chwili może zgasnąć jak zdmuchnięta świeca.

– Co się stało?

Major milczał, zmuszając mnie, bym odezwał się pierwszy.

– Nie jesteśmy jeszcze pewni, ale musimy się przygotować na możliwość, że będziemy musieli szybko opuścić to miejsce.

Bridger splunął mi kawałkiem ciastka w oko.

– Opuścić?

– Przykro mi. Niewykluczone, że obcy wkrótce przeszukają tę okolicę. Gdyby się zjawili, musimy być gotowi do szybkiej ewakuacji.

Słyszałem pomruki pozostałych żołnierzy, zbierających się w pobliskiej wieżycy, cichutkie jak głosy owadów.

– Obcy tacy jak Carlyle? – zapytał Bridger.

Potrząsnąłem głową.

– Niebezpieczni obcy. W baszu Thisbe dzieją się złe rzeczy. Ludzie, którzy go odwiedzają, mogą przyjść także tutaj. Musimy spakować wasze najważniejsze rzeczy do kilku toreb, żebyśmy mogli przenieść je we dwóch.

– I Thisbe – poprawił mnie chłopiec. – Wy i ja, i Thisbe.

Major pokręcił głową.

– Nie. Jeśli w sprawę włączy się policja i prasa, przez pewien czas nie będziemy mogli widywać Thisbe.

– Ale...

– Bridgerze. – Mama Lalka pogłaskała palcami policzek chłopca. – Pamiętajcie, że najważniejsze jest wasze bezpieczeństwo. Mam rację, Mycroftcie?

Nadal pozostawałem pod wpływem Victora Hugo i przez chwilę nie byłem w stanie odpowiedzieć. Zastanawiałem się nad tym, co rodzice robią dla dzieci. Od ilu pokoleń nie mieliśmy żołnierzy, patriotów ani prozelitów? Nic, za co warto by ginąć. Poza dziećmi.

– Oczywiście – potwierdziłem. – Bezpieczeństwo Bridgera stoi na pierwszym miejscu. Wiem, że Thisbe się z tym zgadza. Wkrótce znowu będzie bezpiecznie i będziemy mogli spotykać się, ile tylko zechcemy, ale dopóki kręci się tu policja, nie możemy sobie na to pozwolić, a dopóki obcy ludzie przeszukują okolicę, musimy być gotowi do ucieczki.

Za koszulę złapały mnie dłonie prawie tak duże, jak dorosłego mężczyzny.

– Ale wy nadal będziecie z nami, prawda Mycroftcie? Będziecie mogli nas odwiedzać.

– Oczywiście – potwierdziłem z radością i pogłaskałem go po włosach. – Mnie nikt nie zdoła śledzić.

Za tę moc, która nadal mnie nie opuściła, podziękowałem odległym twórcom Urządzenia Gygesa.

– W porządku. Postaram się spakować. – Uśmiechnął się najszerzej, jak potrafił. – Czy będzie bardzo źle, jeśli mnie złapią?

Tylko Major mógłby odpowiedzieć na to pytanie chichotem.

– Nie tak źle, jak mówi Przykucnięty. Mamy plan. Mycroft Canner zna wiele potężnych osób, które mogą nas ochronić. Wybraliście już jedną z nich, Canner? Do kogo najlepiej się zwrócić? Do cenzora? Vivien Ancelet może wiele i jest pozbawione ambicji. Co więcej, jako Bezpasekowy zapewni, że Bridger nie wpadnie w ręce żadnej z Pasiek.

Zamknąłem oczy, szukając siły w ciepłe ciała chłopca.

– Gdy przyjdzie na to czas, to będzie J.E.D.D. Mason.

– Wiedziała! – Głos Thisbe przebił się przez plastikową zasłonę. Sama czarownica zjawiała się tuż za nim. – Znacie J.E.D.D. Masona, wiedziałam, że znacie! Nie chcecie się do tego przyznać, ale zorientowałam się, bo zawsze spuszczaście wzrok, kiedy słyszycie jego nazwisko. Powiedzcie mi wszystko, co o nim wiecie, Mycroftcie, i to

natychmiast!

Miała na sobie domowy szlafrok, a na nogach niedopięte buty, Carlyle Foster szedł tuż za nią, drżący, pobladły i udręczony.

– Co się stało? – zapytał natychmiast Major.

Ponieważ wydukane przez Thisbe wyjaśnienia z pewnością by Cię nie zadowolili, Czytelniku, cofnę się teraz w czasie i najlepiej, jak potrafię, zdam relację z porannego spotkania, które niczym zaćmienie słońca zawsze miało się wydarzyć, lecz wywołało w naszych duszach drżenie, gdy ujrzelśmy, jak kosmiczny mechanizm zmienił dzień w noc.

Rozdział szesnasty

Nie zdołacie tego odwlekać bez końca, Mycrofcie

Nie byłem przy tym obecny, ale naoczni świadkowie opowiadają, że poranek zaczął się spokojnie i sennie, jak zwykle po święcie. Niebo przesłaniały gęste chmury, białe niczym płótno. Niezliczone stada zamieszkujących miasto ptaków unosiły się na jego tle, rzucając wyzwanie: „Ludzie, przechwalacie się, że panujecie nad niebem, ale w rzeczywistości pędzicie przez nie jak szaleńcy, podczas gdy my po prostu się na nim bawimy”.

Głos Cato, gdy dobiega z jego pokoju, zwykle jest tak cichy, że nie można go nawet nazwać szeptem.

– ¿Czy jest bezpiecznie?

Jako dobrzy humaniści mówili w domu po hiszpańsku i w tej relacji staram się to oddać.

Eureka jak zwykle leżało na podłodze w cieniu prototypu *Mukty*, maszyny, która jest przodkiem krwi naszego świata.

<tak, cato, jest bezpiecznie, dzis nie ma tu strasznych senseistow.>

– ¿Gdzie Cardie?

<spi na gorze.>

– ¿A Ockham?

<ockham i lesley tez poszli do lozka, nawet bliznieta spia, a sidney jest na gorze i cwiczy na trenazerze. tylko ja i thisbe jestesmy tutaj, nie ma nikogo niebezpiecznego.>

– ¿A czy Thisbe ma na nogach buty?

<nie. siedzi na sofie i pije herbate.>

Wyobraź sobie, że Cato Weeksbooth najpierw wysuwa z pokoju jedną stopę, jakby sprawdzał temperaturę wody, a potem, gdy się nie oparzył, wychodzi na korytarz. Na swój sposób wygląda majestatycznie – biały fartuch powiewający niczym peleryna, czarne włosy, gęste jak lwia grzywa, choć sztywne i rozczochrane, jak po elektrowstrząsie. Nie jest szalonym naukowcem. Bezlitosna natura nie dała ludziom długości życia potrzebnej, by opanować wszystkie

gałęzie nauki, i dlatego żaden samotny geniusz w swym tajnym laboratorium nie zaleje świata robotami, mutantami czy klonami stworzonymi pod wpływem obłąkanego kaprysu. Potrzeba by do tego całej ekipy, wielkich pieniędzy oraz dziesięcioleci pracy. Niemniej jeden człowiek może kochać wszystkie gałęzie nauki, nawet jeśli nie jest w stanie ich opanować, i może też stanowić inspirujący dzieci wzór szalonego geniusza, nawet jeśli nie jest w stanie zostać nim w rzeczywistości. Doktor Cato Weeksbooth jest szalonym popularyzatorem nauki. Wszystkie godziny, których nie poświęca systemowi autolotów, spędza w swym ukochanym muzeum, pogrążając się w ekstazie pokazywania i omawiania. Zna każdą dyscyplinę wystarczająco dobrze, by być w stanie odpowiedzieć na niemal wszystkie pytania dzieci, a nawet jeśli czegoś nie wie, mówi im, żeby dorosły i same znalazły odpowiedzi.

– Idę do muzeum – oznajmił.

– Za dwie godziny macie tu dyżur.

Thisbe spędza wolne poranki, siedząc na kanapie przy oknie i gapiąc się na niebo nad swoją herbatką z rumianku.

– Pieprzyć to.

– Nie zastąpię was. Przed chwilą skończyłam nocną zmianę. Idę spać.

– Niech Cardie mnie zastąpi. Jest mi coś winne za wczorajszą noc.

– To prawda.

<widziałom relacje. wygladaliscie, jakbyście mieli zlac sie w portki.>

– Bo się zlałam. ¿Gdzie są moje buty?

– Tam. – Thisbe wskazała ręką. – Mycroft je wyczyściło.

Stały w kącie. Cato zaprojektował je osobiście. Gryfia skóra, gdy była aktywna, wyświetlała ciągle się zmieniający cykl kości, naczyń krwionośnych, szkieletu i sygnatury cieplnej stóp, czasami ludzkich, innym razem zwierzęcych albo należących do robotów. Elastyczne przeguby zginają się niczym ścięgna. Jaki podręcznik mógłby być lepszy?

Thisbe twierdzi, że Cato się uśmiechnął, ale Eureka, ślepe w objęciach komputera, nie może tego potwierdzić.

– ¿Kiedy tu było? – zapytał.

– Wyszło przed chwilą. Powiedziało, że będzie się tu zjawiać jak najczęściej, żeby nam pomóc, dopóki zagrożenie nie minie.

– To znaczy, że ci dwaj szaleni senseiści wrócą?

Thisbe siorbnęła łyk aromatycznej herbatki.

– Oni nie mają ze sobą nic wspólnego. Mycroft mówi, że Dominic Seneschal to groźba, ale Carlyle jest naszym sojusznikiem.

– ¿Wierzycie mu?

– Tak. Carlyle jest w porządku. Lesley i ja byliśmy pod wrażeniem, do tego stopnia, że prosiliśmy, by wróciło i spotkało się z tym z bliźniąt, które zdoła złapać, albo z wami. Musicie się zgodzić na sesję, Cato. To wam dobrze zrobi.

Cato musi bardzo ostrożnie zapinać buty, żeby nogawki jego szpitalnego kombinezonu nie włożyły w zamek.

– Dziękuję, nie skorzystam.

<nie damy rady was zastąpić, cato. musicie się zobaczyć z senseistą albo wasz psychiatra znowu skieruje was do kliniki na obserwację.>

Eureka przypomina sobie, że jego brat tupnął gniewnie w podłogę.

– ¿Jak to możliwe, że wszyscy tak szybko zapomnieliście o Esmerald? ¿Osiemnaście lat coś dla mnie znaczy!

Nikt sobie nie przypomina, co powiedziały na to obie kobiety. Być może nic.

– Zresztą nie sądzę, że powinniśmy słuchać opinii Mycrofta Cannera, gdy chodzi o senseistów.

Thisbe stanęła w mojej obronie.

– ¿Chcecie usłyszeć, co naprawdę powiedziało Mycroft? Że jeśli ktoś wierzy w opatrność, mógłby pomyśleć, że Carlyle'a przysłano do nas, żeby pomogło nam przygotować się na nadciągające niebezpieczeństwa.

Cato odpowiedział tak samo, jak odpowiedziałbyś Ty, Czytelniku. Mycroft nie powinno mówić takich rzeczy. I wy też nie.

<thiz, ¿jak wlk nbezpieczeństw grzi nm wdlg mcroft?>

Eureka zawsze ucieka się do skrótego zapisu, gdy przestraszy je pytanie, na które nie znajdzie odpowiedzi w swym komputerze.

– Bardzo poważne. Nie chce tego przyznać, ale myślę, że spotkało już kiedyś Dominica Seneschala. Uwierz mi, to wężyciel najgorszego rodzaju, naprawdę poważne zagrożenie. Ale Mycroft nie sądzi, żeby to Dominic za tym stało. To tylko skutek uboczny, a nie źródło. Na razie nie możemy odgadnąć, kto wziął nas na cel, ale z pewnością ma duże możliwości i kieruje nim zła wola.

– ¿Zła wola? Bardzo miło jest usłyszeć tę frazę, gdy tylko wstanie się z łóżka. – Oto Sniper, Czytelniku. Złazi ciężko ze schodów, a wzrok ma nieobecny jak zombie. O tej porze dnia zapewne włożył już

workowatą koszulę i podobną do mopa brązową perukę, które nosi w domu, żeby nie poznali go goście i strażnicy niskiej rangi, ale nie przebudził się jeszcze na tyle, by znaleźć gdzieś spodnie – Dzień dobry, Thisbe. Dzień dobry, Eureka. Dzień dobry, morderco. ¿Jak ci się podobało wczorajsze przyjęcie?

Cato nie chciał na niego patrzeć.

– Nie rozmawiam z wami.

– To będzie świetna reklama dla muzeum. Przyciągnie tłumy dzieciaków.

Naukowiec popędził ku drzwiom, powiewając fartuchem. Uda Snipera musnął zimny podmuch.

– No wiecie, Ockham to zaaprobowało. – Czy głos Snipera był zimny, czy raczej pełen samozadowolenia? – To było konieczne. Nie możemy sobie pozwolić na wzbudzenie nieufności prezydenta.

– ¡Nigdy więcej nie róbcie nic w tym rodzaju!

– ¿Bo? ¿Co nam zrobicie, hę?

Co właściwie mógł mu zrobić Cato? Otworzył gwałtownie drzwi, gotowy zatrzaskać je za sobą, lecz nagle stanął jak wryty na progu, ujrawszy zamierzającą w nie zapukać kobietę.

– Weichun?

Nie znam kapitan straży, która uśmiechnęła się do niego, stojąc w wejściu, ale jest spokrewniona z Cato i Eureką, więc wyobrażam sobie, że wygląda jak ten pierwszy, tylko w mundurze Humanistów, czarnym, by podkreślić jaskrawe barwy wyhaftowanych na nim kółek olimpijskich.

– Dzień dobry, Cato. Dzień dobry wszystkim. Otrzymaliśmy wezwanie na alarm próbny.

– Teraz? – Cato wiercił się dżgany pragnieniem ucieczki. – Poprzedni był dopiero co.

– Przypuszczam, że po włamaniu góra chce wszystko sprawdzić dokładnie.

– Czy mogłoby po prostu...?

– Dobrze wybrana chwila – przerwał mu Sniper. – Za chwilę skończy się zmiana, więc nie jestem jeszcze na służbie. Najlepszy moment na próbę to ten, który wprowadza największe zamieszanie. – Żywa lalka zapewne uśmiechnęła się łobuzersko, przepaszając za brak spodni, choć Weichun prawdopodobnie nie miała nic przeciwko temu. – Siódma siedemnaście czasu lokalnego, jedenasta siedemnaście czasu

uniwersalnego. Zaraz wszystko uruchomię. Eureka, zawiadam Ockhama i Lesley, że są ćwiczenia i mają zejść z góry.

<zrobione.>

Thisbe podniosła się z kanapy.

– Zejdę na dół.

– W porządku. Zaczynam o siódmej osiemnaście. Na mój znak... Cato, byliście tutaj, kiedy ogłoszono ćwiczenia, więc musicie zostać.

– Świetnie! – Odwrócił się na pięcie i wrócił do laboratorium ze złością nawet posłuszeństwu nadającą buntowniczy charakter. – Sprawdzają moje bezpieczeństwo... moje bezpieczeństwo jest w absolutnym porządku!

Sniper uśmiechnął się, usłyszawszy jego szept, jakby to było rozkoszne gadanie kilkulatka.

– Na mój znak... Znak!

Nigdy dotąd nie widziałem, jak cały dom zrywa się do ruchu, włączają się światła i syreny, drzwi się zamykają, a roboty wypadają ze ścian i kątów niczym armia rozwścieczonych mrówek. Zobaczyłem kiedyś z daleka, jak niebo nagle ciemnieje, bo autoloty zlatują się ze wszystkich stron, całe tłumy strażników, niektórzy w mundurach miejskiej policji koloru białego i szaroniebieskiego, a inni w barwach Humanistów. Za nimi podąża druga fala, po cywilnemu. Zerwano ich z łóżek i kanap w ulokowanych na sąsiednich tarasach baszobudynkach, których mieszkańcy z dumą dodają swe nazwiska do listy obrońców *Mukty*. Przewidywania Ockhama okazały się trafne. Pięćdziesięciu strażników w dwie minuty, a trzystu w pięć pojawiło się, by wspomóc automatyczny system oraz grupkę ludzi zawsze pełniących służbę w wypełnionych buczącymi komputerami podziemiach. Wkrótce każde pomieszczenie w baszobudynku miało swojego strażnika, a skoordynowane drużyny zajęły wyznaczone miejsca na kolejnych piętrach podziemi ulokowanych pod miastem niby ogromne prawdziwe ciało góry lodowej, którego nawet przelotny widok poraziłby żeglarza strachem i zesłał mu sny o potworach. Żołnierze wypełnili również wykop na zewnątrz, gadając radośnie, dumne ze swej wprawy. Na szczęście Thisbe pokazała nam, gdzie ustawiają swój kordon, i wykopaliśmy mieszkanie dla Bridgera daleko poza nim.

<¡Pobijemy nasz rekord!> pochwalił się Cato przez łącze lokalizatora.

Sniper: <¡Thisbe, czy ktoś jest na dole z wami? Dociera do mnie

zblakany sygnał.>

Cato: <To znowu ten senseista, ¡Wiedziałom!>

Sniper: <Znowu?>

Eureka: <¡milosc! ¡wiedzialom!>

Thisbe: <Dziękuję za okazanie zaufania, Eureka, ale to naprawdę tylko sesja. Carlyle jest bardzo dobre w tym, co robi.>

Eureka: <nie watpie w to.>

Thisbe: <Nie w tym sensie.>

Ockham: <Niech wszyscy kontynuują ćwiczenia, jakby nie działo się nic niezwykłego.>

Sniper: <¿Słucham? ¿Jest jakiś problem?>

Ockham: <Dzwoniła policja. Ale nie nasza. Romanowańska. Multiprawna.>

Thisbe: <¿Robią trudności?>

Ockham: <Ktoś korzysta z Urzędnictwa Cannera.>

Thisbe: <¿Z Urzędnictwa Cannera?>

Ockham: <Szukali go. Ktoś je aktywował. Tutaj, w naszym domu.>

Eureka: <¿w tej chwili?>

Ockham: <Jedenaście minut temu.>

Cato: <¿Jedenaście? ¿Tuż przed rozpoczęciem ćwiczeń?>

Thisbe: <Wkładam buty.>

Sniper: <¿Kto rozkazał urządzić te ćwiczenia?>

Cato: <Nie mogę potwierdzić...>

Ockham: <Cato, przejmijcie kontrolę nad zautomatyzowanymi systemami. Nie pozwólcie, by ktokolwiek się dowiedział, co robicie. Skierujcie coś na każdą przebywającą w domu osobę niebędącą członkiem baszu. Jeśli ktoś spróbuje opuścić budynek, przenieść się w inne miejsce albo uzyskać dostęp do sprzętu, spowolnijcie ich. Spowodujcie zacięcie się drzwi, zgaśnięcie światła, pozorne awarie robotów. Nie pozwólcie, by ktokolwiek się zorientował, że coś robicie, ale spowolnijcie ich.>

Cato: <Już się robi.>

Ockham: <Cardie, nadal pełnijcie funkcję oficera dyżurnego. Zejdźcie na dół z kapitanem ćwiczeń i zacznijcie sprawdzać piętro po piętrze.>

Sniper: <Już się robi. ¿Czyje szare spodnie leżą za kanapą? ¿Czy mogę je pożyczyć?>

Lesley: <Moje. Proszę bardzo.>

Ockham: <Eureka, zróbcie listę wszystkich osób przebywających

w budynku. Sprawdźcie, czy są jakieś zastępstwa. Nie powinien się tu znaleźć nikt, kto nie ma sprawdzonej historii długiej na kilometr.>

Thisbe: <Nie widzę żadnych nieznajomych twarzy.>

Sniper: <Ja też nie.>

Eureka: <wszystkie numery identyfikacyjne się zgadzają.>

Sniper: <Wchodzę do windy w zielonym skrzydle ¿Ockham, gdzie jesteście?>

Ockham: <Nadal na górze, z Lesley. Nie ruszymy się stąd, dopóki się nie upewnimy, co się dzieje.>

Cato: <Widzę dwanaście osób na niewłaściwych pozycjach. Większość jest blisko siebie. Cztery grupy po trzy osoby, poruszają się... poruszają się szybko, na górnych poziomach, tuż pod domem. Wygląda na to, że czegoś szukają.>

Ockham: <Sprawdźcie ich numery identyfikacyjne.>

Cato: <Już się robi. ¿Mam ich wyłączyć z gry? Mogę z łatwością załatwić całą dwunastkę.>

Ockham: <¿Czy w miejscu, gdzie się znajdują, stanowią zagrożenie dla systemu?>

Cato: <Nie, są daleko od urzędzeń kontrolnych. To bezpieczny obszar. Nie chodzi im o sam system. Ale z pewnością przeszukują teren. Systematycznie.>

Sniper: <¿Kim są?>

Cato: <<ZAŁĄCZNIK>>

Thisbe: <Cato, czy widzicie Urządzenie Cannera? ¿Czy je mają?>

Cato: <Gdyby ktokolwiek wiedział, jak ono wygląda, to pytanie mogłoby coś znaczyć.>

Thisbe: <Mogą szukać Urządzenia, jeśli tu go użyto.>

Cato: <To wy przyprowadziliście tutaj Mycrofta, Thisbe.>

Lesley: <Później będzie czas na kłótnie, Cato. ¿Czy mają jakieś urządzenia, których nie potraficie zidentyfikować?>

Cato: <Sprawdzam. Nic nadzwyczajnego.>

Eureka: <zblizają się autoloty, nie nasze, system alarmowy, policja.>

Ockham: <¿Posiłki?>

Sniper: <Czyje?>

Eureka: <sprawdzam.>

Thisbe: <¿Gdzie jest ta zabłąkana dwunastka, Cato? Podajcie mi lokalizację, to ich wykurzę.>

Ockham: <Jeszcze nie, Thisbe. Chcę ich obserwować. Cato, pokażcie

mi.>

Cato: <Sānling.>

Eureka: <slucham?>

Cato: <Wszyscy są z Sānling. Zabłąkana dwunastka. To nasza Specjalna Straż Sānling.>

Tak się po chińsku nazywa Mitsubishi, Czytelniku. Cato i Eureka używają na określenie tej Pasieki słowa, którego nauczyli się od chińskich rodziców. Rzecz jasna, w pewnym sensie to właśnie Sānling jest jej prawdziwą nazwą, ponieważ większość członków – niewielką, ale stałą – stanowią Chińczycy, ale reszta mieszkańców Ziemi uważa słowo „Mitsubishi” za łatwiejsze do wymówienia niż wymagające użycia tonów chińskie samogłoski.

Eureka: <ufam naszym straznikom z sanling bardziej niz regularnym.>

Cato: <Może i tak.>

Lesley: <¿A co z naszą Specjalną Strażą Humanistyczną? ¿Ruszyli się z miejsca?>

Cato: <Nie. Zachowują pozycję. ¿Chcecie ich zawiadomić, że mamy problem?>

Ockham: <Przeznaczcie mi listę kontaktów do nich, ale na razie ani słowa. Jeśli naszej Specjalnej Straży Mitsubishi nie można ufać, ich też nie powinniśmy być pewni.>

Sniper: <¿Mam się połączyć z dyrektorem Andō? ¿Albo z prezydentem?>

Eureka: <ladują posiłki.>

Cato: <¿Posiłki z Sānling?>

Eureka: <nie. miejska policja i humanisci plus ktos, kto wygląda na miejscowego oficera sojuszu.>

Lesley: <¿Herrera?>

Sniper: <Ktoś próbuje się ze mną połączyć. Tak, to Herrera. Ockham, ¿chcecie przejąć tę rozmowę? ¿Czy wolicie nadal udawać, że nie jesteście na służbie?>

Ockham: <Lesley, połączcie się z dyrektorem Andō. Cardie, przełączcie do mnie Herrereę, a potem zawiadomcie prezydenta.>

Sniper: <Gotowe.>

Lesley: <Już się robi.>

Cato: <Czy ktoś powinien się połączyć z dyrektorem Huangiem?>

Thisbe: <Nie, Cato. ¿Gdzie jest ta zabłąkana dwunastka z Mitsubishi?>

¿Na którym piętrze?>

Cato: <B117.>

Eureka: <wszystkie posiłki już wyladowały. zmierzają w stronę wykopu.>

Lesley: <Czekam, aż Andō odbierze.>

Cato: <¿Thisbe? ¿Co robicie? ¿Dlaczego idziecie w stronę bloku B? Ockham nie rozkazało wam się ruszać.>

Ockham: <W porządku, Herrera potwierdza, że ćwiczenia są nieplanowane. Rozkazano je przeprowadzić po wykryciu uruchomienia Urzędnika Cannera. Thisbe, ludzie Herrery wejdą przez wasze drzwi. Przygotujcie się do zaprowadzenia ich do bloku B.>

Cato: <Tych dwunastu mogę załatwić samo.>

Thisbe: <Ja też.>

Eureka: <¿dlaczego ufamy tej osobie z sojuszu bardziej niż naszym ochroniarzom z sanling?>

Ockham: <Nie ufam nikomu, kto najpierw nie porozmawia ze mną. Cato, ¿jesteście pewni, że w bloku, do którego dostała się zabłąkana dwunastka, nie ma nic niebezpiecznego?>

Cato: <¿Znam się na swojej robocie, Ockham!>

Ockham: <W porządku. Thisbe, ¿jesteście gotowi do przepuszczenia ludzi Herrery?>

Thisbe: <¿Dlaczego mój pokój? To nie jest dobra chwila, bo siedzi tu Carlyle. Nie rozumiem, czemu nie możemy sami sobie z tym poradzić.>

Ockham: <Chcę zobaczyć, jak te dwie siły zareagują na siebie nawzajem. Gdy dojdzie do konfrontacji, przekonamy się, co obie grupy zrobią albo spróbują zrobić. Jeśli będą jakieś kłopoty, niech Thisbe i Cato załatwią wszystkich.>

Thisbe: <Z przyjemnością.>

Ockham: <¿Jak wygląda sytuacja gdzie indziej? ¿Czy ćwiczenia przebiegają prawidłowo?>

Cato: <Nie pobijemy rekordu.>

Ockham: <¿Ale czy pozostałe siły uważają, że wszystko jest w porządku?>

Cato: <Na to wygląda.>

Sniper: <Dotarłem do poziomu H. Wszystko działa jak w zegarku.>

Eureka: <nadlatuje kolejny autolot. nie nasz, z utopianskiego

systemu.>

Cato: <¿Naprawdę?>

Thisbe: <¿Pracują dla Romanovy?>

Sniper: <Połączyłam się z prezydentem. Jeśli posłużyć się skalą od jednego do wkurzonego, to powiedziałbym, że jest wkurzone.>

Cato: <¿Na nas?>

Sniper: <Nie. Spróbuje porozmawiać z Andō. Uważam, że możemy zaufać naszej Specjalnej Straży Humanistycznej, nawet jeśli Straż Mitsubishi zachowuje się dziwnie.>

Ockham: <W porządku. Zawiadomię naszą Specjalną Straż.>

Lesley: <Nadal czekam na odpowiedź Andō.>

Thisbe: <Jestem na miejscu. ¿Ockham, czy mam wpuścić siły Herrery?>

Ockham: <Tak. Natychmiast.>

Thisbe: <Zrobione. Herrera nie chce, żeby Carlyle nam przeszkadzało. ¿Gdzie mam je odesłać?>

Ockham: <Do sali *Mukty*. Cato & strażnicy będą mieli na nie oko.>

Thisbe: <W porządku. Cato, nadchodzi senseista. ¿Czy wpadniecie w szok?>

Cato: <¡NIC MI NIE JEST!>

Eureka: <wyladowal nowy autolot. ¿czy ktos go widzi? nie znam utopiaskich numerow identyfikacyjnych.>

Cato: <Stąd go nie widzę. Ale senseista już przyszedł i nic mi nie jest. ¿Widzicie?>

Thisbe: <¡Brawo!>

Ockham: <Herrera potwierdza, że Utopianie pomagają Romanowie wytropić urządzenie.>

Cato: <Grupa *Thisbe* i *Herrery* spotka się z dwunastoma ludźmi z *Sānling* za pięćdziesiąt sekund.>

Thisbe: <¡Oni naprawdę znają się na tej robocie! ¡Świetna zabawa!>

Cato: <¿Czy to był dzwonek?>

Lesley: <Utopianie.>

Cato: <¡Ojej! ¿Czy powinnom otworzyć drzwi?>

Thisbe: <Musicie być gotowi pomóc mi w B117.>

Cato: <Jestem gotowe. To jak pstryknięcie palcem. Ockham, ¿czy mogę otworzyć drzwi? Jestem tu jedynym członkiem baszu.>

Ockham: <Zaczekajcie, aż zejdem na dół.>

Cato: <Jeśli próbują wytropić Urządzenie Cannera, sprawa może być

pilna.>

Ockham: <Zaczekajcie. Już idę.>

Cato: <¿Czemu to trwa tak długo?>

Lesley: <Nie jesteśmy tu przyzwoicie ubrani.>

Thisbe: <Och, biedactwa. ¡W takiej chwili!>

Cato: <Znowu zadzwonili do drzwi. Nasi strażnicy robią się nerwowi. Nie powinniśmy kazać im czekać. Nie, jeśli współpracują z Romanową. ¿Co jeśli przynoszą ważne wiadomości?>

Ockham: <W porządku, wpuśćcie ich.>

Cato Weeksbooth popędził do drzwi z zapalem, który z pewnością zaskoczył czekających w salonie strażników, i otworzył. Za nimi stała mroczna postać. Uczony znieruchomiał. Tym razem nie uciekł. Chusta senseisty na ramionach Dominica dałaby mu coś dotykającego, przed czym mógłby czmychnąć, ale ten nieznajomy nie nosił niczego równie oczywistego. Ubrany był całkowicie na czarno, w stylu równie archaicznym, jak Dominic: obcisłe bryczesy zapięte tuż pod kolanami, pończochy, skórzane buty, frak włożony na krótką kamizelkę oraz elegancki fular. To nie był luksusowy osiemnastowieczny kostium Ganymede'a, lecz coś prostszego, wywodzącego się z końca owego stulecia, gdy rewolucyjna skromność uczyniła ubrania mniej zdobnymi. Zniknęły hafty, falbanki, koronki, lamówki i brokaty, pozostawiając jedynie nagi, elegancki styl, o ile można nazwać ubranie nagim. Luksusowe były tylko długie poły fraka, ciągnące się za przybyszem niczym złożone skrzydła, i sama tkanina. W naszej pokojowej epoce łatwo jest nam zapomnieć o ponurym egalitaryzmie rewolucyjnej ery, gdy terror nakazywał nosić taki sam strój chłopu, szlachcicowi i obywatelowi, który odbierał życie im obu. Gdy Robespierre...

Dość już tych wykrętów. Nie zdołacie tego odwlekać bez końca, Mycroftcie. Musicie opisać nie tylko sam strój, lecz również tego, kto go nosi.

Wiem o tym, Panie. Postaram się to zrobić.

Jego ciało sprawia wrażenie porzuconego. Jest zastygłe jak posąg, pomijając tylko minimum niezbędnych oddechów oraz innych koniecznych ruchów, jak chodzenie czy unoszenie ręki. Jego oczy poruszają się tylko wtedy, gdy czegoś szukają, a usta po to, by mówić – nigdy, by się uśmiechać. Nie wierci się, gdy siedzi albo stoi, lecz Jego kończyny są nieruchome, jak pojazd porzucony przez kierowcę przy

drodze. Jasna skóra świadczy o tym, że częścią Jego dziedzictwa jest Europa, ale ma również kolor, choć z Jego twarzy nie sposób odgadnąć, czy wywodzi się on znad brzegów Morza Śródziemnego, czy z jakichś dalej położonych okolic globu. Długie włosy związane z tyłu opadają na plecy gęstymi falami, a ich niemal czarna barwa dodatkowo utrudnia odgadnięcie, które rasy złożyły się na ciało służące Mu za dom. Jego twarz jest klarowna i piękna, jak piękny jest proporcjonalnie zbudowany jelen. Wydaje mi się, że oczy ma czarne, a w ich kształcie widzi się lekkie dotknięcie Azji. Niemniej, gdy próbuję sobie przypomnieć jego oczy, nie pamiętam żadnego koloru, a jedynie ich odległą głębię, gdy się skupiają, nie na nędznej materii, na którą pada ich spojrzenie, lecz na czymś, co znajduje się za nią. W pokoju, w którym On się znajdzie, nagle robi się zimno, nie dlatego, że wysysa z niego ciepło, lecz dlatego, że sam żadnego nie produkuje i powietrze jest puste, jakbyśmy byli sami. To był dwudziesty pierwszy rok spędzony przez Niego na tej Ziemi i nadal nosił szarfę niesamodzielnego, ale gdybyś Go widział, gdy miał siedem lat albo nawet mniej, i tak uznałbyś Go za poważniejszego niż Jego cesarski ojciec.

– ¿Ile czasu zostało do startu następnego statku na Marsa? – zapytał po hiszpańsku, zwracając się do Cato. Jego głos był tak cichy, że niemal wydawał się słaby, jak u kogoś, kto mówi do siebie, by przerwać zbyt długą ciszę.

– Dwie doby i piętnaście godzin – odpowiedział Cato mechanicznie, jak dziecko wyrwane z marzeń przez nauczyciela.

– ¿Od ilu pokoleń basz Saneer-Weeksbooth należy do Pasieki Humanistów?

– Nie wiem. Może od dziesięciu.

– Dziękuję. Jestem J.E.D.D. Mason. Rozkazem wszystkich siedmiu Pasiek i wolą Sojuszu powierzono Mi dbanie o bezpieczeństwo waszego baszu oraz bezcennych usług, jakie świadczyce całej ludzkości. Szukam Swojego psa. Czy mogę wejść?

Cato gapił się tylko na niego.

Strażnicy wymienili szepty. Niektórzy zasalutowali. To był naturalny odruch. Czarnego stroju J.E.D.D. Masona nie zdobiły żadne insygnia, ale na opasce wokół Jego prawego ramienia tłoczyły się liczne odznaki – lazuruwa Temida Naczelnej Rady Kuzynów, obszyty złotą nicią czerwono-zielony trójliść Dyrektoriatu Naczelnego Mitsubishi, sześć

mieczy w olimpijskich kolorach humanistycznego prokuratora generalnego, gordyjski węzeł Instytutu Brilla, otoczony gwiazdami amfiteatr Europejskiej Rady Parlamentarnej, niebiesko-złote łuski Rady Multiprawnej, oraz romanowański krąg barwy błękitu Ziemi przeszyty szarą błyskawicą – symbol Trybuna Bezpasiekowych Szaroprawowców. Wszystkie ze znaki otaczały najważniejszy symbol, masoński cyrkiel i węgielnicę, czarne na tle imperialnej szarości, symbol *Familiaris Regni*, zaufanego cesarza. Opaska *familiarisa*, którą nosi Martin Guildbreaker, jest pozbawiona ozdób, natomiast ta ma z góry i z dołu białe pasy z krwawopurpurowym obszyciem, świadczące, że J.E.D.D. jest Porfirogenetą, „zrodzonym w purpurze”, dzieckiem MASONA.

– Chyba... lepiej wejdźcie.

Cato schował się w środku budynku, prowadząc J.E.D.D. Masona i jego dwóch trybunalnych strażników przez skromną salę trofeów do sanktuarium *Mukty*. Ten Gość nie będzie rzucał spojrzeń na wiszące na ścianach przedmioty i dokumenty, ale z pewnością zapamięta wszystkie.

Sniper: <Nie rozmawiajcie z nim, Cato.>

Cato: <¡Ale to jest Xiao Hei Wang!>

Chińczycy również mają własne imię dla J.E.D.D. Masona.

Sniper: <Nie rozmawiajcie z nim. Prezydent mnie przed nim ostrzegło.>

Cato: <¡Jak mogę z nim nie rozmawiać? To rządca. I Trybun. ¡To ono prowadzi śledztwo! ¡Prezydent i przewodniczący Kosala wystąpili w mediach i powiedzieli, że dochodzenie zlecono Xiao Hei Wangowi!>

Cato i Gość dotarli już do pokoju *Mukty*. Żołnierze zbili się w grupę, przyglądając się ze zdumieniem temu najbardziej tajemniczemu z książąt.

– Trybunie Mason! – Najstarszy stopniem z oficerów przywitał Gościa po angielsku, posługując się najbardziej neutralnym z jego tytułów. – Odwiedziliście nas osobiście! Cóż za nieoczekiwany zaszczyt! Mogliście po prostu zadzwonić.

Tylko bardzo lekkim ruchem oczu zdradził, że skierował na mówiącego Swą uwagę.

– Te ciała mają tak niewiele zmysłów. Jak możecie się zadowalać mniej niż wszystkimi z nich?

Ci, którzy otaczali Gościa, zamarli zdezorientowani, bo całkowity

brak intonacji w Jego głosie nie pozwalał odgadnąć, czy pytanie było retoryczne.

<macie racje!> zawołało Eureka na publicznym paśmie.

Gość nie ruszył się z miejsca, a tylko skierował na nie wzrok.

– Oklahoma Turner opublikowało nowy esej na temat tego, czy komputerowe interfejsy są sztucznymi zmysłami, czy tylko protezami pięciu standardowych. Będziecie mogli z przyjemnością się z nim nie zgodzić.

Być może Eureka uśmiechnęło się w tym punkcie, rozciągając błonkę czujników na swych ustach jak łuszczącą się skórę.

<dobrze to ujeliscie. sprawilo mi przyjemnosc, gdy nie zgodzilom sie z nim, kiedy argumentowalo, ze w intuicyjnie wykrywanych rekurencyjnych ciagach liczb nie znajdzie sie zadnych znaczących danych. to idiota.>

– Czy znaleźliście głębokie znaczenie w rekurencyjnych zachowaniach waszego habitatu, jak Brillisci znajdują je w umysłach, a geolodzy w skałach?

<ha, to glebokie niedopowiedzenie.>

Tylko Eureka dokładnie zapamiętało jego następnie pytanie.

– Czy obaj skonfigurowani w waszym domu są pitagorejscy?

– Chcieliście powiedzieć „kartezjańscy” – poprawił go Cato.

Nie chciał, ale nie sprzeciwiał się.

Sniper: <¡Ockham! ¡Zabierzcie stamtąd Cato i Eureka! ¡Natychmiast! ¡Natychmiast! ¡Natychmiast!>

Ockham Saneer zbiegł na dół po schodach, szybko jak bóg, który pojawia się, gdy zawołają go po imieniu. Miał na sobie spodnie od piżamy i jedną skarpetkę, złapał też broń leżącą na stoliku przy łóżku, ale poza tym był nagi. Na piersi i masywnych, smagłych plecach miał zakrętasy Lesley.

Strach i posłuszeństwo toczyły w umyśle Cato bój z ciekawością. Strach wygrał i uczoney pomógł Eucece dojść do zamkniętych drzwi laboratorium. Ockham zwrócił się w stronę Gościa, przeciwstawiając piżamę i skarpetkę wysokim insygniom wszystkich rządów. Jeśli się zawahał, to niezwykle spojrzenie Tamtego przeszło go dreszczem, nie Jego tytuły.

– Jestem Ockham Saneer. Bez względu na uprawnienia przyznane wam przez Romanovę albo jakikolwiek inny rząd, Radco Mason, w tym domu ja sprawuję władzę, dopóki mój prezydent nie powie

inaczej.

– Wasze oddanie budzi szacunek – odpowiedział J.E.D.D. Mason. – Wiem trochę o małym kryzysie, który was dotknął. Bardziej wam pomogę, podejmując działania czy raczej powstrzymując się od nich?

Ockham zaczerpnął głęboko tchu, żeby się zastanowić. Tymczasem:

Thisbe: <Zwycięstwo! Zabłąkana dwunastka z Mitsubishi poddała się mnie i Herrerze. Zachowują się naturalnie. Mówią, że podążali śladem intruza. Może to nawet i prawda.>

Sniper: <Wątpliwe. Zaraz do was przyjdę, *Thisbe*. ¿Cato, czy wykryliście jakieś ślady intruza przy B117?>

Cato: <Sprawdzam...>

(Następne teksty będę skracał, bo nasza uwaga przenosi się na Gościa na górze. Czytelniku, możesz zaufać *Sniperowi* i jego lojalnej Specjalnej Straży Humanistów oraz *Thisbe* z uczciwymi posiłkami z *Romanovy*. Z pewnością zapewnią bezpieczeństwo wszystkiemu, co jest ważne).

Ockham odetchnął głęboko, spoglądając na nowego Przybysza.

– Ten mały kryzys najwyraźniej jest pod kontrolą, choć moglibyście mi pomóc, gdybyście rzucili światło na powody tego stanu rzeczy.

– Mogę spróbować. – J.E.D.D. Mason przesunął powoli spojrzeniem po podekscytowanych twarzach przebywających w pokoju ludzi. – Kocham otwartość, ale pozwolę wam zdecydować, czy powinienem rzucić Swe światło na wszystkich obecnych. Tajemnice są jednym z mechanizmów obronnych waszego baszu, czyż nie tak?

Ockham milczał przez chwilę. Następnie uśmiechnął się do Gościa i spojrzał na stojącą obok kapitan straży.

– *Zhu Weichun*, tak? Opróżnijcie pokój. I przerwijcie ćwiczenia. Niech wszyscy zatrzymają się tam, gdzie są teraz. Nikomu nie wolno się poruszyć bez mojego rozkazu, pomijając tylko Specjalną Straż Humanistów i ludzi *Herrery*.

Na twarzy kapitan *Zhu* rozbrzmiało pytanie.

– Czy *Herrera* tu jest?

Ockham uniósł jedną ciemną brew, ale Gość przemówił pierwszy. Jego spojrzenie zatrzymało się na *Zhu Weichun*.

– Nie musicie się tak ranić.

Kapitan zadrżała.

– S... słucham?

– Co chcieliście przez to powiedzieć? – zapytał Ockham głosem

mrocznym jak chmura burzowa.

Czytelniku, pamiętaj, że słowa J.E.D.D. Masona są pozbawione intonacji i wszyscy ci ludzie nie potrafią odgadnąć, po czyjej stronie się opowiada i dlaczego mówi akurat to, a nie coś innego.

– Członku Saneer, nazwisko Herrera, które wymieniliście, nie było obce dla tej osoby. Tylko bardzo głęboka miłość może skłonić do zadawania sobie tak bolesnych ran.

Gdy wypowiedział te słowa, w kapitan Zhu zaszła nagła zmiana. W głębi jej gardła zrodził się szloch, na ustach pojawił się żal, w oczach zalśniły łzy, a na twarz wystąpił krwawoczerwony rumieniec, tak wyraźnie się uwidaczniający u niektórych Azjatów.

Strażnicy trybunalni zbliżyli się nagle do swego Podopiecznego, widząc, że Ockham unosi broń. Nie celował jednak w Gościa, lecz w kapitan Zhu, z której ust znowu wyrwał się jęk.

– Dlaczego gniew? – zapytał J.E.D.D. Mason z całkowitym spokojem, jakby szczerze próbował to zrozumieć. – Tylko wielkie dobro mogłoby skłonić równie wymagające sumienie do takiego czynu. – Skierował spojrzenie na drżącą kobietę. – Czy to była miłość bliźniego? Korzyść dla wielu? Zmniejszenie całkowitej sumy ludzkiego bólu kosztem zwiększenia własnego?

Ockham Mu przerwał.

– To moje przesłuchanie, Trybunie, nie wasze. Wytłumaczcie się.

Postąpił krok w stronę Zhu Weichun, trzymając nieruchomo broń w gołej ręce. Za tym gestem kryły się rzadko używane słowa „wszelkie dostępne środki”. Inni obecni tam ludzie nie mają takiego przywileju, nawet strażnicy trybunalni, biegle władający ogłuszaczami, które zdaniem prawa wystarczają, by zapewnić bezpieczeństwo najwyższym rangą przedstawicielom Sojuszu. Ale nie bezcennym autolotom.

Kapitan Zhu stłumiła łkanie.

– Przepraszam, członku Saneer. Nie miałem wrogich intencji, członku Saneer. Przysięgam! W ten sposób można było usunąć zagrożenie, nie powodując większych zakłóceń. Taką przynajmniej miałem nadzieję. – Skrzywiła się, spoglądając na swych zaskoczonych towarzyszy. – Czy możemy opróżnić pokój?

– Posłuchcie się trybem tekstowym.

Zawahała się.

– Wolelibyście nie pozostawiać zapisów.

Ockham Saneer zaczerpnął głęboko tchu, a potem wydał rozkazy, na głos i za pośrednictwem lokalizatora:

– Cardigan, przyprowadźcie naszą Specjalną Straż Humanistów. Chcę mieć tu ludzi, którym mogę zaufać. Weichun, oddajcie broń. Dziękuję za wsparcie – dodał, zwracając się do strażników trybunalnych. Szybko przesunął spojrzeniem po wszystkich i zatrzymał je na jedynej osobie, której obecność tu nie była usprawiedliwiona. Nie mówię o Gościu.

– Kuzynie Foster...

Młody senseista wsunął się w najdalszy kąt kanapy, przyglądając się wydarzeniom z fascynacją, jaka przyciąga gapiów do trawionego pożarem domu.

– Mogę sobie pójść albo zostać, jak wolicie – odezwał się. – W moim przypadku nie musicie się martwić o bezpieczeństwo. Przywykłem do ściśle strzeżonych baszów. Dlatego tu jestem.

Uśmiechał się z pewnością i spokojem, albowiem nasz Carlyle osiągnął pełnię swych sił owego dnia, który był dwudziestym piątym marca, pierwszym dniem średniowiecznego nowego roku, świętem wiosny, a także Świętem Zwiastowania. W tym właśnie dniu ludzie w dawnych czasach na wiele sposobów oddawali cześć swemu Stwórcy i czynią to po dziś dzień.

Poczerwieniała na twarzy Zhu Weichun musiała dać jakiś znak – oddech, tik, spojrzenie. Rozum nalega, że tak musiało być, jak bowiem inaczej wyjaśnić następne słowa J.E.D.D. Masona?

– Niech senseista zostanie. Jego obecność podwoi korzyści płynące ze spowiedzi.

Ockham odwrócił się precyzyjnym, zbyt energicznym ruchem. Pod gołą skórą uwidaczniało się pełne ukrytej siły napięcie, przypominające nam, że ludzie byli kiedyś drapieżnikami.

– Słucham?

– Spowiedź skierowana do was da wam spokój ducha i zmniejszy dezorientację, a być może przywróci też wasze zaufanie, ale jeśli obecny będzie kapłan, zdejmie ona również brzemię ze zranionego sumienia tej bojącej się grzechu osoby. – Spojrzenie J.E.D.D. Masona powędrowało ku kapitan Zhu. – Czy ten senseista wam wystarczy, czy wolicie kogoś, kto otrzymał jakieś oficjalne święcenia? Moje Dominic podjęłoby się tego zadania, ale nie wiemy, gdzie się podziało. Jest też Guiomar Capello.

Kapitan i Carlyle zadrżeli, słysząc to nazwisko, ponieważ w naszej epoce teologicznej anonimowości żadnego senseisty nie podejrzewa się o bycie kryptokatolikiem bardziej niż tego, kto świadczy swe usługi królowi Hiszpanii.

Na twarzy Zhu zdumienie i bojaźń toczyły bój ze strachem i szokiem, aż wreszcie popłynęły łązy ulgi na myśl, że kłamstwa się skończyły.

– Skąd... skąd wiedzieliście?

Carlyle zerwał się na równe nogi.

– Nie możecie! – zawołał. – Nie możecie mówić takich rzeczy! Nie przy ludziach!

Gość się nie odwrócił, ale jego wzrok przesunął się i zatrzymał na senseiście, jak spojrzenie zbyt realistycznego portretu, które wydaje się nas śledzić, gdy przechodzimy obok.

– Wierzycie w nieingerencję. Ale czy da się ją pogodzić z czynieniem dobra?

Twarz Carlyle'a zbielała. Otulił się ciasno szatą, jakby nagła wichura zaskoczyła go mokrego i prawie nagiego.

– Nie to...

W J.E.D.D. Masonie nie zmieniło się nic poza jego słowami.

– Ach, źle was zrozumiałem. Nie kwestionowaliście możliwości wypowiedzenia tych słów. Chodziło wam o to, że nie powinnom ich wygłaszać, ponieważ zabrania tego miejscowe ludzkie prawo. Macie rację. Popełniłem błąd. Chciałem złagodzić bieżący ból. Uznaję jednak fakt, że prawa oraz pan tego domu nie mylą się, stawiając obowiązek wyżej niż litość. – Przeniósł spojrzenie na Ockhama. – Członku Saneer, przepraszam za tę różnicę w zasięgu naszego konsekwencjalizmu.

W pokoju zapadła cisza. Czytelniku, nie byliśmy przyzwyczajeni do słów takich jak Jego słowa, przebijających się przez powierzchnię naszych interakcji, by dotrzeć do głębszej rzeczywistości.

Tylko Ockham miał siłę, by się uśmiechnąć.

– Nie ma za co. To był oryginalny i wygodny sposób odkrycia spisku.

Oblicze Gościa nadal było pozbawione wyrazu.

– Czy mam powtórzyć te czynności? Spiski z definicji składają się z wielu osób.

Strach pojawił się na twarzach wszystkich poza tylko Ockhamem i dwójką strażników trybunalnych.

Pan domu wyraził zgodę w ostrożnych słowach.

– Jeśli Weichun miało współników, chcę się o tym dowiedzieć.

Uczestniczący w ćwiczeniach strażnicy jedno po drugim wstrzymywali oddechy, gdy martwe spojrzenie J.E.D.D. Masona przesuwalo się po nich. Zatrzymało się na trzecim – szczupłej futbolistce z Holenderskiego Greenpeace-Mitsubishi stojącej przy drzwiach do pokoju Cato.

– Jaką karmę wybieracie? – zapytał Gość.

Trudno jest nazwać wyraz upodlającego zrozumienia, który pojawił się na jej twarzy, bardziej wstrząsający i intymny niż strach. Powoli i ostrożnie rozpięła zapinkę pasa z bronią, pozwalając, by cały opadł na podłogę. Troje innych strażników podążyło ze jej przykładem.

Ockham zagwizdał nieśpiesznie. Z ust Carlyle'a, który oddalał się na palcach od kanapy, wyrwało się ciche, pełne szoku westchnienie.

Lesley: <Ockham, w końcu udało mi się połączyć na żywo z prezydentem i z dyrektorem Andō. Mówią, że ćwiczenia nakazał urządzić jakiś oficer średniego szczebla w naszych oddziałach Mitsubishi. To był głupi plan mający na celu wytropienie tego, kto użył Urządzenia Cannera. Przeprosiny sypią się ze wszystkich stron, a prezydent wpadło w sprawiedliwą furję. ¿Czy mam was dodać do listy?>

Ockham: <¿Czy ktoś próbuje bronić tego skandalu albo usprawiedliwiać go?>

Lesley: <Nie.>

Ockham: <Zatem na razie nie ma takiej potrzeby.>

Sniper wszedł do pokoju w towarzystwie dwunastu strażników. Wszyscy wywodzili się z Pasiaki Humanistów i przyszli na świat w humanistycznych baszach. Większość stanowili mieszkańcy Cielo de Pájaros. Byli dumni ze swych przydziałów i ucieszyli się z ćwiczeń, a teraz, gdy zaczęło się dziać coś realnego, podekscytowali się jeszcze bardziej. Ich spokojne miny oraz obecność Snipera natychmiast uspokoiły Ockhama, jak piana morską w sierpniowy upał. Piątce spiskowców również poniekąd ulżyło, bo kapitulacja nigdy nie wydaje się realna, jeśli mamy przewagę liczebną nad tymi, którym próbujemy się poddać. Ockham szybko wydał rozkazy, odsyłając żołnierzy i mniej ważnych jeńców w bezpieczne miejsca, aż wreszcie w pokoju zostali niemal wyłącznie ci, których pragnął tam mieć – Sniper, któremu ufał, również zaufani żołnierze, dziwnie szczerą zdrajczyni Zhu Weichun, wszyscy byli pod kontrolą Ockhama, poza małym senseistą, niezwykłym Gościem i jego strażą honorową. A także Thisbe. Zjawiała

się tuż za Sniperem, choć rozkazy pana domu tego nie przewidywały. Ten fakt spowodował pełne irytacji poruszenie jego czarnych brwi. Nie zamierzał jednak krytykować żadnego z członków baszu przy obcych, a poza tym Thisbe w żadnym wypadku by nie przyznała, dlaczego miała ważniejsze niż pozostali powody, by przyjrzeć się temu nowemu Intruzowi.

– Hinc... – zaczął J.E.D.D. Mason po łacinie, ale powstrzymał się. – Od tej chwili... – przetłumaczył – ...musicie zdecydować, czy chcecie pomocy czy prywatności.

Ockham uśmiechnął się z uznaniem dla szacunku okazanego przez wielkiego Księcia-Trybuna. – Jak rozumiem, waszą specjalnością jest wielka polityka. Będę wdzięczny, jeśli załatwicie tę część sprawy i pozwolicie mi uporać się z problemem naszego bezpieczeństwa i kwestią domniemanego intruza. Nie wiem, co w tej chwili myśli kierownictwo Mitsubishi, ale słyszałam, że wam ufają, a ostatnie, czego potrzebuję, to rozgorączkowany przywódca Pasieki, myślący, że coś jest nie w porządku z moim bezpieczeństwem.

– Podejmę się uwiarygodnienia waszego bezpieczeństwa – zgodził się gość, pochylając głowę na znak zobowiązania.

Thisbe włączyła się do rozmowy, oznajmiając swą obecność również głosem.

– Ostatnie, czego potrzebujemy, to rozgorączkowana opinia publiczna.

J.E.D.D. Mason skierował spojrzenie na Thisbe Saneer.

– Nikt nie przychodzi oglądać ukamienowania sługi, kiedy może zobaczyć egzekucję króla.

Sniper zajął pozycję między Gościem a wścibską Thisbe. Odległy diuk prezydent z pewnością by się ucieszył, gdyby się dowiedział, że młody celebryta posłuchał jego ostrzeżenia.

– Myślę, że na froncie publicznym nie macie się czego obawiać. Nie ma tu nikogo poza naszymi ludźmi, ludźmi Mitsubishi i kuzynem Fosterem.

– Może tu być również mój Dominic – ostrzegł J.E.D.D. Mason. – Widzieliście go? Jest mniej więcej waszego wzrostu, agresywny, odziany w czarny strój i nosi szarfę Bezpasielowego Czarnoprawowca. Ostatnio widziano go tutaj, ale potem zniknął.

Ockham i Thisbe nie pamiętają, że Gość przypisał Dominicowi rodzaj męski. Z pewnością nie było to najdziwniejsze, co dziś zrobił.

<To ono było intruzem!> Cato Weeksbooth słyszał wszystko przez drzwi. <W Bloku B! Kamery je wykryły. Nie teraz, przed niespełną godziną. System nie zarejestrował niczyjej obecności, ale ktoś tam był. Miałom trudności z numerem identyfikacyjnym. To było ono! Czarnoprawowiec senseista!>

– Dominic Seneschal? – Ockham wypowiedział to nazwisko na głos. – Dominic Seneschal pracuje dla was, Radco Mason?

– Tak jest, zarówno Martin, jak i Dominic należą do Mnie. Ale Martin jest w porządku. To Dominic się zgubił. Jego lokalizator milczy od chwili, gdy wczoraj weszło do tego domu. Kiedy go ostatnio widziano?

– Lokalizator milczy od wczoraj? – Czytelniku, masz rzadką okazję zobaczyć, jak Sniper okazuje strach. – Czy ktoś widział, jak Seneschal wychodziło wczoraj z domu? <Lesley, ¿a wy?>

Lesley: <Nie. Ostatnio widziałom je obok pokoju Thisbe.>

Ockham i Sniper wymienili spojrzenia.

– Kto jeszcze był tu wtedy?

– Ja – odezwał się Carlyle, zbliżając się do nich. – Ja też nie widziałom, jak wychodziło. Ale nie mogłoby siedzieć tu niepostrzeżenie przez całą dobę, prawda? Nie w tym domu, z waszymi zabezpieczeniami.

J.E.D.D. Mason ponownie skierował wzrok na Ockhama.

– Dopóki zajmuję się waszą sprawą, wasze drzwi będą otwarte dla mojego Dominica.

Cato: <Xiao Hei Wang ma rację, Ockham. Straszne senseista ma w naszym systemie uprawnienia dostępu superadmina, tak samo jak wy. Co więcej, ma uprawnienia edycji back-end, tak samo jak ja. Najwyraźniej skorzystało z nich, by zatrzeć za sobą ślady. ¿Znacie ustawienia, jakie wykorzystujemy, by system nie rejestrował naszych bezpiecznych spotkań? Włączyło je samo. Dzięki temu mogło chodzić, gdzie zechce, a system po prostu kasował zapisy. Mogło tu siedzieć przez całą noc.>

Ockham zaczerpnął głęboko tchu.

– Nie mogę tego tolerować, Radco Mason. Wiem, że was i waszą ekipę wybrano z uwagi na dyskrecję, ale to powoduje dziesięć razy więcej zakłóceń niż samo znalezienie tu listy *Czarnej Sakury*.

– Zgadza się – odpowiedział J.E.D.D. Mason. – Ja też nie będę tego tolerować. Po odnalezieniu Dominica czeka kara. I on o tym wie.

Carlyle mówi, że choć głos Gościa brzmiał naturalnie i nonszalancko, słowu „kara” towarzyszyło złowrogie wrażenie cielesności,

wzmocnione przez opaskę *familiarisa*, będącą przypomnieniem o potędze Masonów, a także przez wspomnienie szarfy Czarnoprawowca, mówiącej, że Dominic wyrzeka się wszelkiej ochrony prawa.

– Macie Moje słowo i Moje przeprosiny, jako że jestem odpowiedzialne za czyny osoby, którą tu przysłałam.

Przeprosiny złagodziły nieco grymas na twarzy Ockhama.

– Wy i Martin Guildbreaker byliście dla nas pomocą. W waszym przypadku nawet wielką pomocą, ale...

– Ten fakt Mnie cieszy – przerwał mu gość.

– To dobrze. Ale nie chcę, żebyście zjawiali się tu bez zapowiedzi. Nikt nigdy tego nie robi. Czy to jasne?

Nastąpiła chwila ciszy.

– To stwierdzenie nie zgadza się ze stanem faktycznym, ale jako życzenie potrafię je zrozumieć i dołożę starań, by w przyszłości mogło zbliżyć się do prawdy.

Ockham potrzebował chwili, by przeanalizować to zdanie.

– To dobrze. Chciałbym też, żeby Czarnoprawowiec opuściło mój dom raz na zawsze i nie zbliżało się do moich współbaszowców. Zabierzcie je stąd albo ja to zrobię.

Postukał palcem w śmiertelność broń. Nadal trzymał ją w ręce, bo kabura została na górze, razem z resztą ubrania. Sniper wsparł jego groźbę, dotykając własnej kabury, choć minę miał niezbyt tęgą, bo broń, którą nosił, nie była śmiertelna, ani nawet elegancka jak sportowe pistolety, którymi się posługiwał na zawodach pięciobojowych. To był standardowy ogłuszacz, niegodny jego dłoni, jak makaron błyskawiczny nie jest godny podniebienia smakosza.

– Dołożę starań, by te życzenia się spełniły. Gdyby jednak nie udało Mi się zapobiec starciu między wami a Moim Dominikiem, byłbym niezmiernie wdzięczny, gdybyście darowali mu życie. – Szkoda, że J.E.D.D. Mason nie potrafi nadać intonacji swojemu głosowi czy wyrazić emocji za pomocą mimiki. Jestem pewien, że w chwilach takich jak ta martwy ton Jego prośby nie pozwolił pozostałym dostrzec, jak wiele pasji się w niej kryło, jak potężny i dosłowny strach czuł, gdy coś zagrażało Dominicowi. – Powiedziano mi, że trzecia z Moich osób również tu była – ciągnął. – Jest niższa, nosi mundur usługowca, wypełniają ją poczucie winy, spryt i talent do języków. Reaguje na imię Mycroft. Miałam nadzieję, że pomoże mi znaleźć

zgubę.

Ockham, Sniper, a nawet Carlyle skierowali spojrzenia na Thisbe.

– Wiem, o kogo wam chodzi, ale Mycrofta tu nie ma – odpowiedziała.
– Powtórzę mu to, kiedy się zjawi.

J.E.D.D. Mason ponownie wprawił w ruch swoje ciało, zmierzając spokojnymi, precyzyjnie odmierzonymi krokami z powrotem do wąskiego przedpokoju.

– Dziękuję za waszą gościnność.

– Opuszczacie nas?

Nie odwrócił się, ale Jego oczy odnalazły Snipera.

– Wasze Ockham prosiło mnie o zajęcie się kwestiami łączącymi tę sprawę z wielką polityką. Dołożę starań, by to uczynić. Ale sami nie chcecie Mojej obecności w swym domu. Jeśli Moi Martin i Mycroft są dla was łatwiejsi do zaakceptowania, od tej pory oni będą wykonywać tu zadania, które im zlecę.

Nawet Sniper gapił się na niego ze zdumieniem.

– Tak, to chyba brzmi nieźle.

Spojrzał na pana domu.

Ockham: – Zgoda. Dziękuję za odwiedziny, Radco Mason. A także za to, że uczyniliście, co w waszej mocy, by odwrócić od tej sprawy publiczną uwagę, osłonić nas przed wielką polityką, a także przed debilizmem przywódców Pasiek, który najwyraźniej jest główną przyczyną tego zamieszania. Przede wszystkim jednak dziękuję za to, że pozwoliliście, byśmy sami zajęli się swoimi sprawami.

J.E.D.D. Mason zatrzymał się, ale nie odwrócił.

– To może się na nic nie zdać. Tajemnice wypływają jak woda. Wystarczy tylko jeden otwór.

Nawet Sniper nie potrafił dłużej opierać się ciekawości.

– Co...

Ockham potrząsnął głową.

– Przestańcie, Cardigan. – Sniper nie znosi tego imienia. – Niech już sobie pójdzie.

Wszyscy podkomendni Ockhama patrzyli w uniesieniu, jak ten najbardziej niezwykły z książąt oddala się, poruszając niemalże martwymi nogami. Byli jednak zdyscyplinowani i zachowali milczenie.

Ale Carlyle nie podlegał rozkazom Ockhama.

– Jak... jak to zrobiliście?

J.E.D.D. Mason powoli skierował spojrzenie na utajniony genotyp.

– To niemożliwe, żebyście byli senseistą tego baszu.

Te słowa zabrzmiały dziwnie, ale Carlyle zdołał się uśmiechnąć.

– Jestem nowe.

– A co się stało z waszym poprzednikiem?

To było zbyt krępujące pytanie.

– Skąd wiedzieliście? – nie ustępował Carlyle. – Od początku. Wiedzieliście. Spowiedź, karma... – Nawet gdy wszystko już się wydało, senseista nie chciał wypowiedzieć zakazanych nazw wiar. – Czy sprawdziliście ich dane? To byłoby straszliwe naruszenie prywatności.

– Nie zaglądałem do danych. – Nawet mówiąc, J.E.D.D. Mason nie przyśpieszał ani nie zwalniał. Cały czas zmierzał ku drzwiom, poruszając nogami tak słabo, jak to tylko możliwe dla ludzkich kończyn. – To... yappari... premenda... – Omiótł Carlyle'a spojrzeniem, wypatrując insygniów grupy narodowej. – Mówicie tylko po angielsku?

Kuzyn wychowany przez Kuzynów skinął głową.

– W takim razie nie potrafię wam tego należycie wyjaśnić.

– Ale...

Nogi Gościa nadal szukały drogi ku drzwiom.

– Jakie imię wam nadano, senseisto?

– Carlyle Foster.

– A co się stało z prawdziwym senseistą tego baszu?

Carlyle zamrugął.

– Zmarło. Niedawno.

– Bądźcie ostrożni, Carlyle Foster. Odchodzę stąd, ponieważ kocham Prawdę i dostrzegam, że w związku z tym jestem zagrożeniem dla tego baszu, a on jest zagrożeniem dla Mnie. To jest dla Mnie oczywiste, podobnie jak to, którzy z tych lojalnych żołnierzy bali się karmy, a którzy grzechu. Wy również najwyraźniej kochacie Dobro i przynajmniej Dialektykę, nawet jeśli nie czystą Prawdę. Radzę wam, żebyście rozstali się z tym baszem, zanim wyrzadzicie sobie nawzajem krzywdę. Niemniej uznaję wasze prawo do podejmowania ryzyka w imię waszej wokacji i... – ściszył głos – ...waszego Stwórcy.

Carlyle zakrzyknął w duchu wstrząśnięty tym ostatnim i najgłębszym pogwałceniem szczególnej prywatności, będącej ostatnim, co nasza ostrożna opinia publiczna nadal zwie „świętym”. Niełatwo byłoby

nadać jego sprzeciwom postać słów. Dlatego przyglądał się w milczeniu, jak ów sławny Nieznajomy – równie nieznany, jak sławny – oddala się bezgłośnie. Strażnicy trybunalni podążali tuż za nim. Jedna z nich zatrzymała się i obejrzała z marsem na czole, po czym delikatnym gestem przeprosiła za niezwykłość swego Podopiecznego. Po paru chwilach utopiański autolot wystartował i J.E.D.D. Mason zniknął równie nagle, jak się zjawił.

I co dalej? Tego było zbyt wiele. Jego niezwykłość przekroczyła granice ich wytrzymałości. Wszyscy potrzebowali odpowiedzi. Gdy żołnierzom kazano odejść i dom znowu był bezpieczny, wszyscy obecni zwrócili się ku swym ulubionym wyroczniom: Ockham i Sniper ku jeńcom, a potem ku swemu prezydentowi, Cato i Eureka ku komputerom i taśmom monitoringu, a Carlyle i Thisbe pognali do porośniętego kwiatami wykopu i do mnie.

Rozdział siedemnasty

Lokaj Tocqueville'a

Streszczenie wydarzeń przedstawione przez Thisbe pomijało znacznie więcej szczegółów niż moja rekonstrukcja, ale okazało się wystarczające.

– On nie może znaleźć Dominica?! – zawołałem.

– „On”? – powtórzyła Thisbe z grymasem na twarzy. – Co was łączy z J.E.D.D. Masonem? Tylko bez kłamstw!

Nie zauważyłem własnej pomyłki.

– Martin i Dominic pracują dla Niego.

– Nie o to pytałem. – Boję się Thisbe bardziej, gdy kryje się za czarną zasłoną swych gęstych indyjskich włosów i nie mogę niczego odczytać z jej twarzy. – Mówiło o was jak o kimś dobrze sobie znanym. Świetnie znacie tę osobę, wiedzieliście, że powierzono jej prowadzenie śledztwa, zdawaliście sobie sprawę, że może się tu zjawić, ale ani słowem nie ostrzeżeliście nas, że jest... – zabrakło jej przymiotników – ...taka!

Bridger, nadal siedzący u mnie na kolanach, skrzywił się boleśnie, wyczuwając złość w głosie Thisbe. Słyszał jej relację, podobnie jak Major, który siedział na krześle ustawionym na dachu domu dla lalek obok nas, oraz zafascynowani żołnierze w plastikowych pokoikach na dole.

– Dobrze się czujecie, Mycrofcie? – zapytał chłopiec. Na jego gładkim, młodym czole pojawiły się zmarszczki. – Drżycie.

– Nic mi nie jest. – Poglaskałem go po włosach, wykorzystując ten gest do ukrycia chwili, gdy wyszeptałem mu do ucha: – Gdy tylko skończymy rozmowę, zaczynajcie się pakować.

Otworzył szeroko oczy, ale był grzecznym chłopcem i skinął głową.

Spojrzałem w oczy rozwścieczonej Thisbe.

– Widzę, że jednostronnie zdecydowaliście, że Carlyle Foster może się dowiedzieć, gdzie mieszka Bridger.

Uświadomiła sobie, że popełniła błąd, i znieruchomiła na moment.

Potem rozejrzała się wkoło, jakby dopiero teraz zobaczyła domy dla lalek, książki i zabawki zgromadzone w tajnej jaskini. Zwróciła się ku siedzącemu obok mnie weteranowi.

– Przepraszam, Majorze. Zapomniałam. Ale chyba wszyscy już zdecydowaliśmy, że Carlyle’owi można zaufać.

– Nie mieliście prawa decydować za nas, Thisbe – odparłem, pozwalając, by mój głos zachował mroczne brzmienie.

Major przesunął się na krześle dla lalki.

– Co się stało, to się nie odstanie. W tej chwili wy jesteście większym problemem, Mycrofcie. Co was łączy z tym...? Czy mówimy o Bezpasekowym Trybunie?

– To jeden z wielu jego urzędów. – Thisbe spoglądała na mnie z góry.
– Jest też dzieckiem Cornela MASONA.

– Prawdziwym czy badzieckim? – zapytał Major.

Thisbe łypnęła na niego oburzona nienowoczesną opinią, że związek między badzieckim a baszrem nie jest tak „prawdziwy” jak więzy krwi.

– Adoptowanym synem – odpowiedziałem.

– I dziedzicem? – zapytał Major.

Pozwoliła sobie na chichot.

– Nie. Nie mogę mieć do was pretensji, Majorze, bo to nowomodny wymysł, ale pozycja masonskiego cesarza nie jest dziedziczna. Dzieci nigdy nie dziedziczą jej po rodzicach. Tak mówi prawo. Porfirogeneta z reguły jest *familiarisem*, ale jako jedyny z nich nie może zostać następnym cesarzem.

Major zmarszczył brwi w zadumie, rozważając implikacje tej informacji.

– Zatem adopcja zamknęła przed nim tę drogę. Ciekawa decyzja. Chciałbym się dowiedzieć czegoś więcej o tym chłopaku, którego cesarz trzyma tak blisko siebie, ale postanowił zamknąć przed nim drogę do sukcesji.

Thisbe nie ustępowała ani o milimetr.

– Nie chodzi tylko o Masonów. Słyszałam to i owo o J.E.D.D. Masonie, wszyscy o nim słyszeli, ale po drodze tutaj przeczytałam o nim więcej. Słyszałam, że to najmłodsze Trybun w historii Romanovy, ale...

– Drugie najmłodsze – poprawiłem ją. – W roku 2299 Cahya Rattlewatch zostało wybrane na Czarnoprawowego Trybuna w wieku piętnastu lat. Nie trzeba do tego nawet zdać egzaminu dorosłej

kompetencji.

Thisbe ukarała mnie za to, że jej przerwałem, włączając ekran znajdujący się obok Majora i wyświetlając profil J.E.D.D. Masona z ostatniej listy Siedmiu i Dziesięciu Romanova.

– Ma pozycję wtajemniczonego doradcy albo jakiś oficjalny tytuł w pięciu Pasiekach poza Masonami! U Europejczyków, Kuzynów, w Instytucie Brilla, w Mistubishi, a także u nas.

Unikałem jej spojrzenia.

– Wszyscy przywódcy Pasiek znali J.E.D.D. Masona od wczesnego dzieciństwa, wszyscy są pod wrażeniem Jego talentów, polegają na Nim i ufają Jego radom. Dlatego wszyscy przyznają Mu urzędy i dlatego zlecono Mu zbadanie tej sprawy, która zagraża wszystkim sześciu.

– Dlaczego? Dlaczego wszyscy mu ufają, jeśli tak się zachowuje? Spowiedź? Karma? I ci jego asystenci, Dominic i Martin. Nie da się bardziej zbliżyć do kultu.

Wiedziałem, że lepiej nie patrzeć jej w oczy.

– Prawdziwe nazwisko Martina brzmi Mycroft Guildbreaker.

– Chcecie powiedzieć, że J.E.D.D. Mason zmieniło jego imię na Martin, żeby pasowało do reszty tych szalonych kultowych elementów?

– Czy są współbaszowcami? – zapytał łagodnym tonem Carlyle.

Thisbe odwróciła się ku niemu.

– Słucham?

– Czy Dominic, Martin i J.E.D.D. Mason są współbaszowcami? Baszrodzonymi? Z baszu zainteresowanego teologią? – Senseista bardzo się starał ukryć uśmiech. – To nie musiałyby być kult. Czasami się z tym spotykamy. Basz zainteresowany teologią, którego członkowie lubią potajemnie dyskutować o religii i bardzo się starają robić to bezpiecznie.

– Mycroft też to lubi – wtrącił Bridger, podekscytowany jak ptaszek. – Ale ja wiem, że nie powinniśmy tego robić.

Carlyle uśmiechnął się ze słodką wyrozumiałością.

– Tak, podobnie jak Mycroft i wy. Ale to jest w porządku, gdy chodzi tylko o dwie osoby. W przypadku większych grup czasami może się to upodobnić do kultu i dlatego Pierwsze Prawo zabrania wszelkich pozbawionych nadzoru dyskusji między trzema lub więcej osobami. Ale z reguły zaczyna się to jako niewinne poszukiwanie, jakie prowadzicie z Mycroftem. Czy o to chodzi, Mycrofcie? Dominic

Seneschal nawet jest senseistą i mogłoby prowadzić oficjalnie usankcjonowane sesje.

Wlepiłem spojrzenie w podłogę.

– Możecie mi nie uwierzyć, ale właśnie otrzymałem pilne wezwanie. Muszę was opuścić.

Na twarzy Thisbe pojawił się przesadnie słodki, w oczywisty sposób fałszywy uśmiech, przynęta mająca nas zwabić do jej sklepu ze słodyczami.

– Bridger, kochanie, czy moglibyście zejść na moment z Mycrofta?

– A po co?

– Żebym mogła przycisnąć je do podłogi, aż mi odpowie.

– Thisbe! – Bridger usadził się pewniej na moich kolanach, wchodząc w rolę dzielnego obrońcy. – Dlaczego nagle zaczęliście się zachowywać, jakbyście nie ufali Mycroftowi? Wiecie, że możemy mu zaufać. Ono zasługuje na zaufanie bardziej niż ktokolwiek na świecie! Cały czas jest zajęte różnymi zadaniami, ale przez wiele lat ciężko pracowało, by zadbać o nas wszystkich. Ciężej niż wy, Thisbe!

Na twarzy kobiety pojawił się nowy wyraz, uśmiech znacznie bardziej przerażający niż jej złowrogie spojrzenie.

W sprawę wtrąciła się Mama Lalka, łagodna, ale niepowstrzymana.

– Ci, którzy wrzeszczą, nie dostaną ciastek.

Bridger skrzyżował ramiona na piersiach, jakby chciał mnie osłaniać.

– To nie wina Mycrofta, że w waszym baszobudynku dzieją się złe rzeczy! Jeśli Mycroft mówi, że możemy zaufać J.E.D.D. Masonowi, i wszyscy przywódcy Pasiek mówią to samo, i wszyscy ludzie na świecie też, uważam, że rzeczywiście możemy mu zaufać. Dlaczego jesteście innego zdania?

Czarownica również skrzyżowała ramiona.

– Nie spotkaliście go. Ma w sobie coś nienaturalnego.

Znowu „czarownica”, Mycroftcie? Mówiłem, że to słowo mi się nie podoba.

Wybacz, Czytelniku. Wspomnienia myśli i obaw towarzyszących mi w owej chwili są bardzo jaskrawe.

– A jeśli nawet, to co z tego? – odgryzło się dziecko. – Mycroft jest dziwne. Ja jestem dziwne. Wy jesteście dziwni. Żołnierze są dziwni. To nie ma znaczenia. Jestem gotowe natychmiast pójść do J.E.D.D. Masona, jeśli Mycroft powie, że powinnom to zrobić.

– Jeszcze nie! – zawołałem zaskoczony paniką we własnym głosie. –

Prędzej czy później pójdziemy do J.E.D.D. Masona, ale musimy odwlekać tę chwilę tak długo, jak tylko się da.

– Jeśli im ufacie, dlaczego chcecie zwlekać?

W ustach Bridgera to słowo miało nieśmiałe brzmienie, ale w oczach Thisbe przerodziło się w wyrzut.

– Dlatego że J.E.D.D. Masona otaczają niebezpieczni ludzie – zacząłem. – Nie, to nie jest powód. Chodzi o to, że jeśli pójdziemy do niego, to ono zdecyduje, co stanie się z wami w przyszłości, Bridgerze. Nie wy. – Zwróciłem się w stronę dziecka i pogłaskałem je po włosach. – Lepiej by było, gdybyście trochę dorośli i mieli jaśniejsze pojęcie o tym, co chcecie zrobić ze swoimi mocami. Za kilka lat będziecie wystarczająco silni, żeby samodzielnie podjąć decyzję. Nawet jeśli będzie to oznaczało, że musicie się sprzeciwić J.E.D.D. Masonowi. Ale jeszcze nie teraz. Lepiej, żebyście na razie zachowali wolność.

Być może nie zastanawiałeś się nad tym, Czytelniku, ale „wolność” to nie jest słowo, które w dzisiejszych czasach słyszy się zbyt często. Nie w jego pierwotnym znaczeniu. Wszyscy są teraz wolni, tak samo jak wszyscy są zdrowi, szczęśliwi, rozumni i żywi. Dlatego jest to cecha, o której wspomina się tylko wtedy, gdy jest zagrożona: niezdrowy, niewolny.

Z ust Majora wyrwało się ciężkie westchnienie weterana.

– Mycroftie, czy J.E.D.D. Mason to wasz Tocqueville?

Przełknąłem ślinę.

– Tak.

– Rozumiem.

– Tocqueville? – powtórzyła Thisbe z zamyśloną miną.

Z dolnego piętra domu dla lalek dobiegł przenikliwy głosik:

– Wiedziałem! Ha, ha! Wiedziałem! Widzicie? Mówiłem wam!

Major tupnął w plastikowy dach.

– Zamknijcie się, Przykucnięty! – zawołał.

– Przewidziałem to, tak? Wszyscy mnie słyszeliście! Od początku nie powinniśmy im ufać!

W głosie Majora pojawił się pomruk przypominający ryk lwa.

– Nie chcielibyście, żebym zszedł na dół, Przykucnięty!

Zapadła cisza. Ucieszyłem się, że to Bridger zadał pytanie.

– Co to jest Tocqueville?

Major uśmiechnął się, widząc dezorientację chłopca.

– Tym słowem określaliśmy tajemniczy drugi obowiązek Mycrofta.

Pamiętacie swe pierwsze spotkanie z nim?

Cudowny uśmiech na twarzy chłopca uzdrowił mnie niczym promienie słońca padające na wygłodniałe pole.

– Oczywiście. Naprawiało śmiecioboty i zobaczyło, jak Boo zabrakło mocy. Mycroft jest bystre i zrozumiało, że to nie po prostu u-bestia. Dlatego postanowiło zbadać sprawę. Wtedy się na nie natknęliście.

Omam się nie roześmiałem. „Natknęliście się”. Cóż to za niesprawiedliwość dla tych żołnierzy, ich wielomiesięcznych strategicznych przygotowań, gromadzenia narzędzi, granatów słabych jak fajerwerki, strzałek z paraliżującymi chemikaliami, wielkich dla nich jak działa. Ćwiczyli przez bardzo długi czas, atakując wiewiórki, koty i manekiny. Armia Lilipucjan mogła pojmać Guliwera, kiedy spał, ale przygotowanie jedenastu plastikowych żołnierzyków do obrony tego chłopca przed dorosłym człowiekiem ocierałoby się o granice możliwości największego stratega na Ziemi. Ocierało się, ale ich nie przekraczało. Pokonali mnie. Mnie, Mycrofta Cannera. Wystraszyli mnie wybuchami, omotali drutami, oślepiłi i ogłuszyli rozbłyskami oraz dymem. Mówili potem, że to było trudne. Pokonałem wszystkie siedem przeciwiczonych przez nich planów i zmusiłem Majora do stworzenia na miejscu ósmego, a po nim dziewiątego. W końcu jednak padłem.

– Zatem pamiętacie, jak trudno było potem zdecydować, co zrobić z Mycroftem? – ciągnął weteran.

Chłopiec wykrzywił twarz. Na jego anielskim czole, niezspsutym jeszcze przez czas, pojawiły się nienaturalnie wyglądające tam bruzdy.

– Pamiętam, że Mycroft było bardzo duże.

Major zachichotał.

– Mieliście wtedy tylko pięć lat, nie mogliście zapamiętać zbyt wiele.

– Ciągłe was prosiło, żebyście je wypuścili tylko na dziesięć minut. Pamiętam, że powtarzało to raz po raz. „Tylko dziesięć minut, tylko dziesięć minut”.

Major skinął głową. Zaimponowało mu, że te słowa zapisały się w umyśle Bridgera na tak długi czas, ale ludzie najlepiej pamiętają najbardziej dramatyczne wydarzenia, bez względu na to, jak dawno do nich doszło. Sam zachowałem z ostatniego dziesięciolecia tylko niewiele wspomnień, które wydawałyby się choć w przybliżeniu tak realne, jak echa tych dwóch tygodni sprzed trzynastu lat. Może się to wydawać szaleństwem, ale jak mamy odróżnić wspomnienie od

rzeczywistości, jeśli nie poprzez wybór tego, co jest bardziej jaskrawe? Zapachy i twarze z tych dwóch tygodni odcisnęły się w moim umyśle, barwniejsze i bardziej żywe niż zwyczajne wrażenia tego pokoju, tej podłogi, tej na wpół wypełnionej strony, którą mam przed sobą. Codziennie – nie, za każdym razem, gdy zamykam oczy, by znowu je otworzyć – dziwię się, że znalazłem się w tej osobliwej teraźniejszości. To nie ona jest miejscem, w którym naprawdę przebywam, lecz przeszłość sprzed trzynastu lat. Ten dotyk jest bronią w mojej ręce, owo swędzenie skóry przeciwnika pod moimi palcami, tamten smak krwi. Czyjej? Co mam za plecami? Skałę? Ścianę? Jeśli stąd wyjdę, z pewnością znajdę się na swym polu bitwy. Trudno mi uwierzyć, że to tylko krzesło.

– Atak żołnierzy wyłączył mój lokalizator – wyjaśniłem na użytek Carlyle’a. – Kiedy to się zdarza, gliny zawsze sprawdzają, co się ze mną dzieje. Gdyby mnie tu znaleźli, to byłaby katastrofa.

Major skinął głową.

– Tak, mieliśmy szczęście. Mycroft zdołał nas przekonać, żebyśmy wypuścili go na dziesięć minut. Ledwie zdążyło wyjść z wykopu, gdy zjawiała się cała kupa gliniarzy.

To nie było tylko szczęście, Czytelniku. Pamiętam ten dzień z pełną wyrazistością i bogactwem kolorów. To jeden z niewielu stałych punktów odniesienia pośród mgły spowijającej długi czas, który minął od moich zbrodni. Wyraźnie przypominam sobie maleńkich żołnierzyków spoglądających w górę, fortepianowe struny pozostawiające czerwone ślady na mojej skórze, gdy przywiązali mnie do znalezionego wśród śmieci krzesła. Sądzę, że to wspomnienie jest ważne nie z powodu bólu czy krwi – mam bowiem wiele blizn i nieraz zapomniałem, skąd się wzięły – lecz dlatego, że mając nogi związane w kostkach i ręce w nadgarstkach, czułem się jak więzień. Niech ci się nie zdaje, że bondage to jedno z moich perwersyjnych upodobań. Mam ich wiele, ale akurat nie to. Po prostu przypomniało im to o innym, jeszcze potężniejszym wspomnieniu. O godzinach po moim pierwszym pojmaniu, trzynaście lat temu, gdy siedziałem w swej plastikowej klatce bezradny jak owad. To było jedno z najbardziej intensywnych doświadczeń w moim życiu. Gdy znowu mnie pojmano i skrupowano, obudziła się we mnie ta sama bezradność. Jestem przekonany, że właśnie dlatego tak szybko przejaśniło mi się w głowie. Gdy ujrzałem na własne oczy maleńkich, żywych

plastikowych żołnierzyków, nie sparaliżowały mnie szok ani niedowierzanie. Przyjąłem to wszystko do wiadomości, pogodziłem się z cudem i natychmiast podjąłem decyzję: Jestem tu po to, by bronić tego chłopca i być jego przewodnikiem. Determinacja dała mi dar przekonywania, gdy błagałem ich o dziesięć minut.

– Potrzebowaliśmy pomocy – ciągnął Major. – Dorosłego człowieka, który mógłby przenosić ciężary i zdobywać dla nas różne rzeczy. Dlatego postanowiłem zwerbować Mycrofta.

– Zwerbować?

Na twarzy Carlyle'a pojawiło się zdumienie.

Major wybuchnął śmiechem.

– Współpraca z cywilami nie wychodzi mi zbyt dobrze. Ale nigdy nie zapomnę o tym, co powiedział Mycroft, gdy mu oznajmiłem, że jest wcielony do mojej armii. „Czytaliście Wspomnienia Alexisa de Tocqueville'a?”

Uśmiechnąłem się, przypominając sobie wyraz twarzy Majora w owej chwili. Surowy wyraz twarzy mojego maleńkiego strażnika zmienił się w ulgę, zrozumienie, a wreszcie w zachwyty, gdy opowiedziałem mu o sobie i o swoim Tocqueville'u. Uszczęśliwiła go nie tyle treść moich wyjaśnień, ile forma, subtelnie tkane słowa i literackie aluzje. Wtedy właśnie Major przekonał się, kim jestem. Mogłem go okłamać, mogłem po prostu się zgodzić i nie wspomnieć ani słowem o swej podwójnej lojalności. Ale tego nie zrobiłem.

– Tocqueville napisał pamiętnik z czasów francuskiej rewolucji – wyjaśnił maleńki żołnierz, tak samo jak ja wytłumaczyłem mu to przed ośmiu laty zaledwie piętnaście metrów stąd. – Nie tej najważniejszej, ale tej z tysiąc osiemset czterdziestego ósmego. Opisuje w nich swojego lokaja. Ten lokaj chciał się przyłączyć do rewolucji, ale był również obowiązkowy i lojalny wobec pana. Codziennie wracał z barykad, czyścił buty i frak Tocqueville'a, sprzątał w jego pokoju, po czym prosił chlebodawcę o pozwolenie odejścia i wracał na kilka godzin do walki, by znowu narażać życie. – Wskazał na mnie głową. – Dla Mycrofta opieka nad Bridgerem to barykady. A J.E.D.D. Mason to najwyraźniej jego pan.

Thisbe spojrzała na mnie z góry.

– Czy to prawda?

Prawda uwięzła mi na moment w gardle.

– T... tak.

– Dlaczego?

Spojrzałem na Carlyle'a. Pozostawał w błogiej nieświadomości tego, kto przed nim siedzi, był spokojny i pełen wyrozumiałości, ponieważ nie słyszał nazwiska „Canner”.

– Nie mogę tego wyjaśnić.

– A to znaczy, że nie jesteście obiektywni, gdy chodzi o J.E.D.D. Masona! – oskarżyła mnie. – Nie chcecie odpowiedzieć nawet na proste pytanie, dlaczego zachowuje się jak szalony kultysta.

Spojrzałem na własne dłonie.

– Wierzę, że można nie być obiektywnym, a jednocześnie mieć rację. Pracuję dla... – Spojrzenie Majora żądało ode mnie prawdziwszych słów. – Służę J.E.D.D. Masonowi. To prawda. Zawsze będę mu służyło. Niezależnie od tego wierzę też, że możecie Mu zaufać, w większym stopniu niż komukolwiek, kto nie znajduje się obecnie w tym pomieszczeniu. To dobra Osoba. Dobra, uczciwa, wyrozumiała i godna zaufania. Zawsze dotrzymuje obietnic, bardziej niezawodnie niż ktokolwiek, kogo znam. Co więcej, nie ma ambicji. Ma tyle władzy i bogactwa, ile ktokolwiek mógłby zapragnąć. Ufają mu wszyscy przywódcy na Ziemi. Nie może wznieść się wyżej, nie ma powodu pomagać żadnej ze stron. Na całym świecie nie ma lepszej Istoty. Uwierzcie mi. Naprawdę nie ma. Niewykluczone, że nigdy nie było. Nie wykorzystałoby Bridgera. Poruszyłoby niebo i Ziemię, żeby pomóc mu wykorzystać swe moce dla dobra ludzkości. Dlatego właśnie chcę, żeby Bridger na razie trzymało się z dala od Niego. Jest zbyt dobre i łaskawe. Nie mogłoby się powstrzymać przed naciskaniem na Bridgera, by działało jak najszybciej i wzięło sobie na barki zbyt wiele obowiązków. – Uściskałem chłopca, którego trzymałem w ramionach. – Dziecka nie powinno się poddawać takim naciskom. Widzieliście, jak J.E.D.D. Mason próbowało pomóc zdradzieckiemu kapitanowi. To nie była manipulacja, tylko wyrozumiałość. Nadmiar wyrozumiałości i zbyt silne pragnienie niesienia pomocy sprawiło, że naciskało zbyt mocno i sytuacja wyrwała się spod kontroli. Ono zawsze takie jest. Bardzo trudno jest przyzwyczać się do Jego bliskości. Gdy już Bridger będzie miało plan tego, jak pragnie wykorzystać swe moce, a Carlyle... – wskazałem na senseistę – ...pomoże mu przygotować się do zmienienia świata, powinniśmy pójść prosto do J.E.D.D. Masona. Ono dopilnuje, by Bridgerowi dano najlepsze możliwe wsparcie. Jest zbyt potężne i niezgrabne, by ktoś wrażliwy mógł znieść jego bliskość. Nie

„potężne” w sensie politycznym, a tylko osobistym. Widzieliście, jak wygląda rozmowa z Nim. Mówi tylko Prawdę i czyni wyłącznie Dobro. Nie potrafi się ograniczać, jak ludzie. Pewnego dnia, Bridgerze, będziecie na to gotowi. A nawet więcej niż gotowi. – Ponownie uciskałem chłopca. Ufał mi i dlatego czułem się silniejszy, mówiąc do niego, niż kiedy zwracałem się do Thisbe, której oczy nadal lśniły złowrogo. – A gdy już będziecie gotowi, wy i J.E.D.D. Mason uczynicie cały świat niewiarygodnie lepszym. Ale to wy zdecydujecie, kiedy ta chwila nadejdzie.

Wygłaszając ten długi monolog, cieszyłem się, że wszyscy słuchają mnie cierpliwie, ale nawet gdy skończyłem, nadal czekali bez słowa, myśląc o tym Nieznajomym. O wrażeniu, jakie na nich wywarł, i o licznych aspektach Jego osobowości, które można opisać jedynie słowami „za dużo”.

Thisbe odezwała się pierwsza.

– Powiedzcie mi, skąd się wzięło J.E.D.D. Mason, Mycrofcie. Dlaczego Cornel MASON postanowiło adoptować akurat to dziecko? Wiem, że uczyniono to, gdy było jeszcze niemowlęciem. Kim są jego rodzice? – Spróbowała mnie złapać za włosy, ale odsunąłem się i musiała mocno się pochylić, by zmusić mnie do spojrzenia jej prosto w oczy. – Czy plotki mówią prawdę? Czy J.E.D.D. Mason to naprawdę nieślubne dziecko Hotaki Andō Mitsubishiego?

– Ach, tak! – zawołał Carlyle. – Słyszałam kiedyś tę pogłoskę, ale myślałam, że to zwykłe gadanie.

Thisbe pochyliła się jeszcze bardziej.

– Wygląd ma trochę japoński – przyznała. – Czy to jakiś dziwaczny sojusz między Masonami a Japońskim Mistubishi? Mówią nawet, że MASON pomogło Andō zdobyć pozycję dyrektora naczelnego.

Wzięłam wdech. A po nim kilka kolejnych.

– Gdyby ktoś powiedział, że tego rodzaju sojusz istnieje, nie minąłby się z prawdą. Naprawdę nie mogę powiedzieć więcej. Muszę was opuścić.

– Mycrofcie. – Jej oczy przybrały łagodny wyraz. – Nic nie mogłoby być ważniejsze niż...

Rozległa się syrena alarmowa mojego lokalizatora, przejmujący pisk elektronicznego bólu. Thisbe odskoczyła nagle do tyłu, a Major wyciągnął maleńki, błyszczący miecz.

– Czy mnie słyszycie? – Głos cenzora Anceleta popłynął z głośnika,

ostrzy jak zła muzyka i słyszalny dla wszystkich. – Posłuchajcie, nie wiem, kto tam jest, ale ten usługowiec jest jednym z najlepszych specjalistów od analizy statystycznej, a w tej chwili ignorujecie wezwanie o najwyższym priorytecie od urzędu cenzora w Romanowie. Musimy przeprowadzić pilną analizę, która powinna być gotowa na wczoraj. W związku z tym, czy moglibyście uprzejmie wezwać autolot i kazać mu zabierać tyłek do Romanovy, chyba że to, co w tej chwili robicie, jest ważniejsze niż ekonomiczna przyszłość gatunku ludzkiego. Jeśli tak nie jest, powierzcie drobne zadania, jakie mu zlecacie, komuś, kto nie może uratować świata!

Thisbe opadła szczęka. Czytelniku, mógłbyś pomyśleć, że skoro znała mnie już prawie dziesięć lat, nie mogłaby nie wiedzieć, jakimi zadaniami zajmuję się na co dzień, zwłaszcza że Ty, który poznałeś mnie dopiero przed chwilą, już o tym wiesz. Jednakże Tobie, wymagający Czytelniku, zdradzam wszystko, a przed przyjaciółmi ukrywam, co tylko zdołam, by nie narażać ich na niebezpieczeństwo. Jeśli zaś chodzi o Carlyle'a, jeśli masz bystry wzrok, Czytelniku, być może dostrzegłeś już w jego zanadto niebieskich oczach cień czegoś mroczniejszego niż zaskoczenie.

– Czy cenzor nas słyszy? – wyszeptał Bridger.

– Tylko mnie – odpowiedziałem również szeptem. – Zjawię się bezzwłocznie, cenzorze – dodałem nieco głośniejszym głosem. – Obiecuję... Tak, mówię poważnie. Obiecuję. – Zaczekałem, aż Vivien się rozłączy. – W porządku. Już nas nie usłyszy.

– Czy to naprawdę był romanowański urząd cenzora? – zapytała Thisbe, niemalże rozdziawiając usta.

– To było cenzor we własnej osobie – uściśliłem. – I zanim mnie zapytacie, nie, nie mogę rozmawiać o pracy, którą dla niego wykonuję, podobnie jak o zadaniach, które zleca mi J.E.D.D. Mason. Wy również nie zdradzacie mi szczegółów pracy, którą zajmujecie się w waszym baszu. – Starłem się, by moja twarz wyrażała prawdomówność. – Nie zmuszajcie mnie, bym was okłamał, Thisbe. – Nie mogę wam powiedzieć prawdy, więc albo będę milczał, albo was okłamię.

– Rozumiem – odezwał się Major.

Pochyliłem się ku niemu, próbując coś wyczytać z jego maleńkiej twarzy, ale niemal nie sposób dopatrzeć się subtelnej mimiki na obliczu o średnicy jednego centymetra. Więcej mówi mi jego głos: celowo łagodny, powstrzymujący rozkazujący ryk, który kryje się

nawet za jego najspokojniejszymi słowami, niczym odległy grom.

Chłopiec zsunął się z moich kolan.

– Musicie już ruszać.

– Nie muszę.

Jego oczy zrobiły się okrągłe jak księżycy w pełni.

– Ale...

– Bridgerze, wy naprawdę jesteście ważniejsi niż ekonomiczna przyszłość gatunku ludzkiego.

W jednej chwili, nie zważając na swój ciężar, chłopiec skoczył i uściskał mnie silniej niż ktokolwiek w moim życiu.

– Ufam wam, Mycrofcie. Nic mnie nie obchodzi Tocqueville ani J.E.D.D. Mason. Ufam wam i wiem, że nigdy nie próbowalibyście mi rozkazywać, chyba żeby to było naprawdę bardzo ważne. Jeśli musicie nas opuścić, zróbcie to. Wkrótce wróćcie. – Delikatne palce uścisnęły moje ciało. – Zawsze wracacie.

Objąłem go. Nie zwalniałem uścisku przez wiele oddechów. Ufał mi. W tej sytuacji nie mogłem zrobić nic więcej niż błagać ich, by mi uwierzyli, ale okazało się, że nie muszę tego robić. Nie miało znaczenia, że oczy Thisbe nadal miały mroczny wyraz. Nie miało znaczenia, że liczył się mars niepokoju na czole Carlyle'a, ani fakt, że z domku dla lalek znowu dobiegało mamrotanie szeregowego Przykucniętego. Bridger mi ufał. Ufał mi, choć byłem dziwny, pomimo mojego milczenia i niepewności innych. I jeszcze lepiej, ufał samemu sobie, swemu osądowi, bardziej niż ich opiniom. Był bardzo młody, ten nasz cudowny protagonista, a mimo to zaczynał już wierzyć we własne siły.

Nie będę dłużej tolerować tych gier, Mycrofcie – sprzeciwiasz się. Tolerowałem wiele twoich ekscentrycznych zachowań, twój nacechowany płciowo język, twoje tytuły – Patriarcha, Filozof – powtarzające się szaleństwo, jakim jest nazywanie Thisbe „czarownicą”. Pozwoliłem ci nawet na zaszczycanie J.E.D.D. Masona boskim „On”, ale nie możesz ode mnie wymagać, bym zwał tego chłopca, który ledwie zdążył podnieść głowę w twojej opowieści, „protagonistą”. W każdej opowieści przyznawanie komuś tego tytułu jest absurdalne, ale jeśli czujesz potrzebę, by to zrobić, powinieneś wybrać kogoś, kto naprawdę działa i rozumie, kto popycha akcję naprzód. Nie Bridgera.

Czy musimy toczyć tę dyskusję, Czytelniku?

Musimy, Mycrofcie. Pozwalasz sobie na zbyt wiele, mimo że podajesz

się za mojego sługę i przewodnika. Zmuszasz mnie do zaakceptowania tej opinii, ponieważ twój osąd zakłóca miłość albo – jak podejrzewam – jakieś niższe uczucie. Sam przyznałeś się do perwersyjnych upodobań i w niektórych chwilach opisywałeś tego chłopca, tego anioła, w nieco zbyt zmysłowy sposób. Przeczytaj własne słowa, a zrozumiesz przyczyny mojej nieufności.

Nie czuję się urażony, mój nieufny Czytelniku. Wiem, że trudno uwierzyć w to, że Mycroft Canner nie pożądał Bridgera albo Thisbe, Snipera, Danaë bądź Ganymede'a. Wszystkich tych pięknych albo bestii, z którymi tak łatwo było mi się zetknąć. Opowieść z czasem dowiedzie mojej niewinności. Muszę mieć protagonistę. Walczę o to, by otworzyć przed Tobą wewnętrzne drzwi opowieści, zademonstrować Ci, jak myślą i co czują ci, którzy stworzyli tę nową erę. W mojej epoce na nowo nauczyliśmy się widzieć historię jako coś kształtowanego nie przez DNA albo ekonomię, lecz przez żywych ludzi. Ty również musisz opanować tę umiejętność.

Proszę bardzo, miej protagonistę, jeśli uważasz to za konieczne, ale niech to nie będzie Bridger, najmniej aktywny z aktorów twojego dramatu.

Któż więc powinien nim być, Panie?

Czemu nie ten senseista, Carlyle Foster? On pojawia się częściej i widział więcej. Jest inteligentny i godny szacunku, jego opinie nie są zbyt osobliwe i reprezentuje punkt widzenia outsidera, podobnie jak ja.

Nie, Czytelniku. Protagonista musi walczyć i odnieść sukces albo przegrać. Jego los określa, czy mamy do czynienia z komedią, czy z tragedią. Carlyle zanadto upodobiłby naszą historię do sztuk o Edypie, w których widownia czeka tylko na to, aż protagonista dowie się o dawnych grzechach.

W takim razie może J.E.D.D. Mason, którego darzysz tak szalonym szacunkiem?

Za mało jeszcze wiesz, Czytelniku, by wypowiadać Jego imię.

Proszę bardzo. W takim razie oskarżam ciebie, Mycroftcie. Ty jesteś protagonistą swej opowieści, podobnie jak wszyscy ludzie. Jak ja jestem protagonistą w świecie, którego doświadczam. W myślach nadawałem ci to miano już od pierwszej strony. Jesteś wszechobecny w tej historii i swobodnie chodzisz po korytarzach władzy. Jak mógłbyś nie być centralną postacią własnej opowieści?

Reaguję uśmiechem na ten komplement, szczodry Czytelniku, ale

jesteś w błędzie. Jak Ci mówiłem, los protagonisty rozstrzyga, czy mamy do czynienia z komedią, czy z tragedią. Z pewnością zdecyduje o tym chłopiec, którego moc może zmienić postać całego wszechświata, a nie ten znużony niewolnik, narzędzie wykorzystywane przez innych. Czasy, w których działałem niezależnie, dawno już minęły. Jestem oknem, przez które oglądasz nadchodzącą burzę. On jest błyskawicą.

Wyruszając do Romanovy, wybełkotałem kilka słów pożegnania. Bridgera zapewniłem, że wrócę, Majora, że dochowam wierności... Jeśli zaś chodzi o Carlyle'a i Thisbe, pamiętam tylko tyle, że przemknąłem się ukradkiem obok nich, niezdolny spojrzeć im w twarze pełne uzasadnionej podejrzliwości. Powinienem był coś powiedzieć, spojrzeć w ich pełne oskarżeń oczy, i błagać o wybaczenie za to, że to że musiałem milczeć. J.E.D.D. Mason nie ma monopolu na niezgrabność w kontaktach z ludźmi, Czytelniku. Powinienem był coś im powiedzieć. Cokolwiek. Cokolwiek, co powstrzymałoby to, co Thisbe zrobiła dziesięć minut później, ciągnąc za sobą Carlyle'a.

– Eureka, mogłobyś poświęcić mi minutkę?

Połączyła się przez lokalizator, ale mówiła głośno po angielsku, z uwagi na Kuzyna.

<oczywiście, thiz, o co chodzi?>

– Mogłobyś prześledzić J.E.D.D. Masona za pomocą swoich zapisów transportowych?

<jasne.>

– Dziękuję. Chcę sprawdzić, jakie adresy najczęściej odwiedza, dom i tak dalej. A także wszystkie związki z Dominikiem Seneschalem i Martinem Guildbreakerem. Myślę, że mogą być współbaszowcami. Chcę tylko się upewnić, że nie ma żadnych problemów z bezpieczeństwem ani konfliktu interesów.

<to jest mycroft guildbreaker, tak?>

<tak, zgadza się.>

Wyobraź sobie szeroko otwarte oczy Carlyle'a, jego drżące wargi.

– Czy powinniśmy to robić? – szepcze.

Thisbe cicho szepcze niepodważalne usprawiedliwienie.

– Dla bezpieczeństwa Bridgera.

<ooo, sprytne xiao hei wang. nie ma numeru autolotu, nie ma zapisów w moim systemie.>

Ciemne brwi Thisbe unoszą się z zaciekawieniem.

– Co to oznacza?

<nie używa naszych autolotów, thiz, seneschal & guildbreaker tak, ale xiao hei wang nigdy. nawet nie ma numeru identyfikacyjnego. przyleciało u-lotem i odleciało u-lotem. zawsze tylko u-loty.

– Ale macie też utopiańskie zapisy, prawda?

<nie ich przewidywania celów, ale dzieli się z nami trajektoriami i numerami identyfikacyjnymi. znalazłem je, mam je tu, lot do togenkyo, ściągamy dawne zapisy.>

– Świetnie. Macie najczęściej odwiedzane adresy?

<romanovskie forum, wieżowiec dyrektora togenkyo, pałac cesarski, bruksela...>

– To wszystko brzmi jak miejsca pracy. Macie coś innego?

<jest jeden adres, cała trójka lata tam często i xiao hei wang spędza tam noc co najmniej raz w tygodniu. może to rezydencja, a może kochanek. [XX], rue [XXXX], avignon, france> Cenzuruję tu jego adres, Czytelniku, choć nie zdołałem go ukryć przed Thisbe. <ten wygląda ciekawie. sprawdzimy czy jest też inne miejsce. ooo!!!! czarna dziura! czarna dziura! lata do czarnej dziury! a niech to, lata tam bardzo często!>

– Czarna dziura?

<tak! czarna dziura! tak ją nazywamy, ja i sidney. to niezwykle zdumiewające miejsce! nie wiemy, co tam jest. próbujemy zgadnąć od lat, świetna zabawa. to jakieś miejsce, ludzie je odwiedzają, powinniście zobaczyć wzorce, thisbe, tak wielu gości, tak ostry chłód, nic innego tak nie wygląda. czasami ludzie tam leca i celowo to ukrywają. zabierają się z kims innym i jest tylko jeden numer identyfikacyjny, ale możemy poznać, że był dodatkowy pasażer, bo wehikul wazy więcej, mnóstwo ludzi to robi, thisbe, bardzo często. próbują ukryć, że leca do czarnej dziury, ale wracają tam raz po raz, czasem na godzinę, a czasem na całą noc albo na weekend, ale jeśli ktoś poleci tam choć jeden raz, zawsze wraca, wraca, wraca i wraca, raz po raz, a niektórzy zostają na zawsze!>

– Na zawsze?

<na zawsze, thisbe! ludzie odwiedzają to miejsce i nigdy go nie opuszczają, nigdy, zostają, zostają i zostają, niektórzy siedzą tam już dziesięć lat i nigdy nie wsiadli do autolotu, ani razu, wszystkie te lata spędzili w paryżu.>

– To jest w Paryżu?

Thisbe uniosła brwi. Czy Twoje również się uniosły, Czytelniku?

<aha. [XX] boulevard [XXXX], paris, niektorzy zostaja tam na zawsze, a czasami wychodza stamtad zupełnie nowi ludzie, ktorzy nigdy, nigdy przedtem nie wsiadali do autolotu, ale nie sa małymi dziecmi, zawieraja sluby, wiec musza byc dorosli, ale spedzili tam wiele lat i nigdy dotad nie opuszczali czarnej dziury!>

– I J.E.D.D. Mason tam lata?

<bardzo czesto. zbadacie te sprawe, thisbe? rewelacja! och, nie wiem, czy was prosic, zebyscie zdradzili mi te sekrety. to ulubiona zgadywanka naszej dwojki, zalozyliśmy sie o to, ktore z nas pierwsze odgadnie tajemnice. jesli wy wygracie, to my pewnie przegramy? ale to by bylo oszukiwanie sprawdzic to osobiscie.>

– To praca – odparła bez ogródek Thisbe. – Powiem wam, jeśli względy bezpieczeństwa będą tego wymagały.

<w porzadku. czarna dziura, to swietnie. potrzebujecie czegos jeszcze?>

– Nie, sprawa załatwiona. Dziękuję!

<nie ma za co.>

Thisbe przerwała połączenie i spojrzała na pobladłego, wytrzeszczającego oczy Carlyle’a Fostera.

– Czy... – Senseista szeptał, choć w pobliżu nie było nikogo, albowiem szepty to odpowiedni ton dla strachu i łamania prawa. – Co zamierzacie zrobić?

– Zjawić się tam i zadzwonić do drzwi.

– Ale...

– Musimy poznać prawdę o J.E.D.D. Masonie, Carlyle. Sumienie nie pozwala nam zostawić Bridgera w mocy Mycrofta, którego w tak oczywisty sposób kontroluje ta... niezwykle dziwna osoba. Mówiliście, że ich basz zapewne oddaje się jakimś osobliwym zabawom z teologią. Sprawdźmy to.

Przełknął z wysiłkiem ślinę.

– Czy to dozwolone? Mam na myśli wykorzystywanie autolotowych danych w ten sposób.

– Oczywiście. Autoryzuję to.

– Mamy tak po prostu się tam zjawić?

Skończyła zapinać buty.

– Przeszukałam publicznie dostępne dane. Jest tam mnóstwo słodkich zdjęć J.E.D.D. Masona jako dziecka w objęciach sławnych ludzi i tyle

bezużytecznych plotek, ile można zapragnąć, ale nic, co by nam powiedziało, jakie ono jest naprawdę, wyjaśniło, dlaczego tak się dziś u nas zachowywało ani jak zdobyło tak wielką władzę nad Mycroftem C... – Powstrzymała się w porę. – Musimy się tego dowiedzieć.

– Mówimy o prywatnym domu polityka wysokiej rangi. Będzie tam milion ochroniarzy.

– A ja pokażę im milion upoważnień – oznajmiła. – Jestem oficerem ochrony Sześciopasiekowego Systemu Transportu, Carlyle. Mam prawo podjąć takie kroki, jakie uznam za stosowne, dla ochrony tego baszu oraz dla dobra całego świata. Mam wszelkie upoważnienia, jakich mogę potrzebować, i dopóki mi towarzyszycie, wy również je macie.

– Nie... nie pomyślałam o tym.

Przerzuciła zawartość szafki w poszukiwaniu kurtki.

– Miałam nadzieję, że pomożecie mi sprawdzić, czy to kult albo teologiczny basz, jak mówiliście, ale jeśli się boicie, zrobię to sama.

– Nie mówię, że... – Coś we wnętrzu Kuzyna nagle dodało mu siły. – Z pewnością polecę z wami. Pomogę wam. Zgadzam się, że powinniśmy zbadać tę sprawę. Powinniśmy. Po prostu...

– Najpierw Awinion, a potem Paryż. Autolot przybędzie za chwilę. Ruszamy?

Carlyle zacisnął dłonie na szacie.

– Tak szybko?

– Lepiej zaatakować teraz, gdy wiemy, że Mycroft i J.E.D.D. Mason są gdzie indziej.

Niecierpliwość często każe nam zapominać o ostrożności i nakazach sumienia.

– Dlaczego najpierw Awinion? Jeśli ten paryski adres jest taki dziwny, zapewne tam właśnie kryje się sedno sprawy.

Thisbe rozciągnęła usta w ostrożnym, wykalkulowanym uśmiechu.

– Dlatego że jeśli Eureka Weeksbooth uważa, że ta „czarna dziura” jest jednym z najbardziej ekscytujących miejsc na świecie, chcę się dowiedzieć możliwie dużo, nim zadzwonię do jej drzwi.

Rozdział osiemnasty

Dziesiąty dyrektor

Nie udało mi się obserwować Carlyle'a. Podróż autolotem zapewniła mi tylko siedemdziesiąt jeden minut, nim znowu uwięziono mnie w ciszy urzędu cenzora, gdzie musiałem się przyglądać, jak raz po raz powracają te same liczby, które moja wyobraźnia zawsze pisze krwią Kohaku Mardiego: 33-67; 67-33; 29-71. Ale w ciągu siedemdziesięciu jeden minut lotu nie myślałem o Carlyle'u. Nie mogłem. Możesz mnie ganić, Czytelniku, za to, że nie wykazałem się większą ostrożnością, bo Bridger i jego moc – jeśli rzeczywiście istniała – byli ważniejsi niż cokolwiek innego na świecie. Jest jednak Ktoś, Kto sprawia, że cały świat wydaje mi się tylko snem, gdy usłyszę Jego głos. Szybko spełnił obietnicę i połączył się ze mną przez lokalizator, prosząc, bym udał się z Nim do Tōgenkyō, gdzie dziewięciu dyrektorów – wyniosłe dęby, których konary osłaniają miliard członków Mitsubishi niczym parasole i dominują nad nimi – kołysało się pod wpływem nagłej burzy.

– Już samą decyzję ukrycia tej akcji przed Ockhamem Saneerem trudno zrozumieć. To uparte ukrywanie przed nami szczegółów jest, szczerze mówiąc, całkowicie nie do przyjęcia. Co więcej, jest zniewagą dla jednego z najbardziej oddanych i godnych zaufania urzędników, z jakimi mieliśmy okazję pracować.

Pierwszym głosem, który usłyszałem przez lokalizator, był głos dyrektora naczelnego Hotaki Andō Mitsubishiego. W przekazie wizualnym widziałem, jak siedzi na honorowym miejscu za długim stołem, za którym zebrali się wszyscy dyrektorzy. Ich wiosenne garnitury zdobiły salę konferencyjną wodospadami, świeżą trawą, kaligrafią, chmurami i karpiami koi. W Tōgenkyō zapadła już pochmurna noc. Za oknami widziałem drapacze chmur stolicy, rozświetlone rozbłyskami światła malującymi ich przypominające lotosy sylwetki na czarnym płótnie morza i bezgwiezdneho nieba.

– To urzędnik innej Pasięki.

W sali konferencyjnej dyrektorzy rozmawiają po angielsku. To kompromisowy język, jego użycie nie świadczy o tym, która z grup narodowych jest najsilniejsza.

Andō skrzywił się z niezadowoleniem.

– Ockham Saneer może być Humanistą, ale codziennie powierzamy mu bezpieczeństwo naszej Pasieki i wszystkich jej członków.

– To prawda. – To był dyrektor Huang Enlai, przysadzisty i zahartowany przywódca narodowej podgrupy regionu Dongbei. Nie był najpotężniejszy z pięciu chińskich dyrektorów, ale jego pozycja była najbardziej bezpieczna. Zapewniało mu ją sześćdziesiąt lat doświadczenia i stałe poparcie nie tylko niewielkiego ojczystego regionu, lecz równie licznych chińskich członków, którzy mieli już dość nieustannych przepychanek między Pekinem a Szanghajem i nie chcieli głosować na żaden z dwóch wielkich bloków. – Zgadzam się, że Ockham Saneer zasługuje na zaufanie w niemal każdej sytuacji, ale są różne rodzaje zaufania. Powierzam lekarzowi życie, ale nie brudną bieliznę.

– A Ockham Saneer nie powierza systemu transportowego ludziom, którzy infiltrują jego dom pod fałszywymi pretekstami. – Andō przesunął wściekłym spojrzeniem po obliczach pięciu chińskich dyrektorów. – Rozmawiałam z prezydentem Ganymede’em, które zgodziło się zachować ten incydent w tajemnicy, by uniknąć kolejnego skandalu. Wściekło się jednak i nie bez powodu. Specjalna Straż, którą zapewniamy baszowi Saneer-Weeksbooth, to najstarszy i najpotężniejszy symbol przyjaźni między naszymi Pasiøkami. Co więcej, jej znaczenie jest nie tylko symboliczne. Działania podjęte przeciwko Saneerom w ich własnym baszobudynku zagrażają pielęgnowanemu przez pokolenia stosunkom.

Stary Huang Enlai westchnął cicho.

– Nie mówię, że to był dobry pomysł. Chciałom tylko powiedzieć, że ujawnianie wszystkich okoliczności, które do tego doprowadziły, również byłoby złym pomysłem.

– Jak bardzo złym? – Andō przesunął spojrzeniem od jednego milczącego dyrektora do drugiego. – Konflikt z Humanistami, do którego może to doprowadzić, stałby się największym kryzysem, jaki zagrozi nam od lat. Jeśli wystawienie na widok publiczny kawałka brudnej bielizny może temu zapobiec, opłaci się to nam z nawiązką.

Dyrektorzy gapili się na niego bez słowa.

– Mam nadzieję, że się nie mylicie – odezwał się Kim Yeong-Uk, jedyny koreański dyrektor. Zdobycie tej pozycji kosztowało jego grupę narodową wiele wysiłku. – Ale jeśli błędnie oceniliście sytuację, jeśli wyznanie prawdy Saneerowi i Ganymede'owi okaże się bardziej niebezpieczne niż kryzys, do którego już doszło, ten, który zatwierdził tę akcję, tym bardziej powinien się przyznać i wyjaśnić całemu Dyrektoriatowi, z czym mamy do czynienia.

Głębokie bruzdy, pozostałość po wieloletnich trudach, sprawiały, że zmarszczone czoło dyrektora Huang Enlaia wyglądało jak złożone na pół.

– Powinniśmy być w stanie przeprosić ich bez ujawniania wszystkiego.

– W tej chwili wiedzą już wystarczająco wiele, by zadać bardzo szczegółowe pytania.

– Jak wiele? – zapytał pośpiesznie Huang. – I skąd pewność, że to wiedzą?

Dyrektor naczelny Andō uniósł wzrok do kamery.

– Tai-kunie?

Wszyscy zwrócili się ku hologramowi. Wyglądało to tak, jakby młody J.E.D.D. Mason siedział przy stole razem z nimi. Powiedzieć, że wszyscy słuchali Go z uwagą, byłoby zbyt banalne. To był inny, głębszy rodzaj uwagi – podobnie jak wówczas, gdy Utopia wysłała śmiałą, cudowną sondę, która jako pierwsza zagłębiła się w atmosferze pochłaniającego wszystko Jowisza, ciszę nagle przerwały pierwsze, niewyraźne sygnały ukradzione królowi niebios i technicy pochyłili się w uniesieniu nad ekranami, próbując coś z nich wyczytać, tak teraz dziewięciu dyrektorów również skupiło się całkowicie na słowach dziesiątego, choć jego pozycja nie była oficjalnie uznana.

– Ockham Saneer wie z pewnością zrodzoną ze spostrzeżeń – zaczął J.E.D.D. Mason – że ci, których zdemaskowałam, cierpieli z powodu wyrzutów sumienia, ale wierzyli, że służą dobrej sprawie i bronią pokoju. Wie z pewnością zrodzoną z ich zeznań, że z powodu ich uczynków baszowi Saneer-Weeksbooth i samemu systemowi transportowemu nie zagroziło bezpośrednio niebezpieczeństwo. Wie z pewnością zrodzoną z analizy, że ludzie ze Specjalnej Straży Mitsubishi oraz ich wspólnicy otrzymali rozkazy, których waga była większa od potrójnej przeciwwagi lojalności wobec towarzyszy,

szacunku dla Ockhama Saneera i niepokoju o ludzi, którzy mogliby stracić życie, gdyby ich działania zagroziły systemowi transportowemu. Wie też z pewnością płynącą z doświadczenia, że wydarzenia, które są nieprawdopodobne i zbliżone w czasie, zapewne coś ze sobą łączą. Dzięki temu wszystkiemu wie z pewnością płynącą z dedukcji, że któreś z was rozkazało ukraść Urządzenie Cannera.

Zasepione miny wywołane tą odpowiedzią wyrażały rezygnację, a nie krytykę.

– Myślicie, że otwarcie oskarży Dyrektoriat? – zapytał Kim.

– W swym sercu już to uczyniło. Nikt inny nie mógłby przekonać zdrajców, że ich czyn jest konieczny, a zarazem altruistyczny. Nie ulega wątpliwości, że nie skłoniły ich do tego groźby, przekupstwo, czy perspektywa niewielkich zysków dla siebie bądź dla baszu. Ci, którzy to uczynili, wierzyli, że działają dla dobra wielkich grup. Miast, ludów narodów. Zatem to musieliście być wy. A przynajmniej jedno z was.

Wszyscy dyrektorzy spojrzeli w oczy towarzyszy.

Andō podrapał się po srebrnych skroniach.

– Jesteście pewni, że Ockham Saneer również tak myśli?

– Tak, *chichi-ue*. – Japońska forma słowa „ojciec”, którą posługuje się „Tai-kun”, zwracając się do Andō, jest wyjątkowo uprzejma i staromodna. – Ockham Saneer z pewnością przeprowadziło już takie samo rozumowanie. Ma antydowody.

Stary Huang Enlai uśmiechnął się do „dziesiątego dyrektora”.

– Jakie antydowody?

– Antydowód numer jeden: Wiecie, że Saneer będzie was podejrzewało, a ono zdaje sobie sprawę, że o tym wiecie. Gdybyście mieli dowody swej niewinności, przedstawilibyście je mu. Nie zrobiliście tego. Antydowód numer dwa: Kapitan Zhu Weichun nigdy już nie okłamie Ockhama Saneera. Kiedy je zapytają, kto wydał im rozkaz, może zachować milczenie, ale nie powie, że to nie byliście wy. W ten sposób Saneer upewni się, że jesteście winni.

Nie zauważyłem, który z dyrektorów pierwszy wymamrotał kilka przepojonych frustracją sylab w chińskim języku, brzmiącym melodyjnie jak grecki, ale gdy tylko ktoś przerwał tamę angielskiego, popłynęły kolejne chińskie słowa. Nie rozumiałem ich, ale mowa ciała chińskich dyrektorów była wystarczająco przejrzysta. Wang Laojing z Pekinu ścierał się z szanghajskimi dyrektorami, Lu Yongiem i Wang Baobao, choć nie potrafiłem określić, która strona oskarża, a która się

bronii. Stary Huang Enlai, który często się wtrącał, był siatką dla ich słownego tenisa. Chen Zhongren z Wezhou dodawał czasem ostrożne, krótkie wstawki. Polityka bez słów ma w sobie coś czystego, prosty ludzki podział na skonfliktowane strony, odarty z poloru znaczeń i usprawiedliwień. Zauważyłem też, że z ust niechińskich członków Dyrektoriatu wyrrywają się westchnienia zrozumienia. Wszyscy widzieliśmy, że zrobili to Szanghaj i Pekin. Jeden z wielkich bloków podjął to ryzyko, próbując zdobyć przewagę nad drugim, utuczony pieniędzmi Szanghaj przeciwko upartej i dumnej byłej stolicy. Wiedziałem, że to taki sam nonsens, jak zrównywanie Paryża z Londynem, ale dla tych z nas, którzy byli w tym pomieszczeniu językowymi wygnańcami, nie miało znaczenia, kto był winny. W wojnach między braćmi i siostrami prawdziwą przyczyną jest bliskość.

– Dość już tego! – przerwał im wreszcie Andō. – Ten czyn był zagrożeniem dla [s/S]ojuszu!

Mówił po angielsku, a w jego przepojonym gniewem głosie pobrzmiwała dwuznaczność, którą trudno mi oddać w tekście. Czy miał na myśli nieformalny sojusz między Mitsubishi a Humanistami, czy raczej romanowański Uniwersalny Wolny Sojusz, który – jak strażnik w jakimś starożytnym porcie – próbuje swym cichutkim głosem zaprowadzić ład i porządek pośród stworzonych przez człowieka lewiatanów przepychających się w zatoce. W chwilach takich jak ta przypominam sobie, jak maleńką zatoką jest Ziemia i jak ogromne są owe lewiatany.

– Obchodzi mnie nie tyle, kto jest winny, ile jak mamy to wspólnie załatwić. Jestem gotowe mówić szczerze, jeśli nikt inny nie chce tego zrobić. W tej chwili wiemy w przybliżeniu, czym właściwie jest Urządzenie Cannera. Jesteśmy też świadomi, że odpowiedzialność za jego zbudowanie można przypisać naszej Pasiece...

Najnowszy dyrektor, młody Wang Baobao z Szanghaju, był na tyle agresywny, że wyszeptał:

– Japonii.

Andō umilkł, ale tylko na krótką chwilę.

– Tak, można to połączyć z moją grupą narodową. Myślę, że wszyscy zdajemy sobie sprawę, że z tego powodu ktoś, kto pragnie zaszkodzić naszej Pasiece, mógłby podburzyć opinię publiczną przeciwko nam, przekonując ją, że Mitsubishi jest odpowiedzialne za wszystko, z czym

kojarzone jest urządzenie. – Podziękowałem w duchu Andō za to, że unikał wymieniania mojego nazwiska. Mimo to wisiało ono w powietrzu jak ciężka od deszczu chmura burzowa: „Mycroft Canner”. – Jedno z nas zaaranżowało dzisiejsze „ćwiczenia”, próbując ukraść urządzenie. Być może chciało w ten sposób chronić Pasiekę.

– *Chichi-ue* – odezwał się J.E.D.D. Mason głosem łagodnym jak mżawka, podczas gdy głosy pozostałych przypominały deszcz. – Czy naprawdę doszukujecie się w tym czynie tak szlachetnych motywów?

Andō zaczerpnął głęboko tchu, żeby się uspokoić, i obrzucił towarzyszy złowrogim, osądającym spojrzeniem. Wszyscy wyglądali na szczerze skruszonych.

– Chciałbym wierzyć, że to był szlachetny uczynek, Tai-kunie. Alternatywa wygląda tak, że ktoś chciał wykorzystać urządzenie przeciwko mnie, ponieważ to japońska grupa narodowa ucierpiałaby najbardziej w wyniku publicznego oburzenia. Robi mi się jednak niedobrze na myśl, że partykularny interes frakcji mógł skłonić któreś z was do zatrucia stosunków naszej Pasieki z całym światem. – Zaczekał chwilę, by wszyscy poczuli wagę tego ciosu. – A zwłaszcza z naszym najważniejszym sojusznikiem.

– Humanisci z czasem o tym zapomną. – Lu Yong, reprezentant Szanghaju, przeciągnął się na krześle. Na jego twarzy malował się wyraz samozadowolenia pomieszanego z irytacją. – Mamy nadzieję, że poradzicie sobie z Ganymede’em, Andō. Wolelibyśmy usłyszeć więcej o kradzieży i o tym, do czego dopuściliście w Czarnej Sakurze.

Myślę, że mówiąc po angielsku, Lu Yong jest bardziej bezpośredni i impertynencki niż w ojczystym języku. To samo zresztą dotyczy każdego z nich.

Andō zapanował nad wyrazem twarzy, ale nie zdołał powstrzymać rumieńca gniewu na policzkach.

– Udało mi się z wielkim trudem uspokoić prezydenta Ganymede’a. – Łypnął spode łba na Lu Yonga, wypowiadając z emfazą tytuł przywódcy Humanistów. – Dopilnowałam też, by śledztwo w sprawie podwójnego włamania powierzono komuś, komu możemy zaufać. To oznacza, że ta sama osoba zajmie się również sprawą urządzenia. Niewykluczone, że jedynie ten fakt broni nas przed kolosalnym skandalem. – Dyrektor Andō zwrócił się ku kamerze. – Wyraz jego oczu złagodniał wyraźnie. – Tai-kunie?

– Tak, *chichi-ue*?

– Czy wierzycie, że któreś z tu obecnych jest odpowiedzialne za urządzenie, za jego skonstruowanie, wykorzystanie i tak dalej?

Nastąpiła długa przerwa na zastanowienie.

– Nie sądzę.

Dyrektor naczelny niemalże się uśmiechnął.

– Jestem przekonane, że świat bardzo by ucierpiał, gdyby ujawniono pochodzenie urządzenia, a korzyści z tego byłyby żadne. Zgadza się ze mną?

– Dyrektorzy – odpowiedział powoli Niezwykły Książę. – Czy któreś z was rzeczywiście zna szczegóły powstania urządzenia, czy też czas zatarł już wszelkie ślady?

Dziewięciu dyrektorów skierowało szczere spojrzenia na nieoficjalnego dziesiątego.

– Sądząc z tego, co słyszałam... – stary Huang Enlai jako jedyny miał odwagę odpowiedzieć – ...wszystkie zapiski starannie zniszczono.

Dziesiąty dyrektor znowu zrobił sobie krótką przerwę, żeby się zastanowić.

– Jestem przekonane, że zagrożenie dla światowego pokoju jest autentyczne, wasz plan ocalenia świata za pomocą milczenia jest realistyczny i dobrze przemyślany, a fakt, że pragniecie bronić własnego ludu, świadczy nie tylko o samolubstwie, lecz również o humanitaryzmie. Nowy przypadek użycia urządzenia wywołał silne, zrozumiałe obawy opinii publicznej. Musimy ujawnić prawdę o tym incydencie. Jednakże kwestia pochodzenia tegoż urządzenia jest odrębna, a w dodatku stara. Niezaspokojona ciekawość nie przysparza cierpień ludności, a każda odpowiedź, jakiej moglibyście udzielić, byłaby boleśnie stronicza i spowodowałaby więcej szkód niż korzyści. Umożliwię wam zachowanie milczenia w tej sprawie. Jeśli moi Utopianie wykryją osobę, która zaatakowała Czarną Sakurę i zdobyła gdzieś urządzenie, podejmę kroki, by je zniszczyć. Nie czuję się też zobowiązane ujawniać jego pochodzenia.

Wiele osób wyraźnie się uspokoiło.

– Nikomu? – zapytał na wszelki wypadek Wang Laojing.

Czy będzie Ci łatwiej, Czytelniku, jeśli będę określał tych dyrektorów nazwami regionalnych podgrup narodowych, które reprezentują, podobnie jak w przypadku króla Hiszpanii? Wang Laojing jest więc przedstawicielem Pekinu albo w skrócie Pekinem.

– To zadanie zleciło Mi wiele różnych władz – odpowiedział J.E.D.D.

Mason – ale wszystkie oczekują ode Mnie przywrócenia pokoju, a nie zaszkodzenia mu. Co więcej, każda z nich ma własne tajemnice. Jeśli powiem *Patrem Meum*, że zagrożenie już nie istnieje, i powtórzę to samo cenzorowi, przewodniczącemu, rektorowi, Ich Królewskiej Mości oraz Ich Miłości, wszyscy będą ukontentowani.

Andō się uśmiechnął.

– Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by pomóc wam w odnalezieniu i zniszczeniu urzędnika. – Przerwał na chwilę, by pozostali dyrektorzy mogli skinąć głowami na znak zgody. – Czy będzie to oznaczało przekazanie wam nielicznych danych na jego temat, jakimi dysponujemy, podjęcia działań zgodnych z waszymi wskazówkami, czy też powstrzymania się od jakichkolwiek działań, jako że nasza dzisiejsza akcja wywołała tak wielkie zamieszanie.

Miliardy ludzi, których szczęścia strzeżecie, podziękowałyby wam, gdyby o tym wiedziały, *chichi-ue* – odparł J.E.D.D. Mason. – Jestem jednak przekonane, że Urządzenie Cannera jest dawniejszą, lecz nie najważniejszą groźbą.

– Macie na myśli listę Siedmiu i Dziesięciu?

– Tak.

– To nie było żadne z nas – odpowiedział przedstawiciel Pekinu w imieniu wszystkich.

J.E.D.D. Mason ponownie przyjrzał się kolejno twarzom wszystkich obecnych.

– Wierzę wam.

Pekin: Czy znamy już powody kradzieży?

Szanghaj: Wasze badziecko było w to zamieszane, Andō.

Japonia: To prawda, Masami jest kolejną ofiarą tej sprawy. Ale nic nie wie.

Korea: Jak rozumiem, *Czarna Sakura* zamierza opublikować obie listy. Nie jest dla mnie jasne, kto na tym skorzysta.

Szanghaj: Lista Sugiyamy nam zaszkodzi, ale inni ucierpią bardziej.

Szanghaj młodszy: Zwłaszcza Ganymede.

Dongbei: To prawda. Zarówno Ganymede, jak i Casimir Perry wypadli na liście Sugiyamy gorzej od nas.

Dyrektorzy przyjrżeli się liście. Miano ją opublikować dopiero jutro, ale wszyscy przywódcy Pasiek otrzymali ją z wyprzedzeniem:

#1: Masoński cesarz Cornel MASON

#2: Anonim

#3: Sniper

#4: Ziven Racer

#5: Przewodniczący kuzynów Bryar Kosala

#6: Rektor Brillistów Felix Faust

#7: Dyrektor Mitsubishi Hotaka Andō Mitsubishi

#8: *François Quesnay*

#9: *Julia Doria-Pamphili*

#10: *Lorelei „Cookie” Cook*

Korea: Celem mogło być również król Hiszpanii. Na liście znalazło się Ziven Racer. To zniewaga zarówno dla króla, jak i dla Perry’ego.

Pekin: Wszyscy wiedzą, że król nie było wtajemniczone w próbę oszustwa wyborczego. Ziven Racer próbowało dać mu zwycięstwo, ale zwracanie w tej chwili uwagi na ów fakt przypomni tylko wszystkim, jak honorowo zachowało się król Hiszpanii, wycofując się z wyścigu po ujawnieniu sprawy. To Casimir Perry będzie wyglądało źle, bo skorzystało na jego pechu.

Szanghaj: Sugiyama bynajmniej nie jest pierwszą osobą zwracającą uwagę na fakt, że Ziven Racer to jedyny powód, dla którego Perry jest teraz premierem, ale nie słyszałam, by mówiono, że Sniper to jedyny powód, dla którego Ganymede jest prezydentem. A przynajmniej nie publicznie. To znacznie gorszy cios.

Japonia: Co o tym sądzicie, Tai-kunie?

Jegomość: Najgorszy cios zadano nie Europie, lecz Azji, *chichi-ue*.

Pekin: Azji? Dlaczego sformułowaliście to w ten sposób?

Jegomość: François Quesnay.

Dongbei: Ósme nazwisko na liście.

J.E.D.D. Mason umilkł. Oddychał powoli, jakby trawiła go gorączka i tylko maksymalnym wysiłkiem woli mógł zachować przytomność i rozmawiać z gośćmi.

– Co jest źródłem? – zapytał wreszcie.

Pekin: Źródłem czego?

Jegomość: Gdybyście mieli napisać wiersz pod tytułem „Źródło”, o czym by opowiadał?

Ze wszystkich dyrektorów Andō najmniej obawiał się odpowiedzieć na Jego dziwne pytanie.

– O naturze – odrzekł. – O tym, jak wszystko, co żyje, łączy się ze sobą,

o lasach, oceanach, być może o wiejskim życiu, farmie, wodzie bijącej z ziemi.

To świadczy o wielkim zaufaniu, Czytelniku, że wygłosił te osobiste, niemal teologiczne opinie, wierząc, że J.E.D.D. Mason wykorzysta je we właściwym celu.

Jegomość: Czy wszyscy się zgadzają?

Szanghaj: Ja napisałbym o wiosnie. O powrocie do życia.

Pekin: Tak, o wiosnie.

Dongbei: Być może o ziemi. O ziemi, która się zmienia, gdy śniegi topnieją.

– O oceanie albo studni, a może o górze bądź drzewie.

To ostatnia odpowiedź pochodziła od Kimury Kunie, drugiego japońskiego dyrektora, który od dziesięcioleci radził sobie dobrze, odkąd zrozumiał, że lepiej będzie zostać silną prawą ręką Andō niż jego rywalem.

– Zatem jesteście odosobnieni.

W Jego martwym, cichym głosie słyszało się teraz ostrożność, jak wtedy, gdy pocieszasz ranne zwierzę i wiesz, że wypowiedane przez Ciebie sylaby nie mają znaczenia, ale widzisz ból i musisz coś w tej sprawie zrobić.

– Gdyby zadać to pytanie innym, Kuzyn mogłoby odpowiedzieć „serce”, Europejczyk „przeszłość”, Humanista „ja”, Brillista „psychika”, a Utopianin „wyobraźnia”. Wszystko to są elementy masońskiej odpowiedzi, która brzmi „ludzkość”. Tylko Mitsubishianie umieszczają źródło poza ludzkim gatunkiem, w naturze. – Widziałem przez lokalizator, że w oczach dziewięciu dyrektorów kolejno pojawia się strach. – Ta idea czyni was całkowicie osamotnionymi. To właśnie pomyślało Sugiyama. Masami Mitsubishi nie chciało tego powiedzieć, ale cała Ziemia to teraz przeczyta.

– Dlaczego widzicie w tym zagrożenie?

Dyrektor Greenpeace-Mitsubishi, Jyothi Bandyopadhyay, wreszcie przerwała milczenie. Jej barwny strój był skrojony na wzór *sherwani*, ozdobiły go jaskrawe, płomiennopomarańczowe kwiaty drzewa salasa, a zielona szarfa przebiegająca przez pierś symbolizowała prawo weta, przyznane jej przez warunki fuzji Pasiaki Greenpeace z Mitsubishi, zawartego sześćdziesiąt cztery lata temu. Podczas całej rozmowy zachowywała obojętną minę, zachowując się raczej jak smutna obserwatorka niż jedno z uczestników. Na twój użytek przypisuję jej

pleć żeńską, Czytelniku, by Ci uświadomić, jak wiele dzieli ją od Andō i jemu podobnych. – Wszyscy wiedzą, że dbałość o ziemię to nasza wielka siła, obecnie bardziej niż kiedykolwiek. Czy spodziewacie się nowej fali oburzenia z powodu wygórowanych cen dzierżawy?

– O tym może wam opowiedzieć moje sługa.

Po chwili milczenia uświadomiłem sobie, że Dominic zaginął, więc J.E.D.D. Mason z pewnością ma na myśli mnie.

– T... tak – dyrektorzy – zacząłem, słysząc, że głos mi się załamuje ze strachu przed rozpoznaniem. – Przemawiam w... w imieniu Trybuna i Romanovy, tak jest. – Przewidujemy nowy konflikt na tle czynszów i wartości nieruchomości.

Dzieląc się w tym miejscu przewidywaniami urzędu cenzora, nie dopuściłem się złamania tajemnicy, Czytelniku. J.E.D.D. Mason jest Bezpasekowym Trybunem i ma dostęp do danych cenzora, gdy znajduje się w Romanovie.

Pekin: Zahamowaliśmy wzrost czynszów i zmniejszyliśmy szybkość kupowania ziemi zgodnie z rekomendacją cenzora.

Ja: To prawda. Dołożyliście wszelkich starań i dane cenzora to odzwierciedlają. Ale ludzie niepokoją się tym już od dłuższego czasu i przeprowadzono wiele nieprzyjaznych kampanii protestacyjnych. Opinia publiczna jest wzburzona. Większość ludzi nie zdaje sobie sprawy, że zwolniliście. Widzą mitsubishiańskich właścicieli domów na każdej ulicy i mają wrażenie, że wykupujecie coraz więcej nieruchomości, nawet jeśli w rzeczywistości tak nie jest. Lista Sugiyamy pogorszy sytuację. Znacznie pogorszy.

Pekin: Dlaczego? Kim jest François Quesnay?

Ja: Kim było, dyrektorze. François Quesnay to postać historyczna. Sugiyama planowało kolejne ze swoich sprytnych zagrań, polegających na obecności przez nieobecność. – Obecni w pokoju nie wykazywali zbytniego entuzjazmu dla sztuki dziennikarskiej. – François Quesnay było jednym z czołowych przedstawicieli fizjokratów, grupy europejskich ekonomistów wpływowych w siedemnastym wieku, gdy rodziły się nowoczesne teorie ekonomiczne. Fizjokraci wierzyli, że bogactwo i wartość rodzą się z ziemi. W pewnym sensie dzielali wasze idee dotyczące „źródła”. – Uśmiechnąłem się, zastanawiając się, jak znacznie mniej zgrabnie sformułowałbym to, gdyby nie Jego pytanie, które stało się dla mnie przewodnictwem. – Kiedy pojawiło się Adam Smith, większa część

tego, co zrobiło, opierała się na odrzuceniu poglądów fizjokratów i postawieniu tezy, że źródłem bogactwa jest praca, a nie ziemia. Od tego czasu wszyscy w zasadzie zgadzali się ze Smithem, nawet Marks i Morais, nawet jeśli wzbogacili jego koncepcje nowymi ideami dotyczącymi kapitału i aksonów. Ale w dzisiejszych czasach niemal wszyscy uważają za źródło ludzką pracę, liczbę ludności i godziny pracy, zwłaszcza w systemie Pasiek, które rywalizują ze sobą o członków i wydają się silne albo słabe zależnie od tego, ilu zyskują albo tracą. Wszyscy liczą ludzi, dyrektorzy. Wszyscy oprócz was.

– Nie jestem przeciwnikiem Marksa i Smitha – pochwalił się przedstawiciel Pekinu. – Cenimy swoich członków i ich liczebność.

– Ile udziałów głosujących należy obecnie do was, dyrektorze? – zapytał cicho J.E.D.D. Mason.

– Miliard dwieście milionów.

– Ilu dokładnie? – nie ustępował dziesiąty dyrektor.

– Jeden miliard, dwieście trzydzieści dwa miliony i czterysta tysięcy z kawałkiem.

– A ilu to jest ludzi? Ilu członków zadeklarowało poparcie dla was, by stworzyć wasz blok?

– Około stu pięćdziesięciu milionów.

– Ilu dokładnie?

Przedstawiciel Pekinu zmarszczył brwi, spoglądając na towarzyszy.

– Może trochę mniej.

J.E.D.D. Mason nie skinął głową.

– Widzicie? Znacznie lepiej wiecie, jak wielką część natury reprezentujecie niż ilu ludzi należy do waszego bloku.

Ponownie się uśmiechnąłem, widząc, że Jego kręte wyjaśnienia doprowadziły nas do celu znacznie skuteczniej niż prosta ścieżka.

– W rzeczy samej – podjąłem. – W dzisiejszych czasach nawet Gordianie nie trzymają się korporacyjnego modelu tak ściśle, by dystrybuować głosy wśród Brillistów na podstawie liczby udziałów, a nie po jednym na każdą osobę. Artykuł Sugiyamy o François Quesnayy byłby manifestem oznajmiającym, że mitsubishiańska demokracja udziałowców poniosła porażkę.

– Demokracja udziałowców to nasza siła – sprzeciwił się jako pierwszy przedstawiciel Korei. – Ona stwarza bodźce. Nasi członkowie pracują ciężiej, by pozyskać nieruchomości, być właścicielami własnych domów i inwestować, wiedząc, że w ten sposób uczynią

swój głos silniejszym, udział po udziale.

Młody przedstawiciel Szanghaju pokiwał głową.

– Jesteśmy teraz właścicielami ponad połowy nieruchomości na świecie. To dowodzi, że nasz system działa.

W spojrzeniu, jakim przedstawiciel Korei obrzucił Bandyopadhyay – czy może powinienem ją raczej nazwać przedstawicielką Indii – dostrzegano się dumę. Gdy Pasieka Mitsubishi zaproponowała Greenpeace zawarcie potężnego małżeństwa, pożądała czegoś więcej niż ponad czterdziestu ośmiu milionów kilometrów kwadratowych rezerwatów przyrody należących do Greenpeace oraz jego pięciuset milionów kochających przyrodę członków. Pożądała Indii. Lwia część indyjskiej grupy narodowej zawsze była związana z Greenpeace. To był głęboko zakorzeniony nawyk kulturowy, coś łączącego elementy tradycji i samoobrony, co sprawia, że indyjscy właściciele ziemscy uparcie nie chcą sprzedawać ziemi cudzoziemcom. Dzięki temu Indie są ostatnim, zachwycającym zakątkiem Ziemi, w którym rzadko spotyka się mitsubishiańskich właścicieli nieruchomości. Ale czego Mitsubishi nie może kupić, to adoptuje.

Rozległy się słowa J.E.D.D. Masona, brzmiące łagodnie jak melorecytacja:

– Jeden głos za to, że jest się członkiem, dwa za posiadanie mieszkania, pięć za dom, dwadzieścia za fabrykę, trzydzieści za las, ani jednego za nową ideę.

Ja: Jesteście najbogatszą Pasieką, jeśli chodzi o ilość posiadanej ziemi, ale co, jeśli porównamy liczbę ludności?

Szanghaj: Masoni wygrywają według swoich kryteriów, a my według naszych. Dostrzegam to. To nie znaczy, że nie mamy racji.

Ja: Ale są też inne kryteria, dyrektorzy. Istnieje wiele różnych sposobów mierzenia bogactwa. Połowa ludzkości płaci wam czynsz, ale Utopia zarabia więcej za swe usługi i wynalazki. Albo porównajmy produktywność. Mówicie, że demokracja udziałowców każe waszym członkom pracować ciężiej, ale każdy Utopianin to wokator.

Młodszy Szanghaj: Utopianie nie są dla nas konkurencją. Nieważne, ile zarabiają. Nie mogą rosnąć, bo wszystko wydają na swoją Bazę Księżycową i na obrzucanie śmieciami Marsa.

– Terraformowanie – poprawiłem go. – Tak to się nazywa. Za dwieście pięćdziesiąt lat praca będzie skończona. Nawet jeśli staniecie się do tego czasu właścicielami całego świata, Utopia będzie miała

własny świat.

Czytelniku, czyż moc naszego umysłu, która pozwala nam wierzyć i nie wierzyć jednocześnie, nie jest cudowna? Wszyscy znamy potęgę Utopian. Widzimy, jak ich żyjące cuda wypełniają ulice, bijemy im brawo, gdy pokonują kolejne zespoły chorobowe, wynajmujemy ich, by raz po raz zmieniali dla nas niemożliwe w możliwe. Powierzyliśmy im nawet polowanie na przerażające Urządzenie Gygesa. Ale nadal planujemy tylko z myślą o świecie. Jednym świecie. Nie wątpimy, że każdy ładunek, który wysyłają na Marsa, spełni swoje zadanie, wiemy, że opierają się na solidnych podstawach naukowych, a ich praca ciągle posuwa się naprzód, ale z jakiegoś powodu nie wierzymy, że kiedykolwiek osiągną swój odległy cel. Dziewięciu dyrektorów nie wierzy, że w roku 2660 Utopianie naprawdę zamieszkają na Marsie. Ale Utopianie wierzą.

– Jeśli ziemia nie jest źródłem bogactwa – kontynuowałem – przegrywacie z Masonami. A jeśli nim jest, na dłuższą metę przegrywacie z Utopianami. Taka właśnie będzie teza artykułu Sugiyamy, a ponieważ wyjdzie on spod pióra waszego najbardziej szanowanego dziennikarza, wstrząśnie wiarą ogółu w waszą timokrację.

– Demokrację udziałowców – poprawił mnie młodszy przedstawiciel Szanghaju.

– Gdy inne Pasieki na nas patrzą, widzą timokrację. – Dyrektor Bandyopadhyay pochyliła się nad polerowanym blatem stołu, aż wreszcie odbiły się w nim gorejące koralowym ogniem kwiaty jej żakietu. – Możecie sobie wysławiać zalety połączenia powszechnego prawa wyborczego z prawem opartym na cenzusie majątkowym, ale wiecie, że gdy inne Pasieki na nas patrzą, gdy patrzą na mnie, widzą, że nasza druga pod względem liczebności grupa narodowa ma za tym stołem tylko jedno miejsce, ponieważ od pokoleń każecie... – wskazała dłonią na wszystkich obecnych, ale jej spojrzenie zatrzymało się przede wszystkim na Andō i na Kimurze Kunie. Sto milionów członków ich japońskiej grupy narodowej mogło się pochwalić dwoma dyrektorami, podczas gdy Indie musiały walczyć o jednego, mając blisko miliard ludności – ...swoim grupom narodowym gromadzić nieruchomości tak szybko, jak tylko zdołają. Wszystkim się wydaje, że ścigamy się ze sobą o to, kto pożre więcej, nawet jeśli w rzeczywistości tak nie jest. Cała niepewność i resentymenty innych Pasiek, wszystkie

pretensje o spóźnione opłaty czynszowe, wszystko to się sumuje. – Ponownie zwróciła się ku kamerze. – To mogła być akcja jakiejś grupy przeciwników zawłaszczania ziemi, którzy postanowili grać nieczysto. Czy chociaż wiemy, że to było prawdziwe Urządzenie Cannera? Ktoś, kto choć niejasno zdawał sobie sprawę, że może nas w ten sposób oczernić, mógł samodzielnie wyprodukować podobne urządzenie.

Ta sugestia uderzyła mnie niczym promień światła.

Ale przedstawiciel Szanghaju natychmiast zasłonił go chmurą.

– Utopianie? Wynajęci przez kogoś albo sama Pasieka? Czy wasze przewidywania sugerują, że mogliby na tym skorzystać. Co ma do powiedzenia urząd cenzora?

Skrzywiłem się.

– Zapewne potraficie się tego domyślić. Masoni zyskają najwięcej członków i inwestorów, którzy was opuszczają. Kuzyni i Humanisci również skorzystają. Dalsze szczegóły pozostają... płynne.

– A Utopianie? – nie ustępował przedstawiciel Szanghaju. – Przed chwilą powiedzieliście, że toczymy z nimi długotrwały wyścig o ziemię obejmującą dwie planety. A mimo to powierzyliśmy im śledztwo w tej sprawie. Co, jeśli to byli oni?

Nie mogłem kłamać w obecności J.E.D.D. Masona.

– Zapewne istnieją konstelacje Utopian, które mogłyby dokonać czegoś podobnego, ale szczerze mówiąc, dyrektorzy, tego typu polityczne rozgrywki z użyciem manipulacji publicznym wizerunkiem raczej nie leżą w zwyczajach Utopii jako Pasieki. A gdyby wynajęci Utopianie zaplanowali coś takiego dla którejś z innych Pasiek, udałoby się im i upewniliby się, że podejrzenie nie padnie na nich.

Wstydzę się, powtarzając to znowu, Czytelniku. Nie bój się Utopian. Każdy nazwałby Utopię bardzo groźnym przeciwnikiem, ale oni nie dbają o ziemskie przepychanki o władzę i – podobnie jak gniazdo szerszeni – żądają tylko wtedy, gdy ktoś ich sprowokuje.

– Czytaliście ten artykuł Sugiyamy, Jagmohanie? – Dyrektor Bandyopadhyay posługuje się indyjskim przydomkiem J.E.D.D. Masona, w praktyce będącym grą słów. – Jakich argumentów w nim użyto? Być może Sugiyama zwracało się do przeciwników zawłaszczania ziemi?

Przedstawiciel Pekinu pokiwał głową.

– Jeśli tak, najgorsze może się okazać to, że całe to zamieszanie ze zmianą autora list mogłoby sugerować, że Masami Mitsubishi

współdziałało w próbie uciszenia Sugiyamy. Już zaczęły do mnie docierać pierwsze głosy oburzenia przeciwników zawłaszczania ziemi. To dla nich doskonała amunicja. Zbyt doskonała.

Kilku dyrektorów zmarszczyło ze współczuciem brwi, patrząc na zasepionego Andō, ale niespokojne spojrzenie Bandyopadhyay kazało wszystkim zwrócić się z powrotem ku kamerze. J.E.D.D. Masonowi zawsze okazują szczególną cierpliwość, jak wyroczeni próbującej pomieścić ocean swego przekazu w naporstku jednego zdania.

– *Chichi-ue*, czy macie osobistych wrogów poza tym pokojem? Czy którekolwiek z was ich ma, dyrektorzy?

Przez długą chwilę przyglądali się sobie nawzajem.

– Myślicie, że to był atak o charakterze osobistym?

– Rekin nie bez powodu ma mnóstwo zębów. Podobnie ta kradzież rani z wielu stron jednocześnie. To dowodzi, że ktoś starannie ją zaplanował.

Przedstawiciele Chin, Korei, Indii i Japonii po raz kolejny woleli zachować milczenie.

– Każdy, kto odpowie Mi prywatnie na to pytanie, może bardzo pomóc nam wszystkim – oznajmił powoli J.E.D.D. Mason. – Dopóki ta chwila nie nadejdzie, dyrektorzy, więcej pożytku wam przyniosę, poświęcając minuty Swoje i Swoich sług prowadzeniu śledztwa, a nie rozmowie z wami.

Dyrektor naczelny skinął głową.

– Dziękujemy, że zechcieliście poświęcić nam dziś czas, Tai-kunie.

– Zostawiam was z dobrymi życzeniami, dyrektorzy. [Ojczy, przekaż moje życzenia przybranym rodzeństwom i księżnej.]

Dyrektor naczelny Andō uśmiechnął się, usłyszawszy język japoński.

[Zrobię to.]

– Jagmohanie? – Wszyscy znieruchomieli, usłyszawszy głos dyrektor Bandyopadhyay. – Jeszcze jedno pytanie.

– Słucham, dyrektorze?

– Wiem, że korzystacie z usług Martina Guildbreakera. Jak wielką częścią zdobytych informacji dzielicie się z MASONEM? Czy Guildbreaker wie, że Urządzenie Cannera można powiązać z Mitsubishi? Czy MASON się o tym dowie?

Tym razem udzielił odpowiedzi bez namysłu.

– Masoński cesarz nie potrzebuje szantażu. *Pater* skorzysta na stabilności więcej niż na waszym upadku. W tym sensie wy również

jesteście jego sojusznikami. Gdybyśmy z Martinem postanowili poinformować *Patrem*, zrobilibyśmy to dlatego, że Imperium nie może wam pomóc ukryć tego, o czym nie wie. Widzę na waszych twarzach niedowierzanie. Jednakże już macie problemy z zachowaniem tej tajemnicy. Dobrze by było, gdybyście przyjęli pomoc *Patris*. Tajemnice, które on zna, od stuleci budziły zainteresowanie i najwyższą bojaźń, a on nadal ich dotrzymuje.

W tym punkcie, Czytelniku, obu nam udaje się wierzyć i nie wierzyć jednocześnie. Zapewniamy, że nie jesteśmy aż tak naiwni, by przełknąć propagandę mówiącą, iż MASONI są organizacją starą jak kulty Mitry i Orfeusza. Twierdzimy, że nie dajemy wiary temu, że przez tysiąclecia knuli tajemne spiski, kierując postępem ludzkości, aż wreszcie chaos zrodzony z wojny Kościołów wyprowadził ich na światło dzienne. Datujemy powstanie Pasieki na rok 2137, szczytowy punkt wojny, sześć lat po tym, jak ogłoszenie Wielkiego Zerwania Więzów przez Carlyle'a roztrzaskało państwa narodowe. Ci, którzy nie podzielali któregoś z etosów jednoczących wczesne Pasieki – którzy nie kochali Europy, Azji, sportu, sceny, dobroci, przyrody, zysków, ani Brilla – zostali porzuceni. Ich państwa się rozpadały, a ich Kościoły – do których zwykli się zwracać, gdy państwa zawiodły – ogarnął płomień fanatyzmu. W miarę, jak wojna przechodziła w chaos i epidemie, źródłem nadziei stały się loże masońskie pojawiające się we wszystkich miastach. Ich fantastyczna opowieść zapewniała, że są czymś więcej, niż się wydaje. Mówimy, że Antoninus MASON po prostu wykorzystał ten mit, zorganizował tych, którzy szukali wsparcia w lożach, tworząc z nich globalną potęgę, nim ludzie zdążyli się zorientować, że ta potęga do tej pory nie istniała.

– Jestem władzą – oznajmił ten niezrównany bajkopisarz. – Tajnym cesarzem starszym niż piramidy. Moje władztwo sięga dalej niż podboje Aleksandra i jest trwalsze niż Imperium Rzymskie. Ramzes i Ozymandias budowali pomniki, które rozpadały się w gruzy, a tymczasem ja ukrywałem się w cieniu i odsłaniałem twarz dopiero teraz, gdy głupcy, którym pozwoliłem władać w swoim imieniu, zawiedli tak spektakularnie. Przybywaj do mnie, mój ludu. Moje Cesarstwo przetrwało dziesięć tysięcy lat i nie złamie go ta mała znacząca wojna.

Ta fikcja zrodziła Pasiekę, która połknęła resztki, jak kłosażka zbiera pozostałe po żniwach ziarno. Tego ziarna zostało bardzo wiele,

wystarczająco, by przerodzić mit Imperium w rzeczywistość. Coś w nas jednak nie chce uwierzyć, że to czysta fikcja. Wszystko to wydaje się tak bardzo starożytne – budząca lęk Gwardia Imperialna, imponujący cień wieży *Sanctum Sanctorum*, Pałac Cesarski z jego skupiskiem zigguratów, prawa zapisane na zwojach ze splekanego papirusu, tron z szarego zimnego żelaza. Z naszych ust wypływa język mitu – starożytne zwyczaje, starożytne prawo, imperium, milenium, cesarstwo, cesarz. Być może to rzeczywiście prawda i fałsz jednocześnie. Wielkie instytucje – Pasieka, grupa narodowa, naród, królestwo, gildia – powstają na drodze konsensusu, czynią je rzeczywistymi ludzie, którzy kochają, są posłuszni, bronią i czują strach. Jeśli sama wola może uczynić te moce wystarczająco realnymi, by zmienić postać świata i podpalić niebiosa, niewykluczone, że zdoła również sprawić, że były realne już dziesięć tysięcy lat temu.

– Tak – zgodził się Andō. – Możecie powiedzieć MASONOWI, jeśli uznacie to za rozsądne, Tai-kunie. Wiemy, że wytłumaczycie mu, jak wygląda prawda. Dopóki jesteście z nami, możemy liczyć na przyjaźń cesarza. Wiem, że cały Dyrektoriat jest wdzięczny...

Andō przerwał, ale harda duma w jego oczach dodawała „mnie”. Czasami trzeba było przypomnieć Pekinowi, Szanghajowi oraz ogromnym i nieufnym Indiom, dlaczego dla wszystkich będzie najlepiej, jeśli to on pozostanie na fotelu dyrektora naczelnego.

– Tak, *chichi-ue*. Zrobię dla was, co tylko w Mojej mocy.

Rozdział dziewiętnasty

Muchy do miodu

– Przecież to... kościół! – zawołała Thisbe.

Carlyle ponownie sprawdził adres.

– Zapewne były kościół. Spójrzcie, z wieżyczki zdjęto krzyż.

Te słowa nie uspokoiły zbytnio Thisbe. Wpatrywała się w kamienne mury i łuki budynku o adresie [XXX], rue [XXXX], Avignon, France. To rzeczywiście był kiedyś kościół, prosty, ale wystarczająco stary, by czuło się bijącą od niego wilgotną woń cmentarza. Otaczająca go gęstwa zieleni była niemalże wystarczająco uporządkowana, by nazwać ją ogrodem, a gdy marcowy koniec zimy ustąpił miejsca zapowiedzi wiosny, ze starych gałęzi zaczęły wyrastać zielone jak nadzieja pączki przypominające uparte gwiazdy przebijające swym blaskiem zasnuwającą nocne niebo mgłę. Nie widziałem tego jednak. W gruncie rzeczy podczas wstępnej rozmowy prosiłem Carlyle'a Fostera o napisanie tego rozdziału za mnie, ale on nie ufa swym talentom władania słowem pisany.

Owego dnia wierzył jednak we własne możliwości.

– Sprawdźmy drzwi do piwnicy – zasugerował jako pierwszy. – Wyglądają na częściej używane od głównych wejść.

Thisbe nie trzeba było namawiać. Ruszyła już ścieżką ogrodową, grożąc zdeptaniem wysuwającym się tłumnie spomiędzy kamieni zielonym kielkom, które nie były jeszcze krokusami. Prosiłem oboje o opisanie zapachów dobiegających z okien. Thisbe porównała je z hipnotyzującą wonią pieczeni, sprawiającą, że tłoczmy się wokół piekarnika, nie mogąc zaufać pełznącemu do wyznaczonego punktu minutnikowi. Carlyle powiedział tylko, że nawet posąg poczułby się od niego głodny.

Thisbe zapukała dwa razy. Ubrała się na tę okazję w swój najlepszy strój, zielony, jedwabny żakiet, w tym samym odcieniu, co pejzaże na jej butach. Nadal wolę ją w jej domowym ubraniu, obszernym i zwisającym luźno jak skrzydła leniwej polatuchy, w każdej chwili

gotowej wrócić do łóżka. Nie chodzi o to, że w zakiecie wygląda źle, ale ludzie prezentują inną twarz w pracy, a inną podczas zabawy. Domowe oblicze Thisbe bywa niekiedy groźne, ale przynajmniej jest trochę mniej fałszywe.

– Przepraszam?! – zawołała słodkim głosem zarumienionej księżniczki. – Czy ktoś jest w domu?

– Już idę! – Rozległy się szybkie kroki zmierzające ku drzwiom. – Nie spodziewałam się was tak wcz... och.

Głos miał w sobie nutę rodzicielskiej wesołości, która zniknęła, gdy tylko drzwi się uchyliły, odsłaniając stojących za nimi nieznanym.

– Przepraszam. Myślałam, że to dzieciaki ze spożywczego. Czy mogę wam w czymś pomóc?

Gdy drzwi otworzyły się całkowicie, zapach przerodził się ze smakowitego we wręcz paraliżujący.

– Mam taką nadzieję – odpowiedziała Thisbe. – Mieliśmy się skontaktować z Dominikiem Seneschalem w pilnej sprawie, ale nigdzie nie możemy go znaleźć. Mieliśmy nadzieję, że ktoś tutaj je widział.

Odpowiedział jej chichot.

– Wy, wszyscy konni i wszyscy dworzanie. Do czego jest wam potrzebne?

Fałszywy śmiech Thisbe brzmi pięknie.

– To zabrzmiało absurdalnie, ale powinnam sprawdzić Trybuna Mazona, ni mniej, ni więcej. To tylko formalność.

– Sprawdzić T.M.?

Chichot przeszedł w głośny, serdeczny śmiech.

Thisbe dołączyła do niego.

– Tak, wiem, ale każdy nowy system ma swoje wymagania. Powinnam porozmawiać z jego znajomymi, współbaszowcami i rodziną. To powinno być ekscytujące. Całkiem możliwe, że wy również figurujecie na mojej liście, członku...

– Bezpasiakowy – poprawiła ją gospodyni, odwracając się, by zademonstrować pas Bezpasiakowego Czarnoprawowca, zawiązany za świeżo poplamionym fartuchem. – Gibraltar Chagatai.

Powinienem opisać tę osobę. Chagatai ma niewiele ponad pięćdziesiąt lat, ale pozwoliła, by jej związane w kucyk włosy posrebrzyła siwizna. Jej twarz pokrywają bruzdy zrodzone z trudów życia, a nie z wieku. Ta twarz, posiwiała zarost, szerokie bary

i gromki, rubaszny śmiech, nadają jej ogorzały, przystojny wygląd, dzięki któremu wdowy w średnim wieku nie są w stanie się jej oprzeć. Dzięki domieszce mongolskiej krwi przypomina nieco Azjatę, ale nie ma insygniów grupy narodowej. W ogóle jest bardzo niewiele insygniów, które znaczyłyby cokolwiek dla ludzi niebędących Czarnoprawowcami. Dłonie ma za grube i zbyt silne, bardziej nadające się do sportu albo włóczni niż do filiżanek. Tego dnia miała na sobie tylko wygodne części czarno-białego munduru służby, nie potrzebowała bowiem nic więcej, gdy nie spodziewała się powrotu Pana. Carlyle mówi, że nie widział broni, ale nie potrafię uwierzyć, by tak mądra, znająca dzikie ziemie osoba żyjąca pod Czarnym Prawem otworzyła drzwi, nie mając na podorędziu noża albo pistoletu. Czy Ty byś to zrobił, Czytelniku, gdybyś żył w czasach bandytyzmu i honorowych pojedynków, jak ona z wyboru żyje po dziś dzień?

– A kim właściwie jesteście? – zapytała Chagatai.

– Nazywam się Thisbe Saneer. Odpowiadam za bezpieczeństwo instytucji...

– Z baszu Saneer-Weeksbooth oczywiście? Słyszałam o nim.

– Ten senseista to Carlyle Foster.

– Szukacie Dominica w imieniu Konklawe? – zapytała Chagatai i oferowała im przyjazne, choć zbyt silne uściski dłoni. – Czyją sugestią był ten adres? Nie otrzymałam zawiadomienia, że macie się zjawić. A z reguły powinienom.

Thisbe miała przygotowane kłamstwo, nim Carlyle zdążył się wzdrygnąć.

– Mycrofta.

– Mycrofta Guildbreakera?

– Nie. Mycrofta... – zerknęła na słodkiego, niczego nieświadomego Carlyle'a – ...które jest usługowcem.

– Ach, tego Mycrofta. Jesteście bardzo dokładni. Czemu nie wejdziecie do środka? Możecie skreślić mnie ze swojej listy. A jeśli wam się poszczęści, Dominic może się zjawić za jakąś godzinę. Trzymajmy kciuki.

Uśmiech Thisbe promieniał dumą.

– Dziękuję.

– Chwileczkę – rozkazała Chagatai, gdy but Thisbe zagroził nadprożu.

– Najpierw muszę sprawdzić wasze upoważnienia. Czy moglibyście je przesłać?

Carlyle zawahał się, zanim nacisnął „wyślij”, ale zaufała Thisbe, która podczas lotu zapewniała, że wszystko załatwiła.

Twarz Chagatai złagodniała, gdy dane pojawiły się na jej soczewkach.
– Znakomicie. Możecie wejść i... a niech to!

Jej uwagę przyciągnął sygnał minutnika, który rozległ się w kuchni. Czarnoprawowa gospodyni popędziła ku wewnętrznym drzwiom, zza których dobiegał zapach mięsa.

– Wejdźcie, proszę. Możecie pójść do łazienki, jeśli tego potrzebujecie, albo obejrzeć kolekcję. Ale bądźcie ostrożni, dotykając wszystkiego, co wygląda na starsze niż kilka stuleci.

Te słowa nie pozostawiły im wielu obiektów, których mogliby dotykać. Korytarz przypominał muzeum. Pod ścianami stało mnóstwo niskich szafek wypełnionych księgami o grzbietach z antycznej skóry, znacznie starszych niż nadrukowane na nich tytuły. Na ich szczytach, mniej więcej na wysokości pasa gości, stały niezliczone maleńkie statuetki: Buddowie, Madonny, Anubisy o głowach szakali, figurki Wenus, tysiące wotywnych posążków z brązu, nefrytu, gliny, porcelany, srebra, a nawet lśniącego jak we śnie złota. Ściany nad półkami również były wypełnione, w jeszcze bardziej olśniewający sposób. Ikony. Setki ikon przedstawiających świętych i anioły, jaskrawe farby i płatki złota. Wisiały tuż obok siebie, tworząc ciągły strumień płaskich, stylizowanych twarzy. Trudno było uwierzyć, że na świecie stworzono ich aż tak wiele, choć był to tylko maleńki ułamek tych, które przetrwały. Większość była brzydka, a przynajmniej prymitywna. Ich wykonanie było zbyt proste, by mogły uchodzić za dzieła sztuki w naszej nowoczesnej epoce. Takie malowidła produkowano tysiącami w wiekach średnich, gdy żyło się bardzo ciężko, a obrazy były raczej przedmiotami użytkowymi niż dziełami artystów. Wyrażały nadzieję i desperację, były lekarstwem na rozpacz i zarazę na długo przed nadejściem naszego wielkiego zbawcy, nauki. W ich namalowanych oczach widnieje osąd, lecz również coś budzącego litość. Tym przedmiotom, niemalże osobom, ongiś oddawano cześć, kochano je, palono przed nimi kadzidło o słodkiej woni. Dla swych pierwszych właścicieli były czymś najcenniejszym na świecie, a w dzisiejszych czasach trudno było uwierzyć, że komuś chce się choćby je odkurzać.

– To kiedyś był kościół, prawda?! – zawołał Carlyle, zwracając twarz w kierunku kuchni.

– Tak – odpowiedziała Chagatai. Jej głęboki bas z łatwością przebijał się przez skwierczenie tłuszczu. – Dziesięć lat temu były tu ruiny, ale T.M. zasmuciło się na widok upadku tego miejsca i dyrektor naczelny Andō dało mu je w prezencie urodzinowym.

– T.M. – powtórzył Carlyle. – Macie na myśli Trybuna Masona?

– Tak, przepraszam. Wiem, że ma za dużo przydomków.

– To wspomniała kolekcja.

– Tak. T.M. jest już właścicielem chyba z sześćdziesięciu byłych kościołów. Wyremontowało wszystkie i zmieniło je w hospicja, sypialnie dla usługowców albo inne użyteczne instytucje. Nie może znieść widoku starych świątyń rozsypujących się w gruzy. Ale uparcie wypełnia wszystkie tą kolekcją.

Thisbe rozdziawiła usta.

– Chcecie powiedzieć, że ma tego sześćdziesiąt razy więcej?

– Pytacie o ikony? Wszystkie należą do prezydenta Ganymede'a. Wyciągnięto je z piwnic jego pałacu. Program Lokowania Sztuki jest w porządku, jeśli chodzi o grecką ceramikę i wazy z epoki Ming, ale nikt już nie chce stu tysięcy identycznych Madonn. Nikt poza T.M.

Choć niezwykła galeria wyglądała kusząco, zapach był silniejszy. Zwabieni tą przynętą goście ruszyli do kuchni. Była wspomniała – sześć blatów, każdy o innej temperaturze, trzy lodówki, cztery piece, każdy innego typu, od najnowocześniejszego aż po zbudowany z prawdziwej cegły, z ogniem palącym się w środku. Kuchenne drzewo przytulające się do okien cieplarni zaprogramowano nie standardowymi owocami przekąskowymi i sałatą o ząbkowanych liściach, ale pełnym zestawem szefa kuchni. Jagody cząbr, lauru i ziela angielskiego mieszały się z ostrymi papryczkami, porzeczkami, młodymi dyniami i miechunkami, a u grubych korzeni rosły rzodkiewki i szalotki. Carlyle opowiada, że wszystkie palniki były włączone, a od stojących na nich garnków ze stali i gliny płynęły wonie czosnku, oregano i cebuli, z dodatkiem soli i wielkiej ilości masła.

– Chyba nigdy w życiu nie czułam równie kuszących zapachów. – Thisbe nie mogłaby obdarzyć gospodyni lepszym komplementem. – Urządzacie spóźnione przyjęcie świąteczne?

Chagatai wyjęła z generatora mięsa różowy płat grubości dwóch centymetrów, szeroki jak duży talerz i długi jak nierozwinięty zwój. Wtarła już w niego przyprawy, a teraz wzięła w rękę igłę kucharską i zaczęła wprowadzać do mięsa kawałki czosnku oraz pancetty.

– Nie, to tylko jedno danie. Mój własny przepis. Rolada mięsożercy. Ulubiona potrawa Dominica Seneschala. To pomysł T.M. No wiecie, jeśli wasz pies się zgubi, wykładacie na ganku jego ulubione smakołyki w nadziei, że to go skłoni do powrotu.

– Ten aromat przyciągnie wszystkie bezpańskie psy w dzielnicy. Srebrny zarost Chagatai błyszczał, kiedy się uśmiechała.

– Wiem, że to okrutne kazać wam wachać to wszystko i was nie poczęstować, ale to, co czujecie, to tylko sosy przygotowawcze. Przyrządzenie właściwej rolady wymaga wielu godzin. Chcielibyście tymczasem coś przekąsić? Mam strudel z gruszkami.

– Brzmi cudownie!

Chagatai otworzyła lodówkę i zaczęła w niej grzebać.

– Bezpasiekowy Chagatai – zaczęła Thisbe, poruszając rękami, jakby robiła notatki w lokalizatorze – jesteście kucharzem czy to tylko wasza praca?

Bardzo odświeżające pytanie. W naszej relacji pełno jest przywódców i wokatorów. Można by niemal pomyśleć, że wróciliśmy do dawnych czasów, gdy ludzie opierali swą tożsamość na wykonywanej pracy. Pan Smith jest bankierem. Pani Christian jest pielęgniarką. Jakby te dwadzieścia, czterdzieści albo sześćdziesiąt godzin pozbawiało wszelkiego znaczenia pozostałą część tygodnia. Jak przedstawiasz się na przyjęciach, Czytelniku? Jako kucharz? Wycieczkowicz? Czytelnik? Kinoman?

– Och, jestem kucharzem – przyznała Chagatai. – Opublikowałam kilka książek kucharskich, głównie z daniami bankietowymi przeznaczonymi na duże przyjęcia. Ale nigdy nie pracowałam w restauracji. Najczęściej byłam przemytnikiem i wielozadaniowym zbirem.

Carlyle mówi, że nagle uświadomił sobie groźbę zawartą w potężnych barach Chagatai i jej masywnych dłoniach.

– Tak – zablefowała Thisbe. – Dane, które o was mam, są niekompletne i niejasne. To jedna z rzeczy, które powinnam wyjaśnić. Jak to się stało, że zmieniliście zajęcie?

– Skopałam robotę, a potem dodatkowo pogorszyłam sytuację, próbując naprawić błąd. Nim zdążyłam się zorientować, byłam winne swym wrogom więcej pieniędzy, niż było warte moje życie. To była wyłącznie moja wina. Spaliłam za sobą zbyt wiele mostów i nie mogłam liczyć na niczyją pomoc, chyba żebym uciekło do Kuzynów

albo przeszło na Szare Prawo, a to po prostu nie wchodziło w grę. – Wstawiła strudel do pieca, żeby się ogrzał. – Mam swoją dumę.

Rzeczywiście ją miała, Czytelniku, i nadal ją ma, gdy w wolne dni odwiedza krainę Czarnego Prawa. Te dzikie obszary – czy to miejskie, czy naturalne – oddajemy we władanie tym, którzy po zdaniu egzaminu dorosłej kompetencji wolą pozwolić, by inni polowali na nich jak lwy, zamiast przyjąć ochronę prawa. Nie chcą wyrzec się żadnej wolności, nawet wolności mordowania. Uniwersalne Prawo nadal zabrania im krzywdzenia dzieci, zdejmowania lokalizatorów, albo zagrażania światu toksycznymi związkami chemicznymi, ogniem bądź religią, są jednak przekonani, że ludzie to drapieżniki, a drapieżniki potrzebują prawa rozdierania się nawzajem na strzępy. Czytelniku, nie sądz, że Czarnoprawowcy codziennie dopuszczają się morderstw i gwałtów. Większość rzadko posuwa się do czegoś więcej niż pojedynki. Świadomość, że na całym szerokim świecie nie mają żadnej obrony poza dobrą wolą współtowarzyszy, którzy mogliby ich zabić, kiedy tylko zapragną, odstrasza dość skutecznie. To duma człowieka wolnego, a nie żądza krwi sprawia, że Chagatai wypina dumnie pierś. Gdyby nasz Pan nie uratował jej przed wendetą, godnie przyjąłaby swój los. Z bronią w rękę, ale godnie. Ma siostrę Cutter Chagatai, której kiedyś przytrafiła się ciąża. Mieszkała z Gibraltar w Awinionie przez dziewięć miesięcy, na które Ustawa o Bezpieczeństwie Nienarodzonych nakazywała jej przejść na Szare Prawo, z uwagi na dobro dziecka. Orzeł w klatce nie mógłby wyczekiwać chwili otwarcia drzwiczek bardziej niecierpliwie niż ona momentu przecięcia pępowiny, który pozwolił jej znowu opasać biodra czernią.

– Zamiast uciec pod opiekę prawa, uciekliście pod opiekę Trybuna Masona? – zasugerowała Thisbe.

– Nie uciekałam. Siedziałam sobie w barze, planując ostatnią walkę, gdy nagle zjawilo się dwunastoletnie dziecko w dziwnym stroju i zaproponowało, że spłaci moich wrogów i da mi wikt i dach nad głową do końca życia, jeśli zgodzę się zostać jego kucharzem i pomocą domową.

– Pracowaliście już przedtem jako gospodyni?

– Nigdy. – Chagatai odłożyła igłę kucharską i wpatrzyła się z dumą w swe dzieło gastronomicznej sztuki. – Startowałam w kilku konkursach kucharskich, to wszystko. Nie poznałam dzieciaka, a to

była naprawdę wielka kupa forsy, a także... Spotkaliście już T.M., tak?

– Zgadza się.

– Zatem wiecie, jak niezwykle wrażenie wywiera przy pierwszym spotkaniu. Albo przy dwudziestym. Zadałem sobie pytanie, czy to jakiś kosmita? Czy to dziecko zwariowało? Dopiero, gdy powiedziało, że pomówi ze swoim bankierem i każe mu przygotować pieniądze, a potem połączyło się ze Skarbem Imperium, uświadomiłem sobie, z kim rozmawiam.

– Uratowało wam życie – zauważył z uśmiechem Carlyle.

– Tak. Ale to był również kontrakt. Napisano w nim, że gdybym kiedykolwiek rzuciło pracę, będę musiało zwrócić całą sumę.

– To wyzysk! – oburzył się Kuzyn.

Czarnoprawowa kobieta zbyła te słowa śmiechem.

– Uwierzcie mi, mam teraz życie lepsze i dłuższe, niż się spodziewałam. No wiecie, w młodości byłam ambitna i głupia. To nie jest dobre połączenie.

Thisbe się uśmiechnęła.

– To prawda. Zatem znacie Trybuna Masona od... dziewięciu lat?

– Tak.

– I to zawsze była jego rezydencja?

– Rezydencja, tak. Rzadko udaje mu się zostać tu dłużej niż tydzień, bo z reguły siedzi do późna w nocy w Tōgenkyō albo gdzie indziej. Jest też członkiem Kampusu Romanowańskiego oraz Instytutu Brilla i wydaje mi się, że w obu miejscach ma apartamenty. Często też spędza noce w rodzinnym baszu, choć o szczegóły musielibyście zapytać Dominica albo któreś z Mycroftów. Mnie nie pozwalają się do niego zbliżać.

– Nie pozwalają? – powtórzyła Thisbe, unosząc brwi.

– Myślę, że według T.M. zaliczam się do oddzielnej sfery. – Wzięła w rękę miseczkę pełną masła z dodatkiem orzechów i korzeni, a następnie pokryła nim mięso jak tynkiem. – Ono pracuje dla wszystkich Pasiek, tak? Dlatego nie może mieszkać w żadnej ze stolic, bo to byłaby deklaracja lojalności. Ja jestem neutralne. Nawet nie należę do żadnej z grup politycznych. T.M. potrzebuje chwili wytchnienia.

– Dwanaście lat to bardzo młody wiek, by mieszkać we własnej rezydencji. Słyszałam o takich przypadkach, ale zawsze chodziło o dzieciaki, które wyjątkowo wcześnie zdały egzamin dorosłej

kompetencji. Ale Trybun Mason jeszcze do niego nie przystąpiło, prawda?

– A kiedy to zrobi, to miejsce będzie najlepszym schronieniem przed burzą. Już w wieku dwunastu lat było przewidującym dzieckiem. Poza tym tu może przyjmować gości, bez martwienia się o niezliczone problemy z ochroną.

Thisbe poderwała się nagle.

– Co to za goście?

– Martwicie się o bezpieczeństwo? Wszystko się zapisuje, po prostu zasady nie są tu tak drakońskie jak w *Domus Masonicus*.

– Co to za goście? – nie ustępowała.

– Och, najróżniejsi. W tej chwili mamy dwóch studentów historii sztuki interesujących się kolekcją. Mycroft przywiozło też posiniaczone młode stworzenie, które ponoć skądś uratowało. Mówię o Mycrofcie usługowcu, nie o Masonie. Jak rozumiem, to przysługa dla innego usługowca, czyjeś baszrodzone. Siedzi teraz na zapleczu, ogląda film. Film... – Upuściła nóż w masło i obróciła się ku dwójce gości z entuzjazmem zrodzonym z nagłej epifanii. – Thisbe Saneer! Oscar w roku 2451 za najlepszą ścieżkę zapachową! *Niebieskie jak czwartek!* Wiedziałam, że skądś znam to nazwisko. A w innym roku zdobyłyście Oscara za ten film o trzech grupach dzieciaków w trzech różnych epokach, które próbują zbudować łódź i pożeglować dookoła świata. Jak on się nazywał?

– *Za horyzont* – odpowiedziała Thisbe, uśmiechając się z zadowoleniem. – Nie sądziłam, że ktokolwiek poza moimi baszrodzonymi ogląda ceremonię wręczenia Oscarów aż do tego punktu.

– Ja nigdy ich nie opuszczam. – Chagatai również uśmiechnęła się szeroko i przymrużyła oczy, promieniując ciepłem. – Zdobyłyście ich więcej, prawda? Ile w sumie?

– Cztery.

Carlyle zapewne rozdziawił usta ze zdumienia.

– Thisbe, robicie ścieżki zapachowe do filmów?

Uśmiechnęła się drwiąco.

– No wiecie, mam też życie poza baszem. Nie jestem wokerem, jak Ockham i Lesley. Pracuję tylko dwadzieścia godzin tygodniowo.

Z pewnością Ty również, Czytelniku, podobnie jak Carlyle, stworzyłeś w swym umyśle portret Thisbe, która cały czas siedzi w sypialni,

popijając herbatę, i czeka na zjawienie się aktywnych członków obsady. Powiedz mi jednak, czy przyjąłbyś z taką łatwością założenie, że cały czas siedzi w domu, gdybym nie przypominał Ci co chwila, że jest kobietą?

W takim razie przestań to robić, Mycrofcie. Daj sobie spokój z tymi podstępными nacechowanymi płciowo formami, zmuszającymi mnie do pochopnych osądów, jakie w naturalnej sytuacji nigdy nie przyszłyby mi do głowy. Czasami myślę, że próbujesz zrobić ze mnie hipokrytę tylko po to, by mieć przyjemność mnie nim nazwać. Gdybyś nie przypisał Carlyle'owi i Thisbe słów „mężczyzna” i „kobieta”, nie pamiętałbym już, do której płci się zaliczają, i dzięki temu mógłbym myśleć jaśniej.

Nie, Czytelniku. Nie mogę Cię uwolnić od tego zaklęcia. Nie ja jestem jego źródłem. Dopóki wielka czarownica, potężniejsza od Thisbe, ta, która rzuciła ów czar na Ziemię, nie zostanie obalona, możemy mówić prawdę tylko na jej warunkach.

Lepiej bądź przygotowany dowieść prawdziwości tych słów, Mycrofcie. Tymczasem, skoro upierasz się przy tym rozróżnieniu, powiedzmy przynajmniej jasno, bo nie jestem tego pewien, czy Chagatai to kobieta o niskim głosie, czy mężczyzna, którego świadomie błędnie kwalifikujesz pod wpływem starożytnego przesądu, że gospodyni musi być kobietą?

Wybacz, Czytelniku. Wiem, że czujesz się również zdezorientowany tym, że muszę nazywać Kuzyna Carlyle'a „mężczyzną”. W przypadku Chagatai Twoje domysły są jednak błędne, Czytelniku. To nie jej praca jest powodem, że nazywam ją „kobietą”, pomimo jej jąder i chromosomów. Widziałem kiedyś, jak ktoś zagroził jej małemu siostrzeńcowi, i pierwotna gwałtowność, z jaką jej potężne dłonie zmiażdżyły winnego, z pewnością była legendarną siłą, jaka wypełnia wszystkie lwice, wilczyce, nietoperzyce, gołębice i samice innych gatunków, gdy macierzyństwo wprawia je w szał bojowy. Tej sile zawdzięcza tytuł kobiety.

– Oczywiście, Thisbe Saneer – powtórzyła. – Powinno od razu poznać to nazwisko. Wielka postać w świecie ścieżek zapachowych. Wymyśliliście coś nowego, co to właściwie było? Wykorzystaliście jakąś neutralną woń, by móc szybciej zamienić zapach wywołujący negatywne emocje na pozytywny, co pozwala na szybsze przechodzenie od sceny do sceny?

– Zgadza się. Nazywają to płukanką Thisbe.

Czarownica się rozpromieniła, bo dla wirtuoza, którego sztuka ma za cel pozostać niezauważoną przez odbiorcę, podobne pochwały są rzadkie jak diamenty. Ścieżka zapachowa jest równie nieodłącznym elementem filmów, jak ścieżka dźwiękowa podtrzymuje emocje towarzyszące scenie dzięki zestawowi woni kojarzących się ze szczęściem, smutkiem, desperacją czy podnieceniem, ale o muzyce się pamięta, a o zapachach nie. Z założenia mają one pozostać zbyt subtelne, by dało się je zauważyć, podobnie jak woń, która sprawia, że czujesz się jak w domu, wracając do okolic, w których się wychowywałeś, nawet jeśli sam dom dawno już nie istnieje. Nauka mówi nam, że węch dociera do mózgu bardziej bezpośrednio od innych zmysłów, a jeśli kiedyś oglądałeś film z zatkanym nosem, z pewnością wydał ci się równie pozbawiony emocji, jak po wyłączeniu dźwięku.

– Płukanka Thisbe, tak jest – ucieszyła się Chagatai. – Orland Vives nazwał ją największym przełomem w sztuce filmowej od czasu wynalezienia gryfiej kamery.

– Orland i może ze cztery inne osoby. Z pewnością jesteście prawdziwym maniakiem filmów.

– Raczej maniakiem ciekawostek, które ich dotyczą. Nie mogę oglądać filmów. *Modo mundo*.

Thisbe zaniemówiła.

– Och – wyszeptała po chwili.

– Nie zabiłam Utopianina ani nic w tym rodzaju – dodała pośpiesznie Chagatai, machając rękami, jakby chciała zamazać swe poprzednie słowa. – To inny rodzaj *modo mundo*.

Thisbe starała się, jak mogła, ale nie potrafiła na tym poprzestać.

– Myślałam, że na *modo mundo* skazuje się tylko ludzi, którzy zabili Utopianina. Oni wymyślili tę karę. Na tym polega jej sens.

– Przepraszam. Zawsze trudno mi to wyjaśnić. – Wyraźnie wyobrażam sobie Chagatai w tej chwili. Unosi rękę, by podrapać się po srebrnosiwych włosach, ale w ostatniej chwili przypomina sobie, że ma na nich masło. – Nie skazano mnie prawnie na *modo mundo*, ale skutek jest taki sam. Nie chodzi o to, że nie wolno mi czytać ani oglądać fikcyjnych historii. Po prostu nie mogę tego robić.

– Nie możecie?

– Nie mogę.

– A dlaczego?

Chagatai spróbowała się ukryć, wracając do pieczeni. Zaczęła pokrywać wysmarowane już masłem mięso korzenno-cebulową pastą.

– No więc pięć lat temu chciałam zaimponować pewnej osobie, z którą się umówiłom. Ta osoba interesowała się starymi książkami, więc zabrałam z biblioteki bardzo cenny antyczny rękopis, nie pytając T.M. o pozwolenie. Z powodu długiej serii pechowych zbiegów okoliczności, z których mniej więcej połowa była moją winą, książkę podarły i zjadły szczury.

– Słucham? Jak to się stało?

– Cała historia jest stanowczo za długa, by warto ją było opowiadać. Tak czy inaczej, nie miałam usprawiedliwienia. Bałam się, że T.M. mnie wyrzuci i zażąda zwrotu pieniędzy, ale ono zamiast tego zastosowało *modo mundo*.

– Nie miało prawa! – ponownie oburzył się Kuzyn. – Za utratę książki? To poważne nadużycie prawa, jakby zrobiło kogoś usługowcem za stłuczenie serwisu do herbaty.

– To mogłoby się zdarzyć, gdyby serwis był wystarczająco wartościowy. Ale nie, to nie był prawny wyrok. T.M. po prostu to zrobiło. – Chagatai spróbowała pstryknąć palcami, ale były śliskie od cebulowego masła. – O, tak.

– O, tak? – powtórzyła Thisbe. – Jak to możliwe?

Chagatai westchnęła.

– Posłuchajcie, mogłoby to opisać i przeszkadzałoby wam to przy odbiorze fikcyjnych opowieści przez tydzień albo dwa, ale potem efekt by zaniknął, bo co innego, kiedy ja to mówię, a co innego, gdy powiedziało to T.M. Jesteście na to gotowi? Efekt z czasem przestanie działać.

Carlyle zerknął na Thisbe.

– Hmm, jasne. Mówcie.

– Kiedy wróciło do domu, opowiedziałam mu, co się stało. Byliśmy w gabinecie. Czytało książkę. Pamiętam, że odłożyło ją, odwróciło się i patrzyło na mnie, kiedy mówiłam. To było dziwne. Ono nie ma w zwyczaju zwracać się w kierunku rozmówcy. Potem popatrzyło na mnie i rzekło:

– Posłuchajcie, Chagatai. W każdej fikcyjnej opowieści protagonistą jest ludzkość, a antagonistą Bóg.

Carlyle i Thisbe czekali z fascynacją na więcej.

– I co dalej?

– To już wszystko. T.M. powiedziało to w taki sposób, że od tej chwili, gdy czytam książkę albo oglądam film, widzę tylko ludzkość walczącą nadaremnie z zimnym, arbitralnym Bogiem. Albo ludzkość, której nieuczciwie pomaga ckliwy, pobłażliwy Bóg. Albo taką, z którą igra Bóg będący okrutnym dzieckiem. To okropne. Fizycznie jestem w stanie czytać wymyślone historie, ale sprawia mi to ból. Nawet najłżejsze komedie. Dzieła historyków i biografie znacznie łatwiej mi znieść. Dlatego właśnie oglądam lekkie programy, takie jak ceremonia rozdania Oscarów. W niej trudno dopatrzeć się Boga.

Opowiadając mi o tym, Carlyle zaciskał pięści.

– Ludzie nie powinni rozmawiać o religii w ten sposób.

Chagatai wyjęła z pieca parujący strudel.

– To z pewnością oduczyciło mnie wszystkiego, czym mogłoby się mu narazić. Rękopis był niezastąpiony. T.M. miało prawo wywalić mnie na zbity pysk i porzucić na pastwę losu. Ale nie zrobiło tego. *Modo mundo* również ma sens, jeśli dobrze się nad tym zastanowić.

Czytelniku, czy wyobrażasz sobie, jak Carlyle krzywi się wściekle?

– Dla mnie nie ma.

– Jak mówiłem, trzeba się nad tym dobrze zastanowić. Utopianie wyjaśniają *modo mundo* w ten sposób, że jeśli ktoś zabił jednego z nich, zniszczył cały jego świat, jego utopię, jego idee, jego opowieści. Oni wszyscy ciągle coś wynajdują, nawet ci, którzy niczego nie publikują. Ten, kto odbiera życie, niszczy potencjalny świat. Dlatego czeka go wygnanie do tego naszego świata i nie wolno mu już odwiedzać innych. Myślę, że T.M. chciało mi w ten sposób przekazać, że zniszczenie rękopisu jest w praktyce tym samym, ponieważ równa się unicestwieniu czyjegoś dzieła, pozostałości świata stworzonego przez kogoś, kto mógł umrzeć tysiąc lat temu. – Zdjęła z pieca rondel i skapnęła na strudel odrobinę pachnącej miodem polewy, nim wylała resztę na pieczeń. – Przedtem nigdy nie zastanawiałam się zbyt wiele nad rękopisami, ale teraz z pewnością dbam o nie bardzo starannie.

Strudel nie uspokoił Carlyle’a.

– Nie wolno mu wykorzystywać ludzi w ten sposób i manipulować ich wyobrażeniami Boga.

– Moje senseista też tak mówi, ale wiecie co?

– Tak?

– Te kilka słów T.M. skłoniło mnie do myślenia o teologicznych kwestiach znacznie bardziej niż cokolwiek, co kiedykolwiek

usłyszałam od senseisty. Senseista zajmuje mi może ze dwie godziny w miesiącu. Nad tym myślę nieustannie.

– Senseista nie robi niczego wbrew waszej woli! – warknął Carlyle. – Senseista nie chce was karać ani przysparzać wam cierpień. Senseista jest wyszkolony, ostrożny i nigdy...

Umilkł nagle.

– Słucham? – Chagatai wysypało odrobinę mąki kukurydzianej i zmielonej na drobny proszek suszonej kiełbasy na cebulowe masło polane miodem. To był ostatni krok przed zwinięciem całości.

– Senseista nigdy...?

Carlyle starał się nadać swemu głosowi maksymalnie złowrogie brzmienie, ale nie udało mu się to zbyt dobrze.

– Czy J.E.D.D. Mason uprawia prozelityzm?

– Słucham?

– Czy kiedykolwiek powiedziało wam, jaką religię powinniście wyznawać?

Twarz Chagatai utraciła wszelki wyraz.

– Przekroczyło już bardzo wiele granic – nie ustępował Carlyle. – Wykorzystywało waszą teologię. I te imiona. Martin, Dominic. To poważna kwestia dotycząca Pierwszego Prawa. Muszę o to zapytać w imieniu Konklawe. Czy J.E.D.D. Mason próbowało was nawrócić na tajną, zorganizowaną religię?

Na Carlyle’a skierowało się prawdziwie średniowieczne spojrzenie Czarnoprawowca, twarde jak żelazo.

– Sądzicie, że zgodziłbym się pracować dla szefa, który łamie Pierwsze Prawo?

– Zatem tego nie robi?

– Z pewnością nie. – Żelazo zniknęło pod maską uśmiechu. – Już podczas jednej z naszych pierwszych rozmów, siedem lat temu, T.M. ostrzegło mnie, żebym nigdy nie poruszało w tym domu kwestii teologii ani nie spekulowało na temat jego przekonań, bo inaczej jego lokaj mnie zabije.

– Lokaj?

– Dominic.

Thisbe wyprostowała się nagle.

– Groziło wam?

– Nie, to było przyjazne ostrzeżenie. Dominic również jest Czarnoprawowcem. W dodatku jest okropnie zaborcze i już miało mi

za złe, że odebrałam mu przywilej czyszczenia butów T.M., zmieniania jego pościeli i tak dalej. T.M. mówi, że potrzebuje Dominica do zadań ważniejszych niż prowadzenie domu. Ten spór między nimi trwa już od bardzo dawna i pewnie nigdy się nie skończy. Staram się do niego nie mieszać, ale gdybym zaczęło odbierać Dominicowi również zajęcia typowe dla senseistów, idę o zakład, że nie pożyłoby długo.

– Senseista J.E.D.D. Masona jest również jego lokajem... czy jest także... – Carlyle nabrał na widelec kawałek strudla, starając się powstrzymać przed zadaniem zbyt pochopnego pytania. Pamięta, że strudel był pyszny, ale słodycz na języku nie mogła przegnać smaku złości z jego myśli. – Przepraszam, gdzie jest łazienka?

– Drugie drzwi po lewej.

Od tej chwili znam mniej szczegółów, bo Thisbe i Chagatai kiepsko sobie radzą z rekonstruowaniem wydarzeń. Thisbe zapytała Chagatai, czy J.E.D.D. Mason ma jakieś zainteresowania albo hobby poza pracą i ingerowaniem w teologiczne przekonania innych osób. Chagatai odpowiedziała, że – przynajmniej w domu – J.E.D.D. Mason najczęściej zajmuje się czytaniem, załatwianiem spraw zawodowych przez lokalizator, siedzeniem całkowicie nieruchomo i nierobieniem niczego oraz swą zdecydowaną ulubioną czynnością – leżeniem całkowicie nieruchomo i nierobieniem niczego.

– Spaniem? – zasugerowała Thisbe.

– Czasami śpi – zgodziła się gospodyni. – Ale często tego nie robi.

Tymczasem w zwyczajnej, lecz gustownie urządzonej łazience doszło do jednego z rzadkich przypadków, gdy kłamstwo zmienia się w prawdę. Carlyle pośpiesznie wysłał do Konklawe Senseistów raport mówiący o tym, że działalność Dominica Seneschala głęboko go niepokoi. Następnie przeszukał dom, czując się usprawiedliwiony myślą, że służy dobrej sprawie. Najpierw sprawdził korytarz z ikonami, a następnie salon z kominkiem, kanapami i stolikiem do kawy. Pełno w nim było drewna, jedwabi i ozdób, które zachwyciłyby antykwariusza, lecz wszystko to wydawało się dziwnie zimne. To był pokój na pokaz, nieprzeznaczony do tego, by w nim mieszkać. W bibliotece spotkał dwójkę studentów podziwiających pajaka, którego złapali pod filiżankę, a w pokoju na zapleczu usłyszał bardzo pochlebne słowa o mnie od wdzięcznego za uratowanie „młodego stworzenia”. (Czytelniku, usługowcy czasami ciągną za sobą problemy z dawnych, złych czasów i zdarza się też, że pomagają sobie nawzajem

je rozwiązywać). Sypialnię Chagatai łatwo było poznać dzięki stosom książek kucharskich i przygotowanemu na jutro strojowi, a sypialnie dla gości po walizkach. Zostały do sprawdzenia tylko jedne drzwi.

– Tu jesteście! – Thisbe pojawiła się za plecami Carlyle’a, gdy tylko otworzył drzwi. – Powiedziałam Chagatai, że musimy już odlecieć. Niedługo będę miała dyżur. Obejrzelście wszystko?

Senseista stał jak sparaliżowany, nie mogąc wypuścić klamki.

– To jego sypialnia.

– Słucham?

– To jest sypialnia J.E.D.D. Masona.

Otworzył drzwi. Na podłodze leżał materac ze zwykłym prześcieradłem, bez koca, poduszki ani łóżka. Uchylone drzwi ściennej szafy odsłaniały sześć koszul wiszących na wieszakach, wszystkie staromodnego czarnego koloru, jaki zawsze nosił. I nic więcej.

– Wygląda niesamowicie – przyznała Thisbe, sprawdzając puste szuflady. – Choć boję się trochę mniej, wiedząc, że nie mieszka tu naprawdę.

Carlyle przez parę chwil gapił się na to bez słowa.

– Nie. Reszta pokoi jest wygodna, gotowa na przyjęcie gości. To... najwyraźniej to właśnie lubi.

Zastanawiali się nad tym przez chwilę, aż wreszcie Thisbe ponownie skierowała na niego spojrzenie ciemnych oczu.

– Widziałam, że omal nie wybuchliście, kiedy opowiadało o Dominicu.

Carlyle wzdrygnął się.

– Senseista i lokaj, do tego zaborczy. Zapewne również współbaszowiec albo i gorzej. Wszystko to sygnały niezdrowego układu. Coś takiego wyglądałoby groźnie w każdym miejscu, ale tak blisko ośrodków władzy kult mógłby być katastrofą, jakiej najbardziej się obawiamy. J.E.D.D. Mason ma dostęp do cesarza. Do Andō. Do wszystkich.

Thisbe zasępiła się na chwilę.

– Macie powody do niepokoju. Słusznie też uważacie, że ta sprawa dotyczy Pierwszego Prawa, ale zagrożenie, jakie stanowi kult, jest znacznie bardziej... długoterminowe niż niebezpieczeństwo, że osiemset milionów autolotów jutro nagle przestanie działać, a także zdecydowanie mniej ważne niż możliwe zagrożenie dla pewnego dziecka. Moje pytania są ważniejsze od waszych i dlatego musicie

zachować spokój, bym mogła uzyskać odpowiedzi, po które naprawdę tu przybyliśmy. Jeśli jeszcze raz przeszkodzicie mi w rozmowie, odeślę was do domu i polecę do Paryża sama. Jasne?

Sprzeciwy dotarły do jego rozchylnych ust, ale zatrzymały się w tym miejscu.

– Tak. Macie rację.

– Jesteście w stanie tam wrócić? Jestem pewna, że potrafię kontynuować ten bluff jeszcze przez pewien czas, ale wy chyba macie trudności.

– Poradzę sobie – zdecydował Carlyle. – Zostanę. Choć ten Czarnoprawowiec stara się sprawić wrażenie, że wie o życiu rodzinnym i politycznym J.E.D.D. Masona tak mało, jak to tylko możliwe. Czy nie powinniśmy wyruszyć do Paryża, zanim ktoś nas tu przyłapie?

Zastanawiała się nad tym przez moment, ale potrząsnęła głową. Jej czarne włosy poruszyły się płynnie jak olej.

– Chcę się przekonać, czy ta pieczeń rzeczywiście zwabi tu Dominica. Co więcej, ten kucharz powiedział, że niedługo przygotuje pośredni produkt, który będziemy mogli zjeść. Nie ostateczne danie, ale etap na drodze do niego, który zawiera migdały i pachnie niewiarygodnie.

Burczenie w brzuchu Carlyle'a zdecydowało za niego.

– Znakomicie!

– Jeszcze jedno. – Zatrzymała go w drzwiach. – Możecie zawiadomić o tym wszystkim Konklawe Senseistów dopiero wtedy, gdy już zakończę dochodzenie i poczuję się usatysfakcjonowana jego wynikami. Nie wcześniej. Jeśli zaczną padać pytania, ludzie zamkną gęby na kłódkę. Stawka jest zbyt wysoka.

Carlyle skrzywił się, opisując, co zrobił.

– Oczywiście, Thisbe. Macie moje słowo.

Raporty wysłane do Konklawe można skasować. Ale pośród tylu kłamstw nie sposób mieć pewność, kto zdążył je przedtem przeczytać.

Rozdział dwudziesty

Potwór w domu

Huk strzałów nie przestraszyłby mnie tak bardzo, jak milczenie Bridgera w chwili, gdy spróbowałem się z nim połączyć przez lokalizator po wielu godzinach spędzonych w urzędzie cenzora. Maszerująca na zachód noc dotarła już z Tōgenkyō do Europy i rozkazano mi przespać się kilka godzin. Nie przyszło mi jednak do głowy, że cokolwiek poświęcam, gdy kłamstwem uTOROWAŁEM sobie drogę do autolotu. Bridger nie odpowiadał. Major nie odpowiadał. Nikt nie odbierał połączenia przez całą godzinę lotu nad stanowczo zbyt rozległym Atlantykiem. Strach zawładnął mną tak całkowicie, że nawet nie zauważyłem, gdy północ dotarła do Europy Zachodniej, odsłaniając przed całym światem listy Siedmiu i Dziesięciu. Nie próbowałem się połączyć z Thisbe. Miałem ochotę to zrobić, ale co, jeśli coś się działo w jej baszu? Może to znowu złodziej? Albo wręcz przeciwnie, policja? Tak przynajmniej brzmiały moje usprawiedliwienia, ale chyba po prostu byłem na nią zły za to, że zmusiła mnie do ujawnienia tego, co ukrywałem przez tak długi czas. Mojego Tocqueville'a. Często wykorzystujemy gniew, by zamaskować poczucie winy.

W jaskini było ciemno, ale znalazłem Bridgera w pokoju Thisbe. Skulił się jak szczur wciśnięty w kąt sterylnej klatki, modlący się w swym maleńkim umyśle o jakąś szmatkę albo kawałek gazety, pod którą mógłby się ukryć. Moje ramiona stały się tą szmatką dla chłopca. Rzucił się w nie tak gwałtownie, że wybił mi dech z piersi.

– Było w środku! Mycroftcie, było w środku!

– Kto? Kto był w środku? W środku czego?

Oparłem się o łóżko Thisbe, żeby ciężar chłopaka mnie nie przewrócił. Bridger pachniał morzem, solą i słońcem. To były dobre zapachy pośród tych cieni.

– W mojej jaskini! Było w środku i wszystko porozrzucało. Rozbiło domek dla lalek, przewróciło kuchnię Mamy Lalki i odwróciło

legowisko Boo do góry nogami!

Boo również na mnie skakał, rozgorączkowany, jak często zdarza się psom, gdy wyczuwają panikę i nie mają nic, na co mogłyby warczeć.

– Czy komuś coś się stało? Czy kogoś widziano? – zapytałem.

– Mama Lalka jest ranna. Rzucono na nią ciężką skrzynkę. Musiała leżeć pod nią przez godzinę, udając zwykłą lalkę! Mycroftcie, godzinę!

Rozchylił nieco ramiona, pokazując, że tuli ją do siebie. Jej blond loki muskały zgięcie jego łokcia.

– Nic mi nie jest, kochanie – uspokoiła go. Jej uśmiech zawsze był tak samo promienny. – Tylko skręciłam sobie trochę bark. Nic mi nie jest. Najważniejsze, że was tam nie było.

– Nie było was tam? – powtórzyłem.

– Poszłam na plażę, żeby trochę popływać. Mama Lalka została sama. Pilnowało jej tylko dwóch żołnierzy!

Uścisnąłem go tak mocno, jak tylko mogłem, nie dusząc przy tym lalki.

– Wszystko już jest w porządku.

– Ale...

– Jestem tu. Zajmę się tym. Cokolwiek się wydarzy, poradzę sobie z tym, o ile wam nic się nie stanie. Daję słowo. – Otarłem palcami jego łzy, a on uśmiechnął się do mnie. – Co się stało z waszym lokalizatorem?

– Zostawiłem go, kiedy poszłam popływać. – Zauważył wyraz milczącego wyrzutu na moje twarzy. – Wiem. Ale Major mówi, że nie powinnom go znowu włączać. Intruz coś z nim zrobiło, wartownicy to widzieli!

– Major ma rację. – Tuliłem delikatnie dziecko, czując jego wewnętrzne drżenie. – Czy to było Dominic Seneschal? – Musiałem o to zapytać.

Odpowiedział mi Major, siedzący ze swoimi ludźmi na kostkach do gry rozsypanych na stoliku przy łóżka. Miały akurat odpowiednie rozmiary, by służyć im jako siedziska.

– Czarnoprawowiec, nieco przed trzydziestką, chusta senseisty, francuski męski strój z dawnych czasów, jasna cera, brązowe włosy związane z tyłu, porusza się jak potwór.

– Dominic musiało tu coś znaleźć, kiedy poprzednio przeszukiwało okolicę. – Uścisnąłem bark chłopca. – Czy poza jaskinią leżało coś wyraźnie cudownego? Czy Dominic coś zabrało? Coś, co zrobiliście?

– Pakowałam się! – Łzy powróciły. – Pakowałam się, jak powiedzieliście! Zabrało mój plecak! Był pełen! Były w nim moje rysunki, czerwona koszula, książka o Robin Hoodzie, amunicja, cała amunicja żołnierzy, i najlepsza mała patelnia Mamy Lalki, pamiętacie, ta akurat odpowiednich rozmiarów, którą dla niej znaleźliście?

– Znajdziemy następną, kochanie – uspokajała go Mama Lalka.

Przez mój umysł przemknęła lista tego, co jeszcze musiało się tam znajdować: włosy, odciski palców.

– Czy amunicja była już przeobrażona?

Chłopiec pociągnął nosem.

– Jeszcze nie. Tylko mnóstwo małych papierowych karabinów i broni. A także papierowe tubki z eliksirem uzdrawiającym. Zrobiłam trochę na zapas, żeby być gotowe. Mam nawet kilka w kieszeni, widzicie?

Wyciągnął drżącą dłoń. Trzymał w niej zgniecioną papierową tubkę wyposażoną już w etykietę.

– A co z eliksirem wskrzeszającym, który zrobiliście dla szeregowego Wskazującego?

– Schowałam go bezpiecznie w bucie. Ale skrzynka tabu! Zabrało skrzynkę tabu!

– Co to jest skrzynka tabu?

Głos Thisbe rozległ się nagle za moimi plecami, tak cichy, słodki i groźny, jak to tylko możliwe.

Odwróciłem się i zauważyłem, że jest już na progu. Stukot jej butów brzmiał zimno jak grzechot starych kości.

Instynkt podpowiedział mi, by mocniej przytulić chłopca.

– W tej chwili to nie ma znaczenia.

– Znowu tajemnice? – Zdjęła żakiet i odstawiła paczkę z jedzeniem. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że dostała ją od Chagatai. – My również ścigaliśmy Dominica Seneschala, gdy otrzymaliśmy sygnał ostrzegający, że Bridger przyszło tutaj. Ale nie wiedzieliśmy, że wy również tu będziecie. Ponownie uciekliście naszym lokalizatorom, tak?

Zakląłem, zauważywszy za jej plecami otwierającego szeroko oczy Carlyle'a. Cień kapelusza wystarczyłby, żeby ukryć nieobecność lokalizatora w moim uchu, ale nie w tej chwili.

– Bridger nie jest obecnie w stanie poradzić sobie z twoimi nastrojami, Thisbe – ostrzegłem ją. – Zaczekaj chwilkę, żeby się

uspokoić. I zdejmij buty.

– Dlaczego Bridger się pakowało? – Podeszła bliżej, ciesząc się niepokojem, jaki wywoływał u mnie każdy jej krok. – Chyba nie zamierzaliście wykraść go do J.E.D.D. Masona, nie pytając mnie o zgodę, co?

Pomogłem chłopcu usiąść obok siebie, by go osłonić przed jej wściekłym spojrzeniem.

– Nie do J.E.D.D. Masona, ale dopóki trwa śledztwo, ta okolica nie jest bezpieczna. Przygotowałam bezpieczną kryjówkę.

– Chcecie uciec i zostawić mnie na pastwę losu?

– Nie.

– Nie kłamcie, Mycroft. Chcieliście zabrać stąd Bridgera i ukryć go przede mną.

Zadałem sobie pytanie, dlaczego tak bardzo boję się bliskości czarownicy. Czy to był patologiczny objaw? Wydawała mi się wtedy czarownicą w każdym możliwym sensie tego słowa, tą dobrą i tą złą, rzucającą klątwy, porywającą dzieci, uzdrowicielką, czarną wdową, zaklinaczką, diabelską dziwką, która pożera śmiertelnych kochanków, a także starą panną – choć była jeszcze młoda, z pewnością z czasem zmieni się w niezamężną, niekontrolowaną staruchę, skłaniającą dawne społeczeństwa do usuwania za pomocą ognia albo zamykania w klasztorach tych kłopotliwych kobiet, których węzeł małżeński nie był w stanie powstrzymać. Przed laty przyszedłem z Bridgerem do niej, jak mogłaby ongiś zrobić wiejska dziewczyna, która, rozpaczliwie pragnąc ukryć nieślubne dziecko, zwróciła się do położnej, bo ta po zmierzchu stawała się kimś więcej. A teraz ta sama przyjaciółka i opiekunka stała tuż obok, niczym jeden z potworów, których boją się dzieci, zanim się nauczą, co jest naprawdę niebezpieczne. Czy rzeczywiście to wypełniało moje myśli. Jej moc? Zagrożenie, jakie stanowiła?

Tak, Mycroftie, właśnie to. Nie zapominaj, że jesteś szalony.

Naprawdę?

Zaiste, jesteś. Dowodziłeś tego już wielokrotnie, a jeśli teraz w to wątpisz, przeczytaj wszystkie swoje opisy tej kobiety, od incipit aż do tego miejsca. Zaklęcia i czarostwo. Czy Rozum użyłby takich słów. Czy ja bym ich użył?

Masz rację, Czytelniku. Przepraszam. Poprawiałeś mnie już w tej sprawie, ale czasami, w tej niejasnej terażniejszości, zapominam

o tym.

Czy to szczerze przeprosiny?

Szczerze? Oczywiście, mój drogi Panie. Wszystkie swe wysiłki poświęcam Tobie. Jeśli nie jesteś zadowolony...

W takim razie dotrzymaj obietnicy.

Jak mam to zrobić?

Przestań ją nazywać czarownicą. Twoje bardziej codzienne uprzedzenia wystarczająco mnie irytują. Nie potrzebuję dodatkowo takich majaków. Nazywaj ją „kobietą”, jeśli musisz, ale skończ z tymi przesądami. Nawet twój ledwie oświecony Patriarcha był wystarczająco cywilizowany, by nie bać się czarownic. Niech stanie się dla ciebie dobrym przykładem.

Waham się, Czytelniku. Już w tej chwili trudno mi opisać maski i warstwy ochronne okrywające Thisbe. Brak punktu odniesienia, który pozwala mi ją zrozumieć, a przynajmniej próbować zrozumieć, dodatkowo utrudni mi zadanie. Niemniej podejmę taką próbę, Czytelniku, obiecuję. Włożę w nią wszystkie swe wątłe siły.

– Później wrócę tu z Bridgerem – zapewniłem. – Za tydzień, za miesiąc, gdy już będzie po wszystkim. Jeśli nie będziecie wiedzieć, gdzie się ukrywamy, Dominic nie będzie mogło tego z was wydusić.

Thisbe roześmiała się w głos.

– Mycroftcie, przed chwilą przyznaliście, że stawiacie J.E.D.D. Masona wyżej niż nawet Majora. Znacznie łatwiej mu będzie wydusić to z was.

– Przestańcie gadać głupstwa, Thisbe! – pisnął Bridger, gapiąc się na nią znad mojego ramienia, śmiały jak mały lew. – Mama Lalka jest ranna, a straszna osoba może wiedzieć o mnie. To nie jest pora, by gniewać się na Mycrofta!

Nagle rozciągnęła twarz w szerokim uśmiechu. Pomieszczenie wypełniła woń ciepła i macierzyństwa.

– Bridger, kochanie, ja i Mycroft chcemy tylko waszego dobra, ale ono nie mówi nam prawdy. Ma dobre intencje, ale nie zawsze wie, co jest dobre dla ciebie.

Major wstał ze swojej kostki.

– Tym razem Bridger ma rację, Thisbe. Na wasz dom padł cień. Nie możemy pozwolić, by zagroził też chłopcu, bez względu na cenę, jaką będziemy musieli zapłacić.

Wzdrygnęła się, naprawdę się wzdrygnęła. Ta reprimenda uzmysłowiła jej, jak niebezpieczna jest sytuacja.

– Majorze – odezwałem się – wasi ludzie stali na straży, gdy zjawilo się Dominic, tak? Co ono właściwie zrobiło?

Wszyscy spojrzeliśmy na porucznika Celującego, który sprawował dowództwo pod nieobecność Majora.

– Intruz przeszukało wszystko dokładnie – odpowiedział. Jego cichutki głos był o kilka koszmarów lżejszy od głosu Majora, ale i tak pobrzmiwało w nim wielkie doświadczenie. – Z pewnością było oczywiste, że od dawna mieszka tu dziecko, które lubi lalki. Zabrało mnóstwo rzeczy. Stare rysunki, książki, szczotkę do włosów, a wiele innych zeskanowało, zrobiło zdjęcia, pobrało próbki gleby i kłaczki z kanapy. Na pewno ma też fragmenty jego skóry i sierści Boo.

– Zapewne moje włosy też – dodałem. – Mnie przesłucha w następnej kolejności. – Byłem naprawdę bliski śmiechu. – Może i macie rację, Thisbe. Rzeczywiście stałem się najslabszym ogniwem.

– Nie! – Bridger uczepił się mojego munduru. – Mycroftcie, nie możecie odejść!

– Nie... – Przerwałem, nie wypowiedziawszy obietnicy. – Zawsze do was wrócę, nawet jeśli czasami muszę was na chwileczkę opuścić. Wiecie o tym.

Nie miał dla mnie żadnych słów, tylko szeroko otwarte, pełne desperacji oczy.

– Czy Dominic opowie o tym J.E.D.D. Masonowi? – zapytała Thisbe.

– Dominic? Nie natychmiast, nie po tym, jak zobaczy skrzynkę tabu.

W jej oczach ponownie zapłonął ogień oskarżenia.

– Dość już tajemnic, Mycroftcie. Co to jest skrzynka tabu?

– Jest niedobra.

– To pudełko, w którym Bridger trzymało znalezione wśród śmieci przedmioty, których nigdy nie powinno transformować. Krucyfiks, globus, posążek Buddy, maszynę końca świata ze starego komiksu, maskę diabła, bombę zabawkę, obrazki starych dzieł sztuki przedstawiających Boga albo szatana, czarną gumową piłkę.

– Dlaczego piłkę? – zapytała Thisbe, przenosząc spojrzenie ze mnie na Carlyle'a, który już zagłębił się w przerażających myślach. Ciesz się, Czytelniku, że masz przywilej niewiary w moc Bridgera i wszystkie te możliwości nadal są dla Ciebie abstrakcją.

Usłyszałem, że z ust chłopca wyrwał się cichy pisk. Ucisnąłem go mocno.

– Bridger uważa, że to czarna dziura zabawka. Żegnaj, planeto. Jest

tam też jedna ze starych zabawek Muzeum Nauki Cato, która ma być modelem wielkiego wybuchu. Skrzynka tabu nie była moim pomysłem i nie zachęcałem go do jej stworzenia, ale uważam, że to dobrze, iż zastanawia się nad tym, jak niebezpieczne są jego moce.

– Jeśli uważaliście, że to dobry pomysł, dlaczego mi o tym nie powiedzieliście? – warknęła.

– Nie chciałem o tym rozmawiać! – zawołało dziecko, ratując mnie przed koniecznością odpowiedzi. – Nie lubię tego robić. Boję się.

Carlyle miętosił w palcach wytartą tkaninę chusty senseisty.

– I Dominic ma teraz to pudełko? Razem ze świętymi obrazkami i krucyfiksem?

Przez moją głowę przemknęły myśli o możliwych katastrofach.

– To nie... to nie jest żaden dowód. Mimo to będzie podekscytowane. I to bardzo. – Zaczerpnąłem głęboko tchu. – Ale nie pójdzie do J.E.D.D. Masona z czymś, co zahacza o teologię, dopóki nie będzie w stu procentach pewne, co jest grane. Zapewne właśnie dlatego zagięło. Chce poznać prawdę, zanim wróci do son Maître. Z pewnością nie doceniacie powagi sytuacji. Pierwszy raz od urodzenia J.E.D.D. Masona Dominic zagiął na tak długi czas. Nie pokaże Mu się, dopóki się nie upewni, co znalazł.

– On? – zdziwiła się Thisbe. – Mycroftcie, czy Dominic nie jest...

Nie zauważyłem własnej pomyłki.

– Słucham?

– Nieważne. Mycroftcie, jak długo utrzymujecie kontakty z tymi ludźmi. Od lat?

– Tu nie chodzi o mnie, Thisbe – odpowiedziałem, próbując się uchylić od odpowiedzi. – Musimy zabrać stąd Bridgera.

– Najpierw musicie mi odpowiedzieć.

– Czy jesteście członkiem kultu? – zapytał senseista, starając się nadać swemu głosowi łagodne brzmienie.

– Słucham?

Carlyle odgarnął kosmyk włosów, rozciągając usta w spokojnym, zachęcającym do udzielenia odpowiedzi uśmiechu.

– Mamy tu do czynienia z tajną grupą religijną, prawda? Czy jesteście jej członkiem?

– Nie! – zaprzeczyłem. – No cóż, nie.

Thisbe zbliżyła się o krok, spoglądając na mnie groźnie.

– To nie jest odpowiedź.

– Nie mogę.

– Prawda.

– Nie mogę.

– Prawda!

– Prawo mi nie pozwala! – Wskazałem głową na Carlyle’a. – Moje senseista wie o wszystkim i obserwuje mnie z uwagą. Nie...

– Psst! – Syk Majora uciszył nas wszystkich. Skinął szybko na swoich ludzi, którzy schowali się pod opakowaniem po czekoladzie. – Za wewnętrznymi drzwiami ktoś stoi.

– Kto tam?! – zawołała Thisbe. Jej melodyjny głos zagłuszył odgłos kroków Bridgera, którego odprowadzałem do szafki w ścianie.

– To ja, Thiz. – To był głos Ockhama. Nie brzmiał ani przyjaźnie, ani wrogo. Pan domu najwyraźniej zatrzymał się tuż za drzwiami, u podstawy schodów prowadzących do pomieszczenia *Mukty* na górze. – Wiem, że ktoś jest tam z wami.

Thisbe tylko trochę ulżyło, gdy się przekonała, że to jej brat.

– Przepraszam, że się nie zalogowałam.

– Nie podsłuchiwałam. Dopiero przed chwilą zeszłam na dół. Posłuchajcie, Thiz, daję wam tyle swobody, ile tylko się da, ale rozmawialiśmy już o tym, że nie wolno wam sprowadzać niebezpieczeństwa do domu. To musi się skończyć.

Thisbe przegoniła Boo, kierując go ku mnie. Szybki oddech psa mącił ciszę, która zapadła.

– Wiem o tym, Ockhamie. To nie jest nic niebezpiecznego. Jestem ostrożna.

Ockham zaczerpnął głęboko tchu.

– ¿Prawda czy fałsz? Cokolwiek tam robicie, to tylko zwiększy podejrliwość śledczych zajmujących się sprawą podrzucenia listy.

Thisbe ukryła się za gęstą jak olej kaskadą czarnych włosów.

– Jest w tym trochę prawdy, ale panuję nad sytuacją. Mam zamiar... rozmawialiśmy o zmianach, jakie trzeba będzie wprowadzić, żeby cała ta sprawa przestała zagrażać baszowi. Wkrótce rozwiążę ją do końca. Zaufaj mi.

– ¿Prawda czy fałsz? – powtórzył Ockham – Sprowadziliście tu naszego nowego senseistę pięć razy w ciągu trzech dni. I kłamaliście zapytani o powód.

Wymieniliśmy zakłopotane spojrzenia. Nie sędzę, by którekolwiek z nas podejrzewało, że jesteśmy aż tak nieudolni.

– Konklawe sprawdza takie rzeczy, Thisbe – naciskał. – Kontakty z senseistą nie są dla was bezpieczne.

– Tu nie chodzi o to.

– Nie precyzowałam, o co chodzi. Cokolwiek robicie, nie obchodzi mnie, co to jest, przenieście to, odłóżcie na później albo zakończcie. Nie chcę tu widzieć tego senseisty, dopóki ktoś inny niż ty nie będzie miał wyznaczonej sesji. Nie chcę też więcej w tym pokoju ludzi bez lokalizatorów.

Carlyle i Thisbe wymienili zasepione spojrzenia, ale nie mogli nic odpowiedzieć na te słowa.

– W porządku.

– Czy Mycroft jest tu z wami?

Przeszedł na angielski, by mi przypomnieć, że jestem tu obcy.

– T... tak, to tylko ja, członku Ockham – odpowiedziałem, ciesząc się, że mam szansę osłonić pozostałych. – Przepraszam. Powinno...

– Mycroftcie, dopóki to się nie skończy, nie możecie odwiedzać tego domu, nawet w sprawach związanych ze śledztwem. Pracujcie gdzie indziej.

– Potrzebujecie mnie! – zawołałem. – Znam tych ludzi. Wiem, z czym macie do czynienia. Jestem dla was najlepszą szansą na stabilizację.

– Wasze rady są użyteczne, ale gdy pada na nas tak wiele spojrzeń, to wy stanowicie największe zagrożenie. Dokładamy wszelkich starań, jednakże dziesiątki ludzi, którzy uczestniczyli w dzisiejszych ćwiczeniach, wiedzą wystarczająco wiele, żeby wygadać, że coś się tu dzieje. W normalnej sytuacji pozwalałam wam tu przebywać, ale jeśli media się dowiedzą, że Mycroft Canner tu jest, będziecie większym newsem niż Sniper.

– Canner? – powtórzył półgłosem Carlyle. – Mycroft... Canner?

Odwróciłem się. Twarz mi zbieła. Tak bardzo się staraliśmy, Czytelniku. Ciągle tylko „Mycroft” i „Mycroft”, a nigdy nie wymienialiśmy budzącego grozę nazwiska, nie w obecności tego dobrego, niewinnego człowieka. Trzy dni ukradzonego zaufania.

– Jesteście... Mycroft Canner?! – wybuchnął Carlyle. – Ten Mycroft Canner?! – Spojrzał w cień mojego kapelusza w poszukiwaniu charakterystycznego brakującego fragmentu prawego ucha. Pozwoliłem mu go znaleźć. Czytelniku, wiem, kiedy lawiny nie da się już dłużej powstrzymać. – Zrobili Mycrofta Cannera usługowcem!

– Cholera, senseista tam jest?! – zawołał stojący w drzwiach Ockham.

– Tak – jęknęła Thisbe. – Uspokójcie się, Carlyle. Mycroft nie jest już niebezpieczne.

– Nie jest niebezpieczne? To Mycroft Canner!

Uśmiechnąłem się do Bridgera przez szczelinę w uchylonych drzwiach szafki najmilej, jak potrafiłem, a potem wycofałem się na drugi koniec pokoju, trzymając otwarte dłonie tak, by Carlyle mógł je widzieć, a wzrok wbiłem w podłogę.

– Usługowcem! – powtórzył Carlyle. – Usługowcy nie powinni... nie powinni... – Zwrócił się w moją stronę. Poczul się lepiej, gdy mógł wskazać na mnie palcem. – To wy! Zamęczyliście siedemnaście osób. Nakręciliście wideo, na którym robicie wiwisekcję Mercer Mardi! Ukrzyżowaliście przybranego baszrę! Odcieśliście kończyny trzynastoletniemu dziecku i porzuciliście pozbawiony ręk i nóg kadłub w Arktyce, żeby zamarzło na śmierć. Ibis Mardi było w was zakochane, a wy biliście je tak długo, aż błagało o śmierć, a później zgwałciliście je i zjedliście jego ręce i nogi, kiedy jeszcze żyło! Uśmiechacie się!

– Przepraszam. – Zawsze staram się zachować całkowity spokój podczas takich wybuchów. – Każda osoba uważa któryś przypadek z siedemnastu za najgorszy. Domyśliłem się, że w waszym przypadku to będzie Ibis.

– Wyrwaliście jej jeszcze bijące serce i zjedliście je!

– Przestało już bić – poprawiłem go cicho. – Próbowałem tego siedem razy, ale nigdy nie udało mi się wyrwać serca wystarczająco szybko. Podejrzewam, że w naszym pokojowym wieku ta umiejętność popadła w zapomnienie.

Oddech Carlyle'a przyśpieszył. Wróciły wszystkie przeżyte tego dnia emocje. Miał wtedy piętnaście lat. Przygotowywał się do przeniesienia z adopcyjnego baszu do kampusu i znalezienia wokacji. To wrażliwy wiek, w którym tworzymy podstawy swej moralności. Straszliwe dwa tygodnie mojego morderczego szachu zapewne były doświadczeniem, które go ukształtowało, stało się symbolem absolutnego zła w jego micie założycielskim.

– Mycroft Canner! – Nie było w stanie powtórzyć mojego nazwiska bez krzyku. – Jesteście najgorszym... najbardziej... – Zabrakło mu słów, ale nie potrzebował ich. Cały świat wie, kim jestem. – Mieliście... zniknąć! Mieli was zamknąć na zawsze w jakimś bezpiecznym miejscu albo... albo...

– Stracić? – dokończyłem za niego. Żył kiedyś Mycroft Canner, który poczułby się dumny na wieść, że wzbudził w Kuzynie żądę mordu. – Gdy przywódcy Pasiek zgodzili się, że pozwolą MASONOWI zachować w tajemnicy, na co mnie skazano, by opinia publiczna przestała się obsesyjnie zastanawiać nad tym problemem, uznaliście, że mnie stracono. Tak samo jak wszyscy. Nie przyszło wam do głowy, że mogli ukryć łaskę.

Senseista nie miał już słów. Zostały mu tylko groza oraz pokrewne uczucia: panika, gniew i strach.

– Posłuchajcie, Carlyle. – Thisbe rozciągnęła usta w najłagodniejszym uśmiechu, na jaki ją było stać. – Wiem, że to dla was szok, ale nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Program Usługowców przyjmuje przestępców, którzy nie są już dla nikogo zagrożeniem, by mogli służyć dobru publicznemu. Czasami dotyczy to również poważnych przestępstw.

– Wiedzieliście! – Carlyle naskoczył na nią niemal równie gwałtownie jak na mnie. – Wiedzieliście i nie ostrzegliście mnie! Wpuściliście Mycrofta Cannera do swojego... do... Dopuszciliście je blisko...

Obrzuciła go znużonym spojrzeniem.

– Nie mieliście nic przeciwko towarzystwu usługowca, mimo że nie wiedzieliście, co zrobiło. Zdawaliście sobie sprawę, że może być mordercą.

– Mycroft Canner to nie zwyczajny morderca!

Ockham otworzył wreszcie drzwi, ale Boo i Bridger schowali się już w szafce, więc nic nam nie groziło.

– Thiz, czy macie pod ręką plik z nakazem zachowania tajemnicy?

– Tak. Zaraz go ściągnę.

Jej soczewki zamigotały.

Strażnik domu zwrócił się w stronę senseisty.

– Kuzynie Foster – zaczął. – Nie jesteśmy odpowiedzialni za wyrok, jaki wydano na Mycrofta Cannera, i nie mamy na niego wpływu, podobnie jak wy. Przewodniczący Kosala osobiście podpisał dokument dopuszczający Mycrofta do Programu Usługowców. Jeśli macie wątpliwości, Kosala umówi się z wami na spotkanie, podobnie jak umówiło się z nami, gdy odkryliśmy prawdę.

Carlyle otworzył oczy jeszcze szerzej.

– Kosala wie? Ach, prawda, nadzorowało proces, by się upewnić, że wszystko odbędzie się humanitarnie.

Na jego twarzy można było zobaczyć kolejne fazy budzenia się wspomnień z owych straszliwych dni. Niektórzy czytelnicy z pewnością pamiętają moje dwa tygodnie: cisza na ulicach, strach, przeraźliwy zapach, z jakim co rano sprawdzało się wiadomości, czekając na informacje o nowych okrucieństwach. W porze śniadania można było zobaczyć tylko najbezpieczniejsze obrazy – plamę na podłodze, ciało owinięte w płachtę – ale podczas obiadu czy kolacji wyciekały już zdjęcia prawdziwej, czerwonej krwi oraz oblicza realnych ludzi, wykrzywione pod wpływem emocji, jakie mogą wywołać wyłącznie tortury. Wiem, że o tym pamiętacie. Nawet w podeszłym wieku, gdy nazwiska i niepowtarzalne twarze zaczną znikać z waszej pamięci, przypomnicie sobie wszystko, przechodząc obok kąta, w którym tłoczyliście się z kolegami z klasy, szepcząc o mnie.

– Kosala wiedziało od początku – powtórzył Carlyle, nie mogąc do końca w to uwierzyć.

– Mam je, Ockham – potwierdziła Thisbe, gdy soczewka zamigotała po raz ostatni. – Wysłane.

Światło rozbłysło w soczewkach Carlyle'a.

– Co to...? Nakaz Ochrony Usługowca?

Ockham stanął pewnie na nogach obok senseisty, zachowując dystans, by Carlyle nie poczuł pokusy wyrwania broni z jego kabury i osobistego wymierzenia długo opóźnionej zemsty.

– Wyrok wydany na Mycrofta oraz jego tożsamość są poufne. Z pewnością zdajecie sobie sprawę, że gdyby ta wiadomość wyszła na jaw, ryzyko gwałtownej zemsty byłoby wysokie. Plik zawiera szczegóły na temat odpowiedzialnych za tę sprawę urzędów oraz wskazówki, w jakiej sytuacji można rozmawiać o tożsamości Mycrofta. Nas obowiązują te same rozkazy i nie mam uprawnień, by je zmieniać.

– Nie pozwalają wam ostrzegać innych? Jako usługowiec mogą dotrzeć wszędzie! Ludzie muszą się dowiedzieć.

Ockham skrzyżował ramiona. Jego opaloną skórę pokrywały świeże zawijasy Lesley.

– Ta decyzja należy do Programu Usługowców, nie do nas.

Senseista cofnął się, jakby słupek łóżka i stolik nocny mogły go osłonić przed moim złem.

– Ani przez moment nie wierzę, że to monstrum nie jest

niebezpieczne!

Usłyszałem (i być może Ockham również) poruszenie siedzącego w szafie Bridgera, który tylko z najwyższymi wysiłkiem powstrzymywał się przed pośpieszeniem mi na ratunek. Biedne dziecko. Dla mnie oburzenie Kuzyna nie było niczym nowym, ale zaboląła mnie myśl, że chłopak słucha tego wszystkiego, a jego słodkie serce wypełnia pragnienie stanięcia w mojej obronie. Wiem, co myślisz, Czytelniku. *Bridger ma trzynaście lat, w czasach, gdy każdy dzień przynosił krwawe wieści o kolejnych ofiarach, był niemowlęciem albo jeszcze się nie urodził. Nic nie rozumie i dlatego ufa ci w swej naiwnej niewinności.* Bezlitosny Czytelniku, czy wydaje Ci się, że znasz mnie lepiej niż dziecko, które wychowałem?

Carlyle uważał, że tak.

– Mycroft Canner to najgorszy zbrodniarz w ostatnim stuleciu! W ostatnich dwóch stuleciach!

Moja utracona osobowość mogłaby to uznać za komplement.

Ockham stał spokojnie przez cały czas tego wybuchu, obserwując, jak pod wpływem hysterii z i tak bladej twarzy senseisty odplywa wszelki kolor. Ten widok nasunął mi myśl o Aleksandrze, o armii moich śródziemnomorskich przodków, która posuwa się z łoskotem przez pustynie i imperia, ale Indie, spokojne i potężne, nie boją się niczego.

– Nie mam władzy nad Programem Usługowców, ale mam władzę w tym domu i...

– Autoloty! – krzyknął Carlyle. – Ten dom! Autoloty! Czy tego nie widzicie? Mycroft Canner zbliżyło się do autolotów. Planuje znowu to zrobić! Masowe morderstwo na znacznie większą skalę!

Nie jestem masowym mordercą. Spojrzałem swym ofiarom prosto w oczy, jednej po drugiej.

– Mam władzę w tym domu – powtórzył Ockham – i rozkazuję wam zapanować nad sobą.

– Mycroft Canner to najbardziej niebezpieczna osoba na świecie.

Thisbe położyła dłoń na jego barku.

– Nie histeryzujcie.

– Nie dotykajcie mnie! – zawołał, odskakując od niej. – Wpuściliście je do swojego baszu! To ta sama sytuacja, Thisbe. Wkradło się podstępem do baszu Mardi, a później...

– To nie jest to samo.

– Siedemnaście osób, Thisbe! Przez pięć dni ucinało kawałki ciała

Luthera Mardigrasa, nim wreszcie spaliło je żywcem w wiklinowej figurze! Spaliło to, co zostało z Luthera!

To fascynujące, które szczegóły ludzie pamiętają błędnie. Choć trzeba przyznać, że w przypadku Luthera najmniej zostawiłem dla policji.

– Muszę was opuścić – oznajmiłem, nie podnosząc wzroku. – Otrzymałem wezwanie, którego nie wolno mi odrzucić.

– Znowu to samo wytłumaczenie! – zaprotestował senseista. – Urząd cenzora! – zawołał. – Mycroft Canner było w urzędzie cenzora!

– Odetchnijcie głęboko, Carlyle.

– Mycroft Canner zmusiło poprzedniego wicecenzora do wyprucia sobie wnętrzości kawałkiem bambusa!

Zmusiłem? To nie było tak. Nieprawdaż, Kohaku? Byliście mi wdzięczni za możliwość zachowania godności, za tę drogę wyjścia, szansę napisania swych jakże ważnych cyfr na ścianie, by Vivien mógł je znaleźć i pewnego dnia zrozumieć. Czy byłem dla was dobrym asystentem w tym improwizowanym seppuku?

– Przykro mi, Kuzynie Foster – rzekłem cicho, nie odrywając wzroku od podłogi. – Muszę się udać w inne miejsce. Jeśli tego pragniecie, wrócę, gdy tylko będę miał wolny czas, by odpowiedzieć na wasze pytania.

– Powinniście się udać do więzienia, z którego nigdy już nie wyjdziecie!

– Otrzymałem wezwanie, którego nie wolno mi odrzucić.

– Odwołuję je – oznajmił Ockham. – Mycroftcie, zostaniecie tu, dopóki nie przywrócimy spokoju. Carlyle, usiądźcie. Jeśli będziecie zadawać pytania spokojnie, odpowiemy na nie.

– Nie zamierzam siedzieć w tym samym pokoju z Mycroftem Cannerem!

– Mogę kazać je związać na czas trwania rozmowy, jeśli to was uspokoi. Czy mam wezwać ekipę?

Wziąłem się w garść.

– Przykro mi, członku Ockhamie. Otrzymałem wezwanie, którego nie wolno mi odrzucić.

Ockham potrząsnął głową.

– Mój dom, moje rozkazy.

Nie miałem wyboru. Powoli, nie chcąc, żeby mój ruch jeszcze bardziej wystraszył Kuzyna, wyciągnąłem z kieszeni opaskę barwy imperialnej szarości ozdobioną cyrklem i węgielnicą czarnego koloru

śmierci – znak *familiars*, którzy, zgodnie z legalnym kontraktem, zgadzają się przyjąć uwięzienie, tortury, a nawet śmierć na rozkaz cesarza.

– Otrzymałam wezwanie, którego nie wolno mi odrzucić.

Nawet Ockham milknie, gdy w pomieszczeniu zjawia się śmierć.

– Cesarz... – Carlyle wciągał rozpaczliwie powietrze, jak człowiek przygotowujący się do walki o życie. – Cesarz podjęło tę decyzję! – Wreszcie miał jakiś cel dla swojego gniewu. – Podlegaliście prawu MASONA! To ono miało być waszym oskarżycielem, sędzią i... Zaufaliśmy mu! Uwierzeliśmy, że skaże was...

Czekałem, aż wypowie budzące grozę słowo, ale zabrakło mu odwagi. Nie tak wyglądało to trzynaście lat temu, gdy cała Ziemia jednym głosem domagała się wyroku, którego pragnęli wszyscy. Pragnęli go bardzo mocno, Czytelniku, całym światem zawładnęła żądza krwi. Wszyscy błagali łagodne Pasięki, by tylko dla mnie przywróciły od dawna zarzuconą najwyższą karę. Wszyscy się cieszyliście, gdy cesarz ułatwił wam zadanie. Cesarz ze swym czarnym rękawem, który ogłosił, że Mycroft Canner podlega *Lex Familiaris*, ostatecznie na oświeconej Ziemi prawu umożliwiającemu wykonanie kary śmierci. Gdy cesarz powiedział przed kamerami „Factum est” (Dokonało się), nikt się nie zastanawiał, co właściwie się dokonało.

– Idźcie.

Ockham skinął głową. Czytelniku, mam wielu panów, przed którymi odpowiadam, ale tylko jeden z nich może mnie zabić jednym słowem.

Carlyle gapił się na mnie, gdy szedłem ku drzwiom. Zeskoczył mi z drogi, jakby grzech był zaraźliwy. Nie spodziewałem się takiego bólu. Zdawałem sobie sprawę, że senseista musi któregoś dnia dowiedzieć się, kim jestem, ale nauczyłem się szacunku dla tego dumnego, altruistycznego wokatora i zależało mi na jego opinii. Chciałem mu coś powiedzieć na pożegnanie, by uzdrowić jego zranione zaufanie, nie do mnie, ale do władzy, która jego zdaniem miała wymierzyć sprawiedliwość i wyeliminować wściekłego psa. Pytania są na swój sposób rozkazami. „Co chcieliście...? Jak mogliście...? Dlaczego...?”. Carlyle był wolnym i dobrym człowiekiem. Byłem mu winien posłuszeństwo, jakim jest odpowiedź. Ale co może powiedzieć Mycroft Canner?

– Uznano, że śmierć byłaby zbyt szybką i lekką karą. Mój dług jest większy.

Senseista załkał. Tak przynajmniej sędzę. Jego ciałem targnęło szybkie, przypominające czkawkę drżenie, jakby tego już było za wiele.

Zostawiłem go tam, Czytelniku, wypełnionego płomieniem sprawiedliwej nienawiści. Ale nie mogę porzucić Ciebie. Ty możesz mnie opuścić, jeśli chcesz. Podążałeś ze mną aż do tego punktu, ale teraz rozumiesz, dlaczego powinieneś mnie nienawidzić. Odcinałem kawałki ciała Luthera Mardigrasa tylko przez dwa dni, Czytelniku. Trzy pierwsze zajęły mi zęby, paznokcie i skórowanie go żywcem. Jeśli uważasz, że jestem odrażający, możesz odłożyć tę książkę i poszukać innych historii tej transformacji. Z pewnością jakieś powstały. A może już przedtem wiedziałeś, kim jestem? Być może wybrałeś akurat tę historię nie dla J.E.D.D. Masona, lecz dlatego, że chciałeś poznać smak umysłu Mycrofta Cannera. Czy wolałbyś, by akcja tej książki rozgrywała się trzynaście lat wcześniej? Czy chcesz poznać moje traumy z dzieciństwa, dowiedzieć się, jaka tragedia stworzyła wypaczoną istotę, jaką jestem? Czy pragniesz, bym Ci opowiedział, jak smakuje ludzkie serce? A może wolałbyś usłyszeć, która chwila gwałcenia Ibis Mardi sprawiła mi największą satysfakcję? Czy ta, gdy była pobita, pozbawiona kończyn, na wpół ugotowana, czy wreszcie martwa? Czytelniku, autobiografia tamtego Mycrofta Cannera nie istnieje. I nie powinna powstać. Ta opowieść mówi o Bridgerze i o transformacji, a nie o mojej utraconej osobowości. Tak, dowiesz się więcej na mój temat. Tak, ujawnię szczegóły nieznane nawet policji do chwili, gdy je zrelacjonuję, ale fakty dotyczące mnie odgrywają tylko służebną rolę wobec tych, które mają Ci pomóc zrozumieć znacznie ważniejsze sprawy. Dlaczego to zrobiłem? Czy to właśnie frapuje Cię najbardziej, Czytelniku? Sam tego nie wiem. Miałem wówczas siedemnaście lat i byłem tak pewien słuszności swej filozofii, że z zadowoleniem oddałem się w ręce katów, ale teraz mam trzydzieści jeden lat, nadal żyję i rozumiem wszechświat tylko na tyle, by wiedzieć, że jestem zbyt małym, skończonym i ograniczonym stworzeniem, by pojąć, dlaczego zrobiono mnie tym, kim jestem, bym mógł uczynić to, co uczyniłem. Poznałem smak błotnych ciastek Bridgera. Ja, Mycroft Canner, z tak niewiarygodnych powodów nadal pozostający przy życiu, byłem pierwszym człowiekiem, który ujrzał na własne oczy ten cud. Jestem pewien tylko jednego, Czytelniku. Istnieje opatrność. Istnieje plan. I istnieje stojący za tym planem umysł,

którego nieskończonych głębin nie mam szans przeniknąć. Mógłbym Ci powiedzieć, że moja dawna osobowość myślała, że moje zbrodnie mają cel. Mógłbym Ci powiedzieć, co sądzę na ten temat obecnie. Ale tylko nasz Stwórca rozumie cele, na które kieruje Swe instrumenty. Tylko On rozumie, dlaczego kazał mi zabić tych siedemnastu ludzi. Nie szesnastu i nie osiemnastu. Dlaczego zesłał Bridgerowi tego strażnika o zbrukanych krwią rękach. I dlaczego wyjawiał owej nocy dwudziestego piątego marca Swemu oddanemu kapłanowi Carlyle'owi Fosterowi, że w Swej łaskawości postanowił spośród wszystkich ludzi na świecie oszczędzić akurat Mycrofta Cannera.

Rozdział dwudziesty pierwszy

To, co cesarskie

Jestem Ci wdzięczny, tak bardzo wdzięczny, tolerancyjny Czytelniku, że czytasz dalej, mimo że dowiedziałeś się o moich zbrodniach. Twoje zaufanie przed chwilą podważono i to może być najmniej odpowiednia chwila, by Cię rozczarować, ale, niestety, muszę to zrobić. Albowiem gdy pierwsza, czarna godzina dnia dwudziestego szóstego marca dogania mnie w chwili, gdy przybywam do stolicy MASONA, nie wiem, co mam począć z rozmowami, które prowadzono po łacinie. Martin Guildbreaker, który spogląda mi przez ramię, kiedy to piszę, upiera się, że łacina jest tylko dla Masonów i nie wolno jej tłumaczyć. Co jednak za pożytek z tego, co nawet Masonom trudno jest zrozumieć? J.E.D.D. Mason nie posługuje się masońską łaciną, ale językiem bliższym jej klasycznej wersji, brzmiącym dla Masonów równie dziwnie jak Homer dla współczesnych Greków. Czytelniku, obiecałem traktować Cię jak brata z naszego osiemnastego stulecia. Dlatego uznam, że rozumiesz pisaną łacinę, nawet jeśli zdaję sobie sprawę, że to zapewne nieprawda, bo przeciwne założenie byłoby dla Ciebie zniewagą. Martin nie pozwala mi tłumaczyć łaciny na angielski, ale przynajmniej przetłumaczę łacinę J.E.D.D. Masona na nowoczesną, by MASONI mogli zrozumieć to, co powinni zrozumieć MASONI.

(Przetłumaczyłam fragmenty napisane po łacinie, ale ponieważ robię to w tajemnicy zarówno przed Martinem, jak i przed Mycroftem, musicie mi wybaczyć moje skromne umiejętności. – 9A).

Poczułem ulgę, gdy autolot wylądował w masońskiej stolicy. Zostawiłem wreszcie za sobą widokowe miasta Tōgenkyō i Cielo de Pájaros, i znalazłem się w prawdziwym mieście, organicznym i irracjonalnym. Które z miast wybrałbyś na swoją stolicę, gdybyś był pierwszym MASONEM? Nie możesz dostać najstarszych, Ur albo Uruk, ponieważ większa część Mezopotamii nadal pozostaje rezerwatem założonym po wojnie Kościołów, a na pozostałych jej obszarach trzeba będzie poczekać stulecie albo i dwa, nim zagoją się rany zadane

naturze przez wojnę. W Grecji musiałbyś wybierać między Atenami a Spartą, między mądrością a siłą, a żaden cesarz nie może sobie pozwolić na to, by przedkładać jedną z tych cnót nad drugą. Sam Rzym widział już zbyt wiele, by stać się stolicą kolejnego imperium, a poza tym, gdybyś go wybrał, twoi następcy nie mogliby z tak wielkim sukcesem wykorzystać jego planu do budowy Romanovy. Wiedeń i Cuzco są zbyt kruche, Chang'an i Paryż zajęte, a Sztambuł i Kijów obciążone niedawną historią. Masz tylko jeden wybór, młody cesarzu, tylko jedno miasto równie imperialne jak maska, którą przywdziałeś.

– Sześciopasekowy System Transportu wita w Aleksandrii. Od gości wymaga się przestrzegania minimum masońskiego *Lex Minor* podczas pobytu w tej strefie. Przypomina się im też, że Masońskie Prawo nie pozwala tłumaczyć się jego nieznajomością. Żeby otrzymać listę lokalnych przepisów nieznanych w waszym zwyczajowym kodeksie prawnym, naciśnijcie „prawo”.

Gdy wspinałem się po stopniach zigguratu do twierdzy cezara, wartownicy zasalutowali na widok mojej opaski *familiarisa*. Dlaczego nie noszę jej zawsze na wierzchu, jak Martin? To wzbudziłoby podejrzenia, Czytelniku. Na świecie nie ma zbyt wielu *familiaries*, a wszyscy poza Mycroftem Cannerem są znani.

Głos cezara był dzisiaj tylko połową gromu.

– *Cur omnes agitati sunt?* (Dlaczego wszyscy są podekscytowani?).

Nie spodziewałem się, że od razu spotkam MASONA. Przebywał w sali konferencyjnej tuż przy wejściu, o posadzce z szarego marmuru. Masywne krzesła otaczały ustawiony pośrodku stół, a wyświetlane na ściennych ekranach świeżo opublikowane listy Siedmiu i Dziesięciu przypominały mapy przekazujące na bieżąco relację z pól bitew. W całym pałacu nie znajdzie się pokoju, który nie budziłby lęku i bojaźni w równym stopniu co większość sal tronowych. Nie ma tu drzwi bez masywnych marmurowych nadproży, posadzek bez labiryntów rzeźbionych kamieni, okien, które nie wychodziłyby na barwne ogrody symbolizujące niewiarygodne bogactwo albo na wspaniałe miasto będące jego źródłem. To jednak nie była jedna ze wspanialszych komnat, lecz skromniejsze pomieszczenie, z reguły wykorzystywane przez asystentów, *familiaries* masońskich senatorów przybywających z Romanovy, by załatwić jakieś sprawy albo Guildbreakerów wykonujących rozkazy cesarza.

Wiem, dlaczego je wybrał. Cornel MASON otacza *Domus Masonicus* wielką czcią, podobnie jak Martin. Było to prawdą nawet w latach jego młodości, gdy tron nie należał jeszcze do niego. To cześć kapłana dla jego świątyni. Podejrzewam, że ten cesarz nie chce skalać komnat, w których zasiadali jego poprzednicy – Aeneas MASON, Marcel MASON – obecnością Mycrofta Cannera.

– *Septem-Decem indices* (Listy Siedmiu i Dziesięciu) – poskarżył się. – *Septem-Decem index modo est propagandulum!* (Lista Siedmiu i Dziesięciu to tylko propagandowy kawałek). *Quid refert si Ganymedes Andōque haerent?* (Co to ma za znaczenie, że Ganymede i Andō znaleźli się w [trudnej/niezręcznej] sytuacji?). *Cur perturbantur?* (Dlaczego się niepokoją?). *Cur etiam Anonymus perturbatur et cur te tres illi lassant?* (Dlaczego nawet Anonim się niepokoi i dlaczego was przeciążają?).

Cesarz był spokojny, silny jak człowiek, który przed chwilą wyszedł z uzdrawiającej kąpieli, podczas gdy wszyscy wokół niego są znużeni walką. Gdy gapił się na listy, jego twarz przywodziła raczej na myśl filozofa badającego jakieś nowe zjawisko niż zmartwionego króla. W gruncie rzeczy napięcie dostrzegało się tylko w jego lewej dłoni zaciśniętej za plecami. Nie sądzę, by cesarz zdawał sobie sprawę z tego nawyku. Gdy tylko wejdę do sali, zawsze zaciska za sobą lewą pięść, jakby nie mógł oprzeć się pokusie złapania mnie za gardło.

– *Nescio, Caesar* (Nie wiem, ceszarze) – odpowiedziałem.

Przeszył mnie twardym jak kamień spojrzeniem.

– *Non nihil scies, Mycroft* (Wiecie więcej niż nic, Mycrofcie).

Trzymałem się na bezpieczny dystans od cesarza, stojąc pod ścianą, w miejscu, gdzie on i jego strażnicy mogli śledzić moje ruchy.

– *Apollo dicebat* (Apollo Mojave zwykło mówić) – zacząłem – *ut Franciscus Quesnaeus sententiam Mitsubishorum praesentavisse* (że François Quesnay było prekursorem mitsubishiańskiego sposobu myślenia). *Sugiyama Apollini nunquam indicit, sed aliquem qui similiter Apollini cogitat gravissime considerendum est* (Sugiyama nigdy nie spotkało Apolla, ale każda osoba, która myśli podobnie do niego, zasługuje na najwyższą uwagę).

Cesarz spacerował po pomieszczeniu jak lew zbyt długo zamknięty w klatce. Łatwo można było zauważyć, że utyka. Cornel MASON pozwolił mi zdradzić, że stracił lewą stopę i nigdy nie przyzwyczyił się do tej, którą ją zastąpiono, z powodów raczej psychologicznych niż

medycznych. Próby bólu wykonuje się nadal. W roku 2239 sekcja zwłok Mycrofta MASONA zdradziła, że w młodości poddawano go torturom, długotrwałym i profesjonalnie wykonywanym. Opinia publiczna domagała się odpowiedzi. Wtedy właśnie ludzie się dowiedzieli, jak ciężkie życie ma *Imperator Destinatus*. Zwyczajni MASONI żyją pod rządami prawa bardziej rygorystycznego niż prawa innych Pasiak, ale nieprzerastającego go brutalnością. Jednakże *familiares* w zamian za zaufanie i władzę wyrzekają się wszelkich osłon, w pełni podporządkowując się woli cesarza. Jeśli zażąda on, by któregoś z nas zamknięto w więzieniu, poddano torturom albo nawet stracono, nie wolno nam nawet zapytać dlaczego. Tego właśnie oczekuje od tych, którym powierza bezpieczeństwo trzech miliardów członków. Obcy wyobrażali sobie, że to tylko symbol. Byli przekonani, że jeśli raz na sto lat każe się stracić jakiegoś znanego zdrajcę, jest to jedynie demonstracja władzy nad życiem i śmiercią, będącej prerogatywą MASONA. Byli w błędzie. Cesarz nie przekaze tronu nikomu, kogo nie poddano próbom wykraczającym poza wszelkie granice wyznaczone przez litość i rozsądek. Tylko ten, kto przeszedł przez piekło i pozostał zdrowy na umyśle oraz lojalny, może według niego oprzeć się deprawującemu wpływowi władzy, tak bliskiej absolutnej. Jak rozumiem, lewą stopę Cornela MASONA odcięto kawałek po kawałku za pomocą masywnego, ostrego tasaka. Nie jest to najbardziej wyrafinowane narzędzie tortur (spojrzenie znawcy może wykryć ich ślady również w innych obszarach jego ciała), ale powoduje wyjątkowo poważne uszkodzenia psychiczne, gdy ofiara widzi, jak kolejne fragmenty jej ciała zamieniają się w mięso. Młodego Kena Mardiego, cudowne dziecko, które wyobrażało sobie, że jest twarde jak samuraj, złamałem dzięki tej metodzie w ciągu godziny, ale Cornel MASON wytrzymał trzy tygodnie na rozkaz swego poprzednika i był potem równie silny jak obecnie. Fakt, że J.E.D.D. Mason nigdy nie zniknął na równie długi okres, często uważa się za dowód, że to nie On będzie następcą tronu.

Głos MASONA był twardy jak kamień.

– *Indices mutati sunt* (Listy zmieniono).

Otworzyłem szeroko oczy.

– *Mutati?* (Zmieniono?).

– *Sic. Ecce* (Tak. Spójrzcie).

Na polecenie cesarza na ścianie ukazał się obraz z Romanowańskiego

Forum. Reporterzy oblegali marmurową Rostkę. Za mikrofonami na mównicy stała zgarbiona postać.

– Wiceprezydencie DeLupa! – zawołał najgłośniejszy z dziennikarzy.
– Dlaczego Anonim nie zorientowało się wcześniej, że jakaś osoba wprowadziła zmiany w jego liście?

– Anonim nie może zajrzeć do urzędu cenzora – wyjaśnił wiceprezydent. – Jeśli listę przechwycono już po wysłaniu, ale nim jeszcze dotarła do cenzora Anceleta, Anonim nie było w stanie tego wykryć.

– Czy to oznacza, że inne komunikaty od Anonima również mogły być fałszywe?

– Z pewnością nie. Pamiętajcie, że jeśli Anonim kontaktuje się ze mną, musi przejść przez siedem warstw zabezpieczeń. Lista Siedmiu i Dziesięciu jest wyjątkiem, ponieważ przekazuje się ją bezpośrednio cenzorowi. Dowiedzieliśmy się tylko tego, że bezpieczeństwo Romanowy nie jest tak szczelne jak moje.

To była perfekcyjna odpowiedź, ale Brody DeLupa nie mógł sobie pozwolić na nic mniej. Rzadko się zdarza, by pełniący wysoki urząd człowiek miał pozycję mniej pewną niż obecny wiceprezydent Humanistów. Cała jego Pasieka kocha Anonima, ponieważ to z pewnością bohaterstwo, gdy bezimienny głos czyni siebie najbardziej wpływowym na świecie tylko dzięki temu, że wygłasza tak inteligentne opinie. Nawet młody Sniper, który uczył się bardzo pilnie, by zwiększyć swą sławę, był charyzmatyczny i seksowny, co mu pomagało, podczas gdy Anonim posiadał tylko jedną, w dodatku irytującą zaletę. Zawsze był rozsądny. Komisja Wyborcza była nieustępliwa. Bez względu na to, ile tysięcy Humanistów pragnęło głosować na Anonima, nikt nie mógł sprawować urzędu, nie ujawniając swej tożsamości. Nie minęło jednak wiele czasu, nim znaleźli się spryciarze, którzy ominęli tę zasadę, startując w wyborach z najprostszym programem na świecie: będę reprezentantem Anonima.

– Czy Anonim uważa, że istnieje związek między tą ingerencją a incydentem w Czarnej Sakurze?

DeLupa podrapał się po zaroście utrzymującym się w zmarszczkach jego policzków uporczywie jak pleśń. Czytelniku, czy zauważyłeś, że każde z ostatniej piątki reprezentantów było brzydkie? Niektórzy mówią, że Anonim nie chce, by jego marionetka miała własną

charyzmę, ja jednak sędzę, że wybiera osoby, które wydadzą się Ganymede'owi zbyt odrażające, żeby je uwieść.

– W obecnej chwili nie możemy być niczego pewni – zaczął – podejrzewam jednak, że jest pewien związek, zwłaszcza biorąc pod uwagę, że Instytut Brilla niedawno ogłosił, że gordiańską listę również próbowano ukraść.

Wiceprezydent pokiwał głową, starając się przybrać mądrą minę.

– Nie wiem, czy to miał być żart, czy też ktoś spodziewa się na tym skorzystać, ale gdy celem były trzy listy, nie może być mowy o przypadku. Być może pora przemyśleć kwestię zakładów i zachowań, do których zachęcają. Nawet bez kradzieży i zamian naciski na autorów list niemal uniemożliwiają im zachowanie obiektywizmu.

Cornel MASON skrzywił się z niezadowoleniem.

– *Quid facit Anonymus? Modone attentionem a Sakuram Nigrem avertit?* (Co robi Anonim? Czy po prostu chce odwrócić uwagę od Czarnej Sakury?).

Jeśli tak, to było genialne posunięcie. Po rozejściu się wieści o ingerencji w listy Anonima oraz Gordian, opinia publiczna w praktyce zapomni o Czarnej Sakurze, a także o straszliwych liczbach Kohaku Mardiego: 33-67; 67-33; 29-71. Być może nawet Mitsubishi uda się uratować.

– *Fieri potest, Caesar* (To możliwe, Cezarze) – odpowiedziałem. – *Quotannis discipule iocosi aliqui Brilllem indicem surripere temptant, et nihil refert* (Każdego roku jakiś dowcipny student próbuje ukraść listę Brillistów, ale nikomu nigdy się nie udaje). *Causa necessesit si hoc anno Magister Faustus populum operam dare vult* (Musi istnieć jakiś powód, dla którego w tym roku rektor Faust pragnie zainteresować ludzi tym faktem). *Beneficium alicui necessesit* (To musiało komuś przynieść korzyść).

MASON pokiwał głową.

– *Causa gravissima necessesit si Anonymus mendacios vulgat* (Sprawa musi być poważna, jeśli Anonim publikuje kłamstwa). *Hos quoque ecce* (Spójrzcie też na to).

Na rozkaz cezara wiceprezydent zniknął, ustępując miejsca najnowszej liście.

Poświęciłem chwilkę na zastanowienie. Palce moich stóp nerwowo zataczały kręgi na kamiennej posadzce. To było genialne. Zamiana

wyglądała bardzo wiarygodnie. Takiej właśnie dokonałby antymitsubishiański spiskowiec, by sprawić wrażenie, że na wszystkich listach umieszczono Mitsubishi nisko. Nie wątpiłem, że „zmieniona” lista jest tą autentyczną. To ją wykorzystywaliśmy przy pracy w urzędzie cenzora. Anonim dokonał wstecznych poprawek, zamienił listę na taką, która dawała Mitsubishi lepszą pozycję. Krzycząc: „Moją listę również zmanipulowano!”, odwrócił uwagę od biednej *Czarnej Sakury*. Znalazł wyjście. Uprawienia cenzora w niczym mu nie pomogły, ale Anonim znalazł wyjście.

Anoni „zmieniona lista	Anonim „autentyczna” lista
Cesarz Cornel	Cesarz Cornel
Anonim	Anonim
Bryar Kosala	Bryar Kosala
G. de la Trémoille	Hotaka Mitsubishi
Felix Faust	G. de la Trémoille
Hotaka Mitsubishi	Felix Faust
Casimir Perry	Casimir Perry
<i>Castel Natekari</i>	<i>Castel Natekari</i>
<i>Król Hiszpanii Isabel Carlos II</i>	<i>Król Hiszpanii Isabel Carlos II</i>
<i>Southern Time Inc.</i>	<i>Southern Time Inc.</i>

MASON ponownie spojrzął na mnie.

– *Non tibi imperio ut prodas aliquod de officio Censoris, sed solum oppinionem tuum: quid possum facere ut curros protegam?* (Nie rozkażę wam zdradzić nic, czego dowiedzieliście się w urzędzie cenzora. Pytam tylko o waszą opinię: co mogę zrobić, żeby obronić pojazdy?). *Custodesne Saneer-Weeksbooth bashdomi ponere debeo?* (Czy powinnom wysłać strażników do baszobudynku Saneer-Weeksboothów?). *Discipulosne mittere ut doceant et pro Sicario aliisque substituant?* (Czy powinnom wysłać uczniów, którzy opanują tę umiejętność i zastąpią Snipera oraz pozostałych?). *Aut ab Utopianis petere debeone, ut parent sustinere isi totam systemam mundi si iste bash cadat?* (A może powinnom poprosić Utopian, by przygotowali się

do podtrzymania całego globalnego systemu, gdyby ten basz upadł?).

Cesarz wyjrzał przez okno, za którym widzieliśmy autoloty opadające na całe miasto niczym nieustanny deszcz meteorów. Zaciskał pięści.

– *Non vacuus sedebo et permittebo hic jocus mundum meum accidere* (Nie będę siedziało biernie i przyglądało się, jak ten żart rani mój świat).

– *Jocuvn hunc non arbitror, Caesar* (Nie sędzę, by to był żart, ceszarze)
– odpowiedziałem, nadal nie śmiać spojrzeć mu w oczy – *sed aliquid sinisterius, et credo ut vos omnes non prius placebimini quam omnem Septem apud Matronam conveneritis* (raczej coś bardziej złowieszczonego i sędzę, że żadne z was nie zazna spokoju, dopóki wszyscy Siedmioro nie spotkają się u Madame). *Omnes suspectum habetis ut unus ex Septem hanc perfidiam coniuratet* (Wszyscy podejrzewacie, że jedno z Siedmiorga zaplanowało tę zdradę). *Omnibus convocatis, invenire poteris si recte sentis* (Gdy wszyscy już spotkają się w jednym miejscu, będziecie mogli się przekonać, czy wasze domysły były trafne).

Czy to Cię nie doprowadza do szału, mój niemasoński Czytelniku, gdy niezrozumiała łacina przesuwaa Ci się przed oczami? W przypadku tego języka jest najgorzej, bo tylko przypadkiem nie mówiłeś w dzieciństwie po francusku albo po japońsku, a łacina dla nikogo nie jest ojczystym językiem. Łacina to wybór. Własne języki wzmacniają Pasieki, dlatego MASON wybrał język Rzymu, Imperium i władzy, uproszczony, by uczynić go łatwiejszym. Łacina nie jest już językiem żadnej rasy (nawet Martin Guildbreaker nie odważył się jej uczyć, dopóki nie zaczął się jego *Annus Dialogorum*). Dlatego wszyscy Masoni, czy to nowi konwertyci, czy synowie cesarzy, są sobie równi, gdy zaczynają lekcje języka władzy, równie potężnego dla Martina, jak ongiś dla Machiavellego i Montaigne’a. Te szkoły to prawdziwe *sancta sanctorum* masońskich misteriiów. Czytelniku, miałeś wybór, czy uwierzyć w mit i nauczyć się łaciny, czy nie, a teraz musisz ponieść konsekwencje tej decyzji. (Nie miałom serca tego wyciąć – 9A).

Zanadto upraszczam. Żyje wśród nas jedna osoba, dla której łacina była pierwszym językiem.

– *Salve, Pater* (Cześć, ojciec). – J.E.D.D. Mason wyszedł z wewnętrznego pokoju. Strażnicy oddali honory porfirogenecie. – *Mater salutem dicit* (Matka cię pozdrawia).

Zwyczajny ojciec uśmiecha się na widok syna, ale MASON nadaje swej twarzy głębszy, poważniejszy wyraz, jak u kapitana, który

spogląda rankiem na niebo, by się przekonać, co może przynieść dzień.

– *Salve, Fili* (Cześć, synu) – odpowiedział cesarz. – *Bene investigatio estne?* (Czy śledztwo dobrze idzie?).

– *Canis abest* (Pies zaginął).

Wypowiedzianym niemal szeptem słowom J.E.D.D. Masona nie towarzyszyły żadne emocje.

– *Abest?* (Zaginął?). *Dominicus? Cur? Quamdiu?* (Dominic? Dlaczego? Jak dawno temu?).

(W tym punkcie Mycroft zaczęło wstawiać tłumaczenia na masońską łacinę w miejsce dość dziwacznej łaciny Księcia, ja jednak postaram się oddać wam prawdziwy sens jego słów).

– *Nescio* (Nie wiem) – przyznał Syn. – *Ni ampliozem quam cimicem olfaceret non peccaret Dominicus.* (Jeśli nie zwęszyło [czegoś] większego niż pluskwa, Dominic by nie zgrzeszyło).

Cesarz zmarszczył brwi.

– *Credisne ut in prediculem sit?* (Sądzicie, że coś mu grozi?)¹.

– *Nullo cursus pacto* (Bardzo silny odpowiednik „nie”). *Non ciccus est hic nebulo vero fidus canis* (Ten łotr nie jest [błonką otaczającą ziarno granatu, tzn. czymś niezasługującym na uwagę], [ale/naprawdę] wiernym psem). *Quod superest, tibitemet non lucubrandum*'st (Poza tym wy sami [forma wyrażająca emfazę] nie powinniście zużywać oleju do lamp tak późną nocą). *Brevi procaciam convivere potes* (Na razie możecie mrugać na ten wybryk)².

MASON przyjrzał się twarzy Syna, wypatrując jakiegoś znaku świadczącego o tym, jak przyjął zniknięcie Dominica. Ojcu zawsze trudno jest uwierzyć, że jego dziecko nie przejmuje się nieobecnością stałego towarzysza. Twarz Księcia niczego nie wyrażała. Czytelniku, czy widziałeś kiedyś w muzeum terrarium z jaszczurkami albo żabkami tak nieruchomymi, że nie potrafiłeś odgadnąć, czy są żywe, czy to tylko modele, dopóki nie przytuliłeś policzka do szyby, by sprawdzić, czy ich boki poruszają się przy oddychaniu? To samo musiałbyś zrobić w przypadku tego Człowieka.

– *Non sufficit* (To nie wystarczy). – Cesarz się odwrócił. – Moglibyście stworzyć nowy system autolotów, prawda?

To było jak magia, Czytelniku, gdy usłyszałem lekkość jego wypowiedzianych po angielsku słów, podobnie jak Hektor, pogromca koni, gdy po dniach zadawania śmierci wrogom na szanćcach Troi

wrócił do domu i uniósł dziecko w ramionach. Nie, nie mówił do mnie. Ujrzyj w kącie świetliste dzieci miejsca zwanego nigdzie, Aldrin i Voltaire'a.

Para popatrzyła na siebie nawzajem.

– Nowy system, cesarze?

– Wszyscy poświęcają zbyt wiele uwagi listom Siedmiu i Dziesięciu, a za mało autolotom. Listy nie mają znaczenia, to tylko drobne zakłócenie, Autoloty to krwiobieg naszej cywilizacji. Macie własny system, własne komputery. Czy będziecie w stanie przejąć kierowanie transportem całego świata, jeśli basz Saneer-Weeksbooth upadnie?

Nadal spoglądali na siebie przez woalki. Nigdy się nie zmęczone podziwianiem stacji kosmicznej, którą płaszczyzna Aldrin robi z Aleksandrii. Nie jest nowa i zimna, jak wystrzelony przed chwilą wahadłowiec. Sklecono ją z niedopasowanych do siebie fragmentów kadłubów i ledwie zachowuje szczelność. Starożytna stacja kosmiczna. Jeśli potrafisz sobie wyobrazić taki obiekt, zużyty, poobtłukiwany i wielokrotnie przebudowywany, jak muzealne skrzydło ISS City, gdzie wycieczki się zatrzymują, by zobaczyć oryginalną stację, która rozrastała się o wciąż nowe przybudówki, aż wreszcie przerodziła się w miasto. To jest Aleksandria Aldrin. Unikam patrzenia na wersję Voltaire'a. Jest piękna, ale nie potrafię znieść widoku stolicy leżącej w gruzach.

– A co z rezerwową stacją w Salechardzie? – zapytała Aldrin. – Z pewnością poradziłaby sobie z tym zadaniem.

– Kiedy cywilizacja się chwieje, chcę mieć dwie sieci zabezpieczające. Raz jeszcze wymienili cyfrowe spojrzenia.

– To nie jest nasza konstelacja, cesarze, ale sądzę, że mając czas i dostęp do bieżących systemów, moglibyśmy stworzyć substytut.

– Ile czasu?

– Nie wiem. Zapytam. Bardzo wiele zależałoby od tego, czy uzyskalibyśmy dostęp do zamkniętej części systemu Saneer-Weeksbooth.

– Po co wam ich system?

– Musielibyśmy przejąć kontrolę nad ich autolotami. Naszych jest za mało, są zbyt wolne, a poza tym...

– Poza tym?

J.E.D.D. Mason udzielił szczerzej odpowiedzi, czego nie odważył się zrobić Voltaire.

– Świat nie byłby zadowolony z przekazania Utopii tak wielkiej władzy. Doszłoby do ostrych sprzeciwów.

MASON skrzywił się z niezadowoleniem.

W takim razie przekażcie je mnie. Niech w oczach świata moi MASONi, a nie Utopia kierują ruchem. Nie pozwolę, by krew mojego świata przestała płynąć.

– W porządku, cesarze, zrobimy, co tylko w naszej mocy.

– Dziękuję. – Zdarza się, że nawet cesarz czuje potrzebę, by komuś podziękować. – Jak idzie wasza część śledztwa? Mam nadzieję, że dobrze.

– Tak, cesarze. Artefakt Mylący włączono w baszobudynku Saneer-Weeksboothów tylko na dwie i dwie dziesiąte sekundy, ale dowiedzieliśmy się wiele o początkowych skutkach jego działania. Przygotowujemy raport, który wkrótce przedstawimy Siedmiu.

– To dobrze. Czy Mycroft było skłonne do współpracy?

Do jego głosu powrócił ton twardy jak żelazo.

– Na ile to było możliwe, biorąc pod uwagę, że właściwie nic nie wie. Nazwa „Urządzenie Cannera” jest wyjątkowo nietrafna.

Zerknął na mnie.

– A czy było skłonne dzielić się informacjami o Andō i Ganymedzie?

Woalki wymieniły zdziwione spojrzenia.

– Cesarze? Nie jesteśmy pewni, co macie na myśli.

Oczy MASONA skierowały się na mnie. Miały w sobie tyle samo groźby, ile wylot lufy broni Ockhama.

– Mycroftcie, Andō wezwało was do Tōgenkyō kilka minut po ogłoszeniu wiadomości o włamaniu. A Ganymede kazało wam przybyć do La Trimouille.

– T... ta... taa... tak, cesarze.

– Czy bali się o autoloty, czy raczej o siebie?

Coś w wyglądzie jego zaciśniętych szczęk sugerowało niesmak.

– Myślę, że o jedno i drugie, cesarze.

– Dlaczego?

To słowo sparaliżowało mnie jak igła przybijająca motyla w gablocie. Wahalem się nie tylko z uwagi na szantaż Danaë, która wiedziała, że nadal mam sposoby pozwalające mi poruszać się niepostrzeżenie. Mitsubishi nie potrzebuje szantażu, by wydawać mi rozkazy. Służę całemu światu, wszystkim Pasiekom i wszystkim ludziom. To, co zniszczyłem, było stratą dla wszystkich i wszystkim muszę spłacić

wielki dług. Mam dług wobec Andō. Tymi, których przeze mnie utracił, byli Kohaku Mardi, Jie Mardi i zapewne młody Ken, gdyby pożył wystarczająco długo, żeby wybrać Pasiekę. Ganymede'owi odebrałem Malory Mardi oraz połowę Seine, należąca raczej do Humanistów niż do jej drogiego Apolla. Mam też wielki dług wobec Utopii. Ale zgodnie z prawem moje życie należy do cezara. Jemu też jestem wiele winien, bo wśród moich ofiar byli Geneva Mardi, Aeneas, Chiasa i Jules. Ale przede wszystkim jestem mu winien, winien, winien, winien, winien za Apolla.

– Jego Miłość diuk podejrzewało Snipera – odpowiedziałem. To przynajmniej nie sprawiło mi trudności. Mogłem być dobrym świadkiem niewinności i nieświadomości Ganymede'a. – Pomogłem mu się upewnić o jego niewinności. Niepokoiło się o autoloty, o system Saneer-Weeksboothów i o p... pokój.

Unieruchomiony przez spojrzenie cezara drżałem odruchowo, czując, że złamałem zasady i zgrzeszyłem, choć powiedziałem prawdę.

– A Andō?

Zawładnęła mną panika. Cezar to widział. Dostrzegałem tę świadomość w jego twarzy. Kiedy patrzył na innych, miał minę władczą jak Zeus, ale dla mnie stawał się Hadesem.

Jeśli istnieje granica tego, jak surową i z pewnością zasłużoną karę może mi wymierzyć Cornel MASON, ta Granica stoi u jego boku.

– Mogę wam na to odpowiedzieć, *Pater*. *Chichi-ue* pytało Mycrofta o błędnie nazwane Urządzenie Cannera.

Umysł MASONA przez trzy oddechy przetwarzał te słowa.

– Dlaczego Andō dowiedziało się o tym, że użyto urządzenia, na długo przede mną?

– To interesujące pytanie, *Pater*. Być może tokijska policja zawiadomiła *chichi-ue* o włamaniu jeszcze przed połączeniem się z Romanową. A może *chichi-ue* już wcześniej wystawiło specjalną straż.

– W jakim celu?

– *Chichi-ue* zgodziło się, bym zawiadomiło cię na osobności o jego odziedziczonej winie.

– Odziedziczonej?

– *Prior aliquid publicus Mitsubishius auctor fuit* (Któryś poprzedni mitsubishiański dygnitarz zaplanował/stworzył [urządzenie]). – Ten fragment trzeba było wypowiedzieć po łacinie, by zachować tajemnicę Andō przed Utopią, ale dla reszty wystarczył angielski. – Jego korzenie

i kołyskę usunięto, a jego powstania żałują i potępiają je *chichi-ue* oraz wszyscy jego towarzysze. Straszliwe jednak będzie oburzenie, które nadejdzie, gdy połączy się Japonię z winą i z nazwiskiem Cannera. Tak straszliwe, że myśl o wykorzystaniu urządzenia przez Mitsubishi sprawia, że frakcje zwracają się przeciwko sobie, co zagraża wielu innym oprócz *chichi-ue*.

– Rozumiem. – Cezar myślał już po łacinie i z pewnością jemu łatwiej było zrozumieć pokrętną angielszczyznę Syna niż marszczącym brwi ze zdziwienia Utopianom. – W takim razie muszę po raz kolejny przypomnieć pomniejszym dyrektorom, że przyjaźń łącząca mnie z Andō niekoniecznie rozszerza się na nich, a jestem wyrozumiały tylko dla tych, którym ufam. Czy Ganymede wie o powiązaniach między Andō a Urządzeniem Cannera?

– *Non credo* (Nie sędzę).

Zbliżyłem się o krok ku schronieniu, jakie zapewniał porfirogeneta, i to dało mi odwagę, by się odezwać.

– Po... powiedziałam Aldrin i Voltaire'owi wszystko, co wiem na ten temat, cesarze, i próbuję wy... wytropić znanych mi ludzi, którzy mieli w owym czasie związki z urządzeniem. – Dla mnie liczy się tylko jeden czas, Czytelniku, i cesarz o tym wie. – Ale byłam zajęte pracą dla cenzora i...

O tej drugiej sprawie nie mogłem wspomnieć.

– *Prior sumus, Pater. Manere debes* (Jesteśmy pierwsi, ojcze. Musicie zaczekać).

Zamarłem w bezruchu, czekając na werdykt. Nikt z obecnych nie mógł postąpić inaczej. Wszystkie zebrane w masońskim sanktuarium osoby były *familiars*, nawet ci Utopianie. Matowe szare opaski na ich ramionach wyglądały jak uszkodzenia na obrazie. Te, które nosili, były jednak specjalne, z białymi brzegami (choć bez purpurowego obszycia), co oznaczało, że choć cesarz ufa im bez zastrzeżeń, Utopianie nie pozwalają, by sprawował nad ich członkami władzę życia i śmierci. Ci Utopianie nie są własnością cesarza. Tylko ich mu wypożyczono. Czuwa nad nimi strażnicza konstelacja, gotowa w każdej chwili porwać ich do nieba. Dziwisz się, Czytelniku, że nigdy nie słyszałeś o czymś takim, jak *Familiaris Candidus*, *familiaris* Białej Opaski? To nowy urząd, stworzony dla Apolla Mojave przez Cornela MASONA, gdy wstąpił na tron przed dwudziestu dziewięciu laty. Fakt, że opaska J.E.D.D. Masona również ma białą obwódkę, wielu uważa za

kolejny dowód na to, że J.E.D.D. nie odziedziczy tronu.

– *Esto, Pater* – zgodził się porfirogeneta. – *Prior fias* (Możecie być pierwsi).

MASON skinął głową, dziękując Synowi za ustępstwo.

– *Quid vis, Caesar?* (Czego pragniecie, cesarze?) – zapytałem.

Dlaczego cesarz odpowiedział mi po angielsku? Przypuszczam, że chciał zademonstrować Utopianom, że robi ze mnie dobry użytek.

– Chcę otrzymać od was to, co daliście cenzorowi. Powiecie mi, w jaki sposób te listy Siedmiu i Dziesięciu wpłyną na świat, jak wpłynęłyby na niego stare listy, gdyby pogwałcono wyłącznie listę *Czarnej Sakury*, a nie również te stworzone przez Anonima i Brillistów. Andō, Ganymede i Anonim poświęcają tej części sprawy znacznie więcej uwagi, niż wydaje się warta. Wyjaśnicie mi dlaczego. Potem możecie wrócić do innych zadań.

W głębi serca odmówiłem bezgłośnie modlitwę dziękczynną za to, że nie zapytał mnie, co robiłem w baszu Saneer-Weeksbooth. Gdy strach zelżał, poczułem wreszcie dotknięcie późnej pory.

– Uczynię to, cesarze – zapewniłem – ale nie sądzę, bym mogło dzisiejszej nocy poradzić sobie z obydwoma zadaniami bez kolejnej dawki środków przeciwsennych, a znowu przekroczyłem limit.

Na świecie jest niewielu ludzi, którzy uśmiechnęliby się litościwie nad moim zmęczeniem – Major, Bridger, być może również Ty, wspaniałomyślny Czytelniku, jako że byłeś świadkiem moich wysiłków w ciągu ostatnich dni i wiesz, jak rzadko mogłem sobie pozwolić na posiłek albo sen. W Aleksandrii nawet Utopianie, darzący dziecienną miłością wszystko, co istnieje, nie mieli dla mnie uśmiechów.

MASON spojrzał na przedstawicieli Utopii.

– Czy wasze dochodzenia ucierpią, jeśli Mycroft prześpi się trochę, by służyć wam jutro?

Wymienili cyfrowe spojrzenia.

– Nie powinny. Sami z chęcią chwilę wypoczniemy. – Zwrócili się w stronę J.E.D.D. Masona. – Możecie to zaakceptować, Mike?

Jego utopiański przydomek nie jest zdrobnieniem imienia Michael, choć aluzja do Heinleina może być celowa, lecz skrótem słowa „Mikromegas” czyli „Małyduży”. Tak nazywał się przybysz z Jowisza, nieporównanie przewyższający ludzi wzrostem i sztuką filozofii, bohater książki Patriarchy Woltera, być może najstarszej opowieści

science fiction na świecie.

Porfirogeneta uniósł wzrok, powoli i z namysłem, spoglądając na Aldrin. Włoski na karku stanęły mi dęba, gdy zobaczyłem, że naprawdę spojrział na coś, co znajdowało się w tym samym pomieszczeniu, co On.

– Ile czasu do następnego lotu na Marsa? – zapytał.

– Dwie doby i jedna godzina.

W jej oczach widniało pragnienie zapytania o przyczyny jego ciekawości, ale język wiedział lepiej.

– Czy Utopianie kiedykolwiek odrzucają prośby o przyłączenie się do ich Pasieki?

Aldrin i Voltaire wymienili nerwowe spojrzenia. Tak to przynajmniej wyglądało.

– Nigdy nie słyszałam o takim przypadku. Możemy to sprawdzić, jeśli chcecie, Mike.

– *Sic fiat. Rapide quam experiatur theoriam Martinus habet* (Niech tak się stanie. Martin ma teorię wymagającą szybkiego sprawdzenia). – Potem przetłumaczył Swe słowa na użytek Utopian. – Może być jutro.

Oboje popatrzyli na mnie ze zdziwieniem, ale również nie rozumiałem celu Jego pytania. Teraz, gdy już wiem więcej, przypuszczam, że zadał je w imieniu Martina, którego Pan pozwolił mu usłyszeć je za pośrednictwem lokalizatora. Kolejne dane przydatne do śledztwa.

– Cezarze? – odezwał się jeden z asystentów. – Komisja Nadzoru nad Rezerwatami czeka w Sali Augustiańskiej.

– Już idę. – MASON spojrział na mnie. Jego twarz wyglądała złowrogo jak u starożytnych posągów z czasów, zanim greccy rzeźbiarze nauczyli się przedstawiać uśmiechy. – Ja nie mogę czekać do jutra. Zjeść możecie teraz, Mycrofcie, ale prześpicie się dopiero wtedy, gdy z wami skończę.

Skinął głową i strażnik potoczył ku mnie po stole kanapkę w plastikowym opakowaniu. Spadła z blatu, lądując u moich stóp.

Cyfrowe oczy Voltaire'a śledziły mnie, gdy uklęknałem, by ją podnieść, choć nie mam pojęcia, jaki wyraz krył się za woalką.

– Postarajcie się go zbytnio nie zmęczyć, ceszarze. Ma dług również wobec nas.

Rozdział dwudziesty drugi

Mycroft to Mycroft

Bridger skrzyżował ramiona na piersi. Jego drobne dłonie skryły się w szerokich, zabrudzonych podczas zabawy rękawach.

– Od czytania tych wszystkich rzeczy tylko wściekacie się jeszcze bardziej.

Oczy Carlyle'a zrobiły się czerwone od gniewu wokół soczewek, na których lśniły zapisy moich czynów. Senseista leżał na trawie w kwietnym rowie.

– Czasami dobrze jest się wściec.

– Dlaczego?

Piskliwy głos dziecka harmonizował z graniem nocnych owadów.

– Dlatego że gdybym nie widziało tych obrazów na własne oczy, nie uwierzyłbym, że człowiek naprawdę może zrobić coś takiego. Sporządzić listę najokrutniejszych sposobów zabicia kogoś, a potem systematycznie przechodzić przez wszystkie pozycje...

Chłopiec pociągnął nosem.

– Wiem, że to najgorsze, co kiedykolwiek uczyniono, ale to było dawne Mycroft. Obecne Mycroft jest inne.

Carlyle pozwolił, by komputerowe światło zgasło w jego oczach.

– W przeszłości ludzie dopuszczali się znacznie gorszych czynów, ale w dzisiejszych czasach to już się nie zdarza. Ponoć zostawiliśmy takie rzeczy za sobą.

Bridger usiadł na trawie obok senseisty, wpatrując się w usiany wspaniałymi gwiazdami pas chilijskiego nieba w górze.

– Pamiętacie to wszystko?

– Wszyscy pamiętają.

Chłopiec obracał w palcach suche źdźbło.

– A co zapamiętaliście najlepiej? Zdjęcia Ibis Mardi zrobione przez Mycrofta? Nie widziałom ich, ale wiem, co na nich jest.

Carlyle zadrżał.

– Najlepiej pamiętam pierwsze zabójstwo, kiedy znaleźli senatora

Aeneasa Mardiego.

Bridger skinął głową.

– To była osoba, którą Mycroft pchnęło nożem w dzień Id Marcowych, jak Juliusza Cezara?

– I porzuciło ciało na Ołtarzu Pokoju w Romanovie. Tak to się zaczęło.

– Senseista skulił się pod szatą. Nie nazywamy ich sukniami, tych „szat”, które otulają kolana i kostki, kusząc do podglądania, co kryje się pod spodem. Jeśli jednak nie są kobiecymi strojami, dlaczego noszą je wyłącznie Kuzyni? – Byłam wtedy w Romanovie, na studiach. Codziennie przechodziłam obok Ołtarza Pokoju. Nie widziałam ciała, ale widziałam krew. Naprawdę ją widziałam, rozprysła się po całej kapliczce. Wyglądało to tak, jakby ktoś namalował czerwone jagody ostrokrzewu na girlandach wykutych w kamieniu. Miska na ołtarzu też była pełna krwi, a wszystkie medale Pokojowej Nagrody Nobla wyglądały jak naleśniki z sokiem truskawkowym. Dwieście dziewiętnaście medali. Pamiętam, że w wiadomościach podano, że zabójca celowo zmoczył wszystkie medale.

– Dwieście dziewiętnaście?

– Tyle lat minęło, odkąd przestano przyznawać Pokojową Nagrodę. Ostatnie pożary wojny Kościołów wygaszono ponad dwa stulecia temu, więc obecnie po prostu umieszcza się medale na Ołtarzu Pokoju, dla upamiętnienia kolejnego roku wolnego od konfliktów. – Carlyle ukrył twarz za włosami. – W tamtym roku właściwie nie powinni tego robić.

Boo usiadł obok obu rozmówców, oferując im ciepło i merdanie ogonem.

– Studiowaliście w Senseminarium Guraia czy w Instytucie McKay? – Uśmiechnął się z lekką drwiną, widząc zdziwienie senseisty. – Sprawdziłam wszystkie kampusy. Ja również skłaniam się ku Romanovie. Tam mają naprawdę dobre szkoły rzemiosła i wzornictwa. Mogłoby się nauczyć robić zabawki przedstawiające rzeczy, które sobie wyobrażam, a także mnóstwo rzeczy o filozofii i teologii. Potrzebuję tego.

– To prawda.

– Poza tym Mycroft cały czas pracuje w Romanovie, więc mogłoby mieć mnie na oku. Przygotowywałam się do tego, uczyłam się o normalnym życiu, a Mycroft chodzi ze mną do klubu naukowego Cato, żebym nauczyła się znajdować przyjaciół i mogło kiedyś założyć

basz.

Twarz Carlyle'a przybrała cieplejszy wyraz... ale tylko na krótką chwilę.

– Mycroft Canner chciałoby, żebyście założyli basz? Wiecie, że nie zabiło obcych, prawda? To byli członkowie jego przybranego baszu.

– Nieprawda! – sprzeciwił się Bridger. – Mycrofta adoptował basz Terrafirma, który mieszkał dwoje drzwi od baszu Mardi. Widzieliście mnóstwo medialnych relacji i obrzydliwych zdjęć, ale to nie znaczy, że wiecie o nim więcej ode mnie. Ja rozmawiałem z nim codziennie od wielu lat.

Senseista uśmiechnął się, widząc gwałtowną pasję w oczach chłopaka.

– To prawda. Ale ja wiem o nim inne rzeczy.

Bridger oplótł ręce wokół kolan.

– Być może.

– Mycroft Canner oczarowało wszystkich w baszu Mardi, spędzało w nim wiele czasu i wszyscy uważali je za nieoficjalnego członka, tak samo jak Thisbe i inni tutaj. To jest jego sposób działania. Skłania innych, by uważali je za członka rodziny.

– Teraz jest inaczej. Jest niegroźne. Nic nikomu nie robi. Zresztą policja obserwuje je przez cały czas. Czasami nie może mnie odwiedzić przez wiele dni, bo śledzą je zbyt uważnie. Widzieliście, że musiało się uwolnić od ich lokalizatora, żeby przylecieć do nas dzisiaj.

Carlyle omal się nie roześmiał. Fazę łez zostawił już za sobą.

– To tylko znaczy, że nadal potrafi oszukiwać lokalizatory. Jeśli może to zrobić, by wam pomóc, zrobi to również z innych powodów.

Boo zaskomlał. Bridger przyjrzał się uważniej senseiście.

– Drżycie.

Carlyle spojrział na swoje dłonie.

– Przepraszam. To po prostu było bardzo ważne, żeby Mycroft Canner odeszło. Było strasliwym, tragicznym incydentem, który się wydarzył, ale przeminął. Świat nie był taki.

– Myślałem, że mnóstwo ludzi lubiło Mycrofta. Są jego fani, książki ze zdjęciami, canner beat, a niedawno nakręcono kolejny film. Thisbe mówi, że jest całkiem niezły.

Carlyle'a złapały mdłości.

– Wszystko to są chorzy ludzie, Bridgerze. I jest ich coraz mniej. Wracamy do zdrowia. W roku 2441 Mycroft Canner było na liście

Siedmiu i Dziesięciu, ale to już się nie powtórzyło. Rany się goiły. Ale wszystko się zmieni, gdy się dowiemy, że potwór nadal jest z nami.

– Mycroft to nie potwór! – Bridger wstał, chowając ramiona w fałdach swej szaty. – Muszę się spakować. Możecie wejść do środka, pomóc mi posprzątać i porozmawiać albo możecie siedzieć tutaj i być w błędzie. Wybór należy do was.

Senseista nie mógłby zaakceptować wersji numer dwa.

– Jak mogę wam pomóc?

– Potraficie składać ubrania?

– Tak.

– W takim razie chodźcie.

Wybiegli truchtem z rowu. Carlyle pochylił się, unosząc plastikową płachtę. Wnętrze jaskini było zniszczone. Półki były puste, materace rozpruto, wszystkie przedmioty wały się po podłodze.

– Wybierajcie ubrania i składajcie je. Kładźcie je tutaj. – Bridger wskazał szafkę na książki przy wejściu, która stała niemal prosto. – Żołnierze wyszli na patrol, więc nie musicie się bać, że nadepniecie na któreś z nich.

– Och. Macie rację.

Carlyle nie ośmielił się przyznać, że o tym zapomniał.

– Nie powinniście się gniewać na Mycrofta, nie wy. Jesteście Kuzynem, a Kuzyni podobno wybaczą wszystkim.

– To tylko stereotyp – sprzeciwił się senseista słabym, roztargnionym głosem.

– Mycroft opowiadało, że podczas procesu Bryar Kosala ciągle powtarzało, że to wina społeczeństwa, bo nie pomogło dziecku, które wycierpiało tak wiele. – Bridger przerwał, sapiąc głośno, gdy ciągnął za koc uwięziony między fragmentami biurka. – Tak właśnie powinni myśleć Kuzyni.

Kuzyn: Wszyscy czujemy się lepiej, mówiąc sobie, że Mycroft Canner było tylko ofiarą traumy, że potwór tego rodzaju może się narodzić jedynie w skrajnie nieprawdopodobnej sytuacji, gdy cały baszobudynek zostanie zniszczony przez wybuch i wszyscy zginą, poza tylko ośmioletnim dzieckiem, które potem musi samo wracać do zdrowia po bardzo poważnych obrażeniach. Nic dziwnego, że Mycroft Canner postradało zmysły. Jeśli od tej pory będziemy się lepiej opiekowali sierotami, które przeżyły traumę, nic takiego już więcej się nie wydarzy. – Carlyle znowu zalał się łzami, co utrudniało mu

podnoszenie przewróconej szafki. – Ale to wszystko było zaplanowane. Nigdy nie było zbrodni popełnionej z większą premedytacją. Mycroft Canner poświęciło lata na naukę języków, by łatwiej oszukać ofiary. To nie był przypadkowy atak szafki...

– Mycroft już nie jest w stanie.

– Nie jest w stanie robić czego?

– Zabijać. Utraciło tę zdolność. Tak mówi Major. – Chłopiec uniósł w ramionach fragment domku dla lalek. – Major wie takie rzeczy. Mówi, że sceptyk nie może być zabójcą. Poza tym zrobili Mycrofta usługowcem i wszyscy przywódcy Pasiek o tym wiedzą. Uważacie, że oni również się mylą?

Głębokie zaczerpnięcie tchu.

– Mycroft Canner świetnie potrafi oszukiwać innych.

– Major również zabijało ludzi. W wojnach. Bardzo wielu ludzi. Czy powiecie, że ono też jest złe?

– To co innego.

– Nieprawda! – Gniew Bridgera sprawił, że niebieska sierść Boo zjeżyła się nagle. – Żołnierzyki to też ludzie. Są zabawkami, ale to jeszcze nie znaczy, że zabijanie ich się nie liczy.

– Nie to chciałem powiedzieć. Są ludźmi, szanuję to. Ale wojna to co innego. Wojny toczy się o coś, a przynajmniej ludzie tak sądzą. Dla Mycrofta pozbawianie życia było... dziełem sztuki, rozrywką. Zabijanie dla zabijania, zło dla samego zła. – Znowu targnęło nim łkanie. – Pamiętam, że gdy znikali kolejni członkowie baszu, ludzie zakładali się, co Mycroft zrobi tym razem. Wiwisekcja czy spalenie żywcem. Dobrze się bawili, próbując myśleć jak... Celem Mycrofta było uczynienie świata gorszym. To zło.

– Tak.

Ta odpowiedź zaskoczyła Carlyle'a.

– Słucham?

– Tak, to zło. Ale mówiliście, że świat staje się lepszy i ludzie coraz rzadziej myślą w ten sposób. Z Mycroftem było tak samo. Złapali je, zmieniło się i teraz jest lepsze.

Kuzyn prychnął pogardliwie.

– Jednego dnia radośnie kroilo żywcem Mercer Mardi, a drugiego – bum! – jest uleczone? To niemożliwe.

Chłopiec spojrział na niego nad ruinami domku dla lalek.

– Cuda są niemożliwe.

– To co innego.

– Dlaczego?

– To... – Muszę przyznać, że utajniony genotyp starał się odnaleźć prawdziwą odpowiedź. – Wy tworzycie nowe rzeczy, Bridgerze. Nie czynicie ludzi innymi.

– Powinniście porozmawiać z Mycroftem. Przekonacie się, jak bardzo się zmieniło.

Drżenie.

– Nie chcę przebywać w tym samym pomieszczeniu z Mycroftem Cannerem.

– Połączcie się z nim przez lokalizator, do licha! – Bridger był za młody, by jego czoło mogło naprawdę zmarszczyć się w gniewie, ale starał się, jak mógł. – Lepiej starać się poznać prawdę niż siedzieć beczynnym i być w błędzie. Ktoś powinien zaprowadzić was do celu z latarką w ręce.

– Słucham?

– Kiedy byłem małe, bałem się hałasów dobiegających z kopalni śmieci. Wreszcie opowiedziałam o tym Majorowi. Żołnierzyki wzięły latarkę i kazały mi się przyjrzeć. Nie chciałam, ale zaprowadziły mnie na miejsce i okazało się, że to tylko roboty, a nie potwór. Od tego czasu już się nie bałam. Ktoś powinien wziąć latarkę, zaprowadzić was do Mycrofta Cannera i kazać mu się przyjrzeć.

– Puk, puk! – zawołała Thisbe zza plastikowej płachty. – Grzecznie się bawicie, dzieci?

Bridger przywitał ją uśmiechem.

– Pozbyliście się Ockhama?

– Tak. Zajęło się papierkową robotą. A wy musicie przeczytać mnóstwo dokumentów.

– Dlaczego mi nie powiedzieliście, że to Mycroft Canner? – zapytał senseista pozbawionym wyrazu głosem.

Thisbe przywołała swój najlepszy fałszywy uśmiech.

– Bridger, kochanie, jest już dla was stanowczo za późno. Idźcie spać. Mama Lalka przygotowała dla was wygodne łóżko w mojej szafce, bardzo miłe i z mnóstwem poduszek. Tam będziecie bezpieczniejsi.

– Chcę poczekać na Mycrofta.

– Nie ma mowy. Jest już dla was stanowczo za późno.

– Ale...

– Mama Lalka mówi, że macie iść spać. Nie chcecie, żeby się smuciła,

prawda?

Temu argumentowi nie sposób było się oprzeć.

– W porządku. Ale musicie wyprowadzić Carlyle’a z błędu.

Thisbe roześmiała się cicho.

– Spróbuję. Daję słowo.

– Świetnie!

Mój dzielny obrońca obrzucił na pożegnanie senseistę złowrogim spojrzeniem, a potem ruszył, tratując kwiaty, do fortu z poduszek, którego bardzo już potrzebował.

Thisbe popatrzyła na senseistę.

– Chodźcie na zewnątrz. Natychmiast.

Kuzyn złożył z przesadną starannością ostatni T-shirt, chcąc przedłużyć chwilę oczekiwania.

– Dlaczego mi nie powiedzieliście, że to Mycroft Canner?

– Dlatego że wiedziałam, jak zareagujecie. Chodźcie na zewnątrz.

Podążył za nią urywanym krokiem jak pies, który nie chce przerywać zabawy i wracać do domu.

– Spowodowaliście, że wasz basz adoptował Mycrofta Cannera. Wiecie, co się stało z poprzednim baszem, który to zrobił.

Głos cieszącej się nocnym powietrzem czarownicy – wybacz, Panie, kobiety – nabrał dźwięczniejszych tonów.

– Mycroft to amator. Ockham i Sniper to wyszkoleni specjaliści. W przeciwnym razie nie powierzono by im systemu. Mycroft Canner nie jest dla nas żadnym zagrożeniem.

Carlyle skrzywił się, jakby nagle rozboleł go żołądek.

– Jesteście cannerystą?

Roześmiała się cicho.

– Nie. Canneryzm to dziecinada. Filozofia stworzona przez siedemnastolatka.

– Canneryzm jest chory – niemalże warknął Kuzyn. – Szkolenie senseistów próbuje go przedstawić jako autentyczny system przekonań, ale miałem paru parafian cannerystów. To nie była filozofia. Po prostu chorzy ludzie recytujący szczegóły z życia Mycrofta Cannera, jakby było jakimś mrocznym mesjaszem. Dlaczego chcecie mieć kogoś takiego blisko siebie?

Thisbe wlepiła w niego pobłażliwe spojrzenie. Przez długą chwilę trwała cisza.

– Chodźcie ze mną na most.

Pogrążony w myślach Carlyle ruszył w górę po schodach, zanim przyszło mu do głowy, żeby zapytać:

– A po co?

Thisbe pięła się pod górę tak szybko, że aż się zdyszała.

– Przybył... ktoś... z... Romanovy.

– Słucham?

– Eureka... zawiadomiło mnie... przed chwilą... Autolot właśnie wylądował.

– O północy?

To jest Chile, Czytelniku. Na wybrzeżu Pacyfiku noc jest jeszcze młoda.

– Mówiłam wam, że są... protokoły... na wypadek gdyby ktoś rozpoznał...

– Mycrofta Cannera – rozległ się nowy głos dobiegający z góry, kobiecy, ale zbyt niski, by mógł należeć do kobiety. – Wiek trzydzieści jeden lat, urodzone drugiego sierpnia roku 2423, włosy brązowoczarne, wiele charakterystycznych blizn, w tym brak okrągłego fragmentu prawego ucha o średnicy około dwóch centymetrów.

Thisbe przyśpieszyła.

– Nie znam tej osoby...

Nieznajoma wychyliła się przez balustradę mostu, by jej słowa łatwiej docierały do dwojga ludzi, którzy przeszli w bieg.

– Zatrzymane dwudziestego szóstego marca roku 2440, skazane na dożywotnie usługi dwudziestego ósmego marca roku 2440. Zarejestrowane przedmioty osobistego użytku, pięć: jeden niemundurowy kapelusz, jedna para nieregulaminowych butów, jeden tablet do pisania i rachunków, jedno zdjęcie członka rodzonego baszu i jeden dwujęzyczny egzemplarz *Iliady* Homera z zakładką zrobioną z włosów Seine Mardi oraz adnotacją Apolla Mojave.

Thisbe pierwsza dotarła do mostka.

– Kim jesteście?

– Julia Doria-Pamphili. – Nieznajoma wyszła w blask ulicznych latarni. Miała na sobie elegancki europejski kostium z dwurzędowym żakietem ozdobionym sznurem koloru szampana, podkreślającym czarnogranatową barwę jedwabiu. Jej włosy były ciemne i gęste, związane w kok, spiralny jak muszla łodzika, a poważny wyraz twarzy łagodziły zmarszczki wokół ust pozostałe po nieustannym uśmiechu. –

Jestem senseistą Mycrofta Cannera.

Rozdział dwudziesty trzeci

Pontifex maxima

– Julia! – wydyszał Carlyle. – Co tu robicie?

Julia Doria-Pamphili podeszła bliżej do młodszego senseisty i do Thisbe. Jej staromodne buty za kostkę stukały o chodnik.

– Jest piąta rano według waszego harmonogramu snu, a lokalizator zarejestrował, że serce tłucze wam tak szybko, jakby ścigało was stado rozwścieczonych gnu. A potem otrzymałam sygnał o Mycrofcie Cannerze. Sądziście, że nie sprawdzę, czy wszystko z wami w porządku?

Thisbe gapiła się na tę Europejkę z jej szpilką Konklawe na piersi i złotą opaską.

– Głowa Konklawe?

Julia omiotła drugą kobietę spojrzeniem, od głowy aż po labiryntowe pejzaże na jej butach.

– Z pewnością jesteście człowiek Thisbe Saneer.

Wszystkie słowa, zwłaszcza tytuł używany przez członków Pasieki Humanistów, wymawiała powoli, napawając się ich brzmieniem, jakby lubiła wszystko, co odróżnia ludzi od siebie.

– Czy to wam muszę podziękować za wezwanie w odpowiednią porę?

Julia wyciągnęła wysmarowaną balsamem rękę.

Thisbe ją uścisnęła.

– Miło mi was poznać, Jul... Czy to jest July czy Julia?

– Julia.

To było uzasadnione pytanie. Nawet prasa czasami używa społecznie akceptowanych, nienacechowanych płciowo form „Jules” albo „July”. Jednakże rzymska szlachta tak starożytna jak ród Doria-Pamphili, mogąca się pochwalić książętami i papieżami, a także (dzięki sfalszowanym średniowiecznym genealogiom) konsulami i senatorami, gardzi nowoczesną modą, pragnącą pozbawić płci imię „Julia”. Cała jej osoba aż promieniuje antycznością – pięknie skrojony kostium, ciemne jak gorzka czekolada włosy, kręcone w perfekcyjny

sposób, jaki widuje się u starożytnych popiersi albo kariatyd. Zawsze nosi je związane w kok i trudno się zorientować, jak dużo ich jest. Jako wiecznie zajęta wokatorka nie ma czasu na grupy i ich insygnia. Nosi tylko wąskie bransoletki grupy włoskiej i rzymskiej. Długa chusta senseisty z jedwabiu o intensywnie fioletowej barwie, obszyta równie fioletowym aksamitem, owija się trzy razy wokół jej ramion. Julia nosi wyłącznie doskonale skrojone europejskie kostiumy, podkreślające wszystkie krągłości jej sylwetki. Pałac rodu Doria-Pamphili, z jego wspaniałymi galeriami sztuki, całkowicie odbudowany po wojnie Kościołów, nadal pozostaje ich własnością, ale Julia zamieniła Rzym na Romanowę, gdy została głową Konklawe i zamieszkała w *Regia Pontificis*, w samym sercu nowego Forum. Jej rodzina uznała to za głupie.

– Jesteście senseistą Mycrofta? – zapytała Thisbe. – Osobiście? Czy to nie nazbyt okrutne?

Europejka się roześmiała.

– Czy otacza mnie aż tak zła sława?

– Niezupełnie zła – uściśliła Thisbe. Ale sądząc z tego, co słyszałam, waszą specjalnością są jednorazowe wizyty, podczas których, hmm...

– Rozdzieram parafian na strzępy? – W oczach Julii pojawiły się błyski wesołości. – Jak to ujęliście w swoim artykule, Carlyle? Wbijam klientom nóż w serce i odsłaniam ich skrywaną hipokryzję, zmieniając ich w... Jak to ujęliście? Zdruzgotane wraki?

Carlyle uparcie łypał na nią spode łba, ale te słowa przynajmniej zgadzały się z jego nastrojem.

– Rozdygotane wraki.

– Rozdygotane, tak jest. To było niezłe. A potem wracają do swego regularnego senseisty, który przywraca im zdrowe zmysły w ciągu miesięcy pełnych wspaniałych epifanii. – Julia rozciągnęła mięśnie szyi i rozprostowała ramiona. – Wiem, że to brzmi dramatycznie, ale choć moją specjalnością są głęboko raniące sesje, radzę sobie również z normalnymi. Zgodziłam się zająć Mycroftem Cannerem, bo nie chciałam zostawić najtrudniejszego przypadku, który w życiu widziałam, komuś... zbyt wrażliwemu. – Westchnęła cicho. – Nie obawiajcie się, nie robię podchodów pod Cato Weeksbootha.

Thisbe prychnęła lekceważąco.

– To dobrze.

– Podchodów pod Cato Weeksbootha? – zdziwił się Carlyle.

Julia rozciągnęła usta w bolesnym, przeprasającym uśmiechu.

– Mmm. Wiecie, że Cato ma fobię na punkcie senseistów. Raz natknęliśmy się na siebie przypadkowo i biedaczysko spadło ze schodów, próbując przede mną uciec. Złamało sobie rękę i nogę.

– Tego nie było w dokumentacji. – Carlyle zmarszczył czoło. – Podobnie jak informacji o tym, że Mycroft Canner jest częstym gościem w tym baszu. Wiedzieliście o tym, kiedy wysłaliście mnie tutaj?

Julia podeszła bliżej, by zdjąć ziarenko trawy z wystrzępionej chusty młodego senseisty.

– Wiedziałam. Przepraszam. Wypełniłam wniosek o pozwolenia powiedzenia wam o tym, ale odpowiedź jeszcze nie nadeszła. W tej sprawie formalności jest bardzo wiele. Mycroft Canner przypomina prezent urodzinowy owinięty w biurokratyczne papiery. Czy to dlatego przed godziną wpadliście w taką panikę? To miało coś wspólnego z Mycroftem?

– Spotkali się – odpowiedziała krótko Thisbe.

– Nie! – Głos Carlyle’a jest zbyt cichy, by senseista mógł zagrznieć, ale w tej chwili z pewnością spróbował. – Nie tylko się spotkaliśmy, ale okazało się, że poznałam Mycrofta Cannera już parę dni temu i nikt nie uznał za stosowne, by mnie o tym poinformować. Wiedzieliście, że ono często odwiedza ten basz. Jak mogliście mnie nie zawiadomić?

Julia uniosła rękę, by poprawić kosmyk blond włosów przyklejony przez pot do czoła Carlyle’a.

– Nie mogłam zostawić tego baszu bez senseisty przez cały miesiąc po śmierci poprzedniego. Musiałam im kogoś przydzielić, a to jest dokładnie wasza specjalność, wiedziałam więc, że jeśli ktokolwiek poradzi sobie z tym zadaniem, to z pewnością wy.

Thisbe skrzyżowała ramiona na piersiach, przyglądając się dwójce rozmówców.

– A więc to wy je nam przydzieliliście? Wiedzieliście, że prosiliśmy o Humanistę.

Carlyle skrzywił się, jakby te słowa były fizycznymi ciosami.

– Jeśli uważacie, że sobie nie radzę...

– Radzicie sobie świetnie. Po prostu uważam, że prośby powinno się uwzględniać, zwłaszcza w sprawach o znaczeniu politycznym.

Julia posłała Thisbe swój głęboki, pełen samozadowolenia uśmiech. Wygląda to tak, jakby każda nowo poznana osoba była dla niej

kolejnym daniem na bankiecie.

– Prosiłicie również o kogoś mającego poświadczenie bezpieczeństwa oraz mogącego sobie poradzić z Cato Weeksboothem oraz z innymi... osobliwościami waszego baszu. Nie miałam Humanisty spełniającego te wszystkie warunki. Carlyle zalicza się do moich najlepszych studentów. Jest także jednym z najbieglejszych specjalistów.

Młody senseista uśmiechnął się z zażenowaniem.

Thisbe nie zamierzała jednak dać za wygraną.

– Specjalistów od czego? Czy miało nam pomóc pogodzić się ze stratą poprzedniego senseisty? To problem na krótką metę. Nie powinien przeważać nad naszą prośbą.

Carlyle przygryzł uprzejmie wargę.

Ale Julia nie jest tak wyrozumiała.

– Od żałoby po baszu. Wszyscy powinniście dostać takiego specjalistę już pięć lat temu. Rozumiem, dlaczego tak bardzo zależało wam na ukryciu wypadku przed opinią publiczną. „Światowy System Transportowy w rękach straumatyzowanych dwudziestoparolatków”. Taki nagłówek mógłby spowodować powszechną panikę. Sprawdziłam waszą dokumentację. Już samo Cato Weeksbooth jest wystarczającym dowodem na to, że powinniście byli zwrócić się do specjalisty.

Czytelniku, ujrzyj drżenie szyi i warg Thisbe oglądającej się na oszklony baszobudynek, w którym rodzina od pokoleń wykonywała swoje obowiązki, kochający badziadkowie u boku młodego, dziarskiego pokolenia. Teraz panem domu jest Ockham, który nie ma jeszcze trzydziestu jeden lat. Na piętrze jest mnóstwo wolnych pokojów. Starsze pokolenie Saneer-Weeksboothów zginęło w wypadku tratwy. Humaniści i ich umiłowanie heroicznego ryzyka. Ganymede o tym wiedział. Romanova wiedziała. Wszystkie władze poinformowano, ale nie było nekrologu, nie było zaszczytów dla tych odważnych sług całego świata, nie w czasie, gdy wszystkie Pasieki prężą się do skoku, pragnąc zagarnąć dla siebie ten wszechpotężny rodzinny interes. Myślę, że żałoba jest znacznie trudniejsza, gdy musi się kłamać.

Thisbe zamaskowała swe uczucia śmiechem.

– To ma sens. Cato faktycznie tego potrzebuje. – Znowu zachichotała niepewnie. – Bez obrazy, ale mali, sympatyczni Kuzyni raczej nie

kojarzą się ze specjalistami od tak ponurych spraw.

– To przez Mycrofta Cannera.

Carlyle również potrafi nadać swemu głosowi złowrogie brzmienie, spokojne i zimne jak lód.

Thisbe otworzyła szeroko oczy. A potem westchnęła.

– Chcieliście zapewnić, że to już nigdy się nie powtórzy? – Zaczerpnęła głęboko tchu. – O kurczę. Sprawy... nie ułożyły się dla was najlepiej. Przepraszam. Nie wiedziałam, że zabójstwa Cannera są dla was aż takie ważne. Ważniejsze niż dla większości ludzi. – Ponownie odetchnęła głęboko. – Przepraszam.

Carlyle skinął głową. Jego twarz przybrała wyraz pośredni między bolesnym grymasem a bladym uśmieszkiem.

– Nie ma za co. Nie wspomniałam wam, jaka jest moja specjalność. Nie mogliście o tym wiedzieć.

Julia wyciągnęła szyję, by Carlyle mógł napotkać jej spojrzenie – ciepłe, poważne i protekcyjne.

– Przykro mi, że tak ułożyły się sprawy. Hmm? – Wyduła lekko usta w słodkim geście, zmuszając Carlyle'a do uśmiechu. – Szczerze mówiąc, nie spodziewałam się, że natkniecie się na Mycrofta tak szybko. Ono nie zjawia się tu aż tak często. Może i byliście najbardziej entuzjastycznym z moich studentów, ale nie oczekiwałam, że będziecie codziennie odwiedzali to miejsce. Mieliście w tym tygodniu tylko dwie wyznaczone sesje. Dostałam wiadomość z waszego baszu. Skarżą się, że od trzech dni prawie w ogóle was nie widują. Zastanawiali się, gdzie możecie się podziewać. Słyszałam też, że nie zjawiliście się na spotkaniu z Janussą. – Pogroziła mu palcem. – To niedobrze, że pamiętam o waszych randkach lepiej od was.

W lepszym świetle można by było zauważyć rumieniec na twarzy jasnoskórego Kuzyna.

– Znakomicie – ciągnęła Julia. – A teraz, mimo że to spotkanie w świetle księżycy jest bardzo poetyczne, jestem pewna, że biedna Thisbe... czy mogę was nazywać Thisbe?

– Jak sobie życzyście.

– W takim razie wy musicie mówić na mnie Julia. Jestem pewna, że biedna Thisbe chciałaby już położyć się spać. Odwiozę Carlyle'a do domu, porozmawiamy po drodze, a potem Carlyle wyśpi się porządnie, jutro zaś spędzi trochę czasu ze swoim baszem i nie będzie wam zawracało głowy – zakończyła z uśmiechem.

Na twarzy Thisbe również pojawił się pełen ulgi uśmiech, który jednak zaraz zniknął.

– Nie mogę was tak puścić. Carlyle nadal uważa, że Mycroft jest niebezpieczne. Jasno oznajmiło, że zamierza ostrzec innych przed groźbą dla mojego baszu i dla systemu. To ja odpowiadam za bezpieczeństwo i w związku z tym nie mogę pozwolić wam się oddalić, dopóki się nie upewnię, że Carlyle nie zrobi czegoś destrukcyjnego.

– Tak? – zaświergotała Julia i ponownie uniosła wzrok. Jej ciemne oczy spojrzały prosto w niebieskie oczy młodego senseisty. – Nie zwróciliście uwagi na na niemundurowe buty Mycrofta?

Carlyle przygryzł w zamyśleniu wargę.

– Nie...?

– To buty ahimsa.

Twarz młodego senseisty rozpromieniła się nagle, jak wtedy, gdy żaluzje się rozsuwają, wpuszczając do pokoju jasny blask słońca w południe.

– Naprawdę?

– Aha.

– Ach, te dziwaczne buty ze szczotkowatymi podeszwami? – zapytała Thisbe. – Myślałam, że usługowcy takie noszą, żeby, chodząc, czyścić podłogę.

Julia zachichotała.

– Bardzo zabawne przypuszczenie. Nie, to kwestia światopoglądu. Takie buty noszą skrajni pacyfiści. Nazwa pochodzi od starożytnej buddyjskiej zasady. Buty mają pod spodem miękkie włosie przypominające szczoteczki do zębów, żeby nie zabijały nadepniętych owadów. Wszelkie życie powinno się chronić.

– To jest... – Z twarzy Carlyle'a zniknęły ostatnie ślady cienia. – Mycroft powiedziało, że śmierć byłaby dla niego za dobra. Że musi zapłacić wyższą cenę.

– W rzeczy samej. – Julia odgarnęła niesforny czekoladowy kosmyk. – Mycroft Canner jest głęboko zdeterminowane odpokutować swe winy wobec społeczeństwa. Jeśli jego kuratorzy i ja nadal obserwujemy je z wielką uwagą, to głównie dlatego, że ma paskudny zwyczaj opuszczania posiłków, nadużywania środków przeciwsennych i zapracowywania się do całkowitego wyczerpania.

– Buty ahimsa...

Carlyle przeczesał włosy palcami. Jego głos nabrał tonu nerwowej czułości graniczącej z bojaźnią. Poprzednie argumenty do niego nie przemawiały – lojalność Bridgera, obowiązkowość Ockhama ani zdrowy rozsądek Thisbe. Potrzebował senseisty.

– Mycroft Canner ma przed sobą bardzo wymagającą ścieżkę – ciągnęła Julia. – I musi żyć z wyjątkowo trudnymi wspomnieniami. Trudniejszymi niż ktokolwiek na świecie. Pracuję z nim już od dawna. Bardzo chętnie przyjrzałabym się jego sprawie na spółkę ze specjalistą od żałoby po baszu.

Młody senseista zaczerpnął głęboko tchu. Wreszcie się uśmiechnął.

– Jestem wam winne przeprosiny, Thisbe. Zareagowałam... skrajnie. To było niesprawiedliwe wobec was.

Kobieta wydeła usta.

– Dziękuję.

– Nie musicie się bać, że ogłoszę to publicznie.

Wydeła usta po raz drugi.

– Wierzę wam. Dziękuję.

Julia zacisnęła drobne pięści i wykonała gest triumfu, jak ktoś, kto skutecznie zeswatał znajomych albo strzelił gola.

– Skoro czujecie się usatysfakcjonowani, Thisbe, radzę, w imię zdrowego rozsądku, łóżko.

Popatrzyły sobie w oczy. Thisbe i Julia, Humanistka i Europejka, wymieniły kontemplacyjne spojrzenia. Każda z nich była do tej pory przekonana, że jest najważniejszą (żyjącą) kobietą w życiu Mycrofta Cannera. Obie w abstrakcyjnym sensie zdawały sobie sprawę z istnienia tej drugiej, ale myślę, że nie spodziewały się, że ich spotkanie będzie miało tak symetryczny charakter.

– Zgadzam się – skonkludowała Thisbe. – Bardzo mi pomogliście. Cieszę się, że Mycroft i Carlyle są w dobrych rękach. – Uśmiechnęła się. – Europejczycy naprawdę są bardzo rozsądni.

Zakończenie „w przeciwieństwie do Kuzynów” pozostało niewypowiedziane.

Julia skinęła z zadowoleniem głową.

– Jeśli chcecie, mogę was wpisać na listę oczekujących na odpowiedniego humanistycznego senseistę.

– Dziękuję, ale Carlyle świetnie się sprawdza. To był bardzo dobry wybór.

Dwoje senseistów uśmiechnęło się z zadowoleniem.

Thisbe skinęła głową.

– Dobranoc, Carlyle. Mam nadzieję, że dobrze wypoczniecie.

– Dziękuję, Thisbe. Dobranoc. Mam nadzieję, że nie macie jutro dyżuru zbyt wcześnie.

Przygnębiony jęk potwierdził, że ma.

Autolot był gotowy. Julia miała termos z uspokajającą ziołową herbatką. A teraz, Czytelniku, czeka Cię rozmowa innego rodzaju, przedstawiająca aspekt wydarzeń, o którym dowiedziałem się dopiero później.

Julia: Jak posuwa się sprawa?

Carlyle: Powoli. Na głowę spadło nam śledztwo. To bardzo utrudnia mi zadanie.

Julia: Zaakceptowali was?

Carlyle: Tak, chociaż trochę się przestraszyłam, kiedy Thisbe zaczęła wypytywać o humanistycznego senseistę. Ale najwyraźniej jest ze mnie zadowolona.

Julia: Zdobyliście już dostęp do Snipera?

Carlyle: Nie, ani do Ockhama. Za to udało mi się z Lesley Saneer. To był dobry start. Odbylom też twardą, ale pożyteczną rozmowę z jednym ze skonfigurowanych.

Julia: Widzieliście już bliźniaki?

Carlyle: Ani widu, ani słyhu. Mam wrażenie, że są jeszcze bardziej niestabilne niż Cato Weeksbooth, ale nikt nie chce o tym rozmawiać.

Julia: Znajdą się w dobrych rękach.

Carlyle: Mam taką nadzieję.

Julia: Obawiam się, że mam złe wieści.

Carlyle: Słucham?

Julia: KBIZ.

Carlyle: Co się z nim stało?

Julia: Co się stało z KBIZ? – Popukała się w czoło. – Ziemia do Carlyle’a Fostera. Podanie Hiroaki Mitsubishi?

Carlyle: To było dzisiaj?

Julia: Carlyle, przez całe tygodnie nie interesowało was nic innego.

Carlyle: Przepraszam. Miałom na głowie parę problemów.

Julia: Problemów? Nigdy się tak nie tłumaczyliście.

Carlyle: To nieważne. Nie macie powodu do obaw. I na czym w końcu stanęło?

Julia: Punkt dla przeciwnika. Hiroaki Mitsubishi pobiera obecnie

nauki u zastępcy szefa sektora KBIZ.

Carlyle: Którego sektora?

Julia: Edukacji.

Nic nie mogłoby głębiej zranić Kuzynów. Kuzynowskie Biuro Informacji Zwrotnej. Każda Pasieka jest dumna ze swego niepowtarzalnego systemu rządów. Europejski parlament grup narodowych. Masońska niedziedziczna monarchia absolutna. Mitsubishińska demokracja udziałowców. Humanistyczna demokratyczna aretokracja oparta na elastycznej konstytucji. Gordiański Basz Mózgowców i korporacyjna rada nadzorcza mianowana przez Instytut Brilla. Jeśli cokolwiek irytuje wszystkie te Pasieki w równym stopniu, to fakt, że Kuzyni ciągle zajmują drugie miejsce pod względem liczebności i siły, dzięki rozwiązaniu, które reszta Pasiek chętnie by wyśmiała, gdyby tylko mogła: skrzynce pomysłów. Otwarcie dla wszystkich Kuzyni nigdy nie udoskonali swej struktury, już od najwcześniejszych dni dzieci *Mukty*, gdy byli tylko ochotniczą grupą dla kobiet pomagających sobie nawzajem podczas zagranicznych podróży. Mieli ochotniczy komitet i przewodniczącego, trochę zasad postępowania, rodzinną atmosferę i skrzynkę pomysłów. Nic więcej. Nikt nie wierzył, że zdołają utrzymać to rozwiązanie, zwłaszcza odkąd lista ich członków zaczęła obejmować kolejne grupy: kobiety, niesamodzielnicy, mniejszości seksualne, a potem dzieci członków, przyjaciele członków, przyjaciele przyjaciół przyjaciół, a wreszcie każdy, kto zgadzał się zachowywać jak odległy „kuzyn”, gotowy zaczekać z uśmiechem na lotnisku na nieznaną osobę i zaoferować jej nocleg, wiedząc, że ta osoba się zrewanżuje. Współczesna Pasieka, licząca sobie blisko dwa miliardy członków, dodała do skrzynki pomysłów biuro analityczne zdolne przyjąć sto milionów przyjaznych listów tygodniowo, wykryć elementy wspólne i przesłać każdy z nich do odpowiedniego wolontariusza, który rozważy sugestię: „To miasteczko potrzebuje nowej szkoły”. „Badania nad tym lekiem potrzebują grantu w wysokości sześćdziesięciu milionów dolarów”. „To skrzyżowanie byłoby świetnym miejscem na mural”. A potem ta wielka, spółdzielcza „rodzina” wprowadza te pomysły w życie. I to działa. Pod warunkiem, że obcy nie zinfiltrowują Pasieki i nie wbiją zębów w jej bijące serce.

Carlyle: Jeśli Hiroaki Mitsubishi zdobędzie dostęp do przetwarzania propozycji dotyczących szkolnictwa...

Julia: A na tym jeszcze nie koniec. Opublikowano już listy Siedmiu i Dziesięciu. Szef KBIZ, Darcy Sok, znalazło się na ósmym miejscu na liście Masami Mitsubishi. Każdy reporter na świecie chce jak najszybciej napisać artykuł o KBIZ, a zgadnijcie kto jest w nim najwyżej postawioną osobą, która sypia w czasie tokijskim i już przyjmuje propozycje wywiadów?

Carlyle: Hiroaki Mitsubishi?

Julia wysłała do soczewek młodszego senseisty obraz przedstawiający sympatyczny różowy budynek biura, starający się ukryć wśród sąsiadów na jednym z szerokich bulwarów we francuskim stylu, typowych dla Casablanki. Mimo że był środek nocy, jego lokalizację zdradzali jednak reporterzy oraz kameroboty unoszące się w powietrzu niczym rój komarów. Jeśli coś dzieje się w Casablance, zawsze przyciąga to większą uwagę prasy niż skandale w Tōgenkyō albo w Aleksandrii, być może dlatego, że zawsze bardziej się boimy, gdy coś zagraża mamie niż ojcu albo wujkowi. A może dlatego, że ascetyczne prawo Kuzynów, niepozwalające nawet na dzielnicę czerwonych latarni, sprawiło, że w ich stolicy trudno o ekscytujące wieści. Dziennikarze otoczyli Hiroaki Mitsubishi obok wyjścia. Najwyraźniej poszła po kawę i wracała z tacą pełną kubków. Hiroaki to jedyne z przybranych badziewi Andō cechujące się japońskim wyglądem. Miała dzisiaj na sobie bezrękawnik zrobiony na drutach przez Danaë oraz parę obszernych jedwabnych spodni, które przypominały szatę Kuzynów, mimo że biodra Hiroaki otaczała szarfa niesamodzielnych.

Jestem pewien, że Carlyle'owi zrobiło się niedobrze.

– Masami i Hiroaki Mitsubishi, głos i twarz KBIZ. Nie czytałem artykułu Masami. Co w nim napisano?

Julia westchnęła nad kubkiem herbaty.

– Krótko mówiąc, prawdziwą władzę w KBIZ ma oprogramowanie przetwarzające sugestie, a cała reszta, razem z radą nadzorczą i Kosalą, tylko wykonuje rozkazy robota. Kuzynów nazywają Pasieką o największym sercu, ale w rzeczywistości w ogóle nie mają serca.

Carlyle wsparł głowę o boczną ścianę wehikułu.

– Nie wiem, jak mamy to powstrzymać, Julio. Pomiot Mitsubishi przeniknął do urzędu cenzora, Parlamentu Europejskiego i urzędu humanistycznego pretora, a teraz również do KBIZ, a *Czarna Sakura* może nie być *Romanovem*, ale i tak jest jedną z najbardziej

wpływowym gazet na świecie. Czy jesteście pewni, że powinnam się skupiać na Saneer-Weeksboothach? Chciałabym wam pomóc w bardziej bezpośredni sposób. Przydzielcie mi kogoś w KBIZ.

Julia: Nie. Jesteście najodpowiedniejszym specjalistą dla Saneer-Weeksboothów. Poradzicie sobie z nimi lepiej niż ktokolwiek na świecie. Jesteście mi teraz potrzebni właśnie tam. Poza tym zawsze lepiej się zabezpieczyć. Gdyby zinfiltrowano KBIZ, byłoby to ciosem dla Kuzynów, ale infiltracja tego baszu zaszkodziłaby całemu światu. Saneer-Weeksboothowie nie stali się jeszcze celem Mitsubishi, ale nie mamy pewności, czy to się nie zmieni. Chcę, żebyście byli na miejscu, by ich bronić.

Carlyle: To ważna sprawa, tak jest, i interesująca. Z pewnością chcę nadal z nimi pracować. Ale pragnę też zrobić więcej, Julio. Przeciwnik zdołał umieścić swoją wtyczkę w KBIZ. Jeśli się dowiemy, jaki jest jego cel...

Pogłaskała go po włosach.

– Zostawcie tę sprawę mnie.

– Gdybyśmy tylko mogli udowodnić, że to oni są winni tej kradzieży.

Potrząsnęła głową.

– Jestem pewna, że to nie oni. Myślę, że to raczej pokrzyżowało im szyki, zakłóciło to, co Masami Mitsubishi miało zrobić w Czarnej Sakurze. Ale nie jest tak źle. W końcu udało mi się przekonać Darcy Sok, żeby poprosiło o sesję ze mną.

Młody senseista rozpromienił się w jednej chwili.

– To świetnie!

– Uda się nam obronić KBIZ. – Julia z entuzjazmem potrząsnęła pięścią. – Mam też inną dobrą wiadomość. Rektor Faust wygonił Jun Mitsubishi z ostrą reprimendą na pożegnanie. Pomiot Mitsubishi nie zdobędzie przyczółka w Instytucie Brilla. Ale Jun ubiega się teraz o posadę sekretarza w gordiańskim Baszu Mózgowców. Nie zrezygnowało z prób infiltracji.

– Czy to całe zamieszanie z Masami Mitsubishi może nam pomóc? Jeśli wywalą je z *Czarnej Sakury* to będzie dla nich spore niepowodzenie.

Julia gapiła się na niego przez chwilę, mocno zaciskając wąskie usta.

– Być może.

Carlyle: Mogłoby...

Julia: Nie. Pragnę, byście byli tam, gdzie wasze talenty są najbardziej

użyteczne. Nie chcę też prosić o nic, co obciążyłoby wasze sumienie. Zajmijcie się tym, w czym jesteście najlepsi. Inni pomogą nam bronić KBIZ.

Carlyle: Ale...

Julia: Gdy Saneer-Weeksboothowie poznają was wystarczająco dobrze, by wam zaufać, i będziecie mogli zasugerować, by zwrócili się do mnie, przejmę część ciężaru, dając wam czas na zajęcie się czymś innym. Ale nie wcześniej. Musimy ich uważnie obserwować i zapewnić im bezpieczeństwo.

Carlyle: W przypadku Thisbe to nie powinno już potrwać długo.

Julia: Tak, to wyglądało obiecująco. Ale nie posuwajcie się za szybko. Dlaczego lataliście tam tak często?

Carlyle: ...

Julia: Problemy?

Uśmiechnął się zawstydzony.

– Potrzebujecie konsultacji?

– Nie, wszystko w porządku.

– Cały basz jest bardzo pilnie strzeżony, sądząc po dokumentacji. Jeśli będziecie naciskać, spłoszycie ich. Grunt to spokój i naturalne zachowanie. Jesteście bardzo zdolnym senseistą, Carlyle. Umieściłam was tam, gdzie przyniesiecie najwięcej pożytku. Jeśli jakaś osoba spróbuje się do nich dobrać, zorientujecie się i powstrzymacie ją.

– Tak.

– Cieszę się, że mogę na was polegać w tak trudnych czasach.

Mimo ponurego nastroju młody senseista nie był w stanie powstrzymać uśmiechu.

– Dziękuję. Aha, Julio?

– Hę?

– Co wiecie o trybunie J.E.D.D. Masonie?

– Ustawa o Młodych Celebrytach nigdy nie miała do czynienia z trudniejszym przypadkiem. Spotkaliście się?

– To ono prowadzi śledztwo. Odwiedziło baszobudynek.

– J.E.D.D. Mason nie jest problemem. Uwierzcie mi, wśród wszystkich przywódców Pasiek nie ma nikogo, kogo obserwowałabym z większą uwagą. To prawda, że ma związki z Andō, ale to na pomiot Mitsubishi musimy uważać. J.E.D.D. Masona nic z nimi nie łączy.

– Nie chodzi mi o związki z Andō, ale... wiecie o „Dominicu” i o „Martinie”? Czy to kult?

– Nie. Nic w tym rodzaju. W J.E.D.D. Masonie nie ma absolutnie nic niebezpiecznego. Cały czas pozostaję w kontakcie z jego senseistą.

– Czy to Dominic Seneschal?

– Tak. Wiem, że dziwnie się zachowuje, ale jest niezwykle utalentowane. Wyjątkowo odpowiednie dla J.E.D.D. Masona. To specjalista, tak samo jak wy, tyle że innego rodzaju. J.E.D.D. to bardzo dziwna młoda osoba. To nieuniknione w przypadku kogoś, kto dorastał w samym ośrodku władzy, ale obserwuje go z wielką uwagą i nie ma żadnego kultu, żadnego niebezpieczeństwa.

Carlyle aż oklapł z ulgi. Ale nie była ona całkowita.

– A co łączy J.E.D.D. Masona z Mycroftem Cannerem?

– To poufne. – Głowa Konklawe ponownie uściśnęła bark swego najlepszego studenta. – Nie przejmujcie się J.E.D.D. Masonem. Nikt nie mógłby być mniejszym zagrożeniem dla światowego ładu. W gruncie rzeczy to filar stabilności podtrzymujący całą resztę. Chcielibyście odbyć sesję? – Jej perfekcyjne paznokcie dotknęły wystrzępionego brzegu starej chusty, którą mu dała. – Macie coś nowego na froncie teologicznym? Nowe pytania? Odkrycia?

Carlyle przywołał na twarz swój najbardziej ujmujący uśmiech.

– Nie. W tych sprawach nic nowego. Czy moglibyśmy omówić psychologiczny raport o wpływie traumy po utracie baszu na Mycrofta Cannera? Bardzo bym chciało usłyszeć wasze odczyty w świetle wydarzeń następných trzynastu lat. To wspaniały obiekt badań.

– Tak. Tak, Mycroft z pewnością jest wspaniałym obiektem.

TU, W RZEDNIEJĄCYM MROKU PORANKA, WRESZCIE KOŃCZY SIĘ TRZECI DZIEŃ TEJ OPOWIEŚCI

Rozdział dwudziesty czwarty

Czasami nawet ja czuję się bardzo samotny

Tej nocy spałem w Aleksandrii i zjadłem śniadanie z personelem cezara, choć sam MASON nie chciał dzielić się chlebem z Mycroftem Cannerem. Nie miałem czasu wrócić do Cielo de Pájaros przed zameldowaniem się u Utopian J.E.D.D. Masona, ale wpadłem na pół godziny do najbliższej noclegowni dla usługowców. Nasze skalane, lecz wyrozumiałe bractwo nadal było gotowe zwać mnie „przyjacielem”. Odkąd członkowie mojego rodzzonego baszu zginęli w wybuchu, adoptowano mnie wiele razy. Zaopiekowały się mną kuzynowski basz Terrafirma sąsiadujący z naszym, basz Mardi mieszkający w następnym budynku i cztery inne okoliczne basze. Wszystkie pozwalały, bym dorastał półdziki jak kot, który ma wiele domów, ale żaden z nich nie sprawdza, co się z nim dzieje, pod warunkiem, że zjawia się raz na tydzień. Później adoptowali mnie Thisbe, Bridger i Major. Ale tylko adopcja przez usługowców była całkowicie wolna od kłamstw. Z początku byłem tylko kolejnym Mycroftem, który spał i machał łopatą razem z nimi. Wkrótce jednak przekonali się, że dobrze się ze mną rozmawia (a to bezcenna zaleta wśród ludzi niemających dostępu do żadnej innej rozrywki), więc w chwili, gdy bystrzejsi z nich dodali nazwisko „Canner” do imienia „Mycroft”, za bardzo już mnie lubili, by mieli się bać. Apollo Mojave lubił odwiedzać pewien pub w Liverpoolu, choć brzmi to absurdalnie. Był Utopianinem, wokatorem i *familiarisem*, potężni potrzebowali jego usług równie często jak moich, miał własny basz, kochankę i jej basz, konstelację, pisarstwo i mnie, a wszystko to rywalizowało o jego ograniczony czas. A mimo to udawało mu się przesiadywać w pubie. To była brudna nora, jedna z tych, do których miejscowi przychodzą pogadać i pograć w domino. Z początku nikt się nie odzywał do tego obcego Utopianina, który siedział za kontuarem, w płaszczu i z woalką na twarzy. Jednakże piwo łamie wszelkie bariery i wkrótce Apollo wysłuchiwał niestworzonych opowieści i włączał się do gier, lubiany

jak mały piesek. Mówił mi, że tego potrzebuje. Nawet jeśli widywał ich tylko raz na miesiąc, przypominali mu, co to znaczy być człowiekiem. Gdyby nie oni, jak mógłby twierdzić, że działa w imieniu całej ludzkości? Być może usługowcy dawali mi to samo.

Na skrzyżowaniu, trzy przecznice od miejsca, do którego zmierzałem, czyjeś ręce złapały mnie za gardło i wciągnęły do zaułka z gwałtownością zabójcy. Nie wiem, Czytelniku, czy kiedykolwiek pobłogosławiono Cię podobnym uściskiem. Jest on czymś w rodzaju oddzielnego wszechświata. Cały świat zewnętrzny przestaje dla Ciebie istnieć i możesz się uśmiechać, nie dbając o nic. Jeśli nigdy nie zaznałeś niczego w tym rodzaju, wiedz, że nie da się tego opisać. Gwałtowne, kochane ręce obaliły mnie na zaśmieconą ziemię i unieruchomiły moje kończyny, raczej z przyzwyczajenia niż z potrzeby. Usta napastnika dotknęły mojego ucha.

«Saladinie» wyszeptalem. To imię nieraz recytuję raz po raz, jakby język wymyślono tylko po to, by wypowiadać te sylaby.

«Mycrofcie» odpowiedział mi w ten sam sposób. Jego oddech miał smak miodu i dzikich okolic, był brudny jak podbrzusza miast i czysty jak górskie skały. Mój Saladin. Żadne groźby, rozkazy ani tortury nie mogłyby mnie zmusić, bym powiedział o nim komukolwiek z żyjących. Tylko Tobie, Czytelniku. Nigdy więcej nie oskarżaj mnie, że ukrywam przed Tobą jakieś tajemnice.

Jego głos jest gwałtownym, głodnym szeptosykiem.

«Znalazłem Tulliusa.»

Zacząłem nagle łkać, bez łez, jak ktoś, kto nie może już dłużej udawać, że nie jest chory, i ulega atakowi kaszlu. Mój Saladin wchłonął w siebie ten płacz. Jego ciało było jak ciepłe dłonie obejmujące drżącego kurczaczka.

«Gdzie?» zapytałem.

«W Luna City. Siedziało tam trzynaście lat. Nie potrafię sobie wyobrazić, ile to musiało kosztować.»

Domyślałem się, że to będzie Luna City. Są dostępne dla ludzi miejsca, które znajdują się poza moim zasięgiem. Księżyc to najbliższe z nich.

Rozmawialiśmy ze sobą po grecku, w języku naszego rodzimego baszu, języku naszej bliskości od niepamiętnych czasów.

«To może być pułapka. Tullius Mardi nie zarezerwowałoby lotu pod prawdziwym nazwiskiem. Żadna osoba wychowana przez Utopian nie mogłaby być aż tak głupia.»

Czuję, że Saladin się uśmiecha. Jego obojczyki poruszają się, gdy odsłania kły. Jego ludzkie usta są groźniejsze od paszczy wszystkich zwierząt, bo potrafią nie tylko gryźć, lecz również mówić.

«To prawda, „Tullius Mardi” na liście pasażerów byłoby głupie. Ale „Tullius Mojave” przekracza wszelkie granice głupoty i równa się wymalowaniu sobie tarczy strzelniczej na twarzy.»

«Tullius Mojave?» powtórzyłem.

«Czy mogłoby jawniej rzucić rękawicę?»

Roześmiał się, a ja roześmiałem się razem z nim. Nasze ciała pasowały do siebie jak ściskające się dłonie. Poczułem, że stanął mu pode mną. Mój członek również się obudził po bardzo długim śnie.

«Szczęnię na pewno uważa się za następcę.» Sięgnął ręką pod moją koszulę. «Dokończmy robotę» zaproponował. «Siedemnaście to nigdy nie była szczęśliwa liczba.»

Łatwiej byłoby mi wbić sobie sztylet w serce niż odpowiedzieć Saladinowi.

«Ja nie mogę. Wy to zróbcie, proszę. Zróbcie to sami.»

Złapał mnie za gardło. Stwardnienia na jego dłoni znowu się zmieniły. Jakaś nowa praca albo gra uczyniła je grubszymi na krawędziach.

«Kto wam to zrobił?»

«Nie.»

«Powiedzcie mi!» Podobnie jak nazbyt miękkie Carlyle wyraża pośrednio gniew płaczem, Saladin okazuje smutek wściekłymi warknięciami i żądzą krwi. «Ktoś wam to zrobił!»

«Nie»

«Powiedzcie mi!»

Otaczał mnie ze wszystkich stron. Potrafisz to sobie wyobrazić, Czytelniku? Jego gorące usta dotykały mojego ucha, lewa ręka drapała mnie po piersi, podczas gdy prawą – szorstką i delikatną jak język kota – głaskał mnie po udzie po wewnętrznej stronie. Pragnąłem go. Pragnąłem, by nigdy nie istniało nic poza nami dwoma.

«Nie mogę!» załkałem. «Nie mogę! Uczyni to samo wam!»

Spróbowałem cofnąć dłonie, ale złapałem je i mocniej przycisnąłem do siebie.

«Nie zdołam się zemścić, jeśli mi nie powiecie» warknął.

«Zatem nie róbcie tego.»

«Osiągnęliśmy wszystko, czego chcieliśmy! Mieli was stracić. Nawet

Kuzyni domagali się waszej krwi. Cały świat miał pobrudzić sobie ręce, a wy oddaliście się w ręce MASONA. Jakaś osoba was do tego skłoniła, i została tylko ta pusta skorupa!»

Wcisnąłem usta w gardło Saladina, by poczuć smak jego niedawnych wędrówek: uliczny kurz, liście laurowe, pot, kozy, proch strzelniczy, opalenizna, a pod tym wszystkim skóra, niemal taka sama jak moja.

«Dokończcie robotę» błagałem. «Zabijcie Tulliusa Mardiego. Zróbcie to dla dawnego Mycrofta, który należał do was sercem i duszą. To jedyna zemsta, jakiej potrzebuję.»

Warknął – ten dźwięk był piękny jak uderzenie gromu – i pozwolił mi się ugryźć w gołe ucho, w którym nigdy nie ma lokalizatora. Mój doskonały, ukryty Saladin.

«Nie dajcie im się złapać» ostrzegłem. «Tullius będzie się spodziewało mnie. Nie będzie gotowe na was. Wiem, że możecie to zrobić.»

Odwróciłem się, by ujrzeć twarz Saladina – najpiękniejszą na świecie. Groźne zęby, przymrużone oczy tak wąskie, że wydawały się czarne jak u jaszczurki, bez rzęs i brwi łagodzących gładkie przejście między skórą a gałką oczną. Blond peruka się przekrzywiła, odsłaniając gładko wygoloną głowę, pozbawioną włosów, które utrudniałyby moim palcom cieszenie się dotykiem ciepłego ciała. Jego policzki, ongiś niewiarygodnie gładkie jak płatki róży albo świeża skóra, z której właśnie spadły modzele, ale w ostatnich latach szybko stwardniały, a wokół oczu pojawiły się zmarszczki. Upływ czasu.

«Zapominacie brać środki odmładzające» powiedziałem karcącym tonem, dotykając dłonią suchego policzka Saladina. Przeszedł korektę genetyczną w wieku płodowym, jak my wszyscy, ale każdy długi rok zaniedbania coraz wyraźniej świadczy, że to nie wystarcza.»

«Trudno jest je ukraść.»

«Nie ważcie się skracać swoich dni, Saladinie. Ani o jedną godzinę, dopóki muszę tu pozostawać.»

Wlepił we mnie spojrzenie szalonych, czarnych oczu.

«Potrzebuję przysługi» oznajmiłem mu.

«Tak?»

Przesunął zębami po brzegu mojego ucha, w miejscu, gdzie odgryzł mi niegdyś jego fragment, a ja w zamian dotknąłem przez jego wytartą koszulę starej blizny nad sercem, w miejscu, gdzie wyciąłem kawałek, by po raz pierwszy poczuć smak ludzkiego ciała.

«Widzieliście dziecko, które często odwiedzam w Cielo de Pájaros?»

«Widziałom. Widziałom też podejrzone osoby, które tam się kręcą. Nawet Organizacja się boi.»

«A czego?»

«Kradzieży w Czarnej Sakurze i związku, który was łączy z posiadaczem Urządzenia Cannera. Nikt, z kim rozmawiałem, nie ma pojęcia, co jest grane. Nikt nie chce mieć kłopotów z powodu przestępstw popełnionych przez kogoś innego.»

To zgadzało się z moimi domysłami.

«Dziecko ma na imię Bridger.»

Podejrzliwość zwęziła nagle jego i tak wąskie oczy.

«I?»

«Chcę, żebyście obserwowali je dla mnie. Żebyście...» Słowa nie chciały wyjść mi z ust. «Macie rację, nad tym miejscem wisi groźba. Inny drapieżnik.»

«Widziałom je. Tylko mroczny cień. Czarnoprawowiec o europejskim wyglądzie. Unika światła słońca, ostrożne jak ryś.»

«Jeśli okaże się to konieczne, jeśli nie uda mi się zapobiec temu, by Bridger wpadło w ich ręce, jeśli Dominic będzie...» Musiałem opleść się mocno rękami, by być w stanie wypowiedzieć te słowa. «Chcę, byście byli gotowi zabić Bridgera. Proszę. Nie w tej chwili, tylko jeśli nie będzie innego wyjścia. Potraficie to zrobić bezboleśnie.»

«Zróbcie to sami.»

«Nie potrafię.»

«Trzeba chwycić obiema rękami za głowę i obrócić.»

«Nie potrafię! Kocham Bridgera jak członka rodziny. Brakuje nam czasu, Saladynie, proszę!»

Nie mógł już dłużej ignorować rozpaczliwego piszczenia mojego lokalizatora wyczuwającego gwałtowne przyspieszenie tętna.

Odwrócił się, żebym mógł się na nim położyć, pierś przy piersi, i rzuciliśmy się na siebie jak zwierzęta, pragnąc wykorzystać krótkie chwile, jakie nam zostały. Usta czuły smak ust, dłonie przynosiły ekstazę plecom i pośladkom, a pobudzone narządy niemalże stykały się ze sobą przez ubrania, których nie mieliśmy czasu zdjąć. On pierwszy znalazł siłę, by się odsunąć.

«Zastanowię się nad tym.»

Odwrócił się do mnie plecami i postawił kaptur utopiańskiego płaszcza. Cienie i gryfia skóra zasłoniły przede mną mojego Saladina.

Mycroft, ty zdrajco! Przez wszystkie te lata pozwoliłeś mi myśleć, że na

świecie jest sprawiedliwość, że zło, które uczyniłeś, wykryto i ukarano, a teraz okazuje się, że twoja gwałtowniejsza połowa nadal pozostaje na swobodzie! Gdybym o tym wiedział, zaryglowałbym drzwi i kazałbym dzieciom wracać do domu zaraz po zmierzchu! A może, Czytelniku, opowiesz się po drugiej stronie? Mycroft, ty zdrajco! Na całe dziesięciolecie pogrążyłem się przez ciebie w rozpacz, wierząc, że utraciliśmy naszego szlachetnego dzikusa, że ostatnią ludzką bestię, nadal wolną od łańcuchów sumienia i społeczeństwa, pojmano i oswojono, a tymczasem przez wszystkie te lata było was dwóch, a ten szlachetniejszy nadal pozostaje na wolności i nadzieja razem z nimi! Czytelniku, jestem teraz niewolnikiem i otwieram przed Tobą serce na Twój rozkaz, ale wolne stworzenie, jakim byłem w czasach, gdy wędrowałem z Saladinem, nie jest Ci nic winne. Nie miałem prawa zdradzać jego tajemnicy, dopóki opowieść tego nie zażądała.

«Uważajcie!» zawołałem do pustego miejsca, w którym był przed chwilą i mógł być nadal. «Nie pozwólcie, żeby to dziecko was dotknęło.» Cichy szelest świadczył o tym, że mnie usłyszał.

Wstałem, gdy tylko poczułem się wystarczająco silny. Ledwie zdążyłem poprawić mundur i ukryć ślady paznokci Saladina pod plamami ziemi, nim policyjne autoloty opadły z nieba, blokując zaułek przede mną i za mną niczym barykady. Dowódcy towarzyszyło pięciu policjantów. Wszyscy nosili niebieskie romanowańskie mundury, różniące się jednak krojem – Mason, Brillista, indyjski albo chiński Mitsubishianin, jakby krawiec potrzebował wielu prób, by wreszcie odnaleźć ostateczną formę. Dlaczego pięciu? Nie chodzi o to, że sądzili, iż tylu będzie potrzeba, by mnie obezwładnić, gdybym stawiał opór, lecz o to, że gdyby było ich mniej, baliby się do mnie zbliżyć. Pomimo tak wyraźnej przewagi liczebnej nadal sprawiali wrażenie niezadowolonych ze swego zadania. Ich twarze nie wyrażały jednak niepokoju, lecz nieustępliwość zwykle prezentowaną przez policjantów pragnących ukryć, co czują naprawdę. Tylko stojący pośrodku dowódca garbił się beztrósco, wyciągając z torby specjalne kajdanki, które stworzyli dla mnie Utopianie. Rzucił je swoim ludziom jak piłkę bejsbolową.

– Dzień dobry, Papa – przywitałem go po angielsku.

Nie doszukuj się zbyt wiele w tym przydomku, Czytelniku. Wszyscy, którzy go znają, od romanowańskiego pretora aż po najniższego rangą urzędnika, tak właśnie nazywają komisarza generalnego policji

Uniwersalnego Wolnego Sojuszu Ektora Carlyle'a Papadeliasa.

– Dzień dobry, Mycroftcie – odpowiedział. – Co to było tym razem?

– Jakies dzieciaki przebiegły obok, puszczając z głośników canner beat.

To było standardowe usprawiedliwienie i często prawdziwe.

– Czy to wystarczy, Papa? – zapytał jeden z jego ludzi, stukając w stalowy dźwigar, na którym wspierał się jeden z budynków.

Komisarz potrząsnął głową.

– Autolot jest pewniejszy.

Gdy przykuwali mi ręce za plecami do zderzaka policyjnego autolotu, starałem się zachować maksymalny spokój. Wiedziałem, że gliniarze czują się lepiej, jeśli ich nie dotykam, ale nie zdołałem zapobiec temu, by moje palce musnęły nadgarstek jednej z nich. Wzdrygnęła się, jakby dotknął jej rozżarzony węgiel. Czasami myślę, że Papa celowo zabiera ze sobą nowicjuszy na te spotkania, jakby spotkanie z Mycroftem Cannerem było czymś w rodzaju chrztu stróża prawa.

– Jest zabezpieczony, Papa – zameldowali.

– Znakomicie.

Komisarz generalny skinął głową i jego ludzie się oddalili. Oparł się o łukowaty nos drugiego autolotu naprzeciwko mnie. Papadelias sprawia wrażenie, że z wiekiem jego energia rośnie, zamiast maleć. Tłuszcz i mięśnie wypalają się i nie obciążają już szkieletu i nieustannie rozżarzonego mózgu. Dwa lata temu skończył sto lat, ale dzięki nowoczesnej medycynie nadal ma włosy na głowie, jego skóra zachowała różowy odcień, a szybkością sprintu dorównuje zajacowi. Dla mnie na zawsze zachowa tytuł inspektora, to bowiem jest stopień, którego pragnął. Przez blisko siedemdziesiąt lat unikał awansu jak zarazy, ale żadne błagania nie mogły powstrzymać Romanovy przed awansowaniem człowieka, który aresztował Mycrofta Cannera.

«Byliście w tym tygodniu pracowitą pszczołką, Mycroftcie.» Przeszedł na grecki, język dzieciństwa nas obu, miły dla mojego ucha, choć nie wiem, jak brzmi dla tych, którzy nie kojarzą jego brzmienia z domem, książeczkami dla dzieci i matką, która wyblakła już w mojej pamięci tak bardzo, że jest niewiele więcej niż ciepłą ciemnością mieszającą się z obrazami Mamy Lalki.

«Miałom mnóstwo zajęć» przyznałem. «Zanim zapomnę, spóźnione życzenia z okazji wczorajszego Dnia Niepodległości.»

Pragniesz mnie poprawić, Czytelniku? Od Dnia Zerwania Więzów

minęły dwa dni, ale dla nas prawdziwym świętem był Dzień Niepodległości Grecji, dwudziesty piąty marca, gdy po czterech stuleciach wreszcie zrzucono tureckie jarzmo i Grecja mogła stać się niepodległa na tę krótką chwilę, nim niepodległe państwa wyszły z mody. Usługowcom nie wolno nosić insygniów, ale Papadelias dumnie prezentował opaskę z grecką flagą w kolorach jaskrawego błękitu i bieli. Grupy narodowe takie jak Grecja, Francja czy Meksyk zawsze oferują mniej rzucające się w oczy wersje, jak bransoletki albo wąskie paski, ale zawsze mnie irytuje, gdy Grek oznajmia swą dumę czymś innym niż pełna opaska. Śmiesz Cię to, Czytelniku? Myślisz, że każda grupa narodowa uważa się za najważniejszą na świecie? To prawda, ale my mamy rację. Rzym zrodził się z Grecji, Europa zrodziła się z Rzymu, współczesny świat powstał z Unii Europejskiej, a bez względu na to, jak wiele światów skolonizuje Utopia, wszystkie będą się wywodziły z tego pierwszego. Dlatego triery, które broniły Grecji pod Salaminą, broniły również Marsa, wszystkich Pasiek i Ciebie, Czytelniku.

«Starają się nie dopuścić mnie do sprawy *Czarnej Sakury*» zaczął Papa.

«Wiem. Ale czy im się udaje?»

«Jestem komisarzem generalnym. Wiecie, co to oznacza?»

«Macie biuro na forum?»

«Bardzo zabawne.» W jego oczach pojawił się błysk, jasność pasażera ukrytego w tym wychudłym od wieku ciele. «To znaczy, że mogę rozkazywać stróżom prawa we wszystkich siedmiu Pasiekach. Wystarczy, że jedna z nich oznajmi, że chce, bym zajął się sprawą, a żadna siła na Ziemi mnie przed tym nie powstrzyma.»

Podczas naszych licznych rozmów nauczyłem się trzymać ręce tak, by nie utracić w nich czucia.

«To wy przysłaliście Martina, prawda?»

«Tak, ale nie spodziewałem się, że to może być ono albo ja, zwłaszcza po tym, jak sprawa zrobiła się bardziej interesująca. Zwróciłem się do wszystkich Siedmiu. I nie tylko do nich, lecz również do senatorów, liderów grup, sekretarzy, trybunów, sami wiecie do kogo.» Pociągnął za rękawy, które zawsze nosił podwinięte, jakby paski symbolizujące stopień z jakiegoś powodu go obrażały. «Posadzili mnie na fotelu komisarza generalnego wyłącznie dlatego, że chcieli mieć na tym stanowisku kogoś, komu będą mogli zaufać, ale bez względu na

wszystkie moje wysiłki nic się nie zmienia.» Przymrużył powieki. «Rozmawiałem z Martinem Guildbreakerem, prosiłem je, żeby pozwoliło mi im pomóc, zamiast zasypywać mnie górą papierów. Jeśli ktoś nie pozwala policji zająć się sprawą, to znaczy, że nie chce jej rozwiązać.»

«Oni nie chcą rozwiązać sprawy» potwierdziłem. «Chcą ją załatwić.»

«Czy są głupi? Zamieszanie nie byłoby tak wielkie, gdyby za tym wszystkim nie kryło się coś niebezpiecznego. Czy mają jakiś plan na wypadek gdyby odkryli coś, czego nie będą mogli zamieść pod dywan?»

«Nie wiem, Papa.»

«Widzicie? Nawet wy tego nie wiecie. Ale nie to naprawdę mnie wkurza. Raczej fakt, że decyzję o niedopuszczeniu mnie do sprawy podjęto w pięć minut w salonie Ganymede'a. Ja również mogłoby się tam zjawić, gdyby mnie zaprosili. Ale nie zrobili tego!» Dał wyraz swej frustracji, kopiąc nieszkodliwego śmieciobota. «Byłem przekonane, że przynajmniej Utopianie wykażą odrobinę rozsądku i poczują się zaniepokojeni, gdy cała reszta zgodzi się ze sobą w jakiejś kwestii, ale dziś rano otrzymałem od nich wiadomość: „Sprawą się zajęto”. Nie mówicie mi, że sami doszli do tej odpowiedzi. To nawet nie jest ujęzyk! Gdybym dostawało jedno euro za każdy raz, gdy w dwóch ostatnich dniach usłyszałem tę frazę, byłoby ustawione do końca życia.»

«Dwadzieścia minut» poprawiłem go.

«Słucham?»

«Rozmówcy w salonie diuka Ganymede'a potrzebowali dwudziestu minut, by zdecydować, że nie dopuszczą was do sprawy. Mieli pewne powody. Słyszeliście, kto się nią zajął?»

«J.E.D.D. Mason.»

Skinąłem głową.

«Wiecie, że J.E.D.D. Mason to dobra osoba. I wiecie to samo o Martinie Guildbreakerze. Jeśli odkryją coś, o czym powinniście się dowiedzieć, zawiadomią was.»

Wciągnął powoli powietrze w płuca.

«Mam taką nadzieję. Ale dlaczego mnie zablokowali?»

«Nie wiem. Naprawdę nie wiem.»

Papa pokręcił głową.

«W którym właściwie momencie pozwolili, by polityka przerodziła

się w chów wsobny, Mycrofcie? Tsuneo Sugiyama umieściło Snipera zamiast Ganymede'a na liście Siedmiu i Dziesięciu i wszyscy zachowują się, jakby to był koniec świata. Jeszcze trzydzieści lat temu nie zdarzało się, żeby na dwóch różnych listach czołowa siódemka wyglądała tak samo, a kiedy ostatnio widzieliście, żeby któreś z członków gardiańskiego Baszu Mózgowców zastąpiło na liście rektora, hę? Albo żeby znalazł się na niej Europejczyk inny niż premier?» Otaczający nas strażnicy robili się nerwowi, widząc, że komisarz tak się podekscytował. «Najbardziej niepokoi mnie fakt, że nawet już nie próbują tego ukrywać. Cenzor poślubił przewodniczącego Kuzynów, a przywódca Pasieki Mitsubishi jest szwagrem prezydenta Humanistów, a mimo to nikt nie ostrzega przed konfliktem interesów? Czy ludzi to naprawdę nie obchodzi?» Kolejny głęboki wdech. «To nie powinno być dla nich takie łatwe, Mycrofcie. Śmierć większości nie ma znaczenia, jeśli mniejszości porozumieją się ze sobą i zaczną znowu się zachowywać jak większość.»

Czy nadal wierzysz w śmierć większości, Czytelniku? Pierwszy esej pierwszego Anonima wysławiał to, w czym widział zapowiedź wiecznego pokoju. Po wojnie Kościołów nie było już żadnej większościowej rasy, religii, języka ani narodowości. *Mukta* dała początek światu, w którym wszyscy zmieszali się ze sobą i nikt już nie mógł spędzić dzieciństwa wśród ludzi takich jak on. Większość Japończyków nie mieszka w Japonii, a większość Greków nie mieszka w Grecji. To samo dotyczy wszystkich krajów na świecie. Anonim ogłosił, że większość umarła razem z Kościołem i państwem, a razem z nimi dokonały żywota wojna oraz ludobójstwo, one bowiem wymagają zjednoczonej większości, patriotów, „nas” i „ich”, a przy tym „my” musimy być normalni, liczniejsi i potężniejsi, zdolni pokonać „ich”. Mógłbym zapytać każdego ze swych współczesnych: „Czy zaliczasz się do większości?” i wiem, co by mi odpowiedział albo odpowiedziała. *Z pewnością nie, Mycrofcie. Mam Pasiekę, rasę, drugi język, wokację, awokację i liczne hobby, jeśli doda się wystarczająco wiele grup, zredukuje się mnie do jednoosobowej mniejszości. To właśnie daje mi szczęście. Jestem niepowtarzalną osobą, dumną ze swej niepowtarzalności, a jeszcze bardziej z tego, że nie zaliczam się do żadnej większości. To zapewnia wieczny pokój.* Kłamiesz, Czytelniku. W naszym splecionym ze sobą świecie nadal zachowała się jedna większość, wielkie „my” sprzeciwiające się mniejszemu „oni”.

Z czasem ją zauważysz. Mogę Ci udzielić tylko jednej wskazówki. Najgroźniejsza większość opiera się nie na tym, czym moi współcześni są, ale na tym, czym nie są.

«Czy nie moglibyście wszcząć dochodzenia w imieniu Bezpasiekowych?» zapytałem.

Papa potrząsnął głową.

«Nie, jeśli żadna Bezpasiekowa osoba nie padła ofiarą zbrodni, a do tej pory to się nie stało. Gdyby w baszu Saneer-Weeksbooth były niesamodzielne dzieci, mogłoby wykorzystać je jako pretekst, ale...»

«Dominic Seneschal zaginęło.»

«Dominic Seneschal nie znajduje się jeszcze na liście zaginionych osób. Samo wyłączyło lokalizator i nie podało terminu, po którego upływie należy zacząć go szukać, jeśli się nie zgłosi. Dzięki niejakiemu Mycroftowi Cannerowi...» Papa skinął głową z drwiącą wdzięcznością «...wolno nam rozpocząć poszukiwania pięć dni po utracie kontaktu bez względu na to, co sądziła na ten temat zaginiona osoba, ale do upływu tego terminu zostało jeszcze sporo czasu. Poza tym nie chcę tego robić bez aprobaty przynajmniej jednego z członków Wielkiej Siódemki. W przeciwnym razie wszyscy zwałą mi się na głowę. Muszę znaleźć jakiś sposób, by sprawić wrażenie, że to nie ja o to zabiegam, tylko któreś z Siedmiu mnie poprosiło.

«Rozumiem.» Zerknąłem na utopiańskie kajdanki. Po tak wielu spotkaniach widok ich gładkich, galaretowatych powierzchni niemal mnie uspokajał. «Moglibyście spróbować z królem Isabel Carlosem. Ostatnio nikt nie ma serca odmawiać spełnienia próśb Jego Królewskiej Mości. Jeśli zdobędziecie poparcie króla, innym trudniej się będzie sprzeciwić, zwłaszcza że Andō i Ganymede nie zaprzeczają żadnej szansy, by naszczać na Casimira Perry'ego.»

«Król Hiszpanii?» Papadelias raz jeszcze zaczerpnął tchu. «Tak, ono by się nadało, choć jeśli dynastia Burbonów jest najmniej wsobnym elementem naszej struktury władzy, mamy powody do niepokoju.»

Roześmialiśmy się obaj. Policjantka po mojej lewej stronie wyglądała, jakby zobaczyła ducha. Obawiałem się, że śmiech Mycrofta Cannera może ją przedwcześnie wpędzić do grobu, ale Papadelias uspokoił ją autorytatywnym skinieniem głowy.

«A skoro już załatwiliśmy tę sprawę, to może przyjrzymy się temu, co się wydarzyło dziewiętnastego marca?» Nie musiał uściślać którego roku. «W waszej linii czasowej są nieścisłości.»

«Dzisiaj nie mam czasu, Papa. Czekaj na mnie mnóstwo zadań.»

«Tylko jedno pytanie.» Na jego soczewkach rozbłysły już dane, choć nie potrafię uwierzyć, by istniały jakieś szczegóły mojej sprawy, których nie nauczył się na pamięć. «Zrobiliście tamtego dnia bardzo wiele. Dopadliście Kohaku, Chiasę. Mercer i Luthera.»

Wzruszyłem ramionami.

«Musiałem poruszać się szybko. Wkrótce mieli odkryć trzecie ciało, a zaginęła dwójka kolejnych członków baszu. Wiedziałem, że nie minie wiele czasu, nim zapewnicie ścisłą ochronę pozostałym. Musiałem porwać ich jak najszybciej, a potem wykańczać po kolei.»

Zadałem sobie pytanie, na jaki temat przeszliśmy w opinii tych strażników, którzy byli głusi na nasze słowa, ale widzieli, że nasz język ciała stał się swobodniejszy i zachowujemy się teraz raczej jak krewni niż wrogowie.

Nie, dla tego wokatora byłem kimś bliższym niż krewny. Twórca nowoczesnych zasad pracy policji był Francuzem. Nazywał się Eugène François Vidocq i nie był dzieckiem osiemnastego wieku, lecz dziewiętnastego. Opowieści o czynach Vidocq'a – o przebraniach, nadzwyczajnych ucieczkach, fałszywych tożsamościach i prześladowających go przez całe życie rywalach – są tak spektakularne, że trudno w nie uwierzyć. Gdy czytamy o jego życiu, które dostarczyło przyjacielowi Vidocq'a, Victorowi Hugo, tyle materiału, że oparł na nich nie tylko postać Valjeana, lecz również Javerta, odnosi się wrażenie, że opowiada się nam o jednym z cudów Bridgera, a nie o autentycznej postaci historycznej. W przerwach między swymi przygodami Vidocq wynalazł siatki policyjnych informatorów, etatowych donosicieli i tajniaków – wszystkie podstawowe narzędzia zawodu, którym zajmuje się Papa. Papadelias uwielbia swego bohatera tak bardzo, że potrafi mu nawet wybaczyć, iż nie był Grekiem. W głębi duszy Papa marzy o chińskiej kłątwie ciekawych czasów. Vidocqowi los dał ucieczki z więzienia, zawziętych wrogów i uwolnienie się z galer. Powodował mnóstwo zamieszania, tworzył fałszywe tożsamości, infiltrował świat przestępców, których zamierzał zamknąć, a po wielkiej ucieczce przez wiele lat udawał swego następcę, starając się uzyskać królewskie ułaskawienie, a gdy wreszcie osiągnął ten cel, w dramatycznej scenie ujawnił się przed obliczem monarchy. Niestety, dzisiejsze czasy są zbyt uporządkowane, by dać biednemu Papadeliasowi szansę przeżycia podobnych przygód.

W jakimś punkcie jego trwającej osiemdziesiąt lat kariery opatrność naprawdę powinna przyznać Papie pojedynkę, który trwałby kilkadziesiąt lat, jak ten między Javertem a Valjeanem. Albo przynajmniej kilka lat, jak wojna Holmesa z Moriartym. Niestety, gdy geniusz zbrodni, o którym marzył, wreszcie się pojawił, nasza walka trwała zaledwie dwa tygodnie. Wybacz nam, Czytelniku, że nie możemy zapomnieć o tych chwilach.

«Oto pytanie na dziś.» W oczach Papy pojawił się błysk, jak u kiepskiego pokerzysty, niepotrafiącego ukryć, że dostał dobrą rękę. «Jeśli cały poprzedni dzień spędziliście w bunkrze drugim na torturowaniu Makenny Mardi za pomocą wody nalewanej przez lejek z dzbana i zdążyliście jeszcze rzucić Leigh Mardi lwom na pożarcie w Wielkim Rezerwacie Afrykańskim, jak znaleźliście czas, by wrócić w Alpy, gdzie Jie Mardi było poddawane chińskiej torturze wodnej, i uzupełnić zapas wody w zbiorniku? Mieści się w nim tylko dwieście galonów. To nie mogło wystarczyć na całe trzy dni.»

«Nie musiałem uzupełniać zapasu» odpowiedziałem natychmiast. «Minęły już dwa dni. Jie nauczyło się mierzyć upływ czasu, obserwując poziom wody. Gdyby jej zabrakło i kapanie by umilkło, zemdlałoby natychmiast i ocknęło się dopiero wtedy, gdy uzupełniłbym zapas i kapanie rozległoby się znowu, a wtedy pomyślałoby, że nie minęła ani chwila, bo poziom wody się nie zmienił. Jeśli psychologicznie czas nie mija, to nie przerywa transu.»

«Ale podczas snu ciało wypoczywa i umysł również.»

«Nie w wystarczającym stopniu.»

«Rozumiem.»

Ta odpowiedź mu się nie spodobała. Miał wyraźnie niespokojną minę, jakby zamierzał wrócić do swoich notatek i rozmyślać nad nimi, a potem znowu połączyć się ze mną o czwartej nad ranem i zapytać o jakąś lukę. W gruncie rzeczy znalazł ją już teraz.

«Jak karmiliście swojego psa?»

«Słucham?»

«Pytam o psa. Nie mogliście zabrać go ze sobą tam, gdzie były lwy. Zostawiliście go w Alpach?»

Uśmiechnąłem się.

«Pozwoliłem mu obgryzać lewą rękę Laurela. Mięsa wystarczyło na dwa dni. Ale to już dwa pytania. Czy skończyliśmy?»

Przymrużył oczy, przyglądając mi się nieufnie.

«Na razie.»

Czasami niemalże pragnę, by Papa wreszcie odnalazł to wymykające mu się pytanie, na które nie potrafiłbym odpowiedzieć. Żeby wywęszył coś niedokończonego w mojej opowieści, mojej bezbłędnej sieci wyjaśnień. Jak to zrobiłem? Jak udało mi się załatwić tak wielu ludzi w bardzo odległych od siebie miejscach, tak szybko wykonać serię skomplikowanych zadań? Zasłużył przynajmniej na to, by za dwadzieścia, trzydzieści lat, gdy będzie na łożu śmierci, usłyszeć ode mnie szept: „Saladin”.

Rozdział dwudziesty piąty

U Madame

– Sześciopasiekowy System Transportu wita w Paryżu. Od gości wymaga się przestrzegania minimum Szarego Prawa Bezpasiekowego, a także zarządzeń miejscowych władz miejskich. Żeby otrzymać listę lokalnych przepisów nieznanymi w waszym zwyczajowym kodeksie prawnym, naciśnijcie „prawo”.

W jakim innym miejscu mogłoby się ukrywać serce całej tej sprawy, Czytelniku? W czasach oświecenia Paryż był stolicą i koroną wszystkiego, jak Romanowa, Aleksandria i La Trimouille połączone w jedno miasto. Mieszkać tu znaczyło żyć w miejscu, w którym wszystko, co się liczyło we wszechświecie, znajdowało się w zasięgu jednodniowego spaceru, a wygnanie równało się zamieszkaniu pośród błota i stogów siana. Podobna potęga nie traci wpływów w ciągu zaledwie sześciuset lat.

– Tutaj! – Thisbe przywołała skinieniem Carlyle’a do swego stolika w rogu kawiarni. Zwabiła go tu za pomocą prostej przynęty: <Ockham powiedziało tylko, że nie możemy się dłużej spotykać w baszu.>

Choć była już późna noc, Carlyle wstał owego dnia pełen sił, albowiem dwudziesty szósty marca to dzień narodzin wielkiego mędrca Zoroastra, a także zwiastowania archanioła Gabriela. W tym właśnie dniu ludzie w dawnych czasach oddawali cześć swemu Stwórcy i czynią to po dziś dzień, czcząc jednocześnie tych, którzy dają nam dostęp do Niego.

– Nie zdołałam się dowiedzieć o tej „czarnej dziurze” niczego poza ustaleniem jej lokalizacji – oznajmił senseista. – Eureka miało rację. Utrzymują ją w ścisłej tajemnicy.

Thisbe rozpromieniła się z dumą.

– Znalazłam wejście służbowe. Spróbujemy?

Byli już na schodach, gdy uświadomiłem sobie, że od dłuższego czasu nie kontaktowałem się z Carlyle’em, i znalazłem jego lokalizator w najgorszym z możliwych miejsc na świecie. Korzystając

z połączonych kodów dostępu Papadeliasa i J.E.D.D. Masona, w jednej chwili włamałem się do kamery senseisty i zobaczyłem ciągnące się przed nim schody oraz bieliznę z epoki łopoczącą na sznurkach na górze. Najpierw przyszły oskarżenia. Oskarżałem Ockhama o to, że zgodził się, by ekipa Martina weszła na tereny Saneer-Weeksboothów. Oskarżałem Papadeliasa o to, że ich tam wysłał. Oskarżałem złodzieja, który stał za sprawą *Czarnej Sakury*. Oskarżałem nawet Julię Doria-Pamphili, jakby to ona, wysyłając Carlyle'a do Saneer-Weeksboothów, sprawiła, że przed czterema dniami natknął się przypadkowo na Bridgera. Przede wszystkim jednak oskarżałem samego siebie. O dziwo, nie miałem pretensji do Carlyle'a i Thisbe. Senseista był dla mnie jak piłka rzucona przez dziecko w stronę dołka, bezradna, jeśli nie zainterweniuje inny gracz. Natomiast Thisbe... z samej swej natury nie potrafiła się oprzeć zapachowi tajemnic. Jak mógłbym ich powstrzymać? To było jedyne pytanie, jakie sobie zadawałem. Musiał istnieć jakiś sposób.

To było stare, miejskie *château*, wielkie na swój sposób, ale wciśnięte między sąsiednie budynki, jakby zbudowanemu bez jednolitego planu pałacowi oderwano skrzydła i wepchnięto go na ciasny plac budowlany, jak jeden z klocków starannie ułożonych w pudełku. Szeregi okien, łukowatych albo z frontonami, nie zmieniły się od czasów, gdy architekci mieli po jednej stronie biurka szkice starożytnych świątyń, a po drugiej kalki rysunków przedstawiających kwiaty. Kolumny, sztukaterię i maswerki wykonano z falistego kamienia, a drzwi i okna zdobiły żelazne filigrany przypominające bluszcz. Podwójne i potrójne klatki schodowe wiły się wokół siebie na fasadzie budynku niczym nici koronki na ślubnej sukni. Ludzie dekorowali wszystko już od czasów, gdy jaskiniowcy nauczyli się tkąć, wypalać glinę, upiększać dzbany figurami, a tkaniny paskami. Myślę, że starożytny rzemieślnik uważał każde swe dzieło za kapsułę nieśmiertelności. *Dopóki przyszłe epoki będą mogły zobaczyć efekt moich wysiłków i wymienić moje imię, będę żył wiecznie.* Dopiero w późniejszych epokach, gdy nauczyliśmy się gardzić pracą w oczekiwaniu na powrót do zabawy, nadeszły zdegenerowane czasy masowej produkcji i nudnych budynków. Ludzie, którzy stworzyli dom Madame, zasłużyli na niezły kawałek nieśmiertelności.

– Pamiętajcie – ostrzegła Carlyle'a Thisbe – jeśli ktoś zapyta, dostaliśmy ten adres od Ockhama, celem kontroli bezpieczeństwa. Nie

wiemy, skąd Ockham go wzięło. – Ruszyła przodem, trzymając senseistę za rękę i ciągnąc go za sobą jak oporne szczenię na smyczy. Jej wybór był trafny – schody dla służby, częściowo ukryte na uliczce za domem, jedne z sześciu, jako że rezydencję zaopatrywano wieloma zamaskowanymi drogami, podobnie jak stary krzak róży ma znacznie więcej korzeni niż kwiatów. – Jeśli im powiemy, że szukamy J.E.D.D. Masona, by zapytać o śledztwo, pomyślą, że mamy prawo tu być.

Mój umysł pracował na najwyższych obrotach. Groźby. Czy groźby ich powstrzymają? A kłamstwa? Mógłbym im powiedzieć, że coś się wydarzyło i musimy wracać do Bridgera, na przykład, że baszobudynek Thisbe się pali. Nie, to by nic nie dało. Mieli adres. Nawet gdyby naprawdę wybuchł pożar, wróciliby zaraz po jego ugaszeniu. Ciekawscy zawsze wracają, bez względu na to, ilu z nich trafi do piekła.

– Chcecie ich o to zapytać? A co, jeśli naprawdę tam jest?

– Jest w Aleksandrii. Eureka to sprawdziło. Jeśli o nie zapytamy, mogą nas zaprowadzić do jego znajomych, a przynajmniej zaoferować jakieś niejasne odpowiedzi. To bardzo duży budynek i nie możemy liczyć na to, że pierwsza osoba, która otworzy nam drzwi, okaże się równie użyteczna jak Czarnoprawowiec.

– Ciekawe, jak je tu nazywają – odezwał się Carlyle.

– Kogo?

– J.E.D.D. Masona. To prywatny adres. Eureka mówiło, że Dominic i Martin również zjawiają się tu bardzo często. To może być ich baszobudynek, a przynajmniej wygląda na to, że członków ich baszu często się tu ogląda. Jeśli to coś w rodzaju domu, jestem pewne, że nie zwracają się tu do J.E.D.D. Masona za pomocą niezgrabnej serii inicjałów ani nie używają tytułów. Jak myślicie? Może mówią mu po imieniu?

Przyszło mi na myśl, że mógłbym przekonać Ockhama, żeby powstrzymał Thisbe, mówiąc mu, że jej poczynania zagrażają baszowi. Posłuchałaby jego rozkazu, ale ściągnąłbym na siebie jej nieubłagany gniew, a wraz z nim niebezpieczeństwo dla siebie i, co ważniejsze, dla Bridgera. Czy było inne wyjście?

Thisbe zachichotała.

– Prawdziwe imiona J.E.D.D. Masona. To tajemnica frapująca opinię publiczną w takim samym stopniu jak pytanie, co Cardie ma w majtkach. – Czytelniku, oto dowód, że nasza epoka ma przynajmniej

jeden oświecony aspekt. Ustawa o Młodych Celebrytach, choć bardzo restrykcyjna, nie miałyby szans ochronić tych dzieci, na które padło światło reflektorów, bez pomocy ogółu, który nauczył się (z powodu jednej tragedii za dużo) przyznawać swym młodocianym ulubieńcom prywatność, o którą proszą, i ukarałby bojkotem (znacznie boleśniej niż zęby prawa) każdego dziennikarza albo gazetę, którzy ośmieliliby się skrzywdzić książąt albo księżniczki, kochane przez wszystkie basze na Ziemi jak własne dzieci. Thisbe uśmiechnęła się szyderczo. – No cóż, wiemy, że jego pierwsze imię zaczyna się na J. Po Martinie i Dominicu idę o zakład, że to również jakieś skandaliczne, starochrześcijańskie imię, jak James albo John.

– Albo Joseph – podpowiedział Carlyle. – Joshua, Jean-Baptiste...

– Nie, w tym ostatnim przypadku to byłby J.B.E.D.D. Mason.

– Pewnie macie rację. W takim razie Jean-Jacques również odpada.

Gdy tylko stopa Carlyle'a dotknęła pierwszego pomostu, jego lokalizator pisnął głośno jak syrena.

– Przyjazne ostrzeżenie od prawnej rady Kuzynów. Naszemu członkowi przypomina się, że wstęp na teren nieruchomości oraz firm przydzielonych do Czerwonej Strefy jest zabroniony. By zgłosić wniosek o pozwolenie na wizytę w ramach pomocy prawnej albo społecznej, wybierz „wniosek”.

– Czerwonej Strefy? – powtórzyła Thisbe.

– To... – Carlyle wlepił spojrzenie w ścianę budynku. Szeregi okien były zasłonięte grubymi kotarami z adamaszku albo aksamitu. – To jest burdel!

– He? – Otworzyła szeroko oczy. – Pewnie macie rację. Czy to znaczy, że nie możecie wejść do środka?

– Dziecko cesarza chodzi do burdelu!

– Czy muszę iść bez was?

– Dziecko cesarza, które nie zdało jeszcze egzaminu dorosłej kompetencji, chodzi do burdelu!

– Carlyle! – Musiała na niego warknąć. – Humanisci mogą spokojnie chodzić do Czerwonej Strefy. Czy mam iść bez was?

– Nie. Muszę tylko wyłączyć lokalizator.

Gapiała się na niego jak na idiotę.

– Czy wasza policja nie będzie zadawała pytań, jeśli wyłączycie lokalizator na progu Czerwonej Strefy? Jeśli chcecie, możemy się zameldować w hotelu. Powiecie lokalizatorowi, że wyłączacie go, bo

idziecie pod prysznic.

Senseista potrząsnął głową.

– Nie potrzeba. Mogę dostać zwolnienie, jeśli wyjaśnię, że szliście tam i chcieliście towarzystwa swego senseisty.

Kobieta zmarszczyła brwi.

– Czy to aż tak łatwe?

– No cóż... tak.

Strzeż się Czytelniku, strzeż się psów, węży i czaro... kobiet... które łąpią na Ciebie tak groźnie, jak Thisbe w owej chwili.

– To głupota! Czysta głupota! Kuzyni zakazują wszystkiego pod słońcem, ale zostawiają w swych prawach milion luk, by nikt nie musiał ich przestrzegać. Po co komu prawa, jeśli ich łamanie nie powoduje żadnych konsekwencji?

Carlyle gapił się na nią z niedowierzaniem. Ta tyrada pozbawiła ich wszelkich szans na uniknięcie uwagi gospodarzy.

– Thisbe, to nie jest pora na...

– Hipokryci! Ciągłe tylko moralizują i powtarzają, że ich prawo jest najbardziej restrykcyjne. Dominic Seneschal to szaleniec, ale przynajmniej samo wybrało sobie prawo, jakiego będzie przestrzegać, a wy zapewniacie, że jesteście bardziej restrykcyjni od Białoprawowców, ale spokojnie chodźcie sobie do burdelu!

Jej wybuch był zupełnie surrealistyczny. Można by pomyśleć, że Thisbe uważała, że to gra, że bawią się w infiltrację i że jeśli naciśnie pauzę, zasady przestaną obowiązywać i przeciwnicy zaczekają na koniec jej perory, jak mogliby poczekać, gdyby poszła do łazienki albo znaleźć sobie coś do jedzenia. Gapiący się na nią Carlyle wciąż wierzy, że niebezpieczeństwo oraz ich misja są rzeczywiste.

Przerwało im kasznięcie.

– Hmm. Czy mogę wam w czymś pomóc, szlachetne osoby?

Głos dobiegał z okna nad drzwiami na zapleczu. Stała w nim kobieta o wyglądzie harmonizującym z wyglądem całego budynku. Miała na sobie antyczną suknię o szerokiej spódnicy wzmocnionej sztywną konstrukcją. Natomiast obcisły gorset podkreślał jej płeć, prezentując piersi jak pudding na półmisku. Jego dolna granica zbiegała się w centralnym punkcie, kierując spojrzenia ku miejscu, gdzie pod oceanem tkanin krył się najbardziej zakazany element anatomii. Trudno było ocenić wiek, bo jej twarz pokrywała gruba warstwa białego pudru, na policzkach miała przesadnie różowe plamy, a usta

jaskrawo umalowane. Rzecz jasna, była też peruka, prawdziwa wieża sztywnych loków. Z jej szczytu sterczała kępa piór przypominająca siedzącego na gnieździe ptaka. Obok niej w oknie pojawiły się inne sylwetki, a przez zasłony sąsiednich spoglądały kolejne: umalowane damy, takie jak pierwsza, młodzieńcy z kręconymi kucykami, jak Dominic, oraz młode dziewczęta o zaczerwienionych skromnie policzkach, spoglądające z chichotem na stojących na schodach nieznanym, jakby to Carlyle i Thisbe były postaciami z burleski, a wszystkie te dziwolągi były normalne.

– Zgubiliście się? – zapytała pierwsza kurwa. (Czytelniku, w tym rozdziale będę nazywał rzeczy po imieniu). – Jeśli ruszycie prosto przed siebie, dotrzecie do rzeki.

– Nie – zaprzeczyła Thisbe. – Nie zgubiliśmy się. Szukamy... hmm...

– Jyyyh Masona – dokończył Carlyle, unosząc rękę, by zamaskować niewyraźną wymowę drapaniem się po nosie.

W tłumie gapiów eksplodowały plotki po francusku.

– MASONA? Obawiam się, że cesarz przed chwilą odleciał – odpowiedziała kurwa, uciszając sykiem sąsiadów. – Mam zawołać któregoś z jego sekretarzy?

– Nie, nie chodzi mi o cesarza, hmm... Mycroft powiedziało, że będą...

– Mycroft? – powtórzyła kurwa. Jej twarz rozpromieniła się nagle. – Ach! No jasne! Chodzi wam o Młodego Pana, Jehovah Masona! Przepraszam! Nie jestem przyzwyczajona, że zwracają się do niego po nazwisku. «*Sœur Heloïse!*» krzyknęła w kierunku okna na górze. «*Invitées pour Maître Jehovah!*»

Tylko Thisbe powstrzymała Carlyle'a przed upadkiem na plecy.

– Je... Jehovah?

– Zaraz zejdzie. – Kurwa się uśmiechnęła. – Przepraszam za zamieszanie. Rzadko się zdarza, żeby ktoś nowy odwiedzał Młodego Pana.

Trasę zbliżającej się Heloïse łatwo było śledzić przez okna dzięki uprzejmym ukłonom tych, których mijała. Nadal rozważałem plany mające skłonić ich do zawrócenia. Jakie możliwości mi pozostały? Z pewnością nie byli skłonni wysłuchać moich usprawiedliwień. Gdybym połączył się z prezydentem Ganymede'em, rozkazałby Thisbe zawrócić. Ona mogłaby go posłuchać, ale z pewnością nie Carlyle, który chwiał się teraz na schodach jak drzewo na wpół obalone jednym uderzeniem drwala.

– Jehovah? – powtórzył.

– Dobrze się czujecie, ojcze? – zapytała kurwa, spoglądając z niepokojem z góry na senseistę. Szminka nie tyle podkreślała kształt jej ust, ile pokrywała dwa najwyższe punkty górnej wargi na podobieństwo maleńkich poziomek. – Pobledliście. Dać wam brandy?

– Nic mu nie jest – skłamała Thisbe, starając się umieścić senseistę między własnym ciałem a delikatną poręczą. – Carlyle, oddychajcie głęboko.

Drzwi przed nimi się otworzyły, odsłaniając drobniutką kobietę – delikatną, lecz pełną energii niczym koliber.

– O niebiosa! Tak nie może być! – Natychmiast zastąpiła Thisbe, wspierając cały ciężar Carlyle’a na swych barkach, tak drobnych, że wydawało się, że zaraz złamią się pod nim. – Musicie natychmiast wejść! Wyślę po pielęgniarkę. «Candide! Cherche-toi l’infermière!» zawołała do młodzieńca gapiącego się na nią z góry.

– Nie, nic mi nie jest. – Carlyle złapał z całej siły za poręcz i spróbował się wyprostować. – To tylko małe omdlenie. Wszystko będzie w porządku.

– Jesteście pewni? – zapytała Heloïse. Twarz miała czystą i zwyczajną, cechującą się naturalną urodą, która sprawia, że księżęta pożądamy pasterek. Miała na sobie obszerną, bawełnianą suknię sięgającą kostek. Była czarna, ale kobieta nałożyła na nią biały szkaplerz. Jej szyję, brwi i czoło osłaniał czysty, biały welon, spod którego nie wysuwał się ani jeden kosmyk. Czytelniku, ilu sekund potrzebowałbyś, żeby rozpoznać zakonnice, nawet jeśli od dziewięciu pokoleń nie zauważono na ulicach ani jednej?

– Temu Kuzynowi nie dolega nic, na co nie zaradziłaby odrobina jedzenia i trunku! – zawołała z góry kurwa. – Heloïse, zaprowadźcie ich do Salonu Hogartha. Każę coś przynieść.

– Już się robi! – potwierdziła zakonnica. Choć pozwoliła Carlyle’owi iść, nie puszczała jego ramienia, prowadząc go jak prawie niewidomego wujecznego dziadka. – Tędy, ojcze.

Siostra Heloïse (nie ja) przeprowadziła ich przez próg (a paraliż wywołany paniką nie pozwolił mi temu zapobiec). Weszli do korytarza dla obsługi. Nie był on szczególnie szeroki ani wspaniały, zdobiły go tylko delikatna sztukateria oraz małe lampy zamontowane na ścianie, iskrzące się wzgardliwym, elektrycznym światłem, znacznie mniej ciepłym niż blask świec. Drzwi wprawione w ściany

wyglądały osobliwie. Wszystkie różniły się od siebie wysokością i szerokością. Niektóre były tak niskie, że trzeba by się w nich schylać, inne zaś łukowate albo przekrzywione, jakby wybito je w ścianach zupełnie przypadkowo. Powód tego stał się jasny, gdy Heloïse otworzyła najbliższe z nich. Za nimi znajdowały się kolejne, ukryte, drzwi, starannie wprawione w przestrzeń między kominkiem a słupkiem łoża, by nikt nie mógł się domyślić, którędy przybywa służba. W Salonie Hogartha panowała cisza. Stały tam obite skórą fotele oraz ręcznie robiony sekretarzyk, nad pomieszczeniem dominowało jednak wielkie łoże z baldachimem oraz dwie oprawione w ramy ryciny. Pierwsza, zatytułowana „Przedtem”, przedstawiała dżentelmena, który ciągnął opierającą się damę w stronę łoża, nie stroniąc przy tym od przemocy, natomiast na drugim, o nazwie „Potem”, dama czepiała się rozpaczliwie dżentelmena, który wstawał, by włożyć spodnie. Te dwa obrazy wywoływałyby niepokojące wrażenie w każdym miejscu, ale sprawę znacznie pogarszał fakt, że zawieszono je w pokoju wyglądającym tak samo, jak ten, który na nich przedstawiono.

– Usiądźcie, proszę. – Heloïse nalała brandy z błyszczącej karafki. Szkaplerz kołysał się u jej kolan niczym fartuch. – Proszę, ojczec, to doda wam sił. – Mówiła z takim samym akcentem jak Dominic. Francuski zmieniający lekko smak angielskiego, jak mleko zmienia smak kakao. – Wypijcie to powoli.

– Nie mówcie do mnie „ojczec”. – Byłem zdumiony, słysząc te słowa. Nie podejrzewałem, że Carlyle potrafi nadać swemu głosowi tak złowrogie brzmienie. – Czy to kostiumowy burdel?

Jej dziewicze policzki poczerwieniały.

– Tak, część domu można by tak nazwać.

– A wy przebieracie się za zakonnicę?

– Jestem zakonnicą. Siostra Heloïse. Dlaczego nie mogę mówić do was „ojczec”. Jesteście kapłanem, czyż nie tak?

– Senseistą.

– Jak mówiłam, kapłanem. – Uśmiechnęła się. – Tutaj nadajemy wszystkiemu prawdziwe nazwy. Napijcie się, ojczec. To was podniesie na duchu.

Carlyle skrzyżował ramiona na piersi w geście odmowy.

Zakonnica zmarszczyła brwi.

– A wy, madame... – spojrzała na Thisbe – ...czy może mademoiselle?

Widzę, że zaliczacie się do poddanych Jego Miłości diuka de Thouars.

– Mademoiselle – odpowiedziała Thisbe. – A jeśli macie na myśli prezydenta Ganymede’a, to tak, jestem Humanistką. – Powinienem był się domyślić, że szybko się zaadaptuje do tego nowego świata i używanego w nim słownictwa. – Jestem Thisbe Saneer. Miło mi was poznać, siostró Heloïse.

Zakonnica spróbowała dygnąć na siedząco. Jej ciasno przewiązane piersi zakołysały się pod habitem. Strój robił, co tylko mógł, by jej ciało nie nabrało kształtów, zasłaniał swymi pokręconymi fałdami jego krzywizny, ale w rzeczywistości tylko zachęcał patrzącego do ich poszukiwania, do zadawania sobie pytania, jak jędrne muszą być pośladki, by tkanina zwisała w ten sposób, albo do dopatrywania się pod nią zarysu ud i łydek.

– Ja również się cieszę, że was spotkałam. Marie-Thérèse mówiła, że chcecie się zobaczyć z Panem Jehovah?

– Tak – potwierdziła Thisbe, spoglądając groźnie na Carlyle’a, by nakazać mu milczenie. Za każdym razem, gdy słyszał to imię, podrywał się jak porażony prądem.

– Obawiam się, że Pan Jehovah przebywa obecnie gdzie indziej, zajęty ważnymi sprawami. Ale mogę poprosić, by spotkał się z wami, gdy tylko będzie miał wolne.

– To nie będzie konieczne – odpowiedziała Thisbe. – Zlecono mi sprawdzenie... Trybuna Masona celem przyznania mu pozwolenia wstępu do baszobudynku Saneer-Weeksboothów na potrzeby śledztwa, które prowadzi. Powinnam porozmawiać z jego najbliższymi znajomymi. To tylko rutynowe pytania.

– Tak? W takim razie mogę wam powiedzieć, co tylko zechcecie.

– Jesteście ze sobą blisko?

– Bardzo.

– Pracujecie tu?

Thisbe musiała zadać to pytanie.

– Mieszkam tu – odrzekła mała siostra. – I wykonuję tu swoją pracę. Opiekuję się chorymi, ceruję ubrania, wykonuję drobne zadania dla Pana Jehovah i, oczywiście, modlę się za wszystkich.

Senseista zacisnął pięści.

– Carlyle – ostrzegła go Thisbe. – Uspokójcie się. Po prostu się uspokójcie. – Westchnęła. – Muszę was przeprosić za senseistę, siostró. Dopiero niedawno poprosiłam, żeby pomogło mi w zbieraniu

informacji, a wczoraj położyło się spać nieprzyzwoicie późno. Czy mogę?

Wyciągnęła rękę i wyjęła brandy z dłoni Heloïse.

Zakonnica bez oporów oddała jej kieliszek.

– Nie ma sprawy. To naturalne, że kapłan czuje się oszołomiony w miejscu tak przepełnionym duchowością. Wielu z nich trafia podczas pierwszej wizyty do mojego szpitala. Mam nadzieję, że wasz przyjaciel nie jest aż tak delikatny.

Thisbe podsunęła kieliszek Carlyle'owi.

– Napijcie się. Potrzebujecie tego.

– Miejsce przepełnione duchowością? – powtórzył senseista. – Burdel?

– Jest też czymś więcej – poprawiła go zakonnica, promieniejąc dumą.

– Azylem przed barbarzyństwem współczesnych czasów. Nasi członkowie przybywają tu, by uciec na kilka godzin do bardziej uprzejmej i oświeconej epoki. Mogą potem wrócić do świata zewnętrznego, odświeżeni kontaktem z cywilizowanym społeczeństwem.

Carlyle skrzywił się.

– A seks?

Wydęła usta na znak dezaprobaty. Być może nigdy nie musiałeś jej znosić, Czytelniku, ale dezaprobata zakonnicy to coś naprawdę potężnego.

– Macie z nim jakiś problem?

Carlyle: Mam, jeśli podajecie się za zakonnice.

Heloïse: Zatem wy również jesteście zwolennikiem celibatu kleru?

Jej głos zabrzmiał radośnie, jakby nagle odkryła, że wywodzą się z tego samego miasteczka.

Carlyle: Nie popieram celibatu kleru, ale nie pochwalam również drwin z niego.

Thisbe: Carlyle! – Jej gniew był tak wielki, że w każdej chwili mogła nadepnąć boleśnie na palce jego nóg. – Siostro, myślę, że senseista chciałoby wiedzieć, jeśli nie macie nic przeciwko nieco niedyskretnemu pytaniu...

Heloïse: Wycierałam żółć z podłóg szpitalnych pokojów. Co znaczą słowa w porównaniu z tym?

Thisbe: W porządku. Czy jesteście prostytutką przebraną za zakonnice? Czy raczej naprawdę żyjecie w celibacie, mieszkając

w domu publicznym? Zrozumcie, proszę, moją niepewność. Czy zakonnice nie wolą mieszkać... z innymi zakonnikami?

Heloïse: Macie na myśli rezerwaty tybetański i watykański? Tamte zakonnice nie są z mojego zakonu. Poza tym tylko pewna część tego domu jest poświęcona prostytucji.

Thisbe: Rozumiem. Ale czy i tak nie ma w tym... sprzeczności?

Heloïse: Ja żadnej nie widzę.

Thisbe: Nie widzicie sprzeczności w tym, że zakonnica przebywa w miejscu tak pełnym... erotycznej aktywności?

Heloïse: Wręcz przeciwnie. Cóż mogłoby być bardziej odpowiednie? W końcu celibat jest najbardziej ekstremalnym ze wszystkich seksualnych zbroczeń.

Te słowa zwały z nóg nawet *Thisbe*.

– Słucham?

Heloïse: Seksualne pożądanie jest najczystszy i najbardziej naturalnym ze wszystkich zwierzęcych popędów. Tłumienie go w imię intelektualnej i teologicznej satysfakcji jest wypaczeniem natury w najskrajniejszym sensie. Nawet cudzołożenie w pojedynkę, z wieloma ludźmi jednocześnie, z maszyną czy z osłem albo z psem, jest bliższe intencjom natury niż abstynencja. Zgadza się?

Nastąpiła długa przerwa. Bardzo długa.

Carlyle: Diderot.

Thisbe: Słucham?

Carlyle: Cytujecie Diderota. Ten fragment o tym, że celibat jest najbardziej nienaturalny.

Heloïse: Zgadza się, ojcie! Mademoiselle Saneer, czy wasz senseista nie opowiadał wam o *le Philosophe*? Denis Diderot było wielkim filozofem, przywódcą encyklopedystów!

Żałuję teraz, Czytelniku, że nie przedstawiłem Ci *le Philosophe* w jakimś szczęśliwszym momencie. Przyznaj mi, jeśli łaska, chwilę na przedstawienie jego szlachetniejszej strony, nim na zawsze skojarzysz go z tym domem. Był sobie raz młody, inteligentny ateista nazwiskiem Denis Diderot. W jego osiemnastym stuleciu ateizm dopiero zaczynał rozkwitać, a libertyni o bystrych umysłach czekali na światło, które je poprowadzi. Diderot mógł zostać papieżem ateistów, ale odmówił przyjęcia tej pozycji, bo choć nie wierzył w żadną postać życia przyszłego, pragnął świeckiej nieśmiertelności, nie dla siebie, lecz dla zmarłych, dla marzeń i osiągnięć minionych pokoleń oraz dla swego

świata. Jego kamieniem filozoficznym miała się stać książka. Jej druga połowa zawierała techniczne schematy przedstawiające wszystkie technologie wynalezione przez ludzkość: tkanie jedwabnych pończoch, wyżarzanie metalu, wypalanie cegieł. Mając jej egzemplarz, nawet najnędzniejszy wieśniak mógłby odtworzyć wszystkie narzędzia cywilizacji. Pierwsza połowa w ten sam sposób opisuje idee. Dzięki temu, gdyby na Ziemię powróciły ciemne wieki, ale choć jeden egzemplarz tej księgi by przetrwał, można będzie odtworzyć wszystkie osiągnięcia rasy ludzkiej – od wytapiania brązu aż po pojęcie wolności. Diderot nadał swemu talizmanowi nieśmiertelności nazwę *Encyclopédie*. Obawiając się, że jego osobiste przekonania mogą ściągnąć na całe przedsięwzięcie gniew władz, dobrowolnie ocenzurował własną pracę i nie opublikował żadnych rewolucyjnych ateistycznych manifestów, na jakie liczyli sceptycy z jego epoki. Publiczność, która nazwała Woltera *le Patriarche*, Diderotowi nadała miano *le Philosophe*. Był Filozofem, strażnikiem i opiekunem wszystkich filozofów oraz wszelkich myśli. Dumny tytuł „Arcyheretyka”, na który z pewnością zasłużył, pozostawił innym – Machiavellemu, Hobbesowi, niezrozumianemu Spinozie oraz de Sade’owi. Czy potrafisz sobie wyobrazić szlachetniejszy uczynek, Czytelniku? Wyrzekł się szansy dodania swego głosu do wielkiej rozmowy ludzkości, by chronić samą rozmowę.

– I siedział w więzieniu za pisanie pornografii o zakonnicach – warknął Carlyle, przesywając ją wściekłym spojrzeniem.

Heloïse nie przejęła się tymi słowami.

– Zaiste, to prawda. Pięknej, skomplikowanej, filozoficznej pornografii o zakonnicach. Czytałam tę książkę kilka razy. – Obdarzyła senseistę szczerym uśmiechem. – Nie obawiajcie się, ojczy. Nie drwię z tych, których strój naśladuję. Choć dochodzi tu do aktów seksualnych najprzeróżniejszych rodzajów, sama w nich nie uczestniczę. Mamy tu też muzykę, malarstwo, naukę i debaty, a jeśli nawet oddajemy się cielesnym przyjemnościom, to wyłącznie w ścisłej harmonii z innymi ich rodzajami i w częściach domu, których nie odwiedzam.

Carlyle posłuchał głosu rozsądku i nie prowokował jej już więcej. Gniew, podobnie jak zawiść, niecierpliwość, chciwość i żądza, spływają z Heloïse jak szron po płomieniu, a rozdeptywanie tych małych demonów jest dla niej źródłem dumy. W jednej sprawie nie

zamierzał jednak ustąpić.

– Prosiłom, żebyście nie mówili do mnie „ojcze”?

– Przepraszam. Czy wolicie „doktorze”?

– Ani jedno, ani drugie. Jestem senseistą, nie kapłanem.

Jej brwi, w tych częściach, których nie zasłaniał welon, ściągnęły się smutno.

– Czy nie poświęciliście życia swemu Bogu?

Thisbe wcisnęła kieliszek w dłonie Carlyle’a.

– Napijcie się. Potrzebujecie tego.

Obie kobiety spoglądały na niego wyczekująco, ale senseista wpatrywał się we własne odbicie w bursztynowym trunku, jakby szukał ucieczki w czymś, co jedynie w tym pokoju nie było szalone.

– Dominic Seneschal również odwiedza to miejsce, prawda? – zapytał. Czy ono również tu pracuje?

Twarz siostry Heloïse przybrała wyraz radosny i niespokojny zarazem, jak matka rozpaczliwie spragniona wieści o dziecku, które uciekło z domu.

– Czy macie jakieś wieści od brata Dominica? Bardzo się o niego niepokoiimy.

– Brata Dominica?

Thisbe rozciągnęła usta w wymuszonym uśmiechu.

– Przykro mi, siostrzo Heloïse, ale nie wiemy, gdzie jest obecnie Dominic Seneschal ani gdzie przebywało przez kilka ostatnich dni. My również go szukaliśmy.

– Rozumiem – odparła zakonnica, nie mogąc stłumić westchnienia.

– Dobrze znacie Dominica?

– Wychowywaliśmy się tu razem.

– I oboje pracujecie dla Jed... Jehovah...

– Możecie go tu nazywać księciem D’Arouet, jeśli jego prawdziwe imię jest dla was krępujące.

– Tak czy inaczej, czy wy i Dominic pracujecie dla niego?

– Czy pracujemy dla *mon Seigneur* Jehovah? O nie. Oddajemy Mu cześć jako Bogu.

Nawet Thisbe potrafi udawać spokój tylko do pewnego stopnia.

– Słucham?

– Dominic zmierza własną ścieżką. Jeśli zaś chodzi o mnie, jestem dziewczicą konsekrowaną *mon Seigneur* Jehovah i poświęcam swe godziny kontemplacji Jego boskich tajemnic oraz dobrym uczynkom

spełnianym w Jego święte imię. Ponieważ *mon Seigneur* Jehovah osobiście zaakceptował moje poświęcenie, uważam się za najszczęśliwszą z kobiet, mimo że z pewnością nie zasługuję na taki zaszczyt. We wczesnych latach życia byłam bardzo niedobrym dzieckiem. Byłam krnąbrna, samolubna i pełna perfidnej zazdrości. Wychowywałam się w tym domu, nie pośród zwyczajnych dzieci, lecz jako jedna z wybranych, poddanych najściślejszej dyscyplinie. Dano mi wielu mądrych i wyrozumiałych nauczycieli, ale nie potrafiłam docenić ich wysiłków. Oferowali mi lekcje muzyki, geometrii, matematyki i filozofii, zapoznawali z dziełami historyków, poetów i mówców, z łaciną, greką i francuskim, a także z utworami wszystkich autorów odpowiednich dla młodych, wrażliwych dam. Ale ja zaczęłam gardzić tym wszystkim, wołając komplementy mężczyzn. Ich ciche słowa schlebiały mojej próżności i zaczęłam się uważać za najpiękniejszą z dziewcząt, co było podwójną próżnością, bo uważałam się za lepszą, a jednocześnie przywiązywałam nadmierną wagę do wyglądu zewnętrznego, jakby prawdziwe piękno kryło się w twarzy i w ciele. W swej niegodziwości nie dbałam o logikę Filozofa, moralność Mówcy i światło Teologa (miała na myśli Arystotelesa, Cyncerona i Świętego Tomasza z Akwinu), dopóki miałam zalotników, których mogłam kusić, i rywalki, które mogłam pokonywać.

W tym punkcie sprzeciwiasz się, niecierpliwy Czytelniku. *Mycrofcie, za głęboko pogrążyłeś się w swym osiemnastym wieku. Ta historia całego życia opowiedziana w jednej bezładnej przemowie mogłaby się zdarzyć w dialogach stworzonych przez twojego Patriarchę albo twojego Filozofa, ale nie w realnym życiu. Żadna zdrowa na umyśle osoba nie opowiada swej autobiografii spotkanym przed chwilą nieznanym i żaden słuchacz, nawet tak oszołomiony jak Carlyle i Thisbe, nie przesiedziałyby czegoś takiego w milczeniu.* Nie wierzysz mi, Czytelniku? W takim razie przyjdź do gabinetu dobrej siostry Heloïse i poproś, by opowiedziała ci o swej wokacji. Przekonamy się, czy masz siłę woli potrzebną, by przerwać zakonnicę.

Heloïse mówi dalej:

– Z biegiem czasu zaręczono mnie z dobrym, wartościowym mężczyzną i starałam się skierować wszystkie swe uczucia na tego, kogo mi przeznaczono. Gdy jednak poczułam, że młodość we mnie rozkwita, moje namiętności skierowały się, niepowstrzymanie jak woda wypływająca ze źródła, nie ku narzeczonemu, lecz ku *mon*

Seigneur Jehovah. Rzecz jasna, wszystkich w tym domu, od moich braci i sióstr aż po najskromniejszą pomywaczkę, *mon Seigneur* Jehovah wypełnia najwyższą bojaźnią, albowiem to On jest Filarem i Latoroślą naszego świata, najszlachetniejszym z książąt, najbardziej nieomylnym z logików, najbardziej współczującym z przywódców i najprzenikliwszym z filozofów. Z łatwością zauważyłam jednak, podobnie jak wszyscy, którzy mnie otaczali, że moje uczucia do Niego są znacznie silniejsze niż cześć, jaką otaczał go tłum. Zdarzały się dni, gdy mogła wstać z łóżka jedynie dzięki nadziei, że ujrzę Go w korytarzu. Natomiast dni, gdy obowiązki nie pozwalały Mu wrócić do domu, wypełniały mnie najgłębszą rozpaczą. Znając własne obowiązki, próbowałam przegnać tę miłość ze zbuntowanego serca. Ta batalia odebrała mi szczęście i zdrowie. Wkrótce padłam ofiarą wyniszczającej choroby, która skazała mnie na długi pobyt w łóżku i omal nie wpędziła do grobu. W pierwszej chwili nie chciałam zdradzić przyczyny swych dolegliwości, ale nie byłam aż tak krnąbrnym dzieckiem, by nie odpowiedzieć Madame, gdy prosiła mnie o to z matczynymi łzami. Zachęcona przez nią wyznałam prawdę narzeczonemu, wyjaśniając, że choć na zawsze zachowa miejsce w moim sercu, miłość, jaką go darzę, stała się raczej oddaniem córki dla ojca niż uczuciem damy dla męża i pana. Serce tego wielkiego człowieka, który omal nie został moim mężem, jest tak pełne miłości i współczucia, że wybaczył mi i przyjął oddanie córki w miejsce miłości żony, a żeby uratować swe nowe dziecko ze szponów choroby, zgodził się porozmawiać z *Seigneur* Jehovah, z którym łączą go więzy pokrewieństwa, i opowiedzieć Mu o mojej miłości. Ścieżki mojego Pana są niezbadane. Z początku mi nie odpowiadał i ani mój nowy ojciec, ani Madame, ani nikt w domu nie potrafił zrozumieć Jego motywów. Zamknął się w bibliotece, dokąd nie wolno wchodzić nikomu poza najbardziej zaufanymi sługami. W swej rozpaczce zapadłam w sen tak bliski śmierci, że pielęgniarki nieraz myślały, że już odeszłam. *Mon Seigneur* Jehovah uratował mnie jednak, gdy wyszedł ze swej izolacji i, ku wielkiej zazdrości moich sióstr, które nigdy nie usłyszały z Jego błogosławionych ust więcej niż kilka sylab, sprezentował mi Księgę Złotych Myśli, którą skompilował osobiście. Każdą jej stronę wypełniały cytaty z największych starożytnych mędrców z uwagami najbardziej wnikliwych komentatorów, a także fragmenty Jego własnej boskiej Mądrości.

Wszystko to setką różnych głosów opisywało najradośniejszą i najsurowszą Drogę, niemal całkowicie zarzuconą w tym samolubnym wieku, zakonne powołanie. Natychmiast uświadomiłam sobie własne szaleństwo. Pod wpływem młodzieńczego zapału wyobraziłam sobie, że *mon Seigneur* Jehovah mógłby się stać obiektem przyziemnej, doczesnej miłości. Płonący we mnie ogień, który błędnie uznawałam za pospolitą namiętność, był w rzeczywistości zwiastunem prawdziwszego płomienia duchowego oddania i, karmiony dobrym paliwem dyscypliny i cnoty, mógł się z czasem upodobnić do eterycznej jasności, która czyni ludzi najszcześniejszymi ze zwierząt, albowiem za wszystkich stworzeń żyjących na Ziemi wyłącznie my możemy aspirować do zrozumienia Boskości. Wszyscy cieszyli się z mojego powołania i z powrotu od bram śmierci. Madame postarała się, bym bezzwłocznie przeszła inicjację, i od tego czasu jestem konsekrowana mojemu Panu Bogu Jehovah. Nasz związek jest znacznie potężniejszy niż jakiegokolwiek ziemskie małżeństwo. Nigdy nie zboczyłam ani nawet nie myślałam o zboczeniu z tej trudnej ścieżki, która dla mnie jest największym szczęściem.

Skończyła mówić i zapadła w modlitewne milczenie. Jej twarz wyrażała delikatną duchową radość. Słuchacze nie mieli pytań. Czy raczej, co bardziej prawdopodobne, mieli ich mnóstwo, ale nie wierzyli, by ta szalona kobieta na nie odpowiedziała.

– *Sœur* Heloïse, odsuńcie się, proszę, od tych intruzów.

Carlyle i Thisbe nie byli jedynymi osobami, które nie potrafiły się zdobyć na to, by przerwać zakonnicy, ale gdy wreszcie skończyła, główne i ukryte drzwi otworzyły się gwałtownie i dżentelmeni wypełnili pomieszczenie niczym napływająca nagle woda. Nie potrafię sobie przypomnieć, ilu ich było, powiedzmy pięciu albo siedmiu, jeśli wolisz, wszyscy przebrani zgodnie z wymogami domu – jedwab spowijający szyje, eleganckie kamizelki, frakowe marynarki, bryczesy, drogie tkaniny i jeszcze droższy krój, a także szpady u boków (tylko w połowie dekoracyjne). Bryczesy były obcisłe, skrojone znacznie precyzyjniej, niż wymagała tego uniseksowa moda obowiązująca na zewnątrz. Dawny styl wymagał też przyciągających wzrok wypukłości w miejscu, gdzie powinny się znajdować męskie narządy – nawet u tych, którzy nie mieli tam nic poza kobiecym krocem. Tak jest, Czytelniku, część tych dżentelmenów miała kobiece ciała. Piersi schowały zgrabnie pod kamizelkami, ale wychowanie pozostawiło

w nich bardzo niewiele kobiecych cech, podobnie jak u szczenięcia wychowanego wśród wilków nie znajdzie się wiele psiej wierności. Sforą dowodził najgwałtowniejszy, choć nie najwyższy dżentelmen. Marynarkę i bryczesy miał czarne, kamizelkę zieloną, wyszywaną miedzianą nicią, cerę bladą, typową dla Europejczyków, a w jego włosach dostrzegało się nuty czerwonego ognia.

– Kawalerze – przywitała go Heloise. – Czy jest jakiś problem?

– Tych dwoje weszło tu pod fałszywym pretekstem – oznajmił.

– Słucham?! – zawołał Thisbe, udając trwogę. – Ach, zapomniałam pokazać upoważnienie. Jestem taka zapominalska!

Zaczęła ściągać je przez lokalizator.

Kawaler podszedł bliżej, a pozostali podążyli za jego przykładem, jak sępy otaczające padlinę.

– Nikt nie podałyby wam tego adresu.

– Dostałam go od Ockhama Saneera. Jestem...

– Nieprawda. – Kawaler uśmiechnął się szeroko. – Proszę pójść z nami.

– Muszę sprawdzić...

– Bądźcie tak uprzejmi i chodźcie z nami.

Heloise zajęła pozycję między senseistą a napastnikami. Wyglądała jak wątlý płót z wikliny próbujący powstrzymać szarżującego byka.

– Tych dwoje powierzono mojej opiece, kawalerze. Czekamy razem na *mon Seigneur Jehovah*.

– W takim razie pozwólcie, że zdejmę z waszych ramion to brzemię, *sœur Heloise*. – Usta kawalera rozciągnęły się w uśmiechu tak złowieszczy, że zaimponowało to nawet Thisbe. – Nie chciałbym, żeby taki drobiazg odciągał waszą uwagę od świętych obowiązków.

Żaden wyrzeźbiony anioł nie uśmiecha się tak pogodnie.

– To nie jest brzemię, kawalerze.

– W takim razie uciążliwość – poprawił się. Niegodna tego, byś poświęcała jej swój czas.

Zakonnica przesunęła spojrzeniem po przybyszach. Magia jej wzroku sprawiła, że dłonie odsunęły się od rękojęści, a twarze rozciągnięte w złośliwych uśmieszkach spoważniały.

– Kapłan jest chory – oznajmiła. – A pomaganie chorym zalicza się do najważniejszych z moich obowiązków.

– W takim razie, dobra siostró, musicie mi uwierzyć, że będziecie mogli spełnić ten obowiązek we właściwym czasie. Ja również muszę

spełnić swój obowiązek, którym jest strzeżenie tego domu. Pod nieobecność brata Dominica to zadanie przypadło mnie.

Nim Heloïse zdążyła odpowiedzieć, z korytarza dobiegł krzyk i rozległ się odgłos szybkich kroków.

«*Sœur Heloïse! Sœur Heloïse! Dans le salle des duels, Sénateur Chang est gravement blessé!* (W sali pojedynkowej senator Chang został poważnie ranny).»

Natychmiast otworzyła drzwi.

«Gravement? (Poważnie?)»

«Oui!» odpowiedziała zapłakana trzynastoletnia dziewczyna. «*Et tout les docteurs sont occupés en bas. Viens vite!* (Tak, a wszyscy lekarze są zajęci na dole. Chodźcie szybko!)»

Nie wątpiłem, że kawaler postarał się, by wypadek wydarzył się w odpowiedniej chwili, ale te same zasady uprzejmości, które zabraniały jego ludziom użyć przemocy w obecności siostry, nie pozwalały jej również odmówić pomocy potrzebującemu.

– Musicie mi wybaczyć, ojcze i mademoiselle Saneer. Jestem pilnie potrzebna gdzie indziej. Wrócę do was, gdy tylko będę wolna. – Zmusiła kawalera do spojrzenia jej prosto w oczy, co nie było łatwe. – Zaopiekujecie się tą dwójką, jako gośćmi *mon Seigneur Jehovah*?

Kawaler uniósł urękawiczoną dłoń, jakby składał przysięgę.

– Zajmę się nimi tak, jak nakazują mi obowiązki.

Mała siostra nie była głupia.

– Czy mam wasze słowo, że nie stanie się im nic złego, kawalerze?

Jej nieustępliwość wyraźnie go irytowała.

– Proszę bardzo, macie moje słowo. A teraz uciekajcie, siostro. Krew nie czeka.

Uśmiechnęła się uspokajająco do obojga zatrzymanych.

– Możecie zaufać kawalerowi. Dotrzyma słowa. Życzę wam szczęścia.

Oddaliła się, a dobre wychowanie odeszło wraz z nią.

– Na czym to stanęliśmy? – zapytał kawaler. – Aha, bezprawne wtargnięcie.

– Hej, popatrzcie, kapłan to Kuzynka. – Trzech napastników złapało za luźne końce szaty Carlyle'a, jak bandyci bawiący się ze strojem dziewczyny, którą zamierzają rozebrać. – Z pewnością nie powinna tu przychodzić.

Muszę znowu Cię przeprosić, Czytelniku. Przyzwyczyłeś się już, że opisuję Carlyle'a jako mężczyznę, ale w tym domu wszystkich

Kuzynów uważa się za kobiety, a nie nakazano jeszcze, by zrobić dla niego wyjątek.

– Cieszą się, że udało się wam wyrwać na swobodę, Kuzynko?

Jeden z ludzi kawalera wyciągnął rękę, jakby chciał pogłaskać Carlyle'a po zwisających swobodnie włosach, ale zamiast tego wyrwał mu z ucha wyłączony lokalizator i odsunął rękę poza zasięg senseisty.

– Hej! – zaprotestowała zaskoczona Thisbe. – Tak nie wolno!

Kawaler miał nie tylko szpadę, lecz również laskę. Machnął nią teraz, zręcznie i złowieszczo.

– Obawiam się, że nie możecie ustalać zasad obowiązujących w cudzym domu, mademoiselle Intruz.

Thisbe wstała. W swych butach była tak wysoka, że patrzyła kawalerowi niemal prosto w oczy.

– Czerwona Strefa czy nie, nawet Czarne Prawo zabrania wyjmowania lokalizatorów!

Kawaler popatrzył na pozostałych. Wszyscy ryknęli ochryłym śmiechem, jakby Thisbe rzuciła znakomity żart.

– Nie sądzę, byście chcieli w tej chwili odwoływać się do prawa, mademoiselle Intruz. Wtargnęliście na Obszar Najwyższej Ochrony Sojuszu Romanowańskiego, za co grozi kara... – Spojrzał na towarzyszy. – Ile to jest dla Humanistów? Pięć lat?

– Od pięciu do piętnastu lat więzienia albo pięćset tysięcy euro grzywny – odpowiedział jeden z nich.

Ta odpowiedź przywróciła policzkom kawalera różową barwę.

– Oczywiście, jeśli nie zamierzaliście wyrządzić żadnych szkód, możemy przymknąć na to oko. Pod warunkiem, że przekonacie nas w odpowiedni sposób.

Podobnie jak Lesley Thisbe nie ma praktyki w uchylaniu się, gdy jedno z tych stworzeń uderza z szybkością węża, by pocałować ją w rękę. Zarumieniła się tak intensywnie, że można to było zobaczyć nawet na jej ciemnych, indyjskich policzkach. Zmieniła też pozycję. Wyprostowała się, jakby przypomniała sobie o ciele ukrytym pod jedwabnym garniturem i swej dumie z niego. Spojrzała na Carlyle'a, który podciągnął nogi na krzesło, jakby było małą tratwą otoczoną przez krążące w wodzie rekiny.

– Jaki rodzaj perswazji macie na myśli? – zapytała.

Kawaler pochylił się ku niej, zamykając na chwilę oczy, jakby chciał poczuć zapach szamponu, którego używała.

– Chodźmy, może uda się nam znaleźć któregoś z domowych multiprawników. Z pewnością potrafią coś nam doradzić. A kto wie, może po drodze sami coś wymyślimy?

Uniósł rękę, by pogłaskać kobietę po policzku. Pochylał się nad nią tak blisko, że ich uda dzieliły ze sobą ciepło. Thisbe zamarła w bezruchu, jak ongiś Mercer Mardi, która miała nadzieję, że zabójca nie zauważy jej w cieniu.

– Thisbe – odezwał się Carlyle. – Skorzystajcie z lokalizatora. Musicie wezwać pomoc.

Gdyby spojrzenia mogły zabijać, to byłby kres jego doczesnej egzystencji.

– Wątpicie w moje słowo, senseisto? – Kawaler zwrócił się w jego stronę. – Obiecałem siostrze Heloïse, że nic wam się nie stanie.

– Thisbe! – spróbował raz jeszcze Carlyle.

– Thisbe – powtórzył kawaler, ponownie całując jej dłoń, a potem posuwając się powoli w górę ręki. – To cudowne imię. Więcej rodziców powinno wykazać się odwagą i nadawać córkom imiona kobiet, dla których mężczyźni oddawali życie.

Myśli i adrenalina kłębiły się w jej umyśle, gdy pocałunki zmierzały stopniowo ku jej szyi. Uciekaj, mówiła Cnota. Odtrąć jego rękę. Kopnij go w to aż nazbyt widoczne krocze. Walcz. Przywołaj, na co pozwala ci lokalizator, straszliwe i natychmiastowe prawo, którego przedstawiciele spadną z nieba jak gwałtowne anioły i zabiorą cię od tego niezwykłego mężczyzny, zaczynającego się czerwienić tak samo jak ty.

– A co z moim senseistą? – zapytała z uśmiechem.

Kawaler spojrzał na Carlyle’a jak na niechciane rodzone.

– Kuzynka jest chora, tak? Niech chwilę odpocznie. Moi towarzysze zapewnią jej opiekę.

– Thisbe! – zawołał senseista, gdy trzech z nich zacisnęło pięści na jego ubraniu, jakby chcieli rozpakować prezent urodzinowy. – Musimy stąd uciekać!

– Stójcie! Ten senseista należy do Julii Dorii-Pamphili!

Gdy wpadłem do środka, byłem tak zdyszany, że nie mogłem powstrzymać głosu od przejścia w krzyk. Zdążyłem na czas, choć z największym wysiłkiem.

– Mycroft?

Thisbe, Carlyle i kawaler jednocześnie zawołali mnie po imieniu, po

czym popatrzyli z zaskoczeniem na siebie nawzajem.

– Carlyle to uczeń Julii – powtórzyłem, nie przestając sapać. – A ta Humanistka zalicza się do uprzywilejowanych dworzan Jego Miłości diuka de Thouars. Oboje nie chcieliby, żeby zepsuto ich ludzi.

Towarzysze kawalera pośpiesznie puścili Carlyle’a, a ich dowódca obrócił się w moją stronę, tym samym ruchem biorąc Thisbe w ramiona.

– Dlaczego sami tego nie powiedzieli?

– Dlatego że po raz pierwszy znaleźli się w cywilizowanym świecie i nie poznali jeszcze jego zwyczajów. – Zdjąłem z pleców ciężki worek z ubraniami. – Mam ich zaprowadzić do Madame.

Szybko myślący Carlyle wykorzystał chwilę spokoju i złapał za swój lokalizator.

Kawaler uniósł wyskubane brwi.

– Madame ich oczekuje?

– Z niecierpliwością, kawalerze.

Westchnął z głębokim przygnębieniem.

– Niestety, droga Thisbe, tego wezwania nie sposób odrzucić. – Nie chciał jednak jej opuścić, nie zdobywając przynajmniej jednego pocałunku. Nie śpieszyło mu się, pocałunek trwał tak długo, że sukub mógłby w tym czasie wyssać duszę z ofiary, gdyby taki był jego zamiar. Potem się uśmiechnął, ale Thisbe uśmiechnęła się głębiej. – Może innym razem.

Kawaler skinął głową do swych ludzi, nakazując im podążyć za sobą, i opuścił pokój. Myliłem się, twierdząc, że w jego kompanii nie znalazłoby się śladu kobiecości. Wszyscy jego ludzie, mężczyźni i kobiety, poruszali się z wystudiowaną gracją, jaką zwykliśmy kojarzyć z damami i tancerkami, i trzymali szpady z równym wdziękiem, jak te pierwsze trzymają wachlarze. Wychodząc, kawaler obrzucił jeszcze mój mundur usługowca pełnym należytej pogardy spojrzeniem.

– Nie możecie pozwolić, żeby klienci zobaczyli was w korytarzach w tym ubraniu – ostrzegł.

– Nie zrobię tego, kawalerze.

Nie mogę skomentować jego pożegnalnej miny, albowiem nie wolno mi patrzeć bezpośrednio na kogoś o jego randze. Ukłoniłem się nisko i zamknąłem za nim drzwi.

– Co tu robicie, Mycrofcie? – zapytała Thisbe. Nie... jej złowrogi ton

sugerował raczej rozkaz niż pytanie.

Nie chciałem na nią spojrzeć.

– Tutaj o wszystkim decyduje patronat. Jeśli macie kłopoty, powołajcie się na najwyższą rangą osobę, z którą coś was łączy.

– Śledziliście nas czy byliście tu już przedtem?

– Rozkazano mi zaprowadzić was do Madame. W wewnętrznych pomieszczeniach noszenie współczesnych strojów jest zabronione. Musicie włożyć to, co przyniosłem, bo nie miałem czasu znaleźć nic, co by pasowało.

Wyciągnąłem z worka dwa sięgające podłogi płaszcze z ciemnoczerwonego aksamitu. Miały kaptury i były wystarczająco grube, by stłumić dźwięki.

– Od jak dawna znacie tych ludzi, Mycroftcie? – naciskała Thisbe. – Mycroftcie, zadałam wam pytanie.

– W obecności Madame nie wolno nosić broni – wyrecytowałem. – Możecie mi ją oddać. Zwrócę ją wam, kiedy będziecie opuszczać dom.

Thisbe skrzyżowała ramiona na piersiach.

– Odpowiedzcie mi, Mycroftcie. Radzę, byście zrobili to dobrowolnie.

Zbliżyła się o krok, wypełniona groźbą.

Westchnąłem.

– Zauważyłam was, gdy Carlyle przybyło do Paryża. Nie powinniście tu przychodzić. Ze wszystkich miejsc na świecie tu przede wszystkim nie powinniście przychodzić.

– Wiedzieliście o tym miejscu – oskarżył mnie senseista.

– Oczywiście. – Rzuciłem im płaszcze. – Gdzie J.E.D.D. Mason, tam i ja.

– Jehovah Mason – poprawił mnie Carlyle. – O tym również wiedzieliście?

Ukryłem twarz, zanurzając głowę w worku, by wyciągnąć swój kostium.

– Powiedzcie mi, że nie użyliście komputerów systemu transportowego, żeby tu trafić.

Milczenie Thisbe było wystarczającą odpowiedzią.

– Powiedzcie, że dostaliście adres ode mnie. – Spojrzałem jej prosto w oczy. – To ważne, Thisbe. Nie chcemy, by władze jeszcze bardziej zainteresowały się bezpieczeństwem waszego baszu. Jeśli ktoś was zapyta, powiedzcie, że podaliście mi narkotyk i zdradziłam wam ten adres, kiedy byłam półprzytomna. To ja byłam słabym ogniwem, nie wasz basz. Jasne?

Tym razem jej milczenie wyrażało zgodę.

– Musimy działać szybko – kontynuowałem. – Kawaler z pewnością zostawił jednego ze swych dżentelmenów na zewnątrz, by się upewnić, że naprawdę zaprowadzę was do Madame. Włóżcie płaszcze.

Thisbe uparcie unosiła strój przed sobą.

– Kto to jest Madame?

– Właściciel tego miejsca. Proszę, potraktujcie poważnie to, co wam powiem. Prędzej zginę, niż pozwolę wam spotkać się z Jehovah. On w dwie minuty wyciągnąłby z was prawdę o Bridgerze. To się nie zdarzy, póki żyję.

Wyczytałem w oczach ich obojga, że mi uwierzyli.

– Pogłoski o waszym przybyciu dotarły już do Madame. Rozkazano mi was przyprowadzić. Miejmy nadzieję, że to spotkanie zaspokoi waszą... – Zaczerpnąłem głęboko tchu. – Nie powinniście tu przychodzić, naprawdę nie powinniście. Ale im szybciej się zjawimy, w tym lepszym humorze będzie Madame, a w tej chwili jej dobry humor jest jedynym, co może was uratować przed... konsekwencjami.

Thisbe włożyła płaszczyz. Aksamit ukrył każdy centymetr jej ciała.

– W takim miejscu spodziewałabym się też masek, jak podczas karnawału.

Potrząsnąłem głową.

– Macie za niską rangę na maski. Carlyle, włóżcie płaszczyz.

Łypnął na mnie ze złością.

Thisbe w odpowiedzi przeszyła go równie groźnym spojrzeniem.

– Carlyle, w tej chwili nie mamy czasu na waszą obsesję na punkcie Mycrofta Cannera! Zaufacie Mycroftowi czy wolicie zostać tutaj i pozwolić, żeby was zgwałcili?

Gdyby senseista miał zwyczaj przeklinać, zrobiłby to w tej chwili.

– Zgwałciliby nas oboje, prawda? Wasi przyjaciele?

Nie miałem czasu na dyskusję o różnicy między przyjaciółmi a lepszymi od nas. Miałem już na ustach słowo „nie”, gdy nagle uświadomiłem sobie, że to może być moja szansa. Mogłem zastraszyć oboje, wymyślić coś okropnego, tysiącrotnie przekraczającego granice rzeczywistości, ale brzmiącego wiarygodnie w tym surrealistycznym miejscu. Wtedy może wreszcie stąd uciekną.

– Zgwałciliby was na wszystkie możliwe sposoby – zacząłem. Moja wyobraźnia pracowała na pełnych obrotach. – Wszyscy po kolei. A potem związałiby was i zawołali kurwy z dołu, żeby zmusić was do

uczestnictwa we wszystkich odrażających aktach, jakie można sobie wyobrazić. Prawo mówi, że mamy do czynienia z gwałtem tylko wtedy, gdy na końcu nadal mówicie „nie”, a oni dopilnowaliby, żebyście nie mogli tego zrobić. Posłużyliby się ekstremalnym bólem i przyjemnością, aż wreszcie zgodzilibyście się na wszystko. Takim specjalistom jak oni wystarczyłaby niespełna godzina, by skłonić was do wysłania do baszu i współpracowników wiadomości, że wyjeżdżacie na wakacje. Nikt nie szukałby was przez parę tygodni. Później zawlekliby was do psiarni, gdzie zaczęłaby się prawdziwa robota. Nim weszliby do środka, zaczęliby się zakładać o to, kto pierwszy zdoła zmusić was do zaprzędania się i zostania Czarnoprawowcem. A gdybyście to zrobili, nigdy już nie opuścilibyście tego budynku. A teraz włożcie płaszcz i pozwólcie mi was uratować.

Czekałem, by się przekonać, czy moje fantazje odniosą pożądany skutek. Carlyle pobladł. Złapały go mdłości. Po chwili zdecydował się na płaszcz.

Odetchnąłem z ulgą.

– Broń, Thisbe? – zażądałem, podsuwając jej pusty worek.

Oczy Carlyle’a przerodziły się z wąskich z nienawiści w szeroko otwarte jak u dziecka, gdy przyglądał się, jak Thisbe wyciąga z rozmaitych ukrytych miejsc solidny nóż, drugi solidny nóż, ogłuszacz, paralizator, i trzy granaty hukowe.

– Thisbe, co...?

– Mój basz ma kluczowe znaczenie dla światowego ładu, pamiętacie? Nie tylko Ockham i Cardie ćwiczą sztukę samoobrony.

Wkładała kolejno do worka wszystkie cenne elementy swego arsenału.

Żałowałem, że muszę to robić na oczach Carlyle’a, naprawdę żałowałem.

– Całą broń, Thisbe.

Do jej oczu w jednej chwili powróciła śmiertelna nienawiść.

– W tych korytarzach co trzy metry rozmieszczono skanery bezpieczeństwa – naciskałem. – Dowiedzą się. Przykro mi. Oddam ci je wszystkie. Przysięgam na Apolla Mojave.

Nawet po tych słowach musiała zaczerpnąć trzy razy głęboko tchu, nim pogodziła się z nieuniknionym. Uklęła.

– Thisbe! – zawołał Carlyle. – Co robicie...?

– Nie pytajcie.

Mechanizmy zamykające zasyczały przeciągle. Kobieta zdjęła buty. Carlyle pochylił się nad nią.

– Thisbe...

– Powiedziałam: nie pytajcie! Włóżcie ten pierdolony płaszcz, nim pograżymy się przez was jeszcze bardziej! – Kobieta włożyła buty do mojego worka, delikatnie jak matka kładzie dziecko do łóżeczka, a potem odwróciła się błyskawicznie, by wyładować gniew na senseiście. – Nie chcę już słyszeć od was ani jednego słowa. Jasne, Carlyle? Ani o Mycroftcie, ani o kostiumie. Mycroft ratuje waszą głupią dupę i będziecie wykonywać wszystkie jego polecenia, dopóki nie opuścimy tego domu!

– Kostiumie? – powtórzył Carlyle, ale po chwili zrozumiał, o co jej chodziło.

W worku znajdował się również strój dla mnie, mający zasłaniać cętkowany mundur usługowca – prosty, szarobrązowy habit franciszkanina. Dla Ciebie jeden zakonnik zapewne niczym się nie różni od drugiego, ponieważ w naszych szkołach nie uczy się o rozmaitych formach obłędu, które dotknęły licznych założycieli zakonów. Franciszek był świętym nad świętymi i szaleńcem nad szaleńcami. Rozmawiał z ptakami, karał własne ciało biczem i lodem, odrzucał gościnę pobożnych gospodarzy, by żebrać o jedzenie na ulicach, odmówił kierowania założonym przez siebie zakonem, domagając się, by to jego zwolennicy mu rozkazywali, żeby mógł się nauczyć cnoty posłuszeństwa, i trzeba mu było stanowczo nakazywać, by jadł i spał, bo w przeciwnym razie zniszczyłby swe grzeszne ciało, wymierzając mu nadmierne kary. Franciszkanie utrzymują się wyłącznie z datków, nie mają na własność niczego, ani własnych klasztorów, ani talerzy i kubków, ani nawet butów na nogach. Carlyle wiedział to wszystko i zadrżał, gdy zobaczył, jak szarobrązowy habit wsuwa się na mój cętkowany uniform.

– Chodźcie. – Otworzyłem drzwi. – Nie mamy już czasu.

Podążyli za mną cisi ze strachu. W korytarzu czekał na nas nie jeden człowiek, lecz było ich trzech i siedzieli na długiej ławie obitej różowym atłasem i ozdobionej guzikami ciągnącymi się wzdłuż niej jak pępki na nieskończenie długim torsie. Ławka zajmowała całą ścianę korytarza, od początku do końca, przerywana tylko lukami na drzwi, na których umieszczono nazwy pokoi: Salon Hogartha, Salon Kaliguli, Salon Rochester, Salon Salome, Salon de Pompadur. Na

przeciwległej ścianie znajdowało się wielkie okno wychodzące na centralną salę na dole. Schody, pomosty i balkony opadały ku jej podłodze niczym kolejne kręgi dantejskiego piekła. Wszystkie były usiane ciałami. Akty miłosne odbywały się w grupach – dwoje, troje albo czworo kochanków rzucało się na sterty spódnic z radością dzieci pływających w czekoladzie. Mężczyźni i kobiety obojga płci paradowali w niezwykle zdobnych sukniach, perukach i frakach albo w tym, co z nich pozostało, gdy gorsety i bryczesy rozpinały się, odsłaniając gotową do akcji zawartość. Wiele osób nawet nie uprawiało seksu, ale po prostu leżało razem, jedząc i plotkując pośród tego widowiska. Między nimi krążyli kelnerzy, pomocnicy kelnerów i żonglerzy. Był też jeden człowiek guma, a Królewski Belgijski Kwartet Smyczkowy wkładał w swój występ znacznie więcej wigoru niż na przyjęciu u Ganymede'a. Czytelniku, nigdy nie widziałeś tak wielu ludzi zebranych w jednym miejscu i ani jednego grymasu dezaprobaty.

– Nie widzą nas – zapewniłem, prowadząc ich dalej. – To korytarz na środkowym piętrze, przeznaczony dla ważniejszych gości. Na dole jest Sala Wenus. Ludzie kawalera nazywają ją Jaskinią Rozpusty. Tamto piętro jest przeznaczone dla mniej ważnych gości. Wszystko jest legalne, higieniczne i starannie monitorowane, gości i pracowników poddaje się regularnym badaniom i tak dalej. Nasi lekarze zapewniają, że cotygodniowa wizyta pomaga ciału i duchowi w takim samym stopniu, jak sesja z senseistą. Można się tu dostać tylko za zaproszeniem, ale widzujemy tu najrozmaitszych ludzi. Rzecz jasna, nikt, kto naprawdę się liczy, nie zostaje w Jaskini Rozpusty zbyt długo. – Obejrzałem się. – Czy znacie pisarza nazwiskiem Wolter? Żył w osiemnastym wieku.

– Nie za bardzo – przyznała Thisbe, zagłuszając „tak” Carlyle'a.

– Wolterowi nadano przydomek Patriarchy oświecenia – wyjaśniłem. – Jego wpływy były tak wielkie, że nie tylko zdominowało literaturę, lecz również wpływało na postępowanie królów, prawa, a w pewnym stopniu nawet Kościoła. Wolter było deistą. To znaczy, że wierzyło, iż wszystkie religie są różnymi wyobrażeniami tego samego Boga, który stworzył świat, ale jest mu właściwie wszystko jedno, jakim imieniem go nazywamy.

– Mycroftie – przerwała mi Thisbe – dlaczego opowiadacie mi o tym teraz?

Nie miałem czasu na wyjaśnienia.

– W późnym okresie życia Wolter kazało wybudować w swej posiadłości mały kościółek. Nad wejściem umieszczono inskrypcję *Deo Erexit Voltaire*: „Bogu postawił Wolter”. Stwierdziło, że zbudowano już bardzo wiele kościołów poświęconych świętym i pora, by ktoś wzniósł kościół dla Boga. W pewnym sensie to centralna świątynia deizmu, choć wydaje się dziwne, by religia stanowiąca połączenie większości pozostałych miała centralną świątynię.

Dotarliśmy do centrum domu. Ściana drzwi i ławek po naszej lewej stronie skończyła się, ustępując miejsca szerokim schodom prowadzącym na piętro położone równie wysoko nad naszym, jak nasze nad Jaskinią Rozpusty. Fioletowy dywan oświetlony blaskiem żyrandoli ciągnął się aż do dwuskrzydłowych drzwi wprawionych w marmurowy łuk ozdobiony inskrypcją: DEO EREXIT SADE.

Nie mieliśmy czasu na szok i milczenie.

– Zaraz po lewej – wyszeptałem – są małe drzwi prowadzące do tajnych schodów, które wychodzą na ulicę. Po prawej jest bardzo ciężki kandelabr. Jeśli uderzycie mnie nim w głowę i uciekniecie, powinno się wam udać zniknąć, nim ktokolwiek wyruszy w pościg.

Thisbe podeszła bliżej. Modliłem się o to, by padł cios.

– Markiz de Sade też żyło w osiemnastym wieku, prawda?

– Będziecie też potrzebowali tego – ciągnąłem, pokazując im małą kopertę, którą trzymałem w ręce. – To wymazywacz pamięci, silniejszy od tego, którego używacie w domu, Thisbe. Jest bardzo bezpieczny, nie ma żadnych skutków ubocznych. Wymazuje jakieś siedemdziesiąt minut wspomnień. Nie możecie teraz po prostu odejść, nie po tym, co widzieliście, ale jeśli oboje połkniecie to w autolocie w drodze powrotnej, to będzie tak, jakby to nigdy się nie wydarzyło. Resztą zajmę się sam.

Czekałem, licząc oddechy. Miałem nadzieję, że Thisbe potrafi zadać mi obrażenia, które nie będą ani za słabe, ani zbyt poważne. Czekałem. Z pewnością mnie uderzy. Carlyle, rzecz jasna, nie zrobiłby tego. Senseista przekroczył próg Jehovah. Podobnie jak Wolter nie zamieniłby wiedzy na ignorancję, nawet za całe szczęście na świecie. Ale Thisbe... groźba markiza mogła wystraszyć nawet kogoś takiego jak ona. Czekałem.

– Zdawało mi się, że mówiliście, że nie mamy czasu na zwlekanie, Mycroftie – odezwała się cicho po chwili. – Którędy do Madame i jej

odpowiedzi?

Nie miałem serca na nich patrzeć.

– Tędy. – Zaprowadziłem ich na pomost w połowie wysokości schodów prowadzących do inskrypcji, a potem skręciłem na mniejsze schody po prawej. Szereg delikatnych stopni zaprowadził nas do drzwi ozdobionych sielankowymi scenami przedstawiającymi szlacheckie zaloty oraz do położonego dalej przedsionka z cherubinkami flirtującymi na namalowanym niebie. – Nie zamierzam oddalać się od was nawet na moment, ale na wypadek gdybym było do tego zmuszone, kilka zasad, które pozwolą wam przetrwać: po pierwsze, nigdy nie pozwalajcie, by zaprowadzono was do pokoju, w którym nie będzie przynajmniej jednej całkowicie ubranej kobiety. Mam na myśli osobę ubraną w kobiecy strój, anatomia nie ma znaczenia. Przy kobietach mężczyźni muszą się dobrze zachowywać. Po drugie, unikajcie mieszkańców domu ubranych na czarno. Ten przywilej przyznaje Dominic. Im więcej czerni w ich stroju, tym bardziej Dominic ich lubi, a to z reguły znaczy, że są niebezpieczni.

– Zapomnieliście dodać „nigdy nie wyłączajcie lokalizatora” – dodała Thisbe. Z pewnością obrzuciła Kuzyna znaczącym spojrzeniem, ale nie podniosłem wzroku, żeby to sprawdzić.

Potrząsnąłem głową. Szorstka tkanina habitu ocierała mi szyję.

– Są w tym mistrzami. Każą wam go zdjąć. Gdyby naprawdę się postarali, namówiliby do tego nawet was, Thisbe. – Spojrzałem na Carlyle’a. Wiem, kiedy dać za wygraną. – Kłamałem, opowiadając o tym, co zrobiliby wam ludzie kawalera. Chciałem was przestraszyć, skłonić do ucieczki. Ten dom taki nie jest. Kawaler nie zrobiłby wam krzywdy. Nie złamałby słowa danego siostrze Heloïse. Macie też rację, twierdząc, że nie mogliby porywać i gwałcić ludzi i uniknąć złapania. Ale i tak by tego nie zrobili. To nie jest cywilizowane. Znaleźliście się w bańce osiemnastego wieku. Jej mieszkańcy szczytą się tym, że są bardziej cywilizowani od tych, którzy żyją w dwudziestym piątym.

– Zatem co by mi zrobili? – zapytał po chwili przerwy.

– Postraszyliby was przez pewien czas, a potem jedno z nich podjęłoby się roli obrońcy i wyciągnęło was z tarapatów. Większość Kuzynów to lubi. Następnie zbawca odciągnęłoby was na bok i okazało się najbardziej czułą i charyzmatyczną osobą, jaką spotkaliście w życiu. Grałoby na waszym strachu i wdzięczności,

podczas gdy jego towarzysze zakładaliby się o to, czy się zgodzicie. Ja postawiłbym na to, że tak, ale gdybyście odmówili, wysłałbym was do domu z uprzejmym ostrzeżeniem, żebyście od tej pory byli grzeczni. Mimo to ciekawość sprowadziłaby was tu z powrotem przed upływem doby.

– Nie zgodziłbym się – zapewniło, jak przewidywałem. – Takie głupie nie jestem – to powszechnie stosowany eufemizm na „takie łatwe” – a nawet gdybym było, nie lubię chłopaków.

Potrząsnąłem głową.

– To dla nich żadna przeszkoda. Madame wychowuje dżentelmenów obojga płci.

– A co zrobiliby ze mną? – zapytała Thisbe. W jej głosie nie słyszało się strachu, tylko zawodową ciekawość, jak wtedy, gdy zachodni fechtmistrz przybywa do wschodniego *dōjō* i spokojnie podziwia sztukę pokrewną, ale zbyt odległą, by można ją uznać za konkurencję.

– Gdyby tylko ustalili, że zaliczacie się do wpływowych osób, traktowałiby was bardzo dobrze i zrobili wszystko, co w ich mocy, by skłonić was do przyłączenia się do klubu. To mogłoby się wam spodobać, ale często pozbawia ochoty na wszelkie inne postacie seksu.

Zapukałem dwa razy do wewnętrznych drzwi. Namalowane na nich girlandy wyglądały na tak wilgotne, że można by je niemal wziąć za prawdziwe.

– Tu Mycroft, Madame. Przyprowadziłem gości.

– Chwileczkę!

Przez krótką chwilę zastanawiałem się, czy zmienię teraz zdanie, czy mądra, zimna Thisbe złapie wazę stojącą na *pietra dutra*, uderzy mnie i ucieknie. Stałem tuż przed nią, żeby ułatwić jej zadanie. Było zapewne niemożliwe, że uda im się uciec z tego miejsca, ale nadzieja zawsze triumfuje nad rozsądkiem, nawet w moim przypadku.

Nagle odezwał się Carlyle.

– Mycroftcie, nie odpowiedzieliście mi przedtem, kiedy was zapytałem, jak brzmi pełne imię J.E.D.D. Masona.

– Jehovah Epicurus Donatien D’Arouet M... Mason.

Zawsze zacinam się w którymś punkcie, jakbym po cichu bał się tego, co się wydarzy, jeśli wypowiem pełną, nieprzerwaną inwokację.

– Wejdźcie!

Rozdział dwudziesty szósty

Madame d'Arouet

– Wejdźcie.

Wiedziałem, jak otworzyć te drzwi, żeby nie skrzypnęły. Wielu opanowało tę sztuczkę. Za fałszywymi oknami na czterech ścianach salonu widniały cztery pory roku: wiosenne kwiaty, letnie brzoskwinie tonące w szmaragdowym listowiu, dojrzała pszenica i winogrona oraz pokryte szronem iglaste drzewa. Wszystko to było namalowane, podobnie jak ptaki i zwierzęta na polach. Były tam też malowane dzieci wielkości naturalnej. Wydawało się, że stoją razem z patrzącym w pokoju i próbują łapać ptaki albo zrywać owoce, bawiąc się w sposób odpowiedni do pory roku – zimą rzucając śnieżkami, a na wiosnę flirtując. Meble były tak delikatne, że niemal kruche: połączone kandelabry przypominające splecione ze sobą pnącza; kanapy na smukłych nogach wyginających się niczym łabędzie szyje; stoły z eleganckimi krzeselkami służące do gry w karty; a w kącie klawesyn, maleńki jak najmniejsze szczenię w miocie fortepianów. Czy spodziewałeś się sali tronowej, Czytelniku? Nigdy w życiu. Madame nie jest królową, tylko panią domu, i nie włada nikim poza swymi gośćmi.

– Madame, pozwólcie, że przedstawię wam mademoiselle Thisbe Saneer z baszu Saneer-Weeksbooth oraz wielebnego doktora Carlyle'a Fostera, członka Konklawe Senseistów oraz protegowanego Jej Świątobliwości głowy Konklawe Julii Dorii-Pamphili.

Madame przywitała ich dygnięciem. To nie był prosty gest, lecz skomplikowany proces. Szczyt jej peruki – białe żaboty i barwione pióra – pochylił się i uniósł niczym otaczające Olimp turnie okazujące szacunek przelatującym bogom. Miała dziś na sobie granatową suknię na krynolinie, a pod spodem łososiową halkę wyszywaną złotą nicią. Krynolina rozciągała jej spódnicę z górą trzykrotnie, przez co wyglądała, jakby brodziła w prywatnym oceanie. Na palcach, na nadgarstkach i na szyi miała klejnoty, które nie odwracały uwagi od

jej ciała, lecz służyły mu, jak przystoi drogim kamieniom. Ich blask podkreślał krzywiznę ramienia albo pochyłość uroczej piersi. Skierowane ku gościom oblicze było twarzą z obrazu, precyzyjnym, wystylizowanym ideałem, jakie gapią się na nas ze wszystkich zbyt pochlebnych portretów, które zdobiły pałacowe ściany w czasach, gdy mężczyznom pozwalano na charakterystyczne rysy, ale lica kobiet zlewały się w jedną, homogenizowaną twarz lalki. Wszystko to naprawdę była farba, gruby makijaż z czasów, gdy biel i róż nie pozwalały ujrzeć nawet najmniejszego skrawka prawdziwej skóry. Jej wiek? Przypomina raczej boginię, dla której czas się zatrzymał, niż kobietę dotkniętą upływem lat. Chwilami wolałbym, by nasze środki powstrzymujące starzenie były mniej skuteczne. To pozwoliłoby nam ujrzeć, jakie głębokie zmiany przyniosłaby podobnej urodzie dojrzałość. Uprzejmość nie pozwala rozmawiać o wieku damy, powiem więc tylko, że gdyby wszystkich siedmiu przywódców świata zebrało się w jednym pokoju, a Madame byłaby ósma, tylko rektor Faust pamiętałby więcej przeszłości niż ona.

– Mademoiselle Thisbe, doktorze Carlyle – kontynuowałem – czy mogę wam przedstawić Madame D’Arouet, a także Ich Miłość Ganimede’a Jeana-Louisa de la Trémoille, diuka de Thouars, księcia de Talmond, prezydenta Humanistów, oraz jego ekscelencję dyrektora naczelnego Hotakę Andō Mitsubishi.

Zapewniam Cię, Czytelniku, że stojąca obok mnie dwójka była zaskoczona znakomitym towarzystwem Madame w równym stopniu jak Ty. Złoty Ganimede siedział pod letnią ścianą, jego diamenty wreszcie mogły lśnić w równie wspaniałym otoczeniu. Naprzeciwko niego stał dyrektor Andō. Mimo dystyngowanego wyglądu miał wystraszoną minę człowieka, który dopiero przed chwilą wciągnął spodnie. Jednakże dyrektor nie miał dziś na sobie spodni w zachodnim stylu, lecz plisowaną hakamę, której pasy i węzły wymagają znacznie większych umiejętności. Gdy odwiedza Madame, korzysta z opcji noszenia osiemnastowiecznego stroju swego ojczystego kraju, grając rolę „cudzoziemskiego dygnitarza” pośród tak wielu paryżan. Ganimede, rzecz jasna, zawsze ubiera się tak samo, ale w tym miejscu jego strój wygląda naturalnie.

– Miło mi was poznać, Madame.

Śmiała Thisbe podciągnęła płaszcz, wykonując improwizowane dygnięcie.

– Cała przyjemność po mojej stronie, moja droga. – Madame podeszła do Thisbe i uściskała ją jak siostrę. Długie koronkowe mankiety łososiowej barwy, zdobiące jej sięgające do połowy przedramienia rękawy, dodatkowo podkreślały różowawy odcień skóry. – Już najwyższy czas, by ktoś z waszego domu odwiedził mój. Przepraszam, że z początku przywitano was tu nieco brutalnie, ale tylne drzwi nie są najlepszym wejściem dla nowych gości.

Thisbe pozwoliła pachnącej jaśminem Madame pocałować się w oba policzki.

– Ale bardziej interesującym! – zauważyła.

Uśmiech Madame wyrażał aprobatę.

– Zapewne macie rację. Usiądźcie, proszę, drogi doktorze Carlyle. Słyszałam, że kilka ostatnich dni było dla was bardzo ciężkie. Spotkaliście Dominica, Mycrofta i mojego Syna.

Nim Kuzyn zdążył się zorientować, co się dzieje, Madame pocałowała go i popchnęła na tapczan, po czym sama usiadła obok. Jej szeroka spódnica wypełniła całe miejsce między senseistą a łukowatym ramieniem mebla, na podobieństwo koców wypełniających kołyskę.

– Tak – przyznał Carlyle, widząc jej ciepły, zachęcający uśmiech. – Czułam się trochę dziwnie.

– Oczywiście, oczywiście. Ze swojej strony muszę dodać, że szczerze wam współczuję. Usiądźcie wszyscy, proszę. – Wskazała Thisbe wolną kozetkę stojącą pod przeciwległą ścianą. – Wy również, Mycroftcie. Jesteście żywym obrazem wyczerpania. Siądźcie na tym taborecie w rogu, zanim padniecie z nóg.

Ukloniłem się.

– Dziękuję, Madame.

– Znakomicie, wszyscy już siedzą. W czym mogę wam pomóc, dobry doktorze Foster? – Madame zerknęła na prezydenta i dyrektora, którzy przyciągnęli sobie smukłe jak ibisy krzesła i zasiedli po obu stronach jej i senseisty niczym rodzina otaczająca trudne dziecko. – Mój Syn wzbudza wasz niepokój? – zapytała.

– Hmm. – Carlyle zapomniał języka w gębie pod naciskiem spojrzeń prezydenta i dyrektora naczelnego. Czy raczej diuka i dyrektora naczelnego, w tym domu Ganymede jest znacznie bardziej diukiem niż prezydentem.

– Mówcie szczerze! – skarciła go Madame. – Tutaj wszyscy jesteśmy przyjaciółmi, kimkolwiek możemy być dla siebie na zewnątrz. Coś was

zaniepokoiło.

– Jesteście matką J.E.D.D. Masona? – zapytała Thisbe. Jej uśmiech z każdą chwilą stawał się bardziej... chyba odpowiednim słowem będzie „połaskotany”.

– Tak, jestem matką Jehovah – potwierdziła Madame.

Tym razem Carlyle zdołał się nie skrzywić.

– I to wy zarządzacie tym domem?

– Tak.

– I to jest...

– Burdel? – Zachichotała, widząc zawstydzenie senseisty. – Nie możecie obawiać się tego słowa. Zwykle nazywamy go Klubem Nacechowanego Płciowo Seksu. Oferuję tu archaiczny seks, ze staromodnymi rolami płciowymi. Moi klienci lubią uwodzić albo być uwodzeni. Wolą spódnice i bryczesy od zneutralizowanej, egalitarnej kopulacji, jaką można w dzisiejszych czasach otrzymać na zewnątrz. Kogo spotkaliście po przybyciu tutaj? Kawalera? Czy się wam spodobał?

Carlyle przełknął z wysiłkiem ślinę.

– Zatem nie robicie tu nic... bardziej ekstremalnego?

Madame roześmiała się pobłaźliwie jak niańka.

– Mam nadzieję, że nie jesteście aż tak złego zdania o Czarnoprawowcach? – Nosila na biodrach szarfę Bezpasielowego Czarnoprawowca, choć trudno było ją zauważyć w szerokich spódnicach. – Naszym klientom wystarcza zakazany owoc pod postacią płci kulturowej.

Kuzyn zmarszczył brwi.

– Szczerze mówiąc, dziwię się, że nacechowane płciowo stroje wydają się ludziom ekscytujące.

– Ojej. – Zachichotała zdumiona jego niewinnością. – Ludzkie kultury poświęciły chyba z dziesięć tysięcy lat na to, by nasycić ekscytującą, nacechowaną płciowo seksualnością każdy gest i każdą koszulę. Nasze biedne trzy wieki miały po prostu za mało czasu, by stworzyć coś porównywalnego. – Jej spojrzenie padło na mnie. – To jest jak język. Nowy, wymyślony język, składający się z paru tysięcy słów, mógłby sobie poradzić z książeczkami dla dzieci albo drogowskazami, ale Wolter, Szekspir, wyniosłe szczyty literatury oraz jej denne otchłanie, wszystko to potrzebuje miliona wyrazów. Wielu moich klientów szybko uzależnia się od tego, co oferujemy.

Zmarszczony nos Carlyle'a sugerował, że ta myśl wydaje mu się... dziwna.

– A więc wszystko to tylko historyczna rekonstrukcja?

– W pewnym sensie tak – potwierdziła Madame – ale skoro pytacie o sprawy zakazane, doktorze, prywatnie, w tym pokoju, mogę przyznać, że dzieje się tu także coś bardziej... kontrowersyjnego. – Zauważyła błysk w oczach Thisbe i odpowiedziała na niego uśmiechem. – Ale uważamy, by nikomu nie zrobić krzywdy. Rozumiecie, moim gościom podoba się rekonstrukcja osiemnastowiecznej prywatności, zwłaszcza jej bardziej zakazanych i skandalicznych aspektów. Dlatego mamy tu nie tylko zróżnicowane płciowo damy i dżentelmenów, lecz również, w typowy dla oświecenia sposób, łączymy zakazane akty seksualne z innymi zabronionymi sprawami. Mam na myśli przede wszystkim zakazane rozmowy.

Carlyle zmarszczył brwi.

– To znaczy?

– Och, filozoficzne debaty, które uchodziły za skandaliczne w owych czasach: równość, prawa człowieka, racjonalne rządy, relatywizm kulturowy, wolność wyznania, konkretne przekonania religijne...

Senseista zasępił się jeszcze bardziej.

– Chcecie powiedzieć, że dyskutujecie o teologii, uprawiając seks?

– W przypadku początkujących z reguły przedtem i potem. Potrzeba dużych umiejętności i skupienia, by robić to podczas samego aktu. Coś takiego można znaleźć tylko u nas. Ponieważ w naszych czasach dyskusje o religii są jeszcze większym tabu niż w naszym drogim osiemnastym wieku, podobne rozmowy są bardzo ekscytujące erotycznie. Jestem pewna, że spotkaliście się już z podobnymi sprawami, doktorze Carlyle. W charakterze zawodowym, oczywiście.

– Nie w podobnie zinstytucjonalizowanej formie, ale tak. – Uśmiech senseisty był bliski zarozumiałości. – W gruncie rzeczy tego właśnie się spodziewałem.

– Naprawdę?

– Wasza inskrypcja. *Deo Erexit Sade*. „Bogu postawił de Sade”. To trochę zbyt wyrafinowane dla kogoś, kto czytałby de Sade'a tak wąsko, że sądziłby, iż chodziło mu wyłącznie o sadyzm. Wykorzystujecie religijną stronę jego dzieł, by zaatakować system senseistów.

– Nigdy nie przyszłoby mi do głowy go atakować. – Madame uniosła dłoń do piersi, jakby czuła się zraniona. – Jak już mówiłam, jesteśmy

bardzo ostrożni. Wszystko, co tu się dzieje, to tylko zabawa, a nie groźba. Tabu są ekscytujące i moi goście bardzo lubią je łamać, zwłaszcza gdy tworzymy potrójny koktajl seksu, płci kulturowej i religii, łącząc zakazane elementy w jeszcze bardziej kuszącą całość. Nie musicie zawracać sobie głowy informowaniem o tym Konklawe Senseistów. Konklawe wie. Wśród naszego personelu jest wielu senseistów, między innymi Dominic. Ich zadaniem jest dopilnować, by wszystko pozostało w granicach bezpieczeństwa. Konklawe często przysyła tu inspektorów, którzy sprawdzają, czy nie dochodzi do prób prozelityzmu. Gdy grupa składa się z trzech lub więcej osób, przydzielamy im senseistyczną przyzwoitkę chroniącą przed podobnymi zakusami. Konklawe najwyraźniej zgadza się z opinią, że moja instytucja sprzyja zdrowiu świata. Pokusa złamania religijnego tabu jest bardzo powszechna. Lepiej, by ulegano jej tutaj, gdzie starannie ją monitorujemy i ukierunkowujemy ku nieszkodliwej zabawie, niż na tajnych zebraniach, czy podczas spotkań w rezerwatach, gdzie wasza jurysdykcja nie sięga.

Gdy Thisbe znalazła się na mniej znajomym gruncie, uśmiech zniknął z jej twarzy.

– Co ma wspólnego prozelityzm z markizem de Sade?

– Zapytajcie swojego senseistę – zachęciła ją Madame. – Sade nadal jest w standardowym programie szkolnym, nieprawdaż, doktorze Carlyle?

Senseista natychmiast się wyprostował, wyczuwając okazję popisania się zawodowymi umiejętnościami.

– Bez względu na jego reputację, Thisbe, wiele dzieł de Sade’a dotyczy zagadnień moralnych i filozoficznych. Jego specjalnością było łamanie tabu, o którym wspominała Madame, mieszanie seksu z filozofią i teologią, z reguły metodą zwykłego przekładańca – scena erotyczna, filozofia, scena erotyczna, filozofia i tak dalej. Sade zrównywał pikantne, zakazane akty seksualne z radykalnymi ideami, takimi jak ateizm albo krytykowanie króla. Podobnie jak w książce Diderota o zakonnicach, o której wspominała Heloïse, chodziło o to, by zachęcić czytelników do zadania sobie pytania, co powinno się uważać za „naturalne”, skoro zarówno celibat, jak i uprawianie seksu można zdefiniować jako perwersję, zależnie od tego, jak na to spojrzeć.

W oczach Madame rozbłysła aprobatą.

– Bardzo dobre streszczenie, doktorze Carlyle, ale nasz markiz był

bardziej skłonny do eksperymentów niż nawet *le Philosophe*. Mój ulubiony przykład to argument teleologiczny. – Carlyle uśmiechnął się lekko, ale pozwolił Madame mówić dalej. – Natura, zgodnie z nauką i teologią z czasów markiza, sprawia, że wszystko, co istnieje, pasuje do swego miejsca, na przykład zwierzęta leśne mają brązowe futro, a te, które żyją w Arktyce, białe. Drapieżniki mają ostre zęby, a roślinożercy tępe. Okrągłe kołki na całym świecie tkwią w okrągłych otworach. Nadażacie za mną, Thisbe?

– Tak... – odpowiedziała ostrożnie. – Przed Darwinem uważano to za dowód istnienia Boga.

– W rzeczy samej. Słuchajcie dalej. Penis ma okrągły przekrój. I odbył też. Natomiast otwór wejścia waginy jest podłużny i wąski. Z pewnością oznacza to, że natura dopasowała męski członek do odbytu, nie do waginy.

Thisbe zachichotała.

– To może być największe głupstwo, jakie w życiu słyszałam.

– W rzeczy samej – zgodziła się Madame. – Markiz parodiuje logikę osiemnastowiecznych uczonych. Jeśli chcecie odrzucić jego dowód naturalności sodomii, musicie również odrzucić teleologiczny dowód na istnienie Boga Świętego Tomasza z Akwinu. Sade zajmował się wszelkimi sprawami dotyczącymi płci, religii oraz pojęć moralnych, eksperymentując za pomocą aktów, a przynajmniej opisów aktów, podważających tego typu uprzedzenia. Ponieważ w dzisiejszych czasach dyskusje o religii znowu stały się ryzykowne, podobnie jak w osiemnastym wieku, gdy zbyt radykalne poglądy groziły egzekucją, towarzyszący im dreszczyk również powrócił. A pytania naszego drogiego markiza nadal warto zadawać, nawet jeśli mamy obecnie bardziej racjonalne prawa i przywódców o bardziej otwartych umysłach.

– Hmm... rozumiem – przyznała Thisbe. Nagle się rozpromieniła. – Tak, rozumiem. To brzmi interesująco.

Carlyle nadal był ponury.

– Dlaczego prezydent i dyrektor tu są? – zapytał, spoglądając na dwie osobistości przyglądające się im z milczącą aprobata.

Ganymede skinął głową, zachęcając Andō, by ten przemówił pierwszy.

– W tej chwili załatwiam tu rodzinną sprawę.

Carlyle zmarszczył jasne brwi.

– Rodzinną?

Piękny Ganymede zerknął na senseistę, a potem znowu spojrzął na Thisbe z lekko wzgardliwym uśmieszkiem. Kobieta go odwzajemniła.

– Doprawdy, Carlyle, nie słyszeliście plotek?

– Jakich? – zapytał ze zdziwieniem.

– Tai-kun. Tak brzmi przydomek, jaki Mitsubishianie nadali J.E.D.D. Masonowi, zgadza się?

Dyrektor naczelny Andō skinął głową. Nie uśmiechał się, ale jego twarz nabrała nieco cieplejszego wyrazu.

– Cardie nie zdołało mi wytłumaczyć wszystkich z chyba piętnastu możliwych znaczeń tego przydomka, ale to wasze dziecko, nieprawdaż, dyrektorze? Tak mówią w mitsubishiańskich kręgach. J.E.D.D. Mason jest w rzeczywistości dzieckiem dyrektora naczelnego Andō, nawet jeśli adoptowało je cesarz.

Lekko oszołomiony Carlyle przymrużył oczy.

– Nigdy w to nie wierzyłam. Zatem... prezydencie Ganymede, jesteście wujem J.E.D.D. Masona?

Diuk Ganymede westchnął, spoglądając na senseistę jak na nowego gościa na bankiecie, który najpierw bierze w rękę deserowy widelec.

– Dyrektor naczelny Andō jest od dwudziestu ośmiu lat mężem mojej siostry. Nie możecie oczekiwać od niego, by publicznie uznał dwudziestoletniego bękarta. To bardzo ekscentryczna propozycja.

Twarz Andō nie zmieniła wyrazu.

– Wystarczy, że powiem, że Tai-kun jest mi bardzo drogi. I cieszę się, że mój przyjaciel i współpracownik Cornel MASON znalazł dla dziecka miejsce, które zapewni mu dostęp do najwyższych kręgów. Z drugiej strony MASON również się cieszy z mojej pomocy w wychowaniu Tai-kuna, jako że obaj zaliczamy się do bardzo zajętych ludzi.

Carlyle przesunął zdziwionym spojrzeniem po dyrektorze, Madame i diuku, a wreszcie zatrzymał je na Thisbe.

– To coś w rodzaju nieoficjalnego, prowizorycznego baszu – zasugerowała, przeciągając się jak kot na obitej jedwabiem kozetce. Rozwiązanie zagadki wyraźnie ją zadowoliło.

– Albo sojuszu małżeńskiego między dwiema królewskimi dynastiami – dodała Madame. – Jak sądzicie, dlaczego Masoni nie domagają się zbyt mocno nowego cenzusu za każdym razem, gdy wzrost liczby ludności mógłby im dać nowego senatora? Albo dlaczego

Mitsubishianie nie podnoszą nam wszystkim czynszów, mimo że są właścicielami z górą połowy globu? – Piersi Madame uniosły się pod gorsetem wypełnione macierzyńską dumą. To bardzo ważny Chłopak. Mój Syn, Książę D’Arouet, Filar przyjaźni między Masonami, Mitsubishi i Humanistami.

– Osobisty sojusz. – Thisbe zawsze się cieszyła, kiedy się okazało, że miała rację. – Zatem kto może się przedstawiać jako monsieur D’Arouet? Cesarz czy wy, dyrektorze?

– Wolter – odpowiedział Carlyle.

– Słucham?

– Wolter naprawdę nazywało się François-Marie Arouet. Dopiero później zmieniło nazwisko. Dodanie do niego „De” nadaje mu arystokratyczne brzmienie. Często tak postępowały ambitne kobiety, które chciały zostać królewskimi kochankami.

Madame ukryła uśmiech za wachlarzem z niebieskich strusich piór przeszytych złotymi żyłkami.

– Jeśli Patriarcha nie potrzebuje już tego nazwiska, czemu nie miałabym go nosić? W końcu Wolter był dla mnie inspiracją. On i jego wiek.

– Chyba raczej wiek madame de Pompadour? – sprzeciwił się Carlyle.

– To właśnie jest waszym celem, prawda? Wiek, w którym kochanki królów rządziły światem?

– Nie stawiam sobie żadnego celu – sprzeciwiła się tej sugestii, trzepocząc umalowanymi rzęsami. – Stworzyłam utrzymaną w osiemnastowiecznym stylu instytucję, w której klienci o nieortodoksyjnych upodobaniach seksualnych mogą zaspokajać swoje pragnienia. Jako efekt uboczny ja i mój syn od dwóch dziesięcioleci wspieramy pokój i stabilizację na świecie. Nie sądzę, by ktokolwiek miał powody się skarżyć.

Carlyle wyraźnie miał ochotę odsunąć się od Madame, ale uprzejmość nakazywała mu pozostać na miejscu.

– A co z wami, prezydencie Ganymede? – zapytał. – Dlaczego tu jesteście? Chcieliście odwiedzić siostrzeńca?

Diuk nie raczył nawet spojrzeć na Kuzyna.

– Urodziłem się tutaj. A teraz przybyłem po Thisbe Saneer. – Skierował na nią mordercze spojrzenie swych niebieskich jak diamenty oczu. – Myślałem, że jesteście ostrożniejsi, Thisbe. Co, gdyby przyłapano was na wykorzystaniu tajnych danych powierzonych

waszemu baszowi, celem infiltracji sekretnej twierdzy, w której nie jestem regularnym gościem?

– Przepraszam.

Szczerze mówiąc, w głosie Thisbe nie słyszało się przeproszającego tonu. Miała raczej minę sprytnego dziecka, które odkryło kryjówkę, gdzie mama i baszrowie schowali cukierki przeznaczone na jego urodziny, a teraz słucha ich wyrzutów, ale jednocześnie wyciąga rękę po czekoladkę. Rozumiesz, Czytelniku, Thisbe nas kolekcjonuje. Urodziła się z tajemnicami swego baszu, ale potem dodała do swej kolekcji mnie, Majora i Bridgera. A teraz odkryła trzy kolejne znaleziska, które mogła dodać do nas w swej księdze czarów: prezydenta, dyrektora naczelnego i tę dziwną Madame.

– Thisbe. – Diuk prezydent ponownie przyciągnął jej uwagę, potrząsając złotą grzywą. – Jeśli niepokoić się tym, w jaki sposób książę D’Arouet prowadzi śledztwo, powinniście się zwrócić do mnie. Wiecie, że ta sprawa wymaga delikatnego podejścia.

Przeszył mnie gwałtownym spojrzeniem. Drżenie było moimi przeprosinami.

– Przepraszam, prezydencie Ganymede – przerwał mu Carlyle. – Mówicie, że tu się urodziliście?

– Wolimy tu formę „przepraszam, Wasza Miłość” – poinstruowała go Madame. – Tak, urodził się tutaj. I jego siostra również. To członkowie mojej kochanej rodziny. Urodzili się tu i wychowali, podobnie jak Dominic, Heloïse i kawaler.

– W burdelu?

Diuk wlepił spojrzenie w senseistę niczym sokół gotowy do ataku.

– Mieszkaliśmy na górze, a jaskinia jest na dole, ale jeśli chcecie nazwać moją siostrę plugawym określeniem, na dole jest arena pojedynków, na której rozstrzygamy podobne kwestie.

Carlyle wycofał kończyny pod płaszcz niczym spłoszony krab.

– Kuzynowskie prawo zabrania pojedynków.

– Moglibyście znaleźć szampierza.

– Proszę, Wasza Miłość – wtrąciła się Madame – musimy wybaczyć nowym przybyszom nieznaną zasadę.

– Oczywiście – odezwał się Andō, popierając wyrozumiałość Madame z takim naciskiem, że Ganymede musiał się wycofać.

Właścicielka domu zbyła to wszystko uśmiechem.

– Nie ma nic nadzwyczajnego w tym, że część baszobudynku

poświęca się pracy zawodowej. Wy również kierujecie z domu waszymi cudownymi autolotami. Nie jest też niczym niezwykłym, że baszowe dzieci pomagają w pracy, gdy pozostali członkowie są zajęci gdzie indziej. Swoją drogą, słyszałam, że mianowano was do kolejnego Oscara, mademoiselle Saneer. Gratuluję.

Thisbe uniosła brwi.

– Nominacje na bieżący rok ogłosi się dopiero za dwa tygodnie.

– Wiem.

Madame ukryła uśmiech za wachlarzem, ale pozwoliła, by w jej oczach rozjarzyły się iskierki zadowolenia z posiadania tajemnej wiedzy.

Carlyle, mniej biegły w tajemnicach niż Thisbe, miał trudności z nadążeniem za tym wszystkim.

– To znaczy, że dyrektor Andō poślubił siostrę prezydenta Ganymede'a, która wychowywała się w tym samym baszu, co masoński porfirogeneta? – Kuzyn skrzywił się, próbując prześledzić sieć powiązań, której właściwie nie można było nazwać kazirodztwem ani nepotyzmem, choć dziwnie je przypominała. – Kolejny sojusz małżeński?

– W rzeczy samej – zgodziła się Madame, promieniejąc z radości. – Dlatego Humanieści również ufają mojemu Jehovah i pomagają mu utrzymać równowagę między Pasiekami. Dlatego to właśnie Jego poproszono, by zajął się aferą *Czarnej Sakury*.

– Czy to było aranżowane małżeństwo? – zapytał senseista oskarżycielskim tonem. – Danaë i dyrektor Andō.

– *Princesse Danaë* albo lady Danaë – poprawił go diuk. – I nie, nie było.

Oddech Carlyle'a stał się nagle ochryply.

– Rozmawiałom z Heloïse.

Diuk przymrużył powieki.

– I co z nią?

– Chciano ją zmusić do małżeństwa. „Narzeczony”, którego dla niej wybrano? I to nie jest gra, prawda? Naprawdę żyje tu jak zakonnica. Żyje jak zakonnica i czci waszego syna, Jehovah, jako Boga. – Wlepił spojrzenie w Madame. – Nauczenni ról płciowych chłopaki i dziewczyny, których tu wychowujecie, nie grają. Nauczycielcie ich myśleć zgodnie z narzuconymi schematami. Podobnie jak w przypadku Heloïse, zapewne przekonaliście Danaë, że zawiera to

małżeństwo z własnej woli, ale wszystko zaplanowano z góry. – Choleryczny Carlyle nie dał im czasu na odpowiedź. – Kostiumy z epoki można tolerować, ale pozbyliśmy się płci kulturowej po to, by uwolnić ludzi od tego typu myślowej niewoli. Zniszczyliście to. Wychowaliście dzieci w taki sposób, by „celowo zmniejszyć ich potencjał i ograniczyć zdolność uczestnictwa w świecie zewnętrznym oraz naturalnych i produktywnych interakcji z nim”.

W umysłach nas wszystkich zadźwięczały dzwonki alarmowe. Ostatnie słowa nie pochodziły od Carlyle’a. To był edukacjonizm, cytując z niesławnej ustawy, którą próbowano przepchnąć w roku 2238, u szczytu zamieszek antykonfiguracyjnych, gdy w imię dobroci i wolnej woli frakcja edukacjonistów próbowała dodać do krótkiej listy Praw Uniwersalnych, wiążących nawet Czarnoprawowców, złowrogie Ósme: zakaz wychowywania dzieci w zbyt osobliwy sposób. Udało się pokrzyżować ich zamiary, ale cena była wysoka.

Madame przeciągnęła się na sofie.

– Nie czuję się szczególnie uciśniona.

– W takim razie dlaczego wasz syn jest Trybunem, a nie wy? – naciskał senseista. – Dlaczego nie kandydujecie w humanistycznych wyborach albo nie zostaliście senatorem?

– Wolę swój rodzaj władzy. Mogłabym mieć ten drugi, ale nie chciałam.

– To odrębne sfery – nie ustępował Carlyle. – A tak z ciekawości, Madame – wypowiadał ten tytuł z wyraźną pogardą – czy przeszliście senseistyczny kurs dotyczący Rousseau, podobnie jak de Sade’a?

Wiesz, kim był nasz Jean-Jacques, Czytelniku? Jeśli istniały trzy światła oświecenia, trzecim był Rousseau: zdolny jak Arystoteles, destruktywny jak Aleksander i szalony jak dobry Święty Franciszek. Potrafił jednocześnie wspierać i atakować wszystkie wielkie cele, jakie stawiało sobie oświecenie. Wiek rozumu radował się perspektywą, że nauka może stopniowo, pokolenie za pokoleniem, poprawiać ludzki byt; Rousseau się zgadzał, ale lamentował, że to tylko nas unieszczęśliwi, ponieważ oddalimy się od pogody ducha szlachetnego dzikusia. Wiek rozumu spekulował, że kobiety mogłyby niczym się nie różnić od mężczyzn, gdyby wychowywano je w taki sam sposób; Rousseau się zgadzał, ale lamentował, że to strąci je z należnych im tronów, pozbawi społeczeństwo tych, które zaprowadzają pokój, i uczyni mężczyzn bardziej brutalnymi, ponieważ płeć piękna nie

będzie już łagodziła ich namiętności. Powiedziałyby, że w obecności madame de Pompadour nawet wrogowie, którzy poprzysięgli sobie krwawą zemstę, musieli uprzejmię ze sobą negocjować, ale w obecności Bryar Kosali nie muszą tego robić, bo ona ma prawo ogłosić własną wendetę. Prasa i głos opinii publicznej zwały Woltera Patriarchą, a Diderota *le Philosophe*, ale Rousseau był znany tylko jako „Jean-Jacques”, delikatny płomień, który zawsze trzeba chronić, żeby się nie wypalił. Na całym świecie damy pisały o tym, jak bardzo pragną uścisków tego kochanego, romantycznego obrońcy nierówności, który ich zdaniem tak dobrze znał ich wrażliwe serca. Jean-Jacques stał się ulubionym rzecznikiem tych kobiet, które – przewrotnie, lecz szczerze – pragnęły pozostać rozpieszczonymi królowymi uwiecznionymi w swych rolach płciowych. Nie chcę zwiększać twojej dezorientacji, Czytelniku, i dlatego nie przypiszę Rousseau rodzaju żeńskiego, choć korci mnie, by tak zrobić.

– Dobrze zgadliście, doktorze Foster. Uczyłam się na senseistę i Rousseau był moim pierwszym ulubieńcem. To od niego dowiedziałam się, że istnieją zapomniane moce, którymi kobiety ongiś władały. Moje eksperymenty dowiodły, że te moce nadal są skuteczne, i to bardzo, ponieważ nikt już się ich nie wystrzega.

– Eksperymenty – powtórzył Carlyle. – Powiedzcie mi, proszę, czy odebrali wam licencję senseisty za spanie z parafianami? Czy za wykorzystywanie informacji o nich zdobytych podczas sesji?

Diuk i dyrektor zerwali się na równe nogi, słysząc tę zniewagę dla honoru damy, ale powstrzymała ich uśmiechem i lekkim uspokajającym gestem.

– To uczciwe pytanie. W gruncie rzeczy odeszłam, nie kończąc kursu. Przekonałam się, że wolę buduar od Konklawe. Nie uśmiecha mi się życie, w którym nie mogłabym prowadzić teologicznych debat z przyjaciółmi tak... swobodnie, jak bym chciała.

Thisbe roześmiała się w głos, ale Carlyle odwrócił się błyskawicznie z ogniem w oczach.

– Uważacie, że to zabawne? – warknął.

– Uważam, że to rewelacyjne – odpowiedziała.

– Rewelacyjne? To chore!

– Carlyle, widziałam Konklawe Senseistów. Szczerze mówiąc, w tym pokoju czuję się znacznie swobodniej. Madame jest kompetentną dorosłą osobą. Gdyby chciało zająć się polityką, mogłoby to zrobić. Ale

wolało zdobyć wielkie wpływy polityczne, jednocześnie ciesząc się pięknymi strojami i wygodnymi sofami. Co w tym złego?

– Ale...

– Kobiety wyzwolono chyba ze czterysta lat temu, ale pozostałości dawnych uprzedzeń nadal się utrzymują, nawet jeśli nikt nie chce tego przyznać. Wśród liderów politycznych i biznesowych zawsze jest więcej mężczyzn niż kobiet, przynajmniej poza Kuzynami. Przyjrzyjcie się listom Siedmiu i Dziesięciu. W dzisiejszych czasach Bryar Kosala jest jedyną kobietą na większości z nich. Moim zdaniem dobrze jest zobaczyć drugą kobietę na szczycie. Co z tego, że Madame weszła do polityki tylnymi drzwiami? To jeszcze nie znaczy, że oszukiwała. Podobnie jak prezydent Ganymede nie oszukuje tylko dlatego, że ma jasne włosy i jest piękne. Bez obrazy.

Diuk skinął głową.

– Naprawdę chcielibyście, żeby Madame wyrzekło się władzy, którą zdobyło? – naciskała Thisbe.

– A co z Heloïse? – Carlyle wskazał oskarżycielsko palcem na drzwi, jakby wyobrażał sobie, że zakonnicę zamknięto za nimi. – Co z innymi dziećmi, z którymi rywalizowało w latach młodości? Kawalerowie potrzebują dam, ale ich nie zobaczyliśmy, bo siedzą zamknięte w pokojach jak małe, delikatne króliczki i całymi dniami zajmują się haftowaniem, czy co tam właściwie robią damy. Madame wychowuje je do życia w niewoli, a wam to nie przeszkadza?

– A co ze skonfigurowanymi? – odgryzła się Thisbe w imieniu Eureka i Sidney.

Czytelniku, te słowa to rzucona rękawica. Kuzyni i Humanisci znajdują się po przeciwnych stronach barykady, gdy chodzi o prawo baszów do wykorzystywania sztuk Brilla celem zmieniania swych dzieci w starannie zaprogramowanych geniuszy – szczęśliwych, produktywnych i całkowicie szalonych, co do czego zgadzają się obie strony. Nawet łagodny jak baranek Carlyle zawahał się w obecności śpiącego smoka zamieszek antykonfiguracyjnych, które przed dwoma stuleciami omal nie przypomniały naszemu światu, czym jest wojna.

Carlyle zaczerpnął głęboko tchu.

– To zupełnie inna sprawa. To jest seksualne niewolnictwo.

Thisbe wzniosła oczy ku niebu.

– Wychodzi z was Kuzyn. Jeśli coś łączy się z seksem albo przemocą, automatycznie jest złe tylko dlatego, że tak mówicie.

– Nie o to chodzi!

– Seks jest we wszystkim, Carlyle, a każdy, kto uważa, że jest inaczej, wyrusza do walki z jedną bronią w arsenale mniej. Jest to prawdą zarówno w senacie i w Konklawe, jak i tutaj. Jeśli w to nie wierzycie, powinniście sobie kogoś znaleźć.

Po chwili pełnej szoku przerwy roześmiali się wszyscy: madame, diuk, i dyrektor Andō. Ich śmiech był głęboki i serdeczny, jak wtedy, gdy jedno ze stworzeń Madame, będące jeszcze dzieckiem, podchodzi do zajętych przyjemnością dorosłych i pyta: „Czy to łaskocze?”.

– Och, droga Thisbe, musicie mi pozwolić się pocałować! – Madame spełniła groźbę, składając na policzku chętniej Thisbe pocałunek zdecydowanie głębszy od siostrzanego. Czarownica! Wybacz, Panie, pragnę być ci posłuszny, ale ona naprawdę jest czarownicą! Spójrz na nią! Spójrz na nie obie! Czarownica i kurwa, dwie czarne strony kobiecości, rozpoznają się nawzajem równie niezawodnie, jak skorpion rozpoznaje żmiję, a skrytobójca złodzieja, gdy ocierają się o siebie, odwiedzając ten sam podejrzany warsztat ślusarski ulokowany w zaułku. Spójrz, jak szybko Thisbe adaptuje się do tego wszystkiego, z jaką swobodą wyleguje się na kozetce! Czy Lesley też by tak zareagowała? A Aldrin? Toshi Mitsubishi? Mama Lalka? Widzisz, jak przeraził się Kuzyn Carlyle. Natomiast Thisbe już wymienia uśmiechy z Madame niczym elektryczne węgorze wysyłające do siebie nawzajem sygnały wytyczające granice terenów łowieckich. Ich spojrzenia pełne są wzajemnego podziwu. Madame i Thisbe podziwiają się nawzajem, jak sprinter podziwia ciężarowca, z którym nigdy nie będzie mógł rywalizować. Ich gry nie zmierzają do tych samych celów i nie mają takich samych zasad, ale używają tych samych figur i toczą się na tej samej planszy, naszej kruchej błękitnej planecie.

Skończyłeś już, Mycrofcie? Dałeś upust swemu szaleństwu?

Tak, Czytelniku.

Całe szczęście. Niech ten wybuch będzie twoim ostatnim. Moja cierpliwość i pobłażanie kończą się w tym miejscu. Ostrzegam, że od tej pory będę opuszczał każdy obłąkany akapit, w którym padnie słowo „czarownica”.

Ależ Czytelniku!

Nie! Nędzniku, masz bzika na punkcie kobiet, tak samo jak twój Jean-Jacques. Nie chcę już więcej o tym słyszeć, a jeśli raz jeszcze poddasz

próbie moją cierpliwość, zacznę opuszczać również inne absurdy: twoje bredzenie o cudach i twojego Bridgera. To ostatnie ostrzeżenie.

– Porozmawiam o tym z Konklawe – oznajmił Carlyle. Myślę, że zwracał się w równym stopniu do siebie samego, jak do wszystkich obecnych.

Madame uśmiechnęła się do Kuzyna z protekcyjną serdecznością.

– O czym, mój drogi? Już wam mówiłam, że Konklawe wie.

– O Jehovah Epicurusie Donatienie coś tam, coś tam. O teologii. O tej nielegalnej stronie.

Matrona zamrugwała.

– Prawo nie zabrania, by Czarnoprawowcy albo Szaroprawowcy nosili imiona o religijnym charakterze. A może utrzymujecie, że to prozelityzm?

– Pomijając kwestię zachęcania Heloïse do oddawania boskiej czci J.E.D.D. Masonowi...

– Nikt jej do tego nie zachęcał, a już z pewnością nie mój syn. W gruncie rzeczy on tego nie aprobeuje i bardzo stanowczo zakazał dziewczynie namawiania do tego innych. Ale Heloïse ma prawo do wolności wyznania, tak samo jak każdy, nawet jeśli jej wybór jest bardzo nietypowy.

Senseista zmarszczył brwi, ale postanowił na razie przejść do następnej kwestii.

– Widziałam J.E.D.D. Masona w akcji, w baszu Saneer-Weeksbooth. Mówiło o religii, wyznawanej przeze mnie i przez innych, w obecności całej grupy ludzi, mimo że nikt nie wyraził na to zgody. To sprzeczne nawet z Czarnym Prawem.

– Nie. – Hotaka Andō Mitsubishi odezwał się wreszcie po długim milczeniu, ten cudzoziemiec, któremu ciemne kimono, proste, czarne włosy i sztywna poza przydawały aury odrębności i obiektywizmu. To uspokoiło nieco Carlyle'a.

– Co macie na myśli, dyrektorze?

– Czy widzieliście, by Tai-kun posługiwało się teologią w sytuacji, gdzie nie działa się coś bardziej niebezpiecznego dla porządku świata?

– Nie – musiał przyznać Carlyle.

– Pierwsze Prawo zabrania dyskusji religijnych, a ściślej mówiąc, prozelityzmu, w rubryce, „czyny, które mogą doprowadzić do niekontrolowanej utraty życia wielu ludzi albo spowodować ich cierpienia”. Nie wiem, jakie komentarze czytaliście, ale jestem pewne,

że zgodzicie się, że nie uprawiało prozelityzmu, a to, co robiło, miało służyć bezpieczeństwu światowego systemu transportowego, a wszystko, co zagraża temu systemowi, może prowadzić do niekontrolowanej utraty życia ludzi i spowodowania ich cierpień. – Andō zaczerpnął głęboko tchu. – Teologia jest bronią Tai-kuna, a Tai-kun jest przedstawicielem prawa. Wolelibyście, żebyśmy dali mu licencję na zabijanie, jak Ockhamowi Saneerowi?

– Zatem... – Carlyle przerwał na chwilę, by się zastanowić. – Sugerujecie, że to celowe? Że unieszkodliwia przeciwnika, posługując się teologią?

– Zamiast przemocy, tak jest – potwierdził Andō. – Tai-kun wysyła swoich nieprzyjaciół do senseisty, nie do szpitala. Zostawia im nowe myśli zamiast blizn. Wyobraźcie sobie, ilu ludziom można by uratować życie, gdyby wszyscy policjanci na świecie posługiwali się tak łagodną bronią.

Carlyle potrafił to sobie wyobrazić. Sądząc z tego, jak pobladł, pomyślał o Julii Doria-Pamphili i o ostrych jak brzytwa słowach, którymi docierała aż do serca niczym chirurg, który zostawia pacjenta zdrowszym, gdy rany już się zagoją.

– Zadaniem Tai-kuna na tym świecie jest rozwiązywanie problemów – kontynuował dyrektor naczelny. Pochylił się, by móc przeszyć Kuzyna spojrzeniem z bliska, nie tracąc jednocześnie z oczu połyskliwego Ganymede'a. – Dzięki niemu rywalizacja między Mitsubishi a Masonami nie staje się zagrożeniem dla dobra publicznego. Tai-kun złapie złodzieja z *Czarnej Sakury* i obroni autoloty, nim dojdzie do poważnych strat. Jeśli nawet ma wśród swoich narzędzi trochę wolnych od prozelityzmu uwag dotyczących religii, przynosi to korzyść całemu światu, a często korzystają na tym również ludzie, których kontakt z nim skłania do refleksji. – Przerwał, by dać Carlyle'owi szansę wyrażenia sprzeciwu, ale senseista milczał. – Aczkolwiek Madame D'Arouet nie piastuje żadnego oficjalnego stanowiska – podjął – wykonuje podobne zadania, polegające na zapobieganiu konfliktom, na przykład wtedy, gdy dochodzi do nieporozumień między mną a MASONEM, a także pozwala tym, którzy przebywają na dole, zaspokoić pragnienia, które mogłyby doprowadzić do niebezpiecznych zaburzeń, gdyby dali im wyraz na zewnątrz. Diuk, cesarz i ja możemy tu porozmawiać prywatnie, nie przyciągając spojrzeń całego świata. Zdziwilibyście się, jak wiele

kryzysów powstrzymano pod tym dachem.

Ktoś zapukał dwa razy w drzwi.

– Nareszcie! – ucieszyła się Madame, ponownie spoglądając na częściowo już uspokojonego Carlyle’a. – Przybyła wasza opiekunka. Wpuście ją, Mycrofcie. Wpuście ją.

Otworzyłem drzwi i zobaczyłem, że szok przegnał z twarzy senseisty ostatnie ślady gniewu.

– Przewodniczący Kosala?

Thisbe gwizdnęła, cicho i przeciągle. Mama przybyła osobiście. Przewodniczący Kuzynów Bryar Kosala rozchyliła z przodu pożyczony czarny płaszcz, by uwidocznic srebrną szatę, psującą scenę swą nowoczesnością.

– Carlyle Foster, zgadza się? Nic się wam nie stało?

– Co tu robicie?

Carlyle podbiegł do niej, ciesząc się, że znalazł jakąś przystań rozsądku w tym nowym, szalonym świecie.

Uśmiechnęła się.

– Mieliśmy się spotkać przed półgodziną, by porozmawiać o Mycrofcie Cannerze i o tym, dlaczego nie wolno wam powiedzieć wszystkim, że zrobiono je usługowcem. Nie dostaliście wiadomości?

– Przepraszam, nie sprawdzałem dziś lokalizatora. Jak mnie tu znaleźliście?

– Dostałem komunikat. Nic wam się nie stało?

Przenikliwe spojrzenie Ganymede’a świadczyło, że domyślił się, iż to ja wysłałem wiadomość.

Senseista wytrzeszczył oczy.

– Wiedzieliście o tym miejscu.

– Jestem zewnętrznym inspektorem. – Pokazała mu swoje upoważnienia. – Wiecie, że we wszystkich domach publicznych są kuzynowscy inspektorzy, którzy sprawdzają, czy nikomu nie dzieje się krzywda.

– Robicie to osobiście? – Twarz Carlyle’a już się rozpogodziła. Przybycie Bryar uspokoiło go. Wszystko w niej obiecywało normalność – współczesna, zgarbiona postawa, szczery uśmiech, a nawet prosta obrączka ślubna na palcu, milczące zapewnienie, że nie miała nic wspólnego z tym szaleństwem.

– W dzisiejszych czasach to jedyny burdel, w którym nadal to robię – odpowiedziała. – Tego lokalu nie odważyłabym się powierzyć nikomu

innemu. Oni też nie. – Kiwnęła głową do pozostałych przywódców Pasiek. – Cześć, dyrektorze. I Wasza Miłość.

Obaj w milczeniu pochylili głowy.

Ganymede'owi przypadł obowiązek przedstawienia jednej z jego ludzi.

– Bryar, czy mogę wam przedstawić Thisbe Saneer z baszu Saneer-Weeksbooth?

Kosala stała za daleko, by była w stanie uścisnąć jej dłoń.

– Miło mi was poznać, członku Saneer.

Poświęć chwilę, Czytelniku, by zadać sobie pytanie, czy mógłbyś pomylić te dwie kobiety, gdybyś spotkał je na ulicy. Thisbe Saneer i Bryar Kosalę. Bryar jest trochę wyższa, Thisbe ma nieco jaśniejszą cerę, czarne jak noc włosy obu są długie i niemal zawsze rozpuszczone, ale włosy Bryar zawsze opadają jej na plecy jak peleryna, natomiast włosy Thisbe otaczają szyję i ramiona na podobieństwo kaptura skrywającego w cieniu twarz.

– Moja droga Bryar – odezwała się Madame – czy zechciałabyś łaskawie wyjaśnić doktorowi Fosterowi, dlaczego w tym, jak wychowuję swoich chłopaków i dziewczyny, nie ma nic nielegalnego?

Kosala spojrzała ze współczuciem na senseistę.

– Znacie problem skonfigurowanych. Regularnie odwiedzam ten baszobudynek, by dopilnować, by dzieci miały dostęp do standardowego wykształcenia i uznawanych powszechnie poglądów, a także mogły odejść, gdy tylko zechcą, i wybrać inną drogę.

– Ale jeśli uczy się je tak, że są nieprzystosowane do normalnego życia...

– Carlyle – przerwała mu Thisbe złowrogim tonem – kiedy słyszycie słowa „problem skonfigurowanych”, to znaczy, że macie się zamknąć.

Kosala spojrzała na nią z sympatią.

– To prawda, w waszym baszu są skonfigurowani, zgadza się?

Thisbe nie złagodniała.

– Eureka Weeksbooth i Sidney Koons to najszczęśliwsi ludzie, jakich w życiu spotkałam.

Bryar spróbowała uśmiechu.

– No właśnie. Szanuję wasze wątpliwości, Carlyle, ale prawo wypowiada się jasno. Wychowując dziecko, zawsze popychamy je w jakimś kierunku, kształtujemy je, choćby za pomocą języków. Dopóki ten kierunek uczyni ich życie produktywnym i szczęśliwym,

nie ma żadnych podstaw do ingerencji. Wychowywanie dzieci na skonfigurowanych jest legalne, tak samo jak wychowanie ich na Kuzynów, na Włochów, a także na osiemnastowiecznych dżentelmenów i damy. Mam rację, Thisbe?

Humanistka nadal się nie uśmiechała. Jej spojrzenie było zimne jak lód.

– Tak. Moja Pasięka ciężko walczyła o to prawo. Dlatego nie chcę w swoim baszu żadnych edukacjonistów, nawet jeśli są wykwalifikowanymi senseistami.

To właśnie, Czytelniku, była jedyna chwila, gdy miałem ochotę podnieść głos przeciwko tym, którzy byli lepsi ode mnie. Wersja historii przedstawiona przez Thisbe była po prostu fałszywa. Dwieście lat temu, gdy zbliżało się głosowanie w sprawie Ósmego Prawa, to nie Humanisci mu się sprzeciwiali. Z pewnością robił to Mycroft MASON, ale w jeszcze większym stopniu niż on Utopianie, ci dziwni ludzie o twarzach zasłoniętych woalkami, którzy oglądają prawdziwe Słońce jeszcze rzadziej niż Eureka. Utopianie wiedzieli, że jeśli Ósme Prawo zostanie zatwierdzone, jeśli uzna się, że Lindsay Graff miała prawo porwać dzieci z baszu wychowującego skonfigurowanych, będzie to się równało otwarciu bram i wkrótce potężna, gniewna Ziemia rzuci się na Utopię, jak katolicy atakowali protestantów. Albo na odwrót, by „zbawić” ich dzieci. Księżycowe Dziecko Terra stanie się dla nich pretekstem. Utopianie będą mogli zapewniać do woli, że nie przewidzieli, że astronautka zajdzie w ciążę, że wczesne komplikacje sprawią, że powrót na Ziemię stanie się zbyt niebezpieczny dla matki i płodu, ale większość nadal będzie przekonana, że zrobili to celowo, a Terra miała być królikiem doświadczalnym. Być może szczęśliwym i niezastąpionym, jako że dowiedzieliśmy się dzięki niej więcej niż z tysiąca symulacji, ale nadal królikiem doświadczalnym, który był kaleką i żył krótko, ponieważ urodził się na Księżycu z jego niskim przyciąganiem i brakiem atmosfery. Jeśli byli gotowi uczynić to jednemu dziecku, kto wie, co robią sobie nawzajem pod zasłoną swoich woalek. Ile czasu minie, nim ich cyborgiczne u-bestie stworzone z iguan, psów i koni będą miały również ludzkie części? Strach zmusił Utopian do działania. Zdecydowali się na łagodną formę protestu. Gdy zaczął się proces, wszyscy wzięli zwolnienia, „zawiesili działalność na czas nieokreślony”, jak to nazwali. Nie jedno z nich i nie setki, ale całe czterysta milionów jednocześnie. Zamknęli

laboratoria, fabryki, think tanki i gazety. Przez trzy tygodnie świat miał okazję się przekonać, jak wygląda życie bez czterystu milionów wokatorów. Wezbrały nienawiść i strach, wszystkie bronie pewnej siebie Ziemi wymierzono w Utopię. Ta właśnie groźba sprawiła, że Mycroft MASON ogłosił w senacie, że jest gotowy za wszelką cenę powstrzymać wprowadzenie Ósmego Prawa edukacjonistów. Twój bohater dał z siebie wszystko, Czytelniku. Dla Aldrin, Voltaire i Apolla Mojave, nie dla swoich Masonów, Eureka Weeksbooth ani dla ciebie.

Zatem z pewnością słusznie nazwano cię na jego cześć, Mycrofcie, jako że wiernie powtarzasz tę litanię na cześć Utopii z pasją swego imiennika?

Na jego cześć? Schlebiasz mi, Czytelniku. Nie nazwano mnie na cześć Mycrofta MASONA. Obaj odziedziczyliśmy to imię po Mycrofcie Holmesie, starszym bracie fikcyjnego detektywa. Mycroft był inteligentniejszy od Sherlocka, niemalże wszechwiedzący, a w swej większej mądrości drwił z brata i jego walki o sprawiedliwość. Mycroft Holmes spędzał swe dni na wyglądaniu przez okna w Klubie Diogenesa, kontemplacji nieskończenie skomplikowanego życia miejskiego. Nie robił nic, chyba że rząd wydał mu rozkazy.

Carlyle zaczerpnął głęboko tchu.

– Macie rację. Macie rację. Straciłom panowanie nad sobą. Nie jestem edukacjonistą. Naprawdę nie jestem. Nie mam nic przeciwko skonfigurowanym. Myśl o nich niepokoi mnie nieco, ale rozumiem, dlaczego to powinno być legalne. Zgadzam się z samą zasadą. Być może to, co robicie tutaj, rzeczywiście służy dobru, ale...

– Macie za sobą trzy ciężkie dni. – Bryar Kosala poklepała drugiego Kuzyna po plecach, jak kumpla od kieliszka. – Chodźcie, Carlyle. Zjemy razem obiad i odpowiem na wszystkie wasze pytania dotyczące Mycrofta Cannera, Jeda Masona i tak dalej. Może być?

Senseista rozluźnił się wreszcie.

– Znakomicie. Dziękuję wam z całego serca. – Odwrócił się z radością ku drzwiom i czekającej za nimi nadziei, ale zatrzymał się jeszcze na moment. – Jeszcze jedno pytanie, Madame?

– Ile tylko sobie życzycie.

Jej twarz jak z portretu rozciągnęła się w perfekcyjnym uśmiechu.

Carlyle musiał wziąć się w garść.

– Kto wybrał imiona dla waszego dziecka? Wy sami?

– Jehovah Epicurus Donatien D’Arouet Mason? – wyrecytowała.

Senseista zerknął na Thisbe.

– Donatien to imię markiza de Sade.

Madame skinęła głową.

– Wszyscy baszrowie Księcia wybierali imiona dla niego. Jako senseista z pewnością nie chcielibyście, żebym wam powiedziała, które z nich wybrało które.

Carlyle wreszcie się do niej uśmiechnął.

– To prawda. Dziękuję, że mnie przyłapaliście.

Odwzajemniła jego uśmiech.

– Nadal umiem myśleć jak senseiści. Uważam też, że Jehovah to dobre imię dla kogoś, kto posługuje się teologią zamiast broni.

Carlyle zaczerpnął tchu.

– Narzeczony Heloïse to było cesarz, nieprawdaż? „Wielki i wartościowy mężczyzna”, który traktowałby Jehovah Masona jak ojciec syna. Cesarz miało poślubić Heloïse, tak samo jak dyrektor poślubił Danaë. To dość niepokojąca różnica wieku.

– To były dwa pytania – skarciła go Bryar Kosala. – Chodźcie, Carlyle, starczy już dla was dzisiaj polityki. Przejedźcie się nią. Polecam dobrą francuską restaurację. – Obejrzała się przez ramię. – Do zobaczenia, dyrektorze i prezydencie Ganymede.

Carlyle zatrzymał się w drzwiach.

– Thisbe, nic wam się tutaj nie stanie?

– W obecności mojego prezydenta? – odpowiedziała z chichotem. – Mycroft nauczyło was paranoi, Carlyle. Jestem zachwycona tym miejscem.

– W porządku. Zobaczymy się...

– Przy okazji – dokończyła za niego.

Przytrzymałem drzwi przed wychodzącymi Kuzynami. Kosala zerknęła na mnie.

– Mogę się z wami potem skontaktować, Mycrofcie, jeśli Carlyle będzie miało jakieś pytania.

– Będę gotowe, przewodniczący – zapewniłem i zamknąłem za nimi drzwi.

– Mycroft Canner.

Carlyle wyszeptał moje nazwisko niczym zaklęcie, zanim zniknął po drugiej stronie. Być może ja i Madame mamy dla niego podobny zapach, uważa nas za potwory tego samego rodzaju – zupełnie jak wtedy, gdy mieszkańcy położonej na pustkowiach wioski znajdują na

skraju lasu ciała zmasakrowane przez kły i pazury zbyt wielkie dla przedstawiciela typowej leśnej fauny. Nie ma wtedy znaczenia, czy napastnikiem jest wilk, niedźwiedź czy dinozaur. Groźba jest taka sama: powrót tego, co uważano za wymarłe. Tortury ludzkość ponoć zostawiła już za sobą. To samo dotyczyło płci kulturowej.

Po odejściu Kuzynów Madame przeciągnęła się na kanapie, promieniejąc satysfakcją jak kot w przerwie między dwiema drzemkami.

– I co, panowie? Przyjrzelście się dobrze?

– To z pewnością to dziecko – odpowiedział Andō z powagą w głosie.

Ganymede zgodził się z nim, skinąwszy głową.

– Thisbe, ten młody senseista jest utajnionym genotypem i za wszelką cenę trzeba go trzymać z dala od tego miejsca, głównie dla jego własnego dobra. Dzieci mogą opuszczać ten dom i on jest tego dowodem. Będziecie nad nim czuwać w moim imieniu?

Policzki Thisbe pozostały nieruchome, ale w jej oczach pojawiły się błyski zachwytu. Kolejna tajemnica do jej księgi zaklęć.

– Oczywiście, członku prezydencie.

– Znakomicie. Teraz chodźcie ze mną. Zabierzemy was do domu, a potem spotkam się z waszym baszem, by porozmawiać o całej tej sprawie. Jeśli macie problemy, to dotyczą one całej Pasieki. Pora je rozwiązać.

Rzadko widywałem, by Thisbe godziła się na coś z taką radością.

– Dziękuję, członku prezydencie. Liczyliśmy na jakąś bardziej bezpośrednią interwencję. – Spojrzała na panią domu. – I dziękuję za waszą gościnność, Madame. Bardzo mnie oświeciliście. – Zaśmiała się z własnego żartu. – Chętnie bym tu kiedyś wróciła, jeśli pozwolicie.

– Byłabym zachwycona, droga Thisbe. Porozmawiam z członkami o zaproszeniu dla was.

Madame ucałowała ją na pożegnanie w oba policzki.

Diuk Ganymede potrafi poruszać się z gracją jak tancerz, kroczyć dumnie jak kogut i maszerować jak żołnierz. Tym razem zdecydował się na to ostatnie. Pociągnął Thisbe ku wyjściu mocą rozkazu.

Otworzyłem przed nimi drzwi i wręczyłem mu worek z butami i bronią kobiety.

– To są rzeczy Thisbe, Wasza Miłość.

Diuk nie dziękuje niewolnikom.

Dyrektor Andō również wstał.

– Ja też się oddalę, jeśli już skończyliśmy.

– Tak, skończyliśmy. Dziękuję, Hotaka. Wiedziałam, że jeśli ktokolwiek rozpozna dziecko, to z pewnością wy i Ganymede. Zobaczymy się wieczorem?

Dyrektor naczelny ucałował jej dłoń.

– Tak, Madame. [Oczekuję również waszej obecności, Mycrofcie] rozkazał, spoglądając na mnie po raz pierwszy od chwili, gdy wszedłem do pokoju. [Mamy dla was zadanie.]

[Tak jest, dyrektorze naczelny.]

Zamknąłem za nim drzwi, po czym odwróciłem się w stronę właścicielki, która wreszcie została sama w swym salonie.

«Dobra robota, Madame. Naprawdę bardzo dobra.»

Lubi słyszeć tego rodzaju komplementy z moich ust.

«Dziękuję, Mycrofcie. A teraz wracajcie do roboty» dodała, przeganiając mnie gestem jak gołębia.

Rozdział dwudziesty siódmy

Interludium, w którym Martin Guildbreaker rozważa kwestię doktora Cato Weeksbootha

Rozmowa rozpoczęta o 11:11 czasu uniwersalnego 26 marca 2454

Seneschal: Nieczęsto się zdarza, by notre Maître zadawał pytania tego rodzaju.

Guildbreaker: Dominic! Gdzie jesteście? Coś wam się stało?

Seneschal: W dodatku zrobił to w obecności samego cesarza. „Czy Utopianie kiedykolwiek odrzucają prośby o przyłączenie się do ich Pasieki?”. Kiedy to mówił, patrzył prosto na Aldrin. Naprawdę na nią patrzył! Widzieliście, jak bardzo pobladł Mycroft, kiedy to usłyszał? Dziwię się, że jego lokalizator nie wezwał Papadeliasa.

Guildbreaker: *Dominus* naprawdę się o was martwi. Inni mogli nie zauważyć różnicy, ale ja to widzę.

Seneschal: I jak? Czy odrzucają podania?

Guildbreaker: Utopianie? Nie, nigdy. Prosiłem Aldrin, żeby to sprawdziło.

Seneschal: Nie widzicie tego, prawda?

Guildbreaker: Widzę. *Dominus* uważa, że jest ktoś, kto chciałby być Utopianinem, ale nim nie jest, i zastanawia się, czy odrzucono jego podanie. Zajmę się tym. Ale musicie wrócić i opowiedzieć nam, co się wydarzyło. Czym się zajmowaliście przez te trzy dni?

Seneschal: Kilka sekund przed zadaniem tego pytania *Dominus* zapytał Aldrin, ile czasu zostało do następnego lotu na Marsa. Dam wam wskazówkę. Słyszałem, jak wcześniej notre Maître pytał o to samo Cato Weeksbootha i otrzymał równie dokładną odpowiedź. A potem zapytał, od jak dawna basz Saneer-Weeksbooth należy do Humanistów, i skubane małe strachajło nie potrafiło mu odpowiedzieć.

Guildbreaker: Cato Weeksbooth?

Seneschal: Zostawiam to wam. Ja znalazłem bogatsze tereny

łowieckie.

Guildbreaker: Dominic, co...

Rozmowa zakończona o 11:13 czasu uniwersalnego 26 marca 2454

* * *

Z notatek Martina Guildbreakera.

O 14:22 czasu uniwersalnego 26 marca roku 2454 przybyłam do Chicagowskiego Muzeum Nauki i Przemysłu, by przeprowadzić rozmowę z doktorem Cato Weeksboothem. Nie zawiadomiłam go o tym z wyprzedzeniem, nie miało więc czasu skonsultować się z innymi członkami baszu Saneer-Weeksbooth przed wyrażeniem zgody. Zaprowadzono mnie do gabinetu doktora Weeksbootha, żebym na niego poczekała. Zdziwiło mnie, że wolontariuszowi przydzielono gabinet.

W pomieszczeniu było akwarium z rybkami, znajdowały się tam też terraria z myszami, żabami, świerszczami, a także bardzo dużą kolonią mrówek. Na ścianach wisiały portrety sławnych uczonych oraz zdjęcia przedstawiające doktora Weeksbootha z dziećmi na konkursach naukowych albo w miejscach o dużym znaczeniu dla nauki. Szczególną uwagę przyciągało pięć oprawionych w ramki, ręcznie pisanych na papierze listów od byłych uczniów, którzy dziękowali doktorowi Weeksboothowi za inspirację do wyboru kariery naukowca. Troje z tej piątki było laureatami liczących się nagród. Każdy z listów oprawiono tak, że część tekstu zasłaniała fotografia autora jako dziecka. Przyjrzałam się tym listom uważniej i zauważyłam dwie cechy wspólne. Po pierwsze, każde ze zdjęć ułożono tak, że zasłaniały miejsce, w którym autor wspominał, że przyłączył się do Pasieki Utopian. Po drugie, mój skaner potwierdził, że plamy na wszystkich listach pochodzą od łez.

Wielu ludzi ceni instynktowne reakcje, mnie jednak doświadczenie nauczyło, że utrudniają one obiektywne prowadzenie dochodzenia. Nie potrafiłam się uwolnić od wywołanego przez relację Tsuneo Sugiyamy wrażenia, że samobójstwo narzeczonego jej potomka, popełnione przez rozbicie autolotu, w rzeczywistości było morderstwem. Dlatego podczas pracy wszędzie dopatrywałam się dowodów zabójstwa, bez względu na to, czy istniały rzeczywiście. Chcąc sprzeciwić się tej tendencji, postanowiłam zacząć od kwestii mającej najmniej bezpośrednich związków z domniemanym morderstwem – kwestii doktora Cato Weeksbootha. Może to wydawać

się osobliwym punktem startowym, ale znaczna część życia składa się z rutynowych czynności, które z reguły okazują się skuteczne, nawet jeśli mechanizm tej skuteczności nie jest oczywisty. Porfirogeneta rzadko uznaje za konieczne pomaganie mi w pracy, ale gdy już to robi, często posługuje się podobnymi – z pozoru pozbawionymi związku ze sprawą – pytaniami, które niezawodnie prowadzą mnie do celu.

Cato Weeksbooth ma trzydzieści pięć lat i sto siedemdziesiąt trzy centymetry wzrostu. Łatwo poznać, że jest z pochodzenia Chińczykiem, dzięki ciemnobrązowym oczom i sztywnym rozczochranym włosom, wyraźnie naśladowującym fryzurę Einsteina. Doktor Weeksbooth miało na sobie kostium szalonego naukowca, z archaicznym białym fartuchem narzuconym na niebieski szpitalny kombinezon oraz humanistycznymi butami z gryfiej skóry, przedstawiającymi wewnętrzną anatomię stóp. Widoczne były tylko trzy grupowe insygnia – dwie szpilki wpięte w klapę fartucha, symbolizujące członkostwo w Przyjaciołach Chicagowskiego Muzeum Nauki i Przemysłu oraz Klubie Księżycowym Dziesięć Plus, a także gumowe rękawiczki związane w supeł na pasie, symbolizujące Drużynę Młodych Naukowców z Chicagowskiego Muzeum Nauki i Przemysłu. Doktor Weeksbooth sprawiało wrażenie podekscytowanego, przez większą część rozmowy zajmowało się czyszczeniem terrariów, wyraźnie unikając kontaktu wzrokowego. Formalne przesłuchanie rozpoczęłam o godzinie 14:47 czasu uniwersalnego.

Guildbreaker: Dziękuję, że zgodziliście się dziś ze mną porozmawiać, doktorze Weeksbooth.

Weeksbooth: Czy moglibyśmy załatwić to szybko? Mam coś zaplanowane. Spotkanie. Mam spotkanie, na które muszę iść, bieć, pędzić. Nie mogę zostać długo na tym, co to właściwie ma być. Dlaczego w ogóle chcecie ze mną rozmawiać? Nigdy nie widziałam tej głupiej listy Siedmiu i Dziesięciu. Jestem bardzo zajęte. Czy nie możecie zostawić mnie w spokoju?

Guildbreaker: To nie potrwa długo, doktorze Weeksbooth. Muszę zdobyć pewne informacje na temat zwyczajów panujących w waszym domu, żeby móc określić, którędy najprawdopodobniej złodziej dostało się do środka. Ile czasu, według waszej oceny, spędzacie w domu?

Weeksbooth: Większość. No wiecie, tam właśnie pracuję.

Guildbreaker: A ile godzin tygodniowo to będzie?

Weeksbooth: Nie wiem. Zawsze tam jestem, z reguły, zawsze z reguły, chyba że jestem tutaj.

Guildbreaker: Spędzacie wiele czasu w muzeum?

Weeksbooth: Pewnie tak.

Guildbreaker: Ile godzin na tydzień?

Weeksbooth: To zależy. Może dwadzieścia. Nie, z pewnością więcej. Trzydzieści. Czterdzieści, może czterdzieści.

Guildbreaker: Od jak dawna pracujecie tu jako wolontariusz?

Weeksbooth: Od piętnastego roku życia.

Guildbreaker: To bardzo długo. Z pewnością lubicie tę pracę.

Weeksbooth: Tak.

Guildbreaker: Co was do niej przyciągnęło?

Weeksbooth: W dzisiejszych czasach nie zaznajamia się dzieci z nauką, jak trzeba! W szkole mówią tylko, że nauka jest użyteczna. Naucz się trochę geometrii, a będziesz mogło zaprojektować budynek, naucz się trochę chemii, a będziesz umiało wyprodukować plastikową torbę. Pewnie, że dzieci tego nie lubią! Żadne dziecko nie mówi po powrocie do domu: „Jak będę duże, chcę produkować plastikowe torby!”. Już mamy plastikowe torby, wygodne krzesła i autoloty, mieliśmy je od stuleci i nie stają się coraz lepsze, bo i tak działają zadowalająco i nikomu nie zależy, by zastąpić je lepszymi, tylko żeby były tańsze albo dołączano do nich więcej gier. To nie jest nauka! Nauka to badanie, dokąd zmierza wszechświat! To zauważanie, że mrówki wążące na stół piknikowy wolą naszą kanapkę od kanapki baszrodzonego, i pytanie „dlaczego?”. Nie „Jak można to uczynić użytecznym?”, ani „Czy można z tego zrobić plastikową torbę?”, tylko „Dlaczego?”.

Guildbreaker: Chodziło mi o to, czemu zaczęliście tę pracę akurat wtedy?

Weeksbooth: Ach. Doktor mi kazało.

Guildbreaker: Doktor?

Weeksbooth: Doktor Balin. Ember Balin. Moje psychiatra.

Guildbreaker: Dlaczego doktor Balin chciało, żebyście zaczęli pracować jako wolontariusz?

Weeksbooth: Dlatego że próbowałam się zabić. Posłuchajcie, to nie ma nic wspólnego z listą Siedmiu i Dziesięciu. Jeśli chcecie dostać wykaz godzin, w których byłam w muzeum, możecie poprosić

w kadrach. Czy mogę już iść?

Guildbreaker: Co to za spotkanie?

Weeksbooth: Słucham?

Guildbreaker: Pytam o to spotkanie, na które musicie biec.

Weeksbooth: Spotkanie Drużyny Młodych Naukowców.

Guildbreaker: A co to takiego?

Weeksbooth: Klub naukowy dla dzieci.

Guildbreaker: A czym on właściwie się zajmuje?

Weeksbooth: Urządzamy spotkania dwa razy w tygodniu. Robimy obchody muzeum, urządzam pokazy w muzeum, mamy też grupę czytelniczą i laboratorium, w którym dzieci robią doświadczenia. Nadzoruję ich czynności, ale same wybierają projekty i wszystko robią samodzielnie. Zajmują się też oryginalnymi projektami badawczymi i prezentują je na naszym dorocznym jarmarku naukowym. On się robi sławny, w zeszłym roku zjawilo się na nim dyrektor Światowego Laboratorium. Są też wycieczki, urządzamy wycieczki do laboratoriów, baz naukowych, geologicznych wykopalisk, rezerwatów natury i czego tylko zapragną dzieci. Wjeżdżamy też na górę windami i latamy do Luna City. To jest ich ulubione miejsce. Co roku wybieramy się do Luna City.

Guildbreaker: Ile razy byliście już na Księżycu?

Weeksbooth: Dziewiętnaście. W tym roku będzie dwudziesty raz.

Guildbreaker: To na pewno sporo kosztuje. Czy Utopianie nie każą wam po drugim razie płacić pełnej ceny?

Weeksbooth: Sponsorują mnie, bo zabieram dzieci. Mamy specjalny program, który pozwala nam zatrzymać się w ISS City. Czy wiecie, że siedemdziesiąt procent dzieci na świecie nigdy nie było na Księżycu przed wyruszeniem na kampus? Trzydzieści procent ludzi nigdy tam nie było, pomimo dotacji! Wiecie, że jeśli ktoś skończył sześćdziesiąt lat, zapraszają go za darmo, ale trzydzieści procent ludzi i tak nie leci?!

Guildbreaker: Mam wrażenie, że to świetny klub.

Weeksbooth: To prawda. Jest też popularny. Mamy teraz sześćdziesięciu jeden członków. To rekord. Oczywiście na spotkaniach z reguły zjawia się tylko około trzydziestu, ale nawet dwudziestu to świetny wynik. Na wykłady przychodzi więcej. W dodatku dzieci je nagrywają i dają kolegom za darmo. Dyrektor muzeum powiedziało mi, że wykorzystuje się je w z górą stu klasach.

Guildbreaker: Zanim tu przyleciałam, obejrzałam jeden na próbę.

Weeksbooth: A który?

Guildbreaker: Ten o historii szczepień. Jesteście porywającym wykładowcą. W pewnym punkcie się popłakałam.

Weeksbooth: To nie moja zasługa, tylko materiału. Takie osiągnięcie skłoniłoby was do łez, nawet gdyby opisano je złym wierszem na papierowej serwetce. Pod warunkiem, że przetrwała w was choć odrobina zainteresowania nauką. Niektórzy utracili je całkowicie.

Guildbreaker: Nie sądzę, by chodziło tylko o materiał. Jesteście bardzo dobrym mówcą. Napisaliście też kilka książek?

Weeksbooth: Nikt nie potraktował ich poważnie. Mówią, że próbuję uczyć nauki, jakby była poezją, ale przecież nauka to naprawdę poezja, a ten, kto tego nie widzi, jest martwy w duchu!

Guildbreaker: Macie na myśli swój przewodnik dla nauczycieli Jutro, pojutrze i popojutrze?

Weeksbooth: Tak. Czy chodziło wam o coś innego?

Guildbreaker: *Za horyzont.*

Weeksbooth: Ach, to. Wszyscy o tym gadają, bo Thiz namówiło Orlanda Vivesa do sfilmowania tej książki. To tylko taka zabawna opowiadka. Napisałam ją dla dzieci, żeby miały co pokazywać kolegom. Czytaliście ją?

Guildbreaker: Nie, ale...

Weeksbooth: Widzieliście film?

Guildbreaker: Tak.

Weeksbooth: Wszyscy go widzieli.

Guildbreaker: Podobał się wam?

Weeksbooth: Był w porządku.

Guildbreaker: Tylko w porządku?

Weeksbooth: Za dużo zmienili.

Guildbreaker: Słyszałam, że wycięli jeden z wątków. Czy to prawda? W oryginale były cztery grupy dzieci próbujące zbudować statek i opłynąć nim świat. Oprócz tych ze starożytności, roku 1495 i współczesnej była też dziewiętnastowieczna?

Weeksbooth: Wycięcie jednej grupy było dopuszczalne. Mieli tylko dwie godziny, nie mogli pomieścić wszystkich czterech. Problem w tym, że Taylor Harrow było w ich wersji Utopianinem.

Guildbreaker: Taylor Harrow to przywódca współczesnej grupy?

Weeksbooth: Powiedzieli, że to nierealistyczne, żeby współczesne dziecko myślało w ten sposób i nie było Utopianinem, ale o to właśnie

mi chodziło! Wszyscy mogą się interesować nauką, nie tylko Utopianie. Filmowa wersja wzmacnia stereotyp, zamiast go złamać!

Guildbreaker: A wy chcieliście to zrobić?

Weeksbooth: Oczywiście! Powiedzieli, że to bardzo nowatorskie nakręcić film, w którym Utopianin jest główną postacią, a nie tylko jakimś mistycznym nauczycielem, technikiem albo superzłoczyńcą. Ich zdaniem to uczyłowiec Utopian, jak ten ostatni film o Cannerze... Jak tam on się zwał?

Guildbreaker: Rzeka Apolla.

Weeksbooth: Tak. Ale nie to było moim celem.

Guildbreaker: Chodziło wam o efekt: „Jeśli Taylor Harrow może robić takie rzeczy, to czemu nie ja”?

Weeksbooth: W tym rzecz. W filmie przekaz brzmi tak, że Utopianie rządzą w nauce, tak samo jak Humanisci w sporcie, a inne Pasieki nie muszą prowadzić żadnych badań, bo wystarczy, że powiedzą: „Zostawmy to Utopianom”. Wszyscy mówią o projekcie marsjańskim tak, jakby tylko Utopianie mieli tam kiedykolwiek postawić nogę, podczas gdy pozostali będą sobie siedzieć na miejscu, zadowoleni ze swoich plastikowych toreb i wygodnych krzeseł. Czy takiej przyszłości pragniecie?

Guildbreaker: Zatem chcecie, by dzieci, które nie są Utopianami, zainteresowały się nauką i odkryciami?

Weeksbooth: W rzeczy samej. Dlatego publicznie gram rolę szalonego naukowca. To postać z przedpasiekowych czasów i wszyscy mogą się z nią identyfikować, nie kojarząc jej z Utopianami.

Guildbreaker: I to działa?

Weeksbooth: Słucham?

Guildbreaker: Pytam o waszych uczniów. Ilu z nich wybiera karierę naukowców?

Weeksbooth: Bardzo wielu. Czterdziestu trzech ma już doktoraty z nauk ścisłych, trzydziestu pracuje w naukach doświadczalnych, a pięciu zajmuje się inżynierią kosmiczną.

Guildbreaker: A ilu z nich zostało Utopianami? Doktorze Weeksbooth?

Weeksbooth: Słyszę was.

Guildbreaker: Ilu?

Weeksbooth: (Nagranie za ciche, żeby można było cokolwiek usłyszeć).

Guildbreaker: Przepraszam, nie dosłyszałam.

Weeksbooth: Wszyscy, dobra? Wszyscy co do jednego. Ale co to ma wspólnego z *Czarną Sakurą*? Myślicie, że Utopianie za tym stoją? Nie zrobiliby czegoś takiego! Nie są brudni, jak my wszyscy, nie są w to zamieszani. Nawet nie używają autolotów!

Guildbreaker: Czy kiedykolwiek rozważaliście możliwość zostania Utopianinem?

Weeksbooth: Słucham?

Guildbreaker: Czy kiedykolwiek rozważaliście możliwość zostania Utopianinem?

Weeksbooth: Słyszałam was za pierwszym razem.

Guildbreaker: Ale czy rozważaliście?

Weeksbooth: Nie... my nie... Basz jest humanistyczny. To znaczy mój basz. Jesteśmy Humanistami. Zawsze nimi byliśmy, to jest dziedziczny basz. Nie... to by nie było praktyczne. Wiecie, czym się zajmuję.

Guildbreaker: Czy wyrzuciliby was z baszu, gdybyście wybrali Utopię?

Weeksbooth: To... to jest humanistyczny basz. Poza tym Utopianie nie zakładają mieszanych baszów. To znaczy mogą je zakładać, ale tego nie robią.

Guildbreaker: Właściwie to nie mogą.

Weeksbooth: Słucham?

Guildbreaker: Utopianie nie mogą zakładać mieszanych baszów. Ich prawo tego zabrania.

Weeksbooth: Nie zabrania.

Guildbreaker: Naprawdę? Byłom pewne, że jest taki zakaz.

Weeksbooth: Z pewnością nie ma. Sprawdzałam to.

Guildbreaker: Sprawdzaliście?

Weeksbooth: Tak.

Guildbreaker: A właściwie po co?

Weeksbooth: Nie... nie wiem. Bez powodu.

Guildbreaker: Dlaczego zostaliście Humanistą? Humanisci powinni cechować się wielką ambicją. Na czym polega wasza wielka ambicja, doktorze Weeksbooth?

Weeksbooth: Muszę już iść. Inaczej się spóźnię.

Guildbreaker: Jeszcze tylko parę pytań. Dyrektor muzeum mówiło mi, że kilkakrotnie oferowało wam pełne zatrudnienie. Dlaczego odrzuciliście tę propozycję?

Weeksbooth: Mam już pracę.

Guildbreaker: Lubicie kierować autolotami? Czujecie się szczęśliwi w tej pracy?

Weeksbooth: Posłuchajcie, starałam się z wami współpracować, ale nie jestem głupie. Nie pozwolimy wam wykorzystać tego śledztwa do ataku na mnie i mój basz. Masoni już kontrolują jedną trzecią świata. Chcecie sobie podporządkować również nas?

Guildbreaker: Zapewniam was...

Weeksbooth: Proszę stąd wyjść! Proszę opuścić ten gabinet!

Guildbreaker: Nie chciałam...

Weeksbooth: Won! Won! Won! Won! Won!

Rozmowa zakończona o godzinie 15:03 czasu uniwersalnego.

* * *

Fragmenty rozmowy z doktorem Ember Balin, godzina 16:03 czasu uniwersalnego 26.03.2454.

Guildbreaker: Zatem pierwsza próba samobójstwa była powodem, dla którego powierzono wam przypadek Cato?

Balin: Tak, w marcu dwa tysiące czterysta czterdziestego. Cato miało wtedy piętnaście lat.

Guildbreaker: Ile prób było od tej pory?

Balin: Oficjalnie trzy.

Guildbreaker: Oficjalnie?

Balin: Reszta baszu obserwuje Cato bardzo uważnie, więc trudno określić, ilu próbom zapobiegli. Kilku.

Guildbreaker: Druga próba była w następnym roku, zgadza się?

Balin: W dwa tysiące czterysta czterdziestym pierwszym.

Guildbreaker: Dwa dni po tym, jak Cato oficjalnie zarejestrowało się jako Humanista i otrzymało pierwsze buty, zgadza się?

Balin: Tak.

Guildbreaker: Czy waszym zdaniem może istnieć jakiś związek?

Balin: Słucham? Sugerujecie, że jeśli ktoś zostanie Humanistą, może chcieć się zabić?

Guildbreaker: Nie, ale czy to możliwe, że na Cato Weeksbootha wywierano naciski w sprawie wyboru Pasieki? Że w rzeczywistości chciało wybrać inną?

Balin: Cato Weeksbooth to wybitna postać, wielki uczyony i wspaniały popularyzator. Czyż nie taki powinien być wzorowy Humanista? Wybór Pasieki wiąże się z silnymi emocjami. To mogło przywołać inne

uczucia.

Guildbreaker: Zapytam wprost, doktorze. Czy uważacie, że doktor Weeksbooth chciało zostać Utopianinem? Basz Saneer-Weeksbooth od stuleci był humanistyczny, z pewnością są naciski, by pozostał...

Balin: Rozumiem pytanie.

Guildbreaker: I?

Balin: Spierdalaj, Masonie.

Guildbreaker: Słucham?

Balin: To samo dotyczy wszystkich akt, o dostęp do których prosiliście. Rejestr przepisanych leków? Daty dawnych sesji z senseistą? Wiem, że w przypadku Humanistów prawnie uznanych za „niezastąpionych” Romanova może zażądać złamania tajemnicy lekarskiej, i uwierzcie mi, że w przeciwnym razie nie siedzielibyśmy tutaj, ale tego już za wiele. Cato Weeksbooth od piętnastego roku życia jest obserwowane starannie, jak owad pod lupą. Nie podoba mi się, że wykorzystujecie fakt, iż nie ma prawa do prywatności, zwłaszcza że nie potraficie wytłumaczyć celu tych pytań. Jeśli przyjdziecie tu z nakazem sądowym, odpowiem na nie, ale do tej pory nie zamierzam upubliczniać najprywatniejszych akt i uczuć Cato tylko dlatego, że cesarz się nimi interesuje. Szczerze mówiąc, czuję się też urażone założeniem, że Cato nie chciałoby zostać Humanistą, gdyby go do tego nie zmuszono.

Guildbreaker: Mogę was zapewnić, że to dochodzenie jest bardzo ważne.

Balin: Zapewnijcie sobie, ile chcecie, Masonie, ale nie ustąpię, dopóki nie powiecie mi, o co w tym wszystkim chodzi, albo dopóki nie zobaczę na ekranie podpisu sędziego. Zapytajcie Cato osobiście, jeśli chcecie wiedzieć, co sądzi na temat Utopian. Jeśli wam nie powie, ja również tego nie zrobię.

Guildbreaker: Rozumiem. A kiedy doszło do trzeciej próby samobójczej?

Balin: Trzynastego lipca roku dwa tysiące czterysta czterdziestego dziewiątego.

Guildbreaker: Pięć lat temu. A czy znacie przyczynę tego incydentu?

Balin: Jeśli żądacie dostępu do poufnych akt Cato, Masonie, moglibyście przynajmniej je przeczytać.

Guildbreaker: Nie rozumiem.

Balin: Rodzice Cato i cała reszta starszego pokolenia ich baszu zginęli

w wypadku na tratwie.

Guildbreaker: Słucham?

Balin: Wszyscy ich baszrowie, Sannerowie, Weeksboothowie, Typerowie i Sniperowie, utopili się podczas corocznej wycieczki na górskiej rzece. Sprawę wyciszono, bo wydarzyło się to tylko dziewięć lat po morderstwach Cannera i wszyscy wpadliby w szal, twierdząc, że utrata baszu robi z ludzi potwory. Jako specjalista mogę was zapewnić, że sprawa Cannera była znacznie bardziej skomplikowana. W dodatku ten przypadek nie był aż tak ekstremalny. W katastrofie zginęło tylko pokolenie baszrów Saneer-Weeksboothów. Wśród ofiar nie znalazło się żadne z dzieci. Niemniej wszystko, co trzeba porównywać z Mycroftem Cannere, jest paskudne. Cato przez dwa miesiące przebywało w zakładzie psychiatrycznym.

Guildbreaker: Czy tylko ono ucierpiało tak poważnie?

Balin: Wszystkie dzieci poważnie ucierpiały. Zginęli ich baszrowie.

Guildbreaker: Chodziło mi...

Balin: Wiem, o co wam chodziło. Lesley Juniper Sniper Saneer również przebywało w zakładzie, nie pamiętam jak długo, nie więcej niż tydzień. Lesley niczego nie próbowało, ale w jego przypadku to była druga utrata baszu, więc chcieliśmy zachować szczególną ostrożność. Wszystkie badziecei obserwowano z wielką uwagą. Zawsze je obserwujemy, bo są niezastąpione, ale tylko Cato i Lesley mieli historię niestabilności. Naprawdę nie mieliście o tym pojęcia, tak? A mówią, że Imperium wszystko widzi i wszystko wie.

Guildbreaker: A co z ostatnim razem? Mówiliście, że była jeszcze jedna oficjalnie uznana próba.

Balin: Ósmy grudnia roku dwa tysiące czterysta pięćdziesiątego. Tym razem był to... powiedzmy kryzys teologiczny.

Guildbreaker: Moglibyście wyrażać się ściślej?

Balin: Mogę wam kazać spierdalać tyle razy, ile tylko zechcecie, Masonie. To nawet zabawne. Tamtym razem nie angażowałam się aż tak głęboko. Zawsze opiekowałam się Cato na spółkę z jego senseistą, Esmerald Revere. Tamtą sprawą zajmowało się głównie Esmerald.

Guildbreaker: Dla formalności, to było senseista Esmerald Revere, które odebrało sobie życie szesnastego marca bieżącego roku?

Balin: Tak. Minęło tylko osiem dni, prawda? Wydaje się, że znacznie więcej.

Guildbreaker: Długo znaliście członka Revere?

Balin: Odkąd zajęłam się sprawą Cato. Nigdy nie uważałam, że to dobry pomysł, by cały basz miał tego samego senseistę. Cato z pewnością potrzebuje specjalisty. Szczerze mówiąc, większość baszu go potrzebuje. Lesley dwukrotnie zostało sierotą, dwójka skonfigurowanych, Sniper to Sniper, bliźnięta Typer to dziwny przypadek, a Ockham Saneer naprawdę potrzebuje specjalisty od osób mających licencję na zabijanie. Ale oni się upierają, że ich basz od niezliczonych pokoleń miał jednego senseistę i nie mamy prawa im mówić, że powinno być inaczej. Esmerald było najlepszym senseistą, z jakim kiedykolwiek pracowałam. Ufam Julii Dorii-Pamphili i jestem pewne, że wybrało prawdziwą znakomitość, bo inaczej nie zdecydowałyby się na Kuzyna, ale na całym świecie po prostu nie ma drugiej takiej osoby jak Esmerald Revere. Pora już na moje następne spotkanie, jeśli nie macie dziś innych zębów do wyrwania, Masonie.

Guildbreaker: Jeszcze jedno pytanie, jeśli można. Rozmawiałam wcześniej z doktorem Weeksboothem, które powiedziało mi, cytując: „Utopianie nie są brudni, jak my wszyscy”. Czy możecie mi powiedzieć, co miało na myśli?

Balin: Może zrobię z tego piosenkę? (zaczyna śpiewać) Spierdalaaaaj! Spieeerdalaj! Spierdalaj, spierdalaj, spieeerdalaj!

Guildbreaker: Doktorze Balin, doprawdy!

Balin: Rozmawialiście z Cato?

Guildbreaker: Tak.

Balin: Sid, połączcie się z Sorą Mitsubishi, dobra? Czuję piękny pozew o nękanie!

Guildbreaker: Przepraszam, z kim?

Balin: Z Sorą Mitsubishi, osobistym sekretarzem humanistycznego pretora w Romanovie. Macie jeszcze jakieś pytania, Masonie?

Guildbreaker: Sorą Mitsubishi?

Balin: Jesteście nie tylko wścibscy, ale w dodatku głusi?

Guildbreaker: Czy to... jedno z adoptowanych badzieci dyrektora Andō?

Balin: Nie spodziewaliście się, że wkurzycie dwie Pasięki naraz, co?

Guildbreaker: Nie... moje biuro skontaktuje się z wami, żeby odebrać resztę akt Cato Weeksbootha, gdy tylko zdobędę podpis sędziego. Dziękuję, że zechcieliście poświęcić mi swój czas.

Balin: Nie liczcie na to, że podziękuję wam za wasz.

Rozmowa z doktorem Ember Balin zakończona o godzinie 16:20

czasu uniwersalnego dnia 26.03.2454.

* * *

Mycroft nalega, bym dodało końcowy komentarz podsumowujący moją opinię o tych rozmowach, choć osobiście wolałbym pozwolić, by dane same przemówiły za siebie. Poświęciłam wiele godzin na walkę z własnymi uczuciami, próby uwolnienia się od uprzedzeń i spojrzenie prosto w oczy nagim faktom. Czemu miałabym opowiadać o tych wysiłkach innym? Czy wydało mi się dziwne, że w sprawie pojawia się tak wiele adoptowanych dzieci dyrektora Andō, choćby tylko marginalnie? Tak, ale nakazałam sobie to ignorować. Czy zaskoczyło mnie, że opiekę nad Cato Weeksboothem zlecono lekarzowi o skrajnie antymasońskich przekonaniach? Tak, ale to również nakazałam sobie ignorować. Trzymałam się swojej metody i resztę dnia poświęciłam na studiowanie akt Cato Weeksbootha, które doktor Balin mi przesłał, gdy już ugłaskałam pretora. Tak oto, odrzucając sentymenty i nie pozwalając, by podszepty intuicji i kwestie uboczne odciągnęły moją uwagę, lecz skupiając się wyłącznie na pytaniu Porfirogenety, odkryłem, że Cato Weeksbooth odbył pilną sesję ze swym senseistą, Esmerald Revere, czternastego marca roku 2454, dzień przed samobójstwem narzeczonego Aki Sugiyamy, Mertice O'Beirne. Dwa dni później Esmerald Revere również odebrało sobie życie.

Rozdział dwudziesty ósmy

Nieprzyjaciel

Gdy w Paryżu nie byłem już potrzebny, zatrzymałem się na chwilę w Barcelonie. Miałem nadzieję, że znajdę tam godzinkę zapomnienia w pracy z towarzyszami. Przenosiliśmy jakieś pudła ze starego kina do nowego budynku, położonego w odległości trzech przecznic. Ta praca zapewniła nam nie tylko świeże, gorące bocadillos, lecz również bilety upominkowe, które parzyły nas w kieszeniach i były cenniejsze niż złoto. Dzięki ostro przyprawionej fasoli i ognioniowi w zmęczonych mięśniach zacząłem zapominać o kryzysie. Potrzebowałem tego, tak samo jak Apollo potrzebował swego pubu w Liverpoolu, jak wszyscy potrzebujemy tych bezcennych minut po tym, jak sygnał budzika budzi nas ze snu, ale nie musimy jeszcze wstawać, by stawić czoło nowemu dniowi. Prawie mi się udało.

<¡chodźcie się pobawic! ¡chodźcie się pobawic! ¡ockham zabronilo wam wstępu do domu, ale ja chce się z wami pobawic!>

<¿Eureka?> odpowiedziałem w trybie tekstowym lokalizatora, żeby inni usługowcy mnie nie usłyszeli.

<thisbe opowiadało mi o celu 133-2720-0732.>

<¿Gdzie to jest?>

<czarna dziura. madame d'arouet. thisbe było bardzo zaskoczone, że znalazło to miejsce, prezydent, cesarz, dyrektor, przewodniczący kuzynów, ale my wiedzieliśmy, sidney i ja, wiedzieliśmy, że jest niezwykle, wiemy wszystko o wszystkich, wiemy, dokąd latają wszyscy ludzie na świecie, nawet podstępne j.e.d.d. mason, które używa utopianskich autolotów, ale nic nie wiemy o szalonym heloise. podobno jest zakonnica>

Spróbowałem ukryć westchnienie, ale pozostali je usłyszeli. Zauważyli też, że nie zwracam już większej uwagi na ruchliwe, handlowe ulice, którymi szliśmy. Nauczyli się mnie obserwować i zauważać momenty, gdy nadchodzi wezwanie, które każe mi ich opuścić. Czasami grozili, że będą mnie bronić, że policzą, ile godzin

pracuję, podsuną ten spis Kosali pod nos i oskarżą ją o okrucieństwo. Nie pozwalam im na to.

– Dobrze się czujecie, Mycrofcie? – zapytał jeden z nich. (Troskliwa Kosala nie pozwala mi podawać ich nazwisk).

– To nie robota – uspokoilem go. – Tylko pytania.

<i jak?>

<To pewnie zrozumialem, ze nic nie wiecie o Heloise> odpowiedzialem.
<Ono nigdy nie opuszcza domu.>

<¡wiedzialom! ¡nigdy! ¡nigdy w zyciu! ¡i jest ich wiecej! ten kawaler i inni. ¿ilu, mycrofcie? bylos tam. ¿ilu tajnych ludzi ukrywaja? musze to wiedziec>

<Nie mam pojecia.>

<spróbujcie zgadnac. ¿ilu? ¿10? ¿100?>

<Moze 50.>

<sprytne male niewidzialne potwory. przez nie liczby sie nie zgadzaja. liczby sie nie zgadzaja, mycrofcie. ¿wiecie o tym? nasze liczby dla celu lotow 133-2720-0732, ile osob przyleci, ile odleci i jak dlugo zostana. potrafimy to przewidziec dla kazdego miejsca na ziemi, dla domow, sklepow, biur i parkow. znamy wszystkich. znamy ich nawyki, wiemy dokad lataja i jak dlugo tam zostaja, mamy dla nich przygotowane autoloty i nigdy sie nie mylimy, ale nie w czarnej dziurze, tam liczby nigdy sie nie zgadzaja, za malo przygotowanych autolotow albo za duzo czekajacych niepotrzebnie. teraz rozumiem dlaczego. 50 malych podstepnych, niewidzialnych potworkow zmienia wzorce wszystkich. to niesprawiedliwe.>

Nadal szedlem za innymi uslugowcami przez ulice miasta. Mijalismy sklepy i tlumy ludzi, ktorzy poswiocali nam tyle samo uwagi, co lazacym wsród nich mewom.

<to madame d'arouet rowniez jest prawie niewidzialne. nie korzystalo z autolotu od wielu lat. ale jest na liscie zyczen. 27331 razy. to mnostwo niezadowolonych klientow jak na jeden burdel.>

<Rzeczywiscie mnóstwo.>

<na liscie zyczen jest cala masa osob z pieciocyfrowymi wynikami. trzeba zrobic cos naprawde okropnego, zeby tak wiele osob zyczylo wam smierci. ale nie przejmujcie sie, rekord nadal nalezy do was.>

<Wiem o tym.>

<ale czy wiecie, ile zyczen macie obecnie? 989408103 i ta liczba wciaz rosnie. tylko 110634255 humanistow dotad nie zyczylo wam smierci.>

Nasza mała banda niosąca obiady, na które zarobiliśmy ciężką pracą, miała ze sobą opowiadaczkę. Mimo że Eureka odwracało moją uwagę, cieszyłem się z blasku, jaki jej obecność przywoływała na ich twarze. Nie mogę wymienić jej nazwiska, ale mogę ją przynajmniej dla Ciebie namalować. Młoda, hałaśliwa, była Humanistka, o budowie ciała idealnej dla aktorki – duże, ruchliwe dłonie, oczy zmieniające kolor raczej pod wpływem opowiadanych historii niż światła, uniwersalna androgynia, albowiem była amazonką (jak być może Sniper) i już we wczesnym wieku postanowiła powstrzymać rozwój piersi z myślą o starcie w otwartych dyscyplinach olimpijskich. Jeśli życie usługowca równa się wygnaniu z otaczającego świata, można je porównać do naturalnego więzienia, jakim w dawnych czasach była śnieżna zima, gdy wieśniacy zapominali o swych zasypanych domostwach, by gromadzić się wokół ogniska, gdzie opowiadacz, sześć miesięcy w roku, był królem.

<Wygląda na to, że Lista Życzeń krąży częściej niż kiedykolwiek dotąd.> zauważyłem.

<¿chcecie wiedzieć, ile razy wymieniono was na liście kłatw?>

<¿Co to jest Lista Kłatw?>

<¿nie slyszeliscie o niej?>

<Nie.>

<¡to świetny pomysł! jest przeciwieństwem listy życzeń. umieszczacie czyjes nazwisko na liście kłatw, jeśli ich lubicie i chcecie ich bronic. kłatwa na jednej liście ma neutralizować życzenie na drugiej. na pewno jakaś osoba ją założyła, bo zobaczyła na liście życzeń nazwisko innej osoby, która lubiła, i chciała ją chronić. a to znaczy, że niektórzy myślą, że lista życzeń jest autentyczna.>

Potrząsnąłem głową, nawet jeśli Eureka nie mogło tego zobaczyć.

<Nieprawda. Gdyby tak myśleli, nie byłoby tak wielu chętnych do umieszczania nazwisk na Liście Życzeń. To by się równało podżeganiu do morderstwa.>

<ale z drugiej strony nie zawracaliby sobie głowy, gdyby myśleli, że to nie ma znaczenia. dlatego to jest takie cudowne. to jak zabobon. co najmniej dziewięćset milionów humanistów umieszcilo kiedyś na liście jakieś nazwisko. może nie wierza, że gdzieś czai się skrytobójca, które zabija ludzi zajmujących miejsce na czele listy, ale po cichu mają nadzieję, że jeśli na jedną osobę spadnie wystarczająco wiele życzeń śmierci, na pewno stanie się jej coś złego. w przeciwnym razie nie

chcialoby im sie tego robic. lista zyczen jest jak odpukiwanie w niemalowane drewno.>

Pojawil sie pies z przyjaznym wlascicielem, ktory pozwolil mu sie z nami pobawic: blogoslawienstwo.

<na liscie klatw tez jestescie, mycrofcie. 9231 razy. nadal macie fanow.>

<Nie powinniście wspierać Listy Życzeń, Eureka.>

<¿ja? nigdy nie umiescilom na niej ani jednego nazwiska.>

<To prawda, ale wiem też, że to wy puszczacie ją znowu w obieg, kiedy przestaje krążyć. Czytacie ją bez przerwy. Widziałom też, że w sieci wspominać o niej Humanistom, którzy jeszcze o niej nie słyszeli. Musicie zachować ostrożność. Lista mogła z początku być żartem, ale w nieodpowiednich rękach może spowodować, że do całej Pasieki przylgnie opinia morderców.>

Moi towarzysze dyskutowali teraz, w którą stronę się zwrócić – w lewo, do parku, czy w prawo, ku schodom i fontannie. Dwie równie atrakcyjne opcje, jak dwa różne kolory cukierków. Czy wolałbyś, żebym pomijał takie szczegóły, Czytelniku? Za sto lat po tych usługowcach nic nie zostanie. Nie będą mieli potomstwa, niczego nie wynajdą, nie uchwalą nowych praw ani nie pobiją rekordów. Nawet ich procesy staną się za stare, by mogły służyć jako precedensy. Ich nazwiska mogą być ocenzurowane, ale nie pozbawię ich tej szansy. Chcę, by zapamiętano ich przynajmniej jako szczęśliwych usługowców, którzy wędrowali z Mycroftem Cannerem.

<ja i sidney pracujemy nad lista tych, ktorzy odwiedzaja lokal madame. czasami staraja sie to ukryc, lecac z kims innym i wylaczajac lokalizatory, sprytne, sprytne, ale teraz, kiedy juz wiemy, co tam jest, mozemy sprawdzac, czyje lokalizatory sa wylaczone i kto ma wzorce, ktore sie nie zgadzaja. czarna dziura powoduje bardzo wiele zaklocen, ale znalezlismy brakujacy kawalek ukkladanki.>

<¿Czy to wy podaliscie Thisbe tę nazwę?>

<prosilo nas.>

<Proszę, nie pokazujcie Thisbe listy gości Madame. Musi trzymać się z dala od tego miejsca. wszyscy musicie, dla bezpieczeństwa baszu.>

<¿po co pokazywać ja thisbe? ¿co mogloby zobaczyc? ¿liste nazwisk? lista nic nie znaczy. thisbe nie widzi, ze gdy przesunie sie jedna kulke na planszy, pozostale rowniez sie przemieszczaja. madame d'arouet jest kulka, ktora sie nie rusza, ale pozostale przemieszczaja sie wokol

niej. cała struktura orbituje wokół czarnej dziury. gdybyście spróbowali to zobaczyć swoimi głupimi zmysłami, to mogłoby dla was wyglądać jak centrum pajeczyny. nie wiedzieliśmy, że w środku siedzi pajak. tak długo było nieruchome. ¿muscycie? ¿muscycie! ¿jesteście tam? ¿halo? ¿HALO! ¿ZIEMIA DO MYCROFTA!>

Eureka nie mogło do mnie dotrzeć. Ziemia też nie. Minęliśmy róg i spotkały nas słowa, wyraźne słowa niosące się głuchym echem na pustej ulicy. Słowa, których nie wolno wypowiedzieć. Zbiły mnie z nóg niczym zmasowane włócznie falangi. Opowiadałem Ci przedtem, jak trudno mi uwierzyć w ten ulotny sen, który zwiesz terażniejszością. W owej chwili przegrałem tę walkę.

– Śmierć większości jest kłamstwem! – zabrzmiały słowa unoszące się w... nie, nie byłem wówczas świadomy, w czym się unoszą, w tłumie czy w powietrzu, nic z tego nie było dla mnie realne. – Mamy dziś bardzo wiele większości, a wszystkie są realne i niebezpieczne. Kto jest właścicielem baszobudynku, w którym mieszkacie? Mitsubishi! Do kogo należy sklep, w którym kupujecie towary? Farma produkująca żywność na wasz stół? Do Mitsubishi! Ta Pasięka jest właścicielem dwóch trzecich Ziemi. W porównaniu z Mitsubishianami cała reszta obozuje na wąskim skrawku. Większość! Mówicie, że to nie ma znaczenia, ale wszyscy się niepokoją. Wiedzą, że Mitsubishi może w każdej chwili podnieść opłaty za dzierżawę całemu światu, dwukrotnie, trzykrotnie, dziesięciokrotnie, i nikt nie zdoła tego powstrzymać. Większość boi się Mitsubishian, pragnie ich powstrzymać, odebrać im ziemię i podzielić między wszystkich, siłą, jeśli okaże się to konieczne. Kradzież w Czarnej Sakurze była próbą kontrakcji. Wszyscy chcieliby podjąć kolejne. Ile czasu upłynie, nim nadejdzie drugi atak, a po nim trzeci? Nim Mitsubishianie zaczną się bronić?

Przypomniałem sobie pewną chwilę. Byłem młody, to było dwa lata po tym, jak zostałem sierotą. Wreszcie nauczyłem się posługiwać zrekonstruowanymi kończynami. Siedziałem w ogrodzie z dziećmi Mardich i rozmawiałem z Genewą Mardim o poświęceniu. Senator posadził nas na ziemi wokół siebie, a sam, ze swymi sztywnymi plecami, zajął całą ławkę dla siebie. Poprosił, żebyśmy wymienili coś, czego bylibyśmy gotowi bronić za wszelką cenę. To był mroczny problem, ale takim właśnie grom oddawały się dzieci Mardich.

Ogrody w Alba Longa początkowo należały do rzymskiego cesarza Domicjana, potem do papieży, a po nich do MASONÓW. Na całym świecie trudno byłoby znaleźć bardziej imperialne miejsce, ale to Instytut Brilla zasugerował cesarzowi Aeneasowi MASONOWI, by zamienił Alba Longa w Denker Garten. Cesarz zbudował na zabytkowych terenach pięć baszobudynków i kazał wyszukać na wielkich kampusach świata pięć najbardziej niezwykłych, najbardziej obiecujących i najambitniejszych baszów, by następnie zaprosić je do tego rajy, by wychowywały tam dzieci i tworzyły nowe idee. Nie prosił o żadną zapłatę, poza obietnicą przyszłej wielkości zasługującej na adekwatną wdzięczność. Komitet wybrał jeden basz byłych Europejczyków, którzy zostali Masonami, jeden basz kuzynowski, który miał potem mnie przyjąć, jeden złożony z Brillistów i Humanistów, jeden z Kuzynów i Masonów, a wreszcie najrzadszy skarb, basz Mardi składający się z członków sześciu Pasiek i jednego Bezpasiekowego. Co więcej, częste wizyty Apolla niemalże dodawały siódmą Pasiękę. Wiele napisano o moim domu, piątym baszobudynku, w którym mieszkali pracownicy gospodarczy i ogrodnicy obsługujący think tank – i o kompleksie niższości, jakiego mogłem się tam nabawić jeszcze przed wypadkiem, jako że dorastałem, wiedząc, że moi towarzysze zabaw to genialne dzieci, którym jest przeznaczona wielkość, a ja nie mogłem na nią liczyć. Wydaje się niesprawiedliwe sprzeciwianie się moim biografom w tak późnej chwili, nadmienię jednak, że wszyscy z moich baszrodzonych wiedzieli, że pozostałe cztery basze wybrał komitet, natomiast nas osobiście Aeneas MASON. Co prawda, musieliśmy poświęcić kilka godzin dziennie na całkiem przyjemną pracę w ogrodzie, ale tylko w ten sposób cesarz mógł znaleźć niekwestionowane miejsce dla baszu, w którym pokładał największe nadzieje. Odwiedził mnie w szpitalu po wypadku, który kosztował życie pozostałych, i z jego łez wywnioskowałem, że mogę być jedynym ocalałym rozdziałem zaginionego arcydzieła.

– Wymieńcie coś, za uratowanie czego oddalibyście wszystko – powtórzył.

– Mama! – zasugerował najpierw Laurel. Laurel Mardi miał wówczas siedem lat i był księciem baszu, złotym chłopcem Kuzynów i Masonów, dopóki nie zaćmił go Jehovah. Zasłynął z tego, że zostawiał swoje samochodziki w gabinetach tak wielu osobistości, że dowcipny reporter Romanova zaczął pisać cotygodniowe artykuły pod tytułem

„Podróże Laurela Mardiego”. Były one pretekstem do pokazania, jak światowi przywódcy rozpieszczają śliczne dziecko, lecz również kroniką wczesnych lat życia kogoś, kto z pewnością miał się stać jednym z wielkich następnego pokolenia. – Zrobiłbym wszystko, żeby uratować mamę!

Geneva się uśmiechnął, jakby czekał na taką właśnie odpowiedź. Geneva Mardi miał miłą twarz, ale był bezlitosny w stopniu możliwym tylko dla Masona wychowanego przez Kuzynów.

– Czy zabilibyście tatę, żeby uratować mamę? – Mniej zdeterminowany człowiek mógłby się zatrzymać w tym punkcie, widząc łzy zbierające się w oczach dziecka. – Czy zabilibyście tatę i baszra Julesa, żeby uratować mamę? – naciskał Geneva. – Tatę, Julesa i mnie, czy zabilibyście mnie? I Ibis, Kena i Mycrofta? – dodał, wskazując głową na resztę siedzących w kręgu dzieci.

– Cały basz! – zasugerowała Ibis. Miała dziewięć lat, uwielbiała zwierzęta i już kochała mnie bardziej niż członka rodziny. – Zrobilibyśmy wszystko dla całego baszu!

– Czy zabilibyście inny basz, żeby uratować swój?

– Tak! – odpowiedział natychmiast Ken. Miał sześć lat, chłonał historię jak gąbka i nigdy nie rozstawał się z drewnianym mieczem treningowym, który ciągnął za sobą jak misia. – Zrobiłbym to. I zginęłbym za niego.

Łatwo to powiedzieć, ale trudniej zrobić, nieprawdaż, Kenie Mardi? Zostawiłem ci twoją katanę i jedną nietkniętą rękę, żebyś mógł nią władać i położyć kres bólowi. Obiecałem nawet, że skrócę cierpienia twoich rodziców, jeśli to zrobisz. Twojej matce wystarczyło odwagi. Kohaku Mardi, gdy zaczęły się cierpienia wywołane przez moje trucizny, przeciął sobie brzuch ze spokojem, z jakiego byliby dumni jego przodkowie, i jako kobieta ze stali wypisał nawet własną krwią wiadomość: 33-67; 67-33; 29-71. Ty jednak, choć przechwalałeś się, że jesteś współczesnym samurajem, przyglądałeś się, jak otaczająca cię Arktyka zamienia porzrzucone wokół kawałki twoich kończyn w lód, odrzuciłeś miecz i płakałeś oraz cierpiełeś aż do końca. Ty hipokryto.

Geneva nie zakończył jeszcze swej lekcji.

– A co z dwoma baszami? – naciskał. – Zabilibyście dwa basze, żeby uratować swój?

– Gdybym musiało.

– A trzy? Cztery? Dziesięć baszów? Ile byłoby za dużo? Albo policzmy

ludzi? Pięciuset? Tysiąc? Miliard?

– Miliard to za dużo – oznajmił Laurel z typową dla siebie aurą książęcego autorytetu. – Tysiąc to też za dużo, a nawet pięciuset. Jeden więcej niż liczba członków baszu to byłoby zbyt wiele.

Ibis potrząsnęła głową.

– Nawet zabicie jednego to byłoby za dużo. Jeden więcej, niż jest ludzi w baszu, to punkt, w którym za dużo przechodzi w stanowczo za dużo.

Czytelniku, czy słyszałeś kiedykolwiek tak obrzydliwie kuzynowską opinię? Możesz być pewien, że przyłączyłaby się do Kuzynów, gdybym pozwolił jej żyć.

– Zatem basz nie jest czymś, co bylibyście gotowi ocalić za wszelką cenę? – zapytał Geneva, czekając, co dzieci wymyślą teraz. Spokój nigdy go nie opuszczał, nawet wtedy, gdy konał, wisząc na krzyżu, i odwiedziłem go, by wysłuchać jego ostatnich filozoficznych refleksji. Stawały się coraz czystsze i bardziej przenikliwe, w miarę jak słońce i pragnienie prowadziły go na spotkanie z jego Bogiem.

– Świat. – Na ten pomysł wpadł Laurel, który już myślał jak mąż stanu. – Zrobilibyśmy wszystko, żeby uratować cały świat, rasę ludzką. Każdy by zrobił.

Ken czuł się zobowiązany skrytykować rywala.

– To głupie. Pewnie, że nie ma rzeczy, której byście nie zrobili, żeby uratować świat, bo świat to wszystko, w tym także wy, więc to, co musielibyście poświęcić, żeby go uratować, i tak by zginęło, gdybyście tego nie zrobili. To nie jest żadne poświęcenie. Musicie zrobić wszystko, żeby uratować świat. Nie ma wyboru.

– Nie ma wyboru? – Apollo również był z nami. Apollo Mojave miał wówczas dwadzieścia pięć lat. Położył kaptur utopiańskiego płaszcza, by słońce przydało złotej barwy jego włosom, choć właściwie nie potrzebowały jej więcej. Nie wiem, co robiła wtedy Seine Mardi i dlaczego był z nami, a nie z nią, pamiętam jednak, że leżał na plecach, a jego płaszcz upodobił się do trawy pod spodem. Wyglądał jak duch tylko w połowie narodzony z Ziemi i nadal spowity w naturę.

– Czy zniszczylibyście lepszy świat, żeby uratować ten?

Byliśmy wówczas dziećmi, Czytelniku. Żadne z nas nie znało jeszcze własnych odpowiedzi, nawet ja. Nie przekazuję Ci jednak tego wspomnienia jako nauki. To raczej przykład tego, jak wyglądało codziennie życie dzieci z baszu Mardi, gdzie ich towarzyszem był Geneva, a także pozostali: Kohaku, senator Aeneas, historycy

Makenna, Jie, Chiasa i Jules, brillistyczna wykładowczyni Mercer, Leigh, która jako matka niemal dorównywała swemu dawnemu baszrodzonemu, Bryar Kosali. Tulliusa z nami nie było. Dopiero niedawno przyszedł na świat. Był jeszcze niemowlęciem, podczas gdy my przyswajaliśmy już sobie najtrudniejsze lekcje etyki. Miał osiem lat, kiedy zabiłem pozostałych, tyle samo, ile ja, gdy wybuch pozbawił mnie rodzzonego baszu, który ledwie pamiętam. Tullius nic o tym wszystkim nie wie, Czytelniku, a to, co wie, to raczej rekonstrukcja oparta na rozmowach i starych zapiskach niż prawdziwe wspomnienia. Niemniej, nawet jeśli wysypywał na ulice Barcelony niczym szeregi włóczni tylko pustą skorupę tego, czym był basz Mardi, blade echo słów, których nie wolno wypowiedzieć, byłem gotowy na wszystko, by go uciszyć.

– Ale to tylko jedna większość! – kontynuował. Widziałem go. Naprawdę stał na skrzynce na rogu ulicy i przemawiał do przechodniów jak jakiś starożytny prorok zwiastujący zagładę. – Jest też inna. Masoni rosną. Widzieliście liczby. Trzy miliardy Masonów, trzy miliardy sto milionów, trzy miliardy dwieście milionów. A jeśli oni rosną, inni muszą się kurczyć. Miliard siedemset milionów Kuzynów, miliard dwieście milionów Europejczyków, zaledwie miliard Brillistów. Masoni wysysają z nich ludność i wszyscy zadają sobie pytanie: ile czasu mnie, nim liczba członków mojej Pasieki spadnie poniżej miliarda? Poniżej pół miliarda? Czy, gdy moje dzieci dorosną, ich Pasieka stanie się równie nieliczna jak Utopianie? Większość boi się Masonów, pragnie w nich uderzyć, zmniejszyć ich liczebność, zobaczyć, jak znowu się kurczą. Gniewa was widok młodej osoby w białym stroju *Annus Dialogorum*, nieprawdaż? Kiedy debatujecie z kimś takim, nie podejmujecie uczciwych starań, by pomóc im w podjęciu decyzji, ale aktywnie staracie się przekonać ich do zmiany zdania. Myślicie, że Masoni tego nie zauważyli? Że nie zdają sobie sprawy, iż im liczniejsi się stają, tym bardziej narasta wrogość większości? Ile czasu minie, nim zaczną się bronić?

Tulliusa przynajmniej mój umysł rozpoznawał w zamazanej mgiełce terażniejszości. Trzydzieści lat ukrywania się na Księżycu czyniło go wysokim i nadało wygląd sztucznego. Jego mięśnie rozwijały się dzięki starannie zaplanowanym ćwiczeniom, a nie sportowi, a ciało karmiło się dietą racjonowaną z dokładnością do miligrama. Gdy opuszczał Ziemię, był jeszcze dzieckiem i nadal miał brązowe włosy oraz

ekspresyjną twarz naukowca, odziedziczone po brillistycznej matce, nie dostrzegalem w nim jednak żadnych śladów ojca, nic z wiecznego uśmiechu Luthera Mardigrasa, nieodrodnego dziecka tego baszu, zawodowego organizatora przyjęć, który potrafiłby skłonić do świętowania cztery osoby zamknięte razem w windzie i nawet Utopian namówiłby do zejścia z prostej drogi. Twarz Tulliusa wyrażała szczerą pasję, jakby chciał zadrwić z radosnej profesji swych protoplastów, a usta sprawiały wrażenie, że aż za dobrze poznały smak witamin, lecz nigdy nie skosztowały cukierków. Miał dwadzieścia dwa lata, wystarczająco wiele, by uważać się za dorosłego, ale nie został Utopianinem. Na ten krok nie chciał się zdecydować. Nie nosił płaszcza ani woalki, a tylko luźną niebieską koszulę i szare spodnie – ani zbyt niedbałe, ani zanadto eleganckie. W połączeniu z szarfą Bezpasiekowego Szaroprawowca wyglądało to tak, jakby starał przyciągać jak najmniej uwagi. Każdy wysłucha zwykłego człowieka.

– Czy nie widzicie, że to nie może trwać? – Nie przestawał mówić, słowa wypływały z niego jak woda z pękniętej tamy. – Dlaczego doszło do rewolucji francuskiej? Dlatego że garstka szlachetnie urodzonych zagarnęła wszystkie grunty i uciskała większość!

– Nie mówcie tego – powiedziałem bezgłośnie do siebie, do Boga, do nikogo.

– Dlaczego upadło Cesarstwo Rzymskie? Zrobiło się zbyt wielkie i niezgrabne, ignorowało siłę, nienawiść i zawiść sąsiadów, którzy byli większością!

– Nie pozwólcie mu tego mówić.

– To już się dzieje, wszędzie wokół nas. Najpierw przepływa własność, a potem leje się krew! To się wydarzy! To już się dzieje!

– Saladinie, nie pozwólcie mu tego mówić!

– Wojna! Mówię o wojnie! O rewolucji! O krwi! O krwi! Myślicie, że to nie może się zdarzyć? Że bez państw i armii wojna jest niemożliwa? Mamy policję! To wystarczające siły. To może się wydarzyć i się wydarzy! Wydaje się wam, że przemoc wymarła w naszym społeczeństwie? Spójrzcie na Mycrofta Cannera! I na wszystkich jego wyznawców, którzy nadal otaczają go czcią. Uważacie, że w świecie, który ich wydał, wojna nie może wybuchnąć? Instynkt śmierci i wola zabijania nadal w nas żyją! Oto... Mycroft Canner! – Tullius uniósł drżącą rękę i wskazał na mnie. – To ono! Tam! W kapeluszu! To

Mycroft Canner!

W każdym kryzysie pierwsze chwile mają największą wartość, ale ja je zmarnowałem. Widziałem już audytorium Tulliusa: czterech Brillistów, dwóch Masonów, dwóch Humanistów i Mitsubishianin, którzy zatrzymali się przy tym dziwacznym, chudym Bezpasielowym, niepomagającym sobie żadnymi zawansowanymi technologicznie urządzeniami. Myślę, że to pudło przyciągnęło ich uwagę – coś całkowicie absurdalnego w naszym świecie, w którym przekaz tekstowy i wizualny może dotrzeć do miliarda ludzi jednocześnie. Słowa wypowiedane tu i teraz robiły potężne wrażenie, świadomość, że mówca zwraca się nie do milionów, lecz do nich osobiście, a ich słowa będą miały tylko tę jedną szansę, by ich przekonać, nim znikną bez śladu. To oni go słuchali, nie miliony przeglądające sieć, lecz dziewiątka naocznych świadków, którzy widzieli, jak Tullius uniósł rękę i wskazał na mnie.

– Mycroft Canner! – powtórzył. To ono! Przyszło dokończyć robotę! Złapcie je!

Dziewięć osób to za mało, by stworzyć tłum, ale Tullius przyprowadził ze sobą czterech prowokatorów, ustawionych wokół jego podium niczym strażnicy. W rękach trzymali gotowe do akcji metalowe rurki albo kije bejsbolowe.

– Wiedzieliśmy, że tu przyjdziecie! Nie żyjecie, Canner! Słyszycie? Nie żyjecie!

– Uciekajcie. – Złapałem najbliższego z usługowców i popchnąłem go ku zaułkowi za nami. – Uciekajcie wszyscy!

Nieliczni mnie posłuchali, ale większość została na miejscu, otaczając mnie kordonem, jakby ich kruche ciała mogły wystarczyć, by powstrzymać podobny gniew. To nie miało znaczenia. Nim zdążyli się zorientować, zerwałem się do biegu, przepchnąłem między nimi i popędziłem przed siebie. Idealna synchronizacja ruchów rąk i nóg przetwarzała cały mój wzrost w szybkość. Moja dawna osobowość śmiała się, widząc tych, którzy na mnie patrzyli, czy próbowali patrzeć. Wyobraź sobie, Czytelniku, taką scenę: w prehistorycznych czasach jakiś straszliwy dinozaur o przerażającej paszczy ściga połyskliwą jaszczurkę umykającą w górę zbocza, drapieżca się raduje, czując już smak ofiary w swym krwiożerczym umyśle, gdy nagle smukłe stworzenie rozpościera opierzone kończyny i wzbija się w powietrze w świecie, który jeszcze sobie nie uświadomił, że życie

może latać.

Wydaje się wam, że mnie złapiecie?

– Teraz! Zagrajcie to teraz!

Moi wrogowie znali swojego wroga. Zastawili na mnie najpodlejszą i najskuteczniejszą pułapkę. Canner beat. Nie wiem, gdzie ukryli głośniki, ale grały tak donośnie, że rytm wypełniał wibracją moje kości. Utraciłem kontakt z tym światem cieni i znowu znalazłem się w swych dwóch tygodniach. Ibis Mardi wiała się z bólu pode mną. Jej przypalone ciało było już w połowie martwe, lecz rozgrzany do czerwoności łom nie przestawał uderzać bezczelnej suki, która wyobrażała sobie, że może zdobyć serce należące wyłącznie do Saladina. Gdy postanowiłem wykorzystać swój kardiostymulator, by zostawić nagrania jego bicia, w chwili gdy przeszywał mnie dreszczyk kolejnego zabójstwa, zastanawiałem się nad tym, jaki użytek z tych taśm mogą zrobić specjaliści z Instytutu Brilla. Nie doceniłem jednak ludzkiego geniuszu. Nie przyszło mi do głowy, że można z tego zrobić sztukę. Każdy rytm może się stać piosenką. Przyśpieszenia, opóźnienia i crescendo bicia mojego serca, wsparte gwałtownymi harmoniami i odpowiednio krwawymi tekstami dały początek nowemu gatunkowi muzycznemu i związanej z nim kulturze. Podejrzewam, że polubiłbym canner beat, gdybym mógł go słuchać, ale jego rytmy wyrywają mnie z czasu teraźniejszego i przedstawiają moje zmysły na replay. Znowu poczułem smak mięsa Ibis i ciepłej krwi bryzgającej na moją skórę, gdy tłukła we mnie strzępami, jakie uczyniłem z jej dłoni, które zbyt często zaciskały się pożądliwie na moich dłoniach, i widziałem miłosny uśmiech Saladina w chwili, gdy wywarliśmy swą zemstę. Moi przeciwnicy dokonali trafnego wyboru. Zwalilem się na ziemię oślepiiony i ledwie przytomny. Napastnicy otoczyli mnie, unosząc pałki.

W ostatniej chwili uratowała mnie u-bestia z rodzaju zwanego słupokotami. To koty, ale długie jak węże i mają sześć par nóg rozmieszczonych jedna po drugiej w odległości równej przeciętnej długości przedstawiciela kociego rodu. Dzięki temu mogą trzy razy owinać się wokół ludzkich kostek, tworząc mrużące zwoje. Albo zasnąć na brzuchu, zwijając się w spiralę przypominającą żywy koc. Stworzenie miało zieloną, pełną życia barwę świeżych liści, ze złotym podbrzuszem. Mruczało bezustannie, maskując buczenie elektronicznego wnętrza. Znało mnie. Wdrapało mi się na plecy

i ułożyło na moich ramionach jak długa chusta senseisty – tak samo, jak kładło się na ramionach Apolla.

– Cholera! Halley! Głupie kocisko! Złaż z niego.

– Halley! Chodź tu, kotku! Kici, kici!

Halley złapało się bardzo licznymi pazurami mojego ubrania i wydało z siebie syk, którego nie powstydziliby się anakonda.

– Głupie kocisko! – Napastnicy znieruchomieli wokół mnie, ich bejsbole i pięści opadły niczym zwiędłe gałęzie. – Co ty wyrabiasz? Mycroft Canner zabiło twojego twórcę! Byłoś przy tym! Nie pamiętasz?

Ktoś wyłączył muzykę i pamięć pozwoliła mi widzieć, nawet jeśli nie uciekać. Czyjeś ręce złapały mnie od tyłu, nie gwałtowne, ale pewne, pokryte elektrycznym mrowieniem, które odebrało siłę moim mięśniom, jak robi to śmiech. Znieczulające rękawice. Przesuwano mnie do tyłu jak kukiełkę, bezpiecznie owiniętego w koc. Po chwili niewidzialne osoby, które mnie pojmały, położyły kaptury z gryfiej skóry, odsłaniając blask woalek.

– Ta przemoc jest zabroniona. – Pierwszy z grupy stanął między mną a wojownikami Tulliusa. Jego płaszcz przestawił się z niewidzialności na jego Utopię – czarne burzowe niebo, na którym miasta z błyskawic pojawiały się i znikwały szybko pośród ulewy. – Rozejść się.

– Jebani Utopianie! Czemu chronicie Mycrofta Cannera?

Krzyczącym był któryś z gapiów, nie jeden ze strażników Tulliusa. Ci znieruchomieli pogrążeni w milczącym niedowierzaniu. Poznawałem ich teraz, po zdradzonych minach, europejskich koszulach oraz opaskach angielskiej grupy narodowej. To było bywalcy pubu, który adoptował Apolla w Liverpoolu. Przykro mi. Mielście prawo do zemsty.

Reszta tłumu nie była tak wstrząśnięta.

– Astrozasrańcy!

– To oni cały ten czas ukrywali Mycrofta Cannera!

Do słów dołączyły rzucane kamienie i odpadki.

– Rozejść się!

Dowódca Utopian przywołał teraz smoka, czarnego, ale spowitego w błyskawice. Bestia rozpostarła nad nami skrzydła i wlepiła w tłum złowrogie spojrzenie złożonych oczu. Każde z nich składało się z dwunastu krwawoczerwonych laserowych celowników, których światło padło na pałki i pięści. Do pierwszego smoka dołączył drugi,

w azjatyckim stylu – długi, z wąsami i gorejący tęczowym płomieniem. Otoczył nas niczym ściana, mruczając głośno jak pięćdziesiąt lwów, i zalał tłum ciepłą mgłą buchającą z setki maleńkich dysz, które pomagały mu utrzymać się w powietrzu. Prawdę mówiąc, oba smoki musiały być z nami przez cały czas, niewidzialne dzięki swym łuskom z gryfiej skóry. Znaleźliśmy się jednak na skraju otwartej bitwy i nikogo nie obchodziło, jak działają smoki. Smok to smok i tyle. Tłum się cofnął. Między napastnikami a u-bestiami utworzyła się fosa pustej przestrzeni. Na czoło wysunął się sam podżegacz.

– Mycroftie Canner! – Za Tulliusem posuwał się kolejny Utopianin, choć nie potrafiłem określić, czy chciał go osłaniać, czy powstrzymywać. – Dlaczego tu przybyliście?

Halley zszedł ze mnie i wrócił do Tulliusa. Zapewne czuł się zadowolony, bo znalazłem się w zaufanych rękach.

– To był przypadek – odpowiedziałem. – Nie wiedziałem, że tu jesteście.

Tullius pozwolił, by słupokot owinął się wokół jego nóg. Spodnie naciągnęły się od jego dotyku, uwydatniając aparaty ortopedyczne na nieprzyzwyczajonych do silnego ziemskiego przyciągania stawach.

– Oddajcie mi *Iliadę* Apolla.

– Ona nie należy do was – odpowiedziałem.

Opadł ku nam utopiański autolot i moi strażnicy, czy może zbawcy, wciągnęli mnie do środka, nie dając mi szansy oporu.

– Oddajcie mi ją! – zawołał Tullius w ślad za nami. – Ja ją zakończę! Zakończę wszystko! Wszystko, co zaczęliśmy!

Stojący za nim Utopianin, spowity w płaszcz wyobrażający jasne ptaki poruszające się w zwolnionym tempie, powstrzymał go, kładąc mu dłoń na ramieniu.

– Przestańcie, Tulliusie. Canner ma rację, książka nie należy do was. A teraz uspokójcie tłum.

Ten, kto przez trzynaście lat korzystał z kosztownego azylu w Luna City, nie mógł sprzeciwić się swym dobroczyńcom, lecz na pożegnanie obrzucił mnie jeszcze pełnym wyzywającej arogancji spojrzeniem, zapowiadającym, że zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby mnie zniszczyć.

– Hej, wszyscy! – usłyszałem jego głos. – Utopianie nie ukrywali Mycrofta Cannera. Ukrywali mnie przed nim, a to, co zrobili tutaj, miało na celu uratowanie was przed staniem się tym, czym chciał was

uczynić Mycroft Canner. Mordercami...

To było wszystko, co pozwolono mi usłyszeć. Drzwi autolotu się zamknęły i znalazłem się w kapsule mknącej w stronę schronienia, które wybrali dla mnie Utopianie.

– Zatuszujemy wszystko, na ile będzie to możliwe. – Jedno z nich było ze mną w kapsule. Trudno je było zauważyć, ponieważ płaszcz z kapturem (nie potrafiłem określić płci noszącej go osoby) nadawał siedzeniu autolotu wygląd siedzenia autolotu. – Świadców nie było zbyt wielu.

– Pomagaliście w tym Tulliusowi? – zapytałem. – Nie możecie tego robić!

– Apollo prosiło nas, żebyśmy się nim zaopiekowali.

Ręce mi się trzęsły.

– Widziałom liczby Kohaku Mardiego, w biurze cenzora, dokładnie te same, jakby ktoś zaaranżował całą aferę z *Czarną Sakurą*, by zrealizować plan Kohaku. Proszę, powiedzcie mi, że to nie była Utopia.

Odpowiedź była słodka jak ratunek dla tonącego.

– Nie przeszkadzamy ani nie pomagamy, tylko chronimy.

– Ale Tullius nie tylko ostrzega ludzi, lecz prowokuje ich, pogarszając sytuację. Może dać początek lawinie i spowodować, że to wszystko wydarzy się naprawdę. Mogą zginąć miliony ludzi.

Usłyszałem szelest u-bestii, ale nie potrafiłem określić, w której części autolotu się ukryła.

– Nie mówcie jak inni, Mycrofcie.

Potrząsnąłem głową.

– Nie o to mi chodziło. Nie możecie pozwolić, by ludzie kojarzyli Utopię z przekazem Tulliusa. Tullius to szaleniec. Wywołuje wrażenie, że chcecie sprowokować wojnę! Sześć pozostałych Pasiek sprzymierzy się przeciwko wam. To najgorsza z możliwych kombinacji. Nie będzie tak, jak wydaje się Tulliusowi. Przewidywania Mardich były błędne. Liczby Kohaku już stały się rzeczywistością. Dotarliśmy do punktu krytycznego, a nawet go minęliśmy, ale to już nie ma znaczenia. Wiecie o Jehovah. Wojna między Masonami a Mitsubishi nie może wybuchnąć, dopóki cesarz i Andō są ojcami tego samego Syna. Ale jeśli pozwolicie Tulliusowi nadal podżegać do wojny, jeśli wywołacie wrażenie, że go chronicie, wszyscy uznają, że wy również jesteście podżegaczami. Nie wiem, czy nawet cesarz zdoła was wtedy uratować.

– Nie pozwolimy, by nas zauważono.

Zawładnęło mną znużenie. Dyskusja z Utopianami nie miała sensu. Znali moje myśli, moje argumenty, lepiej niż potrafił je wyrazić mój osłabiony szokiem głos. Dalej lecieliśmy w milczeniu, ale wykorzystałem tę chwilę ulgi, wznosząc bezgłośnie modlitwę do każdego Boga, który mógł mnie słuchać: „Proszę, spraw, by mój Saladin uderzył na czas”.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Julio, znalazłem Boga!

«Dominic! Gdzie się podziewaliście! Jesteście mokrzy i śmierdzący!»

«Odkąd się zmoczyłem, śmierdzą znacznie mniej. Opłukałem się dla was wodą z hydrantu, Julio, znalazłem Boga!»

«Nie wiedziałam, że się zgubiło.» W głosie Julii Dorii-Pamphili pobrzmiwały nuty z troską, a nawet czegoś bliskiego wesołości, zagłuszał je jednak pomruk przyjemności wywołanej przybyciem Dominica. «Czy Jego rodzice o tym wiedzą?»

«Nie Prawdziwego Boga. Miałem na myśli Boga Tego Wszechświata, Idiotę, który stworzył choroby oraz entropię i postanowił uwięzić świadomość w grudkach ziemi.» Walnął się pięścią w pierś. «Znalazłem Go.»

Słyszałem jego głos dobiegający zza ściany i mogłem zobaczyć wąski skrawek pokoju, jeśli przycisnąłem policzek do podłogi przy szparze pod drzwiami, ale prowizoryczne więzienie, jakim była szafka w ścianie gabinetu Julii, nie dawała mi większej swobody. Była moim senseistą i zaleciła tę surową terapię, gdy Utopianie zostawili mnie pod jej opieką po szoku, jakim było dla mnie ujście Tulliusa po trzynastu latach. Miałem poświęcić dwie godziny na odpoczynek i refleksję, nic nie robić i nie służyć nikomu, a jeśli musiała zabrać mi lokalizator i zamknąć mnie w szafce, żeby mnie do tego zmusić, to trudno.

«A czy spytaliście Go, czy istnieje życie po śmierci?» zainteresowała się natychmiast Julia. Być może nikt na całej Ziemi nie był lepiej przygotowany na podobną szansę niż głowa Konklawe.

«Jeszcze ze sobą nie rozmawiamy.» Dominic przystanął obok niej, sądząc po brzmieniu głosu, tak blisko, że jego dźwięczna francuszczyzna odbijała się od dwóch przytulonych do siebie ciał. Rzecz jasna, rozmawiali ze sobą po francusku, dobry Czytelniku. Julia jest Europejką, a Dominic człowiekiem kulturalnym. «Nie zamieniliśmy dotąd ani słowa, ale znalazłem jego awatar. Jego

przedstawiciela na tej Ziemi, małe, żalosne stworzenie.

Strach sprawił, że mój kardiostymulator wydał cichy, ostrzegawczy pisk.

«Czy mogłabym też go zobaczyć?» zapytała Julia.

Dominic się roześmiał, a z ust kobiety wyrwało się ciche westchnienie, zapowiedź następnych. Było jeszcze za wcześnie, by któreś z nich zdjęło ubranie, ale zręczne palce Dominica zdążyły już wniknąć w spodnie Julii i dotrzeć do jej miejsca przyjemności.

«Jeszcze nie teraz» odpowiedział. Pasja zmieniła jego głos w syk. «Najpierw muszę skończyć.»

«To okrutne, Dominicu, drażnić się ze mną w ten sposób.»

«Wynagrodzę ci to. Proszę. Przemyciłem trochę resztek kolejnego arcydzieła Chagatai.»

Usłyszałem szelest papieru.

«To raczej nie wystarczy.»

«Och, nie to miałem na myśli.»

Rozległ się szelest tkaniny zsuwającej się ze skóry.

«Mmm. Musicie mi zadośćuczynić za mnóstwo rzeczy, Dominicu. Nie było was bardzo długo. Jestem pewna, że Jehovah również się o was martwiło.»

«To prawda. Wiem, że to prawda.» Oboje znaleźli się bardzo blisko drzwi. Usłyszałem, że źródło głosu Dominica przesunęło się niżej, jakby usiadł albo osunął się na kolana. «Sprawiłem mu ból.»

«W takim razie lepiej zaczniemy.»

«Pobłogosławcie mnie, matko, albowiem... zgrzeszyłem... minęło... osiem dni... od mojej ostatniej... spowiedzi...» Wszystkie frazy oddzielały od siebie wilgotne siorbnięcia. Towarzyszyły im ciche westchnienia Julii, coraz ostrzejsze. Jej oddech stał się szybki i płytki. «A w tym tygodniu... oddaliłem się... od Bożej ścieżki... bardziej niż kiedykolwiek.»

«Tak!» Choć Julię ogarniało podniecenie, jej głos nic nie stracił ze swojej siły. «Co uczyniliście?»

«Opuściłem Go... odciąłem się od niego... od Jego wzroku... słuchu... i słów... Pozwoliłem, by stał się ślepy... Ma tak niewiele zmysłów... w tym wszechświecie... wyobraźcie sobie ból, jaki poczuł... utraciwszy kontakt... z jednym ze Swych sług.»

«Tak!» krzyknęła, być może głośniejsze, niż było to jej zamiarem. «Byliście okrutni.»

«Czasami... nie jestem w stanie znieść myśli o tym, jak bardzo Go skrzywdziłem.» Usłyszałem gwałtowne poruszenie. Być może Dominic zerwał się na nogi, przyciągnął Julię do siebie albo obrócił, by wziąć ją z drugiej strony. «Wyobrażacie to sobie, Julio? Sprawić Mu tak wielki ból? Spowodować, by myślał o mnie, pragnął mojego powrotu, ale był całkowicie bezsilny. Zdesperowany, Julio. Doprowadziłem wszechmocnego Jehovaha do desperacji.» W jego głosie pobrzmiwała radość. «Myślicie, że zadrżał, Julio? Myślicie, że płakał?»

Głowa Konklawe ledwie była w stanie odpowiedzieć. Jego rytm wstrząsał jej ciałem coraz silniej.

«Nie... nie potrafię sobie wyobrazić... czegoś takiego.»

«Ja potrafię.» Dominic również dyszał, tyle że z niecierpliwości, jak psy mające zaraz ruszyć w pogoń za lisem. «Ale macie rację, to za mało, by skłonić Go do łez. Stanowczo za mało. Bóg nie zapłaci z powodu jednego zbłąkanego anioła. Ale uczyniłem coś więcej. W ostatnim tygodniu ukrywałem przed Nim tajemnice. Wiem, jak bardzo pragnąłby je poznać. Od bardzo dawna czekał na jakąś wskazówkę, jakąś wiadomość od innego Boga, a teraz ją znalazłem i nie powiedziałem Mu ani słowa!» Jego zapał powodował, że Julia jęczała cicho przy każdym pchnięciu, zdyszana, bo nie dawał jej czasu na napełnienie płuc. «Nadal cierpi, zadając sobie pytanie, czy jest jedyną Istotą Swego rodzaju, i boi się, ale teraz to wszystko jest moją winą. Ja Mu to uczyniłem, przeze mnie jest sam w ciemności i ja mam moc, by to zmienić!»

«Mm! Mm! Zrobicie to?»

«Jeszcze nie!» warknął Dominic. «To nie wystarczy! Zwykle ślady innego Boga to za mało. Potrzebuję czegoś więcej. Muszę poznać naturę tego głupiego Stwórcy. Potrzebuję dostępu, odpowiedzi, czegoś straszliwego.»

«Tak.»

«Muszę się o nim dowiedzieć czegoś, co sprawi, że Jehovah poczuje obrzydzenie, znienawidzi tego Boga i jego wszechświat tak mocno, że wybaczenie nie będzie już możliwe.»

«Tak, tak!»

«To nie będzie trudne. W tym wszechświecie jest bardzo wiele rzeczy, których Jehovah nie jest w stanie wybaczyć. Jest tu uwięziony, a gdy udowodnię mu, że tym wszechświatem włada straszliwa, okrutna Istota, utraci wszelką nadzieję na to, że uda Mu się go

naprawić, jak Jego własny.»

«Tak! Okrutna! Tak! O Boże!»

«A wtedy się załamie! Wszechwiedzący, wszechmocny Jehovah będzie zmuszony przyznać, że nigdy nie zdoła sprowadzić tu Swych mocy.»

«Jaki żar! Ach! Pierdol mnie!»

«Załamie się, zadrży i zapłacze, a potem przyjdzie do mnie, a ja wezmę go w ramiona, pocieszę i uczynię swoim!»

«Ach! Och, Boże! Boże, pierdol mnie!»

«Krzycz! Krzycz, ty mała, święta suko!»

«Ach! Tak! Pierdol mnie! O Boże! Chryste! Tak!»

Dość już tego, Mycroftcie. Niektóre absurdy mogą tolerować, ale nie to. Zdecyduj się. Piszesz pornografię czy nie? Jeśli to nie pornografia, to pomiń te bezsensowne i obraźliwe świństwa, a jeśli tak, to przynajmniej spełnij swój obowiązek, i pokaż mi trochę życia, trochę falujących piersi i barw. Opisz wszystko ze szczegółami albo pomijaj to całkowicie. To odrażające streszczenie nie usatysfakcjonuje nikogo.

Ach! Mój wrażliwy Panie! Wybacz, że przez chwilę będę się gapił na Ciebie, zdumiony odkryciem, że w swej niewinności nie poznałeś tej formy, która dla mnie jest tak przerażająco znajoma. Ten dziwny zapis sceny erotycznej to naśladownictwo, nie ja wymyśliłem ten styl, lecz ów mroczny autor, którego widma nigdy już nie zdołamy wyegzorcyzmować. Spoglądaliśmy razem w najbardziej rażące słońce oświecenia, Czytelniku, i nadal nie jesteśmy w stanie uciec od jego mechatych powidoków, które zalegają w naszym polu widzenia, czarne i niezwykle. To markiz Donatien Alfonse François de Sade. Ponieważ nie potrafię dokładnie sobie przypomnieć chrząknięć i bluźnierstw, którymi ogar i wielka kapłanka dawali wyraz swemu spełnieniu, cóż mogłoby je zastąpić lepiej niż styl, który spłodził ich oboje. Czy raczej spłodził jego, a za jego pośrednictwem ukształtował ją. *Le Philosophie dans le Boudoir* de Sade'a to według autora pouczający traktat dla młodych dam, ale zawiera wzorce do naśladowania dla libertynów wszelkich możliwych rodzajów, młodych i starych, doświadczonych i początkujących. Z pewnością nie jest to ekscytująca lektura dla nieoświeconych. Naśladuję ją tu wiernie, goły dialog, pozbawiony wszelkich opisów poza zdarzającym się od czasu do czasu wyliczeniem tego, co kto gdzie komu wsadza. Sade pisze najmniej ekscytujące sceny erotyczne, jakie można sobie

wyobrazić, pełne długich dyskusji na temat filozofii moralnej, polityki, religii, życia rodzinnego, narodzin państwa i patriarchii, podobne do tych, które można znaleźć u Locke'a, Monteskiusza albo tego choleryka Thomasa Paine'a.

Muszę przyznać, Mycrofcie, że jestem zdumiony. Nie spodziewałem się, że najbardziej osławiony pornograf na świecie jest aż tak nudny. Jaki pożytek z tak mało erotycznych erotyków? Komu mogą sprawić satysfakcję?

Ależ swemu mrocznemu autorowi, oczywiście, i współczesnym mu libertynom, na których policzki rumieńce przywoływały nie falujące biusty, lecz delikatny szelest wilgotnych od farby drukarskiej stronic, rytmiczny jak tętent kopyt ogiera stukot prasy drukarskiej oraz celny rzut włócznią, jakim jest dobrze udowodniona teza. Czytelnicy de Sade'a nie przypominali żadnych innych w całych dziejach. Byli nowymi radykałami, pochłaniającymi zakazane traktaty zawierające skandaliczne sugestie – na przykład, że człowiek może, jeśli zechce, poddać swoją religię racjonalnej analizie, nie zgodzić się na opodatkowanie bez reprezentacji albo wsadzić kutasa w krowią dupę. Filozofia i pornografia były zakazanymi owocami, rozprowadzanymi przez tę samą sieć nielegalnych sprzedawców. Nawet Diderot, *le Philosophe*, siedział w młodych latach w więzieniu za pisanie pornograficznych utworów. Dla naszego młodego arcyateisty z pewnością był to najłatwiejszy sposób zarobienia na codzienną bagietkę. Diderot ukrywał jednak swój ateizm, chcąc chronić Encyklopedię, i błagał swych kolegów, by również udawali umiarkowanych, nim Wielki Projekt zostanie zrealizowany. Sade nie nosił maski. Budził we Francji strach z powodu tego, jak traktował kochanki, natomiast na przerażenie historii zasłużył dlatego, że tłumaczył, czemu powinno się tak postępować. Czy śmiałeś się, Panie, gdy Madame przytoczyła jego wywód, mówiący, że ponieważ przekrój odbytu jest okrągły, wynika z tego, że jeśli Bóg istnieje, pochwała sodomie. Dalej w tym samym dialogu przeczytasz, jak potwory de Sade'a równie dowcipnie (i podczas orgazmu) dowodzą, że skoro wszyscy ludzie są równi, nie ma nic bardziej naturalnego niż ojcobójstwo. Wtedy już nie będziesz się śmiać. Sade ostrzega, że ten, kto używa rozumu jako klucza do otworzenia jednych drzwi, otwiera ich wiele, a ten, który chce wykorzystać go jako kosę obalającą niesprawiedliwość, musi zadać sobie pytanie, co jeszcze może obalić

jej ostrze. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że nici składające się na moralną tkaninę społeczeństwa są tak silnie ze sobą powiązane, dopóki nie pociągnęliśmy za jedną z nich. Nim jeszcze człowiek nauczył się liczyć lata swego życia, sypaliśmy nasienie każdego pokolenia w glebę tradycji. Aż nagle oświecenie postanowiło sypać nasze ziarno na zorane karty Encyklopedii i podlewać je wodą rozumu. A jeśli wyrosną z niego niezwykle, czarne owoce, w niczym nam nie pomoże, jeśli znajdzie się *philosophe* gotowy skosztować ich przed nami, by się przekonać, czy zebraliśmy mannę, czy truciznę. Odkąd *liberté* i *égalité* stały się uniwersalne, nie mamy już innych plonów, które mogłyby nas wykarmić. Ostrożnie wykuwaj swój nowy świat, Patriarcho, ostrzega markiz, bo inaczej to ja go wypełnię. Mój dobry Panie, widziałeś, jak Nietzsche i Kafka wypęzli z tego zawiązka, nie możesz więc twierdzić, że de Sade się mylił.

«Czy nie obawiacie się, że Jehovah ciśnie was za to w otchłań piekielną?» zapytała Julia ze słabym, lecz pełnym zachwytu westchnieniem, gdy już było po wszystkim. «Dowie się, co i dlaczego učiniliście. Zasługujecie na to, bardziej niż kiedykolwiek. To nie tylko złamanie przykazań. To dręczenie własnego Boga.»

«Och, zasługuję na to po tysiackroć, ale On mnie nie odrzucił. W tym nikczemnym wszechświecie potrzebuje każdego anioła, którego zdoła odnaleźć. W domu ma ich niezliczone miliony, a tutaj ilu? Czterech?»

«Czy Jehovah rzeczywiście aż tak bardzo nienawidzi tego wszechświata?»

«Och, tak. Po prostu nie zdaje sobie jeszcze sprawy, że to, co czuje, to nienawiść.» Dominic zaczął już węszyć wokół Julii, jakby szukał drogi następnego ataku. «Podczas naszej ostatniej sesji próbował mi wytłumaczyć, jak cierpienie działa w jego wszechświecie. Tam świadomość może wybrać uczestnictwo w obciążających doświadczeniach, by zwiększyć własną złożoność, podobnie jak wzorzec może się stawać coraz bardziej skomplikowany, podczas gdy ozdabiany przezeń obiekt pozostaje niezmienny. Tyle że w jego wszechświecie czas i przestrzeń nie istnieją, więc w pewnym sensie wzorzec może istnieć bez obiektu. Nie pojmuję w pełni, co próbował mi powiedzieć. Jak zwykle dał za wygraną w połowie drogi. Naszym nędznym językom brak potrzebnego słownictwa. Podstawy jego wywodu były jednak łatwe do zrozumienia. Gdyby spotkał okrutnego Sukinsyna, który stworzył ten wszechświat pełen cierpień,

krytykowałby go, protestował i krzyczał. Myślicie, że on jest w stanie krzyczeć? Może i nie. Tak czy inaczej, pora już dowieść, że nawet gdyby to robił, gdyby krzykiem rozdarł Swe święte gardło na strzępy, Stwórca tego wszechświata pozostanie obojętny.»

Julia ponownie wydała z siebie jęk przyjemności. Czy spodziewałeś się czegoś w tym rodzaju, Czytelniku? Czy wyczułeś, że z głową Konklawe coś jest nie w porządku, owej nocy, gdy spotkała się z Thisbe i Carlyle'em? Jej bujne włosy, nieco zbyt obcisły kostium, jej dotyk, gdy ciągnęła za chustę Carlyle'a albo odgarniała mu włosy palcami o perfekcyjnie spiłowanych paznokciach. Role płciowe, Czytelniku, ich lekka nuta jest jak przyprawa. Wszystko to płynie z jednego źródła. Wyobraź sobie młodą Julię, uczącą dopiero od kilku lat, pijaną myślą o Bogu tak samo jak Carlyle, w chwili gdy do jej klasy wkracza ten diabeł Dominic i prosi o przyjęcie do stanu kapłańskiego. Wyobraź sobie jego siłę i to, jak całkowicie zawiodło ją szkolenie w obliczu tej złowrogiej, męskiej, zmysłowej i po tyrańsku szczerzej bestii. Przez całe życie studiowała współczesnych ludzi, ale to jest mastodont, feniks, wymarłe stworzenie, które wróciło do życia. Jakich sztuk nauczyła się od niego i w jaki sposób ją one zmieniły? Mówisz, że ją zepsuł, Czytelniku. Może i tak, a może ta potomkini papieży i cesarzy czekała, aż coś nasyci nową mocą banały, których ją nauczono. Jeśli Julia przeobraziła setki jednorazowych klientów, zadając im uzdrawiające rany, które uczyniły ich lepszymi ludźmi, nauczyła się tej chirurgicznej sztuki od Dominica, a Dominic przyjął ją od swego Boga.

«Mówicie poważnie?» zapytała Julia.

«Zawsze, ale jaką konkretnie sprawę macie na myśli?»

«Naprawdę znaleźliście dowód na istnienie Boga?»

«Tak.» Jego odpowiedź była szybka jak strzał. «Tak, znalazłem. Coś wam zaproponuję. Jeśli zaczekacie i nie zaczniecie badać sprawy na własną rękę, pokażę wam wkrótce ten dowód, gdy tylko zrobię to, do czego jest mi potrzebny. Ale jeśli spróbujecie ingerować, ukryję go przed wami. Wiem, że w końcu go wytropicie, ale mogę się postarać, by zajęło to wam wiele czasu. Zobaczycie go znacznie szybciej, jeśli pozwolicie, bym przyprowadził go do was, gdy będę gotowy.»

Westchnęła.

«Żądacie od mnie bardzo wiele. Jestem senseistą.»

«Wiem. Wynagrodzę to wam.»

«Mmmm» zamruczała z wielkim zadowoleniem. «A co jeszcze macie dziś do wyznania?»

«Nic wielkiego. Poddałem torturom kilku łotrów, włamałem się do kilku domów, ukradłem trochę rzeczy, wziąłem do niewoli trzy osoby, dręczyłem dziecko, przyprawiając je o traumę, i zacząłem uwodzić zamężną kobietę, ale nie chciało mi się doprowadzić sprawy do końca. Wiecie, nie sądzę, bym złamało w tym tygodniu śluby czystości, pomijając to, co wydarzyło się przed chwilą.»

«To dla was niezdrowe» stwierdziła z niepokojem.

«Miałem mnóstwo zajęć. Poza tym...» Usłyszałem skrzypnięcie przeciążonego krzesła albo stołu. «...Sytuacja na świecie się uspokaja. Nie zostało zbyt wielu ludzi tak skłonnych do buntu, bym musiał się nimi zająć, i niewielu takich, którzy mają władzę potrzebną, by pokrzyżować mi szyki.»

Roześmiali się jednocześnie, choć jestem pewien, że bawiły ich raczej pozycje, w jakich leżeli, niż jego słowa.

«Julio, potrzebuję waszej pomocy.»

«W czym?»

«W kilku sprawach. Po pierwsze, co możecie mi powiedzieć o kuzynowskim senseiście nazwiskiem Carlyle Foster?»

«Carlyle? To jedno z moich.»

«Jedno z czego? Waszych uczniów? Parafian?»

«Jedno z moich jednych z moich.»

Znając Julię, podejrzewałem, że tak jest, ale dobrze było się upewnić.

«Och, to fatalnie.» Zaczął ją całować raz po raz w miarowym rytmie, jakby posuwał się centymetr po centymetrze wzdłuż jakiejś części jej ciała niczym pieszy wędrowiec. «Lubicie ją?»

«To jedno z moich najlepszych. Bardzo słodkie, lojalne i łatwowierne. Nie mam innych wtyczek, które tak dobrze potrafiłyby udawać nieszkodliwe. Czy coś mu się stało?»

«Jeszcze nie, ale czy mogę ją mieć?»

«Jeden raz? Czy w sensie ogólnym?»

«Muszę ją złamać. Uczynić swoją.»

«Och, proszę, nie róbcie tego» zamruczała Julia.

«Nie widzę innego sposobu.» Meble ponownie zatrzeszczały, gdy ciężar obojga się przesunął. «Świat jest mały i nauczyliśmy się od siebie nawzajem wielu różnych sztuczek. To nieuniknione, że od czasu do czasu wchodzimy sobie w drogę.»

Głos Julii nabrał błagalnych tonów, jak u dziecka.

«Czy nie możecie się chwilę powstrzymać? Carlyle wykonuje ważną misję.»

Dominic roześmiał się z wyraźną przyjemnością.

«Wykorzystujecie ją w swojej partii szachów z Danaë, tak? Postanowiliście zaatakować basz Saneer-Weeksbooth? To dobry cel.»

«Mmm. To frustrujący cel. Nie mogłam ich ruszyć, bo to uparte Esmerald Revere nie pozwalało żadnemu z nich na sesję z kimkolwiek innym. Pamiętacie, jak udało mi się podstępem skłonić Cato Weeksbootha do przybycia tutaj?»

«Oczywiście.» Tym razem śmiech Dominica zabrzmiał jeszcze mroczniej. «Tak samo było, gdy pojawiłem się w ich domu. Cwany konus zwał panicznie. Instynkt go nie zawodzi.»

«Tak, to... oooo.» Utraciła zdolność oddychania, jak pod dotykiem dobrego masażysty. «Dlatego... mm... potrzebowałam tam Carlyle'a. Nikt nie potrafi udawać nieszkodliwego lepiej niż ono, bo Carlyle nie udaje. Ten basz to prawdziwa forteca. Tylko komar mógłby się wśliznąć do środka.

«Czy to wy skłoniliście je do skończenia ze sobą?» zapytał Dominic.

«Nie, to nie byłam ja. Czysty fart albo ktoś inny, ale nie ja.»

«To nie był fart» oznajmił nagle złowrogim tonem.

«W takim razie kto?»

«Nie mam pojęcia.»

Julia westchnęła.

«Podejrzewam, że ktoś zagroził Cato Weeksboothowi zabójstwem, jeśli kiedykolwiek odważy się porozmawiać ze mną.»

«Bardzo możliwe. Wiecie, że sam zabiłbym większość swoich sług, gdyby odważyliby się porozmawiać z wami.»

Zachichotała.

«Pochlebca. Myślicie, że to ktoś z baszu? Ockham Saneer?»

«Nie mam pojęcia.»

Ze swego punktu widzenia, przy szczelinie pod drzwiami, zauważyłem fragment jednego z nich – ramię i być może również kucyk odchylonego na krześle Dominica.»

«No dobra, byliście tam» nie ustępowała Julia. «Wiem, że potraficie zwęszyć zabójcę.»

«Nie, jeśli mam nos wypełniony Bogiem. Poza tym Ockham Saneer cuchnie jak sto diabłów legalnym zabójcą. Pod tym zapachem trudno

wyczuć cokolwiek innego»

«A co ze Sniperem? Czyż nie byłoby świetnie, gdyby to było ono?»

Usłyszałem plaśnięcie skóry uderzającej o skórę. Coś w ich ruchach się zmieniło. Tkanina zaszeleściła od subtelnego wysiłku, gdy ich sylwetki przesunęły się przez moje pole widzenia.

«Co właściwie jest twoim celem?» zapytał Dominic. «Autoloty czy Sniper?»

«Hę?»

«W baszu Saneer-Weeksbooth.» Pocałunki ponownie spowolniły jego mowę, a głos stał się bardziej suchy i zdyszany. Obwąchiwał ją jak zwierzę. «Ta para... małych skonfigurowanych... mogłaby dać wam... informacje... o wszystkich na świecie... lepsze niż wszystko poza systemem lokalizatorów... ale z drugiej strony Sniper... to Sniper.»

«Chcę jednego i drugiego.»

Rozległ się stukot czaszki uderzającej o drewno.

«To chciwość» warknął Dominic. «A chciwość to grzech.»

«Pewnie macie rację. A o które z nich wam chodzi?»

«O żadne z nich. Carlyle jest mi potrzebne do innej sprawy, niezwiązanej z Saneer-Weeksboothami... ale ujmijmy to inaczej. Czy mogę dostać Carlyle'a, jeśli dam wam Snipera?»

«Jeśli dacie mi Snipera, możecie dostać, kogo tylko zechcecie!»

Usłyszałem nagłe westchnienie – początek słowa czy wyraz ekstazy?

«Nie chcę was oszukiwać, Julio. Carlyle Foster jest kimś więcej, niż się wydaje. Powinniście wiedzieć, co oddajecie, zanim dobijemy targu.»

«Wiem, co mam, Dominicu. Dlatego zrobiłam je swoim uczniem. Carlyle de la Trémoille. Nawet ma kutasa między nogami, co czyni je legalnym dziedzicem. Czy Ganymede ma jakichś innych bękartów?»

«Ona nie jest bękartem Ganymede'a, tylko Danaë. Ale nie, nic mi nie wiadomo o żadnych innych bękartach diuka. To znaczy, że mała Carlyle de la Trémoille jest domniemanym następcą.»

«Mmm. To znaczy, że należy mu się tytuł hrabiego albo coś w tym rodzaju. Sprawdzaliście to?»

«To nie ma znaczenia. Teologiczne tytuły mają pierwszeństwo.»

«Dziedzic Ganymede'a...» zamruczała Julia. «Czy jest jakiś ojciec? Podejrzywałam kazirodztwo, ale skoro mówicie, że to nie jest syn Ganymede'a...»

«Był ojciec, ale Madame nie toleruje... rozpieszczania swoich stworzeń. Sam pochowałbym trupa, ale ten przywilej przypadł Hotace

Andō Mitsubishiemu.»

«Ach. Andō to silny mężczyzna. Zatem czego chce Dominic od małego księcia... de... la... Tré... mo... ille?» Pocałunki albo lekkie ukąszenia dzieliły słowa Julii na sylaby. «Czy Ganymede robi się zbyt niezależne dla Madame? Wymaga wzięcia na krótszą smycz?»

«Właściwie to potrzebuję Kuzyna z powodów niezwiązanych z jego pochodzeniem.»

«Zatem związanych z czym? Z Bogiem tego wszechświata?»

«Później.»

«Powiedzcie mi.» Kolejne skrzyknięcie. «Powiedzcie mi teraz.»

Nastąpiła długa przerwa, aż wreszcie... nie mogę powiedzieć, że się poderwali, bo pozostali w tym samym miejscu, ale usłyszałem jakieś nagłe i niemal gwałtowne przesunięcie, jakby coś wyrwało się z uścisku.

«Powiedziałem później. Ale moja propozycja nadal jest aktualna. Carlyle de la Trémoille za Snipera?»

«Za Snipera? Wszystko.»

«Umowa stoi!» Usłyszałem szelest papieru. Wątpię, Czytelniku, by Mefistofeles kiedykolwiek kładł swą umowę na stole z większym zapalem. «Proszę, spójrzcie na nie.»

Usłyszałem przerzucanie kartek.

«Dziecięce rysunki?»

Starając się ze wszystkich sił zachować milczenie, ugryzłem się w rękę tak mocno, że aż zostawiłem ślad.

«Mam dziecko, które muszę złamać. Szybko» ciągnął Dominic. «Pomyślałem sobie, że moja najdroższa nauczycielka mogłaby udzielić słabemu uczniowi kilku wskazówek. «Julia westchnęła nagle pod wpływem niewidocznego ruchu, który wsparł swój komplement. «Pamiętacie, że dwukrotnie zawałem egzamin z senseistyki dzieci. Te małe bezpłciowe potworki są po prostu zbyt obce.»

«Hmm. Pamiętam. Bardzo przyjemnie było was uwalić.»

Dźwięk, który wydał z siebie Dominic, trudno nazwać inaczej niż „warknięciem”.

«To ciekawe.» Papiery szeleściły przekładane jeden po drugim. «Ikonografia jest typowa dla małych dzieci, ale koordynacja wzrokowo-ruchowa jest na to za dobra. Ile lat ma to dziecko?»

«Na oko więcej niż dziesięć, a mniej niż piętnaście. Ale nie wiem, kiedy powstały te rysunki.»

«Hmm. Krótkie blond włosy?»

«Zgadza się.»

«Zwykle rysuje siebie w niebieskim ubraniu. To dość typowe. Ile lat ma baszrodzone?»

«Baszrodzone?»

«Albo siostra? Tutaj. Zobaczcie, to jest, jak dziecko przedstawia siebie. Raz po raz pojawia się z tym drugim dzieckiem w czerwonym stroju, z długimi kręconymi włosami.»

«Siostra?» Papier zachrząścił, jakby Dominic omal nie rozdarł kartki. «Nie słyszałem żadnej wzmianki o siostrze.»

«Chwileczkę, cechy się zmieniają. Tam włosy były rude, tutaj mają niebieskie pasemka, a na następnym rysunku widzimy skrzydła. Myślę, że mamy tu przykład wymyślonej starszej siostry.»

«Znakomicie!» niemalże krzyknął. «Wystarczyło wam dwadzieścia sekund, żeby dotrzeć do sedna sprawy, moja cudowna Julio! Pozwólcie, że złożę kolejną ofiarę na waszym boskim ołtarzu!»

Jego namiętne podziękowania nie pozwoliły jej mówić przez kilka chwil.

«Czy to wam się przyda?» zapytała.

«Och, tak. Boski ołtarz jest równie dobry jak mój.» Znowu nastąpiła chwila przerwy. Potem jego słowa stały się szybkie i poważne. «Mam wasze słowo, że nie będziecie się wtrącać, tak? Przysięgam, że przyniosę wam dowód, kiedy będę gotowy, ale jeśli spróbujecie ingerować albo jeśli szepniecie komuś choć słówko, przysięgam na samego Pana Boga Jehovah, że zabiję was, moja najdroższa Julio. Nawet was.»

Wyraźnie zadowolona z siebie zaczerpnęła głęboko tchu.

«Za późno!»

«Nie rozumiem.»

«Jest już za późno, żeby mogła nie szepnąć nikomu ani słówka. Mam świadka schowanego w szafie.»

Gniew odebrał dźwięczność oddechowi Dominica, czyniąc go słabym jak tchnienie ducha.

«Słucham?»

«Wpadliście do gabinetu, nie pytając mnie, czy nikogo tu nie ma. Było tak blisko, że z pewnością usłyszało każdą sylabę.» W jej głosie pobrzmiwał nie tyle śmiech, ile jego początki, słyszalne w każdej sylabie. «Wiecie, do czego używam tej szafy.»

«Szpieg?»

«Odbyliśmy dziś niezłą sesję. Dowód na istnienie Boga, Jehovah, Jego wszechświat, Carlyle de la Tremoille...»

Dominic zaczerpnął tchu, by wziąć się w garść. A potem zrobił to ponownie.

«Julio, Julio, ty sprytna, głupia suko.» Rozległ się trzask mebla ciśniętego na drugą stronę pokoju, brzęk pękającego szkła, łoskot ciała padającego na podłogę, a na koniec charczenie wydobywające się z gardła niezdolnego zaczerpnąć oddechu. «Dlaczego teraz?!» wrzasnął Dominic. «Jeśli chcieliście, żebym was zabił, mogłem to zrobić w każdej chwili. Dlaczego teraz? W jedynym tygodniu, gdy morderstwo nie ujdzie mi na sucho?»

Zdołała zaczerpnąć trochę powietrza w płuca i wyszeptać:

«Żeby zobaczyć ten wyraz na waszej twarzy.»

Kolejny mebel w gabinecie padł ofiarą przemocy.

«Niech to szlag! Naprawdę bym ci go pokazał! Za tydzień ujrzałabyś Boga, Julio! Co za głupi moment, żeby zmusić mnie do... niech to szlag! Niech cię szlag trafi!»

Usłyszałem świst wyciąganej stali.

«Och, czy przynajmniej nie mogę najpierw zobaczyć, jak zabijacie mojego świadka?» Jej głos nadal brzmiał prowokująco, jakby była rozczarowaną towarzyszem zabawy dziewczynką. «Zawsze chciałam zobaczyć, jak osobiście dokonujecie tego czynu.»

«Uważasz, że to zabawne, suko? Nie mam czasu na... W porządku, uznam, że to ostatnie życzenie mojej nauczycielki.»

Szpada przesunęła się z jednego celu do drugiego z dziwnym, śpiewnym odgłosem.

«Klucz jest na półce z książkami» wyznała Julia. «Nie musicie wyłamywać drzwi.»

Znowu rozległ się łoskot. Zapewne jakaś część ciała Dominica uderzyła w jakąś część jej ciała.

«Jeśli spróbujecie czegoś, kiedy odwrócę się plecami, zedrę wam wam skórę z twarzy, a potem wam ją pokażę.»

«Mmm. Naprawdę byście to zrobili, tak?»

Odsunąłem się, gdy klucz zgrzytnął w zamku.

«Wasz szpieg ma szczęście, że brak mi czasu na wymyślne... Mycroft?»

W pierwszej chwili Dominic był tylko niewyraźną, czarną plamą ze

szpada w dłoni, ale moje spragnione światła oczy szybko przywykły do ciemności i zobaczyłem szczegóły. Zdjął płaszcz i rękawice, odsłaniając czarną koszulę oraz kamizelkę, ale poza tym był w pełni ubrany. Jego kucyk rozsypał się od deszczu i mokre czarnobrzazowe loki opadały mu na czoło oraz kark. Jego twarz była maską przerażenia i zachwytu. Roześmiał się, a Julia razem z nim. Oboje rechotali głośno, zginając się wpół, gdy ból zrodzony ze śmiechu targał ich wnętrznościami.

«Mycroft Canner!» powtórzył Dominic.» Nawet szpada zwisała bezwładnie w jego dłoni, gdy uświadomił sobie, jak z niego zażartowano. «Ach, moja droga Julio, jesteście tak cudownie okrutni! Chodźcie tutaj!»

Wyciągnął Julię ze szczątków rozbitego stolika, na który ją cisnął, i zaatakował jej twarz pocałunkiem tak entuzjastycznym, że groził jej zmasakrowaniem.

Julia napawała się swym pocałunkiem zwycięstwa. Jej oczy tańczyły, gdy laskotał ją, spijając z jej ust krew rozlaną przez jego gniew.

«Mmm. Bardzo mi było miło, choć wolałabym, żebyście nie zniszczyli mi gabinetu.»

«Naprawię wszystko.» Rozprostował ramiona. «Och, genialna kobieto! Czuję się odświeżony, jak po dobrym pojedynku.» I ty, Mycrofcie! – przeszedł na angielski, wsuwając sztych oręża pod mój podbródek i przyciągając mnie ku sobie jak rybę złapaną na wędkę. – Myślałem, że czekają mnie długie łowy na ciebie, ale ty jesteś tutaj, pod ręką. To oszczędzi mi wysiłku, choć i tak nie zdołałbyś ukrywać się przede mną zbyt długo, mam rację?

Stuknął mnie klingą w bark, każąc mi klęknąć. Posłuchałem go, chowając dłonie za plecami jak więzień i wlepiając wzrok w podłogę.

– Macie, bracie Dominicu.

Julia spojrzała na mnie w nowy sposób, odkąd wydałem się ważny.

– Nie wiedziałam, że potrzebujecie Mycrofta.

Odważyłem się na nią spojrzeć i zorientowałem się, że nadal ma na sobie skarpetki, ale jej żakiet i rozpięta koszula zwisają z ramion, jakby była cykadą w połowie wylinki.

– Wszyscy na świecie go potrzebują – pochwalił się Dominic. – Ale już go nie dostaną. Wróci do domu, jak dobry niewolnik, i nie opuści go, dopóki mu nie pozwolę. – Przesunął szpada wzdłuż mojej żuchwy. – Koniec igrania z zabawkami dla ciebie.

W tym miejscu nie mogłem sobie pozwolić na łyzy.

– Tak, bracie Dominicu.

Zaufaj Majorowi. To najbardziej doświadczony taktyk, który chodził po Ziemi od stuleci. Zaufaj Majorowi. Bridger będzie bezpieczny.

– Nie potrzebujecie już Mycrofta, prawda? – zapytał Julię Dominic, pozwalając, by szpada zwiśla bezwładnie w jego dłoni, podobnie jak skrzypek opuszcza smyczek, kiedy przerywa na chwilę grę, żeby porozmawiać. – Nie chciałbym wam przeszkadzać.

– Nie, Mycroft zakończyło już dzisiejszą spowiedź. – Podeszła bliżej i pogłaskała mnie po głowie, jak głaszcze się psa, który jest już za stary na bardziej energiczne pieszczoty. – Miało dziś trudny dzień. Wiecie, że ostatnie z Mardich właśnie wróciło z Księżyca?

– Naprawdę? – zdziwił się Dominic, unosząc brwi.

– Mmm. Tullius Mardi. Zdemaskowało Mycrofta na ulicy na oczach kilkunastu świadków. W dodatku Mycroft miało na sobie mundur usługowca. Biedactwo będzie teraz jeszcze bardziej potrzebowało naszej opieki. Zalecam też rezygnację z puszczania go luzem. To już nie jest bezpieczne.

Dominic roześmiał się złowrogo.

– Masz w Julii bardzo przewidującą opiekunkę, Mycrofcie, mimo że wszystkich poza tobą traktuje zimno. – Kopnął lekko szczątki stolika, zasypując mnie kawałkami drewna. – Posprzątaj bałagan. W końcu to twoja wina, nieprawdaż, bezdomny psie?

Te ostatnie słowa wypowiedział po francusku – *chien errant*. Z reguły tak mnie nazywa.

– Tak, bracie Dominicu.

– Przeprós Pontifex Maxime za to, że zniszczyłeś jej gabinet.

– Przepraszam, Wasza Świątobliwość.

Schował szpadę.

– A teraz do roboty.

Nie ośmieliłem się podnieść wzroku, ale widziałem w leżącej na podłodze filiżance odbicie uśmiechu, z jakim przypatrywał się, jak łązę na czterech kończynach. Nigdy mnie nie wydupczył, choć zapewne trudno Ci w to uwierzyć, Czytelniku. Nie sprawia mu satysfakcji dominowanie nad kimś, kto nigdy nie próbował stawiać oporu.

Musisz stawiać mu opór, Mycrofcie. Czy tak brzmiałaby twoja rada, Czytelniku? Walcz o wolność. W tej chwili bardzo wiele zależy od ciebie.

Nie tylko los Bridgera, lecz również niewinnego Carlyle'a i odważnego Snipera, którym zagraża odrażająca umowa zawarta przez tych zboczeńców. Uratuj ich! To jest odpowiednia chwila. Broń twojego ciemiezcy spoczywa w pochwie. Dominic może być mistrzem szermierki, ale ty... ty jesteś Mycroftem Cannerem.

Nie, Czytelniku. Odwiedziłeś naszą erę tylko na krótką chwilę, ale ja będę musiał przeżyć tu jutro, pojutrze i wszystkie dni aż do końca mojej długiej kary. Dominic jest seneszalem, który umożliwia mi dostęp do domu w Paryżu, który był dla mnie azylem dłużej nawet niż Cielo de Pájaros. Gdyby Bridger nie był strzeżony, bez wahania poświęciłbym dla niego życie, ale Bridger miał Majora, a on pokonał nawet mnie. Jeśli zaś chodzi o Carlyle'a i Snipera, to, choć zasługują na szacunek, nie wyświadczę im krótkoterminowej przysługi kosztem całej swej przyszłej użyteczności. Być może zdołałbym pokonać Dominica i uciec na pewien czas, ale musiałbym wrócić, i to wkrótce, by stawić czoło karze, jaką by mi wymierzył. Nie boję się krótkoterminowej dyscypliny, jestem gotowy zaakceptować ból i upokorzenie, żeby uratować dobrych ludzi. Jednakże bunt przeciwko Dominicowi oznaczałby, że na zawsze utraciłbym pozycję zaufanego sługi Madame. Gdybym znowu pojawił się na jej progu, czekałaby na mnie cela, w której zawsze już musiałbym czekać, jak narzędzie w pudełku, gotowe do użytku, lecz niezdolne podjąć żadnych czynności z własnej inicjatywy. Muszę mieć dostęp do tego domu, Czytelniku. Muszę. Mogę tam pracować dla wszystkich władz i dla Ziemi – nie, nie dla Ziemi, dla Niego, Czytelniku, dla niego, dla Άναξ Jehovah. Po raz pierwszy zapoznaję Cię z tytułem, jaki sam Mu nadałem. Άναξ (Anax). To po grecku, oczywiście, w starożytnej grece. „Pan” to kiepskie tłumaczenie. Wyobraź sobie znużonych kolejnymi próbami Trojan, którzy widzą dym wojennych ognisk, od lat płonących wokół ich murów, a prorocy ostrzegają ich, że już niedługo, bardzo niedługo, nadejdzie dzień śmierci i niewolnictwa, by pochłonąć Troję razem ze wszystkimi jej dziećmi. Ale mimo to, wbrew losowi, zachowali w sercach cześć dla jedynej mocy, która okazała im dobroć i dotrzymała wierności. Wdzięczni Trojanie unoszą ręce w modlitwie do odległego Pana Apolla. Używają tytułu Άναξ, a ja podążam za ich przykładem.

Julia powstrzymała mnie, kładąc miękką dłoń na moim karku.

– Nie musicie sobie zawracać głowy sprzątaniami, Dominicu.

Naprawdę. Jeśli wam się śpieszy, zabierajcie Mycrofta i lećcie.

– Jesteście pewni? To częściowo również moja wina. Nie miałem czasu podziękować wam, jak trzeba.

– Lećcie. – Wręczyła mu mój lokalizator. – Za pół godziny zjawi się następne z moich regularnych klientów. Każe mu posprzątać.

Podziękował jej pożegnalnym pocałunkiem.

– Wynagrodzę wam to, zobaczycie. A także to, że daliście mi Carlyle’a Fostera. Weźcie sobie jutro wolne... Ile wolnego możecie jutro wziąć?

– Już od południa, jeśli będę musiała.

– Zróbcie to. Zawiadomię was, gdzie możemy się spotkać.

– A co mielibyśmy robić?

– Odbierzecie swoją zapłatę. – Kopnął mnie w bok, lekko jak na niego.

– Bierz swój kapelusz, psie. Zabieramy się stąd.

Poczołgałem się na czterech do szafki, nie śmiąc wstać, dopóki nie złapie mnie za kołnierz i nie podniesie na nogi. Właśnie od Dominica nauczyłem się sztuki noszenia kapelusza i od niego dostałem okrągłe, bezkształtne nakrycie głowy, które tak wiele razy uratowało mnie przed rozpoznaniem. To było trzynaście lat temu, niemal co do dnia. Przyszedłem do niego, by prosić o pomoc w zrozumieniu ᾿Αναξ Jehovah. Ujrzał mnie, z moim drżeniem i błagalnym wyrazem oczu, i odrzucił głowę do tyłu, śmiejąc się głośno.

– Mycroftcie, musisz mieć kapelusz, żeby móc go zdejmować w obecności tych, którzy stoją wyżej od ciebie!

Miał rację. To wygodny symbol, sposób okazania uległości bez niepokojenia ludzi przestarzałymi tytułami „panie”, „pani” i tak dalej. Lubię też mieć coś, co mogę miętosić w dłoniach, gdy stoję z pochyloną głową przed wolnymi ludźmi. To bardzo cenny dar. Nadal od czasu do czasu dziękuję mu za niego.

Dominic zatrzymał się w drzwiach, kładąc mi prawą rękę na ramionach jak bratu. Dłoń trzymał blisko mojego gardła gotowy za nie złapać.

– Ach, Julio, możecie mi poradzić, jak przesłuchiwać więźnia, którego nie można dotknąć?

Uniosła nagle brwi.

– Nie można dotknąć?

– Zmiażdżyłbym go. – Dominic skierował na mnie roztańczone spojrzenie. – Jakie porównanie byłoby najtrafniejsze, Mycroftcie? Powiedzmy, że ma jakąś chorobę kości i rozsypałby się, gdybym

potrząsnął nim za mocno. Ale psychicznie jest twardy. Pozbawienie snu jest za powolne i nie doprowadzi do niczego.

Nadal miał mój lokalizator. Obracał go w palcach jak zabawkę. Ile czasu minęło, myślałem gorączkowo, odkąd ostatnio policzyłem wszystkich jedenastu maleńkich żołnierzyków?

– Jeśli zależy wam na szybkich rezultatach, zagrożcie, że skrzywdzicie kogoś, kogo kocha. W przeciwnym razie teologia, jak zwykle, albo gorący wosk. Ten ostatni jest niemal zbyt łagodny.

Zmarszczył brwi.

– Ale niewystarczająco łagodny dla tego malucha. Wymyślę coś. Dziękuję, Pontifex Maxima. – Zwrócił się ku mnie. – Chodź, psie. Mam dla ciebie tysiąc pytań. Nie mogę się doczekać, aż zobaczę, jak próbujesz się wykręcić od odpowiedzi.

Rozdział trzydziesty

Deo erexit Sade

Nasza sytuacja się zmienia, Czytelniku. Czy, mówiąc ściślej, Ty się zmieniasz, a ten świat, który odwiedzasz, nadal pozostaje taki sam. Obiecałem, że pokażę Ci druty ukryte pod chustką iluzjonisty. Eureka czuje ich zapach i smak, ich dotyk przyprawia je o świąd. Wie, że trasy autolotów są błędne, że jest ukryte miejsce oddziałujące na nie swym przyciąganiem, zdradzającym istnienie ciemnej materii wpływającej na bieg wydarzeń. Teraz jesteś gotowy. Kohaku Mardi mylił się od samego początku. 33-67; 67-33; 29-71 nie popchnie nas ku wojnie, bez względu na to, co mówią liczby. Czasami magik wwozi na scenę domek z kart, a potem potrząsa wózkiem, dmucha, grozi, wyciąga obrus spod domku, ale on się nie zawala. Dlatego że nigdy nie był domkiem z kart, lecz jedną długą wstęgą papieru, powyginaną tak, by udawać kruchość.

– Feliksie, odsuńcie się od okna! – zawołał Anonim. – Niepotrzebnie niepokoiacie Danaë.

Rektor Instytutu Brilla Felix Faust zatrzymał się przy swej ulubionej dekoracji w Salonie de Sade'a, panoramicznym oknie z adamaszkowymi zasłonami wychodzącym na Jaskinię Rozpusty.

– Na dole jest para spółkujących 9-3-3-11-10-4-3-10 – oznajmił. – Widzę taką unię już trzeci raz. Zastanawiam się, dlaczego ta kombinacja czuje tak wielki pociąg do siebie nawzajem.

– Chodźcie – powtórzył Anonim. – Badaniami możecie się zajmować w pracy.

W tym miejscu Anonim, podobnie jak Faust, nosi kostium z epoki – koronkowe mankiety, stylowa peruka, elegancki ciemnozielony płaszcz włożony na kamizelkę z burgundowofioletowego jedwabiu, o niemal cesarskim wyglądzie. Na twarzy ma maskę, nie groteskową ani zabawną i z pewnością niewystarczającą, by uniemożliwić rozpoznanie go tym, którzy znają go osobiście. To jedynie symboliczny czarny pasek z otworami na oczy. Wiele osób wyobraża sobie, że

klienci Madame powinni nosić maski, ale ten zaszczyt przysługuje wyłącznie Anonimowi.

Oczy Fausta, okna nieustannie pracującego mózgu, żerującego na jego ciele niczym pasożyt, skierowały się na Anonima.

– Zasunięcie kotar nie pomoże szybciej przygotować Bryar. Wy również nie pomożecie, jeśli będziecie wyładowywali na nas swą niecierpliwość.

Anonim zacisnął ręce na lasce, jakby chciał udusić jej masywną, połączoną głowicę.

– To wy chcieliście obecności Danaë na tym spotkaniu, Feliksie. Teraz możecie przynajmniej okazać uprzejmość.

Faust pozwolił zasłonie opaść i wrócił do salonu z jego pierścieniem kanap. Ich żółte aksamitne obicia i hebanowe poręcze pięknie harmonizowały z dywanem barwy kości słoniowej.

– Wybaczcie, *princesse*. To dziwne uświadomić sobie, że prawie nigdy nie odwiedzaliście tego pokoju. Duchem zawsze byliście z nami.

– W porządku, Feliksie – odpowiedziała Danaë, rozciągając usta w wymuszonym uśmiechu skierowanym do rektora Instytutu Brilla, który włada Gordianami jako ich nauczyciel, sternik i prawodawca. Jednakże rumieniec na policzkach niezadowolonej *princesse* wyraźnie sugerował, że nie jest w porządku. I nie będzie do chwili, gdy zasunę zasłonę, by odgrodzić pokój od spektaklu rozgrywającego się na dole.

Zebrani tu potężni byli tak samotni, jak to tylko możliwe dla takich jak on. Nie mieli asystentów, sekretarzy, ochroniarzy. Dokuczliwy, wечно ich obserwujący „personel” został za drzwiami położonymi za drzwiami położonymi za drzwiami wewnętrznego sanktuarium Madame. Tylko najbardziej zaufani słudzy mogą towarzyszyć szlachcie w Salonie de Sade’a. Tego dnia oznaczało to mnie. W autolocie po drodze do Paryża raczej przetrwałem pierwsze pytania Dominica dotyczące Bridgera, niż na nie odpowiedziałem. Dominic wiedział jednak, że minie wiele czasu, nim skapituluję przed siłą albo podstępem. Dlatego zostawił mnie u Madame, polecając, by zatrzymano mnie tam do jego powrotu. Potem zniknął ponownie, jak potężny, czarny kondor, pewien, że zwykle sępy nie odważą się tknąć jego łupu. A skoro byłem pod ręką, równie dobrze mogli mnie wykorzystać.

– Nigdy nie przyprowadzono was tu przed ślubem? – zapytał Faust.

– Nigdy – potwierdziła Danaë. – Salonu de Sade’a nie uważa się za

odpowiedni dla oczu dziewcząt. Poza tym... – Uśmiechnęła się do Andō siedzącego na sofie obok niej. – Dopóki nie połączyłam się węzłem małżeńskim, nie miałam żadnego kontaktu ze sprawami państwowymi. Ten pokój nadal wywiera na mnie przytłaczające wrażenie. Dlatego jestem wdzięczna za to, że staracie się okazać powściągliwość, gdy jestem obecna.

– Nie ma za co, moje drogie, nie ma za co.

Rzecz jasna, było to bezczelne kłamstwo w tym pokoju zaprojektowanym z myślą o wypełnieniu umysłów dwiema sprawami, z których polityka nie była ważniejsza. Panoramiczne okno, przez które można było podziwiać miłosne igraszki plebsu, wypełniało całą ścianę pornografią na żywo. Dwie kolejne ściany były zajęte muzealnymi gablotami, w których przechowuje się pamiątki po wielkich ludziach; portrety, popiersia, gęsie pióra, kosmyki włosów, rękopisy Patriarchy, Filozofa, Jeana-Jacques'a i Boskiego Markiza, błyszczące relikwiarze ulubionych katolickich świętych Madame oraz narzędzia miłosne z buduarów największych postaci historii – te nieliczne, które przetrwały. Na ostatniej ulokowano podobne narzędzia używane w tym pokoju.

Faust wrócił na sofę. W jego oczach lśniły iskierki wesołości.

– Wydeptanie dziury w dywanie również nie przygotowuje Bryar szybciej, *Déguisé*.

Anonim znieruchomiał zawstydzony tym, że spaceruje w kółko. U Madame, w sytuacji, gdy w zasięgu słuchu może się znaleźć jakaś osoba nienależąca do wewnętrznego kręgu, Anonim odpowiada na lekko tylko zamaskowany tytuł *Comte Déguisé*, Hrabia Przebrany. Europa, rzecz jasna, stworzyła system etykiety przewidujący możliwość, że ktoś o królewskim pochodzeniu musi pozostać „przebrany” nawet w towarzystwie, w którym wszyscy znają prawdę.

– Dobrze to ujęliście, mój drogi Feliksie. – Śmiech Madame rozświetlił pomieszczenie, podobnie jak srebrne hafty zdobiące jej bladoniebieską suknię. – Rektor ma rację. Chodźcie, milordzie, usiądźcie, nim nam wszystkim zakręci się przez was w głowie.

Madame znajdowała się za daleko od Anonima, by mogła go złapać za rękaw, ale gestem wskazała mu pustą kanapę.

Milord hrabia *Déguisé* posłuchał jej, ale przysiadł jedynie na skraju sofy, gotowy w każdej chwili się zerwać, jak bliska pacjentowi osoba czekająca na wieści przed salą operacyjną.

Madame spoglądała na jego nerwowość z litościwym uśmiechem, ale nie mogła zrobić nic więcej, przeciągnęła się więc na kanapie, obejmowana przez dwóch dżentelmenów siedzących po obu jej bokach. Po lewej stronie siedział Jego Cesarska Wysokość Cornel MASON. Jego nogi całkowicie zanurzały się w oceanie jej spódnicy. Miał na sobie adaptowany osiemnastowieczny mundur z galowym sznurem i szeregami błyszczących guzików. Uszyto go z materiału barwy masońskiej cesarskiej szarości, a lewy rękaw miał czarny. Ciało Madame i cesarza splatały się ze sobą, jego usta znajdowały się tuż przy jej uchu, a jej dłoń spoczywała na jego kolanach, lekko zaciśnięta pod wpływem ekscytacji. Łączy ich swobodna bliskość zrodzona z długiej znajomości. Cieszą się nawzajem smakiem swoich policzków, elektryzującym wrażeniem kroczy ocierających się o siebie podczas rozmowy, jakby zapomnieli, że można siedzieć na kanapie w inny sposób. Widzisz to, Czytelniku? Gdy Madame podśmiewa się z niecierpliwości Anonima, cesarz czyni to samo, nawet nie zauważając wzajemnego oddziaływania dwóch ciał. Nigdy nie widziałem, by MASON nie zachowywał się sztywno, dopóki nie zobaczyłem go z Madame. Na tej samej kanapie, po drugiej stronie damy, siedział król Hiszpanii. Kostium, który miał na sobie, był niewiele bardziej elegancki od europejskiego garnituru, który nosił na co dzień.

– Słyszałam, że Outsider znowu zwołuje Parlament Europejski – odezwał się cesarz, wtulając usta w ucho Madame. – W sprawie kryzysu na rynku nieruchomości.

Król Hiszpanii skinął głową.

– Chodzi także o zatwierdzenie funduszy na dystrybucję nowego leku powstrzymującego starzenie się.

– Myślałam, że uchwalili to przed ośmioma miesiącami.

– To jest kolejny nowy lek. Utopianie szybko pracują.

Cezar połaskotał coś pod spódnicą Madame.

– Dowiedziałem się o nim dopiero wczoraj. Outsider też szybko pracuje.

– To prawda – przyznał król Hiszpanii. – Zasłużyło na pochwałę.

Mówili po angielsku, Czytelniku, pomimo wabiku Paryża. Tak różnorodne towarzystwo może się posługiwać jedynie uniwersalnym językiem.

– Jej Ekscelencja przewodniczący Kuzynów Bryar Kosala – ogłosił

woźny, otwierając drzwi.

– Przepraszam, że kazałam wam czekać!

Bryar Kosala wpadła do środka z szelestem falbanek. Czarne włosy miała ułożone w warstwy jak tort weselny. Na tle obszytej złotą nicią sukni z czerwonego jak maki atłasu jej ciemna, indyjska skóra lśniła niczym bursztyn.

– Och! Milordzie! – pisnęła, gdy *Comte Déguisé* zerwał się jak myśliwy, uniósł za ściśniętą gorsetem talię i zasypał pocałunkami. Kosala się roześmiała. Inni również wybuchnęli śmiechem zachwyceni tą demonstracją wzajemnej miłości, choć oglądali ją już tak wiele razy.

Dlaczego Kosala nie nosi sari? To rozsądne pytanie, Czytelniku. Dlaczego ta córka Indii nie nosi stroju swojego ludu, jak Andō i Danaë, ubrani w starojapońskie kostiumy. Jednym z powodów był gust *Comte Déguisé*, ukształtowany przez Madame, ważniejsze jednak jest jej upodobanie do egzotyki. Bryar Kosala przybyła tu po to, by zakosztować niezwykłych, romantycznych tajemnic egzotycznej Francji. Indie to dla niej codzienność.

– I kto teraz uraża wrażliwość *princesse*, Déguisé? – zażartował Faust.

Miał rację. Danaë odwróciła skromne spojrzenie od pocałunków dwojga kochanków, wlepiając je w męża, który siedział na kanapie obok niej, oraz w brata, który leżał na kolanach ich obojga, piękny i nagi jak go Bóg stworzył. Złoty Ganymede spoczywał na boku, wspierając głowę na poduszce piersi siostry. Dolną połowę ciała położył na kolanach Andō, by beczynne ręce dyrektora mogły się radować dotykiem jego perfekcyjnych pośladków. Mam wrażenie, że plecy są bardziej niebezpieczną stroną Ganymede'a. Złota grzywa opada wzdłuż jego kręgosłupa niczym blask słońca i te plecy mogłyby należeć równie dobrze do mężczyzny, jak i do kobiety, więc niemal żaden widz nie jest bezpieczny. Czytelniku, nie ma żadnej sprzeczności w fakcie, że nieśmiała Danaë odwróciła spojrzenie od pocałunków, by napawać się widokiem nagości brata. Naga postać Ganymede'a to nie lubieżność, tylko sztuka, usługa publiczna, w której nie ma nic bardziej niezwykłego niż w posągu Afrodyty w fontannie. Z pewnością też nie był to widok obcy dla jego siostry ani dla reszty towarzystwa. Poza tym wszyscy obecni poza mną zażywali kiedyś przyjemności z diukiem, czy to regularnie, jak Andō, czy tylko przez jedną noc, czego król Hiszpanii z pewnością będzie żałował aż po

grób.

– Wybaczcie nam, *princesse*.

Kosala musiała odepchnąć Anonima, odrywając jego dłonie od swego gorsetu i ściskając je w geście skromnej przyjaźni.

– Nie ma sprawy – odpowiedziała Danaë, poprawiając przód błyszczącego kimona w miejscu, gdzie ciężar jej brata groził odślonięciem zbyt wielkiego fragmentu piersi. – Wiem, jak bardzo *le comte* tęskni za wami w przerwach między spotkaniami.

Jej Ekscelencja przewodniczący Kosala zasiada na kanapie. *Comte Déguisé* przysunął się do niej tak blisko, jak tylko pozwalała na to konstrukcja jej sukni. Żądza w jego oczach gorzała tak mocno, jakby konał z głodu, nie chciał jednak urazić wrażliwości Danaë i ograniczył się do głaskania Kosali po palcach, na których ślubna obrączka niknęła w blasku bardziej efektownych klejnotów z epoki.

Skończ z tą farsą, Mycrofcie. Wiem, kim jest twój Anonim. Cały świat o tym wie. Oszczędź sobie wysiłku i nazywaj go po nazwisku. Nigdy, Czytelniku. Zaszczytny tytuł Anonima od siedmiu pokoleń przechodzi od wirtuoza do jego ucznia. Anonimowie są najbardziej wpływowym głosem na Ziemi od tak dawna, że nawet Ganymede uważa ich za szlachtę. Tradycja pozwala każdemu z nich ujawnić tożsamość poprzednika swego poprzednika w dzień jego śmierci, by cała Ziemia mogła zdecydować, czy zaszczycić go miejscem w Panteonie, ale zdemaskować Anonima, który jeszcze żyje. To by było niewybaczalne. Jak wiesz, katastrofalne wydarzenia zdradziły tożsamość tego Anonima, ale w swej opowieści nie pozbawię go owego królewskiego tytułu nawet o najkrótszy moment wcześniej.

– No cóż... – Madame z zachwytem w oczach policzyła siedzące w kręgu towarzystwo niczym kolekcjoner przesuwał spojrzeniem po eksponatach stojących na półkach: cesarz, potem rektor Felix Faust siedzący samotnie w fotelu, Andō i Danaë cieszący się dotykiem pięknego Ganymede’a, przewodniczący Kosala i Anonim o oczach wypełnionych głodem, a wreszcie poważny król Hiszpanii. To żywa lista Siedmiu i Dziesięciu, tyle że Jego Królewska Wysokość jest bardziej elegancki niż „rezerwowo premier Europy” Casimir Perry. – Skoro już nasza kompania się zebrała – zaczęła Madame – rektorze, czy zechcielibyście otworzyć spotkanie? To wy je zwołaliście.

– Dziękuję, Madame. Dziękuję wam wszystkim za to, że się zjawiliście, choć mam wrażenie, że cesarz zwołałoby spotkanie,

gdybym ja tego nie zrobiło.

MASON skinął głową.

– O co wam chodziło, Feliksie?

– O coś, co chciałam powiedzieć dyrektorowi i *princesse* już od dłuższego czasu. Podejrzewam też, że niektórzy z pozostałych od dawna pragnęli zrzucić z piersi ciężar tej sprawy. – Przerwał na chwilę, by się uśmiechnąć. Zmarszczki na jego prawie osiemdziesięcioletniej twarzy przydawały mu jowialnego ciepła. – Drogie Danaë, czy macie coś przeciwko temu, bym mówiło szczerze?

– Z pewnością musicie mówić szczerze, Feliksie. Tutaj, w salonie Madame, wszyscy jesteśmy jedną wielką rodziną i nie mamy przed sobą tajemnic.

– W takim razie, moje drogie – odchrząknął – muszę was ostrzec, żebyście zachowali swe małe, odrażające potworki dla siebie. Ty suko!

– Feliksie!

– Wybraliście sobie dziesięć tych stworzeń, a teraz wysyłacie je do nas wszystkich, żeby przytwierdziły się do nas niczym pijawki. Masami w Czarnej Sakurze. Toshi w urzędzie cenzora, Hiroaki w KBIZ, Sora u humanistycznego pretora w Romanowie. Michi u Casimira Perry’ego, a następne, Jun, napisało podanie o przyjęcie do mojego Instytutu, ni mniej, ni więcej. Słyszałam o jeszcze jednym – nazywa się Ran, tak? – które chciało się dostać do biura diuka. Nawet wasz brat miał wystarczająco wiele rozsądku, żeby je przegonić.

– Nikomu nie pozwolę tak mówić do mojej siostry, Feliksie – oznajmił Ganymede ociekającym jadem głosem.

Faust omal się nie roześmiał.

– Zauważam, że nie przeczycie, iż przegonienie było rozsądne. Nawet diuk przyznaje mi rację. Jeśli wy dwoje... – wskazał głową na Andō – ...chcecie się otaczać dziwacznymi, nieludzkimi formami życia, to tylko wasz interes, ale nie próbujcie przysyłać ich pozostałym.

Czarne *haori* i *hakama* Hotaki Andō Mitsubishiego od początku nadawało mu wygląd bardziej złowrogi niż u pozostałych, odzianych we francuskie adamaszki. Teraz jego twarz przybrała podobny wyraz.

– Rektorze, radzę, byście nie mówili tak o badziewiach domu Mitsubishi.

Rektor Faust omiótł spojrzeniem pokój.

– Cała reszta o niczym nie wie, prawda? Nie wiecie, czym są te dzieci? To skonfigurowani, co do jednego! Wyhodowane w zbiornikach,

ukształtowane przez psychoinżynierię, udoskonalone narkotykami żywe komputery!

Świeże łzy wyostrzyły blask klejnotów, jakimi były jej oczy.

– Nieprawda!

– Och, prawda. Myślicie, że nie potrafię ustalić pochodzenia? Co prawda, nie musiałom tego robić. Posunęliście się do tego, żeby zrobić im na drutach sweterki z brillistycznym kodem, żeby mogły się tym przechwalać. 1-2-16-17-2-2-20-20. Czy to brzmi jak kombinacja, która mogłaby się wydarzyć w naturze?

– Feliksie, proszę – zaczęła przewodniczący Kuzynów Kosala swym najbardziej uspokajającym głosem.

– Nie zaczynajcie, Bryar, to w pełni wasza wina!

– Moja?

– Wasza i Lorelei Cook. Niech wam się nie zdaje, że o tym również nie wiem. Próba pokrzyżowania szyków hodowcom skonfigurowanych z pewnością zasługuje na podziw.

– Feliksie, ja nie...

– Och, robicie to. Być może nie osobiście, ale pozwalacie, by Lorelei Cook nadal piastowało urząd i obsadzało edukacjonistami wszystkie stanowiska, jakie tylko zdoła. Jesteśmy tu wszyscy, Bryar. Wystarczy, że powiecie: „Nie sądzę, by przywódca frakcji edukacjonistów powinno być ministrem szkolnictwa w Romanovie” i będziemy mogli wyrzucić je w mgnieniu oka. Ale nie proszę was o to, ponieważ podobnie jak Cookie uśmiechacie się za każdym razem, gdy uda się zamknąć fabrykę skonfigurowanych. Nie zrozumcie mnie źle, ja również się uśmiecham, ale trzeba postępować odpowiedzialnie. Nie możecie rozbijać ochronkowych baszów, kiedy stworzenia mają już osiem lat, i liczyć na to, że wasze programy opiekuńcze uczynią z nich istoty ludzkie.

Kosala musiała odepchnąć Anonima, który próbował ją pocałować w nieodpowiednim momencie.

– Zatem dziesiątka badziewi Mitsubishi to...

– Niedokończeni skonfigurowani. Andō i Danaë przeszukali wasze sierocińce, chcąc na nowo skompletować miot. Wiecie, że Mitsubishianie uwielbiają przechwytywać skonfigurowanych, gdy tylko dostrzegą szansę zysku. Kimkolwiek jednak mogą być te dzieci, nie są ludźmi i nigdy się nimi nie staną. Żaden sentymentalny program opiekuńczy tego nie dokona, Bryar, nie w wieku ośmiu lat. To

już nie są ludzkie mózgi, nie mogą rosnąć ani się rozwijać. Nie wyleczycie ich z tego. Wieloryb może rosnąć i się rozwijać, podobnie jak Mycroft Canner czy genetyczne konstrukty, takie jak Jego Miłość i *princesse*. – Faust skinął głową do złotych bliźniąt. – One również to mogą. Ich rozwój opiera się na genach wybranych przez Madame, ale istnieje mnóstwo wariacji tego, czym mogą się stać. Ale nie skonfigurowani! Nie wiem, jak mogłoby wyrazić to jaśniej.

Bryar Kosala zasepiła się, choć łagodnie.

– Feliksie... – Przerwała na moment, gdy jedno z dotknięć jej ukochanego trafiło w czułe miejsce. – Podzielim niektóre z waszych opinii na temat szkolenia skonfigurowanych. Ale drzewko bonsai nadal jest...

– Chciałoby, żeby ludzie przestali używać tego porównania. – Faust wznosił oczy ku niebu. – Skonfigurowani w niczym nie przypominają bonsai. Bonsai rośnie. Nie są nawet Sztucznymi Inteligencjami. One też mogą rosnąć. Są... skonfigurowani. – Podkreślił to słowo znaczącą przerwą. – Wybierają miejsce, w którym ma się zatrzymać każda liczba w kombinacji, i zatrzymują ją w tym miejscu. 1-2-16-17-2-2-20-20 przez całe życie, bez żadnego wzrostu ani dynamiki. To trup o naczyniach krwionośnych, przez które płynie glukoza. Można zrobić rzeźbę przedstawiającą drzewo, z metalu, ze szkła albo i z drewna, ale nawet użycie tego ostatniego nie uczyni rzeźby drzewem. Będzie tylko sztucznym obiektem w kształcie drzewa, wykonanym z odrąbanych kawałków martwej rośliny. Tkanka mózgowa to bardzo dobry materiał na komputer. Cechuje się dużą gęstością informacji, łatwo dostarczać jej paliwa. A jeśli wyhodujemy nasz komputer z tkanki mózgowej wewnątrz ludzkiego ciała, zapewnia nam ono mnóstwo dogodnych interfejsów wejścia-wyjścia. Ale to nie jest istota ludzka. Różni się od nas bardziej niż delfiny, bardziej niż szympansy i bardziej niż u-bestie. Nie życzę sobie czegoś takiego w moim Instytucie!

– Feliksie, proszę! – zawołała słabo *princesse*. – Mówicie o naszych dzieciach! – Łzy pozłociły jej alabastrowe policzki. Widziałeś kiedyś prawdziwy alabaster, Czytelniku? Jest półprzezroczysty i jednocześnie ciepły oraz zimny w dotyku, jakby prześwitywało przez niego słońce. – Straciły basz z powodu tego, co zrobili Bryar i Cookie. Chciały znowu się ze sobą połączyć!

Wyraz twarzy Fausta nie złagodniał.

– I tylko przypadkiem tak się złożyło, że świetnie się nadają do

wykorzystania przeciwko nam?

– Przyjaciele, proszę. – Madame postanowiła w końcu interweniować, ukrywając twarz za srebrnym wachlarzem, który dzisiaj nosiła. – Bądźcie uprzejmi przy damach.

– Oczywiście, Madame. – Andō nie okazywał gniewu na twarzy ani w tonie głosu, ale jego dłonie zacisnęły się tak mocno na pośladkach Ganymede'a, że diuk aż skrzywił się z bólu. – Mówicie o moich dzieciach, Faust. Czy mamy im odmówić szansy kariery na najwyższych szczeblach tylko z powodu ich pochodzenia?

Rektor skrzyżował ramiona.

– W mojej Pasiece z całą pewnością. A jeśli reszta z was ma choć odrobinę rozsądku, nie dopuścicie ich również do swoich Pasiek.

– Jaki to właściwie typ skonfigurowanych? – zapytał pozbawionym wyrazu głosem cesarz.

– To nie są skonfigurowani! – zawołała *princesse* cała w łzach. – Felix samo przyznało, że są nieukończone. Tylko osiem lat szkolenia, to za mało. Nie są skonfigurowanymi żadnego rodzaju. Rozproszono je po całej Ziemi, a ich biedne moce są niekompletne. To okrutne!

– Ale jaki to rodzaj skonfigurowanych? – nie ustępował MASON. – Kartezjańscy? Pneumoniczni? Impulsowi? Bez obaw, *princesse*, popieram prawa baszów do wychowywania dzieci, jak uznają za stosowne. To tylko ciekawość.

Mówiąc to, MASON nie przestawał napawać się zarysem szyi Madame.

– Myślę, że odpowiednim terminem byliby „przyśpieszeni” skonfigurowani – warknął Faust takim tonem, jakby powtarzał przekleństwa. – To nowy rodzaj. Ten basz, jeśli można to tak nazwać, był pierwszą próbą. Przejrzałem notatki. Byliby czymś pośrednim między pneumonicznymi a impulsowymi. Wiecie, jak adrenalina i reakcje typu „walcz albo uciekaj” przyśpieszają przetwarzanie informacji i udoskonalają pamięć? Mówiąc w znacznym uproszczeniu, przetworzono u nich intensywną koncentrację umysłową w stan permanentny. Gdyby konfigurowanie tych dzieci ukończono, doświadczałyby wszystkiego w zwolnionym tempie. Wyobraźcie to sobie. Nie można cieszyć się oglądaniem filmu albo rozmową, gdy wszystko dzieje się bardzo powoli. To z pewnością „celowe zmniejszenie ich potencjału i ograniczenie zdolności uczestnictwa w świecie zewnętrznym oraz naturalnych i produktywnych interakcji

z nim”.

Te ostatnie słowa, będące dosłownym cytatem z Ósmego Prawa Edukacjonistów, sprawiły, że nawet Ganymede, którego uwagę odwracał dotyk Andō, uniósł nagle głowę.

Anonim zaczerpnął głęboko tchu, ciesząc się zapachem Kosali, nim przerwał milczenie.

– Minister Lorelei Cook było na liście Sugiyamy. Czy to jest tego powód?

Mama i tata Mitsubishi wymienili spojrzenia.

– Bardzo możliwe. Masami wie, że Bryar i minister Cook spiskowali celem rozbicia ich rodzinnego baszu. Nie zdziwiłoby się, gdyby wspomniało o tym Sugiyama-sensei. Ale na liście Masami Cook nie figurowało.

Anonim skinął głową.

– To prawda. Gdyby Masami osobiście je tam umieściło, jego pochodzenie z pewnością wyszłoby na jaw, przypuszczam jednak, że nieukończeni skonfigurowani mogą pragnąć zemsty. Czy Masami próbowało manipulować Sugiyamą, by pomogło mu w jej wywarciu?

Diuk Ganymede roześmiał się w głos. Jego ruchy wstrząsały klatką piersiową Danaë.

– A więc nie tylko król Hiszpanii, Andō i ja jesteśmy podejrzani! Nawet nasze Bryar miało pewien interes w zatuszowaniu listy Sugiyamy.

Przewodniczący Kuzynów wyraźnie żałowała, że nie ma wachlarza, za którym mogłaby się schować.

– Co chcecie zasugerować?

– Czyż to nie zdumiewające, że na jednej liście Siedmiu i Dziesięciu znalazły się pozycje niewygodne dla tak wielu z nas? Gdybym był wyznawcą teorii spiskowych, miałbym trudności ze zdecydowaniem, które z nas oskarżyć.

– Właśnie jest problem, który chciałbym poruszyć. – Cesarz odsunął spojrzenie i dłonie od swojej damy. – Afera *Czarnej Sakury* przerodziła się w coś więcej niż zwykłe zamieszanie. Autoloty są zagrożone. Tego nie możemy tolerować.

Hotaka Andō Mitsubishi zmarszczył brwi, spoglądając na MASONA.

– Myślałam, że postanowiliśmy zostawić tę sprawę Tai-kunowi.

– Znalezienie winnego, tak jest – zgodził się cesarz. – Ale ochrona autolotów to co innego.

– Nie wierzycie, że Tai-kun rozwiąże sprawę na czas?

– Jed z pewnością znajdzie sprawcę – wtrąciła Kosala. – Ale zgadzam się z Cornelem, że nie możemy sobie pozwolić na ryzyko, że przedtem coś stanie się z autolotami. – Kosala odgarnęła łaskoczący lok, zachęcając męża do wtulenia twarzy w jej szyję, zanim wetknęła kosmyk z powrotem na miejsce. – Wasza Miłość... – zwróciła się do Ganymede’a – jakie kroki podjęliście, by zwiększyć bezpieczeństwo baszu Saneer-Weeksbooth?

– Basz jest bezpieczny. Zadbałam o to.

Cesarzowi to nie wystarczyło.

– A co z przygotowaniem na wypadek załamania się systemu? Czy rezerwowe centrum jest gotowe do działania? Czy wyszkoliliście drugą ekipę?

– Zakładam, że to nie miała być obelga, cesarze. – Diuk prezydent obdarzył MASONA krótkim, drapieżnym uśmiechem. – Zawsze miałam rezerwowe centrum i zapasową ekipę. A także rezerwowanych skonfigurowanych. – Zerknął na Fausta. – Zamiana nie przebiegnie w pełni gładko, nikt nie mógłby być tak dobry, jak Lesley Saneer i Cato Weeksbooth, ale koszty mogą się ograniczyć do kilkuminutowej przerwy w działaniu systemu i jednej czy dwóch dodatkowych katastrof w pierwszych miesiącach pracy nowej ekipy. Nic więcej. Przymrużył powieki niebieskich oczu lśniącego żądzą mordy. – Przez wiele lat wierzyliście, że poradzę sobie z autolotami. Nie lubię, kiedy oskarżają mnie o nieodpowiedzialność.

«Spokój, spokój, Wasza Miłość» skarciła go Madame po francusku lekkim tonem niańki. «Te pytania zrodziły się z troski, nie z braku szacunku. Wszyscy tu staramy się pomóc sobie nawzajem.»

Tylko ona, Czytelniku, tylko Madame D’Arouet potrafi przygasić ogień nazbyt błękitnych oczu Ganymede’a i przywołać do nich wyraz autentycznego szacunku.

Król Hiszpanii zdecydował się na interwencję. Jego głos i postawa były tak spokojne, jakby pozował do podwójnego portretu z Madame.

– Jesteśmy wam wdzięczni za waszą wspaniałą wykonaną robotę, la Trémoille – zaczął, głaszcząc dłoń Madame, aż uśmiechnęła się na znak zgody. – Wiemy, że nikt nie potrafiłby lepiej czuwać nad autolotami, jesteśmy też przekonani, że gdyby doszło do kłopotów, zawiadomicie nas natychmiast. Sądzę, że większość z nas bardziej niepokoi się sprawą *Czarnej Sakury* oraz motywami sprawców.

Déguisé, dlaczego wywołaliście wrażenie, że w waszą listę Siedmiu i Dziesięciu również ingerowano? Nigdy dotąd nie widziałom, żebyście okłamali prasę.

– Och, chciałem pomóc Mitsubishi – odpowiedział Anonim, poddając starannym oględzinom boczne druty gorsetu Kosali. – Wszyscy z pewnością zdawali sobie sprawę, że Andō grożą poważne kłopoty, chyba że coś odwróci uwagę świata od *Czarnej Sakury*.

– Tak jest – zgodził się rektor Faust. – Déguisé pokazało mi pewne obliczenia i poprosiło, żebym ja również pokombinowało z naszą listą. Moją zawsze próbują ukraść, to taka studencka tradycja, ale na ogół nie robię zamieszania z tego powodu. To zdumiewające, jak szybko opinia publiczna przestaje się skupiać na jednej PasiECE i napawa się fantazjami o spiskach. Nie musicie mi dziękować, Andō.

Oczy dyrektora nie wyrażały wdzięczności.

– Mogliście najpierw się ze mną skonsultować. A może nie chcieliście kierować na mnie uwagi?

Anonim westchnął melancholijnie.

– Nie, nic z tego, nie mogę się skupić. – Wstał, objął Bryar Kosalę w talii i przerzucił ją sobie przez ramię. To nie było łatwe, biorąc pod uwagę jej wzrost i duszącą go spódnicę. Miał w tym jednak wprawę. – Za chwilę wrócimy.

– O mój Boże! – zawołała dama, próbując ze śmiechem zachować równowagę na jego barku, przez chwilę potrzebną, by pokonać kilka kroków do bocznego pokoiku przeznaczonego na podobne okazje.

Anonim wyciągnął pilota sterującego głośnikiem, żeby mogli nadal słuchać toczonej w głównym pomieszczeniu dyskusji, a jednocześnie oszczędzić nam, którzy się w nim znajdowaliśmy, słuchania tego, co będzie działo się w pokoiku.

– Rozmawiajcie dalej. Będziemy was słuchać.

Reszta obecnych zareagowała drwiącymi uśmieszkami oraz westchnieniami, gdy drzwi zamknęły się za najbardziej ochoczą z par. Zauważyłem, że Anonim i Kosala nie włączyli światła w swym pokoiku, zgodnie ze swym starym zwyczajem woląc się spotykać po ciemku. Można by przypuszczać, że ze wszystkich Siedmiu Kosalę najtrudniej będzie zwabić w to miejsce, ale Madame jest sprytna. Bryar przybyła tu najpierw jako inspektor, jak powiedziała Carlyle'owi. Loki, spódnicę i dżentelmeni wydali się jej czarujący, ale nie w wystarczającym stopniu, by zapomniała o obowiązkach,

przynajmniej nie do chwili, gdy Madame dała do zrozumienia, że Anonim odwiedza niekiedy jej lokal. Och, jakże mocno zapłonęła Kosala na myśl, że ujrzy na własne oczy tego, z którego głosem tak często ścierała się w druku, najmądrzejszego z jej przeciwników. Madame uprzejmie stworzyła im szansę, by spotkali się w nieprzeniknionej ciemności, jak Kupidyn i Psyche. Obiecali przedtem, że nie odezwą się ani słowem, by tożsamość obojga kochanków pozostała tajemnicą. Anonima łatwo było namówić do zgody. Wystarczyło pokazać mu za zasłoną Nieznaną Damę wdzierającą różne fragmenty kostiumu, który wprawia go w radosny szal. Dominic okazał się wielkim zwycięzcą w zakładzie o to, jak długo będzie trwał romans tej pary, nim rozpoznają się nawzajem w świecie zewnętrznym – siedem miesięcy. Potem Kosali nie pozostało nic innego, jak dołączyć do wewnętrznego kręgu uprzywilejowanych, którzy widzieli twarz Anonima. *I mówisz, że cały czas nie zdejmuje ślubnej obrączki, Mycroftcie? Że „dama” zdołała z Vivieniem Anceletem. Z pewnością, Czytelniku, albowiem nic nie podsycy płomieni miłości bardziej niż słodkie cudzołóstwo. Anonim również nie zdejmuje obrączki.*

– Macie coś do dodania, cesarze? – zapytała Madame, przesuwając miękkim palcem wzdłuż linii jego żuchwy.

– Tak. – MASON jest przyzwyczajony do przemawiania do audytorium, którego uwagę, przynajmniej po części, zaprzęta coś innego. – Fakt, że afera *Czarnej Sakury* zdołała zagrozić nie tylko jednej Pasiece, lecz każdej z nich, sugeruje, że wszystko zaplanował ktoś, kto świetnie zna wewnętrzne sprawy wszystkich Pasiek.

Ganymede uniósł złotą głowę z ramion siostry.

– Podejrzewacie któreś z nas?

– Wiem, że nie jestem w tym odosobniony. Wszyscy tu jesteśmy przyjaciółmi, lecz zarazem rywalizujemy ze sobą, w ustalonych granicach, gdy wymagają tego interesy naszych Pasiek. To, co się wydarzyło, wykroczyło poza owe granice, ale jestem skłonny uwierzyć, że osoba, która to zaplanowała, nie spodziewała się podobnych rezultatów. Jeśli któreś z obecnych jest odpowiedzialne i przyzna się teraz, będę skłonny zapomnieć o sprawie i współpracować w naprawieniu szkód. Czy wszyscy się zgadzają?

– Tak. – Faust odpowiedział mu pierwszy. – Muszę pochwalić

winnego za spowodowanie tak zabawnego zamieszania. A co powie reszta?

– Zgadzą się – oznajmił Andō, spoglądając na żonę, która poparła go milczeniem. – Nasza Pasięka zapewne ucierpiała najbardziej, ale zapomnimy o tym w imię pokojowego rozwiązania.

Diuk Ganymede poruszył się lekko, gdy palce Andō dotarły do wewnętrznej powierzchni jego uda.

– W porządku – zgodził się. – Będę potrzebowało jakiegoś kozła ofiarnego w sprawie włamania, żeby uspokoić basz Saneer-Weeksbooth, najlepiej agenta, które podrzuciło listę. Ale to mi wystarczy.

Madame wyraziła aprobatę lekkim poszerzeniem uśmiechu na portretowej twarzy.

– Jestem pewne, że nasza droga Bryar ucieszy się, jeśli zakończymy sprawę, unikając nadmiernych kar, a *Comte Déguisé* zawsze z chęcią akceptuje kompromis.

Wszyscy czekali, ale zza zamkniętych drzwi, za którymi zabawiała się para, nie dobiegły słowa sprzeciwu.

– Wasza Królewska Mość? – zapytała Madame. – Co wy na to?

– Myślę, że to dobre rozwiązanie – odparł król, kiwając głową w moją stronę, żebym przyniósł mu wino. – Zakładając, że winny rzeczywiście znajduje się wśród nas.

– W porządku. – Madame pocałowała go lekko w policzek. – Jeśli sprawca tu jest, niech wystąpi.

Wszyscy czekali, patrząc sobie nawzajem w oczy. Nikt nie ruszył się z miejsca.

– Jeśli nikt nie wystąpi, chcę, żeby wszyscy kolejno przysięgli przed Jehovah, że są niewinni – oznajmił MASON. – Jehovah, słuchajcie i potwierdźcie, że nikt nie skłamał.

– Tak, *Pater*.

Trybun siedział w kącie naprzeciwko mnie. Czytelniku, dotąd nie wspominałem o Jego obecności dlatego, że Jego uwagę zaprzętnęło coś innego, a trudno nazwać Go obecnym w miejscu, które jest jedynie magazynem dla Jego zapomnianego ciała. Miał w kącie Swoje krzesło, Swoją stolik oraz Swoją szafkę z zabawkami mającymi zająć czymś Dziecko, podczas gdy starsi oddają się zabawie. Teraz było tam pełno książek – Sartre, Konfucjusz i Augustyn – ale za tomami nadal można było dostrzec klocki oraz kolorowe grzechotki, którymi Jehovah

w najmłodszych latach nie tyle się bawił, ile manipulował, z niecierpliwą cierpliwością badacza na pięćdziesiątym z pięciu tysięcy schodów, na których szczycie odnajdzie poszukiwany lek. Między zabawkami nie leżało nic – żadnych lalek do ubierania czy elektronicznych gier – tylko narzędzia, których dzieci potrzebują, by opanować koordynację ruchów. Potem przeszedł bezpośrednio do Platona. Trzymał teraz w ręce książkę, ale jej nie czytał. Zatopił umysł i nieobecne zmysły w zarządzaniu Swym odległym wszechświatem.

– Donatien! – zawołał Faust. – Czy wiecie już, które z nas jest winne?

Czytelniku, myślę, że jesteś już gotowy się dowiedzieć, którym z licznych imion Jehovah woli się do niego zwracać każdy z potężnych.

– Nie, wujku Feliksie. Nie wiem.

Brwi rektora zatańczyły.

– Robi się coraz ciekawiej.

– W takim razie ja zacznę – zaproponował MASON. Uniósł prawą rękę i zwrócił się ku Synowi stojącemu na drugim końcu pokoju. – Przysięgam, że nie miałem nic wspólnego, z zaplanowaniem ani wykonaniem kradzieży listy Siedmiu i Dziesięciu *Czarnej Sakury* ani nie wiedziałem o niej. To samo dotyczy podrzucenia listy do baszu Saneer-Weeksboothów.

Jehovah nie ruszył się z miejsca, ale wbił w twarz cesarza spojrzenie tak intensywne, że można by pomyśleć, iż liczy atomy składające się na tchnienie, z którego zrodziły się słowa. Nic nie powiedział.

Drugi odezwał się Faust.

– Ja również przysięgam, że nie miałem nic wspólnego z zaplanowaniem ani wykonaniem kradzieży listy Siedmiu i Dziesięciu *Czarnej Sakury* ani nie wiedziałem o niej. To samo dotyczy podrzucenia listy do baszu Saneer-Weeksboothów, ale chętnie postawię drinka spryciarzowi, który to zrobił.

Po nim złożył przysięgę król Hiszpanii, a następnie Andō i Ganymede, głosem równie pięknym, jak jego wygląd.

– Macie coś, Epicuro? – zapytał król.

– Nikt nie skłamał, *Su Majestad*.

– I ja oczywiście... – Madame przemawiała łagodnym tonem, jakby była jedną z pary kochanków szepczących do siebie nawzajem wiersze miłosne. – Nie miałam nic wspólnego z zaplanowaniem ani wykonaniem kradzieży listy Siedmiu i Dziesięciu *Czarnej Sakury* oraz włamania do baszu Saneer-Weeksboothów ani nie wiedziałam o nich.

Przysięgam na Twą Szlachetną Jaźń, mój drogi Jehovah.

Nadal nie ruszał się z miejsca, ale przesuwiał spojrzeniem od twarzy do twarzy, jak komputer obracający kamerę, podczas gdy pozostałe są przyśrubowane do blatu.

– Matka mówi prawdę.

– Teraz ja! – Drzwi bocznego pokoiku otworzyły się nagle. Rozległ się silny głos Anonima. – Przysięgam, że nie miałem absolutnie nic wspólnego z zaplanowaniem ani wykonaniem kradzieży listy Siedmiu i Dziesięciu *Czarnej Sakury*, włamaniem do baszu Saneer-Weeksboothów ani z niczym, co wiąże się z tą sprawą, pomijając tylko zmianę, jaką wprowadziłem do własnej listy, by pomóc w zatuszowaniu sprawy.

Przewodniczący Kuzynów i Anonim wyszli z pokoiku. Policzki mieli zaróżowione, ale zachowywali się znacznie spokojniej niż przedtem. W niemal bezbłędny sposób doprowadzili kostiumy do porządku po tej chwili rozrywki, ale szkarłatne warstwy spódnicy Kosali zmięły się nieco podczas igraszek, a na skraju śnieżnobiałej peruki Anonima ujawniały się cienie prawdziwego koloru jego włosów.

– Jestem ostatnie, tak? – zapytała radośnie Kosala. – Ja również przysięgam, że nie miałem zupełnie nic wspólnego z tą sprawą, w żadnym z jej aspektów. Proszę bardzo. To już wszyscy, Jed. Byli jacyś kłamcy?

– Nie, ciociu Bryar, ani jednego.

Podaję, że połowa świata ma ochotę nazywać Bryar Kosalę „ciocią”, ale to Dziecko, które kiedyś bawiło się na jej kolanach, ma do tego szczególnie duże prawa.

Wypowiedziawszy te ciche słowa, Jehovah znowu zamknął oczy. Na Jego twarzy malowało się zmęczenie. Wyglądał zupełnie jak pradziadek obudzony na łożu boleści przez kłócących się o spadek potomków, ale pragnący jak najszybciej powrócić do wzniosłych myśli o nadchodzącej śmierci. Podszedłem do Niego z tacą wypełnioną jedzeniem i powiedziałem Mu, że powinien coś zjeść. Ponownie stracił poczucie czasu. Przyjął jedzenie i podziękował mi, a następnie zapytał, czy Jego Dominic wyglądał na zdrowego, kiedy go widziałem. Odpowiedziałem, że tak. Następnie zapytał, czy moim zdaniem to okrutne pozwolić anielskim inteligencjom żyć obok ludzkich wystarczająco długo, by obie kategorie nauczyły się, że ich świadomości inaczej postrzegają niezależność od swego Boga. Nie

potrafiłem mu odpowiedzieć.

Cóż ma znaczyć ta niejasność, Mycroftie? „Zapytał”. „Odpowiedziałem”. Czy ta leniwa parafraza mogła wyjść spod ręki tego samego Mycrofta, który do tej pory opisywał wszystko ze staranną precyzją? Daj mi słowa. Jakiego języka używa poliglota J.E.D.D. Mason w rozmowie z tobą, Mycroftie? A ty w rozmowie z nim?

Pytasz, jakiego języka, ciekawski Czytelniku? Wszystkich języków. Ta zdesperowana Istota korzysta ze wszystkich Swych zmysłów i posługuje się wszystkimi możliwymi językami – naszym francuskim, naszym angielskim, łaciną, hiszpańskim i greką. Miesza wszystkie ze sobą, by oddać niuanse, tworzy płomienną miksturę, która jest Jego ojczystą mową. Na całej Ziemi tylko ja jeden jestem w stanie ją zrozumieć dzięki swym ukradzionym językom. Żadne tłumaczenie nie mogłoby oddać jej sprawiedliwości.

– Skoro księżę D’Arouet mówi, że nie ma wśród nas kłamców, to znaczy, że ich nie ma – skwitował Ganymede.

– Wspaniale! – Kosala uściskała *Comte Déguisé* siedzącego na kanapie tuż obok niej. – To byłoby okropne, gdyby jedno z nas okazało się zdrajcą. Dziękuję wam za tę propozycję, Cornelu. Czuję się już znacznie lepiej.

– Ale w takim razie kto to zrobił? – zapytał diuk. – Utopianie?

– Nie – odpowiedział błyskawicznie cesarz.

Grymas niezadowolenia zmącił na moment doskonałość oblicza Ganymede’a.

– Wolałbym usłyszeć to zapewnienie od osoby, która nie była zakochana w Apollu Mojave. – Czekał na odpowiedź, wodząc wzrokiem od jednej twarzy do drugiej. W pokoju zapadła cisza. – Pod warunkiem, że w tym pomieszczeniu jest ktoś odpowiadający temu opisowi, poza mną i księciem D’Arouet.

Cesarz, Anonim, król, przewodniczący, rektor, a nawet dyrektor kolejno odwracali oczy przed spojrzeniem Ganymede’a. Na mnie nawet nie zerknął.

– Myślę, że byłam zdecydowanie mniej zakochana w Apollu Mojave niż większość obecnych – odezwała się wreszcie Madame – i nie sądzę, by Utopianie zrobili coś takiego, czy to z powodów politycznych, czy dla żartu. To jest... – przerwała na moment, szukając odpowiedniego sformułowania – ...za mało zorientowane na przyszłość.

– To prawda – zgodziła się Kosala. – Ich nie obchodzą listy Siedmiu

i Dziesięciu czy następne wybory, tylko to, co wydarzy się za dwieście lat.

Diuk Ganymede odwrócił się na plecy i wszyscy obecni z wyjątkiem Jehovah pochylili się, by podziwiać to, co miał do pokazania.

– Ale czy słyszeliśmy z ich ust, że tego nie zrobili? – zapytał.

– Czy mogę coś powiedzieć, Wasza Miłość? – zapytałem, choć wiedziałem, że mój wkład w dyskusję rzuci cień na całe towarzystwo.

– O co chodzi, Mycrofcie?

Zacisnąłem palce na sznurze habitu, jako że nie miałem kapelusza, który mógłbym międlić nerwowo w palcach.

– Rozmawiałem dziś z jednym z Utopian, takim, które z pewnością wiedziałyby o czymś w tym rodzaju, i zadałem mu to samo pytanie. Jeśli mieli z tym coś wspólnego, nawet konstelacja, której powierzono ich najwyższej ceniony projekt, nie ma o niczym pojęcia.

Madame pogłaskała czarne włosy MASONA, delikatnie, jak ktoś, kto próbuje uspokoić szczerzącego kły psa. Cesarz nie gniewał się na mnie, tylko na Ganymede'a, który ośmielił się wypowiedzieć imię Apolla, ale nadal gorzała w nim nienawiść. Jego oczy, które przetrwały Próbę Następcy, były bliskie łez z gniewu. Czasami zastanawiam się nad tym, jaka śmierć byłaby dla mnie najlepsza, gdy nadejdzie czas. Wielu ma moralne prawo odebrać mi życie, ale cesarz wycierpiał więcej niż ktokolwiek inny. Nie tylko utracił Apolla, lecz również musiał powstrzymywać sprawiedliwy gniew, choć mógł mnie zabić w każdej chwili. Jeśli będę miał szansę ofiarować komuś swą śmierć, tym kimś będzie Cornel MASON.

Rektor Faust jest żywym wcieleniem ciekawości.

– A co to za projekt, Mycrofcie? Która konstelacja?

– Kulturowe przygotowania do Marsa – odpowiedziałem, co, formalnie rzecz biorąc, nie było kłamstwem.

Zaakceptowali moje słowa.

– W takim razie Outsider? – zasugerowała Bryar Kosala.

– Nie – odpowiedział niemal natychmiast Andō.

– Dlaczego?

– Dlatego że ono o niczym nie wie, a w dodatku Europa nic by na tym nie zyskała.

Kosala pochylili się ku swemu Anonimowi.

– Zaczyna nam brakować logicznych podejrzanych. Albo jedno z nas ma w swym sztabie zdrajcę... – spojrzenie Kosali powędrowało ku

królowi Hiszpanii – ...albo to Utopianie, albo Outsider, albo ktoś zupełnie inny.

– Myślę... – zaczął łagodnym tonem król – że pora już, żebyśmy zaprosili tu Outsidera.

Czytając własne słowa, zadaję sobie pytanie, dlaczego opisuję Isabel Carlosa mniej jaskrawo niż pozostałych. Szczerze mówiąc, rzeczywiście jest mniej jaskrawy. Zawsze zachowuje się powściągliwie i godnie. Już od najwcześniejszego dzieciństwa uczono go, żeby nigdy nie robił nic, czego nie można by przedstawić na monecie. Myślę, że zły los również uczynił go spokojniejszym, jako że jako jedyny z członków kręgu przyłączył się do niego raczej z konieczności niż z wyboru. Gdy Jej Wysokość królową zamknięto w zakładzie, do kogo mógł się zwrócić pechowy monarcha, któremu urząd nie pozwalał na rozwód ani na pospolity romans, jeśli nie do zawodowej kochanki królów, niezrównanej mistrzyni sztuki dochowywania tajemnicy? Ten król ma sumienie, tak mocne, że przyprawia go o nieustanny ból. Po śmierci jego królowej byłem świadkiem pięciu podjętych przez niego prób „uregulowania sytuacji” i przekonania Madame, by została jego oficjalną żoną. Ale jej drugą dłoń zawsze trzymał cesarz i w związku z tym wdowiec musiał poczekać.

– Zaprosić Outsidera?! – zawołała Danaë. – Z tego powodu? Nie, nie, Wasza Królewska Mość, to drobiazg, to wszystko minie. Po następnych wyborach Outsider znowu będzie nikim, a nie chcielibyśmy mieć go wtedy na głowie!

– Jak teraz macie mnie? – zapytał.

Jej oczy natychmiast wypełniły się lśniącoymi łzami, w takiej ilości, że mąż i brat natychmiast zaczęli ją pocieszać.

– Wasza Królewska Mość, nie chciałam...

– Perry wygra następne wybory – oznajmił król, ratując ją przed koniecznością dokończenia.

Tylko Anonim nie był zbyt zdumiony, by zapytać:

– Dlaczego tak uważacie?

– Dlatego że uwiodło księcia Asturii.

Diuk Ganymede zakrztusił się, usłyszawszy tę wiadomość.

– Chyba żartujecie. Nuworysz zatopiło kły w księciu koronnym Leonor Valentin?

Spojrzał na Madame, jakby ona i tylko ona miała prawo wyrażać zgodę na podobne związki.

– Nie wiem, czy w grę wchodzi seks, czy tylko pieniądze i korupcja – odparł król – tak czy inaczej... sojusz Perry’ego z moim dziedzicem należy uważać za sfinalizowany. Podczas następnych wyborów, jeśli nie wystartuję, książę będzie agitowało na rzecz Outsidera, a jeśli wystartuję, Perry ujawni pewne nieodpowiednie działania księcia, co w połączeniu z moją haniebną porażką poprzednim razem zapewne pozbawi moją rodzinę politycznych wpływów na następne dwa pokolenia.

– Nie powinniśmy go zapraszać, powinniśmy je zmiażdżyć! – wściekła się Danaë. Zacisnęła pięści, ale jej porcelanowe palce i tak wydawały się zbyt delikatne, by zadać porządny cios. – To skandaliczna zniewaga! I to przeciwko tak szlachetnemu rodowi! Madame, z pewnością się zgadzacie, że najlepiej będzie, jeśli połączymy siły i zniszczymy tego złoczyńcę!

Warkocz Madame nie był w stanie ukryć namalowanych brwi, marszczących się nad pełnymi zimnej kalkulacji oczami.

– Drogie dziecko, z pewnością moglibyśmy postąpić tak, jak proponujesz, ale gdyby Jego Królewska Mość tego pragnął, poprosiłby nas o to. Mam rację?

Król skinął głową.

– Perry nie radzi sobie źle jako premier. Sytuacja w Europie jest dobra. Nawet jeśli zdecydowało się na tę dość podstępna metodę, by utrzymać władzę, być może zrobiło to po prostu dlatego, że wiedziało, jak potężny sojusz mnie wspiera. Przyjaciele, wiem, że moglibyście zniszczyć Perry’ego, gdybym was o to poprosiło, ale nie mam moralnego prawa ani nie czuję potrzeby doprowadzenia do ruiny kompetentnego polityka tylko dlatego, że rywalizujemy o ten sam urząd.

– A jeśli Perry nie jest tak nieszkodliwe, jak wam się wydaje? – Zdziwisz się Czytelniku, kiedy Ci powiem, że to Bryar Kosala pierwsza zgłosiła tę złowrogą sugestię. Mama świata może być bardzo wyrozumiała, ale jest także wyjątkowo bezwzględna, gdy rodzina jest zagrożona. – Jeśli zmanipulowało również poprzednie wybory? Jeśli Ziven Racer było jego agentem w waszym sztabie i dopuściło się sabotażu?

Cornel MASON skinął głową.

– Lista Siedmiu i Dziesięciu Sugiyamy przypomniła ludziom nazwisko Ziven Racer, ku waszemu zakłopotaniu, królu. Nie

skreślałoby jeszcze Perry'ego z listy podejrzanych w sprawie *Czarnej Sakury*.

Król wysłuchał ich kontrargumentów ze spokojem i łaskawością, jak wtedy, gdy słuchał swych ministrów, mimo że podjął już decyzję.

– W takim razie tym bardziej powinniśmy poddać je próbie.

– To łatwo będzie zorganizować – odezwała się Madame, przejmując inicjatywę. – Perry już od sześciu lat jest moim klientem średniej rangi. Żadna osoba nie zdołałaby zająć tak wysoko w polityce bez pomocy z tego miejsca.

– Czy jest uzależnione?

Tym razem pierwszy odezwał się Anonim.

– Ho, ho, ho. – Rektor Faust zaśmiał się niczym wesoły olbrzym. – Tak samo uzależnione od dam, jak wy, Déguisé. Bez obrazy. – Uśmiechnął się drwiąco, ale Anonim już dawno pogodził się z faktem, że halki i kokieteria mają nad nim wielką władzę. – Perry odwiedza ten lokal co najmniej dwa razy w tygodniu – ciągnął. – Lubi Salon Kleopatry i... – Czytelniku, pomijam tu szczegóły zarówno lubieżne, jak i brillistyczne, które nie mają znaczenia dla tej opowieści. Bez względu na jego inne osiągnięcia Felix Faust nie ma sobie równych jako podglądacz. Szybko zapomniał o obecności Danaë, wyczuwając szansę popisania się swą wiedzą. – Widziałom je też w wolnych od seksu częściach środkowego poziomu – kontynuował. – Na ringu pojedynkowym, w pokojach gier hazardowych i w sali tanecznej. Zalecało się do dam, zwłaszcza do tej małej blondynki. Nazywa się Clara, zgadza się, Madame? Zalecało się do niej tak, jakby chciało się z nią ożenić. Ale trudno mieć do nędznika pretensję o to, że pragnie odrobiny satysfakcji również w domu. Mam rację, Andō? – Dyrektor nie zareagował na ten docinek. – Czy Perry prosiło już was o jej rękę, Madame? – zapytał Faust.

– Tak, ale jego oferta była o kilka dobrych milionów za niska. Clara to prawdziwy klejnot tego baszu, a Perry nie jest zbyt bogate, choć jego majątek rośnie.

Być może, Czytelniku, zrobiło Ci się niedobrze, kiedy usłyszałeś, że zwą to miejsce baszem? Podobnie jak wtedy, gdy myślisz o sowitej zapłacie, jaką otrzymał rodzony basz Sidney Koons za oddanie niemowlęcia, by najpierw poddano je wychowaniu skonfigurowanych, a następnie uczyniono partnerem Eureka w kierowaniu autolotami. Jeśli jednak nagle okażesz się edukacjonistą,

odległy Czytelniku, wiedz, że cesarz będzie z Tobą walczył przez wszystkie pokolenia Imperium.

– To upraszcza sprawę – podjął król. – Proponuję spotkanie nas wszystkich z Outsiderem, tutaj, gdzie nie da się nas wytropić. Jeśli Perry, na co mam nadzieję, okaże się dobrą osobą jak my, będziemy mogli osiągnąć kompromis polegający na tym, że albo ono, albo ja obejmujemy inny urząd, być może w Romanovie, w zamian za przyjęcie Perry’ego do naszego kręgu i zgodę na ślub, którego pragnie. Jeśli natomiast Perry jest łajdakiem, jak podejrzewają niektórzy z was, Epicuro wkrótce je zdemaskuje i będziemy mogli je zmiażdżyć bez wyrzutów sumienia.

Król uśmiechnął się do Jehovah, nazywając go imieniem, które sam umieścił na liście.

Bryar Kosala przyciągnęła do siebie ramiona partnera, otaczając się nimi silniej.

– Wasza Królewska Mość... jaki stopień... wtajemniczenia przewidujecie dla Perry’ego? Nasze małe towarzystwo opiera się na czymś więcej niż polityka.

Comte Déguisé skinął głową.

– Wyobrażam sobie, że z początku przyjmujemy je na czysto politycznych podstawach. Z czasem każde z nas przekona się, czy jest gotowe podzielić się z nim czymś więcej.

Danaë ucisnęła mocniej brata, jakby był jej rycerzem w mrocznej chwili albo pluszowym misiem.

– Nie podoba mi się myśl o przyjmowaniu kogoś, kto groził Jego Królewskiej Mości. Cóż za okropny umysł!

Hotaka Andō Mitsubishi wsparł ramię na barkach żony w pocieszającym geście.

– Wszystko będzie dobrze, Danaë. Rozmawiałem z Perrym wiele razy. Brak mu elegancji, ale nie jest ordynarne. Popieram pomysł politycznego przyłączenia go do grupy. Możemy oznajmić mu bardzo jasno, że nie idzie za tym propozycja dzielenia się innymi sprawami.

Sięgnął głęboko pod Ganymede’a. Oczy diuka Prezydenta straciły na moment wyraz, gdy ukryta dłoń dotarła do celu.

– Zgadza się, Ganymede?

Diuk przesunął się, uciekając od niespodziewanego wrażenia.

– Niech i tak będzie. Czy mam wystąpić z zaproszeniem, jak zwykle?

Anonim wydał usta.

– Nie chciałbym ujawniać swej tożsamości przed Perrym, dopóki nie będziemy go pewni, ale jestem gotowe przysłać reprezentanta.

Cezar zmarszczył brwi.

– Jehovah, jakie wrażenie wywarło na was Casimir Perry? Czy powinniśmy je przyjąć do naszej grupy?

Trybun ponownie wyrwał się z wewnętrznej samotności.

– Perry walczy o władzę gwałtowniej, niż większość ludzi walczy o życie. Zostawiając je zbyt długo na zewnątrz, ściągacie na siebie niebezpieczeństwo.

– Poznaliście je podczas pracy w Senacie, Jed?

– Bardzo słabo, ciociu Kosala. Ono zawsze gra na użytek publiczności. Tutaj mam nadzieję ujrzeć je bez skrywającej intencje maski.

MASON zaczerpnął głęboko tchu, gdy wszyscy trawili te słowa.

– To znaczy, że się zgadzamy. Kiedy będziemy mogli to zrobić?

Madame wzruszyła ramionami. Gdy zaczerpnęła tchu, jej obcisły gorset rozciągnął się, przykuwając uwagę obu jej dżentelmenów.

– Potrzebuję dnia albo dwóch, żeby wszystko przygotować, ale skoro się zgodziliśmy, przyjaciele, bezzwłocznie przystąpię do działania.

Jego Królewska Mość skinął głową.

– Dziękuję, Madame. Jestem wam szczerze wdzięczny.

Anonim przytaknął jako ostatni.

– Uważajcie, by nie ujawnić Perry’emu mojej tożsamości, dopóki nie będziemy gotowi, Jehovah. Rozumiecie? Outsider nie może się dowiedzieć.

Jego niepokój może się wydawać przesadny, ale Anonim już raz się sparzył na wnikliwości Jehovah. Jak Twoim zdaniem Madame udało się dodać tego najbardziej nieuchwytnego z książąt do swej kolekcji? To wydarzyło się jeszcze przed moim przybyciem do jej domu, ale znam tę historię. Anonim odwiedzał środkowy poziom pod swą codzienną tożsamością, rozmawiał z innymi gośćmi w herbaciarniach i zalecał się do dam Madame, aż nagle któregoś dnia Młody Pan, zaledwie sześciolatek, zwrócił się do niego nad blatem stolika do gry w karty.

– Nie zgadzam się z tym czy tamtym, co napisaliście w swym artykule, monsieur l’Anonyme.

– To nie byłem ja! – spróbował pośpiesznie zaprzeczyć zaskoczony gość, ale zarówno dzieci, jak i mędracy stają się bardziej uparci, gdy wiedzą, że mają rację. Jehovah przytaczał mu dowód za dowodem.

Tajemnica perfekcyjnie utrzymywana przez półtora stulecia nie była w stanie mu się oprzeć. Madame uciszyła niżej postawionych graczy za pomocą łapówek, ale cesarz, Andō i Ganymede, którzy również odwiedzali środkowy poziom dla urozmaicenia, natychmiast sobie uświadomili, jak wartościowa jest szansa bezpośredniego negocjowania z siódmym z potężnych. Tak narodził się Déguisé. Madame była zachwycona. Spodziewała się, że zdobycie Anonima będzie ją kosztowało znacznie więcej wysiłku.

– Znakomicie. Zatem znaleźliśmy rozwiązanie – oznajmiła. – A teraz jestem pewna, że wszyscy macie tysiąc innych spraw do załatwienia. Chyba że ktoś chce poruszyć jeszcze jakiś problem?

Tylko Felix skorzystał z jej zaproszenia.

– Jeszcze jedno, skoro tak bardzo się oddaliliśmy od mojego wyjściowego tematu. Dyrektorze i *princesse*, chciałbym się upewnić, że rozstajemy się jako przyjaciele. Cokolwiek sędzę o stworzeniach, które adoptowaliście, was oboje nadal darzę serdecznym afektem.

Andō nie mógł się uśmiechnąć, ale od czego są żony, jeśli nie od tego, by wybaczać, kiedy mężowie nie są w stanie tego zrobić?

– Oczywiście, Feliksie, oczywiście. Nie moglibyśmy się na was gniewać.

– Niemniej – dodał jej mąż – nie zamierzam zabraniać swym badziciom robienia kariery w ważnych instytucjach tylko z powodu waszej... opinii, Feliksie. Wiem, co one robią. Nie są dla was żadnym zagrożeniem. Nawet jeśli ich obecność w jednym czy drugim urzędzie... – skinął głową do Kosali i Anonima – ...daje mi pewien wgląd w funkcjonowanie waszych Pasiek, otrzymuję od nich znacznie mniej informacji, niż sami mi dobrowolnie zdradzacie. Mam nadzieję, że gdy dzieci dorosną, będą mogły stać się łącznikami informującymi mnie o interesach waszych Pasiek.

Bryar Kosala uśmiechnęła się z aprobatą.

– To ma sens.

Ale Faust tego nie zrobił.

– Czy moglibyście przynajmniej powstrzymać je przed wysyłaniem podań do mojego Instytutu? Nie wiem, ile razy zdołam się powstrzymać przed publicznym krzykiem: „skonfigurowany!”.

Andō zastanawiał się przez chwilę.

– Zgoda, Feliksie. Poinformuję Jun, że nie jest mile widziane w Instytucie Brilla.

– Och, byłoby bardzo mile widziane. Jako przedmiot badań. – Felix zatarł dłonie. – W imię postępu, ludzkości i tak dalej.

Dyrektor zmarszczył złowrogo brwi.

– Zastanowię się nad tym.

– Bardzo dobrze – odezwała się Madame. – Wszyscy znowu jesteśmy przyjaciółmi. Zatem... – Pocałowała w policzek MASONA. – Skontaktuję się z wami. – Drugi pocałunek przeznaczyła dla króla Hiszpanii. – Gdy już umówię się z Outsiderem. Na razie, drodzy przyjaciele, błagam, dla własnego zdrowia, poświęćcie kilka minut na rozrywkę.

Nastąpiła radość. Anonim zaatakował ze śmiechem gorset Bryar, który w swym pośpiechu pozostawił przedtem nietknięty. Jeśli chodzi o Madame, teraz była kolej na króla Hiszpanii, który jest nieśmiały i woli prywatny pokój. Oboje się oddalili, podczas gdy MASON rozciągnął się na kanapie, by się przyglądać, jak skromna Danaë pomaga bratu zająć pozycję, w której będzie mógł sprawić przyjemność jej mężowi, natomiast Faust zaprosił skinieniem Jehovah, by dołączył do niego przy szparze między zasłonami. Brillista pragnął uzupełnić swe notatki na temat wydarzeń rozgrywających się na dole. Trybun podszedł do niego, nadal trzymając w ręce tom Arystotelesa.

Znałem swoje obowiązki i przyniosłem cesarzowi wino. Spojrzenie, którym mnie obrzucił, wydawało się znużone, choć może winne były tylko bogate dekoracje. Nie miał dziś siły mówić po łacinie, nie z kimś, kto miał do niej tak niewiele praw jak ja.

– Słyszałem, że mało brakowało, by zabili dziś was na ulicy, Mycrofcie.

– To prawda, cesarzu. Utopianie mnie uratowali.

– Widziano was w mundurze. Wieści już się rozchodzą. To może dla was oznaczać koniec swobodnego chodzenia po ulicach.

Stłumiłem łkanie.

– Wiem, cesarzu.

– Napastnicy byli przyjaciółmi Apolla. Od trzynastu lat planowali, jak was dorwać. Dopilnuję, żeby ich uniewinniono.

– Dziękuję, cesarzu.

– Popełniacie ostatnio błędy, Mycrofcie. Coś was niepokoi. Czy chodzi o listę Siedmiu i Dziesięciu?

– Nie, to... Czy mogę zadać wam pytanie, cesarzu?

Nie zamierzałem szeptać, ale widok jego twarzy często nie pozwala mi mówić głośno.

– Słucham?

– Gdybyście mieli coś tak cudownego, że myślelibyście, że to mogłoby... gdyby tylko miało szansę, zmienić świat, uczynić go na zawsze lepszym dla wszystkich, nieporównanie lepszym, ale najpierw byłoby niebezpieczeństwo, straszliwe niebezpieczeństwo mogące rozedrzeć na strzępy wszystko, co mamy... to czy zniszczylibyście lepszy świat, żeby uratować ten?

Kieliszek spadł na podłogę, gdy obie ręce MASONA, ta w czarnym rękawie i ta w szarym, zacisnęły się na moim szorstkim habicie i obaliły mnie na podłogę.

– Zejdźcie mi z oczu!

– Słucham? Cezarze, ja...

– Nigdy już nie ośmielajcie się cytować słów Apolla. Idźcie stąd!

Rozdział trzydziesty pierwszy

Dominujący drapieźnik

– Mycroftcie! – Czytelniku, usłysz łkający krzyk Bridgera, niosący się po kwietnym rowie rozświetlonym pierwszymi promieniami brzasku.

– Gdzie jesteście, Mycroftcie?! Mycroftcie!

Chłopcu zostały tylko stare ubrania – szata w zielone pasy, w której było chyba więcej dziur niż tkaniny, oraz skarpetki. Nie miał butów i na gołych palcach jego nóg pojawiały się skaleczenia, gdy trawa i twarda ziemia drapały mu stopy podczas biegu.

Szczerze wyznaję, Czytelniku, że ten rozdział jest w połowie wytworem mojej wyobraźni, jako że byłem wówczas jeszcze więźniem u Madame.

– Bridger! Zatrzymajcie się, dziecko. Co się stało?

To był głos nieznanego. Chłopiec odwrócił się, wymachując plastikowym pistoletem laserowym.

– Nie zbliżajcie się!

– Spokojnie! – Przybysz uniósł ręce nad głowę, wychodząc z ukrycia w kopalni śmieci. Być może chichotał pod nosem na widok Boo, który postawił sierść, przystając u boku Bridgera. Słodki pysk niebieskiego psa nie nadawał się do szczerzenia kłów. – Mycroft mnie przysłało.

– Wiecie, gdzie ono jest?! – zawołał chłopiec.

– Nie. Ja też go szukam. Przez cały dzień nie włączało lokalizatora.

– Odwróćcie się i oprzyjcie ręce o ścianę! – zawołał Bridger, ściskając pistolet zabawkę w obu dłoniach. Myślałeś, że Major go tego nie nauczył, Czytelniku?

– Jeśli się odwrócę, przestaniecie mnie widzieć.

To była prawda. Utopiański płaszcz spowijał nieznanego niewidzialnością. Jego palce kryły się w za długich rękawach, a kaptur zasłaniał włosy. Pod rozchylnym z przodu płaszczem można było zobaczyć tylko twarz oraz zarysy nóg i tułowia, wąski skrawek osoby. Wyglądał jak podróżnik z innego świata wyłaniający się z czasoprzestrzennego rozdarcia.

– Jesteście ubrani jak Apollo Mojave? – zapytał chłopiec, przechylając głowę.

Uśmiechnięty nieznajomy uniósł woalkę z oczu, przesuwając ją na złotoblond perukę.

– Tak. Mycroft pokazywało wam zdjęcia Apolla, prawda?

– Aha.

Intruz uśmiechnął się, odsłaniając kły.

– No wiecie, jestem duchem. Najłatwiej mi jest, kiedy wyglądam jak ktoś, czyjego ducha ludzie spodziewają się zobaczyć.

Nieznajomy omiół spojrzeniem kończyny chłopca, zastanawiając się nad długością jego kroku i nad tym, jak szybko będzie musiał biec, żeby go doścignąć. Nawet zwykły domowy kot bawiący się myszą oblicza, jak daleko może pozwolić się oddalić kulejącemu stworzeniu, by ucieczka nadal pozostała niemożliwa.

– Kim jesteście? – zapytał Bridger.

– Najstarszym i najbardziej zaufanym przyjacielem Mycrofta. – Nieznajomy przykucnął, podsuwając Boo dłoń do powąchania. – Prosiło, żebym się wami zaopiekowało, jeśli sytuacja zrobi się niedobra.

– Jak się nazywacie?

Saladin uśmiechnął się – w takim stopniu, w jakim pozwala mu na to gładka, węzowa twarz.

– Tylko Mycroft może poznać moje imię. I nie wolno wam nikomu o mnie wspomnieć. Zgoda, Bridgerze? Jestem tajemnicą. – Uniósł palec do ust. – Tak samo jak wy.

Chłopiec rozluźnił się wyraźnie, gdy zauważył, że Boo zamerdał ogonem zwabiony moim zapachem wyczuwalnym od Saladina.

– Dlaczego nie macie brwi? – zapytał Bridger.

Saladin się roześmiał.

– Kiedy byłem dzieckiem, spotkał mnie okropny wypadek. Cała skóra mi się spaliła. Spójrzcie, włosów też nie mam.

Uniósł brzeg peruki nad skronią.

– To na pewno bolało!

– To prawda, ale Mycroft wyhodowało dla mnie nową skórę w generatorze mięsa i załatało mnie. Myślę, że wykonało dobrą robotę.

Przesunął palcami jednej dłoni po grzbiecie drugiej, wzdłuż szwu między dwiema łatami, widocznemu obecnie jedynie dla tych, którzy

doskonale znali jego ciało.

– Czy to był ten sam wypadek, w którym Mycroft zostało ranne?

– Aha. Omal nie zginęliśmy. Właściwie to ja oficjalnie zginęłam.

Choć Saladin nie przestawał bawić się z psem, cały czas przesuwał spojrzeniem wzdłuż rowu, obserwując grę światła i cieni oraz powierzchnie murów. Szukał miejsc, gdzie najłatwiej będzie się wspiąć, ukryć albo zastawić zasadzkę. Skąd o tym wiem, Czytelniku? Mój Saladin zawsze bada w ten sposób otoczenie, podobnie jak dzikie psy. Żołnierze również uczą się to robić, gdy oglądany przez różowe okulary sen o cywilizacji rozpryskuje się nagle.

Bridger zmarszczył brwi.

– Czy nie moglibyście dostać nowych brwi i włosów, gdybyście zechcieli? Lekarze umieją to zrobić.

– Mogłoby, ale we włosach jest DNA, które policja mogłaby rozpoznać. A tego bym nie chciało.

– Aha, włosy są trudne. – Głos dziecka był cichy po niedawnym płaczu. – Mycroft robi dla mnie specjalny grudkowaty szampon, który ma spowodować, że włosy nie będą mi wypadały, chyba że podczas czesania.

– I specjalne mydło, żeby płatki skóry rozpuszczały się zaraz po złuszczeniu, tak? Okropnie śmierdzi. – Saladin był dzikim stworzeniem i nigdy się nie nauczył nadawać swojemu śmiechowi przyjaznego brzmienia. – Ale posłuchajcie, jeśli chcę, mogę mieć brwi. Zobaczcie. – Opuścił woalkę na oczy i obraz posusznie wyposażył go w brwi i rzęsy. To nie była jego twarz, lecz oblicze kogoś innego – wysoko ustawione kości policzkowe, blada, północnoeuropejska skóra, oczy barwy nieba. Uniósł woalkę i opuścił ją.

– Widzicie? Są brwi, nie ma brwi, są brwi, nie ma brwi. – Nie zdołał przywołać uśmiechu na twarz chłopca. – Co się wydarzyło, Bridgerze?

– zapytał Saladin. – Dlaczego uciekacie?

Dziecko załkało i opuściło wreszcie blaster.

– Zabiło Czerwień.

– Kto to jest Czerwień?

– Moje przyjaciel. – Bridger przytulił do piersi starą, zieloną wojskową torbę, którą miał przewieszoną przez ramię. – Wypruło mu wnętrzności i rozwiesiło je po całej grocie.

– Kto to zrobił?

– Ktoś, kto mnie obserwuje. Przedtem włamało się do jaskini

i ukradło mój plecak oraz skrzynkę tabu i zrzuciło półkę z książkami na Mamę Lalkę, a teraz wróciło i zabiło Czerwień!

Drżący Bridger sprawiał wrażenie przerażonego. Saladin natychmiast skoczył do niego, objął go i otulił utopiańskim płaszczem. Pod tą szczelną osłoną chłopiec poczuł się bezpieczny, jak we wczesnym dzieciństwie, gdy magia koldry tworzy barierę przed nawet najstraszniejszym potworem spod łóżka.

– Wszystko będzie dobrze – uspokajał dziecko. – Nie bójcie się. Nikt was nie skrzywdzi, kiedy jestem z wami.

Płacz nadchodzi szybko, kiedy mamy wrażenie, że możemy sobie na niego pozwolić.

– O... obser... obserwowało mnie. Zdjęłam ubranie, żeby wziąć prysznic, a ono je ukradło, kiedy byłam w środku. Celujący, Wskazujący i Bezpodstawkowy byli w moich kieszeniach i... i zniknęli, i wszyscy... wszyscy się boją, i Mycroft zaginęło, i nie mogę pójść do Thisbe... bo w baszu Saneer-Weeksboothów zrobiło się strasznie.

Bridger spróbował się odsunąć, by przyjrzeć się Saladinowi, ale uścisk był mocny. Drapieżne zwierzęta mogą dopadać ofiary dzięki pościgowi, pułapkom, maskowaniu albo z zasadzki, ale, Czytelniku, wymień jakikolwiek gatunek poza człowiekiem, który poluje za pomocą zaufania.

– Psst. Wszystko będzie dobrze. – Saladin uniósł chłopca w silnych ramionach. – Pokażcie mi, gdzie jest wasze przyjaciół.

– Nie. – Chłopiec spróbował się wyszarpnąć. – Nie mogę tam wrócić!

Drapieżnik wzmocnił ucisk wprawnych palców.

– Może jeszcze żyje i potrzebuje pomocy.

– Nie żyje.

– Zdziwilibyście się, jak długo ciało może pozostać przy życiu, nawet jeśli uczyniono mu najbardziej zdumiewające rzeczy.

Bridger potrząsnął głową.

– Czerwień nie jest żywe. Jest wymyślone.

– Wymyślone?

Z gardła dziecka wyrwał się żalostny pisk.

– Czerwień było moim wymyślonym przyjacielem, sprzed wielu lat. Nadal tu jest, ale teraz wychodzą z niego czerwone jelita, rozciągające się po całej jaskini. Chciałam stworzyć je lepiej, ale wtedy byłoby realne i złoczyńca mogłoby skrzywdzić je jeszcze okrutniej. – Bridger znowu zapłakał, wtulając twarz w wytartą koszulkę Saladina. – To

byłoby gorsze, prawda? Myślicie, że jeśli coś istnieje naprawdę, to cierpi bardziej?

Saladin objął niezgrabnie dziecko. Nigdy się nie nauczył robić tego, nie zadając bólu.

– Zabiło waszego wyimaginowanego przyjaciela?

– Chcę Mycrofta. Chcę moich przyjaciół. Chcę, żeby to się skończyło!

Wierny Saladin pozwolił dziecku osunąć się na ziemię, ale ujął jego głowę w dłonie, delikatnie, lecz stanowczo, jakby sprawdzał, czy owoc jest już dojrzały i można go zerwać.

– Czy chcecie, żebym zrobiło tak, że nikt już nigdy nie zdoła was skrzywdzić? Żeby to wszystko odeszło?

Wyobraź sobie, Czytelniku, że jesteś opatrnością. Zdecydowałeś już, że ta ingerencja, ten cud, który narzuciłeś uporządkowanemu wszechświatowi, nie zginie z ręki Saladina, jak o to prosiłem. Ale jak temu zapobiegiesz? Odpowiedź zależy od tego, jakiego rodzaju opatrnością jesteś. Czy jesteś deterministycznym rykoszetem kul bilardowych na stole? W takim przypadku z pewnością wprawileś już w ruch kolejną kulę – ptaka, który spłoszy łowcę, zmuszając go do odejścia, albo przygotowałeś dziurę, na której się potknie, wykopaną przez królika nieżyjącego od pięciu pokoleń. A może jesteś szachowym arcymistrzem przesuwającym bierki na szachownicy; mój hetman zagraża twojemu królowi, więc przesuwasz jednego za swoich skoczków, być może Dominica albo Thisbe? A może jesteś lalkarzem? Władającym wszystkim autorem Wielkiego Zwoju przebywającym w nieskończoności, który z góry określa wszystkie poczynania swych stworzeń. W takim razie możesz po prostu spowodować, że Saladin postanowi nie zabić, podobnie jak podejmujesz decyzje za wszystkie osoby, od chwili stworzenia aż po kres dni. A może jesteś najłagodniejszą postacią opatrności, rodzicem, który starannie wychował swe dzieci, wpajając im wartości, które twoim zdaniem będą dla nich najlepszym przewodnictwem, inne dla każdego z nich i miałeś nadzieję, że możesz zaufać, iż podejmą trafne decyzje, gdy już zaczną poznawać twój świat. Ta ostatnia wersja trzymającej się na dystans opatrności podoba się wielu, zwłaszcza tym, którzy boją się wizji wszechświata bez Ojca, ale nie chcą też przyznać, że nie mają wolności. Jeśli jednak zastanowisz się lepiej, zrozumiesz, że nie jest ona bardziej wyzwalająca od innych, bo taki uniwersalny Rodzic uczyniłby nas wszystkich skonfigurowanymi. Opatrzność kazała

swemu królowi bronić się samemu.

– Szkoda, że nie jesteście prawdziwym Apollem Mojave. – Dziecko pociągnęło nosem. – Apollo domyśliłoby się, czego chcą złoczyńcy, i wytłumaczyłoby mi to. Wtedy moglibyśmy stworzyć plan.

Czy uwierzysz mi, Czytelniku, jeśli napiszę, że drapieżnik wstrzymał oddech? Że dłonie mu zadrżały? Oswojonych ludzi łatwo jest zaskoczyć, ale to stworzenie zawsze jest czujne, ciągle ogląda się za siebie i jest podejrzliwe, jak natura nakazuje wszystkim bestiom. To pierwszy przypadek w życiu Saladina, gdy pozwolił komuś zbliżyć się do siebie tak bardzo, nim wyczuł niebezpieczeństwo. Powtarzam, Czytelniku, człowiek to bestia, która w łowach posiłkuje się zaufaniem. Lwiątko może uderzyć pazurami, choć jeszcze nie wie, że je ma, i Bridger też to potrafi.

– To prawda – zgodził się Saladin. – Tak właśnie postąpiłoby Apollo Mojave.

– Jeśli ciągle będę uciekało, stworzę tylko więcej miejsc, do których nie będę mogło wrócić. Muszę powstrzymać złoczyńcę, ale nie umiem tego dokonać, bo nie wiem, dlaczego to robi. Czego chce? Za słabo znam innych, żeby się tego domyślić. A wy?

– Ja? – Saladin pokręcił głową. – Nie mam zbyt wiele doświadczenia w kontaktach z obcymi ludźmi.

– Pragnie się ze mną spotkać, ale ja nie chcę tego robić.

– Kto? Napastnik?

– Zostawiło notatkę. Adres. Ale ja nie chcę tam iść. Jestem pewne, że zrobi mi coś okropnego. Wiem, że gdybym tam poszło, mogłoby mi powiedzieć, czego chce, ale musi istnieć jakiś inny sposób. Niektórzy bardzo dobrze potrafią odgadywać, czego chcą inni, nawet jeśli ci nie chcą tego powiedzieć. Mycroft zawsze powtarza, że Apollo było takie. Tego właśnie potrzebuję.

Ten uśmiech Saladin powinien zachować tylko dla mnie.

– Przykro mi, ale nie potrafię zmienić się dla was w Apolla Mojave.

– A czy chcielibyście?

– Słucham?

Bridger zacisnął palce na brzegach płaszcza.

– Czy chcielibyście się w niego zmienić? Wtedy bylibyście znacznie mniej przerażający.

I co teraz, opatrności? Uratowałaś swojego króla, ale jak wykręcisz się z tej pułapki? Kij ubrany w łachman jest lalką i człowiek

w kostiumie również. Ale gdybyś chciała, żeby Apollo pozostał na planszy, nie pozwoliłabyś mi go z niej usunąć.

– Nie, ostatecznie, czego bym chciało, to, żeby Mycroft mnie też musiało zabić. Chodźcie. – Saladin ujął Bridgera za ramię i pociągnął w stronę jaskini. – Pokażcie mi tę notatkę i ciało. W ludziach nie czytam zbyt dobrze, ale z krwią radzę sobie znakomicie.

– Nie! – Chłopiec szarpnął się mocno. – Nie chcę tam iść.

Jaką minę mógł w owej chwili zrobić mój Saladin? Podejrzewam, że zniesmaczoną, jak wtedy, gdy piękny książę Laurel Mardi zemdłał w jego ramionach na schodach naszej gilotyny i przespał ostateczne chwile swego życia, nie ucząc się z nich niczego.

– Na tym polega problem z krwią, Bridgerze. Jeśli nie będziecie chcieli na nią patrzeć, wyobraźnia wypaczy jej obraz w waszym umyśle, uczyni z niej koszmar i nie pozwoli wam niczego się nauczyć. Musicie przyjrzeć się jej dokładnie i zobaczyć, co uczyniono. Krew za krew. Inaczej nigdy nic nie zrozumiecie.

– Nie! Chcę o tym zapomnieć!

Chłopiec spróbował się wyrwać, ale Saladin uniósł go i przerzucił sobie przez ramię, nie zważając na jego wierzganie.

– Co poczuliście na jej widok? – zapytał. – Czy chcieliście zemsty?

– Nie!

– Myślę, że chcieliście, tylko odrobinę. Pragniecie o tym zapomnieć, by móc udawać, że nie jesteście zdolni do takich myśli. Wszyscy ludzie są do nich zdolni, dziecko. Możecie je zrealizować, jeśli tego pragniecie. To zależy tylko od was. Ale nie możecie ich wymazać w ten sposób, że od nich uciekniecie.

– Nie! Nie chcę ich. Nie chcę, żeby człowiek dysponujący moimi mocami miał takie myśli!

Saladin zatrzymał się, wyczuwając niebezpieczeństwo, jak ptaki i psy nieruchomieją, nim nadejdzie trzęsienie ziemi.

– Kim jesteście, dziecko?

– Nie wiem. Mycroft mówi, że jestem cudem.

Mężczyzna postawił chłopca na ziemi i przyjrzał się jego szczerzej twarzy.

– Macie trzynaście lat, prawda?

– Tak.

– Od jak dawna znacie Mycrofta?

– Od mnóstwa lat. Odkąd byłem małe.

– I Mycroft wychowało was na takiego mięczaka? Gdyby chciało, nauczyłoby was żywić się trupami.

Łkanie targające chłopcem spowodowało, że niewidzialne rękawy Saladina zamigotały, jak niemal niedostrzegalne drżenia w kąciuku oka, z których powodu łatwowierni powtarzają opowieści o duchach.

– Mycroft mówi, że to ważne, żebym miało dzieciństwo, bo tylko dziecko może wyrosnąć na człowieka, a to ważne, bym ze wszystkich ludzi akurat ja nie wyrosło na potwora.

Ze wszystkich ludzi, Czytelniku, Mycroft Canner z pewnością najmniej zasługuje na to, by pobłogosławiono go kochankiem tak mądrym i ufającym jak Saladin.

– W porządku – odparł. – Jest w tym logika, potrafię ją zrozumieć. Nie każę wam patrzeć, ale musicie się trzymać blisko mnie. Jeśli nawet Mycroft boi się tego intruza, nie pozwolę się wam oddalić ani na moment. To zbyt niebezpieczne. Poniosę was na barana. Możecie zamknąć oczy. Gdy już zobaczę, co zrobiło intruz, może uda mi się odgadnąć, co nim kieruje i jak można je powstrzymać. Może być?

Bridger skinął słabo głową, nie przestając płakać.

– Mmm.

– Przekonajmy się, czy płaszcz was polubi. – Saladin uniósł tkaninę i zarzucił ją na ramię dziecka. Kończyna natychmiast zniknęła, pozostawiając tylko trawę. – Mówi, że tak. – Pogrzebał pod płaszczem. Tkanina wyginała się niczym powietrze migoczące pod wpływem upału. – Przekonajmy się. To trzeba podłączyć tutaj i pociągnąć... o tak. – Wyciągnął lewą rękę spod płaszcza i pozwolił, by opadła swobodnie. – Spójrzcie, tu są takie pasy. Możecie na nich usiąść jak na krzeselku, widzicie? Wdrapiecie mi się na plecy, wsuniecie tyłek w pętlę i złapiecie się pasa. Wtedy będę mógł nakryć was płaszczem i nikt nie zobaczy nas obu. No to hopsa!

Bridger wsunął się w siedzenie z tyłu płaszcza. Był trochę za chudy, żeby mu tam było wygodnie.

– To jest świetne.

– Aha. Służy do przenoszenia rannych. To najlepszy płaszcz na świecie, pod warunkiem, że jest skłonny do współpracy. – Tylna część ubioru rozszerzyła się na polecenie Saladina, by pomieścić ruchliwy ładunek. – Mam ponieść waszą torbę?

– Nie! – Bridger przycisnął ją ostrożnie do boku, gdy płaszcz opadł na niego. – Nie. Mam ją ze sobą i musicie obiecać, że nigdy do niej nie

zajrzycie, dobra? To naprawdę ściśle tajne. Mycroft nie chciałoby, żebyście to zobaczyli.

Odpowiedział mu chichot świadczący o nadwężonej cierpliwości.

– W porządku. Jeśli jest jeszcze coś, co potrzebujecie zabrać, zanim opuścimy to miejsce, powiedzcie mi, w której części jaskini leży, a poszukam tego.

– Opuścimy?

Zastanawiam się, jakiego tonu użył Saladin, by jego słowa zabrzmiały pocieszająco.

– Jak już wyczytam wszystko z krwi, zabiorę was do swoich znajomych, którzy przygotowali bezpieczną kryjówkę. Daleko stąd, w miejscu, gdzie nikt was nie znajdzie. Gdy już się tam znajdziecie, wytropię Mycrofta i sprowadzę je do nas, bez względu na wszystko. Może być?

– Co to za znajomi?

– Przestępcy, dawni wspólnicy moi i Mycrofta. – Saladin stąpał ostrożnie, omal nie potykając się o Boo. – Dobrze się wami zaopiekują, bo wiedzą, że w przeciwnym razie zawlekę ich do zaułka, wytnę kawały ich mięsa i zjem je, gdy jeszcze będą żyli.

– Podoba mi się wasza szczerłość. Większość ludzi nie powiedziałaaby czegoś takiego przy dziecku.

– Cieszy mnie wasza reakcja. Wiecie, kim jest Mycroft i co zrobiło, prawda?

– Wiem. Mycroft nie ma przede mną tajemnic.

– Nie wątpię, że tak wam powiedziało.

– Przepraszam.

– Słucham? Za co?

– Osmarkałam waszą koszulę.

– Nie przejmujcie się tym – odparł mężczyzna z łagodnym, warkliwym śmiechem.

Patrz, Czytelniku, jak Saladin posuwa się bezgłośnie po trawie. Omiata ostrożnym spojrzeniem ściany i mostek na górze, jak ryba wypatrująca owadów, które mogłaby schwytać, oraz mew, które mogłyby schwytać ją. Byłeś kiedyś w prawdziwej głuszy, Czytelniku? Można ją jeszcze znaleźć w wielu częściach świata, w ściśle chronionej Amazonii, na arktycznych pograniczach, w częściach Wielkiego Rezerwatu Afrykańskiego, nie w zacofanych miasteczkach, gdzie watażkowie uparcie trzymają się swych tronów i granic, lecz na

mrocznych pustkowiach, gdzie nadal stadnie żyją dzikie bestie wszelkiego rodzaju, w tym również ten najgroźniejszy ze wszystkich łowców, człowiek. W takich stronach każdy sam odpowiada za siebie. Nie ma autolotów, policji, restauracji ani dobrych samarytan. Świat dla ciebie nie istnieje. Nie pomoże Ci, nie dba o Twój los i zapomni o Tobie, gdy tylko zielsko porośnie ślady Twoich stóp. Dla dzikich stworzeń nasze miasta również są podobną głuszą – dla gołębi, obżerających się do przesytu albo ginących z głodu zależnie od kaprysów bezlitosnego przypadku, dla szczurów, zdziczałych psów i kotów, które nigdy nie znały rytuału codziennego karmienia, a także dla Saladina.

– Czy to jest to miejsce, te plastikowe płachty pod mostem?

Drżenie poprzedziło odpowiedź.

– Tak. Pośpieszcie się, proszę. Czuję już zapach.

Saladin zagwizdał nieśpiesznie, przechodząc przez rozszarpane drzwi. Ściany były pokryte krwawymi plamami. Girlandy z czerwonej krepiny owijały się wokół szczątków niczym papier toaletowy po przejściu tornada. Pośrodku jaskini leżała kukielka w również czerwonej dziecięcej szacie. Miała długie, kręcone włosy, a z dziury zrobionej nożem w jej brzuchu wychodziły wnętrzności. Jej twarz, pierś i ramiona przecinały narysowane rany od noża. Wypływały z nich szkarłatne strużki. Naśladująca krew farba pokryła książki i zabawki na dole, plastikowe potrawy i ubrania dla lalek starannie poprzesuвано, by jaskrawa posoka zbrukała wszystkie.

– A więc tak się zabija wymyślonego przyjaciela.

– Ten czyn wcale nie jest mniej zły dlatego, że było wymyślone! – zawołał Bridger. – I tak nie żyje!

– Rozumiem. – Saladin podszedł bliżej, z bojaźnią omijając na palcach szczątki oraz czerwone plamy niczym entomolog bojący się zerwać cudowne, poranne pajęczyny. – To perfekcyjne. Absolutnie bezbłędne, w każdym szczególe. – Pochylił się nad wykręconym kawałkiem plastikowego jelita i wciągnął głęboko powietrze. Woń farby zmieniała się w jego umyśle w słony fetor krwi. – Kim była ta osoba, Bridgerze? Muszę ją odnaleźć. Z pewnością coś wiecie, nazwisko, opis? Mówiliście, że zostawiła notatkę informującą, że macie się z nią spotkać. Kiedy? Gdzie?

– Nie wiem. Zniszczyłam ją.

– Na pewno pamiętacie.

- Nie możecie tam polecieć. Wydarzy się coś strasznego.
- Zapominacie, kim jestem, dziecko. Jeśli gdzieś istnieje inna wyzwolona istota ludzka, jest albo moim uczniem, albo rywalem. Tak czy inaczej, to jest wyzwanie.
- Nie! Nie chcę, żeby najlepszemu przyjacielowi Mycrofta stało się coś złego.
- I tak wytropię sprawcę. Od was zależy, czy to będzie szybkie i łatwe, czy będę musiał przeszukać całą jaskinię, by znaleźć zrzucone włosy. Nie wszyscy mają wasz specjalny szampon.
- Proszę, nie róbcie tego – zajęczało dziecko. – Lepiej schowajmy się w bezpiecznym miejscu.
- Saladin zaczerpnął głęboko tchu.
- Bridgerze, czy widzieliście kiedyś zdjęcia zabójstw Mardich?
- Niektóre.
- I czy to, co intruz zrobiło Czerwień, wydaje się wam znajome?
- Odpowiedź nie chciała nadejść.
- Trochę przypominało to, co Mycroft zrobiło senatorowi Aeneasowi Mardiemu.
- Tak jest – potwierdził Saladin. – Potraktowaliśmy je dokładnie tak samo. Każde cięcie się zgadza. To wierne powtórzenie. Bridgerze, ilu wymyślonych przyjaciół macie? Siedemnastu? Osiemnastu? To jest wypowiedzenie wojny. Po zadźganiu Aeneasa Mardiego następuje torturowanie Laurela za pomocą dźwięku i prądu, a wreszcie zgilotynowanie go. Potem rzucenie Leigh lwom na pożarcie, chińska tortura wodna Jie i europejska tortura wodna Makenny. Według tego harmonogramu Geneva Mardi wisiał na krzyżu już kilka dni.
- Nie! Nie! Już ma pozostałych! Celującego, Wskazującego, Bezpodstawkowego i Nieuzbrojonego! Nieuzbrojony zaginęło dwa dni temu! I oni nie są wymyśleni, są już rzeczywistości!
- W takim razie podajcie mi adres. Albo któreś z nas tam się zjawi, albo wasi przyjaciele zginą jak basz Mardi. Innej opcji nie ma.
- Dominic Seneschal. Paryż. Zaulek za Chateau D’Arouet [XX] boulevard [XXXX], 20:00.
- To nie był głos Bridgera, ale Majora. Dobiegał spod płaszcza na plecach Saladina, jakby płynął z głośników lokalizatora chłopca.
- Saladinowi spodobałby się tembr jego głosu.
- Kim jesteście?
- Bardzo zniecierpliwionym aniołem stróżem Bridgera. Potraficie

zabić Seneschala?

– Jeśli ja nie zdołam tego dokonać, nikomu innemu też się nie uda. Lubię polować na myśliwych.

– Nie próbujcie się z nim bawić. Atak od tyłu, strzał w plecy, zasadzka, coś, co umożliwi pewne, natychmiastowe zabójstwo. Nie możemy pozwolić, żeby w pobliżu Bridgera kręcił się potwór.

Łowca przymrużył powieki.

– Jestem oprawcą, nie skrytobójcą. Nie zabijam ofiar, dopóki w pełni nie poczują smaku epifanii, jaką jest śmierć.

– Tym razem musicie tak postąpić. Stawka jest zbyt wysoka. Zabijcie Seneschala. Samo znajdę zakładników.

– Zabiję je, ale na swój sposób. – Saladin zaczął się przedzierać przez stertę odpadków otaczającą usmarowanego farbą trupa. – Nie wykonuję rozkazów aniołów.

Bridger pisnął z przerażenia, gdy ciało Saladina pochyliło się nagle.

– Co robicie?

– To ostatnia posługa. Nie zostawia się tak przyjaciół.

Mężczyzna zebrał papierowe wnętrzności i ostrożnie włożył je „z powrotem” do „rany”.

– Nie możemy go tu spalić – ostrzegł Major. – Dym przyciągnąłby uwagę.

– Wiem o tym. Ale możemy zrobić więcej niż nic.

Saladin położył ostrożnie ciało na podłodze, wziął garść suchej ziemi i wysypał ją na nie, mamrocząc kilka słów po grecku.

Bridger pociągnął nosem, uważając, żeby znowu się nie wysmarkać na plecy niosącego go mężczyzny.

– Myślicie, że z Czerwień wszystko będzie teraz w porządku? Myślicie że gdzieś jest?

– Nie mam pojęcia. – Saladin owinął się ciasniej płaszczem, by jego przejście przez zasłonę wyglądało jak zwykły podmuch wiatru. – Jeśli chcecie się za nie pomodlić, spróbujcie Hermesa. Tak sobie myślę, że Hermes lubi wymyślonych przyjaciół.

Niełatwo jest skłonić Majora do uśmiechu.

Rozdział trzydziesty drugi

Że jest ich dwóch

Ta historia składa się z dwóch części, Czytelniku, choć to dziwne, że potrzeba było dwóch ksiązek, by zdać relację z siedmiu dni. To jednak były bardzo intensywne dni, wypełnione nie tylko wydarzeniami, lecz również postaciami, bardzo licznymi i różniącymi się od siebie jak kwiaty w rowie, w którym to wszystko się zaczęło. Jeden nieostrożny krok miażdży tu rozmaite rośliny, uwalniając ich soki i zapachy oraz płosząc ukryte pod spodem owady. Ich potop dopiero się zaczyna, armia rozmaitych drobnych form życia wylewa się na zewnątrz, jakby zrodziła się z połamanych łądyg. Jeszcze nie dostrzegasz ich liczebności, ale mam nadzieję, że pokazałem Ci wystarczająco wiele, byś sobie uświadomił, że ci pierwsi zwiadowcy, których widzisz, oraz inni, którzy za nimi podążą, nie pochodzą z łądyg. Te roje, te zmiany, czekały uśpione w swych tunelach, a wszystkie miały przyczyny, które teraz możesz zrozumieć. Nie musisz wierzyć. Wystarczy, że uwierzysz, że my wierzymy, że ja, Dominic i Carlyle, który przypadkiem odkrył tak wiele, wierzymy w Bridgera i dowiedliśmy tej wiary czynem, a także wierzymy w tę drugą postać, którą opatrznosc postawiła na drodze Carlyle'a rankiem dwudziestego siódmego, w tym samym dogodnym miejscu, w którym cztery dni wcześniej ujrzał, jak objawiła się Boskość. Być może nie będziesz usatysfakcjonowany. Ta ostatnia zmiana, którą pragnę Ci pokazać, jest zbyt subtelna. Pragniesz polityki, apokalipsy. Je również pozwolę Ci ujrzeć, jako dodatek, nożyczki, które nadal mogą pokonać papier, nawet nasz zwodniczy, złożony z jednej płachty domek z kart. Jeśli jednak dzisiejszego ranka Carlyle raz jeszcze pojawił się w rowie Bridgera pomimo zakazu Ockhama, powodem był fakt, że Ockham, autoloty, Humanisci, kradzież, Ziemia, wszystko to ma inną skalę, nieporównywalną ze skalą cudów. Bridger jest dla Carlyle'a nieporównanie ważniejszy i bardziej realny, tak samo jak Twoje ubrania, Twoi przyjaciele, Twoje problemy i podłoga pod Twoimi stopami są dla Ciebie ważniejsze niż my i nasze trudności

minionej epoki. To jest prawdziwy ostatni rozdział pierwszej części tej opowieści, ostatni dla Carlyle'a i dla mnie. Tutaj w pełni ujrzymy kształt interwencji – nadal zamazany, lecz będący sylwetką w ciemności, a nie tylko samym mrokiem, zarysem mającym granicę i realność, dzięki którym będziemy mogli z pewnością w głosie powiedzieć: „Tak. Coś widziałem. Ingerencję naszego Stwórcy”. Reszta jest jedynie Jego dziełem.

– Przyprawiajcie je! Przyprawiajcie Mycrofta Cannera! Wiem, że je ukrywacie, brudni, zasrani usługowcy!

Na czystych, szklanych tarasach Cielo de Pájaros nie można było znaleźć gałęzi ani kamieni, ale odpadkami można rzucać równie silnie. Sypały się one na głowy usługowców kryjących się pośród trawy i kwiatów rowu Bridgera. Napastnicy stali na moście – pięciu tragicznie trzeźwych Humanistów, którzy otworzyli śmieciowego robota, odsłaniając wczorajsze odpadki, gotowe wysypać się na zewnątrz i pobrudzić ich.

– Przyprawiajcie potwora albo oberwiecie znacznie gorzej.

Muszę Ci to najpierw wyjaśnić, Czytelniku: Nie jestem królem żebraków. Usługowcy nigdy nie uważali mnie za swojego przywódcę. Jeśli niektórzy z nich skupiają się wokół mnie w noclegowniach, to wyłącznie dlatego, że jestem zaradny, a z niektórymi problemami nie możemy się zwracać do Kuzynów, którzy się nami opiekują. Przestępcy często mają niezalutrowane sprawy, mogące zagrażać baszom, które musieli opuścić. Wielu usługowców w przeszłości przeniosłoby góry, żeby ocalić przyjaciół lub rodzinę, ale teraz nie leży to już w ich możliwościach. Ja nadal mogę wiele. Błagam o przysługi Madame albo MASONA, jeśli się odważę i gdy ktoś czegoś bardzo potrzebuje. Dlatego, gdy ja z kolei czegoś bardzo potrzebuję, inni są skłonni okazać wdzięczność.

Na dole rozległ się krzyk pobudzający usługowców do czynu.

– Brońcie żywności!

Usługowcy mają niewiele rzeczy, które uważaliby za cenne, ale dobry posiłek, na który uczciwie zapracowaliśmy, zajmuje wśród nich czołowe miejsce. Dlatego za piknik rozłożony na kraciastych kocach na trawie warto było walczyć jak za całe złoto Troi. Wszyscy zbudowali prowizoryczny mur, osłaniając talerze i tace fragmentami ze śmietnika, pustymi pudełkami, własnymi mundurami oraz własnymi ciałami. Byli gotowi oberwać rzuconym przedmiotem dla

uratowania kanapki.

– Jeśli natychmiast nie przyprowadzicie Mycrofta Cannera, stracie coś więcej niż obiad! – zawołał jeden z napastników. – W każdej chwili mogę tu zwołać całą drużynę. Przekonacie się, jakie szkody może wyrządzić zespół rugbistów!

Z grupy usługowców wyłoniła się jej liderka, rozwścieczona, ale anonimowa dzięki cenzurze Kosali.

– Posłuchajcie! Nic nie wiemy o Mycrofcie Cannerze!

– Nie wciskajcie kitu! Gliny starają się zatuszować sprawę, ale wszyscy widzieli zdjęcia! Canner ukrywa się jako usługowiec!

W ramię kobiety uderzyła zgniła papryczka chili. Na jej policzki trysnął cuchnący sok.

– Na świecie jest dwieście tysięcy usługowców! Skąd niby mamy wiedzieć, czy to w ogóle prawda?

Cuchnący deszcz nie ustawał.

– Nie nabierzecie nas! Kiedy Canner przyszło wykończyć ocalałego Mardiego, miało ze sobą całą zgraję usługowców. Wszyscy jesteście w to zamieszani!

Carlyle Foster wbiegł nagle między napastników. Suknia i długa chusta powiewały za nim niczym jedwabie za uciekającą nimfą. Popołudniowa rozmowa z Bryar Kosalą podbudowała go znacznie na duchu, choć i tak sprostałby tej próbie, albowiem dwudziesty siódmy marca był dniem poświęconym Asklepiosowi, Dionizosowi, Ramie, bodhisattwie Tarze, egipskim mocom Neteret Renenunet i Neterowi Nepriemu, a także Świętemu Rupertowi z Salzburga. W minionych wiekach ludzie na różne sposoby oddawali cześć swemu Stwórcy i czynią to po dziś dzień. Nasz dobry Kuzyn był gotowy złapać najbliższego z Humanistów, by go powstrzymać, ale stanął jak wryty, usłyszawszy ostatnie słowa.

– Któreś z Mardich ocalało?

Napastnicy odwrócili się. Ich gniew był gotowy ustąpić miejsca pogardzie.

– Gdzie byliście, Kuzynie? Na Marsie? To się wydarzyło wczoraj. Wszyscy już widzieli relację. Dzieciak nazywało się Tullius Mardi. Przemawiało do tłumu, gdy nagle zjawiono się Mycroft Canner z grupą usługowców. Na szczęście Tullius je poznało, bo w przeciwnym razie kto wie, do czego mogłoby dojść!

– Ale was to nie obchodzi – dodał drugi Humanista. – To wszystko

wasza wina.

– Moja wina! – zdziwił się Carlyle, odsuwając się od niego.

– Wina Kuzynów. Nie wmawiajcie mi, że to nie Bryar Kosala powstrzymało cesarza, przed wyeliminowaniem tego potwora dla dobra wszystkich. „Och, Canner to tylko biedne, skrzywdzone sierota” – dodał piskliwym tonem, w ogóle nieprzypominającym głosu Kosali. – „Jeśli będziemy dla niego supermili, wyrośnie na porządnego człowieka!”.

Carlyle nadal uśmiechał się pogodnie.

– Właściwie to Kosala wcale tak nie uważa – skorygował Humanistę.

– Słucham?

– Wcale tak nie uważa. Osobiście rozmawiałam z przewodniczącym Kosalą o Mycroftcie Cannerze. Zapewniło mnie, że nie miało nic wspólnego z decyzją o darowaniu mu życia.

– Rozmawialiście z Bryar Kosalą? – W oczach napastników na nowo rozgorzał ogień. – A więc to prawda! Kosala wiedziało! Czy wszyscy Kuzyni wiedzą? Ukrywaliście to, tak?

– Nie! Nie! Nikt o tym nie wie! Ja wiem, bo... jestem senseistą Mycrofta Cannera. – Widzisz, jak biegle kłamie nasz Carlyle? – Ale nie regularnym – wycofał się pośpiesznie. – Czasami biorę zastępstwa.

Napastnicy natychmiast zaczęli zadawać pytania.

– Ich senseistą?

– Od jak dawna wiecie?

– Kto podjął decyzję? Kto postanowił oszczędzić Cannera? Czy to byli Utopianie? Widzieliśmy w relacji, jak uratowali mu życie!

– Jak przekonali cesarza, żeby się zgodził?

Otoczyli senseistę. Śmieci w ich dłoniach wyglądały znacznie mniej groźnie niż same dłonie.

Carlyle sam siebie zaskoczył własną odpowiedzią.

– Nie wiem.

– Nie chrzańcie, Kuzynie!

Jeden ze zbirów złapał Carlyle’a za włosy.

– To znaczy do tej pory nie zdawałam sobie z tego sprawy, ale choć Kosala wiele razy powtarzało mi, że to nie ono postanowiło oszczędzić Mycrofta Cannera, nigdy mi nie powiedziało, kto właściwie podjął tę decyzję. Nie wiem tego. A powinienem wiedzieć.

– Nie chrzańcie, Kuzynie. Wiecie. Po prostu próbujecie...

– Hej, tam! – zawołała liderka usługowców, otaczając usta brudnymi

od śmieci dłońmi jak prowizorycznym megafonem. – Może chcecie się dowiedzieć, że wezwałam gliny! Zjawią się tu za minutę, więc radzę wam zwiewać! Jeśli się zmyjecie, powiemy im, że pies przewrócił śmieciobota, ale w przeciwnym razie atak na usługowców, zniszczenie publicznego robota, nękanie Kuzyna i próba zmuszenia Senseisty do złamania ślubów... to w sumie złoży się na niezłą grzywnę!

– Cholera, to prawda!

Niebo stało się nagle nieprzyjacielem. Grupka napastników wypatrywała smug pozostawionych przez pikujące policyjne autoloty.

– Spływajmy!

– Tym razem macie farta, zasrani usługowcy!

– Zabierzmy Kuzyna!

– Nie. Wytropią je.

– Sfotografujmy je. Później możemy je znaleźć.

Humanisci oślepiłi Carlyle'a fleszem, a potem umknęli.

Widząc rejteradę chuliganów, którzy zostawili odciski palców na robocie oraz charakterystyczne ślady humanistycznych butów na nawierzchni, wielu usługowców parsknęło śmiechem. Amatorzy!

– Hej, senseisto! – zawołała liderka usługowców. – Lepiej uważajcie, co mówicie o Mycrofcie Cannerze, bo inaczej was też zaczną prześladować tłumy!

Carlyle wychylił się przez barierkę na moście i wciągnął gwałtownie powietrze, zauważywszy, że usługowcy zgromadzili się zaledwie dziesięć kroków od plastikowych płacht zamykających wejście do jaskini Bridgera.

– Co tu robicie? To prywatny teren!

Właściwie tak nie było, ale łatwo było zapomnieć, że zawsze pusty publiczny ogród w kwietnym rowie nie należy do młodego pana i jego zabawek.

– Mamy tu robotę do wykonania. Zejdźcie na dół, pokażę wam.

– Ale czy nie powinnom poczekać na policję?

Wszyscy na dole wybuchnęli głośnym śmiechem.

– Policja nie przyleci. To było „bezczelne łgarstwo”, jak zwykliśmy mawiać. Ale wy również jesteście kłamcą, prawda? – Liderka usługowców mrugnęła znacząco. – Wszyscy wiedzą, że Mycroft spotyka się tylko z europejskim senseistą Dorią-Pamphili. Mam rację, Kuzynie Foster?

Carlyle napiął mięśnie.

– Wiecie, kim jestem?

Kobieta uśmiechnęła się jak gracz w pokera odsłaniający dobrą rękę.

– Nietrudno było to zgadnąć. Wszyscy możecie się uspokoić, to senseista, o którym mówiło Mycroft. To dobre, nie to złe. Sprzątnijmy piknik i przekonajmy się, co utraciliśmy.

Piętnastu pozostałych usługowców poderwało się nagle. W cętkowanych mundurach wyglądali jak stado dzików u wodopoju.

– To znaczy, że znacie Mycrofta Cannera! – zawołał Carlyle, zbiegając po schodach.

Kobieta spotkała się z nim u ich podstawy.

– Oczywiście. A kto waszym zdaniem mógł nas tu przysłać? Wróżka Zębuszka?

Miała na głowie kapelusz. Po tym właśnie poznawało się przywódcę. Kapelusz z tkaniny, w jej przypadku czarny, okrągły, z wąskim rondem i guzikiem pośrodku. To nieoficjalny mundur, który pojawił się, gdy na tych, którzy byli mi najbliżsi, spłynęła część szacunku okazywanego mi przez towarzyszy. Nie mam prawa nikogo zniechęcać do jego noszenia.

Senseista zaczął od oczywistego pytania:

– Gdzie jest teraz Mycroft?

Kapitan usługowców wzruszyła ramionami.

– Mówiło, że gdzieś ugrzęzło, ale nie jest na ulicach i nic mu nie grozi. Miałom wam przekazać, że dziecko imieniem Bridger przeniesiono w bezpieczne miejsce. Nic mu się nie stało i wszystkie najważniejsze zabawki ma ze sobą.

Czytelniku, zadajesz sobie pytanie, jak mogłem wysłać wiadomość, skoro jestem uwięziony i nie mam lokalizatora. Heloise nie złamie rozkazów Dominica, ale żadna zakonnica nie oprze się grzesznikowi, który błaga ją na kolanach, by pomogła mu połączyć się z tylko jedną osobą.

– Co tu robicie? – zapytał Carlyle.

– Mycroft prosiło nas, żebyśmy spakowali to wszystko. – Kapitan wskazała na stertę pudeł. Usługowcy ładowali je do autolotu na podobieństwo pszczoł wypełniających plaster. – To zdumiewająca kolekcja.

Senseista zajrzał do pudła i zobaczył pięćdziesiąt starannie zapakowanych plastikowych figurek.

– Ta jaskinia już jest spakowana, ale z drugą potrwa to dłużej.

Wskazała zabrudzonym paskudztwem łokciem na świeżo wydeptaną ścieżkę prowadzącą do drugiej jaskini, odległej o pięćdziesiąt metrów. Wejście do niej ukrywało się w murach.

– Druga jaskinia? – powtórzył Carlyle.

– Zostało nam jeszcze mnóstwo roboty. Może zechcecie nam pomóc? Mycroft prosiło też, byśmy was ostrzegli, że zły senseista Dominic zamierza was porwać i zgwałcić. Lepiej trzymajcie się nas, dla bezpieczeństwa.

Carlyle zastanawiał się przez chwilę nad tą informacją.

– Moglibyście mnie zabrać do Bridgera?

– Przykro mi, Kuzynie – odpowiedziała z uśmiechem kapitan. – Bezpieczne schronienia są bezpieczne tylko wtedy, gdy nikt nie wie, jak do nich trafić.

– Proszę, to ważne!

– Nie ma mowy. Jesteście głodni? Mamy kupę jedzenia.

Była to prawda. Wysiłki usługowców nie poszły na marne. Piknik ocalał – burgery i hot dogi, ciasteczka i paszteciki, chipsy i sałatki, żelki o kształtach nieregularnych jak kamyczki, czekoladowe trufle okrągłe jak toczony ręcznie, torty złożone z czterech albo pięciu warstw i owoce wszelkich kolorów ułożone w stosy, jakby zgromadziła je tu jakaś skąpa małpa. Było też co pić. Szeregi butelek z najróżniejszymi sokami i barwionymi napojami gazowanymi. Wszystkie starannie wyposażono w etykiety, nierzadko z błędami ortograficznymi.

Kapitan usługowców wybuchnęła śmiechem, widząc zdumioną minę Carlyle'a.

– Spójrzcie na te owoce. Wydają się niemal za piękne, by mogły być prawdziwe, nieprawdaż?

Senseista również roześmiał się pod nosem, choć jego śmiech był bezgłośny i zdyszany.

– Tak, są doskonałe. Perfekcyjna moc oddana usługowcom.

– Słucham?

Carlyle zbył jej zdziwienie machnięciem ręki.

– Myślałam, że wolno wam przyjmować jedzenie tylko w zamian za pracę.

– Przecież pracujemy. Mycroft wie, że dla niego moglibyśmy się trudzić za darmo, ale zawsze zostawia dla nas poczęstunek. Macie szczęście, że troszczy się również o was.

Senseista wciągnął powietrze. Minę miał niezadowoloną.

– Rzeczywiście znacie Mycrofta Cannera? Wszyscy usługowcy go znają?

Kapitan przymrużyła oczy. Potrafiła biegle czytać z ludzkich twarzy.

– Poza protokołem?

– Poza protokołem – potwierdził senseista.

– Jeśli spotkaliście Mycrofta, z pewnością zdajecie sobie sprawę, że nie potrzeba geniusza, by odgadnąć, że w tej osobie kryje się coś szczególnego. Z początku nie mieliśmy pojęcia, co to właściwie jest, ale z czasem się domyśliliśmy. Są znaki.

– Tak. Tak, to musiało prędzej czy później wyjść na jaw.

– Nie wszyscy z nas rzeczywiście spotkali Mycrofta – ciągnęła kapitan. – Ale wszyscy o nim wiedzą. To zdumiewające, jak wielu ludzi potrafi dochować tajemnicy, jeśli wiedzą, że cały świat zmieni się w rozwścieczoną tłuszcę, jeśli tego nie zrobią. Wiecie, że jedno z nas zginęło dziś rano?

– Słucham?

– Usługowiec pomyłkowo wzięte przez tłum za Mycrofta. Nie wątpię, że będzie więcej takich przypadków, ale przygotowaliśmy się na taką ewentualność. Ćwiczyliśmy poruszanie się w grupach i radzenie sobie z tłumami. Władze nie pomyślały, co zrobić dla naszej obrony, jeśli wszystko się wyda, ale Mycroft pomyślało.

– Przykro mi. – Czytelniku, nie możesz mieć pretensji do Carlyle'a za to, że myśli tylko o jednym. – Posłuchajcie, nie mogę wam wytłumaczyć dlaczego, ale naprawdę muszę się zobaczyć z Bridgerem. Nic nie mogłoby być ważniejsze.

Uśmiech kobiety wręcz promieniował protekcjonalnością.

– Czy świat się skończy w najbliższych godzinach, jeśli tego nie zrobicie?

– Niewykluczone.

– Przykro mi, ale naprawdę nie mam pojęcia, gdzie jest teraz Bridger. Wiem tylko, że to bezpieczna kryjówka. Pomogłabym wam, gdybym tylko wiedziała jak. Posłuchajcie, nikt nie zdoła więzić Mycrofta przez długi czas. Trzymajcie się nas. Idę o zakład, że wkrótce nas odwiedzi albo przyśle kolejną wiadomość. Wtedy będziecie mogli go poprosić, żeby zabrało was do Bridgera. A na razie odprężcie się i... – Zmarszczyła brwi, podnosząc zieloną, pasiastą kulę z jednego z piknikowych koców. – Wiecie, co to za owoc? Już od godziny próbujemy odgadnąć, jak się nazywają niektóre z nich. Ten ma

w środku różowe i pomarańczowe plamy, a smakuje jak maliny, ale żadne z nas nigdy go nie widziało.

Carlyle wlepił wzrok w wytwór wyobraźni zwany przez Bridgera „razzalupą”.

– Nie znam go... – Zauważył przechodzącego obok usługowca, który niósł skrzynkę pełną pociemniałych ze starości lalek Barbie. – Czy we wszystkich pudłach są zabawki?

– Tak, druga jaskinia jest nimi wypełniona. Chcecie zobaczyć kolekcję, nim ją załadujemy? Jest naprawdę zdumiewająca.

Kapitan poprowadziła go do drugiej jaskini, podnosząc po drodze „truskawkannę”.

– Gdzie to wszystko zabieracie? – zapytał senseista, gdy mijały go kolejne skrzynie. – Do kryjówki Bridgera? Czy taki ślad nie będzie jeszcze łatwiejszy do wykrycia?

– Do Muzeum Lalek Snipera.

Carlyle wstrzymał oddech.

– Snipera?

– Mycroft to załatwiło. Ono zna wszystkich, którzy się liczą.

Kuzyn zmarszczył brwi.

– Myślałem, że tam trzymają tylko lalki Snipera.

– Do tej pory tak było. Najwyraźniej Mycroft przekonało Snipera do otworzenia nowego skrzydła, w którym urządzi się wystawę pod hasłem „smutek porzuconych zabawek”. To będzie naprawdę coś.

– To już było „naprawdę coś”, nawet w półmroku panującym w drugiej jaskini Bridgera. Zabawki ustawiono w szeregi. W dziesiątki i setki szeregów. Podobnie jak w w bibliotece przepełnionej starymi woluminami wypycha się półki do maksimum, ledwie zostawiając miejsce pozwalające się precyzyjnie przesuwać między nimi, Bridger wypełnił tę jaskinię, dziesięć razy większą od pierwszej, półkami, a każdą półkę zabawkami. Wykonywał tę pracę z zamiłowaniem: dzieci ustawione z mamami i tatusiami, żrebięta z kłaczami, wojownicy z przeciwnikami, złoczyńcy z bohaterami gotowymi ich powstrzymać, jeśli tylko się poruszają. Wszystkie zabawki wyposażono w akcesoria – nie tylko te, z którymi je wyprodukowano, lecz również we wszystko, co mogłoby się im przydać, kiedy się obudzą. Starannie ulokowano je we właściwych miejscach – nauczyciele przy plastikowych tablicach, rodziny za obiadowymi stołami, całe basze łowiące razem ryby, przygotowujące śniadania, tańczące. Uwięzienie na wieczność w tego

typu chwilach mogłoby nie być takie złe. Figurki, którym brakowało kończyn, zabandażowano i umieszczono w gabinetach lekarskich, choć tłumy rannych były nieporównanie liczniejsze od pielęgniarek o twarzach lalek, jakby byli ofiarami wojny. Byli tam też żołnierze, setki żołnierzy. Nie mogli odłożyć plastikowej broni, ale stali z nią nieruchomo jak podczas ćwiczeń. Celowali do tarcz, pokonywali tory przeszkód, ale nie toczyli walki i nie było ofiar. Armię Zielonych starannie oddzielono od ich nieprzyjaciół, Żółtych. Czytelniku, czy potrafisz sobie wyobrazić jak Bridger wydłubuje te sieroty ze śmieci jedną po drugiej? Jak usuwa z pomalowanych twarzy nagromadzony w ciągu stuleci brud i nazywa każdą kolejną zabawkę „przyjacielem”? To Major zaproponował, że nauczy go, iż nie da się uratować wszystkich.

– Nie śpieszcie się – zaczął. – Wasza moc dowodzi, że waszym przeznaczeniem jest stać się kimś niezwykłym. Być może któregoś dnia, jeśli bogowie pozwolą, zdołacie dać życie im wszystkim i raz na zawsze obalić tyranie śmierci, ale nie dzisiaj. Dzisiaj jesteśmy zwiadowcami, poznajemy ten świat i tworzymy plany. Nie wzywajcie tej armii, dopóki nie macie dla niej namiotów i zboża.

– Już to widziałam – wyszeptał Carlyle. Przekaz nie musi dobiegać z płonącego krzaka, Czytelniku. Przekaz od Stwórcy planet, atomów i elektronów może być myślą.

– Naprawdę?

Kapitan usługowców omiotła spojrzeniem plastikowe hordy.

– Nie do końca to, ale miałam już podobne wrażenie, patrzyłam na coś podobnego. To było niedawno... ale gdzie? – Senseista przygryzł kciuk, zastanawiając się. – Gdzie Bridger je znalazło?

– Najwyraźniej w odpadkach. W pobliżu jest kopalnia śmieci, pochodzących głównie z okresu od dwudziestego do dwudziestego drugiego wieku. Wszystkie starannie wyczyszczono i naprawiono. To będzie naprawdę wzruszająca wystawa. Tak wiele porzuconych przedmiotów, które ludzie kiedyś kochali.

Carlyle wędrował między półkami. Nie patrzył na poszczególne zabawki, lecz na całe krajobrazy, niekończące się szeregi ciasno ustawionych odpadków, które ongiś były dla kogoś czymś znacznie więcej. Atom uderzył o atom.

– Jehovah...

Kobieta stała za daleko, żeby go usłyszeć.

– Co mówicie?

– Awinion. Kolekcja ikon w jego domu. Tam właśnie to widziałem. To jest to samo! Porzucone przedmioty, które ludzie kiedyś kochali, zgromadzone w jednym miejscu przez kogoś, kto nie może znieść myśli, że pochłonie je rozkład. Kolekcja imion... ogromna skrzynka tabu. – Senseista biegał od szeregu do szeregu, przekazując swoje myśli nie tyle towarzyszce, ile zabawkom albo sobie samemu. – Dlaczego nie zauważyłam tego przedtem? Mycroft nie dzieliłoby czasu między nich obu, gdyby nie byli równie ważni. A skoro Bridger jest tym, kim jest, ten drugi również musi być... nie musi chodzić o zabawki, ale, jak Bridger, musi mieć... Dlatego właśnie cesarz wybrało je spośród wszystkich dzieci na świecie i dlatego Heloise uważa je za boga. Gdyby ludzie wychowani u Madame znaleźli kogoś takiego jak Bridger, oddawaliby mu cześć.

Kapitan usługowców podbiegła do brnącego przez ciasne korytarze Carlyle'a.

– Przepraszam, co mówicie? Nie słyszę was, bo ciągle się poruszacie.

Spojrzenie senseisty wreszcie skupiło się na kobiecie.

– Bez obrazy, ale absolutnie nie jesteście osobą, z którą powinnom o tym rozmawiać.

Zmarszczyła brwi w wyrazie współczucia.

– Mogę w czymś wam pomóc?

– Nie, chyba że zawieziecie mnie do Bridgera – odpowiedział Carlyle.

– Mogę wezwać autolot.

– Hej, spokojnie. – Kapitan złapała za ramię gotowego do ucieczki senseistę. – Autolot? Przykro mi, ale nie mogę pozwolić wam odejść.

– Słucham? Niby dlaczego?

– Już wam mówiłam. Ściga was zły senseista Dominic. Rozkazano mi trzymać was blisko, dopóki groźba nie minie.

– Rozkazano?

– To tylko takie sformułowanie – zapewniła kapitan, choć jej ciemne oczy sugerowały, że jest inaczej. – Grozi wam realne niebezpieczeństwo. Czymkolwiek się teraz zajmujecie, to może zaczekać.

– Decyzja należy do mnie – sprzeciwił się Carlyle. – Nie do was.

– Mówię wam po raz ostatni, to poważna sprawa. – Kobieta złapała go za zwoje chusty i pociągnęła ku koccom piknikowym. – Oferuję wam pożywienie i gościnność ludzi, dla których odrobina jedzenia znaczy

bardzo wiele. Siadajcie!

Wepchnęła senseistę w grupę zgromadzoną w cieniu mostu. Dwóch usługowców zdjęło z grzbietów pobrudzone śmieciami koszule i zaczęło tańczyć. To było piękne – nie sformalizowany taniec towarzyski, lecz prymitywna radość ciała. Wyciągali ręce, kopali, podskakiwali i pochylali się. Byli piekielnie blisko siebie, ale zawsze udawało im się uniknąć o włos podrapania policzków partnera albo zmieszania potu. Dopiero gdy jeden z nich trafił drugiego wyciągniętymi prosto jak nóż palcami, Carlyle uświadomił sobie, że ćwiczą walkę.

– Usługowcom nie wolno trenować sportów walki – oznajmił. Jego głos nagle stał się zimny jak lód.

Kapitan spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Mówicie to w chwili, gdy wszyscy się dowiedzieli, że Mycroft Canner jest usługowcem? To wystarczający powód, by ćwiczyć samoobronę, nawet gdybyśmy nie mieli innych!

Senseista zasepił się na dłuższą chwilę.

– Powinno was opuścić.

– Nie. – Silne dłonie złapały za chustę otaczającą Carlyle'a niczym uprzęż. – Jak już mówiłam, wydano mi rozkazy. Zostaniecie z nami. Dla waszego bezpieczeństwa.

– Muszę odnaleźć kogoś niezmiernie, nieopisanie ważnego.

– Zostaniecie z nami.

– Wbrew woli? – Nawet ktoś tak łagodny jak Carlyle może się zrobić nieprzyjemny, gdy przyjazna twarz, którą widzi przed sobą, wydaje mu się mniej realna niż misja, jaką ma do wykonania. – Mogłoby zawiadomić program usługowców o tym, że ćwiczyacie sztuki walki. Cofnęliby wam zwolnienie warunkowe. Zrobię to, jeśli nie przestaniecie stawać mi na drodze. Albo jeszcze lepiej, wiem, do kogo wyślę wiadomość.

– Stójcie! – Kapitan złapała go za ramię szybkim, wprawnym ruchem, ale lokalizatory pozwalały wysyłać wiadomości błyskawicznie jak mgnienie oka. – Co zrobiliście?

– Nic, co mogłoby wam zaszkodzić. Przyjąłem zaproszenie od osoby zwanej Heloise. Mamy się spotkać za godzinę w Paryżu. To godzina lotu stąd, więc jeśli nie wyruszę natychmiast, wielu ważnych ludzi zacznie zadawać sobie pytanie, co się stało.

Czytelniku, nie będę narażać Twojej delikatnej wrażliwości na

spotkanie z pełnym zestawem przekleństw, jakie znała kapitan usługowców.

– Mycroft nie ostrzegło mnie, że jesteście za głupie, żeby żyć. Zdajecie sobie sprawę, że słowa „porwać i zgwałcić” należy rozumieć dosłownie, prawda? Mówimy o Dominicu Seneschalu.

– Znam groźby, jakimi posługuje się Mycroft. Byłem w Paryżu i wiem więcej od was.

Kapitan usługowców zmarszczyła brwi.

– Ja również znam groźby, jakimi posługuje się Mycroft, a samego Mycrofta znam znacznie dłużej od was. To jest autentyczne zagrożenie.

Zapadła cisza. Kobieta i senseista toczyli pojedynek na spojrzenia. Oboje byli przekonani, że mnie znają. Oboje byli przekonani, że znają mnie bardzo dobrze.

– Znowu się włączył! – zawołał wreszcie młody usługowiec. – Kanał 1113.

Jak w chwili, gdy chmura połyka słońce i jaskrawe kolory popołudnia natychmiast ciemnieją, kapitan usługowców nagle zrobiła się zimna.

– Ostatnia szansa, senseisto. Znam Mycrofta. Wiem, że zagrożenie jest realne. Pragnę wam pomóc. Ale nie pozwolę, żebyście narazili innych na niebezpieczeństwo, jeśli ta osoba w Paryżu może naprawdę narobić nam kłopotów, o ile do niej nie przylecicie. Decydujcie. Odwołajcie sygnał albo lećcie.

Carlyle zwęszył podstęp.

– Co znowu się dzieje? 1113, czy to kanał lokalizatorowy?

– Paskudny syf, ale taki, który obchodzi tylko nas. Wybierajcie, bezpieczeństwo czy Paryż?

Nie było wyboru, Czytelniku, nie dla senseisty. Nie, odkąd przyszła mu do głowy myśl, że jest Ich dwóch.

Jednakże Carlyle zdecydował inaczej, podczas sześćdziesięciu minut podróży autolotem do Paryża. Nastawił lokalizator na kanał 1113. Okazało się, że to mało znana stacja nadająca wiadomości. Przekazywała relację z placu w Ankarze, gdzie Tullius znowu wszedł na swoją skrzynkę.

– Co waszym zdaniem powodowało wielkie wojny w przeszłości? – przemawiał, tym razem do znacznie większej części słuchającego świata. – Niestabilność gospodarki? Mamy ją, ekonomiczne giganty, Masoni i Mitsubishi, pragną rozszarpać się nawzajem na strzępy.

Uprzedzenia? Wzajemna nienawiść między grupami? Przejdźcie się ulicami i posłuchajcie, jak gniewni ludzie rzucają słowami takimi jak „Mason”, „Kuzyn” czy „Utopianin”, jakby to były obelgi. Gdybyśmy przenieśli jakimś zaklęciem eksperta od wojny z dawnych czasów i pokazali mu współczesną epokę, natychmiast usłyszelibyśmy od niego, że stoimy na skraju konfliktu zbrojnego. Dzisiejsi eksperci nam tego nie mówią wyłącznie dlatego, że nie mamy takich ekspertów. Ślepo wierzymy, że wojna jest niemożliwa i dlatego właściwie przestaliśmy ją studiować. Sądzicie, że Pasiaki są zbyt zaprzyjaźnione, powiązane ze sobą ścisłymi sojuszami, zanadto cywilizowane, by toczyć wojny? Tak samo myślano o państwach narodowych w roku 1914, tuż przed wybuchem pierwszej wojny światowej. Wystarczy jedna iskra. Wtedy stało się nią zabójstwo cesarskiego bratanka. Co to będzie tym razem?

Rozdział trzydziesty trzeci

Ostatnie interludium Martina Guildbreakera: „Utopianie nie są brudni, jak my wszyscy”

Notatka autora, dnia 27/03/2454: Cezarze, nie czytajcie tego. I wy również, *Domine*, jeszcze nie. Wszystko, co mam, i wszystko, kim jestem, zawsze było otwarte przed wami oboma, ale to są tylko surowe notatki dotyczące sprawy, która jeszcze nie jest do końca jasna. Zadałyby wam ból. Zadałyby wam ból, cesarze, ponieważ nie moglibyście pełnić swej funkcji jak przedtem. Nie moglibyście dłużej ufać i nie potrafilibyście tego znieść, ale z drugiej strony nie moglibyście też podjąć stosownych działań, ponieważ dowodów jest za mało. Nie chcę was narażać na paraliż. Gdy tylko znajdą odpowiedzi wystarczające, by wasz przebudzony gniew poznał swego wroga, zawiadomię was. Do tej pory, potężny cesarze, mam nadzieję, że mi zaufacie. Jeśli zaś chodzi o was, *Domine*, wy również nie czytajcie jeszcze tego dokumentu. W waszym przypadku ceną byłby żal. Nie chcę, żebyście cierpieli, nim będę mogło złagodzić wasze cierpienia pociechą zrozumienia.

08:38 czasu uniwersalnego, 27/03/2454, Kwatera Główna Policji Uniwersalnego Wolnego Sojuszu, Romanova.

Komisarz generalny Ektor Carlyle Papadelias: Proszę, proszę, czyż to nie Martin Guildbreaker! Co was sprowadza do mojego biura w środku nocy? A może noc już się skończyła? Dziewięta trzydzieści! Kiedy to zleciało?

Guildbreaker: Chciałbym wysłuchać obiektywnej, nieuprzedzonej opinii.

Papadelias: Nie kładźcie tego tutaj. To jest biurko poświęcone Mycroftowi Cannerowi. Nie chciałbym, żeby akta się pomieszały. Połóżcie to tam. To jest biurko dla pozostałych spraw. Nie przejmujcie się bałaganem. To dotyczy *Czarnej Sakury*, jak rozumiem?

Guildbreaker: Chciałbym wysłuchać obiektywnej, nieuprzedzonej opinii.

Papadelias: Najwyższy czas. Od początku wam mówiłem, że nie rozwiążecie tej sprawy beze mnie. Wiem lepiej niż ktokolwiek, jak skomplikowane może się stać multipasiekowe prawo. Czasami zgadzam się z opinią, że świat korzysta na tym, że wy i wasza ekipa łagodzicie konflikty na styku, ale zajmuję się tą robotą od siedemdziesięciu lat, a wy dopiero od sześciu, więc gdy zawiadomiłem was, że muszę natychmiast się z wami skontaktować w pewnej sprawie, nie powinniście byli zwlekać aż cztery dni ze zjawieniem się tutaj.

Guildbreaker: Chciałbym wysłuchać obiektywnej, nieuprzedzonej opinii.

Papadelias: Macie tu całą górę dokumentów: plany lotów, raporty z sekcji, plany sesji senseistycznych, stare numery magazynu Sniper. Co jest grane? Coś dużego. Mogłom to wam powiedzieć już cztery dni temu.

Guildbreaker: Chciałbym wysłuchać obiektywnej, nieuprzedzonej opinii.

Papadelias: Co się wydarzyło?

Guildbreaker: Chciałbym wysłuchać obiektywnej, nieuprzedzonej opinii.

Papadelias: Rozumiem. Shannon, odwołajcie wszystko, co mam zaplanowane na pięć najbliższych godzin, i dopilnujcie, żeby nikt, absolutnie nikt, tu nie wchodził, chyba że cesarz stanie w płomieniach.

Guildbreaker: Dziękuję, komisarzu. Zamknę drzwi.

Papadelias: Potasuję teczki i przeczytam je w przypadkowej kolejności, żeby nie wpłynęła na mnie ta, w jakiej je ułożyliście.

Guildbreaker: Są ułożone alfabetycznie, według pierwszej litery dziewiątego słowa w każdym dokumencie.

Papadelias: To powinno wystarczyć. Czytając, będę od czasu do czasu zadawało wam pytania wymagające odpowiedzi „tak” albo „nie”, ale nie będę was pytało o zdanie. Może być?

Guildbreaker: Tak. Będę nagrywało tę rozmowę, dla celów protokolarnych. Każę niezależnym osobom ją przesłuchać, by potwierdziły, że nie sugerowałem wam żadnych konkluzji.

Przez osiem minut komisarz czytał w milczeniu.

Papadelias: Zatem jeden inżynier utrzymuje, że szkody, jakie

wyrzucił autolotowi „ładunek samobójczy” narzeczonego Aki Sugiyamy, nie powinien wystarczyć do spowodowania katastrofy, ale dwójka innych nie znalazła nic podejrzanego.

Guildbreaker: Kazałam zbadać wrak trzem kolejnym inżynierom. Spodziewam się ich raportu pod koniec dnia.

Papadelias: Podejrzliwe inżynier było tym samym, które powiedziało, że w planie lotu coś się nie zgadza?

Guildbreaker: Tak. Z punktu wyjścia do celu prowadzą sto sześćdziesiąt dwie standardowe trasy lotu, ale tylko dwie z nich zapewniają, że w razie awarii autolot nie spadnie na tereny zamieszkane. To była jedna z tych dwóch tras. Prawdopodobieństwo wynosi jeden i dwie dziesiąte procenta, a pasażer nie ma wpływu na wybór trasy lotu.

Papadelias: To nie jest rozstrzygające. Dostrzegam wskazówki, ale jest ich za mało, by kogokolwiek oskarżyć. Nie przed sądem. Nie w sytuacji, gdy mamy rozmowę między Aki Sugiyamą i O’Beirne, podczas której to drugie otwarcie przyznaje się do samobójczych zamiarów.

Dziesięć minut czytania w milczeniu.

Papadelias: Notatki Esmerald Revere dotyczące Cato Weeksbootha dzielą te „epizody” na dwa typy.

Guildbreaker: W typie A Cato domaga się pilnej sesji senseistycznej i pojawia się na niej w stanie silnego wzburzenia. W typie B Cato nie spotyka się z Revere, ale w następnym tygodniu spędza w muzeum dwa razy więcej godzin niż zwykle, a jego współpracownicy podają, że zapomniało o posiłkach i wykazywało inne oznaki podekscytowania.

Papadelias: Dwadzieścia siedem z czterdziestu siedmiu wypadków autolotowych w ostatnich pięciu latach poprzedzały te epizody. To nieco więcej niż połowa.

Guildbreaker: Nadal pracuję nad pięcioma poprzednimi latami, ale musiałam użyć nieoficjalnych kanałów, by zdobyć informacje o wypadkach, bo standardową procedurą byłoby zwrócić się do Ockhama Saneera.

Papadelias: Jeden epizod poprzedzał śmierć Revere, a przed wypadkiem O’Beirne było jeszcze gorzej.

Guildbreaker: Zgadza się

Papadelias: Przed, nie po.

Guildbreaker: Tak.

Dwie minuty czytania w milczeniu.

Papadelias: Tu jest napisane, że Cato ma od ośmiu do jedenastu epizodów rocznie i połowa z nich nie poprzedza wypadków autolotowych.

Guildbreaker: Prawie połowa.

Papadelias: Ale druga połowa poprzedza.

Guildbreaker: Dokładnie połowa.

Dwadzieścia jeden minut czytania w milczeniu.

Papadelias: To nie jest rozstrzygające.

Guildbreaker: Słucham?

Papadelias: Śmierć Yangtze Dekker w wypadku autolotowym 22/11/2453 doprowadziła do tego, że wdowa zaapelowała do brata w mediach, co zapewne zakończyło kryzys z zakładnikami w Six Lakes. Śmierć emerytowanego redaktora *Romanova*, Anlevine Gorz-Marmalade w wypadku dnia 08/08/2452 drastycznie osłabiła frakcję edukacjonistów w europejskich wyborach. Śmierć Madden Manili w dniu 15/05/2451 spowodowała, że Mycroft Gao wycofało się z ruchu przeciwników zawłaszczania ziemi przez Mitsubishi. Śmierć Kirkegard Ranker mogła umożliwić uchwalenie Ustawy o Wsparciu dla Mieszkańców Rezerwatów. Śmierć Jay Daiko mogła uratować firmę Rongcorp & Subsidiaries. Śmierć Herrery Lee mogła położyć kres rozłamowi w Greenpeace Mitsubishi. Ale w żadnym z tych przypadków nie ma bezpośredniego związku, wszystko to są znajomi, krewni, dawni współlokatorzy, osoby oddalone o cztery albo pięć trudnych do określenia kroków od skutków, które miała spowodować ich śmierć.

Guildbreaker: To prawda.

Papadelias: Tych powiązań nikt by nie zauważył, chyba żeby świadomie szukał czegoś podejrzanego, jak narzeczony bawnuka Sugiyamy.

Guildbreaker: W rzeczy samej.

Papadelias: Ile takich wypadków, które miały polityczne konsekwencje, do tej pory znaleźliście?

Guildbreaker: Trzydzieści cztery. Średnio pięć rocznie. W przybliżeniu pięćdziesiąt procent wszystkich wypadków autolotowych w ostatnich siedmiu latach.

Papadelias: Trzydzieści cztery? Czy osobie, która sporządziła tę analizę, powiedziano, które wypadki były poprzedzone przez epizody

Cato?

Guildbreaker: Nie.

Papadelias: A mimo to najwyraźniej wszystkie bez wyjątku ważne politycznie wypadki były poprzedzone epizodami.

Guildbreaker: Na to wygląda.

Papadelias: A wypadki, które nie były nimi poprzedzone, nie miały zauważalnych skutków politycznych.

Guildbreaker: Na to wygląda.

Papadelias: Trzydzieści pięć ofiar śmiertelnych w ciągu siedmiu lat. Wypadek, w którym zginęli ich baszrowie, wydarzył się pięć lat temu, tak?

Guildbreaker: Zgadza się.

Papadelias: Zatem to musiało zacząć się wcześniej.

Guildbreaker: Co najmniej o dwa lata.

Cztery minuty czytania w milczeniu.

Papadelias: Hmm... czy to miały być grupy kontrolne?

Guildbreaker: Słucham?

Papadelias: Procent ofiar śmiertelnych zatruc pokarmowych, których śmierć miała zauważalny wpływ na wydarzenia polityczne, dwa przecinek dwa; procent ofiar użądlenia przez pszczoły, których śmierć miała wpływ na wydarzenia polityczne, dwa i pół, procent ofiar awarii windy, dwa przecinek trzy...

Guildbreaker: Tak, to grupy kontrolne. Kazałam swojemu pracownikowi wykonać dokładnie taką samą analizę tych grup, ponieważ przy pięciu pośrednich krokach nie da się wykluczyć, że każda śmierć ma wykrywalne skutki polityczne. Najwyraźniej w dwóch procentach przypadków rzeczywiście tak jest, ale dwa procent to nie pięćdziesiąt.

Papadelias: W rzeczy samej. Nie pięćdziesiąt.

Osiemnaście minut czytania w milczeniu.

Papadelias: Skąd pochodzą te dane?

Guildbreaker: Które?

Papadelias: Styczniowy epizod Cato nie poprzedzał wypadku, ale wkrótce po nim Tipper Casterman popełniło samobójstwo. Z tego powodu Haleakala Banks wycofało się z ruchu edukacjonistów. Po listopadowym epizodzie Carlyle Gali zmarło z powodu nadużycia alkoholu, a jego wuj powstrzymało się przed wygłoszeniem serii podburzających przemówień skierowanych przeciwko prezydentowi

Ganymede'owi. Sierpniowy epizod poprzedzał nieprzewidzianą reakcję na nowe lekarstwo, z powodu której umarło osławione szantażysta, Colorado Dix.

Guildbreaker: Trzy tygodnie przed tym epizodem doświadczenie przeprowadzone przez Cato w laboratorium Drużyny Młodych Naukowców w Chicago zasugerowało, że zażycie tego medykamentu może spowodować śmierć, gdy dochodzi do interakcji z innym rzadkim specyfikiem. Cato próbowało zniszczyć te dane, ale ukradłam pliki.

Papadelias: Właśnie przyznaliście się do popełnienia przestępstwa.

Guildbreaker: Wiem o tym.

Papadelias: Te przypadki, ci ludzie, którzy nie zginęli w wypadkach, nie mają żadnego związku z baszem Saneer-Weeksbooth ani z *Czarną Sakurą*. Czy poddaliście analizie wszystkie przypadki śmierci, do których doszło w dniu po każdym z epizodów Cato pod kątem możliwych skutków politycznych?

Guildbreaker: Tak. W ciągu dwóch dni.

Papadelias: Jak? Musiały ich być tysiące.

Guildbreaker: Dziesiątki tysięcy. Zwróciłam się do romanowańskiego urzędu cenzora z pytaniem, czy mogliby wykonać dla mnie obliczenia, ale Ancelet było zbyt zajęte. Wicecenzor, Jung Su-Hyeon Ancelet Kosala, również miało zbyt wiele zajęć, a Toshi Mitsubishi nie byłoby obiektywne. Dlatego poprosiłam Mycrofta Cannera.

Papadelias: Oczywiście.

Guildbreaker: Mycroft też było zajęte, więc poprosiło, by Jung Su-Hyeon zarekomendowało mi jakąś osobę zdolną przeprowadzić obliczenia na taką skalę. Jung Su-Hyeon odpowiedziało, że powinnam wynająć kartezjańskiego skonfigurowanego.

Papadelias: Koniecznie kartezjańskiego?

Guildbreaker: Tak. Oni potrafią śledzić wykresy dynamiczne do czterdziestu pięciu zmiennych jednocześnie. To znaczy, że wykonują pracę dziesięciu cenzorów, przynajmniej jeśli chodzi o czytanie danych.

Papadelias: Eureka Weeksbooth i Sidney Koons to skonfigurowani tego samego rodzaju, zgadza się?

Guildbreaker: Tak. Postąpiłem zgodnie z radą cenzora. Temu samemu skonfigurowanemu zawdzięczam też odkrycie politycznych powiązań ofiar wypadków autolotowych. Powiązania są bardzo odległe i na

własną rękę mogłoby zauważyć tylko nieliczne, ale skonfigurowany zauważyło wszystkie w mgnieniu oka. Wystarczył mu zestaw komputerów wyposażony w oprogramowanie śledzące interakcje między wszystkimi ludźmi na świecie. O ile mi wiadomo, na świecie istnieje tylko pięć takich zestawów: w urzędzie cenzora w Romanowie, w Systemie Lokalizatorów, komputery kierujące Systemem Transportu w baszu Saneer-Weeksbooth, identyczne komputery w rezerwowej stacji w Salechardzie oraz zestaw w Utopiańskim Systemie Komputerowym. Skorzystałem z tego ostatniego.

Dwie minuty czytania w milczeniu.

Papadelias: Odnoszę wrażenie, że ofiary z reguły były, jak by to ująć...

Guildbreaker: Mało obiecującymi osobami.

Papadelias: Chciałem powiedzieć „nieudacznikami”, ale może być i tak. Ludźmi mającymi niewielu przyjaciół, zajmującymi się niezbyt popularnymi hobby i wykonującymi prace, które nie generują niczego szczególnie użytecznego. Nie było wśród nich artystów, badaczy, nauczycieli, wybitnych przemysłowców, prezesów korporacji ani sławnych sportowców. Nikogo w tym rodzaju.

Guildbreaker: Zgadza się.

Papadelias: Co więcej, wszystkie ofiary były Masonami, Kuzynami, Brillistami albo Bezpasiekowymi. Nie było wśród nich Humanistów, Mitsubishian, Europejczyków i oczywiście także Utopian, którzy mają własny system transportu.

Guildbreaker: Humanisci, Mitsubishianie i Europejczycy ginęli niekiedy w wypadkach, ale Cato nie miało przed nimi epizodów, a co więcej, tylko niespełna dwa i pół procenta ich śmierci wpływało na wydarzenia polityczne, podobnie jak w przypadku użądleń przez pszczoły czy awarii wind. Giną też w wypadkach znacznie rzadziej niż Masoni, Kuzyni albo Brillisci.

Papadelias: Jak to możliwe, że nikt dotąd tego nie zauważył?

Guildbreaker: Być może chodzi o to, że Masonów i Kuzynów i tak jest zdecydowanie więcej. A może wszystkie media i cała prasa na świecie uczestniczą w spisku mającym na celu zatuszowanie sprawy. Albo jakaś pośrednia wersja.

Papadelias: Ha. Jedno z nich jest tak bezczelne, że posługuje się nazwiskiem znaczącym „snajper”.

Guildbreaker: Zauważyliście to, prawda?

Papadelias: Jest tego zbyt wiele. Spodziewałem się małego spisku,

kilku morderstw, a nie dziesiątków ofiar w ciągu wielu lat. Trzydziestu pięciu zginęło w wypadkach autolotów, a drugie tyle zabito innymi metodami. Ale Cato wiedziało... Nic dziwnego, że współbaszowcy nie pozwolili mu wycofać się i zostać Utopianinem.

Guildbreaker: Tak. To właśnie naprowadziło mnie na trop.

Papadelias: Słucham?

Guildbreaker: Cato powiedziało, cytuję: „Utopianie nie są brudni, jak my wszyscy”. Z punktu widzenia kogoś, kto kieruje autolotami, Utopianie najbardziej się różnią od innych ludzi tym, że mają własny, odrębny system transportu. Nie giną w wypadkach autolotów i nie znajdzie się też ich nazwisk na licie osób zabitych innymi metodami.

Papadelias: To oczywiste. Utopianie badają każdy przypadek śmierci jednego z nich, dopóki nie ustalą przyczyn. Gdybym było skrytobójcą, nigdy bym ich nie ruszało.

Guildbreaker: W rzeczy samej. Utopianie nie czerpią zysków z systemu i nie są jego ofiarami. Są nietknięci, „czyści” z punktu widzenia Cato, podczas gdy reszta świata...

Papadelias: Podczas gdy resztę świata od siedmiu lat utrzymuje w całości pajęczyna skrytobójstw.

Guildbreaker: Do protokołu, komisarzu generalny, czy zechcielibyście wypowiedzieć na głos wnioski, do których doszliście, żeby osoby trzecie mogły je porównać z moją, niezależną konkluzją, którą zarejestrowałam na chwilę przed przybyciem do was?

Papadelias: Spokojnie, Guildbreaker. Wiem, że jesteście Masonem, ale nie powinniście przesadzać z metodycznością.

Guildbreaker: Do protokołu.

Papadelias: Proszę bardzo. Od chwili wkroczenia w wiek dorosły obecne pokolenie członków baszu Saneer-Weeksbooth regularnie dopuszczało się zabójstw. Dwójka kartezyjskich skonfigurowanych, Eureka Weeksbooth i Sidney Koons, wykorzystuje komputery Systemu Transportu, by wpływać na wydarzenia polityczne w ten sposób, że identyfikują niezbyt ważne osoby, których śmierć nie wzbudzi podejrzeń, ale spowoduje pożądane skutki. Ten basz – albo ktoś, kto go kontroluje – od co najmniej siedmiu lat manipuluje światową polityką dzięki tym zabójstwom. Uwagę zwraca fakt, że powstrzymują się przed zabijaniem Humanistów, Mitsubishian i Europejczyków – albo dlatego, że te Pasieki ich popierają, albo po prostu dlatego, że członkowie baszu są Humanistami, z Mitsubishi łączą ich więzy

widoczne w pochodzeniu Snipera, Cato oraz Eureka. A jeśli chodzić o Europę... nie, w tym przypadku nie mam chwilowo żadnej teorii. Sprawcy wiedzą, że nie mogą zabijać w wypadkach zbyt wielu osób, bo nagły wzrost liczby ofiar mógłby wzbudzić podejrzenia. Dlatego musieli opracować inne metody pozbawiania ludzi życia. Cenę za to zapłaciło pechowe Cato Weeksbooth, zmuszone do wykorzystywania swych naukowych talentów do zabijania. Jego poczucie winy było tak silne, że za każdym razem było bliskie próby samobójczej. Dwanaście razy rocznie przez siedem lat to razem co najmniej osiemdziesiąt morderstw, zgadza się?

Guildbreaker: Skonfigurowany nadal sprawdza poprzednie lata.

Papadelias: Trudno tego nie zauważyć, jeśli wie się, czego szukać. Wystarczyło, że ktoś skierował naszą uwagę na basz Saneer-Weeksbooth i połączył go z Sugiyamą za pośrednictwem *Czarnej Sakury*. Ktoś chciał, żeby sprawa wyszła na jaw.

Guildbreaker: Tak, to bardzo niepokojące. Nadal nie mam pojęcia, kim było sprawca i jakie motywy nim kierowały. Macie jakieś pomysły?

Papadelias: Tylko przeczucia. Lepiej na razie się nimi nie dzielić.

Guildbreaker: Czy mogę jeszcze zapytać o parę szczegółów?

Papadelias: Proszę bardzo.

Guildbreaker: Jak wyjaśnicie przypadki samobójstw? Zapis rozmowy z Aki Sugiyamą potwierdza, że O'Beirne mówiło o odebraniu sobie życia, bez względu na to, czy rzeczywiście spowodowało wypadek autolotu. Sekcja Esmerald Revere dowiodła ponad wszelką wątpliwość, że to było samobójstwo. Jeśli sprawdzi się listę domniemanych ofiar, okaże się, że ponad trzydzieści procent tych, które nie zginęły w wypadkach autolotowych, było samobójcami.

Papadelias: Samobójstwo to bardzo częsta przyczyna śmierci. Każdy sprytny morderca próbuje upozorować samobójstwo ofiary.

Guildbreaker: Czy waszym zdaniem w spisku uczestniczą wszyscy członkowie baszu Saneer-Weeksbooth, czy tylko niektórzy z nich?

Papadelias: Na razie nie sposób tego ocenić, ale intuicja podpowiada mi, że wszyscy. Z pewnością wiedzą, że Cato jest słabym ogniwem. Jeśli je wtajemniczyli, musieli wtajemniczyć wszystkich. Co więcej, wszyscy członkowie baszu cierpią z powodu takich czy innych zaburzeń psychicznych. Tak już działa na ludzi świadomość, że są masowymi mordercami. Podobnie jak zamordowanie własnych

baszrów, gdy się o wszystkim dowiedzieli.

Guildbreaker: Zatem zgadzacie się, że zatonięcie tratwy nie było wypadkiem?

Papadelias: Osobiście prowadziłem tę sprawę, kiedy się wydarzyła. Nie było dowodów na udział osób trzecich, ale czułem, że coś tu śmierdzi. Teraz wiemy dlaczego. To wszystko nie mogłoby funkcjonować bez zgody rodziców, a starsi skonfigurowani prędzej czy później musieliby się wszystkiego domyślić.

Guildbreaker: Myślicie, że basz sam wybiera ofiary, czy raczej dla kogoś pracują?

Papadelias: Byłoby cudownie, gdyby robili to na własną rękę, nieprawdaż? Wtedy moglibyśmy ich zamknąć i byłoby po sprawie. Ale Ganymede z pewnością wyglądało na zaniepokojone, gdy rozmawiało ze Sniperem na przyjęciu. I to wysoko postawieni ludzie, nie sami członkowie baszu, ale ci, którzy stoją nad nimi, ze wszystkich sił starali się utrudnić mi prowadzenie śledztwa. Przywódcy Pasiek zamieszani w ponad osiemdziesiąt zabójstw w ciągu siedmiu lat. W porównaniu z tym morderstwa Mycrofta okazały się drobiazgiem.

Guildbreaker: Myślicie, że Mycroft o tym wiedział? Spędza wiele czasu z baszem Saneer-Weeksbooth. Bardzo wiele czasu. A Mycroft nie ma wolnego czasu do stracenia.

Papadelias: Może jednak nie powinniśmy byli zamieniać się miejscami.

Guildbreaker: Mycroft popełniło swe zbrodnie trzynaście lat temu. Nie wiemy, czy ta sprawa ciągnie się aż tak długo. Dzieci baszu były wtedy bardzo młode. Ale zabójstwa Mardich miały większy wpływ na politykę niż jakiegokolwiek przypadki nagłej śmierci od stuleci.

Papadelias: Nie, nie sądzę... by to Mycroft było odpowiedzialne... być może, ale zabójstwa Mardich wydarzyły się za wcześnie i przyciągnęły zbyt wielką uwagę, by pasowały do profilu. Poza tym właściwie nie przyniosły korzyści Humanistom ani żadnej Pasiece.

Guildbreaker: Nie wszystkie wypadki były korzystne dla Humanistów. Część przyniosła profity Masonom, Kuzynom albo Gordianom, a wiele było pożytecznych dla wszystkich. Zakończyły kryzysy bądź uspokoiły sytuację w przypadkach zamieszek wywołanych przez przeciwników zawłaszczania ziemi przez Mitsubishi, edukacjonistów czy w innych konfliktowych sprawach.

Papadelias: Tak. To brzmi jak coś, co mógłby zaplanować pojedynczy

basz. Zwłaszcza jeśli skonfigurowani potrafią przewidzieć nadchodzące konflikty. Niewykluczone jednak, że wasza definicja konfliktu jest za wąska. Wszystkie Pasieki korzystają na światowej stabilności i dobrej sytuacji ekonomicznej. Biorąc pod uwagę, jak bardzo koteryjna jest dzisiejsza polityka, śmierć, która w krótkim terminie pomoże Masonom, może w dłuższym terminie okazać się korzystna dla wszystkich. Ganymede to rozumie. Andō i MASON również.

Guildbreaker: To prawda, komisarzu generalny. Przyszło mi na myśl, że... w głębszym sensie... można bronić tezy, że te... zinstytucjonalizowane morderstwa są korzystne dla świata. Pomijając mniej oczywistą sprawę wpływu na gospodarkę, niektóre z tych zabójstw zapewne uratowały życie setkom ludzi, a w niektórych przypadkach nawet tysiącom. Nie mówimy tu o tajnej organizacji zajmującej się masowymi morderstwami, lecz o tajnej organizacji, która zabija jedną osobę, by uratować dziesięć tysięcy.

Papadelias: Hm. Edukacjonizm i zawłaszczanie ziemi przez Mitsubishi to obecnie najpoważniejsze źródła konfliktów na świecie, a co najmniej jedna trzecia zabójstw najwyraźniej miała na celu ich wygaszenie. Gdyby do nich nie doszło... Zastanawiam się, co ci skonfigurowani zauważyli w swoich liczbach. Co by się wydarzyło?

UWAGI dodane przez Martina Guildbreakera dnia 21/05/2454: Uważam, że mam obowiązek cockamamie w tym punkcie komentarz od redakcji. Czuję się dziwnie, redagując własny tekst. Pełniejszy zawsze dodaje faktom nowe znaczenia, ale nic nie zmieniło się bardziej niż ten moment. Wybrałem wówczas inną odpowiedź, którą tu podaję – rozsądną i bezużyteczną. Mycroft mogłoby powiedzieć, że to odpowiedź ujrzana przez różowe okulary. Teraz jednak, czytając ten tekst po raz drugi, słyszę inną odpowiedź, wypowiedzianą nie moim głosem, lecz głosem Tulliusa Mardiego, poprzedzonym przez desperackie, milczące błaganie Mycrofta: „Nie pozwólcie mu tego mówić! Saladinie, nie pozwólcie mu tego mówić!”.
Wojna.

Papadelias: Długo się zastanawialiście, nim przyszliście z tym do mnie, nieprawdaż?

Guildbreaker: Tak, to było trudne. Ale nie mam prawa podjąć tej decyzji samodzielnie. Moim zadaniem jest tuszowanie drobnych wykroczeń, których ujawnienie wywołałoby więcej szkody niż

pożytku, ale „drobne wykroczenia” to z założenia przestępstwa, które nie doprowadziły do niczyjej śmierci. Tu ofiar było co najmniej osiemdziesiąt, nawet jeśli zabójstwa uratowały życie tysiącom ludzi.

Papadelias: Mam niemalże nadzieję, że nie uda się nam znaleźć dowodów. Wszystko to są tylko poszlaki, statystyka, prawdopodobieństwo. Wy to widzicie, ja również to widzę, ale żaden sąd nikogo nie skáže na takiej podstawie. Nie, gdy zarzuty są tak poważne. Osiemdziesiąt zabójstw. Żeby skutecznie postawić oskarżenie, będziemy musieli przyłapać ich na gorącym uczynku albo wyciągnąć z nich przyznanie się do winy.

Guildbreaker: To kolejny powód, dla którego zwróciłem się do was. Działając razem, będziemy mieli większe szanse.

Papadelias: Czy ktoś jeszcze widział dowody, które mi przedstawiliście?

Guildbreaker: Tylko skonfigurowany, które wynająłem. Ale ono jest starannie izolowane i nie ma pojęcia, dlaczego badamy tę sprawę. Nie wie, że autoloty są ważniejsze niż uządlenia przez pszczoły.

Papadelias: Nikt inny? Nawet Mycroft Canner?

Guildbreaker: Zgadza się. Mycroft było zajęte listą Siedmiu i Dziesięciu. Dominic Seneschal prowadzi obecnie samodzielne śledztwo. Nie mam pojęcia, czy odkryło to samo, co ja.

Papadelias: Ktoś jeszcze?

Guildbreaker: Nie mam powodów, by sądzić, że Porfirogeneta nie potrafi czytać w moich myślach.

Papadelias: Mam wrażenie, że trudno wam było udzielić tak szczerej odpowiedzi. Odwzajemnię tę przysługę i nie będę więcej o to pytało.

Guildbreaker: Dziękuję.

Papadelias: Guildbreaker, czy istnieje możliwość, że J.E.D.D. Mason o tym wie? Ma powiązania ze wszystkimi. Spotykałem je wystarczająco często, by zdawać sobie sprawę, że jest niepojęte dla zwykłych śmiertelników, ale jeśli jakakolwiek osoba mogłaby to wiedzieć, to z pewnością wy.

Guildbreaker: To absolutnie niemożliwe, by *Dominus* miało z tym cokolwiek wspólnego.

Papadelias: Skąd ta pewność?

Guildbreaker: Porfirogeneta nie jest w stanie życzyć nikomu śmierci ani pozwolić na nią. Nie potrafię precyzyjnie wyjaśnić dlaczego, ale jak wiecie, przed pojawieniem się mięsa wyhodowanego w kadziach ci

buddyści, którzy ściśle trzymali się zasad swojej religii, byli wegetarianami, bo nigdy nie wiadomo, czy dany kurczak nie jest nowym wcieleniem naszego zmarłego dziadka. Jego uczucia w tej sprawie są nieskończenie silniejsze. Dosłownie nieskończenie. Jak sądzicie, dlaczego Mycroft Canner nie może już zabijać?

Papadelias: „Nie może” i „nie chce” to dwie zupełnie różne sprawy, Masonie.

Guildbreaker: Wiem. Powiedziałam „nie może” i miałam na myśli „nie może”.

Papadelias: W takim razie bez względu na to, jakiej niewiarygodnej sztuczki dokonało wasze J.E.D.D. Mason z Mycroftem Cannerem, miejmy nadzieję, że potrafi dokonać tego samego z dziesięcioma miliardami ludzi, zanim wieści się rozejdą. Osiemdziesiąt pięć zabójstw. To będzie gorsze niż zamieszki antykofiguracyjne.

Guildbreaker: Nie potrzeba dziesięciu miliardów ludzi. Siedmiu. Siedmiu wystarczy.

TU KOŃCZY SIĘ
Do błyskawicy podobne
PIERWSZA CZĘŚĆ
Opowieści Mycrofta Cannera,
KTÓREJ ZAKOŃCZENIEM BĘDZIE
JEJ DRUGA POŁOWA
Siedem kapitulacji

Od autorki i podziękowania

Pragnęłam tego tak bardzo. Tak bardzo, że czasami miałam wrażenie, że nie mogę oddychać. Zdarzało się, że płakałam, nie dlatego, że było mi smutno, ale dlatego, że tak silne pragnienie sprawiało mi fizyczny ból. Uczyłam się filozofii, znam stoików i cyników, którzy uczą nas, że jeśli pożądamy czegoś tak mocno, że sprawia to nam ból, najzdrowiej jest nauczyć się dystansu, przestać tego pragnąć, zapomnieć o tym. Najzdrowiej dla jaźni. Istnieje jednak bardzo wiele powodów, dla których ludzie pragną zostać pisarzami: uznanie, pieniądze, szacunek dla siebie, miejsce w społeczności, ograniczona nieśmiertelność, jaką jest ujrzenie swego nazwiska w druku, i wiele innych. Ja chciałam dodać swój głos do wielkiej rozmowy, odpowiedzieć Wolterowi, Diderotowi, Osamu Tezuce i Alfredowi Besterowi. Pragnęłam, by ludzie czytali moje książki i w ich głowach rodziły się nowe myśli, dzięki którym stworzą nowe rzeczy, chciałam włożyć swój mały wkład w drogę wiodącą od Gilgamesza i Homera do gwiazd. I żeby to było ważne nie tylko dla mnie, lecz również dla Was. To oznacza, że postąpiłam słusznie, trzymając się swojego marzenia, choć było tak bardzo bolesne. Opłacało się. Ale po drodze potrzebowałam pomocy wielu przyjaciół. Byli wśród nich nauczyciele, przewodnicy na długiej drodze, jaką jest opanowanie sztuki pisania: Martin Beadle, Katherine Haas, Peter Markus, Olive Mochler, Mary Shoemaker, Hal Holiday, Gabriel Asfar, James Hankins i Alan Charles Kors. Byli wśród nich doradcy, którzy zapoznali mnie z tajnikami sztuki światotwórstwa: Irina Greenman, Weiyi Guo, Sumana Harihareswara. Yoon Ha Lee, Mary Anne Mohanraj, Johanna Ransmeier i Sabrina Vourvolias. Byli wśród nich przyjaciele, który przeczytali moją książkę i powiedzieli, że jest dobra w chwili, gdy naprawdę potrzebowałam to usłyszeć: John Burgess, Anneke Cassista, Valerie Cooke, Gina Dunn, Greer Gilman, Matt Granoff, Betsy Isaacson, Walter Isaacson, Ashleigh LaPorta, Michael Mellas, Lindsey Nilsen, Brent O'Connell, Priscilla Painton, Luke Somers, Warren Tusk, Milton Weatherhead, Alexa Weingarden, i Ruth Wejksnora. Byli wśród nich przyjaciele, którzy pomogli mi wreszcie

wysłać to nowo narodzone dziecko w szeroki świat: Lila Garrott, Teresa Nielsen Hayden i Jo Walton. Była wśród nich Lauren Schiller, która przez z górą szesnaście lat słuchała, jak opowiadam jej niespójne urywki fabuły, bo nie mogę znieść myśli, że jestem jedyną osobą na świecie, która to wszystko wie. Był wśród nich Jonathan Sneed, który obecnie prowadzi nas krok po kroku na Marsa. Była wśród nich Carl Engle-Laird, która zmieniła moje postrzeganie słowa „przyjaźń” i jest prawdziwą Utopianką. Byli wśród nich moi rodzice z potężnym silnikiem raketowym ich wsparcia – moja matka, Laura Higgins Palmer ze swą kreatywnością i zaradnością, oraz mój ojciec Doug Palmer, ze swą głęboką miłością do owoców wyobraźni, które ja również kocham. Byli wśród nich moja agentka, Amy Boggs, i mój redaktor, Patrick Nielsen Hayden, podekscytowany myślą, że znalazł książkę mówiącą o utopii, postępie i bólach towarzyszących rodzeniu się przyszłości, zamiast katastrof i dystopii, które tak bardzo zdominowały współczesną narrację. Było wśród nich wydawnictwo Tor Books i wszyscy jego pracownicy, którzy poświęcili życie kontynuacji dialogu, w którym tak pragnęłam uczestniczyć: Miriam Weinberg, Irene Gallo, Diana Griffin, znakomity grafik Victor Mosquera, który stworzył moje okładki, moja wyrozumiała i skrupulatna adiustatorka Liana Krissoff oraz utalentowana redaktorka techniczna Heather Saunders, która uczyniła z mojej prośby o typografię z okresu prawdziwe tekstowe dzieło sztuki. Na największą wdzięczność zasługują jednak grupy toczące zagorzałe dyskusje o nadziei i budowaniu przyszłości. Bardzo mnie ekscytuje myśl, że dostarczę paliwa ich płomieniom. Są wśród nich małe społeczności klubów fanów science fiction i fantasy, których jestem członkiem – Double Star w Bryn Mawr, HRSFA w Harvardzie, i cała mała intelektualna utopia w Simon’s Rock College. Jest też ogromna diaspora czytelników, widzących nas pośród gwiazd. Uzyskałam ich ciężko wywalczoną aprobatę na worldconie w San Antonio w roku 2013. Pamiętam, jak dowleklam się do naszego stoiska Cushing Library w sali sprzedaży tak oszołomiona, że ledwie zdołałam wyjaśnić swemu współpracownikowi Toddowi Samuelsonowi, co mnie skłoniło do łez. Ból wreszcie się skończył, ale pragnienie nadal pozostawało intensywne, choć przerodziło się w coś innego. Zamiast powodować znużenie, skłaniało mnie teraz do działania. Było równie intensywne, lecz pozytywne. Stało się wdzięcznością. Otrzymałam to,

czego pragnęłam tak bardzo. Ale moja praca dopiero się zaczęła. Czekam z niecierpliwością na dalszą część rozmowy, którą będziemy toczyli razem. Dziękuję wam.

1) Tłumaczenie Mycrofta: *Nisi aliquid grave suspicaretur Dominicus non abesset.* ↵

2) Tłumaczenie Mycrofta: *Pro certo non. Non nullius momentis est hic fur, sed fidus est Dominicus. Certe, nocte laborare non debes, Etiam nunc situm praeterite potes.* ↵